Życie i nader osobliwe

a zadziwiające przygody

ROBINZONA KRUZOE

z Jorku, marynarza, przez niego samego opowiedziane

Napisał

DANIEL DEFOE

Przekład z pierwotnego angielskiego wydania ze 120 obrazkami
WALTERA PAGET

KRAKÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ
SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1909

79053

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku
FUW0066282

CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE

K-52/77/79053

Książka pod tytułem: »Życie i przygody Robinzona Kruzoe« jest dziełem angielskiego pisarza Daniela Defoe. Urodził się on w Londynie w 1663 roku. Ojciec jego był rzeźnikiem; posyłał syna z początku do szkoły a potem umieścił go na naukę u kapelusznika. Mając lat 24, wyzwolił się młody Daniel na majstra i zapisał do cechu kapeluszników londyńskich. Wkrótce potem ożenił się. Pracując w swoim zawodzie, oddawał się jednocześnie naukom i piśmiennictwu, oraz żywo zajmował się sprawami publicznemi swojej ojczyzny. Zwrócono na niego uwagę, gdy ogłosił drukiem pismo polityczne, występując w obronie powołanego na tron angielski Wilhelma III, księcia Oranii, i zbijając zarzuty innej politycznej broszury, w której jakiś nieznany pisarz wystąpił przeciw temu królowi i tym, którzy się do jego wyboru przyczynili. To pierwsze powodzenie było przyczyną, że odtąd zaczyna się polityką zajmować więcej, niż swoim zawodem. Pociągnęło to za sobą znaczne straty majątkowe i doprowadziło go do bankructwa. W tem przykrem położeniu przyszła mu z pomocą szczodrobliwość królewska, dzięki czemu pospłacał swoich wierzycieli. Od tej chwili porzuca Defoe swoje rzemiosło i oddaje się już wyłącznie sprawom publicznym i polityce. Będąc człowiekiem silnego charakteru i niepodległego umysłu, począł coraz częściej występować ze swem samodzielnem zdaniem o różnych sprawach i krytykować rząd angielski, czem sobie zgotował wiele nieprzyjemności. Za panowania królowej Anny wystąpił Daniel Defoe przeciw nadużyciom urzędowego anglikańskiego kościoła i prześladowaniu innych wyznań w Anglii. Stawiono go za to przed sąd; proces zakończył się skazaniem Defoego na dwuletnie więzienie i wystawienie pod pręgierzem. Zrażony do polityki, jął się teraz Defoe pracy literackiej i napisał wiele zajmujących powieści. Umarł w kwietniu 1731 roku.

Sławę swą poza granicą swej ojczyzny zawdzięcza Defoe przedewszystkiem powieści »Życie i przygody Robinzona Kruzoe«. Pomysł do napisania jej wziął on z prawdziwego zdarzenia. Niejaki Aleksander Selkirk, marynarz angielski, zajmujący stanowisko dozorcy

na kupieckim statku, pokłóciwszy się z kapitanem i osadą okręt
wysadzony został we wrześniu 1704 roku na jedną z bezludnyc
podówczas wysp, zwanych Żuan Fernandez (wyspy Jana Ferdynand
na Oceanie Spokojnym pod 62 stopniem południowej szerokoś
a 33 stopniem zachodniej długości). Zaopatrzono go w pewien zapa
żywności i niektóre niezbędne przedmioty i pozostawiono na wyspie
Przebył on tam w samotności cztery lata i cztery miesiące, bo dopier
w lutym 1709 roku kapitan Rodżers, zatrzymawszy się u brzegów te
wyspy, znalazł go tam przypadkiem, zabrał na pokład swego statk
i przywiózł do Anglii w październiku 1711 roku. Zaraz w roku następny
ogłosił Rodżers wspomnienia ze swoich podróży, w których wspomnia
również o odnalezieniu Selkirka i o jego samotnem życiu na tej wyspie
Inny oficer, który brał udział w wyprawie Rodżersa, wydał prawi
jednocześnie podobną książkę, w której tuż pod tytułem zaznaczył
że jest w niej pomieszczone: »opowiadanie p. Aleksandra Selki ka
który spędził cztery lata i cztery miesiące na bezludnej wyspie J
Ferdynanda, o tem, jak tam żył i oswoił trochę dzikich zwier
To prawdziwe zdarzenie nasunęło Defoemu pomysł napisania pc
Pierwszy tom wyszedł z druku w dniu 25 kwietnia 1719 roku
wielkie zrobił wrażenie, że książkę w kilku dniach rozkupiono; w
drukowano drugie a w czerwcu tegoż roku już trzecie jej wyda
W tym samym roku przetłómaczono tę książkę na języki: franc
i niemiecki, a później niemal na wszystkie języki europejskie, nadto
na arabski a nawet na łacinę i grekę.

Pierwszy przekład tej powieści na język polski wydano w Warszawie
w 1769 roku, drugi tamże w 1775 roku, następnie wydano ją w Krakowie
w 1804 roku, w Puławach w 1830 roku, w Bochni w 1845 roku i w Lipsku
trzykrotnie w latach 1844, 1851 i 1858. Znacznego skrócenia i opracowania
pierwszej części tej powieści dla dzieci dokonał Wł. L. Anczyc; wydano
je w Warszawie w 1868 roku i potem kilkakrotnie powtarzano.

Niniejsze wydanie jest nowym przekładem, dokonanym z pewnemi
nieznacznemi skróceniami. Aby ułatwić czytanie, podzielono treść
powieści na 41 rozdziałów, bo w oryginale dzieli się opowiadanie tylko
na dwie części.

PRZEDMOWA WYDAWCY

DO ORYGINALNEGO WYDANIA Z ROKU 1719.

Wydawca tego dzieła sądzi, że jeśli historya przygód jakiegokolwiek zwyczajnego człowieka na świecie zasługiwała kiedy na ogłoszenie jej drukiem a ogłoszona była zajmującą, to jest tak właśnie w niniejszym razie. Sądzi on, że dziwne koleje życia tego człowieka poruszają wszystko, co może zająć; rzadko się bowiem zdarza, aby życie jednego człowieka obfitowało w większą rozmaitość przygód.

Historya ta opowiedziana jest poważnie, skromnie, z nabożnem uwzględnieniem tych spraw, o których człowiek zawsze pamiętać powinien, a mianowicie, ażeby innych pouczyć swoim przykładem i oddać sprawiedliwość i cześć mądrym zrządzeniom Opatrzności we wszystkich przygodach naszego życia.

Wydawca sądzi, że jest to prawdziwe, nie ozdobione wymysłami zdarzenie. Cokolwiek zresztą o tem myśli, ponieważ wszystko jest podane tak, że może pouczyć czy zająć czytelnika, przeto zdaje mu się, że oddał światu dużą przysługę przez ogłoszenie tego dzieła drukiem.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Moja młodość. — Ucieczka z domu. — Burza na morzu.

Urodziłem się w roku 1632 w mieście Jork. Ojciec mój przywędrował był do Anglii z Niemiec, z miasta Bremy i osiadł najpierw w portowem mieście Hull, gdzie jako kupiec dość znacznego dorobił się majątku; następnie przeniósł się na mieszkanie do Jorku i tam się wkrótce ożenił z moją matką.

Miałem dwóch starszych braci. Jeden z nich poszedł na ochotnika na wojnę w cudzych krajach i tam w bitwie zginął, gdym był jeszcze dzieckiem, drugi zaś poszedł w świat i przepadł gdzieś bez wieści; ja zatem zostałem jedyną pociechą i nadzieją rodziców.

Uczono mię z początku w domu, później posyłano do miejscowej szkoły, a ojciec mój, niemłody już wówczas człowiek, zajmował się gorliwie mojem wychowaniem, udzielając mi wielu wiadomości i rad doświadczonych. Chciał on wykierować mnie w przyszłości na prawnika, ale ta myśl nie podobała mi się wcale; od dzieciństwa bowiem lubiłem rozmyślać o różnych nadzwyczajnych przygodach i ułożyłem sobie, że koniecznie zostanę marynarzem. Mój Boże! gdybym był przeczuł, jak nieszczęśliwe i nędzne życie przyjdzie mi kiedyś pędzić dzięki owej chętce do podróżowania, byłbym się jej z pewnością wyrzekł i pod za radą rodziców, krewnych i przyjaciół, którzy wszyscy byli przeciwni moim zamiarom.

Pewnego dnia zawołał mnie ojciec do swego pokoju, skąd rzadko już wychodził, będąc chorym na nogi, i długo ze mną rozmawiał poważnie i serdecznie o mojej przyszłości. Mówiąc o mej chętce oddania się zawodowi marynarskiemu, zapytał, co też właściwie wygania mnie z domu rodzicielskiego? co mi przeszkadza na gruncie ojczystym spokojnie i uczciwie pracować? Dlaczego szukam szczęścia za górami, mogąc je tak łatwo znaleźć na miejscu? Przedstawiał mi w dobitnych wyrazach przygody i niebezpieczeństwa, na jakie się z pewnością narażę, jeśli niepomny na jego przestrogi, popłynę w kraje nieznane. Odmalował mi zalety i przyjemności cichego i spokojnego życia wśród swoich, na własnej ziemi; przypomniał starszego mego brata, któremu niegdyś zawodu wojskowego tak samo odradzał, a wspomnieniem tem, jakoteż obawą o me przyszłe losy wzruszony, nie mogąc dłużej mówić, zapłakał rzewnie biedny ojciec i drżącym głosem tak zakończył:

»Synu mój, nie spodziewaj się, abym ci w jakikolwiek sposób dopomógł w szalonych twych zamiarach; za nieszczęście twoje odpowiedzialnym być nie chcę i ręki do niego nie przyłożę; w każdym razie modlić się za ciebie będę, ale pamiętaj, że Pan Bóg ci nie pobłogosławi, jeśli radami starego ojca pogardzisz. Obyś ich sobie kiedyś nie przypomniał za późno, gdy samotny i od wszystkich opuszczony, nie znajdziesz przy sobie życzliwej duszy ani też dłoni przyjaznej, któraby ci pomoc przyniosła«.

Prorocze to były słowa, jak się w późniejszem opowiadaniu okaże, głębokie też na mnie wywarły wrażenie tak, że w pierwszej chwili postanowiłem zastósować się do woli ojca, awanturniczym planom dać pokój i pozostać w domu. Ale po kilku dniach zapomniałem o wszystkich przyrzeczeniach i ułożyłem sobie w duchu, że unikając ponownych przestróg i napomnień, potajemnie opuszczę dom rodzicielski. Łatwiej to było postanowić niż wykonać, gdyż kilkakrotnie w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Spróbowałem więc pozyskać matkę dla swych zamiarów. Widząc ją dnia jednego weselszą i jakby lepiej dla mnie usposobioną, zacząłem z nią rozmawiać o moich podróżniczych upodobaniach. Przedkładałem jej, że tak bardzo marzę o marynarskim zawodzie, iż przez to samo do żadnej innej pracy zdolnym się nie czuję, że mając myśl nieustannie morzem zaprzątniętą, w innym zawodzie pracować nie potrafię i że zresztą zapóźno już dla mnie rozpocznę naukę handlu lub prawa. W końcu prosiłem matki, aby się za mną ojca wstawiła i wyjednała mi pozwolenie choćby na jednę podróż, obiecując, że potem powrócę do domu i, jeżeli stracę ochotę rynarstwa, gorliwie pracować będę, aby wynagrodzić czas ny.

Matka słuchała tego wszystkiego ze zdziwieniem, a nawet z oburzeniem; oświadczyła mi, że nawet niema co rozpoczynać takiej rozmowy z ojcem, bo on już przecie zdanie swoje wypowiedział i z pewnością od niego nie odstąpi. Dodała przytem, że nie rozumie, jak mogę obstawać uparcie przy swoich zachciankach po tak rozumnych i serdecznych ojcowskich przestrogach, od którychby najtwardsze serce zmięknąć powinno.

— Nie licz zgoła — mówiła dalej — na pobłażliwość z mej strony; nikt nie będzie mógł powiedzieć, że udzieliłam ci pozwolenia na to, czemu twój ojciec był przeciwny. To też proszę cię bardzo, ażebyś się do mnie nie udawał z prośbą o pomoc, bo ja także nigdy się na twoje zamiary nie zgodzę.

Dowiedziałem się później, że matka całą tę naszą rozmowę ojcu powtórzyła, a on miał się wówczas smutno odezwać: »Chłopak ten mógłby być najszczęśliwszy, gdyby chciał pozostać w domu; na obczyźnie spotkają go liczne niepowodzenia i nieszczęścia, to też pozwolenia mego na odjazd nigdy nie otrzyma«.

Rok jeszcze pozostałem w domu. Przez ten czas ojciec i matka próbowali nieraz nakłonić mnie do zajęcia się czemś pożytecznem, mnie się jednak nic robić nie chciało. Niezmiernie też byłem w duszy na rodziców rozżalony za to, że się tak stanowczo sprzeciwiali temu, com uważał za swoje powołanie.

Pewnego dnia udałem się do Hull bez żadnego zamiaru ucieczki i tam spotkałem przypadkowo swego kolegę, młodego chłopca, którego ojciec posiadał własny okręt i właśnie miał płynąć do Londynu. W ciągu rozmowy zaczął mnie ów kolega namawiać, żebym razem z nimi jechał, obiecując, że podróż nic mnie kosztować nie będzie. Pokusa była silna, z łatwością więc dałem się nakłonić. I tak bez pozwolenia ojca i matki, nie przesławszy im słówka pożegnania, ani nawet żadnej o sobie wiadomości, bez błogosławieństwa rodziców, a zatem i Boskiego, nie myśląc wcale o następstwach swego kroku, wsiadłem na statek płynący z Hull do Londynu 1 września 1651 roku, w tym dniu Bóg jeden wie jak dla mnie nieszczęsnym.

Był to pierwszy krok do awanturniczego życia, jakie odtąd prowadzić miałem. O, chyba nigdy niczyje niepowodzenia nie zaczęły się tak wcześnie i nie trwały dłużej, niż moje! Zaledwie wypłynęliśmy z portu, zerwał się wicher, a fale burzyć się zaczęły. Na mnie, com się pierwszy raz na statku znajdował, bardzo to źle podziałało, dostałem bowiem odrazu morskiej choroby i mocno się przeląkłem. Wtedy dopiero zacząłem rozmyślać nad skutkami nierozważnego mego kroku i uznałem słuszność tej wyraźnej kary bożej za moje nieposłuszeństwo i niegodziwą ucieczkę z domu rodzicielskiego. Przypomniałem sobie

dobre przestrogi rodziców, prośby i łzy ojca, zaklęcia matki, a sumienie, wówczas jeszcze nie zatwardziałe, czyniło mi bolesne wyrzuty, żem ciężko zawinił przeciw Bogu i rodzicom.

Tymczasem burza wzrastała, fale rosły z każdą chwilą i co raz silniej okrętem kołysały, co raz silniej oń uderzały. Nie był to jeszcze stan tak bardzo groźny, jak się później a nawet już za dni kilka miałem przekonać; ale jako nieobyty z morzem, przestraszony byłem niezmiernie, sądząc, że lada chwila zatoniemy. Zdawało mi się, że każda podnosząca się fala pochłonąć nas musi; ile razy zaś przód okrętu zanurzał się w wodzie, mniemałem, że to już ostatnia chwila nadeszła. Przerażony, czyniłem w duszy tysiączne śluby, prosząc Boga o ratunek i przyrzekając, że jeśli cały i zdrów na ląd się wydostanę, natychmiast do rodziców powrócę i nigdy już na żaden okręt nawet nie wsiędę, że we wszystkiem woli ojca posłusznym będę i nigdy się już nie narażę na podobne niebezpieczeństwo — słowem, postanowiłem wrócić do ojca ze skruchą i w pokorze, jak ów biblijny syn marnotrawny. To roztropne postanowienie trwało jednak tak długo, jak długo szalała burza; przez cały jeszcze dzień następny zamyślony byłem i poważny, a przytem trochę jeszcze niezdrów.

Pod wieczór niebo wypogodziło się zupełnie, a zachód był prześliczny; nazajutrz zaś słońce świeciło tak pięknie, morze gładkie i ciche tak cudnym mieniło się szafirem, żem oczu od niego nie mógł oderwać. Po dobrze przespanej nocy przyszedłem zupełnie do siebie; siedząc na pokładzie patrzyłem z zachwytem na fale wczoraj jeszcze spiętrzone i groźne, dziś zaś cichym, spokojnym, błękitem u stóp moich rozesłane. Widok ten rozwiał zupełnie wszystkie moje obawy i niepokoje i zapomniałem o poczynionych ślubach i obietnicach. Nie dość tego! Jakby dla stłumienia we mnie ostatnich resztek postanowienia poprawy, zbliża się do mnie w tej właśnie chwili ów kusiciel, kolega mój, a klepiąc po ramieniu, woła ze śmiechem:

— No cóż tam chłopcze, jakże się dzisiaj masz? Coś mi się zdaje, że ci wczorajszy wiaterek ogromnego strachu napędził!

— Ty to nazywasz wiaterkiem? — odpowiedziałem — przecież to była burza, prawdziwa burza!

— Oj ty dzieciuchu, tobie się zdaje, że to była burza? poczekajno! Jeśli kiedy wypłyniesz na pełne morze, to się dopiero dowiesz, co to jest prawdziwa burza, a i to niema się jej co lękać, płynąc mocnym, porządnym statkiem. Ale ty, mój chłopcze, nie masz jeszcze żadnego wyobrażenia o morskich podróżach! Chodźno! łykniemy sobie trochę ponczyku, a o wszystkiem zapomnisz. Patrz, jaka prześliczna pogoda!

Nie będę szeroko rozpisywał się nad tem, co nastąpiło, bo mi dotąd wstyd prawdziwie, dość, że resztę dnia i noc całą spędziliśmy

na pijatyce, która mi wybiła z głowy przebyte niebezpieczeństwa i stłumiła we mnie głos sumienia, wskazujący drogę poprawy. Bawiąc się i pijąc z towarzyszami, nauczyłem się nazywać słabością wyrzuty sumienia i być głuchym na jego przestrogi.

»Oj ty dzieciuchu! tobie się zdaje, że to była burza?« (str. 4),

Jeszcze raz jednak miała mi dać Opatrzność sposobność do opamiętania się, wtrącając mnie w tak wielkie niebezpieczeństwo i ratując z niego w sposób tak cudowny, iż tylko człowiek zupełnie zaślepiony mógł w tem nie dostrzedz wskazówki Niebios.

Szóstego dnia podróży przybyliśmy do Jarmut. Statek nasz po burzy zwolna tylko posuwał się naprzód, bo wiatr mieliśmy wciąż

przeciwny, co utrudniało żeglugę. Zarzuciliśmy kotwicę, a gdy wiatr nieprzychylny nie ustawał i dął ciągle od południowego zachodu, musieliśmy zatrzymać się w przystani przeszło tydzień. Tymczasem nadpływało wiele innych okrętów, udających się również do Londynu; razem z nami czekały one tu na wiatr pomyślny.

Codzień prawie zamierzaliśmy wyruszyć w dalszą drogę, ale wicher zamiast ustawać, wzmagał się coraz bardziej. Mimo to byliśmy zupełnie spokojni, wiedząc, że przystań nasza uchodzi za równie bezpieczną jak dobry port; lina kotwicowa była bardzo mocna, a dno morskie dobre do zarzucania kotwicy. To też ludzie nasi byli najlepszej myśli i nie przewidując żadnego niebezpieczeństwa, oddawali się rozmaitym rozrywkom, jakto się zwykle dzieje na okrętach podczas dłuższego stania na miejscu.

Ósmego dnia jednak wicher szaleć począł tak gwałtownie, że od rana wszyscy musieli być na nogach, a cała załoga pracowała gorączkowo. Zwinięto górne żagle i poprawiano umocowanie lin, aby okręt mógł bezpiecznie stać na kotwicy. Około południa burza wzmogła się jeszcze bardziej, fale zalewały pokład, a kilka razy myśleliśmy nawet, że się okręt zrywa z kotwicy, i wtedy to kapitan kazał zarzucić drugą.

Niebezpieczeństwo musiało być groźne, bo po raz pierwszy zauważyłem, że marynarze nasi mają miny wystraszone, nawet kapitan zaniepokojony był widocznie, mimo że dzielnie i z całą przytomnością umysłu czuwał nad całością statku. Gdy wchodząc lub wychodząc z kajuty przechodził koło mnie, za każdym prawie razem słyszałem jak szeptał sam do siebie: »Boże zmiłuj się! Zginiemy chyba wszyscy, niema dla nas ratunku! i t. d.«

Od chwili, gdy na statku zapanowała trwoga, leżałem w swej kajucie osłupiały i oszołomiony. Nie mogłem wzbudzić w sobie uczuć skruchy i żalu, jakich doznawałem w czasie pierwszej burzy, natomiast starałem się wmawiać w siebie, że tym razem niebezpieczeństwo jest mniejsze, że nam zguba nie grozi. Gdym jednak usłyszał rozpaczliwe słowa kapitana, zdjął mnie strach wielki. Zebrawszy siły, wybiegłem z kajuty; straszliwy widok przedstawił się moim oczom. Bałwany morskie, wysokie jak góry, piętrzyły się naokoło i zalewały pokład co kilka minut. O ile okiem mogłem sięgnąć, widziałem rozpacz i zniszczenie. Na dwóch statkach, które w pobliżu nas stały na kotwicy, ścięto i wtrącono w wodę maszty, aby się ratować zmniejszeniem ciężaru. Ludzie nasi wołali, że o milę morską od nas okręt jakiś się rozbił. Dwa inne statki zerwane z kotwicy, ogołocone z masztów i wyrzucone po za przystań, zdane były na łaskę żywiołów na pełnem morzu.

Pod wieczór prosił nasz sternik kapitana o pozwolenie zrąbania przedniego masztu, na co kapitan z początku przystać jeszcze nie chciał,

później jednak się zgodził z obawy, aby okręt nie zatonął. Zaledwie tę robotę ukończono począł się średni maszt tak gwałtownie chwiać i wstrząsać okrętem, że i ten także zrąbać musiano, aby się ratować.

Łatwo zrozumieć, co się wtedy działo ze mną frycem, nie znającym morza i mającym w pamięci niedawno przebytą burzę. O ile sobie jednak teraz przypominam, więcej niż obawa śmierci, dręczył mnie żal do samego siebie, żem po pierwszej próbie w dobrych postanowieniach nie wytrwał i ślubowań nie wypełnił. Te wyrzuty sumienia i okropności szalejącej burzy napełniły me serce niedającym się opisać strachem. Tymczasem był to dopiero początek złego. Wszyscy majtkowie upewniali, że nigdy jeszcze podobnej nie widzieli burzy. Okręt nasz mocny był wprawdzie, ale bardzo ciężko naładowany i dlatego przepowiadali, że się za chwilę na bok położy. Burza z taką wściekłością szalała, że widziałem, co się bardzo rzadko zdarza widzieć: kapitan i oficerowie okrętowi padłszy na kolana, modlili się, oczekując lada chwila śmierci w bałwanach morskich. Wtem jeden z majtków donosi kapitanowi, że dno okrętu przedziurawione, za nim zaraz drugi, że w okręcie wody mamy już na dwa metry. Wezwano wszystkich do pomp. Usłyszawszy te wołania padłem na wznak przerażony. Powrócił mi przytomność krzyk majtków, żebym zaraz także do pomp ruszał razem z innymi; usłuchałem natychmiast. W tej chwili spostrzegł kapitan kilka małych statków, używanych do przewozu węgla, jak usiłując dostać się na pełne może, by uniknąć rozbicia o brzeg, przepływały w pobliżu naszego okrętu, i kazał z działa wystrzelić, aby dać im znać o grożącem nam niebezpieczeństwie. Nie wiedziałem, co to znaczy; wydało mi się, że to już nasz statek się rozbił i padłem na ziemie zemdlony. Ponieważ każdy myślał o ratowaniu siebie samego, przeto nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Któryś z majtków stanął za mnie do pompy, odsunąwszy mnie nogą w przypuszczeniu, żem już nie żywy. Nie wiem, jak długo tak leżałem.

Przyszedłszy do przytomności, powróciłem do pomp na dawne stanowisko. Pracowaliśmy ciężko, mimo to wody w statku przybywało i nie było już wątpliwości, że okręt zatonąć musi. Chociaż burza zmniejszała się powoli, widzieliśmy jasno, że do portu dopłynąć nie potrafimy. Toteż z rozkazu kapitana dawano nieustanne strzały na trwogę, wzywające ratunku, aż wreszcie mały statek niedaleko nas na kotwicy stojący, wysłał nam na pomoc łódź, która po wielu wysiłkach ze strony wioślarzy narażających własne życie, aby nas ocalić, podpłynęła do nas tak blizko, że mogliśmy jej rzucić z tylnego pokładu długą linkę; gdy wybawiciele nasi ją pochwycili, przyciągnęli majtkowie łódź do naszego statku i cała załoga wsiadła do niej. O schronieniu się na okręt, co nam tę pomoc wysłał, nie można było pomyśleć. Postanowiono

więc zdać się do pewnego stopnia na łaskę fal, a tylko, o ile można, sterować ku brzegowi. Nasz kapitan obiecał zapłacić za łódź, gdyby rzucona o brzeg się rozbiła. I tak trochę wiosłując, trochę z wiatrem płynąc, zbliżyliśmy się do lądu. W niecały kwandrans od chwili, kiedyśmy wsiedli do łodzi, okręt nasz zatonął. Teraz dopiero zrozumiałem, co to jest rozbicie się okrętu. Wyznaję, że tylko po wielkim wysiłku woli zdołałem spojrzeć w tę stronę, gdzie okręt szedł na dno, bo już prawie nieprzytomnego wsadzili mnie majtkowie do łodzi, a serce prawie bić mi przestało z przestrachu i strasznej trwogi.

W chwilach, gdy fale wznosząc się i łódź podnosiły, mogliśmy widzieć gromadki ludzi śpieszących ku brzegowi, by nam pomagać przy lądowaniu. Ale nie było to łatwo dobić do brzegu. Po długich usiłowaniach, udało się wreszcie marynarzom w stósownej chwili dopłynąć do lądu w upatrzonem, dogodnem, miejscu.

Z trudnością z łodzi wysiadłszy, poszliśmy piechotą do Jarmut, gdzie nas rozbitków przyjęto z wielkiem współczuciem. Magistrat wyznaczył nam mieszkanie, kupcy zaś i właściciele statków zajęli się naszym losem i zaopatrzyli nas tak hojnie, że nam nie brakło grosza na drogę do Londynu albo na powrót do Hull. Miałem więc raz jeszcze możność powrotu na drogę posłuszeństwa i rozsądku. Gdybym był wtedy wrócił do Hull, byłbym sprawił niezmierną radość staremu ojcu, który na podobieństwo biblijnego rodzica nie wahałby się był z pewnością najtłustszego cielca zabić z powodu mego uratowania i przybycia. Dowiedziałem się bowiem później, że usłyszawszy o rozbiciu się naszego okrętu przekonany był, że wtedy utonąłem.

Ale coś złego pchało mnie wciąż naprzód. Napróżno rozsądek i sumienie doradzały mi powrót do domu: nie miałem dość silnej woli, aby pójść za ich głosem i jakbym sam szukał własnej zguby, nie porzuciłem zamiaru podróżowania, mimo przebytych już i nowych prawdopodobnie grożących mi niebezpieczeństw. Kolega mój, syn kapitana, ten sam, co mnie uwiódł i na morze wyciągnął, a w czasie pierwszej burzy żartował z mego strachu, był teraz daleko więcej odemnie zniechęcony. Na drugi dzień rozmawiając z nim zauważyłem, że jakoś zrzedła mu mina i wcale nie wesoło wygląda. Kiedy mnie do swego ojca zaprowadził i opowiedział, że tę podróż z Hull do Londynu tylko na próbę odbywałem i że mam zamiar płynąć dalej w świat, zwrócił się kapitan nagle do mnie i przemówił poważnie:

— Młodzieńcze, nie powinieneś nigdy więcej puszczać się na morze. To, co cię spotkało, powinnoby ci być wyraźnem ostrzeżeniem, że na żeglarza stworzony nie jesteś.

— Jakto panie — spytałem zdziwiony — czyż pan sam wkrótce na morze nie powrócisz?

— To zupełnie co innego — odparł kapitan — żeglarstwo to mój zawód, moje powołanie; wytrwać w niem jest moim obowiązkiem. Ale ty w tej pierwszej podróży otrzymałeś chyba wyraźną wskazówkę z nieba, na co się w przyszłości narazisz, jeżeli nie zmienisz swego postanowienia. A kto wie, czyś ty właśnie nie sprowadził na nas

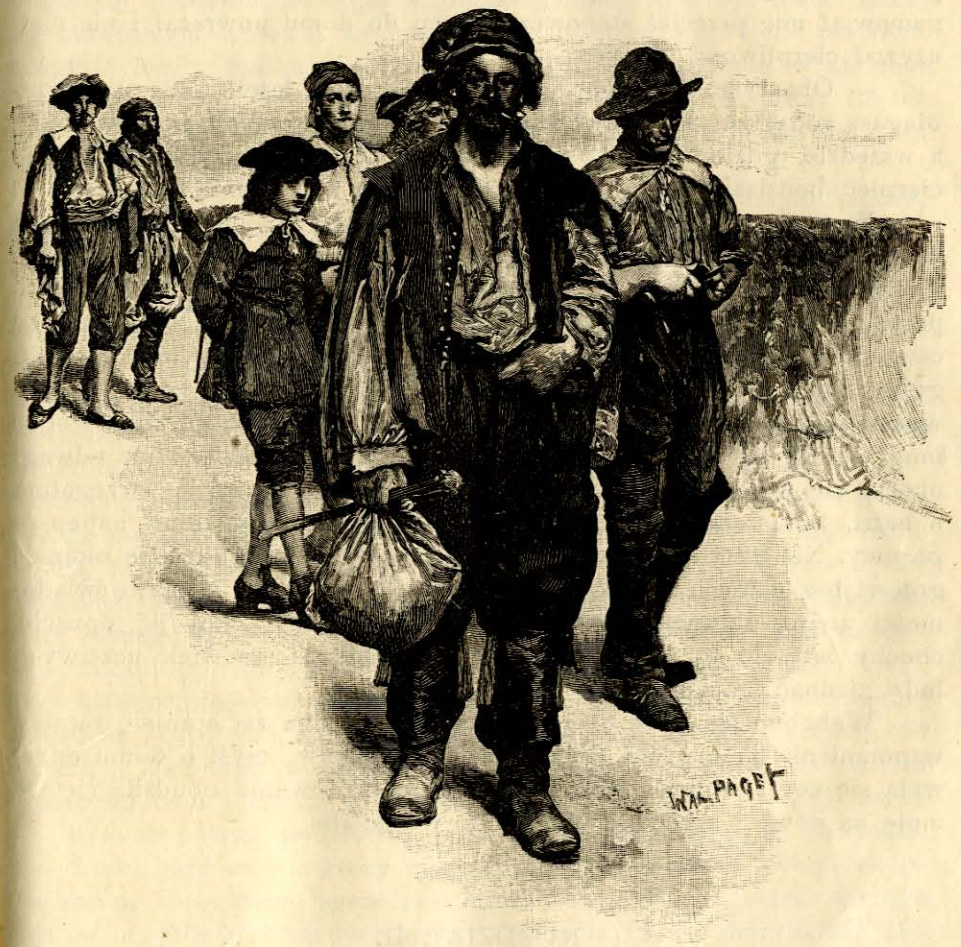

»Poszliśmy piechotą do Jarmut« (str. 8).

nieszczęścia, jak niegdyś Jonasz na żeglarzy Tarseńskich. Proszę cię, opowiedz mi też dokładnie, kto jesteś i co właściwie skłoniło cię do podróży?

Opowiedziałem mu więc historyę ucieczki z domu rodzicielskiego. Zaledwiem skończył, porwał się kapitam wzburzony i w gwałtownych wyrazach począł mi czynić wymówki.

— Czemżem zawinił — zawołał — że mi karzące losy nasłały na okręt takiego, nieszczęście przynoszącego, niegodziwca! Za żadne skarby świata nie wsiadłbym drugi raz razem z tobą na jeden okręt!

Uniesienie takie spowodowane było z pewnością wielkiemi stratami, jakie poniósł, bo przecież nie miał on prawa tak surowo do mnie przemawiać. Jednakowo i później, choć już w łagodniejszych wyrazach, namawiał mię przecież stanowczo, abym do domu powracał i nie nadużywał cierpliwości Niebios.

— Obaczysz młodzieńcze! — mówił — że jeżeli teraz nie przebłagasz rodziców, nie znajdziesz nigdy i nigdzie spokoju i zadowolenia, a wszędzie, gdzie się tylko obrócisz, doznasz niepowodzenia i biedę cierpieć będziesz, dopóki słowa ojca twego nie spełnią się na tobie!

Na to wszystko nic prawie kapitanowi nie odpowiedziałem; wkrótce potem rozstaliśmy się i nigdym go już w życiu nie spotkał. Mając trochę grosza w kieszeni, udałem się do Londynu drogą lądową, niepewny jeszcze, co mam uczynić, czy znowu na morze się udać, czy ostatecznie do domu powrócić. Byłbym z pewnością wybrał powrót, gdyby nie wstyd fałszywy. Wyobraziłem sobie, że znajomi i sąsiedzi wyśmiewać mię będą i że nie tylko wobec ojca i matki, ale i wobec innych ludzi stanąćbym musiał zawstydzony. Nie miałem więc odwagi ukazać się w rodzinnem mieście. Nieraz jeszcze potem spostrzegałem u ludzi, zwłaszcza młodych, że nierozsądna próżność tłumi najlepsze porywy. Nie wstydzą się oni grzeszyć, a wstydzą żal i skruchę okazać; gotowi bez namysłu puszczać się na drogę głupstwa, a mimo świadomości złego, fałszywą ambicyą powodowani, nie chcą jej opuścić, choćby właśnie to świadczyło o ich rozsądku i szacunek uczciwych ludzi zjednać im musiało.

Wahałem się jeszcze czas jakiś, lecz zwolna zacierać się zaczęły wspomnienia przebytych burz i niebezpieczeństw, myśl o domu odzywała się coraz rzadziej, natomiast chęć podróżowania obudziła się we mnie na nowo i z każdym dniem się wzmagała.

ROZDZIAŁ II.

Zostaję kupcem. — Niewola u korsarza. — Ucieczka. — Przygody na wybrzeżach Afryki. — Ocalenie.

Nieszczęsna zachcianka, co mię z rodzicielskiego domu wywiodła i za morzami szczęścia szukać kazała, co całą mą duszę tak opanowała, żem był głuchy na rady, prośby, a nawet rozkazy mego ojca, ta to nieszczęsna zachcianka pchnęła mię znowu w drogę i nasunęła pomysł

przedsięwzięcia, które się miało najnieszczęśliwiej zakończyć. Wsiadłem na okręt, który miał płynąć ku wybrzeżom Afryki, czyli do Gwinei, jak to mówią nasi majtkowie. Było to wielkim błędem z mej strony, żem nie wstąpił do służby jako majtek na okręcie. Wprawdzie byłbym musiał ciężko pracować i pędzić życie niewygodne, ale zato wykształciłbym się dokładnie w sztuce żeglarskiej i mógłbym był zostać oficerem okrętowym, a nawet kapitanem. Ale niestety, nigdy nie umiałem rozsądnie losem swoim pokierować. Czując nieco grosza w kieszeni i porządne ubranie na grzbiecie, wolałem się bawić w pana; to też nie miałem na statku żadnego porządnego zajęcia i niczego tam dokładnie nauczyć się nie mogłem.

W Londynie zaznajomiłem się z wielu uczciwymi i zacnymi ludźmi, jednem słowem, obracałem się w bardzo dobrem towarzystwie, a doprawdy sam sobie się dziwię, żem umiał w niem smakować, byłem bowiem wówczas bardzo jeszcze niedoświadczonym młodzikiem. Poznałem tam jednego kapitana okrętu, który właśnie niedawno z Gwinei powrócił, a że mu tam dobrze poszły interesy, zamierzał ponownie do Afryki popłynąć. Kapitan polubił mnie i chętnie ze mną rozmawiał. Dowiedziawszy się, że pragnę trochę świata zwiedzić, ofiarował mi bezpłatne miejsce na swym okręcie w ponownej podróży do Gwinei. Prosił mię, abym przyjął u niego gościnę, z nim razem jadał i towarzystwa mu dotrzymywał; radził, abym zakupił i zabrał z sobą trochę towaru, zapewniając, że ze sprzedaży tegoż w Afryce, wcale piękne zyski mieć będę, co mię zachęci do nowego przedsiębiorstwa. Przyjąłem ofiarę zacnego kapitana i bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Idąc za jego radą, zakupiłem różnych błyskotek za czterdzieści funtów szterlingów [1]), a dzięki jego doświadczeniu i uczciwości, bardzo dużo na wymianie zarobiłem. Pieniędzy na to zakupno dostarczyli mi moi krewni, do których z Londynu pisałem; domyślam się, że uczynić to musieli w porozumieniu z moimi rodzicami i nawet przy pomocy mej matki.

Była to jedyna podróż w życiu, co mi się na prawdę powiodła, a to dzięki kapitanowi, który nietylko że wskazówkami swemi dopomógł mi do korzystnego sprzedania moich towarów, ale jeszcze w ciągu podróży uczył mię rozmaitych rzeczy, koniecznych dla marynarza, jako to: matematyki, robienia spostrzeżeń, oznaczania na morzu drogi dla okrętu i innych najpotrzebniejszych wogóle wiadomości. Ale jeżeli on pouczał mnie chętnie, to i ja ochoczo i z zapałem uczyłem się pod jego kierunkiem, kształcąc się w ten sposób na kupca, a zarazem i na marynarza. Ze sprzedaży towarów miałem pięć funtów i jedenaście

---

[1]) Funt szterling, pieniądz angielski, wynosi około 24 koron austr., 20 marek niem., 10 rubli rosyjskich.

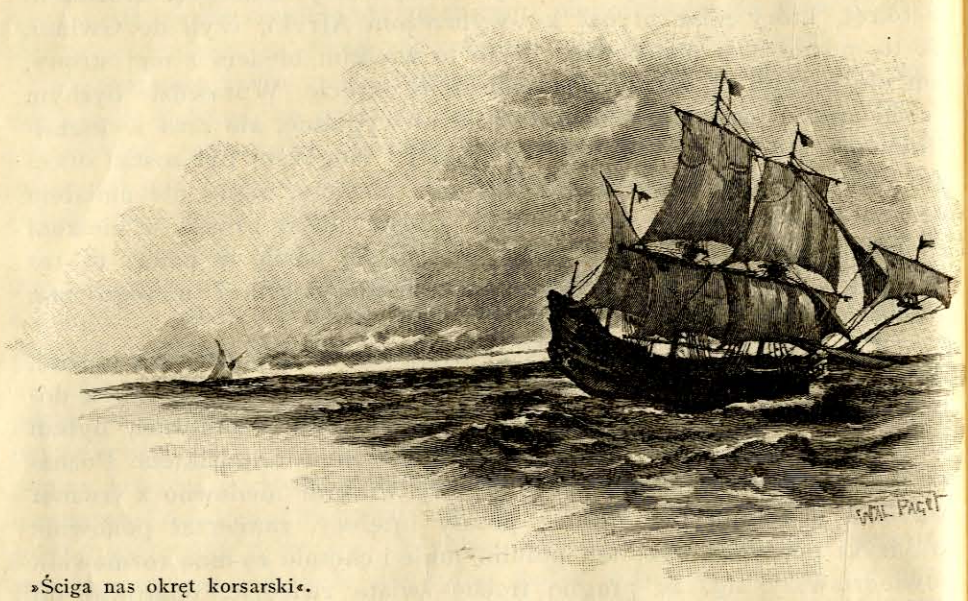

»Ściga nas okręt korsarski«.

uncyj złotego piasku, za co otrzymałem w Londynie prawie trzysta funtów szterlingów. Zysk tak znaczny ucieszył mnie bardzo, ale też bardzo i w głowie mi przewrócił, wzbijając w dumę i budząc chęć do nowej podróży, która miała mię pogrążyć w nieszczęście. Ale i w tej podróży doznawałem trochę przeciwności, chorowałem bowiem i na statku i na wybrzeżu afrykańskiem skutkiem niesłychanego gorąca.

Uchodziłem już za gwinejskiego kupca. Przyjaciel mój, kapitan, umarł wkrótce po powrocie. Żałowałem go niezmiernie, bo też niepowetowana to była dla mnie strata. Po niejakim czasie wybrałem się znowu do Gwinei. Tym razem zabrałem z sobą towarów za sto funtów szterlingów, a resztę, to jest dwieście funtów szterlingów, zostawiłem u wdowy po zmarłym kapitanie, osoby niezmiernie zacnej, od której niejednokrotnie doznałem wiele dobrego. Wsiadłem na ten sam okręt, na którym poprzednią podróż odbyłem; miejsce kapitana zajął dawniejszy jego sternik. Wypłynęliśmy. Mój Boże! jakaż to była nieszczęsna wyprawa! Nie wiem, czy ktokolwiek na świecie doświadczył tylu niepowodzeń, ilu my wówczas! Przepływaliśmy właśnie pomiędzy wyspami Kanaryjskiemi a wybrzeżem afrykańskiem, gdyśmy spostrzegli, że ściga nas turecki korsarski okręt — rozbójnik morski. Staraliśmy się ujść pogoni; widząc jednak, że się to nam nie uda i że rozbójnik za kilka godzin nas dogoni, postanowiliśmy się bronić. Mieliśmy dwanaście armat, oni zaś ośmnaście. Około godziny trzeciej po południu

dopędzili nas. Przyjęliśmy ich ogniem z ośmiu armat, na co oni również armatnią salwą odpowiedzieli, a nadto dali do nas ognia z dwustu strzelb, co nam jednak żadnej szkody nie wyrządziło, gdyż ludzie nasi bezpiecznie byli ukryci za burtnicami. Korsarze ponowili wkrótce napad z drugiego boku i podpłynęli ku nam tak blizko, że ściany okrętów prawie się stykały. Wtedy to hakami przytrzymano nasz okręt i w tejże chwili sześćdziesięciu rozbójników przeskoczyło na nasz pokład i zaczęło niszczyć toporami nasze liny i żagle. Broniliśmy się dzielnie, walcząc, czem kto mógł, palną i sieczną bronią; dwa razy zepchnęliśmy ich z pokładu, wzmocnieni jednak powrócili znowu. Wkońcu, gdy ośmiu naszych ludzi leżało rannych, trzech było zabitych, a okręt mocno uszkodzony stał się niezdolnym do żeglugi, ulegając przemocy, musieliśmy się poddać. Wzięto nas w niewolę i uprowadzono jako jeńców do maurytańskiego portu Sale.

Mnie spotkał los trochę lepszy, niż innych: nie wywieziono mnie bowiem w głąb kraju do stolicy cesarza. Kapitan korsarskiego statku, widząc, żem chłopak młody i silny, zachował mnie dla siebie. Straszna to była przemiana. Z niezależnego kupca zostałem nagle jeńcem i niewolnikiem. Wspomniałem wówczas prorocze słowa ojca mego, myśląc, że się jego przepowiednie spełniły, że jestem zgubiony bez ratunku i że już chyba nic gorszego spotkać mnie nie może. Niestety, nie przeczuwałem, że to zaledwie początek cierpień i niedoli, co mię w przyszłości czekały.

Pan mój zabrał mnie z sobą do domu, czem się nie bardzo martwiłem, mając nadzieję, że jako korsarz powróci on wkrótce na morze i mnie z sobą zabierze, że spotkamy jaki portugalski lub hiszpański okręt, z którym przyjdzie do walki, że w tej walce pan mój ulegnie, a ja w ten sposób będę mógł wolność odzyskać. Złudne to były nadzieje! Pan mój wyjeżdżając, nigdy mnie z sobą nie zabierał, lecz zostawiał w domu, polecając mi uprawianie ogródka i spełnianie różnych domowych posług. Ilekroć zaś powracał z wyprawy, nakazywał mi statek

»Szczęście sprzyja mi w połowie« (str. 14).

czyścić i na nim dla strzeżenia go nocować. Marzyłem o ucieczce we dnie i w nocy, lecz żadnego możliwego sposobu wynaleźć nie umiałem; zwierzyć się nie mogłem nikomu, prócz mnie bowiem nie było tam żadnego Europejczyka, a do czarnych niewolników nie miałem zaufania.

Nareszcie po dwóch latach niewoli nadarzyła mi się przypadkiem sposobność do ucieczki. Pan mój już od dłuższego czasu przebywał w domu, dla rozrywki więc jeździł prawie co drugi dzień łodzią do zatoki dla połowu ryb, zabierając z sobą jako wioślarzy zwykle mnie i młodego jednego Maura. Zabawialiśmy go wówczas rozmaitymi figlami. Gdy zauważył, że szczęście sprzyja mi w połowie, puszczał nas niekiedy samych, dodając jako towarzysza jednego ze swych krewniaków. Raz w czasie takiej wycieczki powstała niezmiernie gęsta mgła, która nam tak dalece widok przysłoniła, żeśmy brzeg, o milę [1]) tylko od nas odległy, zupełnie z oczu stracili. Wiosłując błądziliśmy dzień i noc całą, chcąc się dostać do brzegu. Dopiero następnego ranka spostrzegliśmy, że zamiast zbliżyć się do lądu oddaliliśmy się od niego na dwie dobre mile i że jesteśmy na pełnem morzu. Z wielkim wysiłkiem walcząc z przeciwnym wiatrem, zawróciliśmy i dopłynęli do portu, niezmiernie znużeni i wygłodzeni. Po takiej przygodzie pan nasz, nauczony doświadczeniem, postanowił lepiej się na przyszłość zabezpieczać i nie jeździć na ryby bez kompasu i żywności. W tym celu kazał jednemu ze swych niewolników, który był cieślą okrętowym, wyporządzić długą łódź, zdobytą razem z naszym okrętem, polecił zbudować na niej w środku kajutę, z tyłu zostawić miejsce dla sternika, z przodu dla dwóch ludzi obsługujących, a nadto zaopatrzyć ją w odpowiednie żagle. Nie wielka kajuta mogła parę osób pomieścić; był w niej przymocowany stolik i szafka na zapasy, gdzie chowaliśmy zwykle chleb, ryż i kawę a także parę butelek z napitkiem. Tym statkiem puszczaliśmy się już teraz śmiało, wracając nieraz z obfitym połowem.

Widząc, żem do wszystkiego sprawny, zawsze mnie już z sobą pan nasz zabierał. Pewnego dnia zaprosił on na taką przejażdżkę kilku znajomych swoich, znakomitego rodu Maurów. Chcąc ich ugościć, polecił mi dzień przedtem zabrać na łódź obfitszą żywność, trzy strzelby, zapas kul i prochu, miano bowiem łowić ryby i polować na wodne ptactwo. Uczyniwszy wszystko według polecenia, wymyłem i oczyściłem pięknie łódź całą, przyozdobiłem ją i czekałem rano na pana. Nadszedł, ale sam jeden oznajmiając, że goście wstrzymani interesami nie pojadą dziś na morze i przybędą dopiero na wieczerzę; kazał mi więc jechać, jak

[1]) Mila morska = 1 kilom. 852 metr., = 1 3/4 wiorsty rosyjsk., = 1/4 mili niemieckiej (geograficznej). Mila angielska jest o 243 metry krótsza od mili morskiej.

zwykle, na połów z Maurem oraz małym chłopakiem do pomocy i prędko powracać z rybami potrzebnemi na ową wieczerzę.

Natychmiast przyszło mi na myśl, że nadarza mi się wreszcie wyborna sposobność do ucieczki. Mając pod swą władzą łódź żaglową, postanowiłem z niej skorzystać i zacząłem robić przygotowania nie do połowu ryb, lecz do dłuższej żeglugi, chociaż na razie nawet się nie zastanowiłem, dokąd powinienbym uciekać.

Myśląc o zdobyciu większego zapasu żywności, przedstawiłem Mulejowi, krewnemu naszego pana, że nie wypada nam naruszać zapasów przygotowanych dla gości, że musimy zatem postarać się dla siebie o jedzenie na czas połowu. Uznał słuszność mojej uwagi i przyniósł natychmiast duży kosz sucharów, oraz trzy dzbany świeżej wody. Pan mój posiadał na swym okręcie duże puzdro na butelki z winem, zrabowane prawdopodobnie na jakimś angielskim statku; wiedząc, gdzie jest ukryte, pobiegłem po nie szybko, zanim Mulej z zapasami powrócił, i włożyłem je do łodzi, ażeby je tam już zastał i sądził, że stoi tam dawno przytowane dla gości.

Postarałem się także o bryłę wosku, około pięćdziesiąt funtów ważącą, o kłębek szpagatu, siekierę, piłę i młotek. Wszystkie te przedmioty bardzo mi się później przydały, zwłaszcza wosk, z którego robiłem świece.

Gdy Maur nadszedł, wyłudziłem od niego proch i kule.

— Muleju! — rzekłem z najniewinniejszą miną — skoro mamy już strzelby w łodzi, dobrzeby było zabrać z sobą trochę prochu i śrutu, moglibyśmy upolować trochę ptactwa.

— A rzeczywiście — odparł Mulej — bardzoby to było dobrze — i po chwili przyniósł z okrętu do łodzi wielką torbę skórzaną, zawierającą półtora funta prochu, jakoteż kilka funtów kul i śrutu. Tak zaopatrzony w najniezbędniejsze przedmioty mogłem się już puścić na... ryby! Wypłynęliśmy więc ja, Mulej i mały chłopiec imieniem Hury.

Straż strzegąca wejścia do portu znała nas wybornie i przepuściła bez trudności. Odpłynęliśmy jaką milę od brzegu, ściągnęliśmy żagle i zajęliśmy się połowem. Ja udawałem tylko, że łapię ryby. Ile razy poczułem, że która chwyta haczyk, wcale jej nie wyciągałem; to też połów szedł bardzo powoli.

— Tutaj widocznie mało ryb — zauważyłem — musimy dalej popłynąć, bo inaczej pan nasz gniewać się będzie.

Mulej nie domyślając się niczego, zgodził się chętnie. Wiatr wiał z północnego wschodu; korzystniejszym o wiele byłby dla mnie południowy, boby mnie pchnął ku brzegom Hiszpanii lub przynajmiej do zatoki Kadyksu, mimo to postanowiłem bądź co bądź uciekać, nie

zważając na kierunek wiatru. Mulej rozpiął żagle, ja stałem przy sterze i skierowałem łódź stósownie do mych planów na pełne morze. Upłynąwszy tak milę, posadziłem chłopca przy sterze, a chcąc się niby połowem ryb zająć, przystąpiłem do Muleja. Schyliwszy się za jego plecami, jak gdybym chciał coś podnieść, chwyciłem go silnie w pół ciała i wrzuciłem do morza. Z początku zanurzył się cały, za chwilę ukazał się na powierzchni, pływał bowiem jak korek, płynął tuż za łódką, błagając, abym go znów do niej zabrał, i upewniając, że na kraj świata gotów jest ze mną pojechać. Widząc to, uchwyciłem strzelbę i mierząc w niego, zawołałem:

— Słuchaj, przyjacielu: umiesz pływać wybornie i jeśli będziesz chciał, łatwo ci przyjdzie do brzegu dopłynąć; uczyń tak, proszę cię, bo jeśli dłużej ścigać mnie będziesz, kulą ci głowę roztrzaskam, na wszystko bowiem gotów jestem, byle tylko wolność odzyskać.

Usłuchał mojej rady i zawrócił ku brzegowi, a że w samej rzeczy doskonałym był pływakiem, musiał się z pewnością cały i zdrów na ląd wydostać, bo morze było bardzo spokojne. Zwróciłem się nareszcie do chłopca i rzekłem:

— Słuchaj, Hury! jeżeli mi wiernym będziesz, nic ci się złego nie stanie; będę się z tobą dobrze obchodzić i na człowieka wykieruję, ale musisz mi złożyć przysięgę na brodę waszego proroka Mahometa, że będziesz szczerym moim przyjacielem, inaczej musiałbym cię także wrzucić do morza.

Chłopak popatrzył na mnie z niewinnym uśmiechem, który mnie zupełnie rozbroił, i przysiągł na wszystkie świętości towarzyszyć mi wszędzie, gdziekolwiek się udam.

Dopóki płynący Maur mógł nas mieć na oku, posuwałem się ciągle na pełne morze w kierunku prostym, chcąc go utrzymać w mniemaniu, że dążę do cieśniny Gibraltarskiej. Był to bardzo dobry sposób zmylenia pogoni, gdyby ją za mną wysłano. Jednak, skoro tylko się ściemniło, zmieniłem kierunek i puściłem się ku południowemu wschodowi wiedząc, że nikomu na myśl nawet nie przyjdzie gonić mnie wzdłuż wybrzeży Berberyjskich, zamieszkałych przez dzikie murzyńskie plemiona. Wiatr nam sprzyjał, morze było spokojne; to też płynęliśmy niezmiernie szybko tak, że następnego dnia około godziny 3-ciej po południu oddaliliśmy się o jakie 150 mil od portu Sale i zostawiliśmy daleko za sobą cesarstwo Marokańskie i inne Berberyjskie królestwa.

Okolice nadbrzeżne wydały się nam nie zaludnione; wszelako obawiając się pościgu, nie zbliżaliśmy się do brzegu i bez przerwy płynęliśmy jeszcze pięć dni przy tym samym wietrze. Nareszcie wiać zaczął południowy; uczuliśmy się zabezpieczeni od pogoni, choćby ją

»Mierząc w niego zawołałem« (str. 16).

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

nawet byli za nami wysłali. Wtedy ośmieliłem się i zarzuciłem kotwicę u ujścia małej rzeki, nie wiedząc najzupełniej, pod którym stopniem szerokości się znajduję, w jakim kraju, ani jacy w nim ludzie mieszkają. Zresztą nie pragnąłem wcale napotkać ludzi, chodziło mi tylko o słodką wodę.

Do zatoki wpłynęliśmy pod wieczór. Postanowiłem czekać cierpliwie nocy, a potem pod jej osłoną puścić się wpław do brzegu dla zbadania okolicy. Gdy jednak noc nadeszła, rozlegać się zaczęły na wybrzeżu tak przeraźliwe wycia i ryki rozmaitych dzikich zwierząt, iż mały Hury, zdrętwiały ze strachu, błagać mnie począł, abym wycieczkę na ląd do rana odłożył.

— Dobrze, mój Hury — odrzekłem — ale cóż będzie, jeżeli za dnia wpadniemy w ręce ludzi niebezpieczniejszych dla nas, niż wszystkie dzikie zwierzęta.

— Na ludzi mamy strzelby — zawołał, śmiejąc się Hury.

Ucieszyłem się, widząc go tak dobrej myśli, i aby go w tem usposobieniu utrzymać, dałem mu pociągnąć łyk araku z flaszki naszego pana. Rada była dobra, usłuchałem jej i zarzuciliśmy kotwicę, aby noc spokojnie w zatoce przepędzić. O spaniu trudno było myśleć; ciągle przychodziły na brzeg różne dzikie zwierzęta, a między niemi olbrzymie potwory, nieznane nam nawet z nazwy. Nurzały się one w wodzie, tarzały się w niej, chłodząc się i używając widocznie kąpieli. Wydawały przytem przeraźliwe krzyki i wycia. Straszne te głosy zlewały się w jednę całość, tworząc piekielną muzykę, jakiej w życiu przedtem ani potem nie słyszałem.

Hury niezmiernie się przeląkł i mnie również strach zdejmował. Przerażenie nasze wzmogło się jeszcze, gdy jeden z potworów, płynąc, zbliżać się począł do naszej łódki. Ciemno było bardzo, więc nie mogliśmy nawet dokładnie rozpoznać, co to za zwierzę; z głośnego jednak sapania i parskania wnosić można było, że to coś ogromnego i drapieżnego. Hury utrzymywał, że to lew, i nalegał, żeby na pełne morze uciekać; ja jednak nie chciałem kotwicy podnosić i uspokoiłem go mówiąc, że wystarczy trochę linki popuścić i dalej na głębinę popłynąć, a potwór z pewnością nas nie dogoni. Struchlałem jednak sam, ujrzawszy zwierzę już tylko opodal od naszej łódki. Chwyciłem wtedy za strzelbę i spłoszyłem potwora wystrzałem. Na ten strzał powstał niesłychany, nieopisany ryk i wycie wszystkich zgromadzonych nad brzegiem zwierząt. Widocznie nigdy nic podobnego nie słyszały.

Domyśliłem się ztąd, że okolica zamieszkana być musi przez dzikie plemiona, nie znające użytku palnej broni. Zacząłem się wówczas wahać, czy nawet i za dnia można będzie zapuścić się w głąb lądu; bo choćbyśmy uniknęli dzikich zwierząt, które nocami tylko na żer wychodzą, groziło nam spotkanie z dzikimi ludźmi, równie dla nas

niebezpieczne. Musieliśmy jednak koniecznie nabrać świeżej wody, trzeba zatem było myśleć o wylądowaniu nad ranem.

Hury oświadczył, że pójdzie sam z dzbankiem, prosząc żebym w łodzi pozostał.

— Dlaczego tak ma być Hury? — zapytałem.

»Napełniwszy więc dzbany« (str. 20).

— Bo jeśli tam są ludożercy, to zanim mnie złapią i zjedzą, ty będziesz mógł uciec. — Słowa te wyrzekł z tak serdeczną, dziecinną prostotą, że poruszyły mnie do głębi.

— O nie, Hury — odpowiedziałem — nie przystaję na to; pójdziemy oba razem, a jeźli nas ludożercy napadną, wystrzelamy ich co do jednego, a wtedy niech nas zjedzą, jeżeli potrafią.

Posiliwszy się sucharami i rumem dodawszy sobie odwagi, podpłynęliśmy do brzegu i przytwierdziwszy łódkę, udaliśmy się na ląd uzbrojeni i z dzbankami w ręku. Starałem się nie oddalać zbytecznie od brzegu, aby mieć wciąż łódź naszą na oku, obawiając się dzikich, którzy mogli od strony rzeki nadpłynąć. Za to Hury puścił się dalej wąską dolinką i znikł w niej wkrótce. Po niejakim czasie ujrzałem go biegnącego z powrotem; pospieszyłem naprzeciw, sądząc, że go dzicy ścigają, ale obaczyłem, że wygląda bardzo wesoło i niesie na ramieniu zabite zwierzę, podobne do naszego zająca tylko o dłuższych nogach i z inną sierścią. Hury ucieszony był niezmiernie swoją zdobyczą; mieliśmy z niej później rzeczywiście wyborną pieczeń; doniósł mi przytem, że znalazł wodę i nigdzie dzikich nie spotkał. Nie potrzebnie też takeśmy się troszczyli o słodką wodę, bo po odpływie morza znaleźliśmy ją w pobliżu w wielkiej obfitości, trochę poniżej naszej łodzi. Napełniwszy więc dzbany i spożywszy upolowanego zająca, opuściliśmy brzeg, nie dostrzegłszy na nim ani śladu stopy ludzkiej.

Ponieważ już podróżowałem wzdłuż tych wybrzeży, przeto domyślałem się, że jesteśmy gdzieś niedaleko wysp Kanaryjskich i Zielonego przylądka; nie mając jednak narzędzi potrzebnych do obliczenia szerokości, nie wiedziałem dokładnie, w którym płynąć kierunku, aby się do tych wysp dostać. Uważałem więc za najlepsze, trzymając się brzegów, płynąć dalej, dopóki się nie znajdę w pobliżu krajów, z którymi Anglicy handel prowadzą. Miałem nadzieję, że spotkamy tam jaki angielski kupiecki statek. Zdawało mi się, że płynęliśmy obecnie wzdłuż pasu ziemi, położonego między cesarstwem Marokańskiem a krajami murzyńskimi. Okolica była dzika, bezludna. Mnożyły się też tam bez przeszkody i panowały tygrysy, lwy, lamparty i inne drapieżne zwierzęta. Murzyni bowiem uciekli ztąd przed Maurami ku południowi, a Maurowie, poznawszy nieurodzajność gruntu, osiedlać się tu nie chcieli i przybywali tylko kiedy niekiedy na polowanie bardzo licznie, bo tysiącami. I tak na sto mil prawie ciągnęło się to królestwo lwów, tygrysów, hyen, lampartów i t. p. Za dnia wybrzeża były puste i głuche, nocami zaś rozlegały się po nich groźne ryki drapieżnych owego królestwa mieszkańców.

Zdawało mi się parę razy, że dostrzegam już szczyt góry na wyspie Teneryfa, jednej z wysp Kanaryjskich; próbowałem ku niej płynąć, jednak wiatr przeciwny stawał mi zawsze na przeszkodzie. Z musu tedy trzymałem się pierwotnego planu i płynąłem dalej wzdłuż brzegów.

Czasem przybijaliśmy do lądu dla nabrania świeżej wody. Jednego poranku wpłynęliśmy do ujścia jakiejś rzeki, a że właśnie był przypływ morza, czekaliśmy spokojnie, aby nas woda bardziej w głąb zaniosła. W tem Hury mówi do mnie stłumionym głosem:

»Radośnie do mnie krzyknął« (str. 22).

— Uciekajmy! bo tam na brzegu leży jakiś ogromny potwór.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem w istocie ogromnego lwa, leżącego na pochyłości nadbrzeżnego pagórka.

— Nie bój się, Hury — rzekłem do chłopca — spróbuj tylko, a potwora tego sam zabijesz.

— Ja! zabić go? — odrzekł przerażony — to prędzej on mnie pożre na jeden raz.

Widząc przestrach mojego małego towarzysza, zaprzestałem żartów, i poleciwszy mu tylko, aby się spokojnie zachowywał, nabiłem kulami trzy nasze strzelby. Wymierzyłem w głowę zwierzęcia, ale nie trafiłem; kula strzaskała mu tylko łapę. Rycząc przeraźliwie, zerwał się lew i stanął na trzech nogach. Chwyciłem drugą strzelbę i znowu dałem ognia, tym razem trafnie, bo ugodziłem lwa w głowę. Runął od razu na ziemię, a ja ucieszyłem się widząc, że się długo męczyć nie będzie. Wówczas i Hury nabrał odwagi, popłynął do brzegu, trzymając małą strzelbę w ręku, przystąpił bez obawy do drgającego jeszcze lwa i wystrzałem w same ucho ostatecznie go dobił, poczem radośnie do mnie krzyknął.

Żałowałem prawie tych trzech nabojów wpakowanych w ciało zwierzęcia, którego mięso na nic się nam przydać nie mogło. Hury natomiast bardzo był ucieszony i poprosił mnie o siekierę, chcąc lwu głowę odrąbać i zabrać ją z sobą. Gdy mu się to nie udało, uciął mu przynajmniej łapę i zaniósł ją do łodzi. Mnie tymczasem przyszło na myśl, że przecież skóra lwa jest piękną rzeczą i warto ją zabrać. Postanowiłem tedy razem z Hurym lwa ze skóry obedrzeć. Okazało się, że chłopiec daleko w tem był zręczniejszy odemnie. Po usilnej całodziennej pracy zciągnęliśmy przecie tę skórę i rozpięliśmy ją na dachu naszej kajuty, gdzie w ciągu dwóch dni doskonale na słońcu wyschła, poczem służyła mi zwykle za posłanie.

Płynęliśmy dalej dziesięć do dwunastu dni ku południowi. Zapasy nasze zmniejszały się, a nic nie przybywało, gdyż nie puszczaliśmy się nigdy w głąb lądu, przybijając jedynie do ujścia rzek rozmaitych, ażeby się zaopatrzyć w świeżą wodę. Zamiarem moim było dostać się do Senegalu, to jest w okolice Zielonego przylądka, wiedziałem bowiem, że tam zatrzymują się zwykle europejskie kupieckie okręty, dążące do Gwinei, do Brazylii, lub też do Indyj wschodnich. Wiedziałem, że jeśli mnie ta nadzieja zawiedzie, musimy ostatecznie wpaść w ręce murzynów i zginąć marnie.

Zauważyłem, że od pewnego czasu płyniemy wzdłuż okolic zaludnionych. Często dostrzegaliśmy ludzi stojących na brzegu; przypatrywali się nam pilnie. Ludzie ci byli czarni i całkiem nadzy. Miałem nieraz ochotę zbliżyć się do nich i porozumieć, ale Hury mi odradzał. Mimo to podpłynąłem raz trochę bliżej do brzegu i próbowałem

porozumieć się z czarnymi, nie zatrzymując się jednak. Dzicy odpowiadali mi znakami i biegli za łodzią wzdłuż wybrzeża. Nie byli uzbrojeni z wyjątkiem jednego, który trzymał w ręku żerdź jakąś długą i cienką. Hury objaśnił mnie, że to jest dzida i że dzicy broń tę na daleką przestrzeń rzucać umieją; trzymałem się też w przyzwoitej odległości, bojąc się, aby tej sztuki na mnie nie próbowano. Udało mi się w końcu porozumieć się z nimi na migi, że potrzebuję żywności. Dali mi znak, abym łódź zatrzymał, a oni mi jej dostarczą. Ściągnąłem więc żagle i czekałem. Dwóch murzynów pobiegło szybko w głąb lądu. Po upływie pół godziny zobaczyłem ich powracających z dwoma kawałami pieczonego mięsa i jakiemś ziarnem nieznanego mi gatunku. Miałem najszczerszą ochotę przyjąć te dary, ale jakże się do nich dostać? Bałem się zbliżyć do brzegu, murzyni zaś płynąć do nas najmniejszej nie mieli ochoty, bo tak samo nas się lękali, jak my ich. Nareszcie znaleźli sposób bezpieczny dla jednych i drugich. Złożywszy zapasy na brzegu, sami cofnęli się w głąb lądu, czekając, aż podpłyniemy i zabierzemy je, a dopiero, gdyśmy powrócili na dawne stanowisko, zbliżyli się znów do brzegu.

Nie mogąc im nic ofiarować w zamian za ich dary, staraliśmy się przynajmniej okazać im na migi wdzięczność naszą. Niebawem jednak nadarzyła się nam sposobność do wyświadczenia im przysługi. Oto dwoje dzikich zwierząt zbiegać zaczęło z nadbrzeżnego pagórka. Dziwny to był wypadek, bo dzikie zwierzęta nocami tylko chłodzić się zwykły; to też murzyni stojący na brzegu mocno się przerazili, zwłaszcza kobiety, i prócz człowieka z dzidą, wszyscy zaczęli uciekać. Tymczasem zwierzęta, nie zważając bynajmniej na czarnych, biegły prosto do morza, a wskoczywszy weń, pluskać się i nurzać poczęły, jakby dla przyjemności. Jedno z nich zbliżało się ku naszej łodzi; chwyciłem za nabitą strzelbę, poleciwszy Huremu nabić dwie inne. Gdy zwierz przypłynął na odległość strzału, dałem ognia i ugodziłem go w głowę. Natychmiast znikł pod wodą, potem znów wypłynął, usiłując wśród drgań konwulsyjnych do brzegu powrócić, ale nie starczyło mu siły i zatonął. Woda od krwi zaczerwieniona wskazywała miejsce, gdzie się znajdował.

Niepodobna opisać, jaki popłoch ogarnął dzikich na odgłos mego strzału; jedni popadali jak martwi na ziemię, inni uciekli. Gdy jednak zobaczyli, że zwierz zabity, uspokoili się trochę, zaczęli wracać do brzegu i poczęli go szukać. Wskazałem im miejsce i do wydobycia dopomogłem, opasując cielsko bestyi sznurem, którego koniec im rzuciłem. Chwycili za sznur i wywlekli na brzeg olbrzymiego i ślicznie pocentkowanego lamparta, poczem wznieśli ręce do góry na znak wielkiego podziwu dla mnie.

Tymczasem drugi zwierz, spłoszony hukiem wystrzału, umknął ku pagórkom tak szybko, żem z daleka nie mógł rozpoznać, czy to był także lampart, czy inne jakie stworzenie. Zauważyłem, że murzyni mają wielką ochotę spożyć mięso zabitego zwierzęcia, to też zezwoliłem na to ku wielkiej ich uciesze. Zaraz zaostrzonymi kawałkami drzewa zdarli z niego skórę o wiele prędzej i zręczniej, niż my przedtem z naszego lwa, mimo żeśmy używali do tego noży.

Chcieli także mnie dać trochę lamparciego mięsa, ale odmówiłem, dając im do poznania, że wolałbym mieć jego skórę. Oddali mi ją bez wahania, a oprócz tego zaopatrzyli nas w rozmaitą żywność, jako to: nieznane mi jadalne korzenie, zioła i zboże; przyjąłem wszystko z wdzięcznością. Pokazałem im potem pusty dzbanek obrócony dnem do góry na znak, że brak mi wody. Zrozumieli i po krótkiej chwili przyprowadzili dwie kobiety, które niosły wielkie, jak gdyby gliniane naczynie, napełnione wodą; postawiwszy je na brzegu, cofnęły się zaraz w głąb lądu, a ja posłałem Hurego, by nabrał wody do dzbanków. Tak zaopatrzeni we wszystkie niezbędne potrzeby, pożegnaliśmy poczciwych murzynów i popłynęliśmy dalej.

Jedenaście całych dni płynęliśmy potem naprzód, nie przybijając wcale do brzegu, aż naraz ujrzałem przed sobą wąski i długi pas ziemi, ostrym klinem w morze wchodzący. Domyśliłem się, że to Zielony przylądek, zacząłem więc sterować w bok, chcąc go okrążyć. Udało mi się to w zupełności. Upłynąwszy dwie mile morskie, znalazłem się pomiędzy nim a wyspami tegoż nazwiska. Mimo, żem wyraźnie widział oba lądy, znaczna jeszcze odległość dzieliła mnie od nich, i wahałem się w którą stronę sterować, wiedząc, że silny wiatr może mnie odepchnąć od obu brzegów. Aby dokładniej rzecz rozważyć, udałem się do kajuty, zostawiając Hurego przy sterze; gdy w tem rozmyślania moje przerywa krzyk chłopaka: »Okręt! — Panie! ja widzę okręt żaglowy!«

Wybiegłem z kajuty i zobaczyłem rzeczywiście duży żaglowiec; przyjrzawszy się mu dokładnie, poznałem, że był portugalski. Hury niezmiernie przestraszony myślał, że to jest statek wysłany w pogoń za nami przez naszego pana; mnie nic podobnego na myśl nie przyszło, wiedziałem bowiem, żeśmy już zbyt daleko odpłynęli. Z początku sądziłem, że jest to jaki statek, prowadzący handel murzynami na wybrzeżu Gwinejskiem; ale dostrzegłem wkrótce, że nie steruje ku brzegowi i widocznie zmierza gdzieś dalej. Zacząłem więc płynąć w jego stronę, rozpiąwszy żagle, i starałem się zwrócić na siebie uwagę osady.

Długi czas jednak nie dostrzeżono nas ztamtąd, gdy naraz okręt zwolnił biegu, ściągnąwszy żagle, jakby chciał nam dać czas do przybliżenia się; widocznie zauważono nas przez lunetę. Zachęcony tem,

wywiesiłem flagę i dałem ognia na znak, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie. To poskutkowało, choć — jak się później dowiedziałem — strzału nie słyszeli i tylko dym zauważyli. Okręt zatrzymał się, oczekując na nas, i w niespełna trzy godziny byliśmy tuż koło niego. Majtkowie zaczęli przemawiać do mnie po francusku, hiszpańsku i portugalsku, pytając, kim jestem, ale żadnego z tych języków nie rozumiałem; dopiero, gdy jeden majtek, Szkot rodem, odezwał się po angielsku, odpowiedziałem, żem Anglik, zbiegły z niewoli maurytańskiej w Sale. Zabrano mnie na pokład wraz z Hurym i wszystkiem, co do mnie należało. Jak byłem uradowany, nie potrzebuję chyba opowiadać!

Uniesiony wdzięcznością, chciałem darować kapitanowi swoją łódź i wszystko, co posiadałem; ale on nie przyjął tej ofiary, oświadczając zarazem, że mnie i rzeczy moje bezpłatnie przewiezie aż do Brazylii, gdzie mi wszystko w całości odda.

»Nie uczyniłem dla ciebie nic nadzwyczajnego« — dodał — »sam mogę się kiedyś w podobnem znaleźć położeniu, a wtedy chciałbym, żeby ze mną tak postąpiono, jak ja dziś z tobą. Zresztą wioząc cię do Brazylii, obcego dla ciebie kraju, nie mogę ci zabierać wszystkiego, co posiadasz, bobyś tam chyba umarł z głodu. Tak, tak, mój panie Angliku! nic od ciebie nie przyjmę. Za przyjazdem do Brazylii sprzedasz tam swoje rzeczy i za otrzymane pieniądze będziesz mógł do ojczyzny powrócić«.

Zacny kapitan spełnił sumiennie wszystko, co obiecał. Majtkom nie pozwolił nawet dotknąć się moich rzeczy, sporządził dokładny ich spis, obejmujący najdrobniejsze przedmioty, nawet dzbanki gliniane, i zabrał to wszystko do siebie na przechowanie. Zapytał mnie także, czy nie chciałbym sprzedać mu swojej łodzi i ilebym za nią żądał? Była to rzeczywiście łódź wyborna, nic więc dziwnego, że się kapitanowi podobała. Odpowiedziałem, że poznawszy jego szlachetność, oddaję mu ją, nic w zamian nie żądając. On jednak ocenił ją na 80 sztuk złota, i wydał mi weksel na tę sumę z zapewnieniem, że pieniądze wypłaci mi w Brazylii.

Chciał też kupić u mnie Hurego i dawał mi za niego 60 sztuk złota. Mnie jednak przykro było zaprzedawać wolność chłopaka, który mi tak dzielnie w ucieczce dopomagał i dzielił ze mną wszystkie przygody. Powiedziałem to kapitanowi. Wtedy przyrzekł mi uroczyście, że za dziesięć lat uwolni zupełnie Hurego i zobowiąże się do tego nawet na piśmie; dodał przy tem, że gdyby Hury chciał przyjąć chrześcijaństwo, to mu i wcześniej wolność powróci. Przystałem na ten układ tembardziej, że i chłopak nie wzbraniał się przejść w służbę kapitana.

Pogoda nam sprzyjała. We dwadzieścia dwa dni dopłynęliśmy do Brazylii bez żadnych już przygód i zawinęliśmy do portu Todos-los-Santos czyli Wszystkich Świętych. A tak raz jeszcze wydobyłem się z nieszczęścia i powróciłem na ląd zdrów i cały. Trzeba było zastanowić się nad swoją przyszłością.

ROZDZIAŁ III.

Zostaję plantatorem w Brazylii. — Nowa wyprawa. — Rozbicie okrętu. — Ocalenie.

Nie zapomnę nigdy dobroci szlachetnego kapitana, a wdzięczność dla niego zachowam do śmierci. W Brazylii spełnił wszystkie swoje obietnice; za przejazd nic przyjąć nie chciał, a nawet kupił odemnie obie skóry lwią i lamparcią, płacąc mi za pierwszą 40, za drugą 20 dukatów. Wszystkie moje rzeczy wydać mi rozkazał, odkupując odemnie te tylko, których się sam pozbyć chciałem. I tak, sprzedałem mu skrzynię na butelki, dwie strzelby, a nawet resztę wosku. Ze sprzedaży wszystkiego otrzymałem 220 dukatów, miałem więc o co ręce zaczepić w Brazylii. Polecił mnie też kapitan swojemu przyjacielowi, właścicielowi plantacyi trzciny cukrowej i cukrowni, bardzo zacnemu i uczciwemu człowiekowi. Przebywałem u niego czas dłuższy, ucząc się uprawy trzciny cukrowej i wyrabiania z niej cukru.

Przypatrzywszy się życiu plantatorów, zasmakowałem w niem. Postanowiłem więc osiedlić się w Brazylii i kupić na własność plantacyę, licząc na swój kapitał, zostawiony w Londynie. Postarałem się o nadanie mi prawa obywatelstwa brazylijskiego, a następnie zakupiłem trochę ziemi i zagospodarowałem się na niej. Sąsiadował ze mną jeden Portugalczyk z Lizbony, urodzony z angielskich rodziców, nazwiskiem Wells. Podobieństwo naszych losów zbliżyło nas do siebie i zaprzyjaźniliśmy się wkrótce. Plantacya jego graniczyła z moją. Dochody mieliśmy obaj niewielkie, ale od biedy mogliśmy z nich wyżyć. Tak przeszły dwa lata. Na trzeci rok zaczęło się nam lepiej powodzić. Grunta nasze, dobrze uprawione, lepsze dawały urodzaje, zasadziliśmy trochę tytoniu, rozszerzyliśmy pole przeznaczone pod uprawę trzciny cukrowej; brakowało nam tylko robotników i wyręki. Wówczas dopiero przypomniałem sobie biednego Hurego i żałowałem, żem się z nim rozstał. Żałowałem po niewczasie, jak zwykle.

Wogóle nie czułem się szczęśliwy; wszakże takie samo życie, nawet lepsze, byłbym mógł mieć w ojczyźnie, przy boku rodziców

i to bez konieczności odbywania 5000 mil morskiej drogi, bez narażania życia! Ziemię uprawiać musiałem własnemi rękami, jedyną moją przyjemnością była gawędka z sąsiadem. Zdawało mi się więc nieraz, że zamknięty jestem na wyspie bezludnej, gdzie na niczyją pomoc liczyć nie mogę. Nie wiedziałem, że trzeba było Bogu gorąco dziękować za to ocalenie i za takie życie. Utyskując na nie, nie przeczuwałem nawet, jak ono mi się wyda kiedyś pomyślnem i szczęśliwem, gdy się naprawdę znajdę na bezludnej wyspie. Tymczasem powodziło mi się coraz lepiej i gdybym na plantacyi był wytrwał, zostałbym pewno bogatym iszczęśliwym człowiekiem.

»Kupiłem sobie niewolnika murzyna« (str. 28).

Przedtem jeszcze, kiedy przyjaciel mój, kapitan, po trzechmiesięcznym pobycie w Brazylii miał powracać do Lizbony, wspomniałem mu przy pożegnaniu o kapitale moim, złożonym w Londynie. Zacny ten człowiek udzielił mi doskonałej rady, mówiąc:

— »Panie Angliku! jeżeli mi dasz należyte pełnomocnictwo do odebrania swoich pieniędzy, które mogą mi z Londynu do Lizbony przysłać, zakupię ci za nie towaru i przywiozę tutaj, a ty będziesz go mógł z wielką korzyścią odprzedać. Radzę ci jednak, abyś nie więcej, jak sto funtów szterlingów, to jest połowę swego kapitału na to użył; reszta niech leży sobie spokojnie w Londynie. Jeśli się bowiem okaże, że interes dobrze idzie, będziesz mógł później te pieniądze odebrać; gdybym zaś ja, lub mój okręt doznał w drodze nieszczęścia, to zostanie ci jeszcze grosz jakiś na czarną godzinę«.

Każdy przyzna, że była to prawdziwie życzliwa rada; to też poszedłem za nią i dałem kapitanowi żądane pełnomocnictwo, jako też

list do znajomej mojej wdowy po angielskim kapitanie, u której, wyjeżdżając z Londynu, złożyłem pieniądze. Opisałem tej pani wszystkie swoje przygody: niewolę, ucieczkę, spotkanie z portugalskim kapitanem i jego dobroć dla mnie. Listy te powierzył przyjaciel mój, po przyjeździe do Lizbony, pewnemu angielskiemu kupcowi, a ten zawiózł je sam do Londynu i opowiedział tam całą moją historyę. Wdowa po kapitanie oddała sto funtów szterlingów z mego kapitału, dodając przy tem od siebie piękny podarunek dla mego dobroczyńcy i dziękując mu w serdecznym liście za wyświadczone mi przysługi. Stósownie do otrzymanego polecenia zakupił ów kupiec za te pieniądze dużo różnych towarów: materyi, wyrobów i narzędzi żelaznych i posłał to wszystko do Lizbony, a mój zacny kapitan przyjął ten ładunek na swój okręt i przywiózł mi go do Brazylii. Nie dość na tem. Za piętnaście funtów szterlingów, które mu znajoma moja pani w darze była przysłała, wynajął dla mnie służącego na pół roku, a odemnie nic przyjąć nie chciał, oprócz kilku funtów tytoniu z mojej plantacyi.

Towary przywiezione mi przez kapitana bardzo się w Brazylii podobały. Były to chustki, sukna, materye i różne wyroby nieznane w tych okolicach. Sprzedałem je z ogromną korzyścią, zyskując cztery razy tyle, ilem na nie wydał.

Będąc teraz o wiele bogatszy od sąsiada swego Wellsa, zacząłem wprowadzać ulepszenia w swojej plantacyi. Przedewszystkiem postarałem się o robotników. Prócz tego, którego mi kapitan przywiózł z Lizbony, nająłem jeszcze jednego Europejczyka i kupiłem sobie niewolnika murzyna. Następnego roku miałem doskonały urodzaj, zwłaszcza na plantacyi tytoniu. Pięćdziesiąt olbrzymich zwojów, ważących każdy po 100 funtów, przygotowałem na ładunek do Lizbony; resztę rozprzedałem sąsiadom, chcąc mieć gotówkę dla zaspokojenia codziennych potrzeb. Wogóle doskonale mi się powodziło.

Pomyślność ta jednak nie wyszła mi na dobre, bo pospolitym ludzkim zwyczajem zapragnąłem mieć więcej i coraz więcej. Zaczęły mi się roić po głowie śmiałe a nierozsądne plany i spekulacye na rachunku nie oparte. A wiadomo, że takie najłatwiej człowieka do nędzy doprowadzają. Życie moje zaczęło się układać cicho i spokojnie i gdybym był potrafił tem się zadowolnić, zaznałbym jeszcze z pewnością prawdziwego szczęścia i spokoju. Nie było mi to jednak przeznaczone i raz jeszcze stać się miałem sprawcą własnej zguby. Dopełnić się miała wkrótce miara moich błędów, a skazany na długą samotność, miałem później dość czasu na rozmyślanie o nich. Przyczyną wszystkiego złego stać się miała i teraz, jak zawsze, szalona, niepohamowana moja chętka do podróżowania. Jak niegdyś, zamiast prowadzić ciche i pożyteczne życie w kraju własnym, uciekłem z domu rodziców,

tak teraz znudzony spokojnym zawodem rolnika, zapragnąłem od razu zostać bogaczem. Otóż ta nierozsądna chęć moja wtrąciła mnie w najgłębszą przepaść ludzkiej nędzy, wśród której cudem chyba nie straciłem zdrowia i życia.

Wracając do wątku swego opowiadania dodać muszę, że w czasie czteroletniego pobytu w Brazylii wyuczyłem się doskonale miejscowego języka i pozawierałem rozmaite stosunki i znajomości. W rozmowach swoich z plantatorami i kupcami z San-Salwador wspominałem nieraz o dwukrotnej mojej podróży na wybrzeże Gwinejskie, czego tamci z zajęciem słuchali. Opowiadałem im, że tam za blaszki, świecidełka, noże, toporki, paciorki i tym podobne drobiazgi dostać można z łatwością złotego piasku, słoniowej kości, zbóż rozmaitych, a nawet i niewolników murzyńskich. Ta ostatnia wiadomość zajęła ich szczególniej. Robotników brakowało nam bardzo, niewolników zaś było nie wielu i sprzedawano ich niezmiernie drogo, bo królowie hiszpański i portugalski dla siebie przywilej tego handlu zachowali, ciągnąc z niego ogromne zyski. Nazajutrz po jednej z takich rozmów przyszło do mnie kilku kupców i plantatorów chcąc, jak mówili, powierzyć mi ważne zamiary. Gdym spytał, o co chodzi, oświadczyli, że nasłuchawszy się moich opowiadań o Gwinei, postanowili urządzić wspólnym kosztem wyprawę na jej wybrzeża dla zakupienia niewolników do robót w plantacyach. Mnie prosili, abym stanął na czele tego przedsiębiorstwa, obiecując w zamian wziąć wyłącznie na siebie wszystkie koszta, a po ukończonej wyprawie dać mi na własność tylu niewolników, ilu na każdego z nas wypadnie z działu.

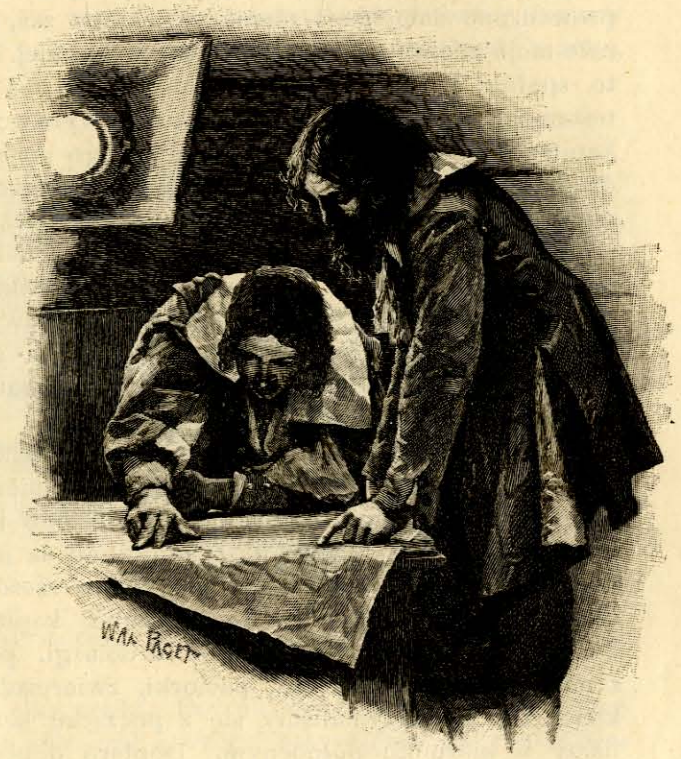

»Zabraliśmy się tedy do morskiej mapy« (str. 31).

Nie był to dla mnie interes korzystny, bo mając własną plantacyę wcale już pięknie rozwiniętą, powinienem był raczej siedzieć na miejscu i doglądać osobiście wszystkich robót w polu. W przeciągu lat kilku byłbym był mógł dorobić się znacznego majątku, zwłaszcza włożywszy do handlu i te sto funtów szterlingów, które były w Londynie. Jednem słowem, myśl sama udania się w taką podróż była z mej strony nierozsądkiem i szaleństwem. Mimo to zgodziłem się najchętniej na wszystko, czego odemnie żądano, prosząc tylko, aby w czasie mojej nieobecności prowadzono dalej moją plantacyę, wrazie zaś, gdybym zginął, oddano całe moje mienie osobie, przezemnie wskazanej. Plantatorowie przyrzekli to spełnić i poświadczyli na piśmie, ja zaś sporządziłem formalny testament, mianując swoim dziedzicem wybawcę mego, portugalskiego kapitana, z warunkiem, aby połowę mego majątku dla siebie zachował, drugą zaś spieniężył i otrzymane pieniądze przesłał do Anglii. Słowem, nie zaniedbałem żadnej ostrożności, ażeby należycie zabezpieczyć całość swego mienia, a nie poświęciłem ani chwilki czasu na dokładne zastanowienie się nad istotnym pożytkiem dla mnie samej wyprawy; to też nie mogłem sobie zdać z tego sprawy, że byłoby dla mnie lepiej nie ruszać się z miejsca. Szedłem na ślepo, za popędem swej wyobraźni, a rozumu nie pytałem o radę. Plantatorowie naglili, a mnie pochlebiało ich zaufanie.

Ruszyłem w tę nieszczęsną drogę w pamiętnym dla mnie dniu 1 września 1659 roku. Była to ósma rocznica pierwszego mojego wyjazdu z Hull, rocznica buntu przeciw woli rodziców i zbrodni popełnionej na swej własnej doli. Okręt nasz, obliczony na pomieszczenie około sto dwudziestu ton ciężaru, uzbrojony był w sześć armat, osady zaś miał czternastu ludzi, licząc w to już mnie, kapitana i jego pomocnika. Ładunek mieliśmy lekki, same drobiazgi, przeznaczone na handel z murzynami: świecidełka, paciorki, zwierciadła, noże, nożyczki, siekierki i t. p. Trzymaliśmy się z początku brzegów Brazylii i płynęliśmy w kierunku północnym. Dopiero dopłynąwszy do dziesiątego czy dwunastego stopnia szerokości północnej mieliśmy się zwrócić na wschód w stronę Afryki. Pogoda była bardzo piękna, było tylko cokolwiek za gorąco. W pobliżu przylądka św. Augustyna zwróciliśmy na pełne morze. Tracąc zwolna ląd z oczu, płynęliśmy na północny wschód w kierunku wyspy Ferdynanda de Noronha, zostawiając ją jednak na boku.

Po dwunastodniowej żegludze przepłynęliśmy równik i według ostatnich obliczeń znajdowaliśmy się pod siódmym stopniem i dwudziestoma dwiema minutami szerokości północnej, gdy powstał gwałtowny huragan, który nas z obranej drogi zupełnie spędził. Z początku wiał od południowego wschodu, potem od północnego zachodu, ustalił się

nareszcie i dął od północnego wschodu szalejąc tak wściekle, że przez całych dni dwanaście okręt nasz miotany był po oceanie, a my wszyscy lada chwila czekaliśmy ostatecznej zagłady. W ciągu tych dni dwunastu straciliśmy trzech ludzi, z których jeden umarł na gorączkę, a dwóch fala zmiotła z pokładu w otchłanie. Gdy się burza uspokoiła, próbowaliśmy oba z kapitanem rozpoznać, w jakiem znajdujemy się miejscu. Podług obliczeń naszych byliśmy mniej więcej pod jedenastym stopniem szerokości północnej, ale o dwadzieścia dwa stopnie długości na zachód od przylądka św. Agustyna, a więc burza zaniosła nas na brzeg Gujany czyli północnej Brazylii, powyżej rzeki Amazonki, a niedaleko Orinoko,

»Płynęliśmy do brzegu jak na stracenie« (str. 32).

zwanej powszechnie Wielką rzeką. Poczęliśmy radzić, w którą stronę mamy żeglować. Kapitan doradzał zawrócić natychmiast ku wschodnim brzegom Brazylii, zwłaszcza, że okręt był uszkodzony. Sprzeciwiałem się, bo mnie się to nie podobało. Zabraliśmy się tedy razem do morskiej mapy Ameryki i doszliśmy do przekonania, że w pobliżu niema żadnego zamieszkanego lądu, któryby mógł dać nam schronienie, aż dopiero wyspy Karaibskie. Postanowiliśmy zatem puścić się prosto na pełne morze, nie wstępować do zatoki meksykańskiej i płynąć do wyspy Barbados. Mieliśmy nadzieję dostać się do niej za dwa tygodnie, a naprawiwszy tam uszkodzony nasz okręt, popłynąć dopiero do afrykańskich wybrzeży. W tym zamiarze skierowaliśmy okręt na północny zachód, aby się dostać do jednej z wysp angielskich dla wytchnienia. Tymczasem Opatrzność inaczej zrządziła.

Zaledwieśmy dopłynęli do dwunastego stopnia i ośmnastu minut szerokości północnej, zerwała się znowu burza, a pędząc nas gwałtownie ku zachodowi, wkrótce zagnała statek w strony prawie zupełnie nieznane cywilizowanym ludziom. Groziło nam zatonięcie lub pożarcie przez dzikich ludzi w razie, gdybyśmy się wyratować i na który z ich lądów schronić mogli. Burza jeszcze nie ustała, gdy w tem jeden z naszych ludzi zawołał: »ziemia! ziemia!« Wybiegliśmy na pokład, aby ją dojrzeć, a tu w tejże samej chwili okręt nasz osiadł na mieliźnie. Skoro tylko ugrzązł w piasku, fale morskie zalały pokład. Schroniliśmy się do kajuty. Trudno opisać, co się z nami działo w tem strasznem bez wyjścia położeniu. Ziemię mieliśmy niedaleko, aleśmy nic nie wiedzieli, czy to była wyspa, czy ląd stały, pusty, czy zaludniony i przez jakich mieszkańców? ani też, w jaki sposób dostać się do brzegu? Okręt nasz, chociaż jeszcze cały, lada chwila mógł być zupełnie zdruzgotany, chybaby jakim cudem wiatr nagle ustał. Patrzyliśmy na siebie przerażeni, polecając Bogu duszę i gotując się na śmierć. Dziwiliśmy się, że okręt tak długo bałwanom się opiera, gdy kapitan zauważył, że się wiatr uspokaja. Chociaż tak istotnie było, to przecież ani marzyć nie można było, by z miejsca ruszyć. Przed burzą mieliśmy dużą łódź umocowaną u tylnego pokładu, ale bałwany dawno ją już były rozbiły. Została nam druga mniejsza. Nie było czasu na wahanie. Z wielkim trudem spuszczono ją z pokładu, i wsiedliśmy do niej wszyscy jedenastu, polecając się miłosierdziu Bożemu, bo choć wiatr był trochę mniejszy, to jednak bałwany morskie piętrzyły się niezmiernie wysoko, a ocean szalał gwałtownie. Były to nasze ostatnie chwile. Gdyby nawet łódź nie zatonęła w drodze, to groziło jej rozbicie u brzegu w kawałki, bo fale z szaloną mocą weń uderzały. Mimo to unoszeni falą, płynęliśmy do tego brzegu, ale bez żadnej nadziei ocalenia, z ciężkiem sercem, jak ludzie skazani na stracenie. Nie trzeba było długo na to czekać. Upłynąwszy tak jakie półtorej mili, ujrzeliśmy nagle spiętrzony olbrzymi bałwan morski, istną górę wodną, co się wprost na nas toczyła. Nie było nawet na tyle czasu, by duszę Bogu polecić, gdy łódź została przewrócona, a my wszyscy pogrążeni w bałwanach, rozniesieni na wszystkie strony.

Nieopisany zamęt myśli powstał mi w głowie, gdym wpadł do wody. Pływać umiałem doskonale, mimo to nie zdołałem ani na chwilę z wody się wynurzyć i zupełnie już oddech traciłem, gdy ogromna fala rzuciwszy mnie o brzeg opadła, zostawiając mnie na pół już uduszonego na mieliźnie. Gdym tchu nabrał, miałem na tyle przytomności, że zerwałem się, a dostrzegłszy niedaleko brzeg począłem biedz, aby ujść następnej fali. Nieudało mi się to jednak. Spiętrzona i groźna, jak wróg zażarty, zwaliła się na mnie całym ogromem. Zaparłem w sobie

oddech i próbowałem nawet płynąć do brzegu, ale fala wracając odrzuciła mnie znowu w tył. Zaledwiem odetchnął, gdy nowy bałwan nakrył mnie znowu. Byłbym się w tedy udusił. Na szczęście fala wyniosła mnie na chwilę na powierzchnię; mogłem głowę wynurzyć, a choć trwało to tylko kilka sekund, nabrałem tyle powietrza, żem jeszcze czas jakiś w wodzie wytrzymał. I tak kilka razy jeszcze fale porywały mię, to znowu ku brzegom mnie wyrzucały. Za każdym razem próbowałem biedz do lądu, zawsze bez skutku. Ostatnia, rzucając mię ku

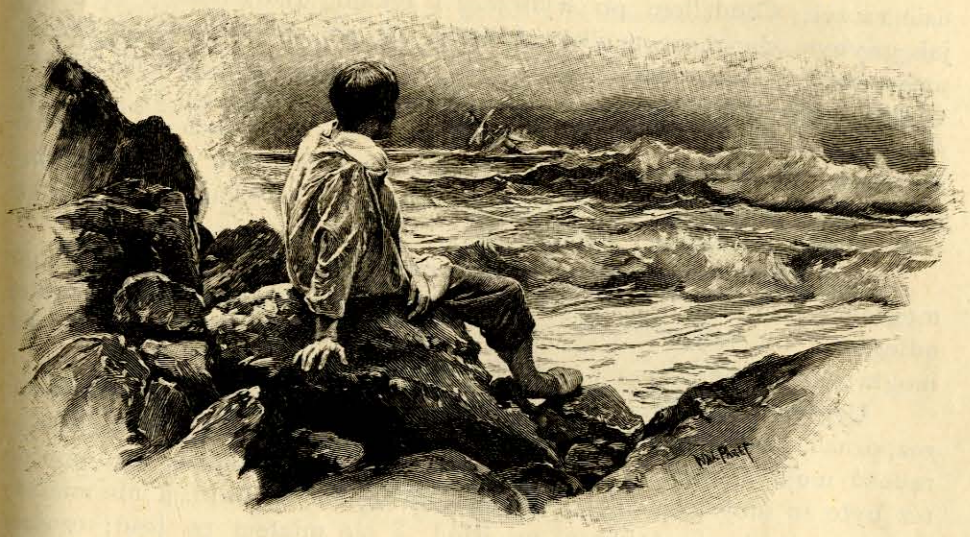

»Byłem uratowany«.

brzegowi na skałę, o mało mię życia nie pozbawiła. Uderzywszy piersią o kamień, zemdlałem, i gdyby mię wtedy woda była zalała, byłoby już po mnie. Oprzytomniałem za chwilę i oczekując uderzenia nowej fali, uczepiłem się skały z całych sił. W ten sposób uniknąłem ponownego uniesienia mnie na morze. Kilka razy jeszcze nakryły mnie bałwany, ale coraz niższe i mniej gwałtowne. Przyszedłszy trochę do siebie, widząc brzeg blizki, dobyłem resztek sił, pobiegłem i wydrapałem się nań, a dostawszy się na pagórek nadbrzeżny, usiadłem nareszcie na trawie.

Byłem uratowany!

ROZDZIAŁ IV.

Na bezludnej wyspie. — Wyprawy do rozbitego okrętu.

Podniosłem zwrok ku Niebu, składając dzięki za ocalenie tak cudowne i niespodziewane. Radości mojej i uniesienia niepodobna wyrazić i opisać. Doznawałem wrażenia, że to już z grobu Bóg mię wyprowadzić raczył. Chodziłem po wybrzeżu z rękami wzniesionemi do góry, jak gdybym chciał się przekonać, że to nie sen, że rzeczywiście jestem uratowany. Przypominałem sobie, jak to wszystko było, jak mi śmierć w oczy zaglądała, a jednocześnie myśl moja wyrywała się za nieszczęśliwymi towarzyszami moimi, pogrążając się w toniach i odmętach morskich. Wszyscy potonęli. Nigdy już o żadnym z nich nic nie słyszałem, a jako jedyne po nich ślady znalazłem tylko trzy kapelusze, czapkę i dwa trzewiki, każdy z innej pary.

Spojrzałem w stronę rozbitego okrętu i zaledwie dostrzedz go mogłem pośród ciągle jeszcze wzburzonych fal. Zobaczywszy go w takiej odległości: O Boże! — zawołałem — to tylko Twoja cudowna łaska mogła mię na ten brzeg przenieść.

Uspokoiwszy się trochę, zacząłem rozglądać się naokoło, chcąc rozpoznać, gdzie jestem i zdać sobie sprawę z mego położenia. Wtedy radość moja zmniejszać się zaczęła, a odwaga opuszczać. Bo smutne też było to moje ocalenie. Przemoczony byłem do nitki, a nie miałem się w co przebrać; dokuczał mi głód, a nie miałem co jeść; czułem się niezmiernie osłabiony, a nie miałem czem sił pokrzepić! Trapiła mnie myśl, że nie mam przy sobie żadnej broni; czemże więc zabezpieczyć się przed napaścią dzikich zwierząt lub ludzi? Jak dostarczyć sobie żywności? Został mi tylko nóż składany, fajka i trochę tytoniu! Czekała mnie zatem śmierć głodowa, lub pożarcie przez dzikie zwierzęta. Wpadłem w straszną rozpacz i począłem biegać jak szalony. Tymczasem noc zapadała. Cóż się ze mną stanie? Wszak tu zapewne, tak jak wszędzie, dzikie zwierzęta nocą na żer wychodzą. Postanowiłem wyleźć na drzewo stojące w pobliżu, podobne do naszej sosny, i tam przenocować, na drugi zaś dzień spokojnie oczekiwać nieuchronnej śmierci. Byłem spragniony. Zacząłem szukać wody i znalazłszy ją w pobliżu, piłem chciwie, co mnie bardzo orzeźwiło; potem wziąwszy w usta trochę tytoniu począłem żuć, aby głód oszukać. Wydrapałem się na drzewo, gdzie urządziłem sobie między gałęziami rodzaj siedzenia tak, żeby we śnie nie spaść na ziemię. Dla obrony uciąłem sobie krótką pałkę. Byłem strasznie znużony, to też zaraz twardo usnąłem.

Jasno już było zupełnie, gdym się obudził. Czułem się dziwnie pokrzepiony. Spojrzałem na morze; gładkie było i spokojne. Pogoda była prześliczna. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że okręt nasz w nocy ruszył z mielizny; przypływ morza podniósł go i prawie do brzegu zbliżył, bo do miejsca, gdzie mnie wczoraj fala o skałę uderzyła. Zdawało mi się, że nie bardzo uszkodzony. Pomyślałem, że gdybym się mógł dostać na jego pokład, to znalazłbym wiele rzeczy dla siebie przydatnych. Nie było to jednak tak łatwo, bo statek stał prawie o morską milę od brzegu. Zacząłem się dalej rozpatrywać i niespodzianie ujrzałem łódź naszą wyrzuconą na brzeg o jakie dwie mile odemnie. Zszedłem z drzewa i udałem się ku niej wybrzeżem, ale w drodze napotkałem na pół mili szeroką morską zatokę. Zgłodniały zawróciłem, odkładając tę wycieczkę na inny raz. Zato zwróciłem baczniejszą uwagę na okręt, gdzie

»Znalazłem dwa trzewiki« (str. 34).

miałem nadzieję znaleźć żywność. Po południu było morze bardzo spokojne. Odpływ był tak znaczny, że prawie na ćwierć mili mogłem zbliżyć się do okrętu. Przekonałem się, że gdybyśmy byli na statku pozostali, bylibyśmy się mogli wszyscy uratować i na ląd dostać. Żal ścisnął mi serce, zapłakałem z bólu. Nie było jednak czasu na roztkliwianie się. Należało się czem prędzej na okręt dostać. Zrzuciłem z siebie ubranie i wszedłszy w wodę popłynąłem. Gdym się do okrętu zbliżył, nie wiedziałem, jakim sposobem na pokład się dostanę. Opłynąwszy statek kilka razy naokoło, zobaczyłem wreszcie koniec zwieszonej liny, pochwyciłem zań i dostałem się na przednią część pokładu.

Przekonałem się, że okręt leżał bokiem na piaszczystej ławicy; przednia część zanurzona była w wodzie, spód musiał być przedziurawiony, bo zwłaszcza w przedniej części okrętu wody wewnątrz było pełno. Tylna część statku sterczała do góry, a pokład był prawie cały suchy.

»Twardo zasnąłem na drzewie« (str. 34).

Korzystając z tego, zabrałem się do zapasów, które tam leżały nieuszkodzone. Głodny byłem bardzo, rzuciłem się więc na suchary, rozglądając się jednocześnie po statku. Najadłszy się do syta, pociągnąłem łyk rumu, który w kajucie kapitana znalazłem. Bardzo mnie to orzeźwiło. Teraz przedewszystkiem byłaby mi się przydała łódź, aby przewieźć na ląd znalezione rzeczy, że jednak pod ręką jej nie miałem, należało sobie jakoś inaczej poradzić i to szybko, bo czas naglił. Przypomniałem sobie, że mieliśmy na statku zapasowe drągi i maszty, wyszukałem je i rzuciłem po kolei do wody, sznurami pierwej powiązawszy, następnie spuściłem się na linie z pokładu i cztery takie drągi związałem sznurami jak mogłem najmocnej, tworząc z nich rodzaj tratwy. Położyłem na nią kilka krótszych desek w poprzek. Wstąpiwszy na nie przekonałem się, że tratwa nie utrzyma większego ciężaru. Wskoczyłem zatem znowu na pokład. Wyszukawszy wielką piłę, przerżnąłem nią kawałek masztu na trzy części, poczem przymocowałem je do tratwy, aby ją w ten sposób wzmocnić. Była to praca nad siły jednego człowieka, ale konieczność sił mi dodawała. Tratwa była

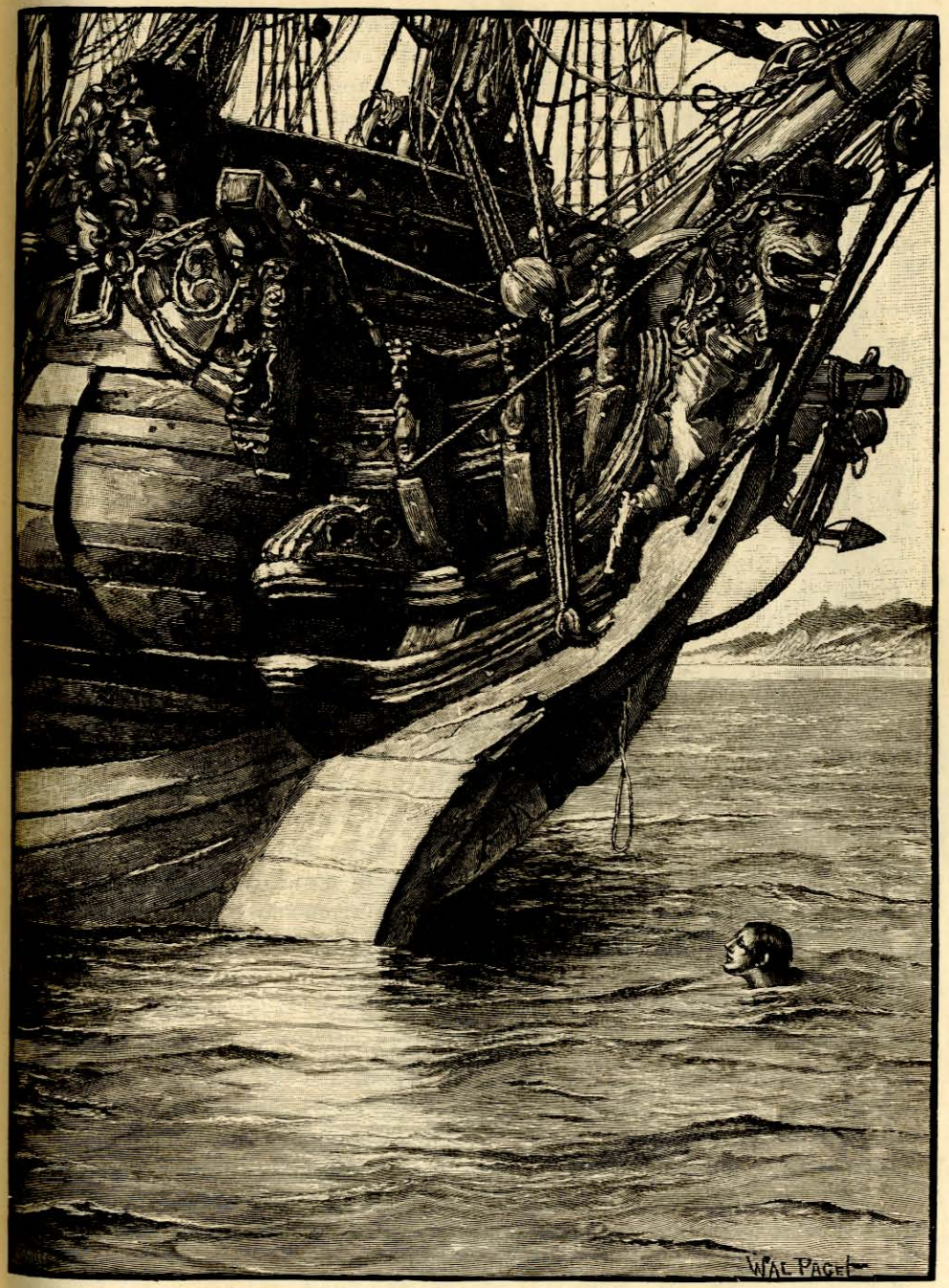

»Zobaczyłem koniec zwieszonej liny« (str. 35).

gotowa, ale co na nią zabrać, w jaki sposób zabrane rzeczy od zamoczenia ochronić? Wziąłem najpierw kilka desek i drągów, następnie spuściłem trzy skrzynie majtków, które wypełniłem rozmaitymi zapasami jako to: chlebem, ryżem i t. p., wziąłem trzy sery holenderskie, pięć kawałków suszonego mięsa koźlego, a także trochę jęczmienia i pszenicy, któreśmy mieli na okręcie dla karmienia drobiu. Ziarno to było już cokolwiek przez szczury nadpsute. Zabrałem także kilka butelek araku i wódki, znalezionych w kajucie kapitana. Przez ten czas morze się podniosło, a fale zabrały zostawione przezemnie na piasku ubranie, kurtkę, spodnie i uniosły je gdzieś daleko. Przyszło mi wtedy na myśl, że na okręcie i odzienie jakieś znajdować się musi. Zacząłem szukać i znalazłem go rzeczywiście pod dostatkiem. Zabrałem jednakże jedno tylko ubranie, nie chcąc mniej potrzebnemi rzeczami zajmować miejsca na tratwie, gdyż przedewszystkiem chodziło mi o posiadanie jak największej ilości narzędzi rzemieślniczych. Wyszukałem tedy następnie skrzynię cieśli okrętowego. Nie przeglądając nawet jej zawartości, bo ją znałem, spuściłem ją na tratwę ucieszony tą zdobyczą więcej, niż gdybym znalazł skrzynię napełnioną złotem. Potem zacząłem szukać broni i znalazłem dwie strzelby, dwa pistolety, róg z prochem, woreczek śrótu i dwie zardzewiałe szable. Przypomniałem też sobie, żeśmy mieli na statku trzy baryłki prochu; udałem się na ich poszukiwanie i znalazłem dwie zupełnie suche, trzecia zaś była zamoczona.

Trzeba było teraz pomyśleć o odwrocie; ale jak tu płynąć bez steru i żagli na wątłej tratwie, której lada silniejszy powiew wiatru groził wywrotem. Rozejrzałem się naokoło i zastanowiłem chwilę. Trzy rzeczy dodały mi odwagi: zupełny spokój morza, rozpoczynający się właśnie przypływ i wiatr wiejący w kierunku lądu. Zabrałem jeszcze z pokładu kilka połamanych wioseł, siekierę, dwie piły i młotek, a skoczywszy na tratwę, odepchnąłem ją od statku i puściłem się ku brzegowi.

Gdym już milę upłynął, uczułem, że tratwa moja zboczyła trochę z kierunku i jest jakby unoszona prądem. To mi nasunęło myśl, że gdzieś niedaleko znajdować się musi ujście rzeki jakiejś, mogącej mi posłużyć za przystań. Domysły były słuszne; wkrótce ujrzałem zdaleka jakby rodzaj zatoki, ku której mię prąd unosił. Starałem się płynąć z prądem, ale nie znając miejscowości, omal że nowemu nie uległem przypadkowi. Tratwa jednym końcem ugrzęzła na mieliźnie, podczas gdy drugi zanurzył się w wodę. Przechyliła się tak silnie, iż cały mój ładunek wpadłby z pewnością do morza, gdybym go nie podtrzymał własnemi plecami. Oparty o skrzynię siedziałem nieruchomy, nie mogąc wiosłować i czekając, aż mię fale same zniosą z mielizny. Tak się też stało. Po upływie pół godziny, przypływ podniósł tratwę, a prąd skierował ją dalej do ujścia jakiejś małej rzeczki. Począłem się

rozglądać, szukając w pobliżu dogodnego miejsca do wylądowania. Ujrzałem wkrótce po prawej stronie małe zagłębienie, ale wylądować tam nie mogłem, bo brzeg był za wysoki. Podpłynąwszy, oczekiwałem tedy na większy jeszcze przypływ fal. Dopiero, gdy mnie wyniosły na płytkie miejsce, umocowałem tratwę za pomocą dwóch wioseł, wbitych w ziemię po obu jej stronach, i w tem położeniu oczekiwałem odpływu wód. Gdy to nastąpiło, znalazłem się z całym swoim ładunkiem na suchem i bezpiecznem wybrzeżu.

Należało czem prędzej poznać okolicę i wynaleźć schronienie dla siebie i przywiezionych ze statku rzeczy. Nie wiedziałem, gdzie jestem, na wyspie czy też na stałym lądzie; nie wiedziałem, czy miejsce to zaludnione, czy puste i t. d.? O milę od brzegu dojrzałem dość wysoki pagórek, postanowiłem więc z jego szczytu rozglądnąć się na około. Uzbrojony w strzelbę, udałem się na owo wzgórze i jakież było moje zmartwienie, gdym się przekonał, że los rzucił mię na wyspę zewsząd morzem oblaną, że wyspa ta

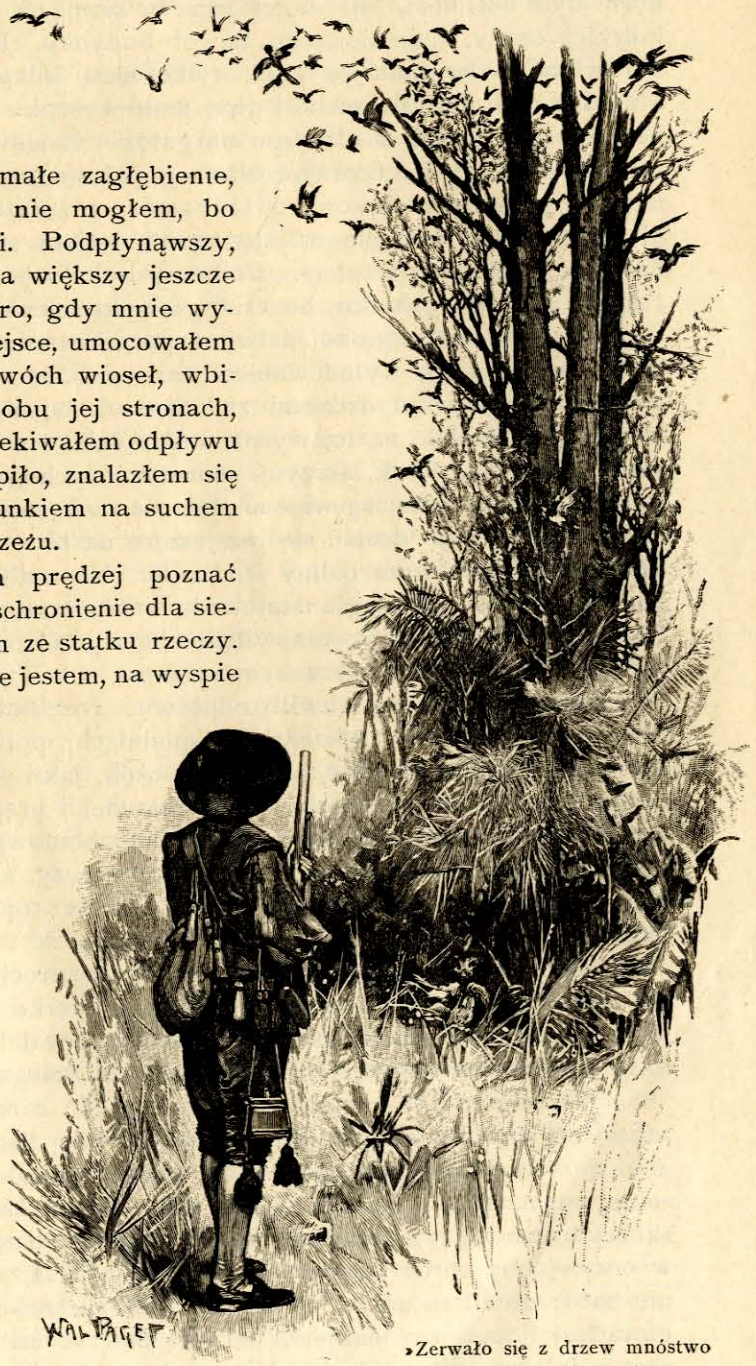

»Zerwało się z drzew mnóstwo ptactwa« (str. 40).

musi być bezludna, nie dojrzałem bowiem na niej żadnego śladu ludzkiej osady, najmniejszego nawet budynku. Jak okiem zasięgnąć, nie widać było żadnego lądu, tylko skał kilka sterczało z morza, a o jakie trzy mile na zachód dwie małe wysepki. Powracając, zastrzeliłem dużego ptaka, siedzącego na gałęzi. Zaledwo się rozległ strzał, zerwało się z drzew mnóstwo rozmaitego, nieznanego mi ptactwa. Krążąc na około, latało to kracząc i krzycząc z przerażenia. Musiał to być pierwszy strzał, jaki się od stworzenia świata rozległ na tej wyspie. Zabitego ptaka podniosłem. Podobny był do jastrzębia; nie miałem z niego żadnego pożytku, bo czuć go było ścierwem.

Na razie dałem pokój dalszym poszukiwaniom. Powróciwszy na brzeg, zająłem się wyładowaniem tratwy. Nie chciałem nocować na ziemi z obawy przed dzikiemi zwierzętami, bo nie wiedziałem wtedy, że niema ich wcale na tej wyspie. Urządziłem sobie na prędce rodzaj szałasu z belek, desek, skrzyń, wioseł i innych przedmiotów, przyniesionych z tratwy; nocleg więc miałem na razie zapewniony. Ale najpilniejszą rzeczą było dostać się raz jeszcze na okręt i zabrać, co się da. Chodziło mi zwłaszcza o liny i o żagle. Nie należało z tem zwlekać, bo pierwsza burza mogła statek do reszty zatopić, lub roztrzaskać. Po krótkim namyśle postanowiłem nie używać tratwy, ale puścić się wpław, tak samo, jak pierwszym razem.

Doczekawszy się chwili odpływu, rozebrałem się w szałasie i w koszuli tylko i płóciennych spodniach, popłynąłem do statku. Na pokład dostałem się w taki sam sposób, jak i pierwej. Zbudowałem drugą tratwę, co mi poszło daleko łatwiej i prędzej, niż pierwszym razem. Nauczony doświadczeniem, nie obładowywałem jej już tak ciężko, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Wziąłem więc kilka worków gwoździ, duży świder, dwa tuziny toporków i doskonały kamień ślifierski. Prócz tego kilka żelaznych sztab, dwie beczułki z kulami, siedm strzelb, worek śrótu i jeszcze trochę prochu. Chciałem też zabrać dużą bryłę ołowiu, ale była za ciężka. Wyszukałem i zabrałem wszystką odzież, pościel, hamak i kawałek żaglowego płótna. Cały ten ładunek dowiozłem szczęśliwie do brzegu.

W czasie tej wycieczki niepokoiłem się o zostawione na lądzie zapasy żywności; bałem się, aby mi ich nie zjadły jakie zwierzęta. Ale wszystko było nietknięte. Na jednej tylko ze skrzyń siedziało sobie zwierzątko jakieś, podobne do naszego kota. Na mój widok skoczyło trochę w bok, ale nie uciekało i patrzyło mi spokojnie w oczy, jakby chcąc się zaznajomić. Pogroziłem mu strzelbą, ale się nie bało; rzuciłem mu wreszcie kawałek suchara. Kotek zbliżył się, obwąchał i zjadł ze smakiem, poczem patrzył mi w oczy, jakby prosząc o jeszcze. Nie miałem ochoty traktować go po raz drugi, bo sam

za wiele nie miałem. Gdy widziało, że nic więcej nie dostanie, odeszło sobie dalej spokojnie.

Zabrałem się teraz do urządzenia sobie wygodniejszego schronienia. Wziąwszy duży kawał żaglowego płótna, rozpiąłem je na czterech tykach, tworząc rodzaj namiotu. Dla zabezpieczenia się ustawiłem naokoło wszystkie skrzynie, paki, belki i kawałki drzewa. Zniosłem tam następnie wszystko, co słońce lub deszcz mogłyby uszkodzić. Wejście zatarasowałem od zewnątrz pustą skrzynią, od wnętrza deskami, i wtedy dopiero uczułem się zabezpieczony przed napadami dzikich ludzi lub zwierząt. Ułożywszy sobie na ziemi posłanie, zasnąłem, mając pistolety pod głową, a strzelbę przy boku i przespałem spokojnie noc całą, co mi się chyba należało po tylu dniach zmęczenia.

Nagromadziłem na około siebie tyle rozmaitych przedmiotów, iż namiot mój wyglądał na jakiś skład, lub magazyn; mimo to postanowiłem nie poprzestawać na tem, ale korzystać z okrętu, dopóki nie zatonie i zabierać z niego, co się da. Codziennie więc przy odpływie morza płynąłem do statku i przywoziłem coraz to nowe rzeczy. Trzeciego dnia zabrałem wszystkie liny, żagle, sznury, całe zapasowe płótno, pociąwszy je poprzednio na mniejsze kawałki i baryłkę zamoczonego prochu. Po pięciu czy sześciu takich wycieczkach myślałem, żem już wszystko zabrał i że już nic przydatnego dla siebie nie znajdę. Tymczasem, ku wielkiej mej radości, zupełnie niespodzianie odkryłem jeszcze dużą skrzynię sucharów, parę beczułek rumu, skrzynię cukru i baryłkę mąki. Sucharów było tak wiele, żem nie mógł wszystkich na raz zabrać; przenosiłem je na tratwę częściami, zawinąwszy poprzednio w kawały żaglowego płótna. Nazajutrz znowu udałem się na okręt. Gdy już zabrakło sprzętów i ruchomości, odbijać zacząłem rozmaite żelazne sztaby, zawiasy i t. p. Zrąbałem oba maszty i zbudowałem z nich tratwę o wiele większą, niż poprzednie. Naładowawszy ją obficie, płynąłem do brzegu, ale że ładunek cięższy był, niż zazwyczaj, wywróciła się w chwili właśnie, gdym przybijał do lądu. Wpadłem do wody z całą zdobyczą. Wydobyłem trochę tych rzeczy w czasie odpływu, ale przepadło mi dużo, zwłaszcza żelaza, co było wielką szkodą. W przeciągu trzynastu dni byłem już jedenaście razy na statku i przywiozłem, co zabrać zdołałem. Byłbym go niezawodnie rozebrał na części i kawałkami cały na ląd wydobył, gdyby pogoda trwała dłużej. Wybierając się po raz dwunasty, zauważyłem, że czas jest trochę wietrzny, mimo to popłynąłem i pilnie przeszukiwałem kajutę. Okazało się, żem poprzednio nie zauważył ukrytej w ścianie szafki. Gdym ją otworzył znalazłem kilka brzytew, duże nożyczki, dwanaście widelców i nożów, a w osobnej szufladzie około trzydzieści sześć funtów szterlingów w złotych i srebrnych

monetach brazylijskich i europejskich. Uśmiechnąłem się na widok tych pieniędzy i zawołałem:

»O marne złoto! na cóż mi się teraz przydać możesz? I schylać się po ciebie nie warto. Zostań sobie spokojnie, gdzie leżysz i idź na dno morza, bo nie warto się trudzić twojem ratowaniem. Najlichszy sprzęt, nóż jeden lub kawałek żelaza więcej wart dla mnie, niż ta cała suma«.

Chciałem już rzeczywiście odejść, zostawiając pieniądze w szafie, lecz po namyśle zabrałem je, a zawinąwszy w kawałek płótna razem z innymi drobiazgami, chciałem się zająć robieniem tratwy. Nagle spojrzałem na niebo i zmieniłem zamiar. Zbierało się na burzę i trzeba było myśleć o natychmiastowym odwrocie, inaczej bowiem musiałbym się już chyba na wieki z lądem pożegnać. Nie zwlekając, skoczyłem w wodę i płynąłem do brzegu. Szło mi to trudniej, niż zwykle, bom miał na sobie ciężką zdobycz, a wiatr wiał od lądu i fala zaczynała się podnosić. Dopłynąłem jednak na czas jeszcze i w chwili, gdy burza rozszalała na dobre, siedziałem już bezpiecznie wśród swoich bogactw, pod osłoną namiotu. Burza trwała noc całą. Gdym nazajutrz wyjrzał na morze, nie było już okrętu.

Było mi trochę przykro, ale pocieszałem się przeświadczeniem, żem przecie nie szczędził pracy ani trudu, aby zabrać na ląd, co tylko mogło mi być użyteczne. Nie było już co myśleć o okręcie. Raczej wypadało iść wzdłuż wybrzeża i pozbierać jego szczątki na ląd wyrzucone. Uczyniłem to później, ale nie znalazłem niczego, coby mi potrzebne być mogło.

ROZDZIAŁ V.

Budowa zagrody. — Kalendarz. — Rozmyślania.

Zacząłem teraz zastanawiać się, w jakiem miejscu wyspy byłoby mi najdogodniej osiedlić się na stałe, i jakie zbudować schronienie. Tam, gdzie chwilowo się rozłożyłem, zostać nie było można, bo grunt był nizko położony, bagnisty, i nie było w pobliżu świeżej, słodkiej wody. Szukałem więc miejsca zdrowego, suchego, zaopatrzonego w wodę, mogącego dać schronienie przed upalnymi promieniami słońca, a przy tem chciałem, żeby mogło być obronne, zabezpieczające mnie przed napadami dzikich ludzi i zwierząt. Pragnąłem je znaleść w bliskości morza, abym mógł wciąż na nie patrzeć, bo nie traciłem nadziei, że prędzej, czy później ześle mi przecie Pan Bóg jaki okręt, który mnie ztąd zabierze.

Po kilkudniowem poszukiwaniu znalazłem niewielką równinę obok stromego, dość wysokiego, skalistego pagórka, którego ściana sterczała nad równiną prostopadle, jakby dom wysoki. W tej skalistej ścianie spostrzegłem wydrążenie, wyglądające jakby na otwór do jakiejś większej jaskini, której tam jednak nie było. W tem to miejscu postanowiłem zbudować zagrodę, i to pod samą ścianą skały, obok owego wydrążenia. Wybrana przezemnie równina, pokryta zieloną murawą, miała około sto kroków szerokości, a dwieście długości, zamknięta z jednego końca wyżej wspomnianym pagórkiem, opadała drugą stroną ku morzu. Zasłonięta od południowego wschodu, pogrążona była w cieniu przez większą część dnia, i dopiero zachodzące słońce padało na nią przez czas krótki.

»Koźlątko pobiegło za mną« (str. 44).

Przystępując do budowy, zakreśliłem przed samem wydrążeniem półkole, którego promień — licząc od skały — wynosił piętnaście kroków. Na obwodzie tego półkola wkopałem w ziemię dwa obok siebie rzędy wysokich pali, o wierzchołkach ostro ściętych. Przestrzeń wolną pomiędzy dwoma rzędami, wynoszącą może półtory piędzi, wypełniłem grubemi linami okrętowemi, układając je jedne na drugie. W ten sposób powstało silne ogrodzenie drewnianie, które podparłem jeszcze szeregiem niższych pali, wkopanych w ziemię od środka. Ogrodzenie to było obronne i nie łatwe do przebycia dla jakichkolwiek napastników, ale też wzniesienie jego kosztowało mnie nie mało pracy. Każdą sztukę drzewa musiałem sam w lesie zrąbać, przywlec na miejsce, ostrugać i wkopać w ziemię. Dla jednego człowieka był to przecie trud nielada. Nie urządziłem żadnego otworu, żadnych drzwi do mojej zagrody; dostawałem się do niej za pomocą drabinki, którą wciągałem zawsze za sobą, i dopiero w tedy czułem się już zupełnie

bezpieczny i mogłem spać spokojnie, nie lękając się niczego. Przekonałem się później, że tak wielka ostrożność była zbyteczna, i że na tej wyspie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Ukończywszy budowę zagrody, przeniosłem do niej całe moje bogactwo: zapasy żywności, broń, odzież, słowem wszystko, com zabrał i uratował z okrętu. Dla zabezpieczenia się od deszczów — bo w niektórych porach roku bywają one tu bardzo częste i ulewne — rozpiąłem w zagrodzie namiot i przykryłem go jeszcze żaglowem płótnem, namoczonem w smole które na statku znalazłem. Pod ten namiot zniosłem wszystko, coby się od deszczu zepsuć mogło; nadto rozpiąłem sobie tam rodzaj hamaku uplecionego z rogoży, i na nim już odtąd sypiałem. Zabrałem się następnie do powiększenia wydrążenia w skale. Wykopaną ziemię i kamienie wyrzucałem po za namiot, po pod ogrodzenie, z czego utworzył się wkrótce wał wewnętrzny wzdłuż całej palisady. Rozszerzone wydrążenie służyło mi za piwnicę.

Jeszcze zanim ukończyłem tę całą robotę, zaszedł wypadek, który mi nowego zajęcia przysporzył. Raz, w czasie silnej burzy, padł piorun niedaleko mego schronienia. Przeraziłem się, bo szybciej, niż błyskawica, nasunęła mi się obawa o moje prochy. Coby się ze mną stało, gdyby mi zabrakło tego środka obrony i dostarczania sobie żywności? Wcale mi to do głowy nie przyszło, że przecie utraciłbym życie, gdyby piorun w prochy uderzył! Pod wpływem tego przerażenia zaniechałem na razie wszelkich innych robót, a zająłem się robieniem woreczków i skrzynek, do których prawie półtrzecia cetnara prochu, podzielonego na sto części, pochowałem. Skrzynki umieściłem w bezpiecznych miejscach, ukryte między skałami, w dość znacznej od siebie odległości, aby w razie przypadku jedna od drugiej zapalić się nie mogła, i porobiłem znaki, abym mógł rozpoznać każdą kryjówkę. Tylko zamoczoną baryłkę prochu umieściłem w swej piwnicy. Zajęło mi to około dwóch tygodni czasu.

Pomimo tak wielu zatrudnień znajdowałem co dnia chwilkę czasu, aby wybiedz ze strzelbą tak dla rozrywki i polowania, jak i dla lepszego rozpatrzenia się na wyspie. Już w czasie pierwszej wycieczki odkryłem kozy i próbowałem na nie polować, ale bez skutku, bo zwierzęta te nadzwyczaj są ostrożne, czujne, rącze i zwinne. Tropiąc je, poznałem później ich ścieżki, co mi ułatwiło urządzanie na nie zasadzek. Pierwszy raz ubiłem kozę, która karmiła małe; zrobiłem to przypadkiem, strzelając do całego stada i sam bardzo żałowałem, że właśnie biedną matkę strzał mój ugodził. Biedne koźlątko stanęło obok nieruchome, a gdym kozę podniósł i założywszy sobie na plecy niósł ją do domu, pobiegło za mną. Przyszedłszy do zagrody, przerzuciłem kozę przez palisadę; zabrałem także koźle, chcąc je hodować, ale biedne zwierzątko nic jeść

nie chciało, musiałem je przeto zabić. To pierwsze polowanie dostarczyło mi pożywienia na długo.

Wkrótce okazała się potrzeba zbudowania pieca i urządzenia składu na drzewo opałowe. Zanim opowiem, w jaki sposób to urządziłem, muszę się przedewszystkiem wyspowiadać z myśli, które mię wówczas nie opuszczały.

Przyszłość moja przedstawiała mi się bardzo smutno. Straszliwa burza, co mię w te strony zagnała, oddaliła mię o setki mil od dróg

»Przynosił mi wszystko, co tylko mógł« (str. 47).

morskich, po których krążą kupieckie okręty. Łzami zachodziły mi oczy na myśl, że na tej bezludnej wysepce, pośród bezmiernego oceanu, samotne życie trzeba będzie zakończyć i taka żałość, taki ból ściskał mi serce, żem w pierwszej chwili bluźnił myślą, że niema za co dziękować Opatrzności, która taką smutną dolę zsyła na swe stworzenie, każąc mu ginąć tak bezradnie, a tak marnie. Ale pracująca myśl moja poczęła zwolna wyrywać się z pod gniotącej ją rozpaczy, i z innej strony położenie moje rozpatrywała. Wyszedłszy raz ze strzelbą na brzeg morski, pogrążyłem się w zwykłą zadumę nad swą niedolą.

Wtedy to budząca się w mej biednej głowie rozwaga zaczęła mi przedstawiać: Prawda, że znajdujesz się w rozpaczliwem położeniu, ale... przypomnij sobie tylko los twoich towarzyszów. Było was przecie jedenastu w łodzi; gdzież są tamci?... Czemu tamci zginęli?... czemuś ty jeden ocalał? czybyś wolał być tam... w głębinach oceanu?... Czyż w każdej niedoli nie trzeba o tem pamiętać, że mogłoby być jeszcze gorzej? Jak to? więc obok złego nic... dobrego cię nie spotkało? Pomyślałem sobie następnie, jakie to w tem nieszczęściu dla mnie szczęście, że okręt tak niedaleko brzegu osiadł na mieliźnie, co mi ułatwiło zabranie z niego tylu dobrych i pożytecznych rzeczy. I cobym ja był począł, gdyby burza była zaraz okręt zdruzgotała, a szczątki jego rozniosła na wsze strony? Otucha we mnie wstąpiła, gdym dalej pomyślał, żem przecie nie źle we wszystko zaopatrzony, że mam przecie odzież, żywność, dach nad głową, broń, naboje i narzędzia do pracy! I rzeczywiście miałem tego wszystkiego pod dostatkiem. Przytem na tyle już rozpoznałem wyspę, żem wiedział, iż będę mógł w przyszłości, jeżeli mi Bóg zdrowia użyczy, zdobywać pracą coraz więcej wygód i środków żywności.

Ale chcąc porządnie opowiedzieć smutne koleje mego samotnego życia na tej wyspie — czego może nikt nigdy nie zaznał — trzeba jeszcze wrócić do początku.

Na tę bezludną wyspę wyrzuciły mię fale morskie w dniu 30-ym września. U nas była wtedy jesień i czas zrównania dnia z nocą, tu zaś świeciło mi słońce prostopadle na głowę bo, podług moich obliczeń, znajdowałem się pod 9^0 22′ szerokości północnej. Po dziesięciu dniach pobytu przyszło mi na myśl, że w braku kalendarza, papieru, piór i atramentu mogę się mylić w rachubie czasu, i nie potrafię wkrótce odróżnić niedzieli od dni powszednich. Aby temu zapobiedz, wyrżnąłem nożem na czworograniastej belce następujący napis:

»Wylądowałem tutaj w dniu 30-ym września 1659 roku«.

Następnie wkopałem duży słup nad brzegiem morza w pobliżu miejsca, gdzie mię woda wyrzuciła i na słupie tym przybiłem wpoprzek ową belkę z napisem, z czego powstał jak gdyby duży krzyż. Na bokach wkopanego słupa karbowałem każdy dzień, zaś co siedem dni dawałem karbę dwa razy dłuższą na oznaczenie niedzieli, a każdego pierwszego dnia miesiąca wyrzynałem znak dwa razy dłuższy od karby niedzielnej. Tak powstał mój kalendarz oznaczający mi dnie, tygodnie, miesiące i lata.

Przepatrując i układając rzeczy przywiezione z okrętu, odkryłem między niemi kilka niezmiernie pożytecznych drobiazgów. I tak naprzykład niespodziewanie znalazłem: papier, pióra, atrament, dwa kompasy, lunetę, mapy i książki o żegludze. Znalazłem też przysłaną mi z Anglii bibliję, oraz kilka książek w portugalskim języku, a między

niemi książkę do nabożeństwa. Wszystko to schowałem bardzo starannie. Z rozbicia okrętu ocalały dwa koty i pies; o zwierzętach tych przyjdzie mi nieraz wspomnieć w ciągu tego opowiadania. Koty zabrałem z okrętu w czasie swej pierwszej wycieczki, a pies sam za mną wyskoczył i popłynął. Był on mi wiernym przyjacielem przez wiele lat, przynosił mi wszystko, co tylko mógł, zabawiał mię w samotności, rozumiał prawie mowę ludzką; gdybyż go tak można było nauczyć mówić! Ze znalezionego papieru i atramentu skorzystałem w ten sposób, żem zaczął zapisywać dla oszczędności wprawdzie krótko, ale dokładnie, każde ważniejsze zdarzenie. Pisałem, dopóki mi atramentu starczyło, później musiałem zaprzestać. Brakowało mi niektórych narzędzi. Nie miałem na przykład motyki, łopaty, kilofa, tak potrzebnych do robót ziemnych; nie miałem igieł i nici. Nie mogąc naprawiać bielizny, zniszczyłem ją bardzo prędko, a w końcu musiałem się bez niej obchodzić. Z braku narzędzi każda robota szła mi z wielką trudnością i bardzo powoli. Rok prawie cały pracowałem nad budową ogrodzenia. Ileż to trudu kosztowało mnie zrąbanie i przygotowanie słupów i pali. Trzech dni całych potrzebowałem zwykle na zrąbanie, ostruganie, przywleczenie i osadzenie jednej tylko sztuki. Ziemię kopałem z początku kawałkiem zaostrzonego drzewa, potem za pomocą żelaznego drąga.

Ta ciężka praca była mi wszakże dobrodziejstwem, bo mi wypełniała czas i chroniła od posępnych myśli; nigdym też na nią nie narzekał. Przynosiło mi także znaczną ulgę zapisywanie moich wrażeń i codziennych wypadków. W miarę, jak rozsądek brał górę nad rozpaczą, porównywałem złe z dobrem, i jakby rachunek kupiecki zapisywałem to tak:

ZŁE.	DOBRE.
Przebywam na pustej, bezludnej wyspie, nie mając żadnej nadziei wydostania się z niej kiedykolwiek.	Ale żyję i nie utonąłem, jak wszyscy moi towarzysze.
Oderwany jestem od całego świata i pędzić tu muszę dziwnie marny i smutny żywot.	Ale ja tylko jeden z całej załogi ocalałem, a Ten, co mi życie cudem zachował, może mię także i z tego rozpaczliwego położenia wybawić.
Pędzę życie pustelnicze, jak gdyby przez wszystkich ludzi na wygnanie skazany.	Ale przecie mimo to nie umieram z głodu.
Nie mam odzieży, aby ciało zakryć.	Ale mieszkam w krajach gorących, gdzieby mi ją trudno było nosić, choćbym jej miał pod dostatkiem.
Jestem bezbronny i nie mógłbym się oprzeć napadom dzikich ludzi, lub zwierząt.	Ale jestem na wyspie, gdzie nie widzę jednych ani drugich. Cóżby się ze mną było stało, gdyby mię los był wyrzucił na owe afrykańskie wybrzeża, pośród lwy, tygrysy i inne drapieżne zwierzęta?
Nie mam do kogo przemówić; nie ma, ktoby mię pocieszył.	Ale za to dobry Bóg pozwolił mi zabrać z rozbitego okrętu wiele pożytecznych rzeczy, za pomocą których będę mógł zaspokoić potrzeby życia mojego.

Z tego zestawienia przekonałem się, że mimo wszystkich nieszczęść, jakie mię spotkały, winienem Bogu jeszcze za wiele rzeczy dziękować. Pomyślałem także, że przykład mój i dla innych ludzi dobrąby mógł być nauką, jak w najgorszem położeniu znaleźć można niejedną pocieszającą stronę oraz, że w życiu ludzkiem zawsze więcej dobrego, niż złego. Uspokojony i pokrzepiony na duchu, pogodziłem się z losem, a to mi dodało otuchy. Nie tak już często spoglądałem na morze w oczekiwaniu okrętu, a natomiast zająłem się tem, co mi mogło ułatwić i uprzyjemnić pobyt na wyspie.

ROZDZIAŁ VI.

Sporządzam sobie najpotrzebniejsze sprzęty. — Kończę urządzenie zagrody. — Poluję. — Odkrycie zboża.

Opisałem już poprzednio swoje mieszkanie. Składało się z namiotu rozbitego u stóp skalistej ściany, otoczonego drewnianem ogrodzeniem o podwójnej palisadzie. Aby je uczynić bardziej jeszcze warownem, usypałem później na około wał z ziemi. W jakie półtora roku potem zbudowałem sobie rodzaj przykrycia z belek, opartych o skałę. Na taki dach narzuciłem jeszcze mnóstwo chrustu, gałęzi i t. d. i zabezpieczyłem się w ten sposób od deszczów, które tu w pewnych porach roku bywają nadzwyczaj ulewne. Z początku miałem wszystko w zagrodzie jeszcze w wielkim nieładzie. Rzeczy moje, nagromadzone bez żadnego porządku, zabierały tyle miejsca, żem się prawie nie mógł ruszyć. Usunąłem tę niedogodność, powiększając naturalne wydrążenie skały dla zyskania przestrzeni. Udało mi się to wybornie, bo skała była miękkim piaskowcem. Łamałem ją coraz głębiej, aż w końcu przebiłem na wylot, przez co uzyskałem dość miejsca na pomieszczenie rzeczy, a nadto drugie tajne wejście do zagrody.

Zająłem się dalej sporządzaniem rozmaitych sprzętów. Przedewszystkiem brak mi było stołu do pisania, to też z desek zabranych z okrętu zrobiłem sobie stół i krzesło. Robota ta poszła mi nadspodziewanie gładko. »Wiele może, kto musi« — tak też i ja przekonałem się, że wszystko prawie, co mi było potrzebne, potrafię zrobić własnoręcznie, mimo żem się przedtem nie uczył żadnego rzemiosła i nie miałem nigdy w ręku hebla, ani piły. Prawda, że przez niedostatek narzędzi traciłem dużo czasu na zrobienie najmniejszej rzeczy; ale cóż mi to szkodzić mogło, gdy tego czasu miałem i tak aż nadto. Gdy n. p. potrzebowałem deski, musiałem najpierw ściąć drzewo, potem

ociosać je siekierą z dwu stron, a wkońcu wygładzić cokolwiek heblem. W ten sposób z jednego drzewa, choćby było najgrubsze, otrzymywałem jedną tylko deskę, ale na to nie było innej rady. Z takich desek porobiłem sobie półki; ustawiłem je pod ścianami mego mieszkania i poukładałem na nich rozmaite drobiazgi: żelaziwo, gwoździe i t. d. W skalistą ścianę powbijałem różne haki, na których pozawieszałem strzelby i inne przedmioty. Po takiem uporządkowaniu mieszkanie moje zupełnie inaczej wyglądało i nie mogłem się dość nacieszyć jego widokiem: tak mi się wydało miłe i wygodne. Wtedy dopiero zacząłem pisać swój dziennik i prowadziłem go, dopóki mi starczyło atramentu i papieru, starając się zaznaczać tylko najważniejsze wydarzenia. To też, choć on obejmuje wiele rzeczy już opowiedzianych, przytaczam go tu, bo nie wiele miejsca zajmie.

MÓJ DZIENNIK.

30. Września 1659 roku. Ja, Robinzon Kruzoe, nędzny, nieszczęśliwy rozbitek, dostałem się na brzegi tej wyspy, zwanej przezemnie »wyspą rozpaczy«. Skutkiem straszliwej burzy okręt nasz uległ rozbiciu, wszyscy moi towarzysze utonęli, ja jeden, na pół żywy, wyrzucony zostałem na ląd. Bez schronienia, bez pożywienia, bez odzieży, bez broni, oczekiwałem śmierci głodowej, pożarcia przez drapieżne zwierzęta, lub zagłady z ręki dzikich ludzi.

Od 1. do 14. Października. Cały ten czas spędziłem na wycieczkach do rozbitego okrętu, skąd przywoziłem na tratwach rozmaite pożyteczne i potrzebne mi rzeczy. Wycieczki te odbywałem zwykle w czasie przypływu i odpływu morza. Rzadko sprzyjała mi pogoda. Widocznie była to właśnie pora deszczowa w tych okolicach.

15. Października. Całą noc i dzień cały padał deszcz ulewny. Zerwał się silny wicher, skutkiem tego okręt, widocznie do reszty rozbity, prawie znikł mi zupełnie z oczu. Cały ten dzień spędziłem na zabezpieczaniu rzeczy od deszczu.

16. Października. Cały ten dzień chodziłem po wybrzeżu, szukając miejsca stósownego na stałe mieszkanie. Pod wieczór dopiero znalazłem równinę obok wysokiej skały. Tutaj to postanowiłem zbudować sobie obronną zagrodę.

Od 17. do 30. Października. Znosiłem do nowo obranej siedziby wszystkie swoje bogactwa; namęczyłem się przy tem niezmiernie, bo deszcz padał nieustannie.

31. Października. Wyszedłem zrana, by się lepiej rozglądnąć po wyspie. Miałem z sobą strzelbę i zabiłem dziką kozę.

1. Listopada. Rozpiąłem namiot pod skałą i przenocowałem po raz pierwszy w mojem nowem mieszkaniu na rogoży, którą zawiesiłem na dwóch słupach; miałem więc bardzo wygodny nocleg.

2. Listopada. Wszystkie skrzynie, paki, belki, deski i kawałki drzewa ustawiłem w półkole, jakby rodzaj ogrodzenia.

3. Listopada. Wyszedłszy ze strzelbą, upolowałem dwa ptaki podobne do naszych kaczek; mięso ich było smaczne. Po południu zacząłem robić stół.

4. Listopada. Tego dnia rano ułożyłem sobie rozkład dziennych zajęć. Postanowiłem wybiegać każdego ranka na polowanie na dwie lub trzy godziny, następnie do jedenastej miałem pracować w domu, potem, posiliwszy się czemkolwiek, spać od 12 do 2 godziny; o południu bowiem upał, zwykle bardzo silny, ubezwładniał zupełnie i odbierał siły do pracy. Wieczór przeznaczony był na pracę. Tego dnia i następnych zajęty byłem robieniem stołu. Pierwsza ta praca szła mi dość ciężko; później wprawiłem się i zostałem wcale dobrym stolarzem. Tak to potrzeba może wszystkiego nauczyć.

5. Listopada. Dnia tego wyszedłszy na polowanie z psem, zastrzeliłem dzikiego kota; mięso jego było niesmaczne, ale futro śliczne. Ściągnąłem z niego skórę i zabrałem; tak zresztą robiłem z każdem upolowanem zwierzęciem. Przyszedłszy nad morze widziałem rozmaite nieznane mi gatunki morskiego ptactwa. Zdziwiłem się, a nawet przestraszyłem widokiem trzech fok; uszły one jednak do morza, zanim się im dokładnie przypatrzeć mogłem.

6. Listopada. Po rannej przechadzce wykończyłem ostatecznie stół, ale nie udał mi się. Dopiero znacznie później nabrałem wprawy w takich robotach.

7. Listopada. Ustaliła się piękna pogoda.

7. 8. 9. 10. i część 12. Listopada. (11. była niedziela). Robiłem stołek. Mimo, żem go kilka razy przerabiał, nie żałując trudu, nie udał mi się i był zupełnie brzydki. Zapomniawszy parę razy wyrżnąć karbę na słupie, straciłem wkrótce rachunek dni i nie wiedziałem napewno, kiedy wypada niedziela.

13. Listopada. Dnia tego padał deszcz ulewny, co mię orzeźwiło. Uderzyło kilka piorunów, wzbudzając we mnie przestrach o mój proch. Jak tylko burza przeszła, począłem dzielić cały zapas prochu na mniejsze i chować w różnych bezpiecznych miejscach.

14. 15. 16. Listopada. Zacząłem robić małe skrzynki na funt lub dwa najwięcej prochu. Wsypywałem do nich proch i umieszczałem je w rozmaitych suchych miejscach, daleko od siebie. Wtedy także zabiłem jakiegoś wielkiego, nieznanego mi, ptaka i miałem z niego doskonałe jedzenie.

17. Listopada. Tego dnia zacząłem łamać skałę obok namiotu, aby mieć więcej pomieszczenia. Przy tej robocie dawał mi się uczuć niezmiernie brak kilofa, jako też łopaty i taczek. Do łamania skały używałem żelaznego drąga.

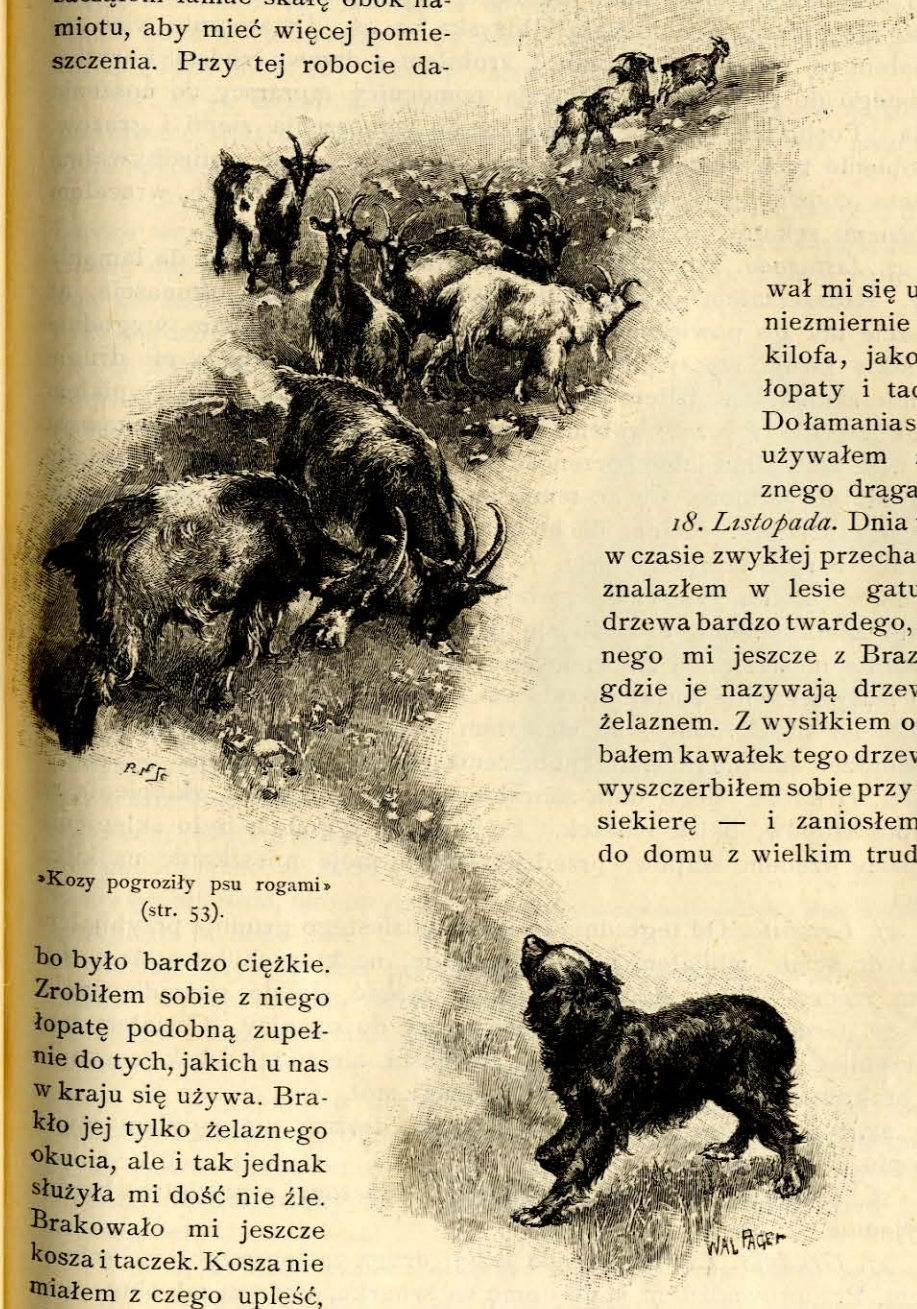

»Kozy pogroziły psu rogami« (str. 53).

18. Listopada. Dnia tego w czasie zwykłej przechadzki znalazłem w lesie gatunek drzewa bardzo twardego, znanego mi jeszcze z Brazylii, gdzie je nazywają drzewem żelaznem. Z wysiłkiem odrąbałem kawałek tego drzewa— wyszczerbiłem sobie przy tem siekierę — i zaniosłem je do domu z wielkim trudem, bo było bardzo ciężkie. Zrobiłem sobie z niego łopatę podobną zupełnie do tych, jakich u nas w kraju się używa. Brakło jej tylko żelaznego okucia, ale i tak jednak służyła mi dość nie źle. Brakowało mi jeszcze kosza i taczek. Kosza nie miałem z czego upleść, nie znalazłem bowiem

jeszcze wikliny, ani nic do niej podobnego. Zato miałem nadzieję zrobić taczki. Zabrawszy się jednak do tego, przekonałem się, że w żaden sposób nie potrafię zrobić koła i łożyska na oś. Ostatecznie więc zaniechałem tej roboty, a natomiast zrobiłem z drzewa rodzaj korytka, podobnego do tych, jakich używają pomocnicy murarscy do noszenia wapna. Posłużyło mi ono doskonale do wynoszenia ziemi i gruzów. Wyrobienie tych narzędzi zabrało mi cztery dni. Nie zaniedbywałem przytem codziennych wycieczek ze strzelbą i nigdy nie wracałem z próżnemi rękami.

23. Listopada. Powróciłem do przerwanej pracy, to jest do łamania skały. Rozszerzałem otwór i pogłębiałem przez dni ośmnaście, aż nareszcie tak go powiększyłem, że mogłem pomieścić tam wygodnie wszystkie swoje rzeczy. Przez wyłamanie skały przybyło mi drugie tyle mieszkania. Urządziłem sobie tam skład, kuchnię i piwnicę. Sypiałem jednak zwykle i przebywałem w namiocie. Dopiero, gdy nastawała pora deszczowa, musiałem przenosić się pod skałę, bo woda przeciekała przez płótno namiotu. Chcąc temu zapobiedz, przykryłem później całe moje ogrodzenie rodzajem dachu z belek, na które nakładłem gałęzi, a na nie bardzo szerokich liści.

10. Grudnia. W chwili właśnie, gdym ukończył pracę około powiększenia jaskini, osunęło się dużo ziemi z jednego boku skały; widocznie musiałem ją za wiele podebrać. Przestraszyłem się bardzo, bo o mały włos nie zostałem żywcem zagrzebany. Wydarzenie to przyczyniło mi dużo roboty, bo musiałem czyścić jamę z gruzów i ziemi i podeprzeć sklepienie dla zapobieżenia nowym wypadkom.

11. Grudnia. Tego dnia zabrałem się do podparcia sklepienia za pomocą słupów, belek i desek. Po upływie tygodnia było sklepienie podparte rzędem słupów, przedzielających moje mieszkanie na kilka części.

17. Grudnia. Od tego dnia aż do dwudziestego grudnia przybijałem półki do ścian, wbijałem haki i gwoździe, na których wieszałem rozmaite rzeczy. Teraz dopiero mogłem zabrać się do porządkowania.

20. Grudnia. Poznosiłem wiele rzeczy do piwnicy. Chciałem tam poprzybijać półki na przechowanie żywności, ale że mi desek zaczynało już brakować, zrobiłem sobie tylko drugi stół.

24. 25. Grudnia. Bez przerwy padał deszcz; nie mogłem wyjść z domu.

26. Grudnia. Deszcz ustał; ziemia odświeżona, a powietrze bardzo przyjemne.

27. Grudnia. Zabiłem młodą kozę, drugą zaś postrzeliłem i schwytałem. Przyprowadziłem ją do domu na sznurku, poczem tak skutecznie opatrzyłem jej skaleczoną ratkę, że się wyleczyła i dobrze chodzić

mogła. Oswoiła się wkrótce ze mną, pasła się swobodnie na trawie przed mieszkaniem i wcale nie uciekała. To nasunęło mi myśl hodowania domowych zwierząt, aby sobie zapewnić żywność nawet w takim razie, gdyby mi kiedy prochu i śrutu zabrakło.

28. do 31. Grudnia. Panował upał, nie studzony nawet najlżejszym powiewem wiatru; wychodziłem dopiero wieczorem na polowanie. Dnie spędzałem na porządkowaniu swoich rzeczy.

1. Stycznia. Upał jeszcze większy. Wybiegałem jednak ze strzelbą bardzo wczesnym rankiem i wieczorem. Tego wieczora zapuściłem się trochę dalej w głąb wyspy i w dolinie jednej napotkałem całe stado kóz, ale żadnej nie zabiłem, bo były bardzo płochliwe.

2. Stycznia. Wyszedłem na kozy z psem, przypuszczając, że mi się lepiej powiedzie; ale napróżno. Kozy pogroziły psu rogami, ten zaś zwąchawszy niebezpieczeństwo, wcale się do nich zbliżyć nie chciał.

3. Stycznia. Zacząłem budowę ogrodzenia z pali. Obawiając się wciąż niespodziewanych napaści, starałem się uczynić je jak najbardziej obronnem. *Uwaga:* Cały ten ustęp dziennika opuszczam, nie chcąc powtarzać tego, com już poprzednio napisał; dodam tylko, że zacząwszy budowę 3. stycznia, ukończyłem ją dopiero 14. kwietnia.

»Znalazłem gniazdo dzikich gołębi w skale«.

Przez cały ten czas pracowałem bez przerwy i z wielkiem natężeniem; wypoczywałem tylko wtedy, gdy deszcz padał. Obawa i chęć zupełnego zabezpieczenia się podniecała mnie do gorliwej pracy. Nie wiem, czy kto zrozumie, ile mię owe roboty trudów kosztowały, jak ciężko mi przychodziło obrobienie i wkopanie każdego pala. Gdym ukończył budowę ogrodzenia, przekonałem się z zadowoleniem, że gdyby nawet kiedy ludzie jacy przybyli na tę wyspę i odkryli to miejsce, nie przyszłoby im z pewnością na myśl, że służy ono komu za schronienie.

I w tym także czasie robiłem codzienne myśliwskie wycieczki, a na nich rozmaite odkrycia. I tak naprzykład znalazłem pewien gatunek dzikich gołębi, gnieżdżących się w szczelinach skał, a nie na drzewach,

jak u nas. Korzystając z łatwego dostępu do gniazd, zabrałem kilkoro młodych i próbowałem hodować je u siebie; gdy im jednak skrzydła podrosły, uciekły. Nieraz jeszcze potem takie gniazda wybierałem, bo młode gołąbki były bardzo smaczne.

Im więcej się zagospodarowywałem, tem więcej uczuwałem brak rozmaitych naczyń. Zwykle starałem się zaradzić temu, robiąc je sobie, jak mogłem i umiałem, ale z niektóremi nie mogłem nigdy dojść do ładu. I tak nie mogłem zrobić beczki ani obręczy, mimo, że miałem na wzór kilka małych baryłek, zabranych z okrętu. Próbom tym poświęciłem kilka tygodni, ale nie potrafiłem zbić tak dobrze klepek, aby woda nie przeciekała, ani porządnie dna wprawić. Zmarnowałem tylko dużo czasu i ostatecznie porzuciłem tę robotę.

»Ujrzałem ze zdumieniem dziesięć kłosów jęczmienia« (str. 55).

Wieczorem było mi bardzo źle bez światła. Jak tylko mrok zapadał, musiałem kłaść się spać, nie wiedząc, co z sobą począć. Po niejakim czasie zebrałem tłuszcz z zabitej kozy i napełniwszy nim glinianą miseczkę, którą sam zrobiłem i na słońcu wysuszyłem, wetknąłem w środek tłuszczu knot, zrobiony z rozplecionego sznurka. Zapaliwszy ową lampkę przekonałem się, że pali się wcale nieźle i może mi zastąpić świece. Odtąd używałem jej wieczorami, a nawet pracowałem przy niej.

Raz przeglądając swoje rzeczy, znalazłem między niemi niewielki worek z ziarnem rozmaitem, zabranem niegdyś na okręt dla karmienia drobiu. Worek potrzebny mi był wówczas na proch, a ziarno nadpsute i pogryzione przez szczury

wydało mi się na nic nie przydatne; wysypałem je więc na ziemię w pobliżu mojej skały. Wkrótce potem zaczęły padać deszcze, ja zaś o wysypanem ziarnie zupełnie zapomniałem. Po miesiącu może zauważyłem zieloną jakąś roślinkę wschodzącą w pobliżu skały. Nie przypatrywałem się jej bliżej, aż po jakimś czasie ujrzałem ze zdumieniem, że to dziesięć do dwunastu kłosów naszego jęczmienia. Nie potrafię opisać głębokiego wzruszenia, jakiego doznałem na widok tych kłosów, przypominających mi tak żywo kraj rodzinny. Dotąd nie umiałem zapatrywać się poważnie na życie i wszystko uważałem za ślepy przypadek, nie przywiązując do niczego głębszego znaczenia. Gdym jednak tak niespodzianie ujrzał zielony jęczmień, wyrosły nie wiadomo skąd, w kraju, gdzie się zwykle nie rodzi, uwierzyłem prawie, że Pan Bóg ten cud umyślnie dla mnie uczynił i uczułem w sercu nieograniczoną wdzięczność za Jego miłosierdzie nademną. Gdym zaś w pobliżu jęczmienia odkrył jeszcze kilka rosnących kłosów ryżu, wówczas zdziwienie moje nie miało granic. Coraz więcej przeświadczony o cudzie, zacząłem starannie przeszukiwać wszystkie zakątki pod skałą w nadziei, że coraz to nowe gatunki zbóż odkrywać będę. Wtem przypomniałem sobie, że właśnie w tem miejscu wysypałem był przed kilku tygodniami woreczek z ziarnem. W jednej chwili znikła moja wiara w cudowność owego wydarzenia, a co gorsza, znikła jednocześnie i wdzięczność moja względem Najwyższego. Nie zastanowiłem się niebaczny, że chociaż na pozór mniej zadziwiające, zdarzenie to przecież było cudowne. Nie byłoż to wyraźną łaską Opatrzności, że wśród ziarna pogryzionego przez szczury, które wyrzuciłem jako zupełnie niepotrzebne, znalazło się jednak kilka zdrowych, że padły one właśne pod skałą w miejscu cienistem, gdzie zejść i rozwinąć się mogły, że rzucone gdzieindziej, byłyby przepadły. Uwagi te jednak nasunęły mi się dopiero znacznie później. Pod koniec czerwca zebrałem starannie wszystkie kłosy, wykruszyłem z nich ziarna, mając zamiar zasiać je dla otrzymania większej ilości jęczmienia. Cieszyłem się już z góry nadzieją smacznego chleba, na który jednak miałem jeszcze długie cztery lata czekać. Przyczyną tego opóźnienia była utrata całego jednego zasiewu; ziarno bowiem rzucone w ziemię w niestósownej porze, to jest w czasie posuchy, nie zeszło mi wcale. Gdy nareszcie doczekałem się owej mąki i chleb z niej wypiekać mogłem, używałem go bardzo oszczędnie, jak najkosztowniejszego przysmaku. Oprócz jęczmienia znalazłem także — jak to już wspomniałem — dwadzieścia do trzydziestu kłosów ryżu. Zebrałem je równie starannie, jak tamte, a po zebraniu później większego plonu, gotowałem ryż jako potrawę; z czasem nauczyłem się robić z niego także mąkę.

Ale powracam do mego dziennika.

ROZDZIAŁ VII.

Trzęsienie ziemi. — Ponowne wyprawy na okręt.

Prawie cztery miesiące pracowałem bardzo gorliwie nad wzniesieniem ogrodzenia, i *14. kwietnia* skończyłem je zupełnie. Nie zostawiłem żadnego wejścia, ani drzwi; postanowiłem wchodzić do mieszkania za pomocą wciąganej drabinki, by z zewnątrz ani śladu mego mieszkania nie było.

16. Kwietnia. Dzisiaj skończyłem robotę drabinki. Wszedłszy po niej do zagrody, wciągnąłem ją za sobą i uczułem się zupełnie bezpieczny.

W dwa dni po ukończeniu tej roboty zdarzył się wypadek, który omało nie zniszczył całej mojej pracy i mnie samego życia nie pozbawił. Tak się rzecz miała. Stojąc u wejścia pod skałę, ujrzałem z przerażeniem, że sklepienie rysuje się i pęka. Ziemia zaczęła się z góry osuwać, a dwa słupy, podtrzymujące sklepienie, zgniecione i złamane runęły. W pierwszej chwili myślałem, że to tylko takie samo usunięcie się skały, jak za pierwszym razem. By uniknąć zasypania lecącym gruzem, uciekłem co żywo z mieszkania i po drabince przedostałem się po za ogrodzenie. Wtedy dopiero zrozumiałem, że to było trzęsienie ziemi. Powtórzyło się ono jeszcze trzy razy w odstępach kilku minut, a było tak silne, że obalićby mogło najtrwalsze budynki. O pół mili odemnie ogromna skała nadbrzeżna runęła w morze z nieopisanym łoskotem. Morze wzburzyło się; widocznie dno jego ulegało silniejszemu jeszcze wstrząśnieniu, niż grunt wyspy. Stałem na wpół martwy, oszołomiony straszliwem, pierwszy raz w życiu widzianem zjawiskiem. Zrobiło mi się słabo, jak przy morskiej chorobie, i dopiero łoskot spadającej skały powrócił mi przytomność. Przekonany byłem, że pagórek mój runął a namiot i wszystko, co posiadałem, legło pod gruzami. Ale, gdy po trzeciem wstrząśnieniu nowe już nie przychodziły, nabrałem trochę otuchy, choć nie miałem jeszcze odwagi powrócić do zagrody. Siadłem bezradny na ziemi, nie wiedząc, co począć. Przez ten cały czas ani razu nie potrafiłem wznieść ducha ku Bogu. Raz tylko wyszeptałem »Boże! zmiłuj się nademną!« ale i o tem zapomniałem, gdy trzęsienie ustało. Tymczasem niebo pokryło się chmurami. Wkrótce zerwał się wicher. Wzmagając się z każdą chwilą, przemienił się w huragan, spiętrzył bałwany morskie, bił nimi wściekle o brzegi, drzewa z korzeniami wyrywał. Trwało to ze trzy godziny, potem ucichło i zaczął się deszcz ulewny. Przez cały ten czas siedziałem na ziemi

jak nieprzytomny. Aż wkońcu przyszło mi na myśl, że ta burza jest skutkiem trzęsienia ziemi, że zatem ono samo musiało już przeminąć, że więc mógłbym wrócić do swego mieszkania. Nie mając suchej nitki na sobie, schroniłem się do namiotu, ale i ztamtąd wygnała mię przeciekająca woda. Uciekłem do groty nie bez obawy, że mi się jej sklepienie lada chwila zawali na głowę. Deszcz tak bardzo zalewał mi mieszkanie, że musiałem na prędce kanał przez ogrodzenie zrobić, aby dać odpływ wodzie. Trzęsienie ziemi już się nie powtórzyło; uspakajałem się więc coraz więcej, a chcąc nabrać więcej jeszcze odwagi, udałem się do mojej śpiżarki i łyknąłem trochę rumu. Trzeba wiedzieć, że specyału tego używałem w rzadkich tylko wypadkach, wiedząc, że go znikąd nie dostanę, gdy mi się raz wyczerpie. Deszcz padał jeszcze przez całą noc i dzień następny tak, że nie mogłem wychodzić.

»Ostrzyłem swoje narzędzia« (str. 58).

Gdym się trochę uspokoił, zacząłem się zastanawiać nad tem, co mi teraz czynić wypadnie. Jeżeli wyspa ulega powtarzającym się trzęsieniom ziemi, to nie należało mieszkać w jaskini, gdzie za każdym takim wypadkiem groziło mi zasypanie. Postanowiłem więc zbudować sobie chatkę gdzieś na otwartem miejscu i oszańcować ją podobnie, jak namiot i jaskinię. Zajęty takiemi myślami, szukałem miejsca na nową siedzibę przez 19-sty i 20-sty kwietnia. Obawa ponownego trzęsienia ziemi nie dawała mi spać spokojnie, ale jeszcze bardziej obawiałem się nocować pod gołem niebem, bez żadnej osłony. W takiem usposobieniu trwałem czas jakiś. Zwolna jednak zacząłem się uspakajać, a patrząc na swoje zaciszne i wygodne mieszkanie, coraz

mniej miałem ochoty do przenosin, zwłaszcza, że na to tyle znowu czasu byłoby potrzeba. Wkońcu umyśliłem zrobić nowe oszańcowanie, takie samo, jak dawne, i przenieść się do niego z namiotem. Chwilowo jednak miałem zostać na miejscu. Postanowienie to powziąłem dnia *21. kwietnia.*

22. Kwietnia. Rozmyślałem od rana, w jaki sposób zabrać się do roboty. Brakowało mi narzędzi. Wprawdzie miałem trzy duże topory i dość siekierek, zabranych niegdyś na okręt dla wymiennego handlu z dzikimi, ale wszystkie stępiły się i wyszczerbiły przy rąbaniu twardego drzewa; a chociaż miałem i duży kamień ślifierski do ostrzenia, to znowu nie miałem urządzenia do obracania go. Po długich namysłach doszedłem nareszcie sposobu i umocowałem kamień tak, żem go mógł obracać zapomocą korby poruszanej nogą i mając ręce swobodne. Cały tydzień pracowałem nad zbudowaniem tej maszyny. Żałowałem bardzo, żem się nigdy nie przypatrywał podobnym przyrządom w Anglii.

28. i 29. Kwietnia. Przez oba te dni ostrzyłem swoje narzędzia i przekonałem się, żem warsztat ślifierski dobrze urządził.

30. Kwietnia. Zauważyłem, że wyczerpuje się mi zapas sucharów. Postanowiłem spożywać dziennie tylko po małym kawałeczku. Serce mi się ścisnęło na myśl, że może mi ich wkrótce zupełnie zabraknie.

1. Maja. Spojrzawszy rano w stronę morza w czasie odpływu, dostrzegłem na brzegu coś podobnego do wielkiej beczki. Podszedłszy bliżej, przekonałem się, że było to kilka szczątków z rozbitego okrętu, wyrzuconych tu przez ostatnią burzę; obok była mała baryłka. Rozglądnąłem się dalej i zobaczyłem także kadłub okrętu, wystający z wody i to o wiele wyżej, niż poprzednio. Beczułka napełniona była zamoczonym prochem, który stwardniał, jak kamień. Wytoczyłem ją wyżej i umieściłem w bezpiecznem miejscu, sam zaś, brnąc w piasku, zbliżyłem się do sterczącego kadłuba. Doszedłszy do niego, zauważyłem, że zmienił zupełnie położenie. Przód okrętu, dawniej zagrzebany w piasku, sterczał teraz ponad wodę, tył zaś, roztrzaskany i oderwany od całości, leżał bokiem zaryty w ziemię. Co więcej, gdy dawniej płynąć musiałem prawie ćwierć mili, chcąc dostać się do statku, obecnie mogłem dojść do niego prawie suchą nogą, zwłaszcza po odpływie. Zmiana ta musiała nastąpić skutkiem trzęsienia ziemi. Wtedy zapewne burza zgruchotała okręt do reszty, a morze wyrzucało na brzeg coraz to nowe jego części. Porzuciłem na razie zamiar budowania nowego mieszkania, a cały zająłem się myślą, w jaki sposób mógłbym dostać się raz jeszcze do wnętrza okrętu. Na pozór było to niemożliwe, kadłub bowiem wypełniony był piaskiem. Ale przywykły niczem się nie zrażać, postanowiłem odrywać z niego kawałek po kawałku wiedząc, że najmniejsza cząstka uratowana przydać mi się na coś może.

3. Maja. Zacząłem od przepiłowania grubej belki, która, jak mi się zdawało, podtrzymywała górną część pomostu. Dokonawszy tego, zacząłem usuwać nagromadzony tam piasek, ale nadchodzący przypływ zmusił mnie do odwrotu.

4. Maja. Poszedłem z wędką na ryby, ale nie miałem szczęścia. Znudzony niepowodzeniem, miałem już zaprzestać, gdym wyciągnął młodego delfina. Nieraz już przedtem zabawiałem się rybołowstwem. — Złowione ryby suszyłem na słońcu i tak ususzone zjadałem.

5. Maja. Dziś znowu pracowałem na kadłubie; przepiłowałem drugą belkę i wydobyłem z pokładu trzy duże deski sosnowe, związałem je i zrzuciłem razem na morze. Przypływ zaniósł mi je do brzegu.

6. Maja. Znowu pracowałem koło kadłuba. Wydobyłem z niego dosyć gwoździ, nitów i rozmaitego żelaziwa, ale tak się przytem zmęczyłem, żem postanowił na jakiś czas zaniechać tej roboty.

»Wyciągnąłem młodego delfina«.

7. Maja. Przybyłem na okręt, ale bez zamiaru pracowania. Zobaczyłem, że skutkiem przepiłowania przezemnie głównych belek, zaczyna się sam rozpadać. Wiele oderwanych części leżało naokoło a wnętrze było otwarte, lecz pełne wody i piasku.

»Znalazłem na wybrzeżu dużego żółwia« (str. 61).

8. Maja. Przyniosłem z sobą żelazny drąg, chcąc dalej rozbierać pokład wolny już od piasku i wody. Wydobyłem znowu dwie deski. Niesione przypływem, dostały się na brzeg tak samo, jak poprzednie. Drąg zostawiłem na statku.

9. Maja. Dziś także byłem na statku. Żelaznym drągiem próbowałem jego wnętrza i natrafiłem na kilka beczek. Wydobyłem je, ale otworzyć nie mogłem. Znalazłem także duży krąg angielskiego ołowiu, ale nie mogłem go z miejsca poruszyć; tak był ciężki.

10. do 14. Maja. Chodziłem codzień do okrętu i wydobywałem z niego mnóstwo desek, belek i kawałków drzewa; zabrałem także przeszło dwa centnary żelaziwa.

15-go Maja. Zabrałem z sobą dwie siekiery, chcąc urąbać kawał ołowiu, ale nie dałem rady, bo ołów leżał w wodzie za głęboko.

16-go Maja. Gwałtowny wicher dął przez całą noc i rozbił okręt do reszty. Tak mi się przynajmniej wydało, patrząc z daleka. Za długo chodziłem za gołębiami po lesie, a później silny przypływ przeszkodził mi w zwykłej wycieczce na okręt.

17. Maja. Dziś w odległości dwóch mil od swego mieszkania znalazłem kawałki przodu okrętu, wyrzucone na ląd. Nie mogłem ich wszakże zanieść do domu, bo były za ciężkie.

24. Maja. Przez cały ten tydzień rozbijałem codziennie drągiem żelaznym części okrętu. Wydobyłem kilka skrzyń należących niegdyś do majtków i kilka beczek. Popłynęły one z prądem w czasie przypływu morza, ale że wiatr dął od brzegu, nie dostały się dnia tego na ląd. Fala wyrzuciła tylko parę kawałków drzewa i beczkę wieprzowiny zupełnie już zepsutej.

Aż do *15. Czerwca* pracowałem wciąż koło okrętu. Tylko w czasie przypływu chodziłem na polowanie, lub też w jaki inny sposób szukałem pożywienia. Nagromadziłem przez ten czas tak wiele drzewa, desek i wszelkiego rodzaju żelaziwa, że miałem już z czego zrobić porządną łódź. Nie wiedziałem tylko, jak się do tej roboty zabrać. Udało mi się też prawie centnar ołowiu odrąbać.

16. Czerwca. Dzisiaj znalazłem na wybrzeżu dużego żółwia. Nie wiedziałem, że z drugiej strony wyspy można ich było napotkać całe setki. Znacznie później miałem się o tem przekonać, ale odkrycie to miało mnie drogo kosztować.

17. Czerwca. Ugotowałem żółwia. Po koźlem i ptasiem mięsie wydał mi się dziwnie delikatny i smaczny.

ROZDZIAŁ VIII.

Choroba. — Skrucha i żal.

Przez cały *18. Czerwca* padał deszcz. Siedziałem w domu. Zdawało mi się, że deszcz był jakiś bardzo chłodny tak, że zziąbłem; nie zwykła to rzecz w tym gorącym klimacie.

19. Czerwca. Byłem czegoś nie swój; zziąbłem jak gdyby na mrozie.

20. Czerwca. Nie spałem całą noc; miałem gorączkę i ból głowy.

21. Czerwca. Czułem się coraz gorzej. Myśląc z trwogą o swojej zupełnej samotności, zacząłem się modlić po raz pierwszy od czasu burzy, przebytej pod Hull. Modliłem się w gorączce, nie wiedząc, co mówię, bo myśli plątały mi się w głowie.

22. Czerwca. Było mi trochę lepiej, bałem się jednak, aby nie popaść w ciężką chorobę.

23. Czerwca. Znowu gorzej. Powróciły dreszcze, gorączka i silny ból głowy.

24. Czerwca. Czułem się znacznie lepiej.

25. *Czerwca.* Przez całe siedem godzin miałem na przemian gorączkę to dreszcze; pod koniec poty.

26. *Czerwca.* Trochę lepiej. Choć byłem bardzo osłabiony, wybrałem się na polowanie, bo nie miałem nic do jedzenia. Zabiłem kozę, przywlokłem ją z trudnością do domu i upiekłem kawałek przy ogniu. Lepiejby mi smakował rosół, ale nie miałem go w czem ugotować.

27. *Czerwca.* Gorączka powróciła. Leżałem cały dzień, nie jedząc nic i nie pijąc. Dokuczało mi straszne pragnienie, ale zbyt byłem osłabiony, aby pójść po wodę. Pod wieczór było mi znowu gorzej; próbowałem modlić się, ale nie umiałem zebrać myśli i wołałem tylko niekiedy »Panie! wejrzyj na mnie! Boże, zmiłuj się nademną!« W takim stanie byłem ze trzy godziny, potem gorączka zelżała i zasnąłem twardo. Obudziwszy się w nocy, czułem się znacznie lepiej, tylko znów dręczyło mnie pragnienie, a wody nie miałem przy sobie; postanowiłem czekać cierpliwie do rana i znowu zasnąłem.

Miałem straszny sen: Śniło mi się, że siedzę poza ogrodzeniem w tem samem miejscu, gdziem się znajdował w czasie trzęsienia ziemi. Nagle ujrzałem człowieka wychodzącego z czarnej chmury, otoczonego świetlanem kołem, od którego cała ziemia dziwnym zajaśniała blaskiem. Wzrok jego był tak groźny, żem nie śmiał spojrzeć na niego. Zaledwie stopą dotknął ziemi, zadrżała ona w posadach tak samo, jak wtedy, a ogniste błyskawice przerzynać zaczęły powietrze. Człowiek ów szedł ku mnie z włócznią w wyciągniętej ręce, jak gdyby chciał mnie śmiertelnie ugodzić. Zatrzymawszy się na poblizkim pagórku, zaczął mówić do mnie grzmiącym głosem, z czego tylko to zapamiętałem: »Skoro wszystko to, coś przeszedł nie wzbudziło w twem sercu skruchy i żalu za grzechy — umieraj!« i podniósł włócznię, chcąc mnie życia pozbawić. Strach śmiertelny przeniknął mnie do głębi, a choć się przebudziłem, nie mogłem z niego ochłonąć.

Niestety! W sercu mojem przez matkę zaszczepiona wiara osłabła, przekonania i praktyki religijne, sam nie wiem kiedy, poczęły niknąć i zniknęły. Stało się to wszystko w przeciągu tych ośmioletnich podróży morskich. W ustawicznem obcowaniu z ludźmi bez wiary i przekonań religijnych stałem się do nich zupełnie podobny. Nie przypominam sobie, czy choć raz jeden robiłem w tym czasie obrachunek ze sumieniem, czy zdawałem sobie sprawę z mego życia i swoich uczynków; nie przypominam, czy choć raz jeden dusza moja próbowała wznieść się do swego Stwórcy, modlić się! Oschłego serca, nie robiący różnicy między dobrem a złem, między cnotą a występkiem, żyłem bezmyślnie. Ani razu nie przyszło mi do głowy, że niepowodzenia, jakich doznaję, muszą być skutkiem obrania błędnej drogi, że nieszczęścia, w jakie popadłem, są karą za me przewinienia i grzechy. Nie podziękowałem Bogu ani razu za ratunek

w nieszczęściu, bo nie zastanowiłem się, że to tylko ręka Opatrzności mogła mnie była wyprowadzić z niewoli w Sale i poprowadzić wzdłuż afrykańskich wybrzeży do portugalskiego statku. Po rozbiciu okrętu, gdy mię fale wyrzuciły na brzeg tej wyspy, drgnęła wprawdzie dusza moja, ale nie doszła do poznania, że to nowy dowód wielkiej dobroci Miłosierdzia Bożego. I na tej tu już wyspie, skoro

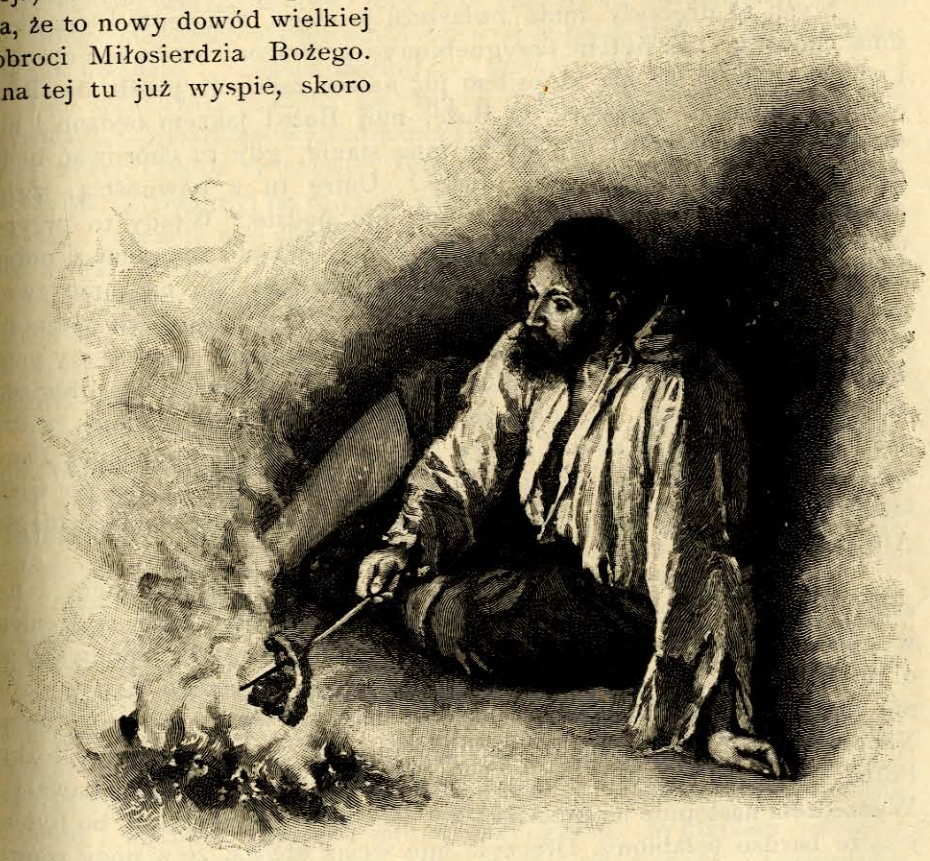

»Upiekłem kawałek koźliny« (str. 64).

tylko się przekonałem, że z głodu nie umrę, żyłem sobie spokojnie, pamiętając o potrzebach jedynie i tylko ciała. Niespodziewane odkrycie zboża wywarło na mnie silne wrażenie, dopóki wierzyłem w jego cudowność. To samo było i z trzęsieniem ziemi. Zjawisko to najstraszniejsze chyba w naturze i najdobitniej stwierdzające wszechmocną potęgę niewidzialnej ręki, co kieruje sprawami tego świata, przeraziło mnie niewymownie i wzbudziło obawę gniewu Bożego. Ale gdy pierwszy strach przeminął, zapomniałem rychło o wszystkiem. Dopiero w czasie choroby, gdym ujrzał przed sobą blizkie, groźne widmo śmierci, gdy duch mój

upadać począł, a siły ciała zniszczyła gorączka, dopiero wtedy zbudziło się we mnie śpiące dotychczas sumienie. Wówczas dopiero zrozumiałem, że wszystko, co mnie dotąd spotkało, było słuszną karą za lekkomyślność moję i zatwardziałość w grzechu, że sam ściągnąłem na siebie surowe, ale sprawiedliwe wyroki Niebios.

Myśli te dręczyły mnie zwłaszcza w ciągu drugiego i trzeciego dnia choroby. Tak byłem przygnębiony i przerażony swoją samotnością i obawą śmierci, że nie zanosiłem już nawet żadnych próśb do Boga a tylko wołałem żałośnie: O Boże, mój Boże! jakżem nędzne i nieszczęśliwe stworzenie! cóż się ze mną stanie, gdy tu chorować będę, nie mając przy sobie żywej duszy? Umrę tu z pewnością, zginę marnie a nikt wiedzieć nawet o tem nie będzie. Wtedy to przypomniałem sobie prorocze słowa ojca i gorzko płakać zacząłem a potem zawołałem na głos: Ojcze drogi, oto sprawdziły się na mnie twoje przepowiednie. Nie umiałem być wdzięczny Opatrzności za tysiączne łaski, jakiemi mnie Nieba obsypały; zato dziś samotny, opuszczony przez wszystkich, na niczyją pomoc liczyć nie mogę. Wzgardziłem błogosławieństwem rodziców, nie dbałem na łzy ich dla mnie wylane, a dziś sam opłakiwać muszę skutki swego szaleństwa. O wspomóż mnie, Panie Boże mój, bo jestem bardzo nieszczęśliwy! Pierwszy to raz po wielu latach uczułem skruchę w sercu i szczera modlitwa z ust mych wybiegła. Ale powracam do mego dziennika.

28. Czerwca. Wstałem wzmocniony pokrzepiającym snem i nie czując gorączki. Byłem jeszcze bardzo wzruszony strasznem widzeniem we śnie. Spodziewając się nowego napadu gorączki, pomyślałem o przyrządzeniu sobie orzeźwiającego i wzmacniającego napoju, aby nie cierpieć z powodu pragnienia tak bardzo, jak poprzedniej nocy. Napełniłem dzbanek wodą zmieszaną z rumem i postawiłem przy łóżku. Potem upiekłem kawałek koźliny, ale mogłem zjeść tylko mały kawałek. Wyszedłem następnie na przechadzkę, lecz bawiłem niedługo, bo byłem jeszcze bardzo osłabiony. Dręczyła mię wciąż obawa, że w nocy znowu gorączki dostanę. Powróciwszy do domu, upiekłem w gorącym popiele trzy żółwie jaja na wieczerzę i po raz pierwszy od wielu lat pomodliłem się przed jedzeniem. Próbowałem znowu wyjść na przechadzkę, ale byłem tak osłabiony, żem nie mógł podźwignąć strzelby, bez której nigdy nie wychodziłem. Usiadłem więc na ziemi niedaleko mieszkania. Gdym patrzył na morze zaczęły mi się nasuwać różne myśli:

Czemże jest to morze, którego tyle już widziałem? czem ziemia? Skąd się wzięły? Czem ja jestem? czem inni ludzie cywilizowani i dzicy? Oczywiście musiała nas powołać do życia ta sama nieśmiertelna Moc, która stworzyła ziemię i morze, powietrze i niebiosa. Ale gdzie ona jest?... Kto nią jest?... Naturalnie Bóg!... Tak Bóg stworzył to

wszystko!... Skoro stworzył, to musi mieć władzę i moc rządzenia i kierowania tem wszystkiem... rządząc zaś i kierując, musi o wszystkiem wiedzieć... Zatem bez Jego wiedzy i woli nic dziać się nie może na świecie! Wie o wszystkiem... przeto wiedzieć musi i o mnie... i o mej nieszczęśliwej doli... Wbrew Jego woli stać się to nie mogło!... Więc z Boskiego dopuszczenia jestem na tej wyspie rozpaczy!... Ale dlaczego Bóg tak zrządził?... cóżem zawinił?... czem na to zasłużyłem?...

W tej chwili ruszyło się znowu moje sumienie i poczęło mi wyrzucać:... Nieszczęśliwy człowiecze! pytasz, coś zawinił, coś zrobił?... pytaj raczej, czegoś ty w swem życiu nie zrobił, pytaj, czy na co innego zasłużyłeś!... Spojrzyj na to życie zmarnowane, spojrzyj w przeszłość!... Zapytaj... czemuś nie utonął w przystani pod Jarmut?... czemuś nie padł z ręki korsarzy, gdy pod Sale okręt wasz zdobywali?... czemu cię nie pożarły drapieżne zwierzęta na afrykańskich wybrzeżach?... czemuś nie poszedł na dno morza u brzegów tej wyspy tak, jak twoi towarzysze?... Nie bluźnij, biedny grzeszniku! Nie surowości, ale łaski i miłosierdzia doznawałeś zawsze!

Smutny wróciłem do zagrody. Wzruszony, nie mogłem usnąć. Zapaliwszy lampkę, usiadłem. Ogarnął mię znowu niepokój, że gorączka może wrócić! W tem, jak gdyby z natchnienia niebios, nagle przypomniałem sobie, że w Brazylii tytoniem leczą różne choroby. Właśnie miałem go w skrzyni cały zwój a nadto jeszcze i trochę zielonych liści, dotąd nie przyrządzonych. Idę do skrzyni, szukam, znajduję i zabieram tytoń a także i bibliję, którą tam miałem razem z innemi książkami. Kładę na stole jedno i drugie, nie wiedząc, że jedno będzie mi lekarstwem ciała, a drugie duszy! Że używają tytoniu jako lekarstwa, wiedziałem; ale w jaki sposób go zażywają, tego nigdy nie widziałem. Próbuję żuć. Odurzyło mię to, jak gdybym się upił. Liść był zielony i bardzo mocny a ja do tego nieprzyzwyczajony. Rzuciłem parę listków na ogień i wącham. Zaczęło mię w oczy gryźć. Włożyłem wreszcie trochę zielonych liści do rumu, by je tam wymoczyć. Tymczasem wziąłem bibliję, której przez osiem lat w rękach nie miałem. O dłuższem czytaniu nie można było myśleć, bo bardzo byłem tym tytoniem odurzony, otworzyłem więc na chybił, trafił. Pierwsze słowa, jakie wyczytałem, były:

»Wzywaj mnie w godzinach utrapienia swego, a wybawię cię i sławić będziesz Imię Moje«.

Słowa te, tak odpowiednie do mego położenia, wywarły na mnie w pierwszej chwili silne wrażenie, ale potem pomyślałem sobie, że wyraz: »wybawienie« nie może się do mnie odnosić. Podobnie bowiem jak niegdyś Żydzi na puszczy szemrali, mówiąc — »Zginiemy z głodu! Bóg nam przecie nie zastawi stołu z pożywieniem na pustyni« — tak

i ja zwątpiłem, żeby Bóg zechciał mię kiedy wyprowadzić z tej bezludnej wyspy. Wybawienie jednak nastąpić miało w przyszłości, ale długie, długie jeszcze lata przyszło mi na nie oczekiwać. Było już późno, a ja, tytoniem odurzony, bardzo senny. Mając się już położyć, uczyniłem, czego od wielu lat nie czyniłem: ukląkłem i modlić się zacząłem gorąco, błagając Najwyższego, aby wejrzał na mnie i według pocieszających słów biblii wysłuchał wzywającego Go w utrapieniu! Po tej dorywczej modlitwie wypiłem ów rum nalany na liście tytoniu; był to napój tak gorzki i ostry, żem go z trudnością przełknął. Zasnąłem natychmiast. Sen mój był głęboki i trwał długo, bom obudził się dopiero nazajutrz około trzeciej godziny po południu. A nawet zdaje mi się, że musiałem przespać cały dzień i całą noc następną, inaczej bowiem nie umiem sobie wytłumaczyć opuszczenia całego jednego dnia w rachunku kalendarzowym. Omyłkę tę odkryłem dopiero po kilku latach. Nie wiem zresztą na pewno, czy przespałem dwa dni, czy jeden, w każdym razie ten długi sen ogromnie mnie pokrzepił. Wstałem orzeźwiony, wesół i daleko silniejszy; miałem przytem dobry apetyt. Było to *29. czerwca.*

30. Czerwca. Widząc, że gorączka nie wraca, poszedłem na zwykłą wycieczkę ze strzelbą; nie oddalałem się zanadto od mieszkania. Zabiłem kilka morskich ptaków w rodzaju naszych gęsi i przyniosłem je z sobą do domu, ale nie miałem na nie apetytu i zjadłem tylko kilka żółwich jaj, które mi wybornie smakowały. Wieczorem napiłem się znów rumu, w którym tytoń wymoczyłem, ale nie żułem już liści i nie wdychałem dymu.

1. Lipca. Było mi znów gorzej, a nawet miałem znów lekką gorączkę.

2. Lipca. Zażyłem dziś swoje lekarstwo na wszystkie trzy sposoby, a rumu wypiłem dwa razy tyle, co poprzednio.

3. Lipca. Gorączki już nie miałem, ale byłem bardzo osłabiony.

Wyobraźnia moja powracała nieustannie do słów Pisma Świętego: »Wybawię cię«. Nie śmiałem w nie wierzyć, tak niepodobnem wydawało mi się wydobycie się z tej wyspy. W chwili nowego zwątpienia nagle przyszło mi na myśl, że Bóg mię już przecie wybawił z utrapienia, podnosząc z łoża boleści, a jednocześnie szepnęło mi sumienie: »Bóg cię uzdrowił i wybawił z niebezpieczeństwa, a czy złożyłeś Mu za to dzięki? czy sławiłeś Imię Jego? A jeśli nie okazałeś Mu wdzięczności za ratunek w chorobie, jakże możesz żądać innego wybawienia?« Wzruszony prawdą tych wyrzutów, ukląkłem i podziękowałem Bogu głośno za powrócenie mi zdrowia.

4. Lipca. Zrana otworzyłem biblię i czytałem uważnie ustępy z Nowego Testamentu. Postanowiłem czytywać odtąd codziennie zrana

i wieczór ustępy z Pisma Świętego i rozmyślać nad tem, co przeczytam. Po kilku dniach takiego rozczytywania się, zacząłem roztrząsać ubiegłe swoje życie i doznawać silnych wyrzutów sumienia. Przypomniałem sobie ów straszny sen w czasie choroby i słowa wtedy usłyszane: »Jakto? więc wszystko, co cię spotkało, nie wzbudziło w tobie skruchy i żalu?« i pod tem wrażeniem błagałem Boga gorąco o łaskę skruchy i żalu za grzechy. Tegoż dnia otworzyłem bibliję na słowach: »Wyniesiony został na Króla i Zbawiciela, aby przywieść ich do pokuty i dać im grzechów odpuszczenie«. Z sercem przepełnionem radością zawołałem wtedy: O Jezu! synu Dawida! Jezu Królu i Zbawicielu! napełnij serce me skruchą i przywiedź mnie do pokuty. Pierwsza to była moja szczera i prawdziwa modlitwa, oparta na głębokiej wierze i ufności w Bogu. Odtąd też zacząłem mieć nadzieję, że mię Bóg wysłucha i że nie napróżno wzywać Go będę. Teraz zupełnie inaczej rozumiałem wyrazy: »I wybawię cię z utrapienia«. Dawniej miałem na myśli tylko wyswobodzenie mię z bezludnej wyspy, gdzie mimo znacznej jej przestrzeni, czułem się zamknięty jak w więzieniu — teraz zaś mniemałem, że może to być raczej wybawienie z niewoli grzechów, co mi ciężyły na duszy. Usposobienie moje zmieniło się zupełnie; pod wpływem tych wrażeń przestałem uskarżać się na swoją samotność, przestałem prawie pragnąć wyzwolenia z wyspy, bo wobec radości, jakiej doznawałem z powodu duchowego odrodzenia, wszystko inne zdawało mi się mało znaczącem. Dla każdego bowiem, kto doszedł do poznania prawdy, daleko ważniejszą jest rzeczą pozbycie się grzechu i wyrzutów sumienia, niż zmiana na lepsze w jakiejś ziemskiej przykrości. Chociaż położenie moje było równie przykre, jak poprzednio, znosiłem je daleko weselej. Nauczywszy się zajmować myśl podnioślejszemi rzeczami, w czem dopomagała mi modlitwa i czytanie Pisma Świętego, doznawałem pociech i radości, o jakich dawniej nie miałem wyobrażenia. Przy takiem usposobieniu zdrowie powracało mi prędko; z każdym dniem stawałem się silniejszy. Postanowiłem pracować gorliwie, robić sobie sam wszystko, co mi będzie potrzebne, i rozłożyć porządnie czas na rozmaite zajęcia.

Od 4. do 14. Lipca. Chodziłem w różne strony wyspy, zawsze ze strzelbą. Byłem bardzo osłabiony. Tytoń jako lekarstwo na gorączkę nigdy chyba przez nikogo nie mógł być używany, a ja go stanowczo każdemu odradzam. Nie wiem, czy to właśnie on mi gorączkę usunął, ale to wiem, że mnie ogromnie osłabił i nabawił jakiejś nerwowej choroby: ręce mi się trzęsły, drżałem na całem ciele i serce dziwnie niespokojnie mi czasami biło. Zauważyłem też, że szkodzi mi przemoknięcie, zwłaszcza w czasie posuchy; musiałem się wystrzegać deszczów.

ROZDZIAŁ IX.

Odkrycia na wyspie. — Letnia siedziba. — Zostaję rolnikiem i koszykarzem. — Dalsze wycieczki po wyspie. — Papuga i koźlątko.

Już od dziesięciu miesięcy przebywałem na tej wyspie. Nadzieję wydostania się stąd kiedykolwiek straciłem, przekonany, że stopa ludzka nigdy tu nie postanie. Mając już obronne mieszkanie, mogłem teraz pomyśleć o dokładnem zwiedzeniu całej wyspy dla poznania roślinności i rozmaitych jej płodów. Do poszukiwań tych od dawna już miałem chętkę i rozpocząłem je *15. lipca*. Najpierw poszedłem do zatoki, będącej ujściem owej rzeczki, gdzie po raz pierwszy przybiłem z tratwą. Idąc w górę rzeki, przekonałem się, że prąd wody morskiej nie sięga dalej, jak o dwie mile, poczem jest to już tylko mały strumyk słodkiej, świeżej wody. Ponieważ to było w czasie suchej pory roku, przeto strumyk miejscami prawie zupełnie był wysechł. Nad brzegami były śliczne zielone łąki; na wyższych miejscach rósł tytoń o wysokich silnych łodygach i wiele innych, niezawodnie pożytecznych, roślin. Szukałem kasawy, rośliny, której korzeń Indyanie jadają zamiast chleba, ale jej nie było. Natomiast znalazłem dużo aloesu i dzikiej trzciny cukrowej. Na razie poprzestałem na tych odkryciach. Wracając do domu, rozmyślałem po drodze o sposobach rozpoznania właściwości nieznanych mi roślin; nic jednak wymyśleć nie mogłem. W czasie pobytu w Brazylii miałem sposobność poznania roślinności krajów gorących, ale nie zajmowałem się tem wcale i znałem tylko bardzo niewiele gatunków.

Następnego dnia, to jest *16. lipca*, poszedłem znowu tą samą drogą, ale zapuściłem się o wiele dalej; dotarłem do końca łąki i znalazłem się w okolicy lesistej. Tu napotkałem rozmaite owoce, a zwłaszcza dużo melonów i winogron. Winna latorośl pięła się po drzewach w wielkiej obfitości; grona właśnie dojrzewały. Uradowałem się tem odkryciem, ale korzystałem z niego bardzo ostrożnie, bo przypomniałem sobie, że w czasie mej niewoli maurytańskiej widziałem ludzi umierających wskutek biegunki i innych chorób, wywołanych nadmiernem objedzeniem się winogronami. Zato zamierzyłem suszyć je na słońcu na rodzynki; bardzo mi się później przydały. Spędziłem tu cały wieczór; na noc do domu nie powróciłem, lecz przespałem się na drzewie, jak w pierwszy dzień pobytu na wyspie. Nazajutrz udałem się w dalszą drogę i uszedłem ze cztery mile, idąc wciąż doliną, ciągnącą się między dwoma łańcuchami pagórków. W końcu

wyszedłem na jeden pagórek. Ku zachodowi otwierał mi się widok na morze po drugiej stronie wyspy. Z pod pagórka wypływał ów strumień biegnący na wschód, a cała okolica była tak pełna świeżej zieloności i kwiatów, że wyglądała jak prześliczny, starannie utrzymany, ogród. Patrzyłem na tę rozkoszną dolinę z uczuciem radości i smutku zarazem; nie mogłem się obronić od pewnej dumy na myśl, że jestem jedynym panem i władcą tej pięknej krainy. Pomyślałem także, że gdybym mógł przenieść ją do Anglii, posiadałbym dziedzictwo daleko rozleglejsze i wspanialsze, niż wielu tamtejszych panów. Wokoło rosły drzewa kokosowe, pomarańczowe i cytrynowe, wprawdzie w stanie dzikim i może dlatego owoców miały nie wiele. Cytryny przydały mi się bardzo; sok ich zmięszany z wodą dawał mi zdrowy i chłodzący napój. Postanowiłem naturalnie porobić zapasy tych wszystkich owoców i przechować je na deszczową porę i natychmiast zabrałem się do roboty. Począłem zrywać pomarańcze, cytryny i winogrona i składałem je na ziemi, każdy gatunek z osobna. Idąc do domu, zabrałem, ilem mógł unieść. Po resztę miałem wrócić z workiem. Po trzechdniowej nieobecności wróciłem do domu.

»Poszedłem do zatoki« (str. 68).

Następnego dnia, to jest *19. lipca* udałem się znowu do odkrytej doliny, zabrawszy z sobą dwa niewielkie worki. Jakżem się jednak zdziwił,

ujrzawszy winogrona pogniecione, rozrzucone i na wpół zjedzone. Widocznie zwierzęta jakieś wtargnęły tu w nocy i narobiły mi tej szkody. Nie mogąc zostawić winogron na ziemi, ani też nosić ich w workach, gdzie się kruszyły i gniotły, postanowiłem porozwieszać je na gałęziach drzew i dopiero gdy wyschną na słońcu, zabierać do domu jako rodzynki. Za to pomarańcz i cytryn zabrałem do worków, ile mogłem. Po drodze przypatrywałem się z zachwytem ślicznej urodzajnej dolinie, podziwiałem wyborne jej położenie, osłonięte od wiatrów, obfitość wody i pięknych drzew i pomyślałem, że miejsce, gdziem się osiedlił, jest chyba najgorsze z całej wyspy i że tu byłoby mi daleko wygodniej i zaciszniej, a równie bezpiecznie. Ta myśl tak mnie opanowała, żem był prawie gotów przenosić się tam natychmiast. Ale zastanowiwszy się, dałem temu pokój. Przecie nie powinienem oddalać się od morza, skąd przyjść mi może kiedyś ratunek. Choć nie było wielkiej nadzieji, aby w pobliżu tej wyspy ukazał się jaki okręt, to jednak zawsze było bezpieczniej nie odgradzać się od morza pagórkami i lasem, bo wówczas nie mógłbym już stanowczo ani obaczyć nadpływającego statku, ani też dać mu znaku o sobie. Zaniechałem więc zamiaru przenoszenia się tam na stałe, ale tak byłem tą doliną zachwycony, że pragnąc częściej tam czas przepędzać, zrobiłem sobie tam rodzaj altany, opasałem ją dość wysokim podwójnym płotem, a do środka dostawałem się za pomocą drewnianej drabiny, zupełnie jak w obronnej zagrodzie. Miałem więc teraz dwie siedziby na wyspie: jednę nad morzem, drugą, jak gdyby letnią, na wsi.

Roboty około nowej siedziby skończyłem dnia *1. sierpnia.* Nie mogłem z niej zaraz korzystać, bo nieustanne i ulewne deszcze zapędziły mnie napowrót do starego mieszkania. Wprawdzie i w nowem urządziłem rodzaj namiotu z żaglowego płótna, ale to nie zabezpieczało dostatecznie od deszczów i nie mogło zastąpić skały, pod którą chroniłem się zwykle w czasie silniejszej ulewy.

W pierwszych dniach sierpnia zauważyłem, że winogrona porozwieszane na drzewach doskonale są już wysuszone. Zebrałem przeto kilkaset dużych gron i przeniosłem je do swej jaskini. Wielkie szczęście, żem się z tem pośpieszył, bo wkrótce nastała pora deszczowa i trwała od 14. sierpnia do połowy października. Deszcze bywały bardzo ulewne tak, że czasami zupełnie nie wychodziłem z jaskini. W tym czasie powiększyło się grono moich domowników. Jedna z moich kotek, która znikła z domu i nie wracała przez kilka tygodni, zjawiła się niespodzianie z trojgiem kociąt, zupełnie do siebie podobnych. Zwierzęta te tak się później rozmnożyły, żem musiał je tępić i odstraszać od mieszkania, bo czyniły mi szkody.

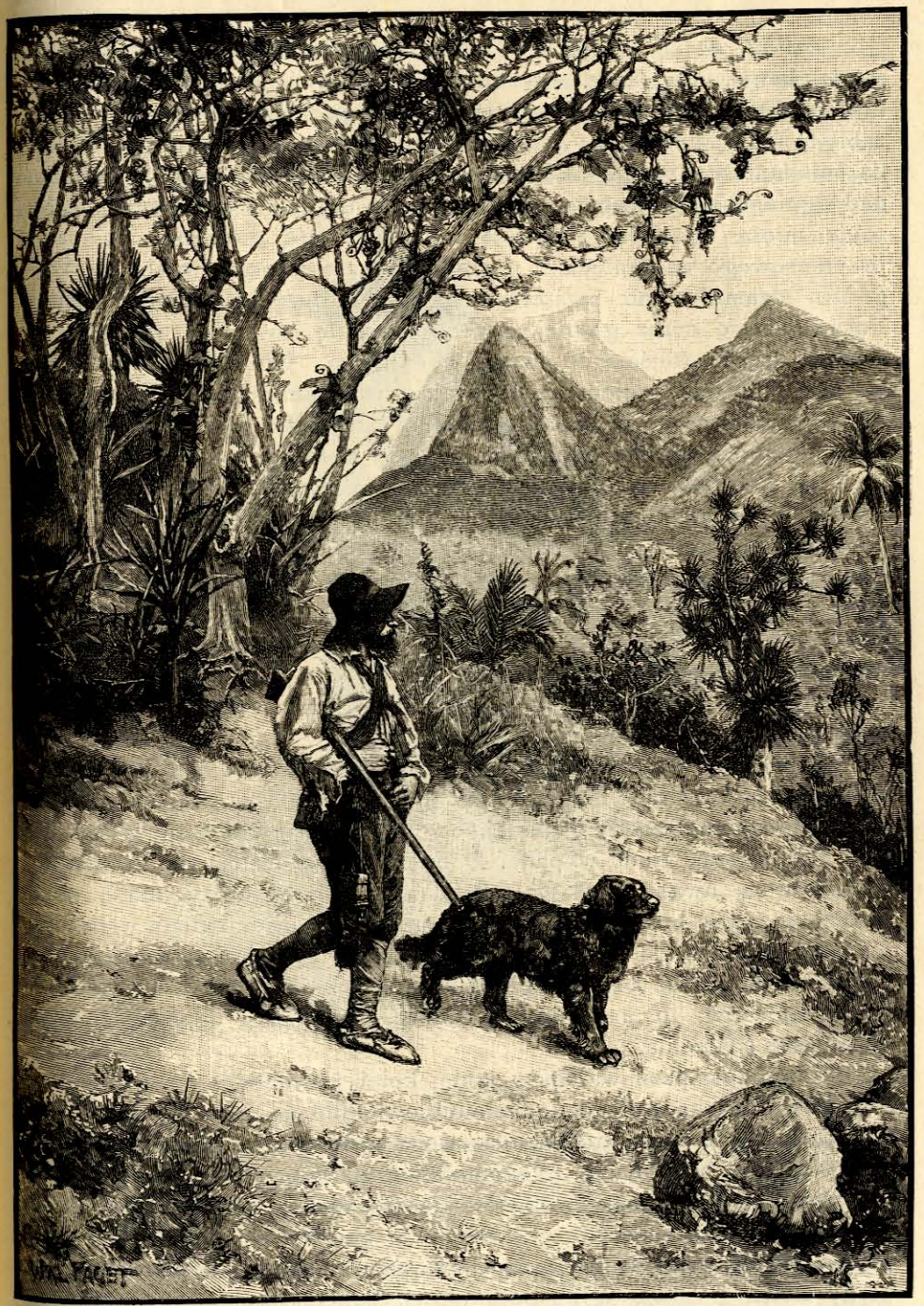

»Patrzyłem na tę rozkoszną dolinę« (str. 69).

Od 14. do 26. Sierpnia. Deszcz bez przerwy. Nie wychodziłem z mieszkania, nie chcąc się narażać na wilgoć. Gdy mi jednak już brakowało pożywienia, odważyłem się na parę wycieczek. Na jednej zabiłem kozła, na drugiej znalazłem dużego żółwia. Zazwyczaj jadałem: na śniadanie rodzynki, na obiad koźlinę lub żółwie mięso, opiekane nad ogniem, na wieczerzę żółwie jaja. Z braku naczynia nie mogłem sobie mięsa ugotować i zawsze musiałem jeść pieczone. W czasie przymusowego zamknięcia z powodu deszczów, pracowałem po kilka godzin dziennie nad rozszerzeniem i przedłużeniem swojej jaskini. Posuwając się coraz głębiej, przebiłem skałę na wylot, przez co zyskałem drugie wejście do swego mieszkania. Nie bardzo mi to było na rękę, bo nie czułem się już tak ściśle zamknięty i obwarowany, jak poprzednio; ale obawy nie miałem żadnej, bo największe zwierzę, jakie dotąd na wyspie widziałem, była... koza.

30. Września był rocznicą rozbicia się okrętu. Policzyłem karby wyrżnięte na słupie; było ich 365. Dzień ten spędziłem na poście i modlitwie. Padłszy na kolana, pełen skruchy, wyspowiadałem się Panu Bogu ze wszystkich grzechów, a uznawszy sprawiedliwość sądów Jego nademną, błagałem o miłosierdzie i przebaczenie w Imię Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedynego. Przez dwanaście godzin nic w ustach nie miałem; dopiero po zachodzie słońca spożyłem kawałek suchara i jedno grono rodzynków, poczem odmówiwszy wieczorne modlitwy, udałem się na spoczynek.

Przez cały rok ubiegły zaniedbywałem święcenia niedzieli. Ponieważ z początku, przez lekceważenie przepisów religijnych, nie robiłem na słupie siódmej karby większej, przeto potem myliłem się w rachubie i nie wiedziałem, kiedy wypada. Dopiero teraz zabrałem się do rachuby. Podzieliwszy uważnie rok zakarbowany na słupie na tygodnie, odnalazłem wszędzie dzień siódmy i na przyszłość postanowiłem wstrzymywać się w niedzielę od pracy. Zapas atramentu był już na wyczerpaniu, postanowiłem więc używać go bardzo oszczędnie, nie robić codziennych zapisków, to jest nie prowadzić dziennika i zapisywać tylko ważniejsze zdarzenia.

Stopniowo poznawałem w jakiej kolei przychodzą po sobie pory deszczowa i sucha, i urządziłem się odpowiednio do tego. Zanim jednak nabrałem tego doświadczenia, doznałem wielu przykrych niepowodzeń. O jednem z nich opowiem. Wspomniałem już poprzednio, że odkrywszy niespodzianie kilkanaście kłosów jęczmienia i ryżu, wykruszyłem z nich starannie ziarno i schowałem je na przyszłość. Otóż wydało mi się, że najlepiej będzie zasiać je zaraz po ustaniu deszczowej pory, kiedy słońce posuwa się ku południowi. Tak też zrobiłem, obrobiwszy kawałek ziemi łopatą. Na szczęście, nie będąc zupełnie pewny, czy pora

ta jest najstosowniejsza, wysiałem tylko dwie trzecie ziarna, jednę trzecią zaś schowałem na zapas. Przezorność ta wyszła mi na dobre, bo pierwszy zasiew zupełnie mi się nie udał. Po deszczach nastąpiły upały i posucha i ani źdźbło nie zeszło. Widząc to, zrobiłem próbę na gruncie wilgotniejszym. Wybrałem odpowiednie miejsce w pobliżu letniej siedziby, skopałem i przygotowałem ziemię, a ziarno zasiałem w lutym.

»Ziarno zasiałem«.

Tym razem doskonałą wybrałem porę; przez następne miesiące, to jest marzec i kwiecień padały obfite deszcze, a zasiew mój zeszedł i rozwinął się wspaniale. Żniwo nie mogło być bardzo obfite, bo wysiałem tylko niewiele ziarna. Przez te pierwsze próby nabrałem doświadczenia i wiedziałem już na przyszłość, o jakiej porze najkorzystniej jest siać w tym kraju. Przekonałem się, że zbierać tu można plony dwa razy w ciągu jednego roku.

W tymże czasie zrobiłem jeszcze jedno pożyteczne odkrycie. Gdy ustały deszcze, odwiedziłem w listopadzie swoje letnie mieszkanie. Zastałem wszystko tak, jak zostawiłem. Podwójny płot nie był uszkodzony, a nawet wzmocnił się przez to, że kołki, ścięte przezemnie z drzew sąsiednich, przyjęły się i puściły gałęzie zupełnie, jak wierzba. Poobcinałem je trochę, żeby równo rosły. Rozwijały się też dalej bardzo pięknie i w przeciągu trzech lat utworzyły olbrzymi żywopłot, ocieniający wybornie kolisty ogródek o średnicy czterdziestu kroków. Pod cieniem ich zielonego sklepienia spędzałem zwykle całą gorącą porę, znajdując tu ochłodę w czasie upałów. Zachęcony tem urządziłem taki sam żywopłot naokoło starego mieszkania. W odległości dwunastu kroków od ogrodzenia, wbiłem w ziemię dwa rzędy kołków, używając drzewa tego samego gatunku, co przy płocie otaczającym letnią siedzibę. Przyjęły się i rozwinęły doskonale.

Zauważyłem, że tu nie można dzielić roku, jak u nas, na zimę i lato, ale na porę suchą i dżdżystą i to w następującym porządku: Od połowy lutego do połowy kwietnia: pora dżdżysta; zrównanie dnia z nocą. Od połowy kwietnia do połowy sierpnia: pora sucha; słońce jest na północ od równika. Od połowy sierpnia do połowy października: pora dżdżysta; zrównanie dnia z nocą. Od połowy października do połowy kwietnia: pora sucha; słońce jest na południe od równika.

Pora dżdżysta bywała raz krótszą, raz dłuższą; zależało to od kierunku i siły wiatrów, ale mniej więcej taka, jak ją tu oznaczam.

Przekonawszy się, że wychodzenie w czasie deszczu szkodzi memu zdrowiu, starałem się odtąd zaopatrywać w żywność w czasie miesięcy pogodnych, gdy zaś rozpoczynały się deszcze, prawie już nie wychodziłem z mieszkania. Robiłem sobie wtedy różne potrzebne rzeczy. I tak zabrałem się do roboty kosza. Pierwsze próby nie udały mi się głównie dlatego, że nie miałem dosyć giętkich prętów. Jeszcze jako młody chłopiec przypatrywałem się nieraz robotom koszykarzy w rodzinnem mojem mieście i dlatego byłem pewny, że bylebym tylko dostał wikliny, potrafię zrobić z niej koszyk. Przyszło mi na myśl użyć gałązek z żywopłotu, otaczającego moją letnią siedzibę. Rzeczywiście okazały się przydatne. Przygotowałem sobie duży zapas takich prętów i w czasie jednej pory deszczowej narobiłem koszyków. Nie były one zgrabne, ale cieszyłem się nimi niezmiernie i do rozmaitych potrzeb używałem. Jednymi wynosiłem ziemię i gruzy z piwnicy, do innych chowałem rozmaite drobiazgi. Później zacząłem wyrabiać duże i głębokie kosze na przechowywanie zboża, bo worków miałem niewiele. Dokonawszy tak trudnego dzieła, nabrałem wiary we własne zdolności i postanowiłem zaradzić kilku jeszcze niedostatkom w swojem gospodarstwie.

Jednym z nich był brak naczyń do przechowywania płynów, miałem bowiem tylko parę beczułek jeszcze pełnych rumu i kilka flaszek. Dalej nie miałem w czem gotować mięsa ani zupy, bo kocioł okrętowy, będący jedynem mojem kuchennem naczyniem, za wielki był na ten użytek.

»Ogłuszywszy ją uderzeniem patyka« (str. 76).

Wspominałem już poprzednio, że pragnąłem zwiedzić i poznać całą wyspę i że z pagórka powyżej mej letniej zagrody widać było wybrzeże morskie po drugiej stronie wyspy. Otóż postanowiłem teraz dojść do owego wybrzeża, a potem powracać do domu okrążając wyspę, to jest iść wzdłuż brzegów morskich. Zabrawszy więc strzelbę, siekierę i psa, oraz sucharów i rodzynków do worka, udałem się w drogę. Minąwszy letnią swoją siedzibę, wyszedłem na pagórek i spojrzałem

ku morzu. Dzień był bardzo pogodny, a powietrze nadzwyczaj czyste. Dzięki temu dostrzegłem ląd jakiś wysoki, ciągnący się w kierunku południowo zachodnim. Nie mogłem na pewno rozpoznać, czy to była wyspa, czy ląd stały; zdawało mi się, że musi być oddalony o 15 do 20 mil; przypuszczałem, że to część Ameryki, leżąca w pobliżu posiadłości hiszpańskich. Ale może to był kraj zamieszkały przez dzikie plemiona indyjskie! Gdyby mię tam burza była wyrzuciła.... cóżby się było ze mną stało? Myśl ta wlała mi w serce dziwną otuchę i wzmocniła jeszcze we mnie przekonanie, że wszystko, co się dzieje z dopuszczenia Opatrzności, musi być dobre. Jeżeli to ląd należący do posiadłości hiszpańskich — myślałem — to w blizkości jego przepływać przecież muszą okręty europejskie, i prędzej czy później, będę musiał je zobaczyć. W przeciwnym razie musiałby to być pas ziemi, położony pomiędzy hiszpańskiemi koloniami a Brazylią, zamieszkany przez dziki i okrutny lud kannibalów, to jest ludożerców. Wśród takich rozmyślań szedłem wciąż naprzód. Rozpatrując się po okolicy, doszedłem do przekonania, że jest to część wyspy o wiele weselsza od miejsca, gdzie stale mieszkałem. Spotykałem tu piękne łąki, a i lasów było dużo, pełnych różnego ptactwa i papug. Zdjęła mnie chętka złapać papugę, zabrać do domu i nauczyć mówić. Zacząłem się więc uganiać za niemi i po długich usiłowaniach schwytałem jednę, ogłuszywszy ją uderzeniem patyka. Po kilku latach nauczyła się bardzo wyraźnie wymawiać moje imię, co było nawet przyczyną dość zabawnego zdarzenia, o którem później opowiem. I tak szedłem coraz dalej. W dolinkach spotykałem zwierzęta podobne do naszych lisów i zajęcy, a jednak inne; strzelałem do nich i parę sztuk ubiłem; nie miałem jednak z tego korzyści, bo mięso ich nie było dobre do jedzenia. Co prawda, nie mogłem się uskarżać na brak żywności, mając do rozporządzenia trzy gatunki mięsa: koźle, gołębie i żółwie. Jeżeli się zważy, że miałem nadto jeszcze i rodzynki, to nie tylko nie cierpiałem głodu, ale żywić się mogłem nawet przysmakami.

Robiłem co najwyżej dwie mile dziennie, ale że zbaczałem często z drogi, ilekroć uderzyło mnie coś ciekawego, byłem zwykle bardzo zmęczony, gdy noc nadchodziła. Noclegi urządzałem sobie najczęściej na drzewach, a jeśli kładłem się na ziemi, otaczałem się starannie gałęźmi, kołkami, czem zresztą mogłem tak, aby się zbudzić, gdyby się coś do mnie zbliżało. Doszedłszy do wybrzeża przekonałem się, że ta strona wyspy jest o wiele żyźniejsza, niż moja, oraz przepełniona różnemi zwierzętami. Na piasku wygrzewało się mnóstwo żółwi; wszędzie pełno było najrozmaitszego ptactwa. Nie polowałem na nie, nie chcąc marnować prochu na taki drobiazg. Wolałem kozy, bo mi większego zapasu mięsa dostarczały. Było ich

tu mnóstwo, ale płochliwe i na odkrytem miejscu nie podobna ich było podejść. Choć mi się ta strona wyspy więcej podobała, to jednak nie zmieniłem mieszkania, bo do tamtej już przywykłem, a tu czułem się zawsze jakby na obczyźnie. Zrobiwszy ze dwanaście mil drogi, wbiłem na wybrzeżu słup na znak, że dotąd dotarłem i rozpocząłem powrót do domu. Zamierzałem dojść później do tego samego miejsca, wyszedłszy z przeciwnej strony wyspy, to jest od mojej zagrody, ciągle brzegiem morskim idąc. W ten sposób okrążyłbym całą wyspę. Próbowałem obecnie powracać inną drogą, ale zabłądziłem. Uszedłszy dwie, czy trzy mile, znalazłem się wśród doliny otoczonej wysokiemi wzgórzami, pokrytemi gęstym lasem. Lasy owe i wzgórza tak zakrywały widok, żem nie mógł odnaleźć wśród nich właściwej drogi. Próbowałem kierować się według słońca, ale jak na przekór zamgliło się i słońce nie ukazywało się wcale. Rad nie rad cofnąłem się ku morzu, a odnalazłszy ów słup w ziemię na wybrzeżu wbity, wracać musiałem tą samą drogą, jaką przyszedłem. Wracałem powoli, często odpoczywając, bo obładowany byłem ciężko, a słońce przypiekało bardzo silnie. Po drodze pies mój schwytał młode koźlątko. Wyrwałem mu je z pyska jeszcze żywe. Miałem ogromną ochotę zabrać je do domu i oswoić. Zrobiłem na prędce rodzaj obroży i na sznurku poprowadziłem to zwierzątko do letniej zagrody i tam je zostawiłem, bo mi pilno było powracać do domu po całomiesięcznej nieobecności.

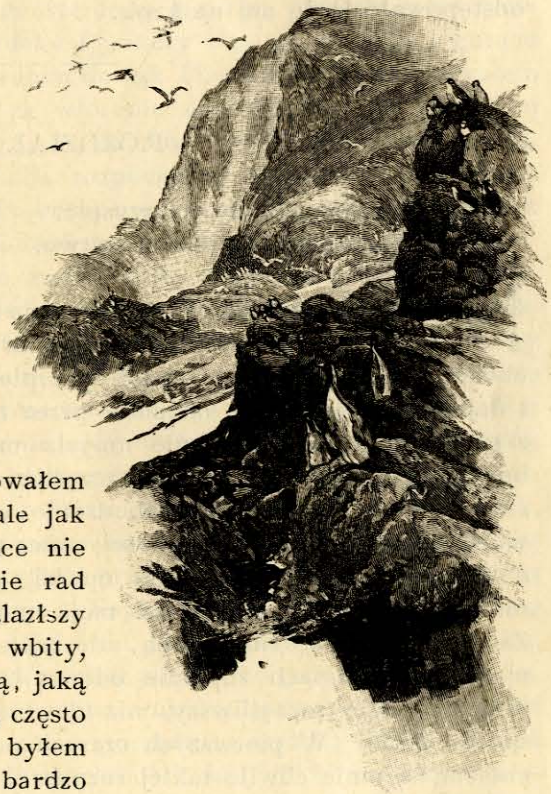

»Pełno najrozmaitszego ptactwa« (str. 76).

Nie potrafię opisać radości, z jaką powitałem swoje ciche ustronie, i rozkosznego uczucia, jakiego doznałem, wyciągnąwszy się wygodnie na swojej rogoży. Po trudach koczowniczego życia było mi tu tak cicho, spokojnie i miło, że odrzekłem się takich dalekich wycieczek. Tydzień cały wypoczywałem po drodze. Przez ten czas zrobiłem klatkę

dla papugi; oswoiła się prawie zupełnie. Przypomniałem sobie też biedne koźlątko, zostawione w letniej zagrodzie, i poszedłem po nie. Żywe było jeszcze, ale bardzo wygłodzone; nakarmiłem je obficie liśćmi i trawą i uwiązawszy na sznurek, prowadzić chciałem do domu, zobaczyłem jednak, że samo za mną idzie; tak je głód obłaskawił. Odtąd karmione codziennie, przywiązało się bardzo do mnie i nie odstępowało mnie ani na krok.

ROZDZIAŁ X.

Druga rocznica pobytu na wyspie. — Szkody w zbożu. — Pierwsze żniwo. — Garncarstwo. — Pierwszy chleb.

Nadeszło znowu jesienne zrównanie dnia z nocą i zwykła dżdżysta pora. Dzień 30. września, to jest drugą rocznicę pobytu na wyspie, obchodziłem w podobny sposób, jak pierwszą. Rozpamiętywałem łaski i dobrodziejstwa, zlane na mnie przez ten rok ubiegły. Dziękowałem z głębi serca za oświecenie umysłu mego i pokazanie mi, że tu na bezludnej wyspie żyć można szczęśliwiej, niż wśród ludzi i rozkoszy świata. Dziękowałem za wzbudzenie w mem sercu głębokiej wiary w ustawiczną opiekę Opatrzności, przez co znikły dręczące mnie obawy, a nadzieja, że Bóg mię nie opuści, dodawała otuchy. Samotność mi nie dokuczała, bo dusza moja mogła zwracać się do Stwórcy. Zastanawiając się nad sobą, doszedłem do przekonania, żem się w ostatnich czasach zupełnie odmienił. W osamotnieniu czułem się teraz o wiele szczęśliwszy, niż dawniej, wiodąc wstrętny, grzeszny sposób życia. W pierwszych czasach pobytu na wyspie, przychodziły czasem na mnie chwile takiej rozpaczy, że załamywałem ręce i wybuchałem głośnym płaczem. Często znów przy robocie opadały mię smutne myśli, a wtedy siadałem bez ruchu i spędzałem tak długie godziny, z oczyma w jeden punkt utkwionemi. To były dla mnie najgorsze chwile. Wolałem głośne wybuchy żałości, bo łzy, zwykle po nich następujące, znaczną mi przynosiły ulgę. Teraz nie wpadałem już nigdy w taką rozpacz. Odczytując codziennie ustępy z Pisma Swiętego, czerpałem z nich wielką pociechę, bo wyczytane słowa stósowałem do swego położenia. I tak naprzykład czując, że mię znowu smutek nawiedza, otworzyłem raz książkę i trafiłem na ustęp: »Nie opuszczę cię i nigdy nie odstąpię«. Wziąłem te słowa za pociechę umyślnie mi z Niebios zesłaną, bo i pocóż martwić się i smucić, skoro Bóg czuwa nademną i nie opuści mię nigdy? Mniejsza, że ludzie o mnie zapomnieli. Więcej

warta łaska Boża, aniżeli współczucie całego nawet świata! Nabrawszy przekonania, że samotny mój pobyt na wyspie zbawienny jest dla duszy, chciałem prawie dziękować Bogu, że mię tu przywiódł. Nie wiem, jak się stało, ale tego nie uczyniłem, bo przecie takie podziękowanie nie mogłoby być szczere. Mogłem znosić swój los cierpliwie i znajdować w nim nawet pewne dobre strony, ale czułem w głębi serca, że gorąco pragnę swego stąd wybawienia. Zato coraz mocniej wierzyłem, że pobyt mój na wyspie miał na celu otworzenie mi oczu na przeszłe moje życie i doprowadzenie mnie do skruchy i pokuty i za to szczerze i gorąco Bogu dziękowałem. Ile razy brałem do rąk Pismo Święte, dziękowałem w duszy przyjacielowi memu za włożenie mi tej księgi do podróżnej skrzyni, a jeszcze więcej Bogu, że natchnął go tą zbawienną myślą. W takiem to usposobieniu ducha rozpocząłem tu trzeci rok pobytu.

Chociaż w opisie drugiego roku mego pobytu na wyspie nie tak bardzo nużyłem czytelnika wyliczaniem różnych mych robót, jak w pierwszym, to przecież mimo to nie marnowałem czasu i nie próżnowałem. Rozłożyłem sobie czas i dzienne zajęcia w pewien stały porządek. Przedewszystkiem trzy razy dziennie modliłem się i czytałem ustępy z Pisma Świętego. Na polowanie chodziłem codziennie zrana na dwie lub trzy godziny, jeżeli nie było deszczu. Powróciwszy, przyrządzałem sobie jedzenie. W samo południe, gdy słońce najbardziej przypiekało, odpoczywałem, nie mogąc się niczem zająć z powodu wielkiego gorąca. Po południu miałem cztery godziny wyznaczone na różne roboty, wogóle na pracę. Najlepiej pracowałem w godzinach rannych i wieczornych. Przeszkadzał mi bardzo brak narzędzi, dlatego też każdą rzecz robiłem niezmiernie długo. Naprzykład przygotowanie jednej deski na półkę do piwnicy zajęło mi całych czterdzieści dwa dni, podczas gdy dwaj cieśle, zaopatrzeni w piłę i inne potrzebne narzędzia, potrafiliby z pewnością za pół dnia zrobić z jednego drzewa sześć takich desek. Chcąc bowiem mieć porządną i szeroką deskę, trzeba było znaleźć drzewo odpowiedniej grubości, ściąć je i poobcinać gałęzie, co wszystko zajęło pięć dni czasu. Następnie, ociosanie siekierą i wyrównanie pnia kosztowało mnie mnóstwo trudu, aż wreczcie, gdy kloc stał się nieco lżejszy, tak, że go można było łatwiej obracać, heblowałem go z dwóch stron dopóty, póki nie zrobiłem deski trzech calowej grubości. Tak to chcąc zdobyć najmniejszą rzecz, pracować musiałem z niesłychaną cierpliwoscią i pilnością, długo i wytrwale.

W listopadzie i grudniu spodziewałem się mieć żniwa ryżu i jęczmienia. Urodzaj pięknie się tym razem zapowiadał. Tymczasem rozmaite szkodniki zaczęły nawiedzać moje pólko i omało nie zniszczyły mi całego zasiewu. I tak najpierw kozy i zwierzęta jakieś, z rodzaju zajęcy, zasmakowały w mojem zbożu i właziły w nie bardzo często.

Przeciw nim zabezpieczyłem się, ogradzając na prędce cały zasiany kawałek, a że był niewielki, zrobiłem to w przeciągu trzech tygodni. Nim tego dokonałem, odstraszałem szkodników za dnia wystrzałami, na noc zaś przywięzywałem tam psa, aby ich szczekaniem odpędzał. Teraz znowu, gdy kłosy już dojrzewały, zaczęli zbożu zagrażać

»Strzeliłem« (str. 81).

nowi nieprzyjaciele. Przyszedłszy raz dla obejrzenia pola, zastałem całe stada ptaków łuszczących kłosy. Gdy je wystrzałem spłoszyłem, podniosła się tego cała chmara i obsiadła okoliczne drzewa, czekając, aż odejdę. Zmartwiłem się bardzo widząc, że i tym razem nie zbiorę obfitego plonu i że zabraknie mi w końcu ziarna na zasiewy, bo ptaki w ciągu kilku dni zniszczyć mi mogą wszystko. Chcąc temu zaradzić, postanowiłem czuwać dzień i noc nad swoim łanem. Sprawdziłem najpierw szkodę i przekonałem się, że jest, niestety, dość znaczna, ale i to, co zostało, warte było jeszcze zachodu. Nabiwszy strzelbę, rozglądałem się naokoło; ptaki siedziały na gałęziach poblizkich drzew, jak gdyby oczekując tylko mego odejścia. Zacząłem się więc niby zwolna oddalać; zaledwie zszedłem im z oczu, obsiadły mi zaraz pole. Zgniewało mię to zuchwalstwo, bo każde zjedzone ziarno pozbawiało mnie prawie miarki

zboża w przyszłości. Podkradłem się pod płot i strzeliłem. Trzy ptaki padły nieżywe; to mi wystarczyło. Postąpiłem sobie z nimi, jak w Anglii postępują z nałogowymi złodziejami: powiesiłem, jako odstraszający przykład dla innych. Skutek był nadzwyczajny. Dopóki tam te strachy na żerdziach wisiały, ani jeden ptak mi na polu nie siadł, ani nawet nie pokazał się w pobliżu. W końcu grudnia nadeszło żniwo. Nie miałem kosy ani sierpa; zaradziłem temu, jak mogłem, używając starej szabli, znalezionej wśród broni okrętowej. Ścinałem tylko kłosy, kładłem je do kosza, a potem wykruszałem ziarno w ręku. W ten sposób otrzymałem trzy ćwierci ryżu, a korzec z górą jęczmienia; tak przynajmniej obliczałem na oko, bo przecież nie miałem dokładnej miary. Patrzyłem z radością i otuchą na te zapasy, mając nadzieję, że wkrótce z pomocą Bożą spożywać będę chleb z własnego zboża. Ale tu nowe trudności. Nie miałem mianowicie żadnego wyobrażenia, w jaki sposób zmielę ziarno na mąkę, jak mąkę oczyszczę z otrąb, a nawet czy potrafię chleb z niej upiec. Nie traciłem nadziei, że skoro pokonałem już tyle trudności, to i z tem dam sobie jakoś radę. Pragnąc zresztą dojść do większej ilości zboża, postanowiłem cały prawie plon tegoroczny użyć na zasiewy, a dopiero po następnych żniwach zabrać się do robienia mąki. Miałem teraz prawo powiedzieć o sobie, że własnemi rękami na chleb zarabiam.

»Strachy na żerdziach«.

Myślę, że mało kto zastanawia się nad tem, ile to pracy i trudu wymaga wytworzenie tak prostego i powszedniego na pozór pożywienia, jakiem jest chleb. Zupełnie sam sobie zostawiony, miałem zblizka poznać te trudności. Nie miałem pługa, ani nawet łopaty okutej. Robota była licha i szła zwolna. Gdy się drewniana łopata rychło zużyła, trzeba było wystrugać nową, co znowu kilka dni czasu zajęło. Cóż było robić! Po zasianiu ziarna należało ziemię bronować. Nie mając oczywiście brony, wlokłem za sobą po polu ciężki pień, niby wałek. Gdy zaś ziarno powschodziło, ileż napracowałem się, zanimem je zabezpieczył od szkody, zżął, wymłócił, oczyścił z plewy i przechował bezpiecznie. Później, gdy chciałem wyrobić mąkę i upiec chleba, nie miałem ani żarn do zmielenia ziarna, ani sita do przesiania mąki, ani soli i drożdży do ciasta, ani nawet pieca do wypieczenia

chleba. Że jednak, jak to już poprzednio wspomniałem, nie miałem zamiaru wyrabiać mąki z zebranego obecnie ziarna i odkładałem to do żniw następnych, przeto zostawało mi sześć miesięcy czasu na obmyślenie i przygotowanie tych wszystkich narzędzi. Mając znaczniejszy zapas zboża, musiałem przedewszystkiem uprawić teraz daleko większy kawał roli. Tydzień cały pracowałem nad zrobieniem jednej łopaty drewnianej, a mimo to ciężka była i niezgrabna. Skopałem nią duży kawał gruntu w pobliżu mieszkania; podzieliwszy go na dwie części, na jednej zasiałem ryż, na drugiej jęczmień. Całe to pole ogrodziłem płotem, używając na kołki tego samego drzewa, jakiego używałem był przy letniej zagrodzie. Spodziewałem się, że na przyszły rok będę miał już żywopłot. Częste deszcze przeszkadzały mi w pracy; to też uprawa i ogrodzenie pola zajęły mi aż trzy miesiące.

Gdy z powodu słoty nie mogłem z domu wychodzić, wyrabiałem rozmaite przedmioty, a w wolnych chwilach uczyłem mówić papugę. Wkrótce zaczęła wyraźnie wymawiać imię, jakie jej nadałem. Bardzo dziwne zrobiło to na mnie wrażenie, gdym pierwszy raz usłyszał na tej bezludnej wyspie słowo jakieś, nie z moich ust pochodzące. Zabawa z papugą nie przeszkadzała mi w ważniejszych zajęciach. Oddawna naprzykład chciałem spróbować garncarstwa i nie wątpiłem, że bylebym znalazł dobrą glinę, potrafię ulepić z niej potrzebne mi naczynia. Byłem prawie pewien, że garnki będzie można suszyć na tutejszem gorącem słońcu i że w ten sposób obejdę się bez pieca do wypalania. Odkrywszy dobrą glinę, zabrałem się natychmiast do pracy. O czytelniku! litowałbyś się nademną i naśmiałbyś się do woli, gdybyś mógł widzieć pierwsze moje nieudolne próby. Z początku lepiłem jakieś bezkształtne, szkaradne dziwolągi, a ileż to z nich porozpadało się odrazu, bo glina była za rzadka; ile popękało na słońcu zanadto upalnem, ile potłukło się przy przenoszeniu! Po dwóch miesiącach gorliwej pracy, zdołałem wreszcie ulepić dwa wielkie, potworne naczynia, których nie śmiałbym garnkami nazwać, a jednak przydały mi się bardzo, brakowało mi bowiem suchych i nieprzemakalnych naczyń na ziarno, mąkę, mięso i t. p. Gdy owe dwa wielkie garnki wyschły dostatecznie na słońcu, włożyłem je ostrożnie do dwóch, umyślnie na ten cel uplecionych koszów; a ponieważ nie wchodziły w nie szczelnie, przeto pustą przestrzeń wypełniłem słomą jęczmienną i ryżową. Miałem wreszcie przechowanie na ziarno i mąkę. Mniejsze garnki, miski, dzbanki, udawały mi się daleko lepiej. Wysuszałem je wszystkie na słońcu; nie było to jednak dostateczne, bo twardniały wprawdzie na pozór doskonale, ale mimo to przepuszczały wodę. Przypadkiem znalazłem raz w wygasłem już ognisku skorupę z rozbitego garnka; twarda była jak kamień a czerwona jak cegła.

Jakże się na ten widok uradowałem! Nasunęło mi to pomysł, że cały garnek można w podobny sposób wypalić. Postanowiłem próbować, chociaż nigdy nie widziałem, jak urządzają się piece do wypalania garnków, używane przez garncarzy, ani też nie wiedziałem, jak się robi polewa i że wchodzi do niej ołów, którego zapas miałem nawet w domu. Na próbę tedy ustawiłem kilka mniejszych i większych garnków, podsunąłem spodem dużo gorącego popiołu i żaru, obłożyłem je naokoło drzewem, rozpaliłem i zwolna dodawałem paliwa, tak że ogień stawał się coraz mocniejszy, a garnki stojące wśród płomieni rozpalały się do czerwoności. Do sześciu godzin utrzymywałem wciąż taki mocny ogień; dopiero gdym zauważył, że jeden z garnków topić się zaczyna,

»Zdołałem ulepić dwa naczynia« (str. 82).

począłem zwolna żar zmniejszać, dodając jednak drew przez całą noc jeszcze. Garnki stygnąc, traciły kolor czerwony, a nad ranem, jakaż radość!... twarde były, mocne i doskonale wypalone; żaden z nich nie pękł, a ten, co zaczynał topić się, wyglądał zupełnie na polewany. Pochodziło to ztąd, że piasek w glinie będący stopił się na szkliwo wskutek silnego ognia. Odtąd nie brakło mi już oczywiście naczyń glinianych, choć były bardzo niezgrabne. Lepiłem je jak dzieci bawiące się, nie mając wyobrażenia, jak właściwie należało je robić. Ale mimo to, jakaż to była dla mnie wielka radość, gdym doszedł nareszcie do posiadania garnków, wytrzymałych na ogień. Ledwie ostygły, porwałem jeden z nich, włożyłem do niego kawałek koźlego mięsa i ugotowałem sobie rosół. Mimo, że był bez żadnej przyprawy, smakował mi jednak wyśmienicie.

Załatwiwszy się z garnkami, należało wziąć się do zrobienia czegoś, w czemby można było ziarno rozgniatać, bo oczywiście o urządzeniu żarn i marzyć nawet nie mogłem. Kamieni do tego nie można było użyć, bo napotkałem dotąd tylko bardzo miękki piaskowiec, łatwo się rozsypujący. Natomiast miałem na wyspie doskonałe, twarde drzewo. Wyszukałem tedy bardzo gruby pień, obrobiłem go i ociosałem, a zrobiwszy z niego ogromny kloc, począłem wypalać w nim zagłębienie w tensam sposób, w jaki brazylijscy Indyanie robią sobie łodzie. Potem z najtwardszego na wyspie drzewa zrobiłem tłuczek. Miałem zatem już w czem i ziarno porozgniatać na mąkę. Teraz przyszła kolej na zrobienie sita do przesiewania mąki, a przynajmniej do oczyszczenia jej z plew. Ale z czego to zrobić? czem? i jak? Miesiącami nad tem przemyśliwałem. Nie miałem ani kawałka płótna, ani jakiejkolwiek innej tkaniny. Z bielizny mojej zostały już tylko strzępy. Na szczęście pomiędzy odzieżą majtków, uratowaną przezemnie z okrętu, znalazłem nareszcie kilka płóciennych i muślinowych chustek na szyję i zrobiłem z nich trzy sita, które mi przez wiele lat służyły. Gdy się zniszczyły, zastąpiłem je czem innem, ale to już później opowiem. W końcu należało już naprzód pomyśleć o sposobie wypiekania chleba. Drożdży nie miałem, więc musiałem się bez nich obejść, a wypiekanie chleba urządziłem w sposób następujący. Z niezgrabnych cegieł zbudowałem sobie coś, niby piec, niby nalepę, wyłożoną co równiejszą cegłą. Na tej cegle rozpalałem duży ogień. Gdy ceglana płyta dostatecznie się rozgrzała, zgarniałem na bok żar i popiół, a kładłem na nią ciasto, przykrywałem je wielkiemi glinianemi pokrywami, na nie sypałem żar i gorący popiół. Były to raczej placki, niż chleb, ale żaden chleb, żadne ciasta nigdy mi tak nie smakowały, jak te placki jęczmienne.

ROZDZIAŁ XI.

Praca nad czółnem. — Rozmyślania z powodu czwartej rocznicy pobytu na wyspie.

Nikogo chyba nie zdziwi, że mi na tych zajęciach zeszedł cały prawie trzeci rok pobytu na wyspie. Już sama uprawa roli, a potem żniwa, zajęły mi dosyć czasu. Zebrane kłosy poskładałem do dużych koszów. Wyłuskanie ziarna odłożyłem na później. Przedewszystkiem trzeba było urządzić osobny śpichlerz, bo plony miałem obfite: przeszło dziesięć korcy jęczmienia i tyleż ryżu. Cieszyłem się też niezmiernie, że będę sobie mógł teraz wypiekać tyle chleba, ile

mi tylko będzie potrzeba; radość moja była tem większa, że mi się już właśnie wyczerpał zapas sucharów okrętowych. Obliczyłem, że to, co zebrałem, wystarczy mi na cały rok. Postanowiłem zatem raz tylko na rok rolę uprawiać i wysiewać zawsze tylko tyle ziarna, co ostatnim razem.

Wśród tych różnorodnych zajęć myśl moja wybiegała nieraz ku nieznanemu lądowi, który widziałem zdaleka. Marzyłem o dostaniu się tam w nadziei, że musi to być ląd stały, przez ludzi zamieszkany, skądby mi już było o wiele łatwiej powrócić do rodzinnego kraju. Nie chciałem myśleć o grożących mi tam niebezpieczeństwach, o dzikich ludożercach, gorszych od lwów i tygrysów. Opanowany tęsknotą, pragnąłem koniecznie dostać się na ten ląd nieznany. Tymczasem, jak się domyślałem, musiały to być prawdopodobnie wybrzeża Karybskie. Żyjące na nich plemiona słynęły z dzikości i okrucieństwa. Nawet całe gromady Europejczyków padały nieraz z ręki tych dzikich. Cóżby się dopiero ze mną było stało, gdybym się znalazł był wśród nich sam jeden i prawie bezbronny. Ale, jak powiedziałem, nie chciałem wówczas o tem myśleć i marzyłem dnie i noce o nieznanej ziemi. Opanowany tem pragnieniem, zacząłem myśleć o potrzebie zdobycia sobie łodzi. Jakżeby mi się teraz przydała owa łódź żaglowa, na której uciekałem kiedyś z Hurym z marokańskiej niewoli! Tymczasem przypomniałem sobie, że jest gdzieś na wybrzeżu łódź nasza okrętowa, wyrzucona tam przez fale; zacząłem jej szukać. Leżała rzeczywiście po drugiej stronie rzeki, obrócona dnem do góry i głęboko zaryta w piasek. Nie była prawie wcale uszkodzona. Gdyby mi się udało poruszyć ją i zepchnąć na wodę, mógłbym śmiało popłynąć na niej do samej Brazylii. Cóż, kiedy była tak ciężka, że nie podobna było jej ruszyć. Jednak wmawiałem sam w siebie, że za pomocą drągów odwrócę ją i potrafię zepchnąć na wodę. Poszedłem do lasu, przygotowałem dostateczną ilość drążków i klocków i za pomocą nich próbowałem łódź podnieść; ale daremne to były usiłowania! Po trzech czy czterech tygodniach takiej bezskutecznej pracy wpadłem na inny pomysł. Zacząłem usuwać piasek z pod łodzi, przypuszczając, że osunie się własnym ciężarem na podłożone pod nią wałki, ale i ten sposób na nic się nie przydał. Musiałem się łódki wyrzec. W końcu przyszło mi na myśl, że mógłbym sobie sam czółno zrobić tak, jak je robią krajowcy w Afryce i Brazylii. Wydał mi się ten zamiar łatwym do wykonania i sama myśl o nim bardzo mnie pocieszyła. Nie zastanowiłem się tylko nad jedną rzeczą, że łatwiej czółno takie zrobić, niż przyciągnąć je do brzegu i zepchnąć na wodę. Gdybym nawet znalazł stósowne drzewo w lesie, ściął je, ociosał, zaokrąglił i wydrążył zapomocą siekiery czy wypalenia ogniem, to i tak czółno takie musiałoby zostać

na miejscu, bobym go w żaden sposób nie potrafił sam dowlec do brzegu. Ale o tem dopiero później się przekonałem. Miałem głowę tak nabitą zamiarem morskiej wycieczki, że teraz nie widziałem żadnych przeszkód; nie przyszło mi na myśl, iż łatwiej jest upłynąć czółnem kilkadziesiąt mil po morzu, niż ciągnąć je po ziemi taką samą ilość kroków. Nie licząc się więc z temi trudnościami, zabrałem się do roboty z tak szalonym zapałem, jakbym rozum utracił, a choć mi się czasem pewna wątpliwość nasunęła, pocieszałem się tem, że byle było czółno gotowe, to reszta łatwo się zrobi. Rozsądek ustąpił miejsca wyobraźni.

Wyszukałem cedrowe drzewo tak wspaniałe, że może sam Salomon nie miał piękniejszych do budowy sławnej świątyni. Miało ono około półtora metra średnicy od dołu. Samo ścinanie tak potężnej sztuki kosztowało mnie dwadzieścia dni trudu; przez czternaście dni obcinałem gałęzie, miesiąc cały ociosywałem je, nadając mu kształt czółna, a trzy miesiące blizko pracowałem nad wyżłobieniem go dłutem i młotem. Ale też praca moja uwieńczona była bardzo pomyślnym skutkiem. Nigdy w życiu nie widziałem równie pięknego i wygodnego czółna; było tak obszerne, że pomieścić mogło dwudziestu kilku ludzi, cóż dopiero mnie jednego z moim ładunkiem. Gdyby mi się wówczas udało było zepchnąć je na morze, byłbym z pewnością wykonał awanturnicze swe zamiary i puścił się w podróż do nieznanego lądu. Ale stało się inaczej. Mimo, że do wody miałem tylko jakie stopięćdziesiąt kroków, przecież nie mogłem czółna dowlec do brzegu, ani go nawet ruszyć z miejsca; pagórek, będący na drodze, nieprzebytą nadto stanowił zaporę. Chcąc temu zaradzić, zacząłem skopywać ziemię, w nadziei, że utworzę pochyłość, po której czółno samo się osunie, ale i to na nic się nie przydało! Niezrażony, pracowałem ze zdwojonym zapałem, bo żadne trudy nie wydają się za ciężkie temu, kto pragnie wolność odzyskać. Na próżno! Żadną miarą nie mogłem poruszyć ciężkiego czółna. Wówczas wpadłem na pomysł przekopania kanału od morza do czółna. Gdym jednak obliczył długość, szerokość i głębokość takiego kanału, przekonałem się, że musiałbym go kopać dziesięć albo dwanaście lat! Rad nie rad, musiałem się wyrzec tej pracy i zamierzoną ucieczkę z wyspy odłożyć do szczęśliwszych okoliczności. Serdecznie zmartwiony tem niepowodzeniem, poznałem dopiero wtedy, jakiem szaleństwem z mojej strony było rozpoczynać robotę, nie przekonawszy się pierwej, czy jest możliwa do wykonania.

Tymczasem nadeszła czwarta rocznica pobytu mojego na wyspie. Obchodziłem ją w wielkiem skupieniu ducha, modlitwą i rozmyślaniem. Rozczytywanie się w Piśmie Świętem i łaska Boga sprawiły, żem zmienił zupełnie zapatrywanie na życie. Świat i ludzie wydawali mi się czemś bardzo odległem i tak obcem, żem niczego od nich

nie oczekiwał, ani też nie pragnął. Ze światem nie miałem nic wspólnego. Przypuszczając, że tak już zostanę na zawsze, patrzyłem nań, jak chyba w przyszłem życiu patrzeć będziemy na ziemię, jako na miejsce, gdzieśmy niegdyś mieszkali, a dokąd już nigdy nie powrócimy. Mogłem więc przemówić do świata słowami Abrahama, wyrzeczonemi do bogacza: »Między mną a tobą otwarta jest przepaść niezgłębiona«. Byłem oddalony od wszelkich nieprawości i zdrożności światowych. Nie doznawałem żadnych niepotrzebnych pożądań i zachcianek, zazdrości, ani próżności. Miałem wszelkie potrzeby zaspokojone. Mógłbym się głosić panem i władcą tej krainy, a z pewnością niktby mi nie zaprzeczył praw do tego. Gdybym chciał, mógłbym uprawiać obszerne pola, z których ziarno stanowiłoby dostateczny ładunek dla kilkudziesięciu okrętów, ale na cóżby mi się to przydało? To też siałem tylko tyle, ile mi potrzeba było na codzienny użytek. Setki żółwi morskich było jakoby moją własnoscią a tylko niekiedy mogłem zjeść jednego i to nie w całości.

»Zacząłem skopywać ziemię«
(str. 86).

Drzewa budowlanego miałem tak wiele, że mógłbym wystawić całą flotę okrętów, a winogron taką obfitość, że mógłbym wszystkie te okręty niemi naładować. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. Wiedziałem, że mogę zaspokoić głód i pragnienie; reszta nie obchodziła mnie wcale. I cóżby mi przyszło z największej ilości zabitej zwierzyny, skoro nie mogąc zjeść tyle mięsa, musiałbym je zostawić na pastwę robakom. Gdybym siał więcej zboża, psułoby się ono bezpożytecznie, drzewa zaś potrzebowałem tyle tylko, aby mieć przy czem codzienny posiłek ugotować. Zrąbane w większej ilości, gniłoby bez potrzeby. Jednem słowem, doświadczyłem i przekonałem się, że z największych bogactw i dostatków korzystamy do pewnej tylko miary, że zatem nagromadzanie ich dla własnego tylko użytku, jest zupełnie niedorzeczne. Żywności, czy też zapasów innego rodzaju, potrzebujemy naprawdę tylko tyle, ile ich możemy zużyć, posiadanie zaś czegoś nad miarę, jest już zbytkiem, o ile nie mamy zamiaru dzielić się z drugimi. W takiem położeniu, jak moje, największy chciwiec poprawiłby się wprędce. Nie wiedziałem bowiem, co zrobić z tą wielką obfitością, posiadając wszystkiego o wiele więcej, niż mi było potrzeba. Brakowało mi wprawdzie do zupełnego zadowolenia kilkunastu drobnostek, ale tych właśnie nie mogłem zdobyć mimo całego mego bogactwa. Worek, zawierający w złocie i srebrze przeszło trzydzieści sześć funtów szterlingów, leżał bezużytecznie. Myślałem nieraz, jak chętnie oddałbym te pieniądze za żarna do mielenia zboża, za trochę nasienia marchwi czy buraków, za garść grochu lub bobu, za flaszkę atramentu, wreszcie za fajkę. Tymczasem śniedziały w skrzyni z powodu wilgoci. Gdyby ta skrzynia nawet dyamentami była wypełniona, to i tak nie miałyby one żadnej wartości, bo żadnego z nich nie możnaby zrobić użytku.

Wogóle życie moje było teraz przyjemniejsze i zdrowsze dla ciała i duszy. Codzień, zasiadając do stołu, dziękowałem Opatrzności za tak hojne zaopatrzenie mnie w żywność. Nauczyłem się należycie cenić dodatnie i jasne strony życia i na nie przedewszystkiem zwracać uwagę, a natomiast mniej się zajmować ujemnemi i ciemnemi. To mi dawało tyle wewnętrznego zadowolenia i pociechy, że opisać niepodobna. Umyślnie to przytaczam, jako przestrogę dla ludzi niezadowolonych z tego, co im dała łaska Boga. Niezadowoleni są i nieszczęśliwi w życiu dlatego, że pożądają zawsze tego, czego nie mają, a nie zwracają uwagi na to, co mają. To niezadowolenie i zatruwanie sobie życia, pochodzi z braku wdzięczności dla Boga za to, co ludziom dać raczył. Znajdując się w trudnych warunkach życia, pomyśleć trzeba przedewszystkiem, że mogłyby one być o wiele gorsze. O ileż naprzykład byłoby mi gorzej na wyspie, gdyby się nasz okręt rozbił daleko od brzegu i gdybym nie mógł uratować z niego tylu pożytecznych, prawie

niezbędnych rzeczy. Cóżbym robił bez narzędzi do pracy, a zwłaszcza bez broni, co mi dostarcza żywności. Całe godziny przemyśliwałem nieraz o tem, coby się ze mną było stało, gdybym tak sam jeden i pozbawiony wszystkiego, wyrzucony został na wyspę. Za jedyne pożywienie miałbym wtedy ryby i żółwie, a że tych ostatnich nie spotykałem wcale z początku, to kto wie, czy nie przyszłoby mi umrzeć z głodu w pierwszych już czasach pobytu mego na pustkowiu. A gdyby mi się nawet udało zabić kozę jaką lub ptaka, to pozbawiony narzędzi, musiałbym je rozszarpywać zębami i paznogciami, jak drapieżne zwierzę. Tego rodzaju myśli budziły w mem sercu coraz to większą wdzięczność dla Opatrzności. Wspominam to raz jeszcze, jako przestrogę dla tych ludzi, co przy każdem niepowodzeniu zwykli wołać: »O Boże! jestże kto na świecie nieszczęśliwszy odemnie?« Niech tylko pomyślą o smutnem położeniu wielu innych ludzi, a los ich własny wyda się im z pewnością daleko znośniejszy.

Drugą dla mnie pociechą było porównywanie obecnego mego losu z tym, na jaki zasłużyłem. Wspominałem już poprzednio, że zanim się dostałem na wyspę, prowadziłem życie bezbożne i grzeszne. Puściwszy się w tak wczesnej młodości na awanturnicze przygody, zapomniałem rychło o zasadach religijnych, wszczepionych mi przez rodziców. Ciągłe obcowanie z marynarzami dokonało reszty. Ludzie ci, mimo że powinniby silniej niż inni odczuwać i uznawać potęgę i wszechmoc Opatrzności, bo narażają się na ciągłe niebezpieczeństwa, mają przeciwnie zwyczaj wyszydzać wszelkie objawy bojaźni Bożej i pobożności. Przebywałem zaś tak często w ich towarzystwie, że sam stałem się wkrótce do nich podobny. Do tego stopnia zagłuszyłem w sobie wszelkie lepsze uczucia, że w chwilach pomyślności, jak naprzykład: podczas ucieczki z Sale, w czasie przyjęcia mnie na okręt portugalski, po nadejściu ładunku z Anglii, nie przyszło mi nigdy na myśl podziękować Bogu. Podobnie w czasie niepowodzeń i nieszczęść nie wspominałem ani razu Boskiego Imienia. Od kilku już miesięcy rozmyślałem tak ze strachem o swojem ubiegłem życiu, o dobrodziejstwach, jakie Bóg na mnie zesłał zamiast kar zasłużonych, a wkońcu obudziła się w mem sercu nadzieja, że Stwórca przyjął łaskawie żal mój i skruchę za grzechy i powrócił mię do swego miłosierdzia. Wobec tego nauczyłem się zgadzać ze swoim losem, a nawet czułem szczerą wdzięczność dla Opatrznosci za rozmaite dobre strony obecnego swego położenia. Zrozumiałem jasno, że nie mam prawa uskarżać się na nic wobec tego, że Pan Bóg nie tylko życie mi uratował, ale jeszcze widocznie udzielił mi przebaczenia za grzechy, skoro daje mi wyraźne dowody swej opieki, zaopatrując mnie w żywność i we wszystkie codzienne potrzeby.

I rzeczywiście, jak niegdyś prorok Eliasz cudownie karmiony przez kruki, tak i ja cudem tylko, a właściwie całym szeregiem cudów utrzymany zostałem przy życiu. Już za cud pierwszy uważać mogłem to, że wyspa moja takie posiadała bogactwa natury; za drugi, że nie było na niej żadnych drapieżnych zwierząt, roślin jadowitych, ani dzikich ludzi. Jeżeli doznawałem tu niejednego niedostatku z powodu braków rozmaitych, to natomiast odrodziłem się duchowo, a otrzymując coraz to nowe dowody opieki Niebios nad sobą, znajdowałem w tem ogromną otuchę i ostatecznie zupełnie przestałem się smucić.

ROZDZIAŁ XII.

Zostaję krawcem, kuśnierzem i parasolnikiem w jednej osobie. — Buduję sobie nowe czółno. — Niebezpieczna wycieczka na morze.

Cztery lata już zatem przebywałem na wyspie. Spory to był kawał czasu, nic więc dziwnego, że zapasy przywiezione z okrętu zaczęły się wyczerpywać. Najpierw zabrakło mi atramentu, o czem już zresztą wspominałem. Resztki jego rozcieńczałem wodą i prowadziłem dalej swój dziennik pismem tak bladem, że je zaledwie dostrzedz było można, ostatecznie jednak i tego musiałem zaniechać. Następnie wyszły mi wszystkie suchary, mimo że przewidując to, używałem ich już od dawna bardzo oszczędnie, nie pozwalając sobie zjadać więcej, jak jeden na dzień. Rok prawie cały musiałem obchodzić się bez chleba, zanim doczekałem się upieczonego z własnej mąki. Odzież moja podarła się na strzępy. Z bielizny zostały mi tylko koszule. Znalazłem ich aż trzy tuziny w kuferkach majtków, a był to nieoceniony nabytek, bo podczas wielkich upałów służyły mi często za jedyne ubranie. Miałem też kilka sukiennych kurtek marynarskich, ale nie nosiłem ich, bo były za ciepłe. Wogóle w tym gorącym kraju mógłbym śmiało obejść się bez ubrania, ale nie chciałem chodzić nago, jak dziki człowiek, a przytem odzież lekka i nieprzylegająca do ciała, jak naprzykład koszula, chłodziła i chroniła od zbyt silnych promieni słonecznych, któreby mi inaczej skórę przepaliły. Nie wychodziłem też nigdy bez kapelusza lub czapki, bo skoro tylko promienie słoneczne padły na odkrytą głowę, dostawałem natychmiast silnego bólu, który dopiero po nakryciu głowy ustępował.

Spróbowałem zatem sporządzić sobie nową odzież z resztek dawnego ubrania i z kilku płaszczów marynarskich. Z kolei tedy zostałem krawcem, a raczej partaczem, bo licha też to była ta moja robota.

Uszyłem kilka nieosobliwie wyglądających kaftanów, ale zato spodnie wypadły bardzo nieszczególnie. Wspominałem już dawniej, żem przechowywał starannie skóry zabitych przez siebie zwierząt; suszyłem je na słońcu rozpięte na patykach i miałem ich dość znaczny zapas. Niektóre z nich tak wyschły i stwardniały na słońcu, żem nie miał z nich żadnego prawie pożytku, ale inne były przydatniejsze. Z jednej z tych lepszych zrobiłem sobie dużą futrzaną czapkę. Udała mi się dość dobrze. Później uszyłem sobie futrzane ubranie: kaftan i spodnie dość przestrone i obszerne, aby do ciała nie przylegały. Nie potrzebuję wspominać, że ubranie to wyglądało bardzo brzydko, bom lichszym był jeszcze krawcem, niż cieślą, ale zato gdym się w nie ustroił i włożył jeszcze na głowę swoją futrzaną czapkę, tak byłem doskonale zabezpieczony, żem się już nie lękał najgorszej nawet słoty i śmiało wychodziłem podczas deszczu; największa ulewa spływała mi po futrze tak, żem nigdy nie przemókł. Następnie zużyłem wiele czasu i pracy na sporządzenie sobie parasola. W Brazylii, gdzie wszyscy prawie noszą parasole, jako ochronę od słońca, widziałem, jak je robiono. Dla mnie, odbywającego długie i częste wycieczki, bardzo był potrzebny taki przyrząd, zarówno od słońca, jak i od deszczu. Napracowałem się ogromnie nad tą robotą, zaczynałem ją wiele razy na nowo, napsułem mnóstwo materyału, straciłem dużo czasu, zanim nareszcie zrobiłem możliwy do używania. Najtrudniej mi było zrobić to, żeby się dobrze składał i rozkładał, bo stale rozpięty musiałbym dźwigać nieustannie nad głową, coby było zbyt nużące przy dalekich wycieczkach. Ukończyłem wreszcie parasol i pokryłem go skórą, obróconą futrem na wierzch. Służył mi doskonale tak w czasie upałów, jak i podczas słoty. Gdy mi w drodze nie był potrzebny, składałem go i niosłem pod pachą.

»Uszyłem sobie futrzane ubranie«.

Żyłem tak w spokoju ducha i zadowoleniu wewnętrznem, zdawszy się całkowicie na łaskę Opatrzności. Ilekroć budziła się we mnie tęsknota za towarzystwem ludzi, mówiłem sobie w duchu, że obcowanie z własnemi myślami, zbliżające nas i podnoszące ku Bogu, większą być może radością dla ducha, niż najprzyjemniejsze rozmowy z ludźmi. Tak upłynęło mi dalszych lat pięć. Zeszły mi one dość jednostajnie, na uprawie roli, sianiu jęczmienia i ryżu, zbieraniu winogron i suszeniu ich na rodzynki i na tym podobnych zajęciach. Rozrywką było mi polowanie.

Nie przestawałem myśleć o czółnie i nareszcie udało mi się. W pobliżu miejsca, gdzie strumyk uchodził do zatoki, znalazłem drzewo, mniejsze, ale stósowne, jak mi się zdawało, na czółno i zbudowałem je z niego w sposób taki sam, jak i pierwsze. Do zatoki było stósunkowo nie daleko, mimo to musiałem wykopać kanał trzy metry szeroki, a dwa głęboki i wprowadzić do niego wodę, poczem dopiero na wałkach spuściłem czółno na wodę. Dwa lata pracowałem około niego i ostatecznie nie byłem zadowolony. Było za małe do przebycia czterdziestomilowej przestrzeni, dzielącej mnie od nieznanego lądu. Aby z niego jednak w jakikolwiek sposób skorzystać, postanowiłem odbyć przynajmniej małą podróż naokoło wyspy. Wycieczka ta nęciła mnie niezmiernie, boć dotąd jeszcze nie zwiedziłem całej wyspy a spodziewałem się porobić na niej wiele zajmujących odkryć. Chcąc zachować wszelkie możliwe ostrożności, urządziłem sobie niewielki maszt i żagiel z kawałka starego płótna. Popłynąwszy dla próby na kilkagodzinną wycieczkę, przekonałem się z radością, że statek mój niesie wybornie i że mu niczego nie brakuje. Wtedy dla uzupełnienia przygotowań, umieściłem na obu końcach czółna dwie drewniane, zamykane skrzynki na żywność i proch, zabezpieczone w ten sposób od deszczu i bryzgającej fali, a wewnątrz czółna wyżłobiłem podłużne zagłębienie, zamykane klapą, na chowanie tam strzelby. Wkońcu, na kształt drugiego masztu, umocowałam u steru rozpięty parasol, aby mi głowę osłaniał od słonecznych promieni. Tak urządziwszy łódź swoją, odbyłem znowu kilka małych wycieczek na próbę, nie oddalając się zbytecznie od przystani i dopiero potem udałem się w podróż naokoło wyspy. Zaopatrzyłem się obficie w żywność na drogę, a mianowicie wziąłem z sobą dwa tuziny bochenków chleba, czyli raczej placków jęczmiennych, garnek prażonego ryżu, pół flaszki rumu i duży kawał koźlej pieczeni. Zabrałem też znaczniejszy zapas prochu i śrutu, a także dwa płaszcze marynarskie, mające mi służyć za posłanie i nakrycie.

Wypłynąłem dnia 6. listopada, w szóstym roku pobytu. Podróż ta trwała o wiele dłużej, niż przypuszczałem. Wyspa wprawdzie była

nie wielka, ale płynąc wzdłuż wschodniego jej brzegu, natrafiłem na szereg skał, częścią podwodnych, częścią wystających nad wodę, a zakończonych półmilową piasczystą ławicą. Chcąc ominąć tę niespodziewaną przeszkodę, trzeba było nałożyć ogromny kawał drogi, opływając naokoło. W pierwszej chwili chciałem się cofnąć. Po namyśle jednak, zarzuciłem kotwicę, bo i kotwicę urządziłem sobie ze starych

»Spuściłem czółno na wodę« (str. 92).

haków żelaznych, znalezionych na okręcie; umocowawszy w ten sposób łódź, wydrapałem się na pagórek nadbrzeżny, skąd mogłem rozpatrzyć się po okolicy. Z pagórka spostrzegłem w pobliżu wyspy przechodzący silny prąd morski w kierunku od zachodu ku wschodowi. Gdybym o tem nie wiedząc, był dalej płynął, byłby mię ten prąd z pewnością porwał i uniósł na pełne morze. Za ławicą, tuż w pobliżu brzegu, zauważyłem wielki wir, drugie niebezpieczeństwo, na którebym się był

niezawodnie naraził, nawet owego prądu uniknąwszy. Wiatr wiał od południowego wschodu, w kierunku wręcz przeciwnym prądowi, wskutek czego bardzo silna fala uderzała w cypel ławicy piaskowej. Płynąć dalej było bardzo niebezpiecznie, to też zatrzymałem się tu przez dwa dni, dopóki wiatr nie ustał i morze się nie uspokoiło. Dopiero trzeciego dnia puściłem się dalej, niedoświadczony i lekkomyślny! Okrążałem ławicę; zaledwiem się jednak z poza niej wychylił, porwał mię nagle i unosić począł taki silny prąd, żem się nie mógł z niego wydobyć i musiał się uważać już za zgubionego. Prąd unosił mię na pełne morze, gdzie w okręgu jakich tysiąca mil nigdzie lądu być nie mogło. Groziła mi śmierć głodowa!

Wtedy to poznałem, że niema tak złego położenia, żeby się jeszcze gorszem stać nie mogło i że nieraz to, cośmy przedtem uważali za nieszczęście, pomyślnością się nam wydaje. Ja, co tyle razy wyrzekałem na bezludną samotną wyspę, uważałem ją w tej chwili za najrozkoszniejsze miejsce pobytu na ziemi. Wyciągnąwszy ku niej ręce, wołałem z rozpaczą: »O droga wyspo! czy obaczę cię jeszcze kiedy?« Wyrzucałem sobie dawne moje skargi i utyskiwania na samotność i myślałem, że oddałbym wszystko na świecie, byle tylko znów do tej wyspy powrócić! Tak to często nie znamy wartości tego, co posiadamy, a oceniamy pomyślność naszą wtedy dopiero, gdyśmy ją utracili.

Nie potrafię opisać żalu i przestrachu, jakich doznałem, znalazłszy się nagle na pełnem morzu i czując się unoszonym coraz dalej i dalej od brzegu. Mimo, że nie miałem żadnej prawie nadziei ocalenia, nie ustawałem w pracy i wiosłowałem, ile mi sił starczyło. Powietrze było wciąż spokojne, aż wreszcie koło południa musnął mnie po twarzy lekki podmuch południowo wschodniego wiatru. Ucieszyłem się niezmiernie, bo taki właśnie kierunek wiatru sprzyjał moim zamiarom. Gdy wpół godziny potem lekki ów podmuch zmienił się w silny wiatr, zacząłem nabierać nadziei. Byłem wtedy już bardzo daleko od wyspy i zaledwo ją dostrzegałem. Gdyby w tej chwili powstała mgła, straciłbym zupełnie z oczu rysujące się z daleka brzegi, a byłaby to dla mnie klęska, bo w braku kompasu, były mi one jedyną wskazówką, w którą stronę mam żeglować. Na szczęście niebo pozostało jasne i pogodne; umocowałem więc maszt, rozwinąłem żagiel i wiatr począł mię popychać ku północy. Nadzieja wstąpiła we mnie. Wkrótce zauważyłem, że zmiana jakaś zachodzi w unoszących mię falach; zdawały się być mniej mętne i mniej spienione, a chwilami nawet zupełnie przeźroczyste, co dowodziło, że prąd traci na sile, a raczej, że wydobyłem się już z głównego prądu. Spojrzałem w dal i ujrzałem o jakie pół mili wystającą z wody skałę, na której łamał się prąd,

dzieląc się na dwie części. Jedna z nich, większa, płynęła ku południowemu wschodowi, druga słabsza, odbita od skały, tworzyła przy niej rodzaj wiru i zawracała w kierunku północno zachodnim. Dla mnie było to ocalenie! Ten tylko, kto stojąc pod szubienicą, otrzymał wyrok ułaskawienia, lub kto wyrwany został z rąk zbójców w chwili, gdy czuł już na piersi dotknięcie sztyletu, ten tylko, mówię, potrafi zrozumieć

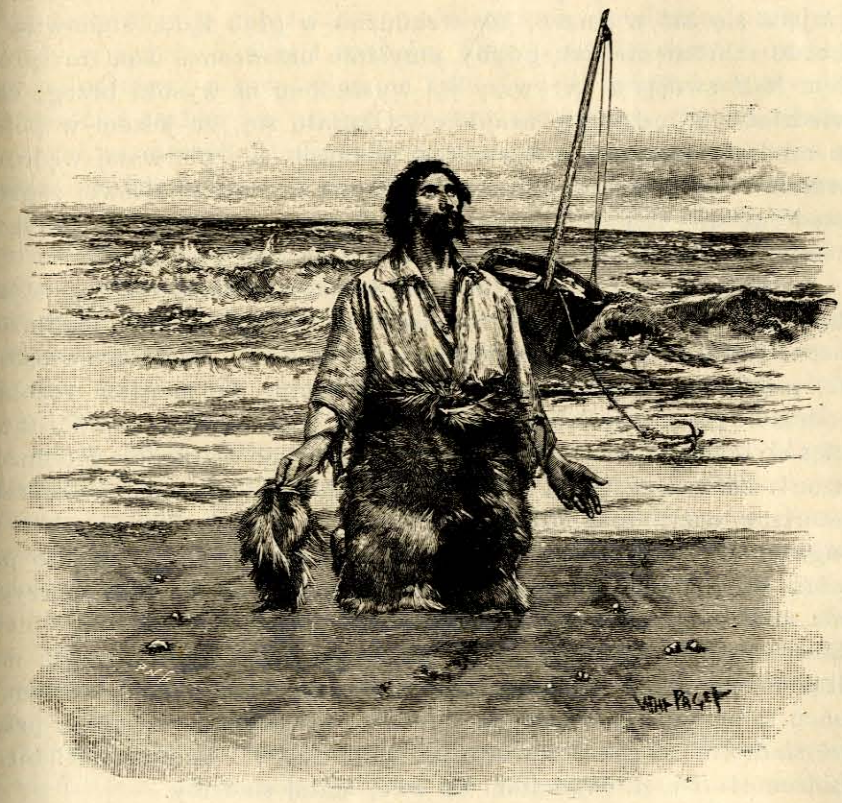

»Padłem na kolana, dziękując Bogu za ocalenie«.

radość moją, gdy mi się udało wprowadzić łódź na ów prąd północno zachodni. Z rozwiniętym żaglem, popychany pomyślnym wiatrem, płynąłem teraz szybko ku wyspie. Znalazłszy się na brzegu, padłem na kolana, dziękując Bogu za ocalenie. Teraz porzuciłem już wszelką myśl o ucieczce z tej wyspy na łodzi. W pobliżu była mała zatoka, mająca brzegi ocienione drzewami. Tam wprowadziłem czółno, przywiązałem, sam zaś spożywszy lekki posiłek, rzuciłem się zmęczony na murawę, chcąc odpocząć po niesłychanych trudach takiej podróży.

Obudziwszy się na drugi dzień, nie wiedziałem, co począć z czółnem i w jaki sposób je do domu sprowadzić. Wyrzekłem się zamiaru wracania tą samą drogą; dalszych zachodnich brzegów nie znałem, a nie chciałem narażać się na niebezpieczeństwo. Wkońcu postanowiłem iść dalej piechotą i zbadać, czy niema zatoki, stósownej na bezpieczne schowanie mej łodzi. Znalazłem właśnie taką w pewnej odległości. Była ona ujściem małej rzeczki. Szeroko otwarta od strony morza, zwężająca się zaś w miarę, jak wchodziła w głąb lądu, stanowiła ona wyborne schronienie, jak gdyby umyślnie urządzone. Tam to sprowadziłem łódź swoją, a ukrywszy ją, wyszedłem na wysoki brzeg, chcąc dowiedzieć się, gdzie się znajduję. Okazało się, że jestem w pobliżu tego miejsca, do którego doszedłem w czasie mej pierwszej wędrówki. Zabrałem z łodzi parasol i strzelbę i udałem się do letniej swej zagrody. Doszedłem do niej wieczorem, a znalazłszy wszystko w porządku, rzuciłem się zmordowany na posłanie i zasnąłem głęboko.

Spałem tak przez czas dłuższy, gdy nagle obudził mnie głos jakiś, wołający: »Robinzonie! Robinzonie! Robinzonie! biedny Robinzonie Kruzoe! gdzie jesteś? gdzie jesteś? gdzie byłeś?« Zmęczony wiosłowaniem, pieszą wędrówką i przebytymi trudami, nie mogłem rozbudzić się odrazu i długo myślałem, że śnię. Gdy jednak wołanie nie ustawało i wciąż słyszałem słowa: »Robinzonie! Robinzonie! biedny Robinzonie Kruzoe!« zerwałem się na równe nogi, osłupiały prawie z przerażenia. Przetarłszy oczy, rozglądałem się naokoło i cóż się okazało? Oto papuga moja siedziała na płocie tuż nad moją głową i ona to przemawiała do mnie w ten sposób. Nieraz w chwilach smutku i przygnębienia miałem zwyczaj wołać głośno sam do siebie: O biedny! biedny Robinzonie Kruzoe! gdzie jesteś? skąd się tu wziąłeś? Papuga moja, siedząc mi na ręku, przysłuchiwała się tym moim wykrzyknikom, aż wkońcu sama się ich wyuczyła. Poczciwe stworzenie, zawołane przezemnie, siadło mi na ręku, powtarzając znów ciągle: »Robinzonie! biedny Robinzonie!« i t. d. Wróciłem do swej stałej siedziby.

Na teraz miałem już dosyć morza i morskich wycieczek. Byłbym chętnie sprowadził swoją łódź do siebie, ale nie wiedziałem, jak tego dokazać. Płynąć po raz drugi tą samą drogą nie miałbym odwagi, bo na samo wspomnienie przebytych niebezpieczeństw krew mi się w żyłach ścinała. Wiedziałem zaś, że po drugiej stronie wyspy jest prąd równie gwałtowny, któryby mógł porwać łódź moją i rozbić ją o skaliste brzegi; narażać się na to nie miałem ochoty. I tak, rad nie rad, zrzec się musiałem używania swej łodzi, a nawet zapomnieć prawie o jej istnieniu, mimo że sporządzenie jej tyle mnie kosztowało trudów.

ROZDZIAŁ XIII.

Doskonalenie się w rzemiosłach. — Oswojone kozy. — Masło i ser. — Moi domownicy na wyspie. — Mój strój. — Posiadłości.

Przytłumiwszy w sobie żądzę podróżowania, spędziłem prawie rok cały w zupełnej ciszy i spokoju. Oswajając się coraz bardziej ze swem położeniem, gotów byłem w każdej chwili poddać się wyrokom Opatrzności i czułem się prawie zupełnie szczęśliwy, chociaż niekiedy ciężyła mi samotność. Doskonaliłem się tymczasem w rozmaitych rzemiosłach. Wydoskonaliłem się naprzykład w ciesielstwie, o ile można być cieślą bez żadnych prawie narzędzi. Wyćwiczyłem się znacznie w garncarstwie, a od kiedy zacząłem używać koła garncarskiego, wyrabiałem naczynia bez porównania kształtniejsze i zgrabniejsze, niż poprzednio. Z żadnej jednak swojej roboty nie byłem tak dumny, jak z pierwszej ulepionej fajki. Mimo, że było to sobie zwyczajne brzydkie fajczysko, wypalone z tej samej gliny, co najprostsze garnki, służyło mi przecież doskonale i wybornie dym przepuszczało, to też zachwycony byłem tem dziełem rąk swoich! Palić lubiłem ogromnie. Tytoniu miałem na wyspie pod dostatkiem. W koszykarstwie zrobiłem także ogromne postępy. Wyplatałem wielką ilość koszyków na rozmaite potrzeby. I tak naprzykład: zabiwszy kozę gdzieś daleko od domu, zdejmowałem z niej skórę, patroszyłem, a rozebrawszy mięso na kawałki, kładłem je do kosza i niosłem do domu; było to o wiele wygodniej, niż dźwigać całą kozę na plecach. Podobnie postępowałem i z żółwiami. W dużych głębokich koszach przechowywałem wykruszone ziarno.

Zauważyłem ze smutkiem, że wyczerpuje mi się zapas prochu. Nie wiedziałem, co pocznę, gdy mi go już zupełnie zabraknie i gdy nie będę miał czem kóz zabijać. Opowiedziałem już dawniej, że w trzecim roku pobytu na wyspie przyswoiłem sobie młodą kózkę i hodowałem ją w zagrodzie, mając nadzieję, że złapię jeszcze kozła i dochowam się z nich całej trzody. Nadzieja ta zawiodła mnie; kozła jakoś nie schwytałem, a koza zdechła ze starości, bo nie miałem serca pozbawić ją życia. Teraz, w jedenastym już roku pobytu tutaj, zauważywszy, jak to już wspomniałem, że zapas prochu coraz się zmniejsza, postanowiłem chwytać zwierzynę żywcem. W tym celu zastawiłem sidła na kozy, ale sidła były za słabe, bo brakło mi drutu; schwytane zwierzęta porozrywały sznury i uciekły, zjadłszy poprzednio przynętę. Użyłem wtedy innego sposobu; zacząłem urządzać pułapki. Pokopałem dość

głębokie doły w miejscach, gdzie kozy zwykły przychodzić na paszę i nie zastawiając pułapek, narzucałem tam jęczmiennych i ryżowych kłosów. Kozy wyjadły ziarno. Zastawiwszy następnie pułapki, doczekałem się dobrego skutku. Pewnego poranku znalazłem w jednym z dołów dużego kozła, w drugim troje koźląt: koziołka i dwie kozy. Stary kozioł rzucał się tak dziko, że nie wiedziałem, co z nim począć, i bałem się prawie do niego zbliżyć. Po namyśle, wypuściłem go na wolność, nie chcąc go zabijać, aby nie płoszyć innych kóz; uciekał jak szalony. Zapomniałem, że głodem lwa nawet najdzikszego uśmierzyć można i że gdybym schwytanego kozła trzy lub cztery dni zostawił był bez pożywienia, a następnie przyniósł mu trochę wody i zboża, dałby się napewno ugłaskać, bo kozy są bardzo zmyślne i przy dobrem obchodzeniu się przyswajają się łatwo. Po wypuszczeniu kozła wydobyłem z jamy młode koźlęta; związawszy je postronkiem, zaprowadziłem do swojej zagrody, mimo że się opierały. Z początku nic jeść nie chciały, ale gdym im dorzucać zaczął wyborowego ziarna, zasmakowały w niem i obłaskawiły się wkrótce. Uważałem je za początek przyszłej trzody i hodowałem starannie, ciesząc się myślą, że nie zabraknie mi już teraz mięsa, chociażby zapas prochu wyczerpał się zupełnie. Zastanowiłem się później, że gdy już mieć będę liczniejszą trzodę, trzeba ją będzie trzymać w odosobnieniu, aby się swojskie kozy nie mięszały z dzikiemi i nie dziczały, że zatem trzeba będzie ogrodzić duży kawał gruntu, gdzieby zapędzone kozy znalazły dostateczną paszę. Olbrzymie to było przedsięwzięcie na jednego człowieka, ale czując jego konieczność, udałem się natychmiast na poszukiwanie takiego miejsca, by miało i cień i wodę i paszę obfitą. Znalazłem je bez trudu i zacząłem zaraz ogradzać, ale tu dałem dowody wielkiego niedoświadczenia i zupełnie nierozsądnie wziąłem się do rzeczy. Upatrzywszy śliczną łąkę, poprzerzynaną strumykami, z lasem, zacząłem grodzić tak wielką przestrzeń, że ten płot musiałby mieć ze dwie mile ang. długości! Nie to jednak było złe, że zadałbym sobie w ten sposób ogromną pracę, bo nie brakło mi czasu na jej wykonanie i mógłbym się podjąć ogrodzenia dziesięciomilowej nawet przestrzeni. Ale nie zastanowiłem się nad tem, że w tak obszernej zagrodzie kozy zdziczeją wkrótce i że chwytać je tam będzie równie trudno, jak gdyby biegały po całej wyspie. Przyszło mi to wszystko na myśl dopiero wtedy, gdym wygrodził już dość znaczny kawał płotu. Zmieniwszy zamiar, postanowiłem ogrodzić na początek kawałek ziemi, długi na sto pięćdziesiąt a szeroki na sto kroków, i powiększać zagrodę dopiero w miarę potrzeby. To było rozsądne przedsięwzięcie, zabrałem się też do niego z wielką ochotą i po upływie trzech miesięcy ukończyłem swą pracę. Tymczasem trzymałem koźlęta na łące na uwięzi i karmiłem je codziennie z ręki

to ryżem, to jęczmieniem. Ułaskawiły się zupełnie, a gdy, ukończywszy ogrodzenie, chciałem je na nową siedzibę zaprowadzić, nie potrzebowałem wieść ich na postronku, bo same szły za mną. Zaprowadzenie trzody doskonale mi się powiodło. Po upływie półtora roku miałem już dwanaście kóz, po dalszych dwóch latach czterdzieści trzy, a przybywało mi ich coraz więcej. Stopniowo urządziłem aż pięć takich ogrodzonych pastwisk, połączonych z sobą drewnianemi wrotami. Prócz tego porobiłem w każdej zagrodzie mniejsze przegrody, do których zapędzałem przeznaczone na rzeź sztuki.

»Nauczyłem się doić«.

Miałem teraz nie tylko mięsa na zawołanie pod dostatkiem, ale także i obfitość mleka, o czem pierwotnie nawet nie marzyłem; było to dla mnie prawdziwie przyjemną niespodzianką. Zaprowadziłem sobie małe gospodarstwo mleczne. Miewałem do dziewięciu kwart mleka dziennie. Przyroda najlepszą jest nauczycielką; ona to wskazuje rozmaitym stworzeniom sposoby zdobywania sobie żywności. Podobnie i ja, co nigdy w życiu nie miałem nic do czynienia z krowami ani kozami i nie miałem pojęcia, jak się doi, jak robi się ser i masło, nauczyłem się sam tego wszystkiego, nauczyłem się doić i po kilkunastu nieudałych próbach robiłem nieźle jedno i drugie. Jakże łaskawy jest Bóg dla stworzeń swoich, nawet wtedy, gdy je dotyka karzącą ręką! Jakże litościwie osładzać umie chwile goryczy w życiu! Za Jego sprawą więzienie nawet stać się może przybytkiem wesela.

Dzięki Jego łasce pustkowie moje, gdzie z początku zdawała mi się grozić śmierć głodowa, dostarczało mi pożywienia aż do zbytku!

Najpoważniejszy mędrzec nie potrafiłby pewnie wstrzymać się od uśmiechu, patrząc na mnie, ucztującego w gronie swych domowników. Siedziałem pomiędzy nimi, jak pan i władca tej wyspy pośród dworaków. Ulubienica moja, papuga, zabawiała mnie rozmową, stary mój zasłużony pies, stary już i trochę głuchy, siedział po prawej mej ręce na znak szczególniejszej łaski, na stole zaś, naprzeciw mnie, sadowiły się dwa koty. Nie były to jednak te same, którem niegdyś zabrał z okrętu, lecz pozostałe po nich młode. Tamte dawno już pozdychały; zagrzebałem je niedaleko mego mieszkania. Młode rozmnożyły się już bardzo i z wyjątkiem dwóch zupełnie zdziczały. Żyły one teraz w lesie i napadały nawet czasem na moją zagrodę, robiąc dużo szkody. Wystraszyłem je, strzelając do nich i dopiero, gdy zabiłem kilkanaście, przestały mię wreszcie nawiedzać. Żyłem więc sobie wśród moich dworaków wygodnie i przyjemnie, mając wszystkiego pod dostatkiem. Do zupełnego szczęścia brakowało mi tylko towarzystwa ludzi, ale i to przybyć mi miało wkrótce.

Wspomniałem już dawniej, jak bardzo chciało mi się sprowadzić gdzieś bliżej łódź swoją, zostawioną w zatoce, po zachodniej stronie wyspy. Nie wiedziałem, jak się wziąść do tego, bo narażać się na niebezpieczeństwo nie miałem ochoty. Z czasem zapomniałem o tem. Jakiś niepokój wewnętrzny popchnął mię natomiast w drogę na ów pagórek nadbrzeżny, z którego szczytu dostrzegłem owe niebezpieczne prądy i wiry, które mię na pełne morze uniosły. Poszedłem wzdłuż brzegu morskiego. Idąc, myślałem sobie, że gdyby mię spotkał teraz który z moich rodaków, to przestraszyłby się z pewnością, lub też rozśmiał serdecznie, patrząc na moją cudaczną figurę. Ja sam nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu na myśl, jakiebym wywołał zdziwienie, gdybym się tak nagle ukazał na rynku jakiego miasta w rodzinnym moim kraju. Na głowie miałem ogromną niezgrabną czapkę futrzaną, do niej przyszyty był z tyłu duży kołnierz, na plecy spadający, by mi się deszczówki za kark nie nalewało, oraz dla ochrony od słońca. Nic bowiem nie szkodzi bardziej zdrowiu w tym kraju, jak przemoczenie ciała pod ubraniem. Dalej miałem na sobie kaftan z koźlej skóry, sięgający mi do połowy bioder i takież spodnie po kolana z futra starego kozła, bardzo dziwnie wyglądające, bo skóra miała włos tak długi, że spadał mi na stopy. Nie nosiłem oczywiście pończoch i butów, ale miałem skórzane chodaki. Opasywałem się po wierzchu kaftana szerokim pasem z wysuszonej koźlej skóry, wiązanym na dwa rzemyczki. Po obu bokach miałem pochwy, w jednej nosiłem toporek, w drugiej piłę. Przez ramię przewieszone miałem na jednym rzemieniu

dwie torby: jedna z prochem, a druga z kulami i śrutem. Na plecach niosłem kosz, na ramieniu strzelbę, nad głową zaś wielki, niezgrabny parasol z koźlej skóry, po strzelbie najpożyteczniejsza rzecz, jaką miałem. Twarz miałem mocno ogorzałą, brodę nosiłem, ale przystrzygałem dość często, mając w domu nożyczki. Zato wąsów nigdy nie dotykałem i zapuściłem je bardzo długie, na sposób turecki. Taki sposób noszenia wąsów widziałem w Sale w czasie mojej niewoli. Wyobrażam sobie, jakby się ludzie przestraszyli, gdybym się z takimi wąsami pokazał

»Siedziałem między nimi jak pan i władca tej wyspy« (str. 100).

u nas w kraju. Tu jednak, gdzie nikt na mnie nie patrzył, mogłem śmiało ubierać się i wyglądać, jak mi się podobało.

W takim to stroju udałem się w kilkudniową podróż. Dążąc do miejsca, o którem wspomniałem, trzymałem się z początku brzegów morza, później poszedłem krótszą drogą na przełaj i dotarłem wkrótce do nadbrzeżnego pagórka, z którego ujrzałem był po raz pierwszy prądy i wiry. Jakżeż byłem zdziwiony, zobaczywszy wyraźnie skały podwodne i ławicę, którą musiałem okrążać, ale ani śladu prądów. Patrzyłem, nie wierząc własnym oczom, aż wkońcu wpadłem na myśl, że musi to mieć jakiś związek z przypływem i odpływem morza

i postanowiłem zostać tu czas jakiś, aby się przekonać, jak się rzecz ma w istocie. Domysł mój się sprawdził. Uchodząca tu w pobliżu do morza większa rzeka, łączyła się z falą morską i wywoływała chwilowo w czasie odpływu ów prąd, co mi był napędził tyle strachu. Zauważyłem także, że prąd powstaje dalej lub bliżej brzegu, stósownie do kierunku wiatru i że dziś naprzykład utworzył się on o pół mili dalej, niż wtedy, kiedy porwał był łódź moją. Ze spostrzeżeń tych wynikało, że wybrawszy odpowiedni czas pomiędzy przypływem a odpływem, mógłbym śmiało przepłynąć tędy do miejsca, gdzie stale mieszkałem, i że przeprawa taka nie byłaby wcale trudna. Zbyt jednak żywo tkwiły mi jeszcze w pamięci przebyte niedawno niebezpieczeństwa i wolałem obmyśleć co innego. Powziąłem zamiar sporządzić sobie drugie czółno i mieć w ten sposób z każdej strony wyspy statek na swoją potrzebę.

Posiadałem na wyspie, jak to już zresztą wiadomo, dwie siedziby, dwa stałe mieszkania. Obronne moje ogrodzenie, oparte o skałę, z namiotem i piwnicą, było głównem mojem schroniskiem. Piwnicę rozszerzyłem znacznie i podzieliłem przegrodami na kilka części. W najsuchszej z nich, w tej, co miała drzwi na zewnątrz, przechowywałem zboże tak w ziarnie, jak w kłosach, trzymając je w dużych koszach i naczyniach glinianych. Na zewnątrz palisady zasadzony żywopłot rozrósł się i rozwinął tak wspaniale, że pod jego osłoną mieszkanie moje ukryte było zupełnie przed ludzkiem okiem. W pobliżu, w głębi wyspy, znajdowały się moje pola. Uprawiałem je corocznie i co roku miałem żniwa, a gdy chciałem mieć więcej zboża, zajmowałem pod uprawę większy kawał gruntu. Nadto miałem letnią siedzibę, jako drugie schronienie; utrzymywałem ją starannie i przyozdabiałem, czem mogłem; wyglądała też rzeczywiście bardzo pięknie. Altanka trzymała się doskonale, żywopłot rozwinął się wspaniale i utworzył zczasem prześliczne cieniste otoczenie, wśród którego rozpiąłem namiot z żaglowego płótna, a pod nim ułożyłem sobie szerokie posłanie ze skór zwierzęcych. Skóry te ułożyłem jedne na drugich, z wierzchu rozesłałem wełnianą kołdrę, pozostałą mi z rzeczy okrętowych. W tem rozkosznem ustroniu nocowałem nieraz po dni kilka i więcej. Nie opodal ztamtąd znajdowały się pastwiska kóz moich. Opowiadałem powyżej, ile trudów kosztowało mię ich ogrodzenie; pilnowałem też bardzo starannie, żeby się nie popsuło. Ile razy, przechodząc, zauważyłem jaki otwór w płocie, zabijałem go natychmiast kołkami, które później puszczały pędy. Wskutek tych nieustannych naprawek stało się zczasem ogrodzenie tak gęste i zbite, że trudnoby było nawet rękę włożyć. Opisuję to wszystko na dowód, że nie szczędziłem pracy i trudu dla zdobycia tego, co mi było

potrzebne i że nie pędziłem życia w próżniactwie. Trzoda moja tak była liczna, że zapewniła mi utrzymanie na całe prawie życie, dostarczając mi stale obfitych zapasów mięsa, mleka, sera i masła. Prócz tego miałem na wyspie swoją winnicę; owoców jej używałem w lecie świeżych, na zimę suszyłem je na rodzynki, robiąc ogromne zapasy; lubiłem je

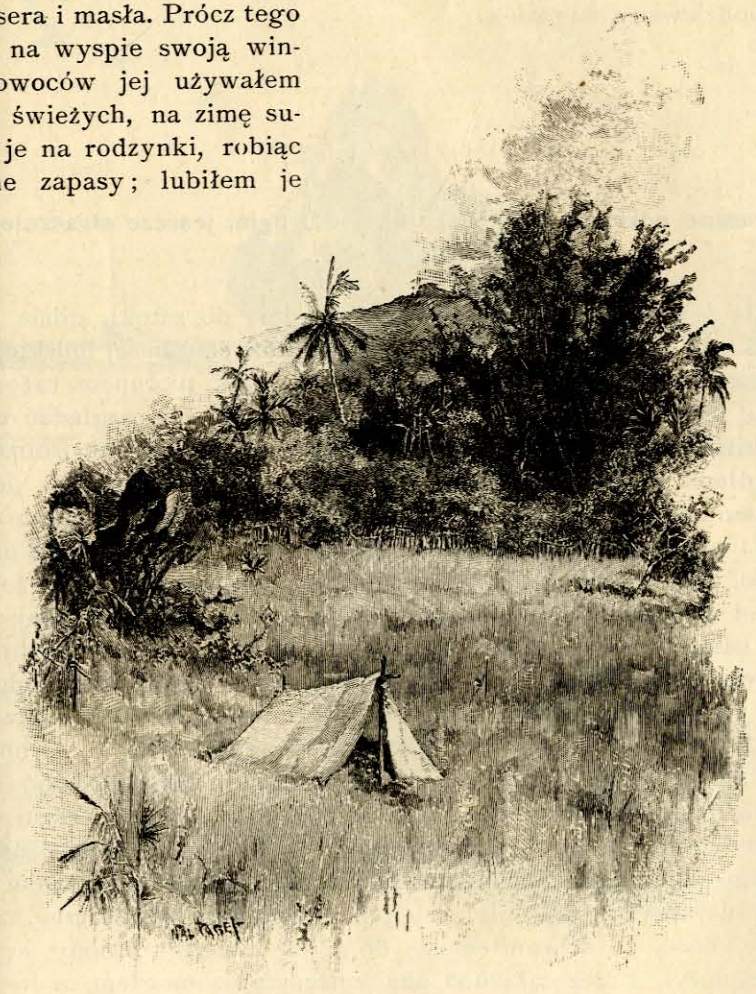

»Miałem letnią siedzibę« (str. 102).

bowiem bardzo i uważałem za zdrowy i najlepszy przysmak. To letnie mieszkanie leżało na pół drogi pomiędzy obronnem mojem schroniskiem, a miejscem, gdzie zostawiłem łódź swoją. Tu zwykle odpoczywałem, ilekroć udawałem się do owej zatoki. Zdarzało się to dość często, bo czuwałem pilnie nad łodzią, pragnąc ją w dobrym utrzymać stanie; robiłem też na niej niekiedy małe morskie wycieczki. Pamiętny jednak

na niedawne przygody, nie oddalałem się nigdy zbytecznie od brzegu, lękając się, aby mnie znów nie porwał prąd jaki i nie uniósł na wody nieznane. W tym czasie zaszedł w mojem jednostajnem życiu dziwny i niespodziewany wypadek.

ROZDZIAŁ XIV.

Straszne odkrycie i jego skutki. — Drugie, jeszcze straszniejsze odkrycie.

Dnia jednego, udając się około południa do zatoki, gdzie miałem ukryte czółno, ujrzałem nagle przed sobą ślad bosej ludzkiej stopy, wyraźnie odciśniętej na piasku. Stanąłem, jak piorunem rażony, nie wiedząc prawie, czy to sen, czy jawa. Zacząłem się rozglądać wokoło, nasłuchiwałem pilnie, ale nic nie usłyszałem, ani nie zobaczyłem. Wyszedłem na sąsiedni pagórek, aby módz dalej widzieć, lecz nie dojrzałem nikogo. Powróciłem na wybrzeże i chodząc, szukałem innych śladów; napróżno: był tylko jeden, jedyny. Przyglądałem się mu więc uważnie, myśląc, że mi się przywidziało, żem się pomylił i że to nie jest ślad nogi ludzkiej. Jednak odcisk był aż nadto wyraźny: pięta, palce, cała stopa doskonale była odciśnięta na piasku! Zachodziłem w głowę, skąd się tu mógł wziąść ślad taki i nie umiałem odgadnąć. Różne myśli i przypuszczenia nasuwały mi się, szedłem nastraszony, spoglądając nieufnie na każde drzewo, krzew każdy i wyobrażając sobie, że wszędzie czycha na mnie tajemnicza jakaś postać ludzka. Wyobraźnia podsuwała mi najdziksze pomysły. Z największym pośpiechem biegłem do swojej obronnej zagrody i dopadłem jej z uczuciem ściganego zbiega. Nie pamiętam już, jakim sposobem dostałem się do mieszkania, czy po drabinie, czy też przez drzwi zewnętrzne, wykute w skale, dość, że schroniłem się doń, jak zwierz tropiony kryje się do swej nory. Przez całą noc oka zmrużyć nie mogłem, a im więcej zastanawiałem się nad owym zagadkowym śladem, tem silniejszego doznawałem niepokoju. Wyobraźnia podsuwała mi coraz to straszniejsze obrazy. Myślałem nawet przez chwilę, że jestem chyba igraszką szatana i że ten chytry wróg rodzaju ludzkiego nasyła mi złudne widzenia, aby mnie przestraszyć i w pole wyprowadzić. Bo przecież człowiek mógłby się dostać na wyspę tylko na statku! A gdzież ten statek?! Dlaczegom go nie dostrzegł? dlaczego jeden tylko ślad został na wybrzeżu? Ale może to dzicy ludzie z przeciwległego lądu nawiedzili moją wyspę? Może prąd morski jakiś, albo wiatr przeciwny rzucił ich

»Stanąłem jak piorunem rażony« (str. 104).

łódkę na te wybrzeża! Włosy mi powstały na głowie na samą myśl o niebezpieczeństwie, na jakie byłbym narażony, gdybym właśnie w owej chwili znajdował się na brzegu. Pomyślałem, że jednak szczęśliwie się stało, że ci dzicy nie zapuścili się w głąb wyspy i nie zauważyli, że ktoś tu mieszka. Lecz .... o Boże! a jeżeli spostrzegli czółno moje, ukryte w zatoce?! Domyśliwszy się ztąd, że wyspa jest zamieszkana, powrócą w kilku łodziach liczniejsi i napadną na mnie. W takim razie, jeżeli nawet mnie samego nie znajdą, to spustoszą mi pola, uprowadzą trzody i zostawią mię w ostatniej nędzy i bez środków do życia. Zacząłem sobie robić wyrzuty i żałować, żem lekkomyślnie zaniedbał zaopatrywać się w większą ilość zboża i postanowiłem siać w przyszłości znacznie więcej ziarna, aby w razie jakiego wypadku, zabezpieczyć się od głodu przynajmniej na lat parę.

Pod wpływem przestrachu znikła w jednej chwili pobożna ufność moja w miłosierdzie Boga i opiekę Jego nademną; zapomniałem, że Ten, co mię tak cudownie zaopatrzył w żywność, mocen jest i uchronić ją przed napaścią wrogów! Jakże się dziwnie życie ludzkie układa i splata! Jaką ono jest igraszką różnych, a zmiennych skłonności i pobudek! Jakże zmienne są pragnienia nasze i marzenia! Częstokroć kochamy dziś to, co nam jutro będzie nienawistne; szukamy tego, czego jutro unikać będziemy; pragniemy gorąco tego, od czego jutro odwrócimy się ze wstrętem, a nawet przerażeniem! Tak było i ze mną. Wczoraj jeszcze tęskniłem za ludźmi, marzyłem o towarzystwie ludzkiem, jako o największem i niedoścignionem szczęściu. Ja, co wyrzekałem nieraz na swoją samotność i tysiące mil nieprzebytego Oceanu, żaląc się, żem wyrzucony z pomiędzy żyjących, jak gdybym był niegodny znajdować się wśród nich, ja, co myślałem nieraz, że pojawienie się człowieka na wyspie byłoby dla mnie największą radością, błogosławieństwem i dobrodziejstwem Bożem, wskrzeszeniem i powróceniem do żywych!.. — omdlewałem teraz ze strachu na samą myśl, że ludzie nawiedzili moją wyspę i umierałem prawie z przerażenia na widok stopy ludzkiej, odciśniętej na piasku! Takie to zmienne jest serce ludzkie! Po niejakim czasie, gdym nieco ochłonął z pierwszego przerażenia, postanowiłem poddać się spokojniej wyrokom Niebios. Rozumować zacząłem, że Bóg, jako wszechmocny Stwórca, ma przecie prawo rozporządzać swojem stworzeniem. Jeśli spodobało Mu się zesłać na mnie karę, powinienem poddać się jej bez szemrania. Jeżeli Bóg zechce, to i teraz wybawić mnie może. Uczułem, że powinienem się zdać w zupełności na wolę Bożą i oczekiwać z ufnością i pokornie tego, co mi z rąk Jego w udziale przypadnie.

Długi czas dręczyły mię jeszcze obawy i straszne przeczucia. Wreszcie dnia jednego, gdym jeszcze leżąc rozmyślał, jak niebezpieczne

byłoby dla mnie pojawienie się dzikich na wyspie, przypomniałem sobie nagle słowa Pisma Świętego: »Wzywaj Mnie w utrapieniu, a wybawię cię i będziesz sławił Imię Moje«. Słowa te wlały we mnie dziwny spokój. Pod ich wpływem zerwałem się z pościeli, a odmówiwszy krótką lecz serdeczną modlitwę, wziąłem do ręki biblię. Pierwszy ustęp, na który rzuciłem wzrokiem po otwarciu księgi, był następujący: »Trwaj przy Panu i pozbądź wszelkiej obawy, a Bóg ukrzepi serce twoje; tylko powiadam ci, trwaj przy Panu«. Słowa te wlały mi w serce jeszcze większą otuchę. Z uczuciem wdzięczności zamknąłem książkę i narazie uczułem się zupełnie uspokojony.

Wśród rozmaitych domysłów i przypuszczeń przyszło mi znów na myśl, że bez żadnego powodu tak się przeraziłem, bo ślad, dostrzeżony przezemnie na piasku, mógł być odbiciem mojej własnej stopy. Myśl ta wydała mi się tak prawdopodobną, żem prawie w nią uwierzył i na pół uspokojony, zacząłem przekonywać sam siebie, że wszystkie moje obawy były płonne, bo ślad ten na piasku wycisnąłem na pewno ja sam, idąc lub wracając od swej łodzi. Wprawdzie odcisk zrobiony był nie zupełnie na drodze, którą zwykle chodziłem, ale nie mogę przecie dokładnie pamiętać, czy tą samą drogą szedłem i wracałem i czy przypadkiem aż tam nie zabłądziłem. Gdyby tak było, tom się zląkł własnego cienia, podobny owym bajczarzom, co wymyślają historye o duchach i upiorach dla przestraszenia innych, a później sami drżą ze strachu na wspomnienie zmyślonych przez siebie opowiadań. Nabrawszy nieco odwagi, postanowiłem wychylić się wreszcie ze swej twierdzy, gdziem siedział zamknięty przez trzy dni i trzy noce i gdzie zaczynało mi już być głodno; nie zostało mi już bowiem prawie nic z zapasów, prócz kilku placków jęczmiennych i trochy wody. Kozy moje, trzy dni nie dojone, mogły skutkiem tego zaniedbania zachorować i stracić mleko. Powtarzając więc sobie raz jeszcze, że nie powinienem się niczego obawiać, bo ślad na piasku sam wycisnąłem, udałem się do swej letniej siedziby, a ztamtąd do moich kóz. Nie pozbyłem się jednak jeszcze trwogi i ktoby mnie widział, jak szedłem, rozglądając się na wszystkie strony, gotów w każdej chwili zrzucić kosz z siebie i uciekać, wziąłby mnie z pewnością za człowieka trapionego wyrzutami sumienia, albo przerażonego dziwnem jakiemś zjawiskiem. To ostatnie przypuszczenie byłoby prawdziwe, bo ów ślad stopy ludzkiej był dla mnie rzeczywiście strasznem i pełnem grozy zjawiskiem. Przez trzy dni chodziłem tą samą drogą, a nie spostrzegając nic nadzwyczajnego, zacząłem wierzyć, że ślad na piasku nic nie znaczy i że byłem dotąd igraszką własnej wyobraźni. Czułem jednak, że nie uspokoję się naprawdę, dopóki śladu tego nie porównam z odciskiem własnej stopy. Pośpieszyłem

na wybrzeże i znalazłem odcisk nienaruszony, ale niestety przekonałem się, że nie odcisnęła go moja stopa, bo po pierwsze nie mogłem w żaden sposób przechodzić tamtędy, idąc czy wracając od łodzi, a po drugie miałem stopę znacznie mniejszą, niż wyciśnięta na piasku! Odkrycie to napełniło mnie na nowo przerażeniem i grozą. Niestety, nie miałem już teraz żadnych wątpliwości! Ludzie jacyś nawiedzili moją wyspę, co więcej, mogą się dotąd na niej znajdować i w każdej chwili grozi mi napad z ich strony. Nie wiedziałem, co począć i gdzie szukać obrony.

O jakimże złym doradcą jest strach! Odbiera on rozum człowiekowi i czyni go bardziej jeszcze słabym i bezbronnym wobec niebezpieczeństwa. Ja naprzykład, powróciwszy do schronienia, robiłem teraz najdziksze i wprost śmieszne postanowienia. Zamierzałem rozebrać płot, ogradzający moje pastwisko, i wypędzić trzodę do lasu, a to dlatego, żeby nie dostrzegł jej nieprzyjaciel i nie zachęcił się łatwością zdobycia łupu do częstych wycieczek na wyspę. Podobnież chciałem zniszczyć zboże na pniu, nie zostawiając ani jednego kłoska, a także zburzyć letnią altankę i namiot obok niej rozpięty dla zatarcia wszelkiego śladu pobytu mego na wyspie. Takie i tym podobne myśli przychodziły mi do głowy w pierwszą noc po powrocie do twierdzy. Strach opanował na nowo moją duszę i wtedy doświadczyłem na sobie, że obawa przed niebezpieczeństwem stokroć gorsza, niż samo niebezpieczeństwo. A najgorsze ze wszystkiego było to, żem nie miał już poprzedniej ufności w miłosierdzie Pana. Mogłem powiedzieć o sobie, jak Saul biblijny: »Nie tylko najechał mnie nieprzyjaciel, ale i Pan mój opuścił mnie«. Nie czyniłem przytem nic dla uspokojenia wzburzonego umysłu, nie modliłem się, nie wzywałem Pana, aby mię z utrapienia wybawił, to też nie czułem w sobie odwagi, ani sił dostatecznych dla stawienia czoła niebezpieczeństwu. Dręczony niepokojem, przez całą noc spać nie mogłem. Dopiero nad ranem, zmęczony i wyczerpany do najwyższego stopnia, usnąłem twardo.

Na drugi dzień obudziwszy się, byłem daleko lepszej myśli. Zastanowiwszy się spokojnie, doszedłem do przekonania, że tak piękna i urodzajna wyspa, położona przytem nie zbyt daleko od stałego lądu, nie mogła być przecież zupełnie nieznana. Nie miała wprawdzie stałych mieszkańców, ale musiały nieraz zawijać do niej łodzie z poblizkich krajów, nie tylko zapędzone wiatrem, ale umyślnie dla zwiedzenia tych wybrzeży. Wprawdzie przez piętnaście lat mojego tu pobytu nie dostrzegłem nigdy ani cienia nawet ludzkiej istoty, jeżeli więc bywali tu jacy goście, to nie bawili zapewne nigdy długo i odpływali ztąd natychmiast, nie chcąc osiedlać się na stałe. Jeżeli jednak dzicy ludzie zabłąkali się tu teraz przypadkowo, to mogło mi grozić rzeczywiste

niebezpieczeństwo. Należy zatem pomyśleć o jakimś kącie, bardziej obronnym od mojej twierdzy, gdziebym się mógł schronić przed napastnikami.

Żałowałem teraz mocno, żem przebił skałę na wylot i ułatwił przez to dostęp do swego mieszkania. Zato postanowiłem wznieść na około swej twierdzy jeszcze jedno ogrodzenie. Nie było to trudne zadanie, bo przed dwunastu laty zasadziłem był ów żywopłot, który wybujawszy i rozkrzewiwszy się, stanowił prawie sam przez się rodzaj ogrodzenia. Uzupełniłem je tylko, zagradzając miejsce otwarte, i wzdłuż tej palisady z żywych drzew usypałem nowy wał ziemny. Następnie zrobiłem w tem zewnętrznem ogrodzeniu siedem strzelnic i umieściłem w nich na stósownych podstawach siedem strzelb, uratowanych z okrętu. Przy takiem urządzeniu mogłem dać ognia siedem razy w przeciągu dwóch minut. Cała ta praca zajęła mi miesiąc z górą czasu, ale po dokonaniu jej uczułem się spokojniejszy i lepiej zabezpieczony. W końcu w pewnej odległości po za drugiem ogrodzeniem nawbijałem mnóstwo kołków wierzbowych. Tylko przed samem ogrodzeniem zostawiłem kawałek wolnej przestrzeni, aby w razie zbliżania się nieprzyjaciół brać ich łatwo na cel. Po upływie dwóch lat zielenił się już naokoło mego mieszkania młody gaik, po sześciu zaś latach rozrósł się on w las gęsty i nieprzebyty, po za którym niktby się nie domyślił ludzkiego mieszkania. Także i w zewnętrznem ogrodzeniu nie zostawiłem żadnego wejścia i po staremu, zapomocą drabin, dostawałem się do środka. Zrobiłem więc wszystko, co mogłem, aby sobie bezpieczeństwo zapewnić; przyszłość okazała, że ostrożność taka nie była zbyteczna.

Wśród tych prac około obwarowania mego mieszkania niepokoiła mnie ustawiczna obawa o trzodę. Miałem z niej niesłychanie wiele korzyści; dostarczała mi bowiem mięsa i mleka i oszczędzała mi proch, którybym musiał zużywać na polowaniu. To też na samą myśl, że ktoś może mi trzodę zabrać, wpadałem w rozpacz. Po długich namysłach powziąłem zamiar wyszukania jakiej ukrytej jaskini i zapędzania tam swojej trzody na noc, albo też podzielenia jej na mniejsze stada, abym każde zosobna mógł umieścić w różnych miejscach wyspy. W takim razie, gdyby mi zniszczono jedno stado, zostawały inne i nie łatwoby przyszło wrogom moim pozbawić mnie żywności. Ten drugi pomysł wydał mi się praktyczniejszy. Zabrałem się więc do wykonania go i zacząłem poszukiwać miejsc, odpowiednich na pastwiska. Wynalazłem wkrótce w gęstym lesie takie ukryte ustronie. Była to łączka, mająca trzy morgi rozległości, położona w lesie, tworzącym naokoło jakby płot naturalny. Uzupełniłem go, wbijając kołki pomiędzy drzewa i po upływie miesiąca ukończyłem ogrodzenie, poczem sprowadziłem tu

dziesięć młodych kóz i dwa kozły. Jako oswojone, poszły za mną dobrowolnie, bez żadnej trudności.

Poniosłem wszystkie te trudy pod wpływem trwogi, wywołanej widokiem śladu jednej, jedynej stopy ludzkiej. Wprawdzie dwa lata już upłynęło od owego wypadku, a nie pojawił się tu przez ten czas żaden człowiek; żyłem jednak odtąd w ciągłem podnieceniu i nie było mi już na mojej wyspie tak spokojnie i tak zacisznie, jak dawniej. Uczucia moje zrozumie każdy, kto doznał obawy przed groźnym, a nieznanym nieprzyjacielem.

Przeprowadziwszy w bezpieczne miejsce część swojej trzody, zacząłem szukać drugiego, równie ukrytego zakątka. W czasie tej wycieczki zapuściłem się dalej niż zwykle na nieznany mi jeszcze kraniec zachodniego wybrzeża. Gdym spojrzał ztamtąd na morze, wydało mi się, iż dostrzegam zdaleka łódź jakąś. Nie byłem jednak pewny, czy przedmiot widziany jest rzeczywiście łodzią, bo zbyt był odległy, abym go mógł wyraźnie odróżnić gołem okiem. Przypomniałem sobie wtedy, że mam w domu dwie lunety okrętowe, i bardzo żałowałem, że żadnej z sobą nie wziąłem. Za chwilę zagadkowy ów przedmiot znikł mi z oczu. Postanowiłem na przyszłość nie wychodzić nigdy z domu bez lunety. Wspomniałem już powyżej, że znajdowałem się po raz pierwszy w tej stronie wyspy. Otóż zstąpiwszy z nadbrzeżnego pagórka, przekonałem się, że dostrzeżony przezemnie ów odcisk stopy ludzkiej nie był wcale tak dziwnem i nadzwyczajnem zjawiskiem na tej wyspie, jak mi się z początku zdawało. Pokazało się później, że dzicy przybijali tu bardzo często i że cudem tylko nie spotkałem się dotąd z nimi, a to dzięki temu, że Opatrzność rzuciła mnie po rozbiciu okrętu na przeciwny, wschodni brzeg wyspy. Dzicy przybywali tu zwykle po stoczonych bitwach na morzu. Zwycięzcy, przywodząc tu swoich jeńców, mordowali ich i zjadali według okropnego zwyczaju, przyjętego w tych krajach; byli to bowiem ludożercy. Ale o tem opowiem później. Zstąpiłem tedy z nadbrzeżnego pagórka i rozglądałem się naokoło, gdy wtem tak straszny widok przedstawił się mym oczom, że krew ścięła mi się w żyłach. Na wybrzeżu leżały porozrzucane kości ludzkich rąk i nóg, czaszki, żebra!! Ujrzałem wygasłe ognisko i okrążające je dość obszerne zagłębienie, wykopane w ziemi, gdzie prawdopodobnie zasiadali ci nędznicy, wyprawiając okropne swoje uczty. Osłupiały, zapominając zupełnie o niebezpieczeństwie dłuższego przebywania w tem miejscu, myślałem ze zgrozą o tych zezwierzęconych wyrodkach rodzaju ludzkiego, wyprawiających sobie uczty z ciał swoich współbraci. Bo mimo, że słyszałem nieraz opowiadania o ludożercach, nigdym się z nimi nie zetknął i nigdy nie widziałem zblizka tak widocznych śladów tak nizkiego upadku ludzkości! Na ten okropny

widok wszystkie wnętrzności poruszyły się we mnie i czułem, że omdleję. Odwróciłem się ze wstrętem i uchodzić począłem do domu.

Szedłem tak czas jakiś prawie nieprzytomny, w końcu zatrzymałem się wyczerpany i próbowałem zebrać myśli. Przedewszystkiem podziękowałem Bogu za to, że pozwolił mi się urodzić wśród ludzi oświeconych światłem prawdziwej wiary, a nie wśród tych strasznych ludożerców. Dziękowałem Mu także za łaskę, jaką mi zesłał wśród nędzy mojej, budząc w mem sercu uczucia szczerej wiary i nadziei

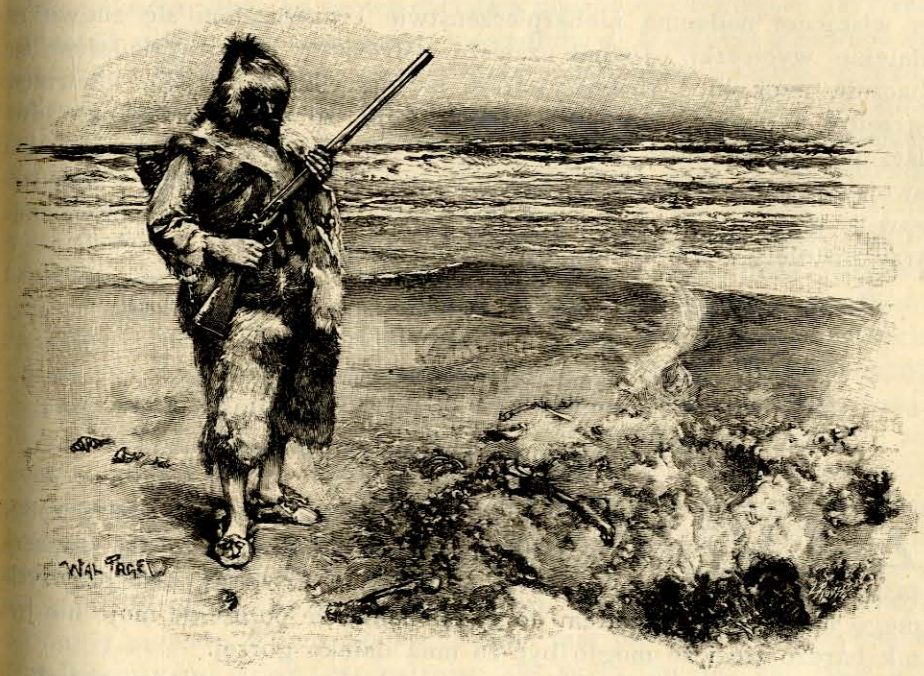

»Ujrzałem wygasłe ognisko« (str. 110).

w miłosierdzie Jego nademną. Czułem, że skarby te są droższe od wszelkich pomyślności ziemskich i że wynagradzają mię one hojnie za wszystkie doznane utrapienia. W takiem usposobieniu ducha powróciłem do domu i o dziwo! czułem się o wiele spokojniejszym, niż pierwej. Kości porozrzucane na wybrzeżu były dla mnie dowodem, że dzicy przybywali tu prawdopodobnie tylko dla odbywania swoich uczt okropnych i nie zapuszczali się w głąb wyspy. Jeżeli zaś przez lat ośmnaście nie dostrzegłem nigdy żadnego śladu ludzkiej istoty, to mogłem liczyć na to, że i następne lat ośmnaście przejdą mi równie spokojnie. Dzicy nie znajdą mnie z pewnością, dopóki sam obecności

swej nie zdradzę, a tego przecież nie uczynię. Może jednak przybędą tu kiedyś biali ludzie, a wtedy dam się im poznać i żył będę z nimi wspólnie, lub też razem z nimi odjadę.

Dwa lata upłynęły od czasu, gdym pierwszy raz ujrzał kości ludzkie na wybrzeżu, a mimo, że nie zaszedł żaden nowy wypadek, nie odważałem się wydalać poza najbliższe swoje otoczenie. Chodziłem tylko do letniego mieszkania, a ztamtąd do kozich zagród. Nie odwiedzałem zaś ani razu zatoki, gdziem był ukrył czółno, by się nie spotkać z dzikimi. Po niejakim czasie zacząłem zwolna zapominać o wiszącem nademną niebezpieczeństwie i puszczałem się znowu na dalekie wycieczki. Jednak zawsze ostrożnie; idąc rozglądałem się bacznie naokoło i zachowywałem się jak najciszej. Nie używałem strzelby z obawy, aby mnie wystrzał nie zdradził i przez całe dwa lata nie dałem może ani razu ognia. Na szczęście miałem dość kóz swojskich na pożywienie, a i dzikie łapałem niekiedy w sidła. Chodziłem zawsze bardzo silnie uzbrojony, bo oprócz strzelby nosiłem przy sobie trzy pistolety i wielki nóż, zawieszony na pasku.

ROZDZIAŁ XV.

Plany wojenne. — Jaskinia w lesie.

Żyłem w ten sposób czas jakiś, zachowując wprawdzie wszelkie ostrożności, ale nie dręcząc się ustawicznym niepokojem. Owszem, zastanawiając się nad wszystkiem, co mi się zdarzyło od czasu przybycia mego na wyspę, doszedłem do przekonania, że położenie moje nie jest tak bardzo złe i że mogło być ze mną daleko gorzej.

Wogóle, gdyby ludzie skarżący się na swoje biedy, chcieli je porównać nie ze szczęściem, lecz z nieszczęściami innych, mniejby słychać było na świecie utyskiwań i żalów daremnych.

Obawy moje przed dzikimi i trudy, podejmowane dla zabezpieczenia się przed możliwym ich napadem, pochłonęły mi dużo czasu i przeszkadzały w nowych wynalazkach. I tak naprzykład, miałem przedtem zamiar wyrabiać piwo z jęczmienia, a mimo, że brakowało mi do tego mnóstwa rzeczy, jako to: drożdży, chmielu, beczek do przechowywania zrobionego napoju, byłbym zpewnością dokazał swego, bo rzadko odstępowałem od raz powziętego postanowienia, gdyby nie owe ciągłe trwogi i niepokoje. Teraz jednak miałem zupełnie co innego w głowie. Dnie i noce przemyśliwałem nad sposobami pokonania nędznych ludożerców, w razie, gdyby się tu znów pojawili

i wyrwania z ich rąk nieszczęśliwych ofiar, wleczonych na śmierć. Za wieleby to zabrało czasu i miejsca, gdybym chciał opisywać szczegółowo wszystkie pomysły. Były to tylko mrzonki, bo cóżbym naprawdę mógł poradzić sam jeden kilkunastu albo kilkudziesięciu ludziom, uzbrojonym w oszczepy i strzały. Raz przyszło mi do głowy, że mógłbym podłożyć minę prochową w miejscu, gdzie dzicy mają zwyczaj rozkładać ognisko. Po roznieceniu ognia nastąpiłby wybuch, a ludożercy wylecieliby w powietrze. Od zamiaru tego jednak odstąpiłem prędko, nie chcąc marnować prochu, którego i tak miałem już jedną tylko baryłkę. To znowu chciałem zasadzić się w miejscu ukrytem i ztamtąd strzelać do ucztujących biesiadników. Mógłbym z pewnością zabić kilku dzikich odrazu, a wypadłszy z pistoletem i szablą w ręku, pokonać resztę. Myśl ta podobała mi się więcej. Nosiłem się z nią całe tygodnie, a nawet śniło mi się nieraz, że ścigam ludożerców, strzelam do nich i odnoszę zwycięztwo. Pod wpływem tych myśli znikała odraza do owego miejsca na wybrzeżu, gdziem po raz pierwszy znalazł kości ludzkie, chodziłem tam codziennie i szukałem odpowiedniej kryjówki na zasadzkę. Znalazłem wreszcie na pochyłości pagórka miejsce, jak mi się zdawało, bardzo stósowne. Ukryty w zaroślach, mógłbym widzieć ztamtąd nadpływające łodzie, w chwili zaś przybicia ich do lądu schronić się do wnętrza wypróchniałego drzewa, śledzić ztamtąd ruchy dzikich i strzelać do nich w miarę, jak zbliżać się będą. Byłem pewny, że w takim razie żaden mój strzał nie chybi i że za każdym położę trupem i poranię kilku ludożerców. Zająłem się przygotowaniem broni. Dwie większe strzelby nabiłem siekańcami, mniejszą grubym śrutem, naładowałem także oba pistolety i tak w każdej chwili gotów byłem wyruszyć na wojenną wyprawę. Codziennie chodziłem w całem uzbrojeniu na ów pagórek mimo, że było to trzy mile drogi od mojej zagrody. Gdym jednak chodząc tam przez całe trzy miesiące i w ciągu tego czasu przypatrując się przez lunetę, ani razu nie dojrzał na morzu śladu żadnego statku, znudziłem się i zaniechałem tych codziennych wycieczek.

Dopóki uczęszczałem codziennie na owo upatrzone miejsce zasadzki, nienawiść moja ku dzikim i chęć ukarania ich nie słabły. Gotów byłem w każdej chwili do rzezi kilkudziesięciu chociażby tych barbarzyńców w przekonaniu, że nie zasługują na pobłażanie. Gdy jednak, znudzony nieudanemi wycieczkami, przestałem nawiedzać codziennie owo okropne miejsce śmierci, wtedy zacząłem spokojniej całą tę sprawę rozważać; wyobrażenia moje zmieniły się nieco. Zapytałem siebie, jakie mam prawo narzucać się na sędziego i kata tym ludziom, którzy od tylu wieków dopuszczają się ludożerstwa, bo nie wiedzą, że przez to ohydną popełniają zbrodnię. Jeżeli Niebo pozwala na tak okropne czyny, to

może dzicy ci są tylko ręką karzącą w ten sposób gorszych jeszcze od siebie zbrodniarzy. Bądź co bądź, pewną jest rzeczą, że o swym strasznym grzechu żadnego pojęcia mieć nie mogą i że zamordować i zjeść człowieka nie jest u nich czemś gorszem, aniżeli u nas naprzykład zabić wołu lub barana. Gdym sobie przypomniał, jakie to okrucieństwa popełniają nieraz chrześcijańscy wojownicy, karząc śmiercią jeńców, lub też mordując niemiłosiernie setki bezbronnych ofiar, doszedłem do przekonania, że dzicy ludożercy są jednak od nich lepsi i mniej winni, jako nie oświeceni światłem prawdziwej wiary. Następnie musiałem przyznać, że jakkolwiek dzicy i okrutni, ludzie ci nie uczynili mi przecież dotąd żadnej krzywdy. Nie wiedząc o mojem istnieniu, nie mogli nawet mieć względem mnie złych zamiarów. Gdyby mię kiedy napadli, miałem oczywiście prawo bronić się do upadłego, ale wydało mi się czemś nie szlachetnem urządzać na nich zdradziecką zasadzkę. Ostatecznie postanowiłem nie napadać na dzikich, lecz tylko ukrywać się przed nimi, jak można będzie najdłużej. Tak było najkorzystniej, bo przecież nie mogłem być pewny, że wymorduję od razu wszystkich, jacy się tu pojawią, a gdyby z nich jeden tylko umknął, naprowadziłby mi tu niechybnie swoich rodaków, aby pomścić na mnie śmierć towarzyszów. Tak więc i ludzkość i rozsądek nakazywały mi nie mięszać się w sprawy dzikich i zachowywać się zupełnie spokojnie, unikając tylko wszelkiego z nimi zetknięcia. Utwierdziłem się w przekonaniu, że nie powinienem rozlewać krwi ludzi, którzy mi nic nie zawinili i że nie mam prawa karać ich za okrutne zwyczaje. Bóg sam trzyma w ręku szalę sprawiedliwości i sądzi zarówno jednostki, jak i całe narody, potrafi więc sam winnych ukarać, lub też przywieść ich do opamiętania. Zrozumiałem nakoniec, że gdybym spełnił swój zamiar i strzelał z zasadzki do ludożerców, to postąpiłbym jak prosty rozbójnik.

Dziękowałem Bogu ze łzami w oczach za to, że do zbrodni tej nie dopuścił, błagając Go zarazem, aby mię opieką swoją osłonił w razie napadu jakiego ze strony dzikich. Tak przeszedł mi rok cały.

Nie chodziłem już na wybrzeże i nie wpatrywałem się w morze w oczekiwaniu nieproszonych gości, przestałem nawet o nich myśleć, i tylko dla wszelkiej ostrożności przewiozłem czółno z zachodniego na wschodni brzeg wyspy i ukryłem je w małej zatoce. Wogóle siedziałem teraz przeważnie w domu, wydalając się tylko z konieczności, dla wydojenia kóz, lub odwiedzenia leśnych swych pastwisk. Leżały one po wschodniej stronie wyspy, gdzie czułem się zupełnie bezpieczny.

Wśród tych rozmyślań, po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z głosu wewnętrznego, który się w każdym z nas odzywa i jakby

przestrzega przed wszystkiem, coby nam mogło zaszkodzić, ilekroć stoimy niepewni, co począć i jaką obrać drogę. Siła to tajemnicza, popychająca nas często wbrew zachciankom i upodobaniom naszym, nawet pozornie wbrew rozsądkowi, a jednak poddając się jej, działamy dla własnego dobra, opierając się zaś, sprowadzamy na siebie zgubę. Doświadczywszy tego nieraz na sobie w czasie pobytu na wyspie, postanowiłem słuchać

»Przypatrując się przez lunetę« (str. 113).

tego głosu wewnętrznego, choćby mi się w pierwszej chwili dziwnym wydawał, i mógłbym przytoczyć mnóstwo przykładów ze swego życia na dowód, że zawsze dobrze na tem wychodziłem.

Wspomniałem już, zdaje mi się, że zajęty nieustannie grożącem mi niebezpieczeństwem i obmyślaniem różnych środków obrony, zaniedbałem starań o codzienne wygody życia i nie czyniłem już od pewnego czasu żadnych ulepszeń, ani wynalazków. Unikałem starannie wszystkiego, coby mogło zwrócić na mnie uwagę, tak dalece, że nie śmiałem wbić gwoździa w ścianę, urąbać kawałka drzewa z obawy, aby mnie kto nie usłyszał. Nie strzelałem prawie nigdy, a przedewszystkiem wystrzegałem się palenia ognia, wiedząc, że dym zdradzić mię może

ze znacznej nawet odległości. Z tego powodu przeniosłem do lasu wszystkie roboty, potrzebujące ognia, jak naprzykład wypalanie garnków, wypiekanie chleba. Tam znalazłem wkrótce w pobliżu leśnych swych pastwisk głęboką bardzo jaskinię. Wejście do niej tworzył otwór tak ciasny, że nawet odkrywszy go, trudnoby było domyśleć się, że prowadzi do obszernej groty. Niezmiernie uradowany byłem ze znalezienia tego schroniska, sądząc, że mnie w niem nie odnajdą ani dzicy ludzie, ani inni napastnicy. Odkryłem je przypadkiem, gdym obcinał gałęzie u podnóża wysokiej skały, mając zamiar wypalić je na węgle drzewne. Obawiając się rozkładania wielkiego ognia w starem mieszkaniu, by mię dym nie zdradził, chciałem mieć pod ręką zapas drewnianych węgli, aby módz coś przy nich na prędce ugotować. Gdy więc tak cały oddany byłem tej pracy, nagle między gałęziami, prawie przy samej ziemi, ujrzałem otwór wydrążony w skale. Przecisnąwszy się przezeń nie bez trudu, znalazłem się w obszernej grocie, ale, ze wstydem przyznać muszę, uciekłem z niej jeszcze prędzej, niżem się do niej dostał. Wśród ciemności ujrzałem nagle parę oczu, błyszczących jak rozżarzone węgle, patrzących na mnie z głębi jaskini. Po chwili zebrałem się na odwagę, zapaliłem łuczywo i wsunąłem się ponownie do jaskini. Zaledwiem jednak uszedł parę kroków, cofnąłem się przerażony, bo najwyraźniej usłyszałem jakiś głuchy jęk i ciężkie westchnienie. Zimny pot wystąpił mi na czoło, włosy stanęły na głowie tak, że pewnie zrzuciłyby kapelusz, gdybym go był miał na głowie. Czas jakiś nie mogłem przyjść do siebie, potem jednak krzepiąc się myślą, że Bóg jest wszędzie, i przyświecając sobie łuczywem, postąpiłem jeszcze kilka kroków naprzód i cóż ujrzałem? Oto w głębi jaskini leżał.... ogromny, stary kozioł. Widocznie biedaczysko zdychał już ze starości, dyszał bowiem ciężko, a żałosne jego stękanie robiło rzeczywiście wrażenie ludzkich, przeciągłych jęków.

Ochłonąwszy nieco z przestrachu i zdziwienia, rozejrzałem się dokoła i przekonałem się, że jaskinia nie jest tak wielka, jak mi się z początku wydała, dostrzegłem, że ciągnie się dalej jeszcze, wydłużając się w szyję tak wązką, że zaledwie na czworakach mógłbym przez nią przeleźć. Nie wiedząc, co się znajduje za tem przejściem, nie mogłem się tam zapuszczać bez światła.

Powróciłem nazajutrz, zaopatrzony w sześć świec — dawno się już nauczyłem wyrabiać je z kozłowego łoju — oraz krzesiwo, zrobione z zamku starej strzelby i teraz zapuściłem się już śmiało w wązką ową szyję. Pełzając na czworakach jakich dziesięć kroków, dostałem się do szerszego miejsca i nagle znalazłem się w nowej grocie, wysokiej na jakie siedem metrów. Rozejrzałem się dokoła. Oczom moim przedstawił się najcudowniejszy w świecie widok. Ściany groty migotały

przy blasku świec tysiąckrotnym połyskiem, jakby srebrne lub dyamentowe; ziemia pod nogami sucha, równa, twardo ubita, posypana była jakimś rodzajem piasku. Wilgoci nigdzie ani śladu. Było rzeczą widoczną, że nie przebywały tu wcale dzikie zwierzęta, ani jadowite płazy. Niedogodne wprawdzie było tak wązkie przejście, ale niedogodność ta stawała się nieocenioną zaletą, skoro szło o ukrycie się przed nieprzyjacielem. Uradowany tem odkryciem, przeniosłem natychmiast do groty przedmioty, o których przechowanie najwięcej mi chodziło, a mianowicie: broń i zapas prochu. Pięć rusznic zostawiłem w strzelnicach mojej twierdzy, pozostałe zaś trzy i dwie mniejsze strzelby ukryłem w grocie. Przy tych przenosinach rozbiła mi się przypadkiem baryłka z prochem zamoczonym. Otóż pokazało się, że woda wsiąknęła w proch tylko na jakie trzy lub cztery cale tak, że tylko po wierzchu zamókł i stwardniał, wewnątrz zaś, jak jądro w skorupie, znajdowało się przeszło sześćdziesiąt funtów zupełnie suchego prochu. Nabytek to był dla mnie niezmiernie pożądany i drogocenny. Przeniosłem do tej jaskini także cały zapas kul i ołowiu. Przebywając w niej, porównywałem

»Leżał ogromny stary kozioł« (str. 116).

siebie ze starożytnymi olbrzymami, co to mieszkali zwykle w głębokich podziemiach, pod niebotycznemi skałami, a o których bajki krążą po dziś dzień między ludźmi. Czułem się tu zupełnie bezpieczny i nie lękałem się wcale napaści, pewny, że nie odnajdą mię tu dzicy, a choćby odnaleźli, nie poważą się ścigać aż do wnętrza groty.

ROZDZIAŁ XVI.

Moje towarzystwo na wyspie. — Straszne odwiedziny. — Rozbity okręt.

Zaczynał się dwudziesty trzeci rok pobytu mego na wyspie. Polubiłem w końcu to miejsce wygnania i gdyby nie obawa napadu dzikich, zgodziłbym się był chętnie spędzić tu resztę dni swoich, nie pragnąc wcale odmiany, chociażbym miał kiedyś skończyć w głębi jaskini podobnie, jak stary kozioł.

Czas schodził mi nawet niekiedy bardzo przyjemnie. Używałem rozmaitych rozrywek, z tych najmilszą mi była zabawa z domowemi zwierzętami, a miałem ich sporą gromadkę. Wspomniałem już poprzednio, że papuga moja nauczyła się doskonale wymawiać rozmaite wyrazy; bawiła mię też swoim paplaniem, a była przytem tak łaskawa i przywiązana do mnie, że stała się wkrótce główną moją ulubienicą. Przeżyła ona ze mną dwadzieścia sześć lat, a kto wie, może do dziś jeszcze nie zdechła, bo papugi żyć mogą podobno sto lat i więcej. Może dotąd, skacząc gdzieś po gałęziach, woła żałośnie: »Robinzonie! Robinzonie Kruzoe! gdzie jesteś?« Pies, najwierniejszy i najmilszy mój towarzysz, zdechł ze starości w szesnastym roku pobytu mego na wyspie. Koty zaś rozmnożyły się tak bardzo, że musiałem je tępić, jak to już zresztą opowiadałem. Zostawiłem sobie tylko dwoje młodych, wyhodowałem je i bardzo lubiłem, ale kocięta ich topiłem bez litości. Prócz tego miałem jeszcze kilka oswojonych kózek; karmiłem je z ręki. Miałem dwie młode papugi; umiały one również wymawiać moje imię. Złowiłem na wybrzeżu kilka morskich, nieznanych mi ptaków; podciąwszy im skrzydła, trzymałem je przy domu. Gnieździły się pod gałęziami żywopłotu, opasującego mą warownię; świergocąc wesoło, ogromnie czas mi uprzyjemniały. Wogóle byłbym zupełnie zadowolony z życia, gdyby nie dręcząca mnie wciąż obawa przed dzikimi. I rzeczywiście nie sądzono mi uniknąć tego niebezpieczeństwa. W niedalekiej już przyszłości nastąpić miało owo straszne spotkanie, przed którem drżałem od lat tylu.

Nieraz się zdarza w życiu, że to, co mamy za najgorsze, wychodzi nam na dobre, a niepowodzenia i klęski są nawet czasem jedyną drogą, prowadzącą nas do pomyślności. Tak było i ze mną, zwłaszcza w ostatnich latach pobytu na wygnaniu; uważny czytelnik sam się o tem z łatwością przekona.

W grudniu, w dwudziestym trzecim roku pobytu mego tutaj, miałem żniwa, jak zwykle o tej porze roku. Raz wyszedłem w pole bardzo rano, jeszcze przededniem, chcąc uniknąć upału przy pracy.

»Ujrzałem ogień rozłożony na wybrzeżu«.

Wtem ujrzałem ogień rozłożony na wybrzeżu o jakie dwie mile. Osłupiałem ze strachu! To dzicy wylądowali w tej stronie wyspy! Stałem przez chwilę nieruchomy; ale gdy mi na myśl przyszło, że dzicy mogą się zapuścić w głąb wyspy, a ujrzawszy zboże częścią zżęte, częścią na pniu jeszcze stojące, domyślą się, że ktoś tutaj mieszka, i rozpoczną poszukiwania, zdjął mnie strach tak wielki, że wróciłem natychmiast do zagrody. Przelazłszy przez ogrodzenie, wciągnąłem za sobą drabinę i miałem nadzieję, że nie łatwo mię odkryją, gdyż zagroda moja na zewnątrz nie wyglądała wcale na ludzkie mieszkanie. Przysposobiłem się jednak na wszelki wypadek do obrony. Przyrządziłem działa — tak nazywałem strzelby, umieszczone w otworach zewnętrznego ogrodzenia — nabiłem pistolety i miałem silne postanowienie bronić się

do ostatniego tchu. Nie zaniedbałem polecić się pierwej gorąco Opatrzności boskiej, błagając o ratunek i wybawienie z rąk ludożerców.

Po dwóch godzinach oczekiwania, zmęczony niepewnością, udałem się na zwiady. Przedostałem się poza pierwsze ogrodzenie, wyszedłem na swój pagórek i położywszy się na brzuchu, patrzyłem przez lunetę w stronę wybrzeża. Zobaczyłem wtedy wyraźnie dziewięciu dzikich nagich przy ognisku. Rozniecili oni ten ogień widocznie nie dla rozgrzania się, bo upał był dnia tego wielki, ale dla upieczenia przy nim ludzkich ofiar, przywiezionych z sobą. Dwie łodzie leżały na brzegu; widocznie oczekiwali tylko przypływu morza. Straszne to było dla mnie odkrycie! Dzicy zaczęli obecnie nawiedzać tę stronę wyspy i przybijali do brzegu, bardzo blizko mego mieszkania! Pocieszała mnie tylko myśl, że będę mógł zapewne obliczyć zawsze chwilę ich przyjazdu, gdyż przybywać musieli zwykle w czasie odpływu morza. Z tego wynikało, że podczas przypływu mogłem wychodzić bez obawy spotkania się z nimi, chyba żeby się już przedtem znajdowali na wyspie. Stało się, jak przewidywałem. Jak tylko nastąpił z zachodu przypływ, dzicy odpłynęli. Na godzinę może przed odjazdem zaczęli tańczyć naokoło ognia. Przypatrywałem się im pilnie przez lunetę, ale z daleka nie mogłem odróżnić, czy to byli sami mężczyźni, czy też mężczyźni i kobiety. Gdym się już upewnił, że dzicy odpłynęli, wziąłem dwie strzelby, zatknąłem za pas dwa pistolety, a przypiąwszy sobie jeszcze szablę, pośpieszyłem na miejsce, gdzie widziałem był ogień. Spojrzawszy na morze, przekonałem się, że oprócz tych dwóch były jeszcze trzy inne łodzie; wszystkie płynęły teraz spokojnie, zmierzając ku przeciwległemu lądowi. Najokropniejszą była dla mnie chwila, gdy schodząc ku wybrzeżu, ujrzałem ślady tylko co odbytej uczty: krew, ludzkie kości i porozrzucane strzępy ciała. Widocznie rozrywali swoje ofiary na sztuki wśród tańców i dzikich podskoków. Przejęty zgrozą, postanowiłem sobie na przyszłość rzucić się na nich, choćby ich nie wiem ilu przyjechało i wytępić co do nogi, bez miłosierdzia.

Widocznie przybywali oni tu rzadko. Łatwo jednak pojąć, że odtąd żyłem w ciągłym niepokoju i jeszcze raz się przekonałem, że strach przed niebezpieczeństwem stokroć gorszy od samego niebezpieczeństwa. Siedziałem po większej części w domu, a jeślim się odważał wychodzić, to rozglądałem się bacznie na wszystkie strony, zachowując się jak można najostrożniej. Wtedy to oceniłem należycie wartość swojej trzody. Miałem obfitość pożywienia, nie strzelając. Wystrzegałem się bowiem starannie wszelkiego huku z obawy, aby nie zdradzić swojej obecności. Mogliby się wprawdzie dzicy zrazu przestraszyć wystrzału i uciec, ale powróciliby zapewne w kilkadziesiąt łodzi, a wtedy los mój byłby łatwy do przewidzenia: stałbym się jedną

z takich ofiar, jakich szczątki widziałem na wybrzeżu! Długo nie dawali żadnego znaku życia. Być może zresztą, że nawiedzali wyspę w przeciągu tego czasu, ale ja ich nie widziałem. Spotkałem ich dopiero w dwudziestym czwartym roku pobytu swego tutaj, zdaje mi się, w maju. Przez te zaś piętnaście miesięcy żyłem w ciągłej trwodze. We dnie rozmyślałem o ludożercach, w nocy miewałem sny straszne. Marzyły mi się potyczki z dzikimi, zabijałem ich mnóstwo we śnie, a potem usprawiedliwiałem się sam przed sobą z dokonanych morderstw.

»Znalazłem martwe ciało chłopca okrętowego« (str. 123).

W połowie maja, zdaje się, 16-go — karbowałem zawsze dnie na drewnianym słupie — zdarzył mi się wypadek niezwykły. Przez cały dzień szalał huragan, lał deszcz, biły pioruny; nastąpiła noc taka sama. Nie pamiętam już wszystkich szczegółów, wiem tylko, że czytałem właśnie Pismo Święte, oddając się poważnym rozmyślaniom, gdy naraz od strony morza doszedł mnie nagle huk wystrzału. W największym pośpiechu wypadłem z mieszkania i wydrapałem się na swój pagórek. W tejże chwili ujrzałem jakby błysk w powietrzu i usłyszałem huk drugiego wystrzału. Dochodziły mię one od strony morza z owego miejsca, gdzie były prądy i skały podwodne. Widocznie okręt jakiś znajdował się w tem miejscu w niebezpieczeństwie. Zagrożony, wzywał ratunku. Ja, niestety, nie mogłem mu go udzielić, ale może w bliskości znajdował się inny okręt i na jego to pomoc liczono, strzelając.

Jakkolwiekbądź, ludzie byli w pobliżu!! Można sobie wystawić, jakich doświadczałem wtedy uczuć, wiedząc, że chociaż ja im pomódz nie mogę, to zato oni mogliby mię wybawić, gdyby zostali przy życiu! Chciałem więc dać im znak jakiś, zwłaszcza, że prawdopodobnie nie wiedzieli, że wyspa znajduje się tak blizko. Ułożyłem na prędce stos z suchych gałęzi i zapaliłem. Widocznie dostrzeżono ogień ze statku, bo wystrzały powtórzyły się jeszcze kilka razy z tej samej strony. Podsycałem ogień wciąż, aż do świtu. Jak tylko dnieć zaczęło, zwróciłem lunetę na morze i ujrzałem na wschodzie przedmiot jakiś, ale tak daleko, że nie mogłem rozpoznać, czy to żagiel, czy kadłub okrętu, zwłaszcza, że powietrze było mgliste. W ciągu dnia co chwilę spoglądałem w tę stronę. Przypuszczałem, że musi to być okręt na kotwicy, bo się nie rusza z miejsca. Aby koniec położyć niepewności, pobiegłem ze strzelbą na wybrzeże. Niebo się już wypogodziło, dopiero więc teraz wyraźnie zobaczyłem, że to rozbity okręt, co mnie wielkim przejęło smutkiem. Widocznie rozbił się w ciemnościach o te same skały, które niegdyś napotkałem. Co się stało z rozbitkami? Potonęli, czy wsiedli do łodzi? jaki los spotkał te łodzie? czy rozbiły się o brzeg, czy może dopłynęli szczęśliwie do drugiego okrętu? czy wreszcie uniesione prądem, dostały się na pełne morze? Tu wyobrażałem sobie rozbitków, błądzących po oceanie, zgłodzonych i przywiedzionych do rozpaczy okropnością swego położenia! Co zrobią nieszczęśliwi bez żywności! Tak rozmyślając nad losem biednych ludzi, a nie mogąc przyjść im z pomocą, litowałem się przynajmniej nad nimi. Jednocześnie uczułem niezmierną wdzięczność dla Opatrzności za miłosierdzie Jej nademną, bo czyż to nie był dowód szczególniejszej opieki boskiej, że z dwóch załóg okrętowych, co tutaj śmierć znalazły, ja jeden zostałem przy życiu.

Ludzie z rozbitego świeżo okrętu wszyscy chyba zginąć musieli, bo uratowani być mogli w takim tylko razie, gdyby ich zabrał na pokład drugi jaki statek, co mi się zdawało nieprawdopodobne, bom go nigdzie nie dostrzegł. Nie mam słów na wyrażenie boleści, jaka mi serce ścisnęła na myśl, że wybawienie miałem tak blizko, a jednak ominęło mnie! O czemuż! — wołałem — nie uratował się choć jeden człowiek z tego rozbicia, czemu nie dostał się na moją wyspę? Miałbym teraz towarzysza, istotę ludzką, z którąbym mógł rozmawiać. A tak samotny jestem, jak wprzódy. Nigdy jeszcze samotność ta nie ciężyła mi tak silnie i nigdy nie czułem tak wielkiej tęsknoty za towarzystwem ludzi. O gdyby choć jeden, gdyby jeden tylko ocalał! wołałem rozpaczliwie, powtarzając wciąż to samo pewnie jakie tysiąc razy. Załamywałem przytem ręce i zaciskałem palce kurczowo.

Za kilka dni znalazłem martwe ciało chłopca okrętowego, wyrzucone na brzeg po tej stronie wyspy, gdzie się statek rozbił. Był to chłopak ubrany w marynarską kurtkę, płócienne spodnie i błękitną koszulę. Nie można było poznać, do jakiej należał narodowości, nie miał bowiem przy sobie nic, coby mogło dać jaką wskazówkę. Znalazłem w jego kieszeni parę sztuk pieniędzy i fajkę. Co się z innymi ludźmi stało, dowiedziałem się dopiero za cztery lata.

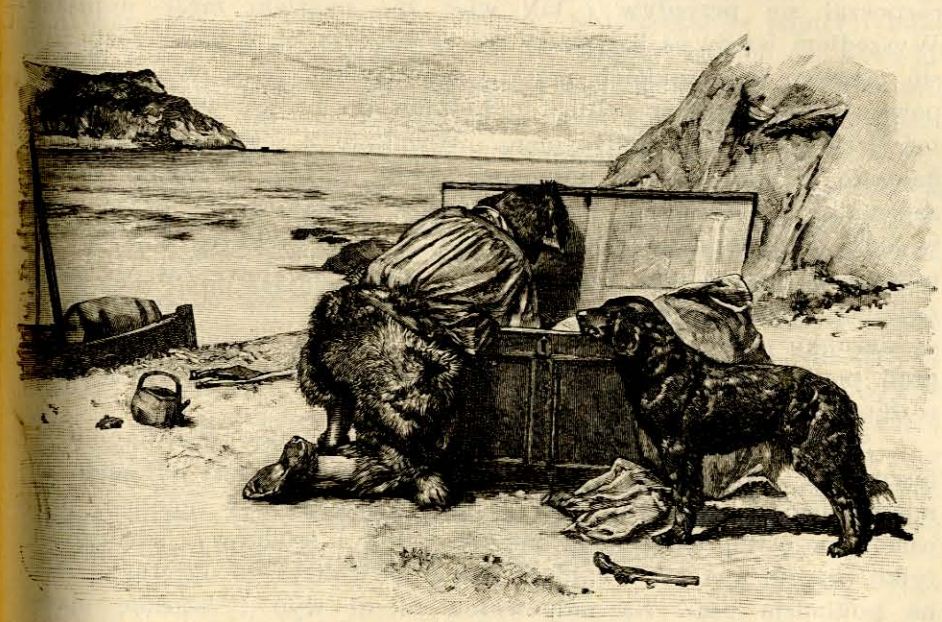

»W skrzyniach znalazłem nieocenione skarby« (str. 124).

Kiedy się już zupełnie wypogodziło, zapragnąłem dostać się do rozbitego okrętu, nietyle dla zdobycia sobie znowu rozmaitych pożytecznych rzeczy, ile raczej dla odnalezienia i uratowania choć jednej ludzkiej istoty. Gdyby znajdowała się tam rzeczywiście, zabrałbym ją z sobą, a ocalając jej życie, dogodziłbym razem najgorętszym swym pragnieniom, pozyskując wreszcie towarzystwo ludzkie. Myśl ta nie odstępowała mnie ani na chwilę tak dalece, że mając ją za głos wewnętrzny, nie wahałem się dłużej, lecz poleciwszy się Bogu, zacząłem przygotowywać się do podróży. Zrobiłem zapas chleba i słodkiej wody, zabrałem kompas, flaszkę rumu, kosz rodzynków i zaniosłem to wszystko do łodzi. Wyczerpawszy z niej wodę, ułożyłem przyniesione zapasy i pośpieszyłem do domu po resztę. Zabrałem z sobą jeszcze worek ryżu, parasol, dwa tuziny placków jęczmiennych, flaszkę koziego

mleka i kawałek sera. Poleciwszy się Bogu, wsiadłem do łodzi i puściłem się w drogę. Trzymałem się brzegu, dopóki nie dopłynąłem do północno wschodniego krańca wyspy. Ztąd musiałem już puścić się na pełne morze. Nieopodal dostrzegłem wyraźnie oba rwące prądy i przypomniałem sobie niebezpieczeństwa ostatniej wycieczki, z której cudem tylko uszedłem z życiem. Przygnębiony temi myślami, zostawiłem łódź w małej zatoce, sam zaś wyszedłszy na wzgórek, wahałem się pomiędzy obawą a chęcią dostania się do okrętu. Tymczasem rozpoczął się przypływ i tak więc nie mogłem zaraz popłynąć. Wyszedłem wtedy na najwyższy szczyt wzgórza, zkąd łatwo rozpatrzyć się mogłem w kierunkach prądu i zauważyłem, że w czasie odpływu powstaje silny prąd w pobliżu południowego brzegu wyspy, w czasie zaś przypływu koło północnego. Wynikało z tego, że powracając, należało mi się trzymać północnej strony wyspy, a odwrót miałem zapewniony. Ośmielony tem odkryciem, postanowiłem przenocować w łodzi, a następnego rana udać się dalej. Przykryty marynarskim płaszczem, przespałem spokojnie noc całą, nazajutrz zaś wczesnym rankiem popłynąłem. Z początku posuwałem się wzdłuż brzegu, w kierunku północnym, następnie zwróciłem na wschód; sprzyjający prąd poniósł mię tak szybko, że we dwie godziny dostałem się do rozbitego statku.

Smutny widok przedstawił się moim oczom. Okręt prawdopodobnie hiszpański, jak mogłem wnosić z jego budowy, ugrzązł był widocznie między dwiema skałami. Tył okrętu strzaskany był zupełnie, przód osiadł na ostrej skale, dwa maszty, tylny i środkowy, zdruzgotane, tylko przedni sterczał w całości. Gdym się zbliżył do okrętu, ujrzałem na pokładzie psa. Na mój widok zaczął wyć i żałośnie ujadać. Zawołałem na niego, wskoczył natychmiast do wody i przypłynął do mojej łodzi. Nakarmiłem i napoiłem biedne zwierzę, zdychające już prawie z głodu i pragnienia. Wszedłszy na pokład, zobaczyłem na samym wstępie dwa martwe ciała ludzkie, splecione uściskiem. Widocznie w chwili, gdy okręt wpadł na skały, fala tak ustawicznie zalewała pokład, że ich zatopiła. Prócz psa nie było na statku żadnej żywej istoty. Towary i cały wogóle ładunek zalany był wodą. Wystawały z niej duże beczki, zdaje się z winem i wódką, ale tak były ciężkie, żem nie mógł żadnej zabrać na swoje czółno. Wziąłem tylko dwie skrzynie należące do majtków, wcale nawet do nich nie zaglądając. Nadto zabrałem jeszcze małą baryłkę, róg z czterema funtami prochu, łopatkę i szczypce do węgli, parę miedzianych kociołków i maszynkę do gotowania czekolady. Z całym tym ładunkiem i psem, nowym swym towarzyszem, puściłem się w drogę i przybiłem szczęśliwie do brzegu w godzinę może po zachodzie słońca, niezmiernie znużony i wyczerpany.

Noc spędziłem w łodzi, zamierzając przenieść nazajutrz zdobyte skarby do groty w lesie. Jakoż na drugi dzień rano, posiliwszy się, wyładowałem na brzeg swą zdobycz i przejrzałem ją dokładnie. Pokazało się, że baryłka zawierała rum niezbyt dobrego gatunku, ale zato w skrzyniach znalazłem nieocenione skarby. Było tam między innymi ozdobne pudło, zawierające butelki, napełnione wybornymi likierami, dwa słoje smażonych owoców, kilkanaście koszul, półtora tuzina płóciennych chustek do nosa i sześć kolorowych chustek na szyję. Cieszyłem się, zwłaszcza koszulami i chustkami. Prócz tego znalazłem wór talarów, kilka dukatów, zawiniętych w papier i kilka sztabek złota, ważących przeszło funt. W drugiej skrzyni nie było już takich bogactw. Złożona tam była odzież i dwa worki śrutu. Ostatecznie uważałem, że ta pierwsza wycieczka za mało mi przyniosła. Pieniędzy nie potrzebowałem przecież wcale i oddałbym je chętnie za cztery pary angielskich trzewików i pończoch, których od tak dawna już byłem pozbawiony. Wprawdzie ściągnąłem obuwie z nóg nieboszczyków na pokładzie i znalazłem także w skrzyni dwie pary trzewików, nie mogły one jednak iść w porównanie z angielskimi wyrobami; nie były to przytem trzewiki, ale raczej jakieś sandały. W tej drugiej skrzyni znalazłem także nieco pieniędzy, a mianowicie pięćdziesiąt talarów, ale już nie w złocie. Wogóle było rzeczą widoczną, że pierwsza skrzynia należała do oficera, a druga do prostego majtka. Schowałem pieniądze w jaskini, podobnie jak i te, które znalazłem na pierwszym okręcie i bądź co bądź żałowałem, żem nie mógł całego statku przeszukać i zabrać ukrytych w nim skarbów, bo.... gdybym miał kiedy powrócić do Anglii, pieniądzeby mi się przydały!!

ROZDZIAŁ XVII.

Pomysły opuszczenia wyspy. — Straszna biesiada. — Piętaszek.

Skorom już zdobycz swoją na brzeg przeniósł i w bezpiecznem umieścił miejscu, zaprowadziłem łódź do zatoki i tam ją, jak zwykle, ukryłem. Odtąd przez dłuższy czas nic nie zakłócało mego spokoju. Zajmowałem się gospodarstwem i domowemi sprawami, nie zaniedbując zwykłych ostrożności. Codziennie patrzyłem uważnie na morze, a na miejsce wycieczek wybrałem wschodnią część wyspy, nie nawiedzaną dotąd przez dzikich. Tu mogłem się swobodnie przechadzać, nie potrzebując dźwigać z sobą całego uzbrojenia. Tak przeszły mi dwa lata bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Niepoprawne

jednak moje usposobienie nie pozwalało mi korzystać dostatecznie z chwilowego spokoju; zaprzątałem się ciągle niepotrzebnemi myślami i planami, niepodobnymi do wykonania. Opanowała mię chęć opuszczenia wyspy, choć widziałem sam, że niepodobieństwem było puszczać się na morze w wątłem czółnie, którem zbudował. Gdybym miał przynajmniej taką łódź, na jakiej niegdyś uciekłem z Sale, to prędzej jeszcze mógłbym szczęścia próbować. Nieraz też przychodziła mi ochota urządzenia powtórnej wycieczki do rozbitego okrętu, jakkolwiek żadnego rozumnego powodu do tego nie było, bo zdobycz nie odpowiadałaby wielkości niebezpieczeństwa, na jakie narażać się musiałem.

Koleje mego życia powinnyby być przestrogą dla wszystkich ludzi, niezadowolonych z tego, co im Bóg przeznaczył, i goniących wiecznie za urojeniami. Niepoprzestawanie na tem, co nam w udziale przypadło, jest wadą, zdaje mi się, najbardziej rozpowszechnioną między ludźmi i z niej to wypływają wszystkie prawie ich nieszczęścia i klęski. Tak było i ze mną. Wieczne niezadowolenie z tego, co posiadałem, i ciągła chęć odmiany, nie pozwoliły mi nigdy nacieszyć się dostatecznie tem, co już zdobyłem. Nie mówię już o pierwszej mojej ucieczce z domu, ale i później, ile razy los mój poprawił się nieco, rzucałem się w tej chwili w nowe niebezpieczne przedsięwzięcia, tracąc przez to zdobyte już korzyści. W Brazylii powodziło mi się doskonale. Jestem pewny, że zaprowadziwszy udoskonalenia na mych plantacyach, z łatwością mógłbym był wkrótce dorobić się nawet wielkiego majątku. Cóż, kiedy nie byłem zadowolony z tego powodzenia i pragnąłem nowości! Byłoż to rzeczą rozsądną, dobrze zagospodarowaną plantacyę i spokojny zawód na to opuszczać, aby się stać przedsiębiorcą, dostarczającym niewolników, i narazić się na tysiące niebezpieczeństw!? Ale tak to zwykle z młodymi bywa, że latami całemi głupstwa robić muszą, zanim przez drogo okupione doświadczenie nabiorą rozumu. To niezadowolenie, ta chęć ciągłych zmian tkwiła jednak w mojem usposobieniu, w moim charakterze, tak, że nawet i teraz nie mogłem się uspokoić i mimo doświadczeń, jakie przeszedłem, gotów byłem do nowych szaleństw.

W marcu, w dwudziestym czwartym roku pobytu swego na wyspie, w czasie pory deszczowej, leżałem w hamaku swoim zdrów zupełnie i spokojny, nie mogłem jednak zasnąć. Byłem jakiś dziwnie podniecony. Nawał myśli cisnął mi się do głowy. Przebiegałem pamięcią wszystkie wypadki swego życia od czasu wylądowania na wyspę aż do chwili obecnej, a porównywując pierwsze czasy pobytu swego tutaj z życiem, jakie pędziłem od chwili dostrzeżenia śladu stopy ludzkiej na piasku, doszedłem do przekonania, żem dawniej był daleko szczęśliwszy.

Wprawdzie dzicy musieli zapewne odwiedzać wyspę od niepamiętnych czasów, ale dopóki nie wiedziałem o tem, byłem zupełnie spokojny i biegałem po całym jej obszarze, wolny i nie skrępowany niczem.

Tu nasunęła mi się uwaga, jak to dobrze urządziła Opatrzność, ścieśniając granicę naszego poznania i wiedzy, bo gdybyśmy wiedzieli o wszystkich grożących nam niebezpieczeństwach i znali naszą przyszłość, żylibyśmy w ciągłym niepokoju i dręczącej trwodze.

Rozmyślałem dalej, w jakiem to ja niebezpieczeństwie ciągle teraz żyję, jak nieustannie grozi mi śmierć i to najohydniejsza, jaką człowiek ponieść może. Żem jeszcze żył dotychczas, zawdzięczałem to przypadkowi, drobnym jedynie okolicznościom, drzewu albo pagórkowi, co mię przed wzrokiem dzikich osłoniły, bo nie ulegało żadnej wątpliwości, że gdyby mię kiedy dostrzegli, zamordowaliby mnie i pożarli z równie czystem sumieniem, z jakiem ja spożywałem zabitego ptaka lub kozę. Zkolei rozmyślać począłem nad charakterem i usposobieniem dzikich, nie mogąc pojąć, dlaczego Pan Bóg pozwala żyć im w tak okropnem rozbestwieniu i dlaczego zostawia ich na tak nizkim stopniu rozwoju umysłowego, że są gorsi od zwierząt. Następnie zastanawiałem się, gdzie oni mieszkają? dlaczego tę wyspę odwiedzają? jakich statków używają do przeprawy? i t. d., a wkońcu, że jeśli oni dostają się bez trudu na moją wyspę, to i ja mógłbym popłynąć do ich kraju. O tem, coby się ze mną stało, gdybym w samej rzeczy dostał się pomiędzy dzikich i czybym się potrafił obronić, wpadłszy w ich ręce? w jakim kierunku płynąć? czem się żywić? o tem wszystkiem nie pomyślałem. Jedno tylko miałem pragnienie: wydostać się ztąd jak najprędzej, bo położenie moje obecne wydawało mi się tak okropne, że chyba jedna śmierć mogła być czemś gorszem. Łudziłem się przytem, że skoro raz do przeciwnego brzegu przypłynę, znajdę tam kogoś, co mi przyjdzie z pomocą. To znowu przychodziło mi na myśl, że płynąć będę, jak niegdyś, wzdłuż brzegów afrykańskich, dopóki nie znajdę bezpiecznego schronienia, albo dopóki nie spotkam okrętu chrześciańskiego, co mnie na swój pokład zabierze. A gdyby wśród usiłowanej ucieczki śmierć mnie zaskoczyła?... To i owszem! niech raz już koniec będzie moim mękom i utrapieniom. Takie to rozpaczliwe myśli przychodziły mi do głowy skutkiem rozdrażnienia, wywołanego ciągłym niepokojem. Do ostatecznego przytłumienia głosu rozsądku przyczyniło się nagłe pojawienie się i rozbicie okrętu. Po tylu latach osamotnienia doczekać się przybycia ludzi sobie podobnych, mieć ich tak blizko i nie zobaczyć ich, nie poznać, nie pozyskać ani jednego towarzysza niedoli — to przecie mogło doprowadzić człowieka do rozpaczy. Znikł naraz mój spokój, zgadzanie się z losem i poddanie się wyrokom Opatrzności,

a natomiast niepohamowana, niezwalczona chęć ucieczki i dostania się na drugi brzeg opanowały całą moją istotę.

Blizko dwie godziny spędziłem w takiem podnieceniu, wkońcu znużony, zasnąłem. Wówczas miałem dziwny sen. Śniło mi się, że wyszedłszy wczesnym rankiem ze swej zagrody, ujrzałem dwie łodzie przybijające do brzegu. Na łodziach tych znajdowało się jedenastu dzikich, którzy, wysiadłszy, prowadzili człowieka przeznaczonego na śmierć i pożarcie. Nagle człowiek ten wyrwał się z rąk oprawców i zaczął biedz ku mnie. W chwili, gdy dopadł lasu, rosnącego przed moją zagrodą, ukazałem się mu i zacząłem czynić doń przyjazne znaki, zachęcając, aby się zbliżył. Człowiek upadł na kolana i błagał mię o pomoc. Ukazałem mu drabinę, po której dostał się do mej zagrody i został moim sługą. Wtedy pomyślałem: teraz mogę już śmiało uciekać, bo człowiek ten będzie mi przewodnikiem, powie, dokąd mam popłynąć, gdzie żywność znajdę i co mam zrobić, aby nie wpaść w ręce ludożerców. Myśli te napełniały mnie dziwną błogością. Wtem obudziłem się, a poznawszy, że to był tylko sen, zmartwiłem się srodze.

Zastanawiając się nad znaczeniem tego marzenia sennego, myślałem, że gdybym mógł dostać na przewodnika jednego z jeńców, przyprowadzonych tu na śmierć, byłby to rzeczywiście najlepszy sposób wydobycia się na wolność. Człowiek taki, ocalony od śmierci, musiałby dla mnie czuć wdzięczność i dopomógłby mi do ucieczki. Ale jak tego dokazać? Nie łatwo! Wymordować dzikich, którzyby się tu pojawili, ani mogłem, ani chciałem. Gdybym nawet mógł dać radę przeważającej ich liczbie, to znowu sumienie wzdrygało się przed takim krwi rozlewem. Nasunął mi się wykręt, że oni obaczywszy mię, z pewnościąby na mnie uderzyli, pojmanegoby zamordowali i pożarli, że zatem w każdym razie miałbym prawo bronić się i, działając w obronie własnej, ich pozabijać oczywiście pierwej, nimby oni na mnie uderzyli. Ale znowu odezwało się sumienie, pytając, kto mi dał prawo zabijania drugiego nawet we własnej obronie. Jednakowo po długiem wahaniu się postanowiłem wkońcu za jaką bądź cenę pochwycić którego z dzikich. Ale jak? Nie mogąc nic wymyślić, czatowałem niemal codziennie na wybrzeżu, oczekując nadpływających łodzi, i wypatrywałem dzikich od południowo-zachodniej strony, spodziewając się, że przecie w ostatniej chwili znajdzie się jakiś sposób wykonania zamiaru. I tak przeszło półtora roku. To czekanie podniecało moją zawziętość. Trwałem w swojem postanowieniu i równie gorąco pragnąłem teraz spotkania z dzikimi, jak dawniej chciałem uniknąć. Wyobrażałem sobie, że potrafię nie jednego, ale dwóch lub trzech dzikich pochwycić w moc swoją i obrócić ich na niewolników. Lubowałem się w tego rodzaju marzeniach mimo, że nic nie zapowiadało, aby się one miały spełnić.

Aż nareszcie ujrzałem pewnego poranku pięć łodzi u brzegu. Przypatrując się im z bijącem sercem, nie dostrzegłem ludzi; musieli już wysiąść i oddalić się. Przybyło ich zapewne mniej więcej trzydziestu, bo czterech do sześciu wsiadało zwykle do jednego czółna. Z tak liczną gromadą potykać się nie miałem odwagi; schroniłem się do swej warowni, przygnębiony i niespokojny, i poczyniłem przygotowania do obrony. Zniecierpliwiony, wylazłem na pagórek i umieściłem się tam

»Tańczyli około ogniska«.

w ten sposób, że sam będąc zasłonięty mogłem widzieć wszystko dokładnie, zwłaszcza przez lunetę. Było ich rzeczywiście trzydziestu. Ująwszy się za ręce, tańczyli około płonącego ogniska. Uczta była już widocznie przygotowana, za chwilę mieli zabrać się do jedzenia. Wtem dostrzegłem przez lunetę dwóch nieszczęśliwych jeńców, wywlekanych z łodzi. Jeden z nich, ugodzony drewnianym mieczem, padł natychmiast bez życia. Kilku dzikich rzuciło się na ciało, aby je porąbać. Drugi tymczasem stał na stronie, oczekując podobnego losu. Wtem dzieje się rzecz dziwna. Biedaczysko, korzystając z tego, że

oprawcy, zajęci jego towarzyszem, nie zwracali na niego uwagi, pomknął z miejsca i zaczął biedz z niesłychaną szybkością w kierunku mojej zagrody.

Struchlałem na ten widok, przekonany, że cała gromada ścigać go będzie. W tej chwili przypomniałem sobie swój sen; przypuszczając, że sprawdzi się co do joty, sądziłem, że uciekający jeniec dobiegnie lada chwila do lasu otaczającego moje mieszkanie, ale nie spodziewałem się, aby go dzicy tak, jak we śnie, nie mieli ścigać. Stało się jednak inaczej. Dostrzegłszy, że trzech tylko ludzi ściga zbiegłą ofiarę, nabrałem odwagi, zwłaszcza, że uciekający biegł daleko szybciej od swych prześladowców i było rzeczą widoczną, że jeśli mu sił nie zabraknie, to im z pewnością ucieknie. Pomiędzy dzikimi a moją zagrodą była zatoka morska, nie raz przezemnie wspominana; tam to bowiem przybijałem z tratwą, przywożąc rozmaite rzeczy z okrętu. Otóż, chcąc ujść pogoni, musiał jeniec zatokę tę koniecznie przepłynąć. Rzucił się w wodę bez wahania i w kilkudziesięciu rzutach znalazł się z tej strony, poczem znów począł biedz, nie ustając w szybkości. Dwóch tylko ścigających puściło się wpław za nim; trzeci, widocznie nie umiejąc pływać, zawrócił się i odszedł do swoich, co mu wyszło na dobre, jak się to wkrótce okaże. Ścigający potrzebowali dwa razy tyle czasu na przepłynięcie zatoki, co ich ofiara. W tej chwili pomyślałem, że sam los zsyła mi tego zbiega na przyjaciela i przewodnika i że z woli Bożej powinienem ocalić mu życie. Zeskoczyłem prędko na dół, porwałem dwie przygotowane strzelby; wybiegłszy napowrót na pagórek, zbiegłem z niego ku morzu krótszą drogą, stanąłem wkrótce pomiędzy ściganym a goniącymi i zawołałem głośno na uciekającego. Odwrócił się, zatrzymał, ale patrzył na mnie z równym przestrachem, jak na tamtych swoich wrogów. Dałem mu znak, aby szedł za mną i nie bał się, a sam zwolna szedłem naprzeciw dzikich. Pierwszego z nich powaliłem na miejscu uderzeniem kolby, nie chcąc strzelać, aby huk nie przywabił tu innych. Tak samo chciałem postąpić i z drugim, ale gdym zauważył, że stanął i mierzy do mnie z łuku, musiałem go uprzedzić; dałem ognia i powaliłem go trupem. Biedny jeniec tak był oszołomiony błyskiem i hukiem wystrzału, że stał na miejscu, jak posąg nieruchomy. Chociaż widział, że wrogowie jego padli, był jednak tak bardzo przerażony, że raczej uciekać miał ochotę, niż zbliżyć się do mnie. Zawołałem znów na niego i dałem znak ręką, żeby przyszedł. Zrozumiał i postąpił kilka kroków naprzód, zatrzymał się, potem znów uszedł kilka kroków i znowu stanął na miejscu. Domyśliłem się, że lęka się zginąć taką samą śmiercią, jak jego prześladowcy. Znowu więc zachęcałem go jak najprzyjaźniej, aby się do mnie zbliżył, usiłując dodać mu odwagi. Postępował naprzód,

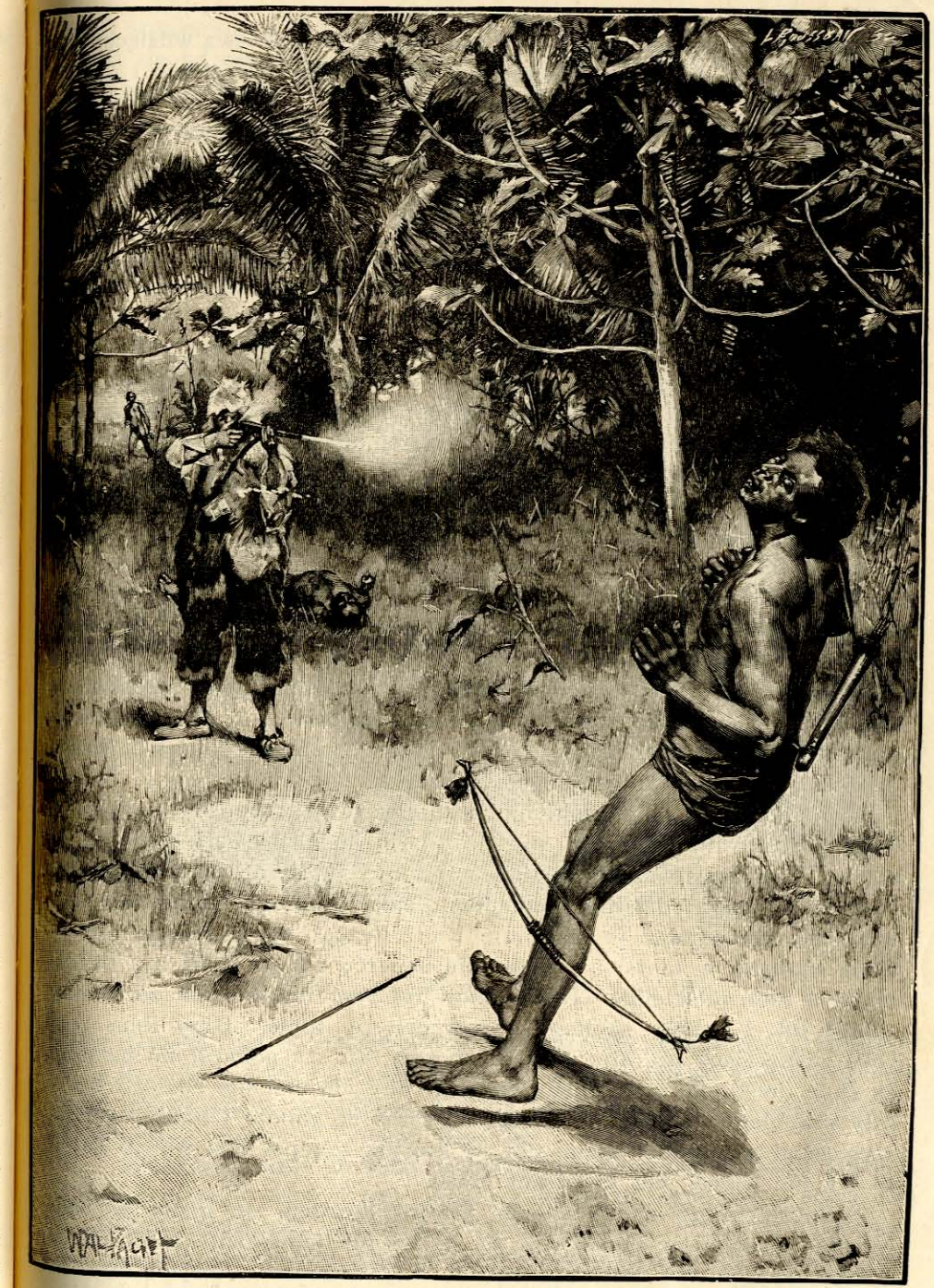

»Dałem ognia i położyłem go trupem« (str. 130).

klękając co dziesięć kroków, aby w ten sposób wyrazić swą wdzięczność za ocalenie mu życia. Uśmiechnąłem się do niego życzliwie i dawałem znak ręką, aby bliżej jeszcze przystąpił. Uczynił to wreszcie. Klęknął, upadłszy na twarz ucałował ziemię i porwawszy mię za nogę, postawił stopę moją na swojej głowie. Zdaje mi się, że w ten sposób przysięgał mi wierność i uznawał się niewolnikiem moim na całe życie.

Podniosłem go z ziemi i uspakajałem, jak mogłem. Ale w tej właśnie chwili zauważyłem, że dziki, powalony przezemnie kolbą, żył, wracał do przytomności i zaczynał przychodzić do siebie. Pokazałem to zbiegowi, na co on coś do mnie przemówił. Mimo, że słów tych nie zrozumiałem, ucieszyłem się bardzo; oto po dwudziestu pięciu latach po raz pierwszy usłyszałem ludzką mowę. Ale nie czas było na rozmyślania, bo ogłuszony przezemnie nieprzyjaciel nie tylko odzyskał przytomność, ale podniósł się i usiadł na ziemi. Zbieg przestraszył się, ale gdym wymierzył strzelbę do wroga, dziki mój dał mi na migi do zrozumienia, że chciałby mieć w ręku szablę, wiszącą mi u pasa. Oddałem mu ją. Wtedy pobiegł do nieprzyjaciela i jednem uderzeniem szabli uciął mu głowę tak wprawnie, jak najzręczniejszy kat niemiecki. Zdziwiłem się niepomiernie widząc, że umie obchodzić się tak doskonale z bronią, którą pierwszy raz ma w ręku. Później dowiedziałem się, że drewniane miecze, wyrabiane przez dzikich, są tak twarde i ostre, że równie dobrze, jak stalowe, od jednego uderzenia odcinają głowy i ręce. Dokonawszy dzieła, przybiegł i wśród dzikich podskoków i głośnego śmiechu rzucił mi pod nogi szablę i głowę zabitego. Nie mógł on zrozumieć, w jaki sposób położyłem drugiego Indyanina, skorom nie zbliżał się do niego i nie dotykał go wcale. Zapytywał mię na migi, czy może pójść opatrzyć trupa; ja również na migi udzieliłem mu pozwolenia. Pobiegł wtedy ku ciału zabitego, obmacywał je starannie i przewracał na wszystkie strony. Kula ugrzęzła w piersi i sprowadziła śmierć; rozlew krwi był bardzo mały, a rana niewielka. Jeniec mój był tem niezmiernie zdziwiony, zabrał łuk i strzały zabitego i powrócił do mnie. Uczyniłem znak ręką zachęcający go, aby poszedł za mną, on zaś pokazał mi na migi, że chce przedtem pogrzebać zabitych, aby ich ciał nie znaleźli dzicy, gdy przybiegną w pogoni. Wziął się zaraz do roboty i bardzo szybko wygrzebał w piasku rękami dół, w którym zakopał oba trupy. Zajęło to mu nie więcej, jak kwadrans czasu.

Zabrałem go wtedy z sobą i zaprowadziłem do groty w lesie. W ten sposób sen mój o tyle się tylko nie sprawdził, że dziki mój znalazł schronienie po za obrębem mej warowni. Przyniosłem mu chleba, rodzynków i świeżej wody; jadł i pił chciwie, bo głodny

był i spragniony; pokazałem mu w kącie posłanie ze słomy ryżowej, rzucił się na nie i zasnął od razu. Był to młodzieniec mocny, kształtny i doskonale zbudowany, wyglądający na lat dwadzieścia sześć. Twarz miał piękną o wyrazie raczej łagodnym, niż dzikim. Uśmiech nadzwyczaj przyjemny i gdyby nie kolor skóry, mógłby prawie być wzięty za Europejczyka. Czoło miał wysokie, oczy bystre i rozumnie patrzące, włosy czarne, długie, ale miękkie i nie bardzo kędzierzawe. Twarz

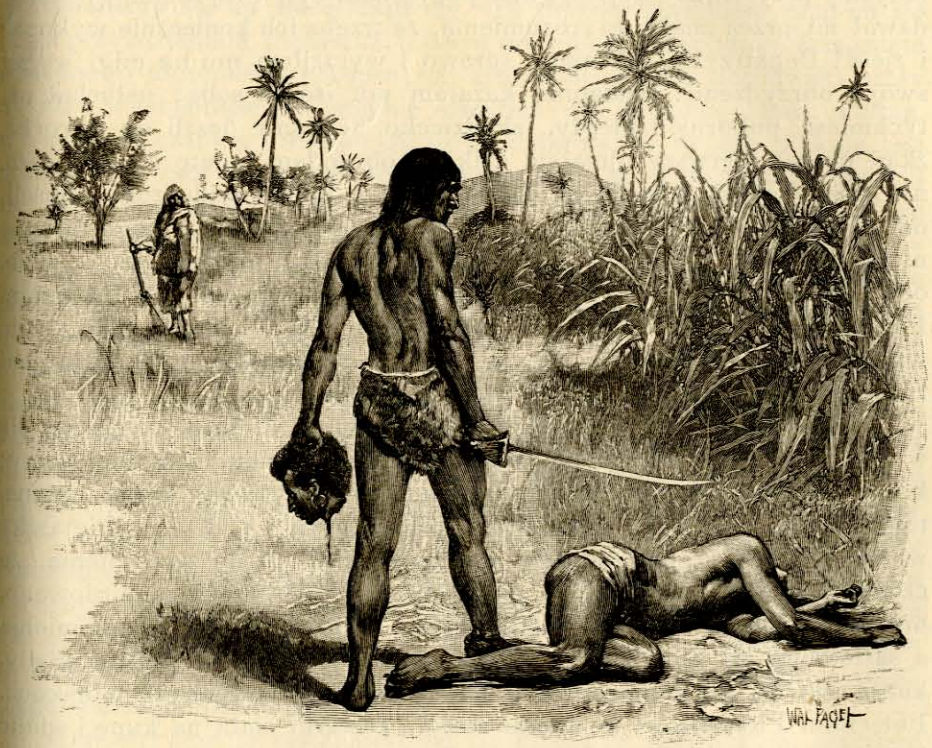

»Jednem uderzeniem uciął mu głowę« (str. 132).

miał okrągłą i pełną, nos niewielki, ale wcale nie płaski jak u Murzynów, usta kształtne, a zęby równe i białe, jak kość słoniowa. Skóra jego nie była czarna jak u Murzynów, ani też brudno żółta jak u brazylijskich krajowców, ale raczej ciemno brunatna.

Przedrzemawszy się jakie pół godziny, gość mój wybiegł z groty. Doiłem właśnie kozy. Gdy mnie spostrzegł, przybiegł i starał się wszelkimi sposobami okazać mi swą wdzięczność. W końcu padł znów na ziemię i stopę moją położył na swej głowie, dając mi do zrozumienia, że oddaje się zupełnie na moje usługi. Ja również okazywałem mu,

jak mogłem, życzliwość i przyjaźń. Zacząłem go zaraz uczyć wymawiania niektórych wyrazów. Nazwałem go »Piętaszkiem« od piątku, w którym to dniu życie mu ocaliłem, a do siebie kazałem mówić »Panie!« i nauczyłem go wymawiać i rozumieć wyrazy: »tak« i »nie«. Piłem przy nim mleko, chleb w niem maczając, i jemu dawałem takież pożywienie; smakowało mu ono wybornie. Przenocowałem z nim w tej grocie, a na drugi dzień kazałem mu iść za sobą, chcąc dać mu ubranie. Gdyśmy przyszli do miejsca, gdzie pogrzebani byli dwaj zabici, Piętaszek dawał mi przez znaki do zrozumienia, że trzeba ich koniecznie wykopać i zjeść! Popatrzyłem na niego surowo i wyraziłem mu na migi wstręt swój i obrzydzenie, następnie kazałem mu iść za sobą; usłuchał natychmiast, pokorny i uległy, jak dziecko. Gdyśmy doszli do pagórka, zkąd po raz pierwszy ujrzałem dzikich, obróciłem lunetę na wybrzeże, nie dostrzegłem jednak ani śladu łodzi i ludzi; widocznie opuścili oni wyspę, nie troszcząc się o towarzyszów. Byłem z tego prawie niezadowolony, gdyż mając obecnie pomocnika, czułem się o wiele odważniejszy i gotów byłem stoczyć utarczkę z dzikimi. To też dałem Piętaszkowi szablę, poleciłem mu zabrać łuk i strzały, dla siebie wziąłem dwie strzelby, a trzecią jemu nieść kazałem i tak uzbrojeni ruszyliśmy na wybrzeże, gdzie wczoraj ucztowali dzicy.

Obozowisko ich wyglądało tak okropnie, że krew ścięła mi się w żyłach, a serce prawie bić przestało. Wszędy ślady ohydnej uczty: kości ludzkie, kawały ciała poszarpane, nadgryzione, krwią oblane, trzy czaszki, pięć rąk, kilka kości goleniowych i t. d. Na Piętaszka widok ten nie zrobił żadnego wrażenia. Dał mi do zrozumienia, że czterech jeńców przywieziono na pożarcie, z tych trzech zamordowano, on jeden uciekł, że była wielka bitwa między królem ich plemienia a sąsiednim, że obie strony wzięły dużo niewolników i uprowadziły, każda swoich, dla zamordowania ich i pożarcia w ustronnych miejscach. Poleciłem Piętaszkowi pozbierać kości i kawałki ciała na kupę i spalić je na popiół. Czyniąc to, wielką miał ochotę skosztować choć kawałeczek. Pokazałem mu jednak na migi, że zastrzelę go, jeśli uczyni coś podobnego, i starałem się wszelkimi możliwymi sposobami okazać obrzydzenie swoje i wstręt do takiego postępowania.

ROZDZIAŁ XVIII.

Ubieram Piętaszka. — Pierwsze nauki. — Pierwsza z nim rozmowa. — Nauka wiary chrześcijańskiej.

Udaliśmy się do starej zagrody. Tu przedewszystkiem zająłem się przyodzianiem Piętaszka. Dałem mu płócienne spodnie, ściągnięte z biednego utopionego chłopca; po zrobieniu małych poprawek leżały na nim wyśmienicie. Następnie uszyłem mu z koźlej skóry kaftan, a z zajęczej czapkę. Cieszyło go to niezmiernie, że równie pięknie jest ubrany, jak pan jego, ale odzież krępowała go z początku. Skarżył się, że kaftan ciśnie go pod pachami i w ramionach; rozszerzyłem go więc i zwolna mój Piętaszek przyzwyczajał się do odzieży i poruszał się w niej zupełnie swobodnie. Urządziłem dla niego osobne mieszkanie pod namiotem, pomiędzy dwoma ogrodzeniami, chciałem mu bowiem dać wygodę, a nie ufałem mu jeszcze do tego stopnia, aby sypiać z nim pod jednym dachem. Ponieważ właśnie między dwoma ogrodzeniami było owo drugie wejście do mej jaskini, przeto dla ostrożności urządziłem tu drzwi, otwierające się tylko do środka; zamykałem je starannie na noc na zasuwy. Drabinę zabierałem także z sobą, aby Piętaszek nie mógł dostać się poza ogrodzenie. Broń trzymałem przy sobie. Wszystkie te ostrożności, jak się potem przekonałem, nie były potrzebne. Chłopak przylgnął do mnie od razu, a obdarzony tkliwem i wdzięcznem sercem, pokochał mnie jak rodzonego ojca. Nikt chyba nie miał lepszego, wierniejszego i bardziej oddanego przyjaciela, jakim on stał się dla mnie; gotów był w każdej chwili życie za mnie oddać, czego nieraz złożył dowody.

Dawniej jeszcze zastanawiałem się nieraz ze zdziwieniem, dlaczego Stwórca zostawia tak znaczną ilość swych stworzeń w ciemnocie i upośledzeniu. Obecnie, poznawszy Piętaszka, przekonałem się, że ludzie ci, uważani przezemnie za niższe istoty, posiadają te same, co my, uczucia i skłonności. Umieją być wdzięczni i wierni, mają poczucie dobra i zła, potrafią świadczyć i przyjmować dobrodziejstwa, czuć żal za wyrządzoną krzywdę i pragnąć sprawiedliwości. Gdyby podobało się Bogu, kto wie, czy nie lepiejby od nas rozwinęli przyrodzone dary umysłu i serca. Z kolei musiałem ze wstydem przyznać sam przed sobą, że my, oświeceni światłem prawdziwej wiary, objawionej nam przez samego Boga, zbyt często nie stósujemy się do jej świętych przepisów i postępujemy daleko gorzej, niż dzicy poganie. Tu znowu ogarnęło mnie zdziwienie na myśl, że tyle milionów dusz pozostaje

w nieświadomości prawdy Bożej. Ale widząc, że wielu rzeczy zrozumieć, ani dociec nie potrafię, rzekłem sam do siebie: »Nie jesteśmyż w ręku Boga tem samem, czem glina w ręku garncarza? a czyż gliniane naczynie może zapytywać tego, który je ulepił, dlaczego nadał mu kształt taki, a nie inny?«

Ale powracam do nowego mego towarzysza. Lubiłem go z każdym dniem więcej i zajmowałem się gorliwie jego kształceniem. Uczyłem go rozmaitych rzeczy, pragnąc mieć w nim wkrótce pomocnika i wspólnika trudów; najchętniej jednak i najgorliwiej uczyłem go mówić. Pilnego też i zdolnego znalazłem w nim ucznia. Pojmował bardzo szybko, a nic go bardziej nie mogło uradować, jak, gdy zrozumiał jakie słowo przezemnie wypowiedziane, lub też, gdy ja go zrozumiałem. Tak mi było z nim dobrze, tak przyjemnie, że od czasu przybycia jego żadnej już nie pragnąłem zmiany i gdyby nie obawa przed innymi dzikimi, nicby mi już do szczęścia nie brakowało. W kilka dni po zamieszkaniu u mnie Piętaszka, umyśliłem nakarmić go koźlą pieczenią, aby mu dać zakosztować innego pożywienia i tym sposobem oduczyć ludożerstwa. W tym celu wyszedłem wczesnym rankiem do jednego z mych leśnych szałasów, chcąc zabić jedno koźlę. Piętaszka zabrałem z sobą. Po drodze spotkaliśmy dziką kozę, leżącą pod drzewem z dwojgiem młodych. Kazałem Piętaszkowi stać cicho, sam zaś dałem ognia i zabiłem jedno z koźląt. Biedny chłopiec równie był przestraszony, jak wtedy, gdym zastrzelił jego prześladowcę. Nie dostrzegłszy zabitego koźlęcia, wyobrażał sobie, że jego chciałem zamordować i chwytając się za pierś, szukał rany. Potem przypadł mi do kolan, a obejmując je, błagał w urywanych wyrazach, abym go nie pozbawiał życia. Jak mogłem, dałem mu do zrozumienia, że nie mam zamiaru robić mu nic złego, następnie ukazałem ręką na zabite koźlę i poleciłem podnieść je z ziemi. Przypatrywał się uważnie zabitemu zwierzątku, nie mogąc pojąć, w jaki sposób zostało ugodzone, a ja tymczasem nabijałem znów strzelbę. Chcąc oswoić Piętaszka z wystrzałami, wziąłem go za rękę, pokazałem mu strzelbę, potem wielką papugę siedzącą na drzewie i miejsce, na które spaść była powinna; dałem ognia, ptak spadł rzeczywiście na wskazane przezemnie miejsce. Piętaszek stał równie przerażony i zdziwiony, jak za pierwszym razem. Patrzył z trwożnym podziwem na moją strzelbę, przypuszczając prawdopodobnie, że za pomocą czarów zabija ona ludzi i zwierzęta z tak znacznej odległości. Gdybym był na to pozwolił, oddawałby jej cześć, jak bóstwu, i modliłby się do niej i do mnie. Przez dłuższy czas jeszcze nie mógł się Piętaszek oswoić z palną bronią. Strzelb moich nigdy nie dotykał, a gdy się znajdował sam z niemi w mieszkaniu, mówił do nich coś z wielkiem ożywieniem.

Później dowiedziałem się, że błagał on je i zaklinał, aby mu życia nie odbierały. Gdy po zabiciu papugi ochłonął z pierwszego zdziwienia, kazałem mu ją podnieść z ziemi; wzdrygał się z początku, bo ptak drgał jeszcze i trzepotał skrzydłami, wkońcu pobiegł po niego, a ja tymczasem znów nabiłem strzelbę. Nie było jednak zwierzyny, nie miałem więc sposobności pochwalić się raz jeszcze przed Piętaszkiem celnością swoich strzałów.

Zabraliśmy zabite koźlę. Wróciwszy do domu, ugotowałem z niego doskonały rosół. Nie brakowało mi już teraz garnków, mogłem więc pozwolić sobie na gotowanie zupy. Jadłem mięso i dałem też Piętaszkowi. Zdawało mu się wybornie smakować, nie chciał tylko za nic używać soli. Gdym go zachęcał do posolenia mięsa, usiłował dowieść mi, jak umiał, że sól jest rzeczą niesmaczną. Wziął jej trochę na język, potem wyplunął z obrzydzeniem i wypłukał sobie usta wodą. Ja zrobiłem to samo z kawałkiem nieposolonego mięsa, aby mu pokazać, że bez soli jest niesmaczne. Nic to nie pomogło Piętaszkowi i nadal soli nie używał. Na drugi dzień nakarmiłem swego wychowańca pieczenią.

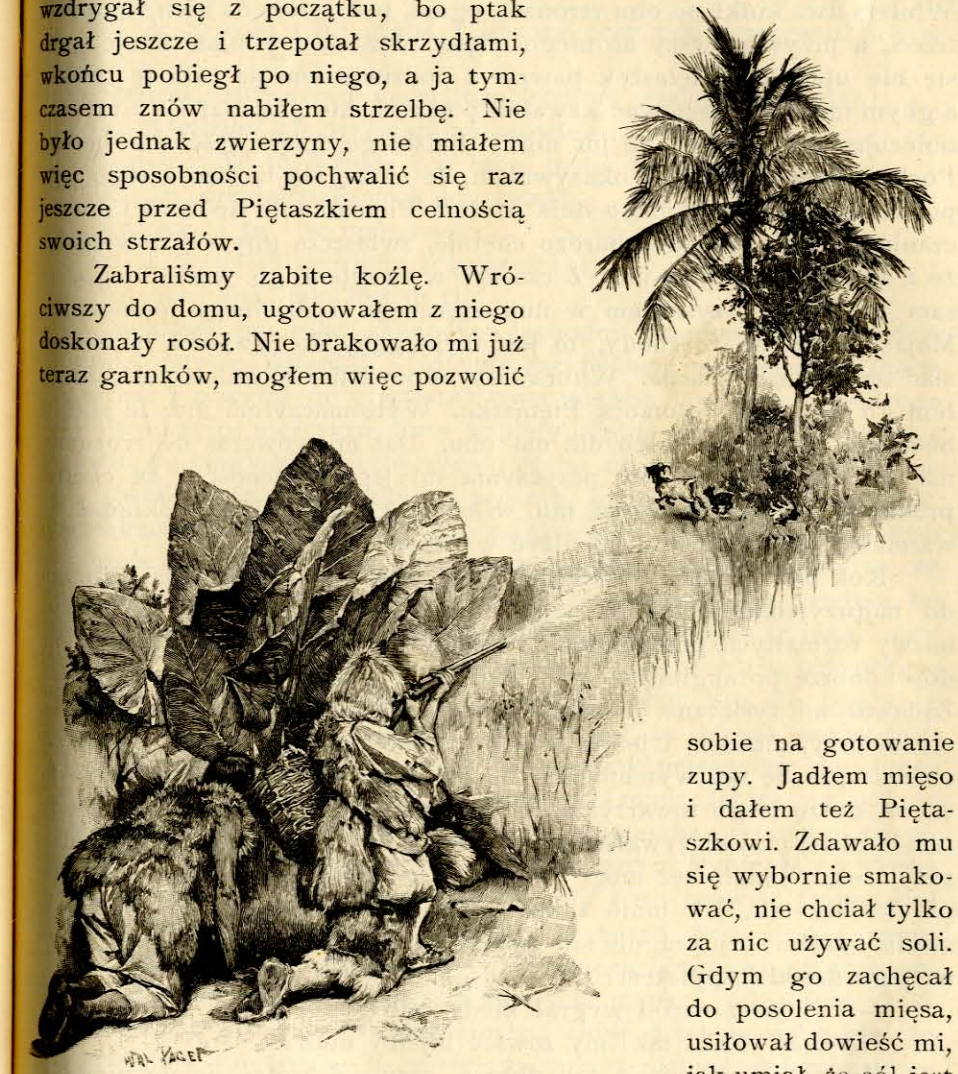

»Zabiłem jedno z koźląt« (str. 136).

Chciałem mu dać poznać rozmaite nasze potrawy, sądząc, że zasmakowawszy w nich, nabierze obrzydzenia do jedzenia ludzkiego mięsa. Pieczeń upiekłem na sposób używany w Anglii, to jest na rożnie. Wbiłem dwa kołki po obu stronach ognia, położyłem na nich wpoprzek trzeci, a przywiązawszy do niego mięso, obracałem je nieustannie, póki się nie upiekło. Piętaszek patrzył z podziwieniem na całą tę robotę, a gdym mu dał skosztować kawałek pieczeni, nie posiadał się z radości, obiecując mi na migi, że już nigdy ludzkiego mięsa jeść nie będzie. Pochwaliłem go za to i okazywałem, że cieszę się bardzo z tego jego postanowienia. Następnego dnia użyłem Piętaszka do łuskania i oczyszczania ziarna. Pracował bardzo chętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, że z ziarna chleb się robi. Z czasem wyuczyłem go wszystkiego, co sam umiałem, i zyskałem w nim zręcznego i dzielnego pomocnika. Mając podwójne rozchody, to jest dwie gęby do żywienia, musiałem siać teraz więcej ziarna. Wybrawszy odpowiedni kawałek pola, zacząłem go ogradzać z pomocą Piętaszka. Wytłómaczyłem mu, że siać tu będziemy ziarno na chleb dla nas obu. Dał mi wówczas do zrozumienia, że czuje, ile trudów przyczynia mi jego obecność i że chętnie pracować będzie, bylebym mu wskazał, co ma robić; dokładał też wszelkich usiłowań, aby mi ulżyć w pracy.

Rok ten, spędzony w towarzystwie oddanego przyjaciela, zaliczam do najprzyjemniejszych w życiu. Piętaszek nauczył się wymawiać nazwy rozmaitych przedmiotów i miejscowości, a wkrótce mówił już dość dobrze po angielsku, tak, żem mógł z nim prowadzić rozmowę. Zadawał mi tysiączne pytania, ja zaś objaśniałem go we wszystkiem z całą przyjemnością i język mój, po tyloletnim odpoczynku, pracował obecnie prawie bez wytchnienia. Im lepiej poznawałem szczerą, prostą, czystą duszę mego towarzysza, nie znającą chytrości, fałszu ani obłudy, tem bardziej przywiązywałem się do niego; on zaś odpłacał mi najczulszą przyjaźnią. Śmiało też mogę twierdzić, że przedtem nikogo w świecie nie kochał tak, jak mnie teraz. Chciałem raz zbadać, czy tęskni za swoim krajem i czy pragnie tam powrócić; naprowadziłem więc rozmowę na jego naród i spytałem:

— Czy wasz naród wygrał kiedy bitwę?

Piętaszek. Tak! tak! my zawsze bijemy dobrze.

Ja. Jeżeli się bijecie tak dobrze, czemu dostałeś się do niewoli?

Piętaszek. Mój naród bije się najlepiej ze wszystkich.

Ja. Najlepiej ze wszystkich? a dlaczego dałeś się ująć?

Piętaszek. Nas było mało, a ich dużo. Oni wzięli do niewoli trzech i mnie, a mój naród bił się w innem miejscu i wziął ich do niewoli tysiąc.

Ja. Ale dlaczego twoi nie przyszli ci z pomocą i nie wyrwali cię z rąk nieprzyjaciół?

Piętaszek. Oni schwycili nas i zanieśli na łodzie, a mój naród nie miał wtedy łodzi.

Ja. A co robi twój naród z jeńcami, czy także przywozi ich tu i zjada?

Piętaszek. Mój naród zjada dużo jeńców! wszystkich zjada!

Ja. A gdzież ich przywozi na zabicie?

Piętaszek. W to miejsce i w inne, to tu, to tam!

Ja. Czy przyjeżdżaliście kiedy tutaj?

Piętaszek. I tu i w inne miejsca.

Ja. A ty byłeś tu kiedy z jeńcami?

Piętaszek. Tak, tak, byłem tu.

I pokazał mi ręką północno-zachodni kraniec wyspy, gdzie widocznie zwykle lądowali. Gdyśmy raz później tamtem wybrzeżem szli, poznał i pokazał mi Piętaszek owo miejsce, na którem zjedzono wtedy dwudziestu mężczyzn, dwie kobiety i jedno dziecko. Nie umiejąc wymówić po angielsku liczby dwadzieścia, ułożył on obok siebie na ziemi dwadzieścia kamyczków, prosząc mnie, abym je policzył. Zagadnąłem potem Piętaszka, jak daleko leży jego kraj i czy dużo łodzi tonie w czasie takiej przeprawy. Odpowiedział mi na to, że nigdy jeszcze żadna łódź nie zatonęła i że dopływa się prędko, bo niedaleko brzegu powstaje prąd zmienny, to jest inny z rana, inny wieczorem. Myślałem z początku, że mówi on po prostu o przypływie i odpływie morskim, później jednak przekonałem się, że prądy te tworzy rzeka Orinoko wpadając do morza, że wyspa nasza leży u ujścia tej wielkiej rzeki i że ląd dostrzeżony przezemnie na północnym zachodzie, to wielka wyspa Świętej Trójcy, leżąca na północ od ujścia Orinoko. Zarzucałem następnie Piętaszka pytaniami co do tych krajów i ich mieszkańców. Pytałem go o wybrzeża, o drogę morską, o wyspy i lądy, o sąsiednie narody i ich nazwy. Opowiadał mi, co tylko mógł. Dowiedziałem się, że naród jego i inne, jemu podobne, nazywają się Karybami. Domyśliłem się, że mówi o Karybach, których siedziby oznaczone są na naszych mapach od ujścia rzeki Orinoko aż po Gujanę i Świętą Martę. Dowiedziałem się także, że z tamtej strony księżyca — to miało znaczyć na zachód od ich kraju — mieszkają ludzie biali, brodaci, — »tacy, jak pan« — dodał, wskazując na moją brodę i że biali ci wymordowali bardzo dużo ludzi. Domyśliłem się, że mowa to o Hiszpanach, znanych całemu światu z okrucieństw popełnianych na amerykańskich Indyanach. Zapytałem go następnie, czy nie wie, w jakim kierunku płynąć, aby z naszej wyspy dostać się do tych białych ludzi, i czy to trudna przeprawa. Odpowiedział mi na

to, że dostać się do nich bardzo łatwo, ale dodał, że trzeba mieć koniecznie dwie łodzie. Nie rozumiałem, co chce przez to wyrazić, dopiero potem domyśliłem się, iż miało to znaczyć, że na taką wycieczkę trzebaby mieć łódź dwa razy większą od mojej. Odtąd nabrałem nadziei, że prędzej czy później zdołam wydostać się z tej ziemi wygnania i że biedny mój dziki dopomoże mi w tem przedsięwzięciu.

Gdy Piętaszek umiał już mówić moim językiem i rozumiał, co do niego mówię, zacząłem go pomału uczyć pierwszych zasad naszej wiary. Spytałem go najpierw, kto go stworzył? Biedny chłopak nie zrozumiał tego pytania i sądził, że pytam, kto był jego ojcem. Wówczas spytałem go o to samo inaczej, mianowicie, kto stworzył niebo, ziemię, morza, pagórki, lasy? Odpowiedział mi na to, że zrobił to wszystko starzec Benamuki, władca wszystkiego, co żyje. O tym starcu nie umiał zresztą powiedzieć nic więcej nad to, że jest on stary, bardzo stary, daleko starszy od ziemi, morza, księżyca i gwiazd. Dlaczego — pytałem go dalej — dlaczego wszystkie istoty nie modlą się do tego starca, skoro on je stworzył. I owszem, odpowiedział, patrząc na mnie swemi poczciwemi oczami: »Wszystko, co żyje, mówi mu: O!! O!!« Spytałem go wkońcu, gdzie idą po śmierci ludzie z jego kraju? »Do starca Benamuki« — odpowiedział, a na pytanie, czy ci, których pożerają na ucztach, także idą do Benamuki? — dodał — »o tak! oni także wszyscy idą do Benamuki«. Wtedy zacząłem mu opowiadać o prawdziwym Bogu. Ukazałem ręką na niebo, objaśniając go, że tam On mieszka, Bóg i Stwórca wszech rzeczy, że rządzi On całym światem i nami, że w Jego mocy jest w każdej chwili wszystko nam dać i wszystko odjąć. Słuchał uważnie. Gdym opowiadał, jak Chrystus Pan zstąpił z Niebios na ziemię, aby nas odkupić i zbawić, słuchał z wielką radością. A gdym go uczył, jak należy modlić się do Boga, który nas widzi i zawsze usłyszeć może z wysokości Niebios, zawołał wzruszony: »To wasz Bóg musi być daleko potężniejszy od naszego, jeżeli mieszkając za słońcem, widzi i słyszy wszystko, co się dzieje na ziemi. Benamuki mieszka daleko bliżej, a jednak chcąc z nim rozmawiać, wyjść trzeba na wysoką górę, bo inaczej nic nie słyszy«. Spytałem Piętaszka, czy rozmawiał kiedy z Benamukim. »O nie!« — odpowiedział — »młodzi tam nigdy nie chodzą. Z nim rozmawiają tylko Uwokaki, tylko starzy ludzie. Wchodzą oni na wysokie góry, aby mówić mu Oo!! a potem schodzą na doliny i opowiadają ludziom wszystko, co im Benamuki objawił«. Dorozumiałem się, że to muszą być kapłani tych pogańskich ludów. Starałem się wytłómaczyć Piętaszkowi, że Uwokaki na wysokich górach nic nie widzą i z nikim nie rozmawiają, chyba sami z sobą, że to, co im opowiadają, nie może być prawdą i że zwodzą swemi baśniami łatwowiernych prostaków.

Codzienne ostatecznie nieczności w jednego Zrobiwszy godzinkę, oglądanie cudownych zjawisk przyrody przekonało go o istnieniu Boga, kierującego losami wszechświata i o konieczności oddawania Mu czci należnej, to też wkrótce uwierzył w jednego Boga, zaczął Mu cześć oddawać i modlić się do Niego. Zrobiwszy w ten sposób początek, poświęcałem później codziennie godzinkę, aby wykładać Piętaszkowi prawdy wiary i moralności

»Słuchał uważnie« (str. 140).

chrześciańskiej. Dzięki łasce Najwyższego ziarno nie padało na opokę. Piętaszek bystro wszystko pojmował i rozumiał tak, że po jakimś czasie mogliśmy wspólnie czytać Pismo Święte.

Zajęty swoim uczniem, przestałem ubolewać nad własnym losem i byłem zadowolony z życia, jakie obecnie pędziłem. A gdy pomyślałem jeszcze, że Opatrzność użyła mnie za narzędzie do uratowania życia i duszy drugiej ludzkiej istoty, czułem w głębi serca radość i wdzięczny byłem Bogu za to, żem się z Jego woli dostał na tę wyspę. W takiem usposobieniu trwałem już teraz ciągle i te trzy lata spędzone w towarzystwie Piątaszka były chyba najmilsze w mem życiu. Obaj czuliśmy się tak szczęśliwi, jak tylko można być na tej biednej ziemi.

ROZDZIAŁ XIX.

Opowiadanie Piętaszka o białych. — Buduję nową łódź. — Wylądowanie dzikich. — Bitwa. — Kogo odbijamy dzikim?

Gdy się Piętaszek nauczył już płynniej mówić po angielsku i był w stanie rozumieć mnie dokładnie, opowiedziałem mu swoje przygody i długoletni pobyt na wyspie. Odkryłem mu też tajemnicę strzelania, darowałem duży nóż i pas skórzany z pochwą, a do niej włożyłem mu toporek. Uradowany był niezmiernie tymi darami. Toporka używał nie tylko jako broni, ale także jako narzędzia przy rozmaitych robotach. Opowiadałem mu o rozmaitych krajach europejskich, a przedewszystkiem o mojej ojczyźnie, Anglii. Opowiadałem, jak u nas ludzie żyją, jak Boga chwalą, jak handlują, jak okręty nasze pływają po wszystkich morzach. W końcu opowiedziałem mu rozbicie naszego statku i pokazałem nawet miejsce, gdzie się to stało. Gdy Piętaszek obaczył szczątki łodzi okrętowej, wyrzucone niegdyś na brzeg, przypatrywał się im tak pilnie, że aż spytałem go, co w nich widzi tak godnego uwagi, na co odrzekł: »Widziałem taką łódź w swoim kraju«. Nie zrozumiałem tego zrazu, ale gdym się zaczął szczegółowo rozpytywać, dowiedziałem się, że łódź podobna do naszej wyrzucona została na ląd w jego rodzinnych stronach. Nie miałem odwagi zapytać, czy w łodzi byli jacy ludzie, prosiłem tylko, aby mi dokładnie opisał, jak wyglądała. Uczynił to z wielkiem ożywieniem, a potem dodał: »My uratowali białych ludzi z wody«. Wtedy spytałem, czy to w owej łodzi znajdowali się ci biali ludzie? »Tak, tak — odpowiedział — tam byli biali ludzie w łodzi, oni przyjechali do nas«. Spytałem, ilu ich było? Pokazał mi na palcach, że siedemnastu. Z dalszego opowiadania dowiedziałem się, że żyją jeszcze i mieszkają w jego kraju. Wiadomość ta wzruszyła mnie niepomiernie. Przypuszczałem, że ludzie ci musieli się na łodzi uratować z okrętu, co się rozbił przed paru laty naprzeciw mojej wyspy. Z niepokojem zapytałem Piętaszka, co się stało z owymi ludźmi? Upewniał mnie, że żyją jeszcze wszyscy, mówił, że mieszkają już cztery lata wśród jego rodaków, opatrywani w żywność i we wszystkie potrzeby. Spytałem, dlaczego nie zamordowano ich i nie zjedzono? Na to odpowiedział mi: »Oni są nam bracia«. Domyślałem się, że biali przybysze może zawarli przymierze z dzikimi, ale Piętaszek dodał: »My nie jemy ludzi, co są nam bracia, my tylko tych jemy, co w niewolę weźmiemy w bitwie«.

W jakiś czas potem udaliśmy się wraz z Piętaszkiem na szczyt pagórka, zkąd dostrzegłem po raz pierwszy ląd przeciwległy. Dzień był bardzo jasny i pogodny. Gdy Piętaszek dostrzegł owo wybrzeże, dziwnie mu się twarz rozjaśniła, począł tańczyć, skakać i wydawać wesołe okrzyki, a gdym go spytał o powód tej uciechy, zawołał radośnie: »Ja tam widzę mój kraj, tam mój naród«. Spojrzałem na niego: oczy mu błyszczały, a na twarzy widać było gorącą chęć powrotu do ojczyzny. Pomyślałem wtedy, że gdyby się mu teraz udało powrócić do swoich, zapomniałby wkrótce o wszczepionych mu przezemnie zasadach religii chrześciańskiej, a kto wie, czy nie naprowadziłby na mnie swoich rodaków, aby mnie zamordować i wyprawić

»Widziałem taką łódź w swoim kraju« (str. 142).

sobie ucztę z mojego ciała. Miałem się wkrótce przekonać, jak niesłusznie podejrzywałem biednego chłopca i jak go krzywdziłem podobnemi posądzeniami. Pod wpływem jednak tych myśli obojętniałem względem Piętaszka i nie byłem dla niego tak serdeczny, jak pierwej. Było to z mej strony wielką niesprawiedliwością, bo w czystem jego sercu nie było miejsca na żadne złe uczucia, z religią chrześciańską niezgodne, przeciwnie, kochał on mnie serdecznie i wdzięczny był niezmiernie za wszystko, com dla niego uczynił. Dopóki trwałem w podejrzeniach, starałem się w rozmowach wybadywać go nieznacznie, on zaś, nie domyślając się niczego, odpowiadał mi na wszystkie pytania tak szczerze, niewinnie i po prostu, że nabrałem znowu wkrótce do niego zaufania i postępowałem z nim równie serdecznie, jak dawniej.

Pewnego razu udaliśmy się znów na ów pagórek, z którego widać było ojczyznę Piętaszka. Zapytałem go, czy chciałby powrócić do swoich?

— O tak! — odpowiedział.

— A cóżbyś tam teraz robił? czy chciałbyś znów jeść ludzkie mięso i żyć jak dziki człowiek? — Namyślił się chwilę, potrząsł głową.

— O nie — odrzekł — jabym uczył ich do Boga się modlić i dobrymi być. Jabym pokazał im, jak chleb z jęczmienia i kozie mi o jeść, mleko pić, a nie zjadać ludzi.

— Ależ oni zabiliby cię wtedy! — Popatrzył na mnie uważnie.

— O nie! oni nie zabiliby mnie, oni uczyliby się chętnie. — Tu opowiedział mi, że rodacy jego dużo się już nauczyli od białych, brodatych ludzi. Na zapytanie, czy chce wracać do swoich, uśmiechnął się i rzekł:

— Ja nie umiem płynąć tak daleko.

— A jeżeli ci dam czółno?

— Tak, jeżeli popłyniesz ze mną.

— Gdybym popłynął, rodacy twoi zabiliby mnie i zjedli?

— O nie, nie zjedzą, oniby cię lubili. — Myślał zapewne, że skoro opowie swoim rodakom, że ocaliłem mu życie i pozabijałem jego nieprzyjaciół, to będą za to wdzięczni i polubią mnie. Opowiedział mi dalej, jak przyjaźnie rodacy jego obchodzą się z brodatymi białymi, którzy się tam schronili.

Odtąd myślałem nieustannie, jak dostać się do białych ludzi. Przypuszczałem że muszą to być Hiszpanie lub Portugalczycy, i miałem nadzieję, że razem z nimi będę mógł próbować ucieczki. Byłem pewny, że z ich pomocą łatwiej mi przyjdzie zamiar swój uskutecznić i że ze stałego lądu, gdzie mieszkali, prędzej dostanę się do swoich, niż z tej wyspy na Oceanie. Powiedziałem wreszcie Piętaszkowi, że chciałbym się dostać do jego kraju i pokazałem mu łódź swoją, ukrytą w przystani. Wsiadł do niej i okazał się doskonałym wioślarzem. Gdyśmy wsiedli do łodzi, rzekłem do niego: »No Piętaszku! teraz popłyniemy do twojej ojczyzny«. Zamyślił się i począł pilnie oglądać czółno, a potem powiedział, że za małe jest na taką przeprawę. Na drugi dzień zaprowadziłem go do miejsca, gdzie była łódź niegdyś przezemnie zbudowana, której w żaden sposób nie mogłem ruszyć z miejsca. Piętaszek oglądając ją oświadczył, że na takiej można śmiało puścić się w drogę, bo można zabrać z sobą »dużo jeść i pić«. Ale cóż! łódź zrobiona przed dwudziestoma trzema laty była na pół spróchniała i zupełnie nie do użytku. Postanowiłem zrobić drugą, takich samych rozmiarów. Powiedziałem więc:

— No, Piętaszku! zbudujemy nową łódź i pojedziesz do swego kraju! — Nic nie odrzekł, ale spojrzał na mnie uważnie i posmutniał.

— Cóż ci to Piętaszku? — spytałem go.

— Czemu gniewasz się na Piętaszka? co Piętaszek zrobił złego?

— Ależ ja się wcale nie gniewam.

— Gniewasz się, gniewasz: wypędzasz Piętaszka od siebie.

— Przecież sam chciałeś tam powrócić.

— Tak, ale ty i ja. Piętaszek sam nie chce.

— Cóżbym ja robił w waszym kraju?

— Ty tam będziesz robić dobrze, będziesz uczyć ludzi modlić się i znać prawdziwego Boga i żyć dobrze.

— Sam nie wiesz, co mówisz, Piętaszku: jak ja mogę ich uczyć, kiedy sam mało umiem?

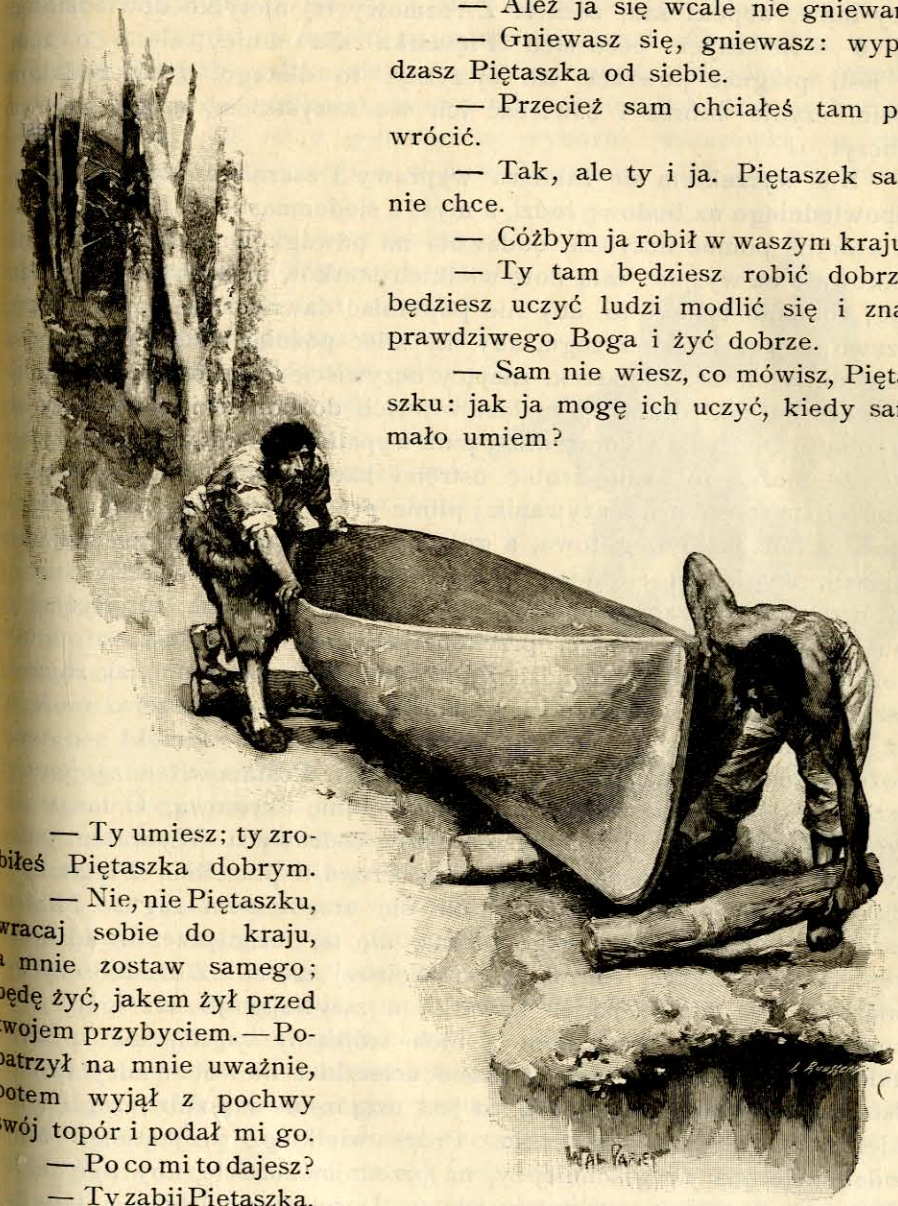

»Spuściliśmy łódź na morze« (rtr. 146).

— Ty umiesz; ty zrobiłeś Piętaszka dobrym.

— Nie, nie Piętaszku, wracaj sobie do kraju, a mnie zostaw samego; będę żyć, jakem żył przed twojem przybyciem. — Popatrzył na mnie uważnie, potem wyjął z pochwy swój topór i podał mi go.

— Po co mi to dajesz?

— Ty zabij Piętaszka. Jeżeli go wypędzasz, to lepiej zabij go.

Powiedział te słowa ze łzami w oczach i z takiem przekonaniem, że nie mogłem dłużej wątpić o jego przywiązaniu. Uściskałem go i upewniłem, że się nie myślę z nim rozstawać, że może zostać

przy mnie, dopóki sam zechce. Z rozmowy tej nietylko dowiedziałem się o serdecznych uczuciach Piętaszka dla mnie, ale i o tem, że jeśli pragnął powrócić do ojczyzny, to dlatego, żeby rodakom swoim czynić dobrze i oświecać ich we wszystkiem, czego się sam nauczył.

Nie wyrzekłem się zamiaru wyprawy i zacząłem szukać drzewa odpowiedniego na budowę łodzi, a myśl o siedemnastu białych ludziach, na których pomoc liczyłem, dodawała mi odwagi. Drzewa na łódź nie brakowało na wyspie: całą flotę wielkich statków możnaby było zbudować; chodziło tylko o to, aby nie popełniać dawnych błędów i wybrać drzewo stojące blizko brzegu, aby nie mieć później trudności ze spuszczaniem na morze. Piętaszek, znający oczywiście daleko lepiej odemnie rozmaite gatunki drzew, wynalazł wkrótce doskonałe i zabraliśmy się do roboty. On chciał wydrążenie w pniu wypalić ogniem; wytłómaczyłem mu, że można to samo zrobić ostremi narzędziami. Bardzo prędko nauczył się sposobu ich używania i pilnie pracował ze mną. Po upływie miesiąca łódź już była gotowa, a gdyśmy ją jeszcze siekierami zewnątrz ociosali, wyglądała ślicznie. Przez czternaście dni sprowadzaliśmy ją ku brzegowi, tocząc zwolna na drewnianych wałkach, a gdyśmy ją spuścili wkońcu na morze, przekonaliśmy się z radością, że unieść może przeszło dwudziestu ludzi. Z przyjemnością patrzyłem, jak zręcznie i szybko Piętaszek czółnem kierował, i spytałem go, czy teraz możemy już popłynąć do jego ojczyzny? »O tak, tak!« — odrzekł — »teraz możemy śmiało jechać, choćby i wicher wiał«. Postanowiłem zaopatrzyć jeszcze tę łódź w maszt, żagiel, kotwicę i linę okrętową. O maszt nie było trudno; nie brakło na wyspie drzew cedrowych. Wybrałem jedno wysokie i smukłe, rosnące niedaleko brzegu, i poleciłem Piętaszkowi ściąć je i obrobić, sam zaś zająłem się urządzeniem żagla. Miałem jeszcze duże zapasy żaglowego płótna, ale te, leżąc przez dwadzieścia sześć lat bez użytku, zbutwiały po większej części. Z trudnością wynalazłem dwa lepsze jakieś kawałki, a zszywając je bez igły, o ile mogłem najlepiej, urządziłem z nich trójkątny żagiel, taki prawie, jakiego używałem niegdyś w czasie ucieczki z niewoli maurytańskiej. Ostateczne wykończenie łodzi, to jest urządzenie masztów, żagli i lin, zajęło mi dwa miesiące czasu. Prócz wielkiego trójkątnego żagla dodałem jeszcze drugi, mniejszy, na przednim maszcie, aby być zabezpieczonym w razie przeciwnego wiatru. Dorobiłem także ster. Gdy już wszystko było gotowe, zacząłem uczyć Piętaszka kierowania łodzią, bo mimo, że wiosłował doskonale, nie widział nigdy przedtem żagli, masztów, ani steru. Nie mógł też wyjść z podziwienia, patrząc, jak posługuję się sterem, kierując za jego pomocą łódź to w tę, to w ową stronę, lub jak zwijam i rozwijam żagiel. Wkrótce jednak nauczył się

z tem wszystkiem obchodzić i stał się wybornym marynarzem. Nie mógł tylko nigdy zrozumieć znaczenia kompasu. Co prawda, w tych ciepłych krajach, gdzie niebo bywa najczęściej pogodne, a chmury i mgły należą do rzadkości, można też prawie obchodzić się bez igły magnetycznej. W nocy gwiazdy są wyborną wskazówką, w dzień zaś z daleka widać brzegi, a w porę deszczową nikt się nie puszcza na morze.

Zaczynał się dwudziesty siódmy rok mojej niewoli. Właściwie nie powinienem mianem tem określać ostatnich trzech lat pobytu mego na wyspie, bo odkąd dostałem towarzysza, zmienił się cały mój sposób życia. Rocznicę wylądowania obchodziłem, jak zazwyczaj, bardzo uroczyście, w skupieniu ducha i na dziękczynnej modlitwie. Więcej też, niż zwykle, miałem powodów do wdzięczności względem Boga za świeżo doznane dobrodziejstwa i za świtającą mi w przyszłości nadzieję ocalenia. Byłem prawie pewny, że następna rocznica nie zastanie mnie już tutaj, że obchodzić ją będę w jakiemś innem miejscu, może już nawet w swoim rodzinnym kraju. Tymczasem nie zmieniłem trybu życia i nie zaniedbując pracy około zaspokojenia codziennych potrzeb, siałem, zbierałem zboże, suszyłem rodzynki, tak samo, jak lat poprzednich. Nadeszła pora deszczowa; trzeba było pomyśleć o zabezpieczeniu naszej nowej łodzi. Umieściliśmy ją w małym doku, wykopanym przez Piętaszka, a z wierzchu przykryli jakby dachem z gałęzi i chrustu, chroniąc ją w ten sposób od deszczu. Zabezpieczywszy tak nasz statek, czekaliśmy spokojnie nadejścia listopada i grudnia, w którym to czasie mieliśmy udać się w podróż. Gdy minęły deszcze, zajęliśmy się gorliwie przygotowaniami do drogi. Przedewszystkiem gromadziłem zapasy żywności i za jaki tydzień lub dwa miałem zamiar wyruszyć w Imię Boże.

»Byliśmy gotowi do walki« (str. 148).

Pewnego poranku posłałem Piętaszka na wybrzeże, by złapał i przyniósł żółwia. Lubiliśmy obaj mięso i jaja żółwie i jadali co tydzień.

Za chwilę ujrzałem mego Piętaszka, powracającego o wiele wcześniej, niż się go spodziewałem, i z próżnemi rękami. Biegł on z wielką szybkością, nie dotykając prawie ziemi, przesadził w mgnieniu oka ogrodzenie i nim zdołałem spytać, co się dzieje, urywanym głosem zawołał:

— O panie! O panie! źle! biada! biada! źle!

— Co się stało? — spytałem.

— Tam są trzy łodzie! jeden, dwa, trzy łodzie! — wołał przerażony — jeden, dwa, trzy! — W pierwszej chwili myślałem, że mówi o sześciu łodziach; pokazało się, że było ich tylko trzy.

— To nic — uspakajałem Piętaszka — nie bój się, ja się nie boję. Ale daremne były moje słowa. Chłopak wbił sobie w głowę, że dzicy przyjechali po niego, by go odszukać, zabić, upiec i zjeść. Trząsł się przytem tak, że nie wiedziałem, co z nim począć. Pocieszałem go, jak mogłem mówiąc, że nieraz już znajdowałem się w podobnem niebezpieczeństwie, a nic mi się nie stało; zresztą jeżeli dzicy zjedzą jego, to i mnie także, że zatem razem zginiemy, ale dodałem: trzeba się bronić, Piętaszku! czy potrafisz się bronić?

— Ja będę strzelać — odpowiedział — ja będę strzelać, ale oni wtedy przyjdą jeszcze, dużo ich przyjdzie.

— O nie! — uspakajałem go — przestraszą się naszych strzałów i pouciekają. — Potem spytałem Piętaszka, czy gotów jest bronić mnie tak samo, jak ja jego bronić będę, i czy będzie mnie słuchał we wszystkiem.

— Ja umrę, jeśli pan każe — odpowiedział mi.

Dałem mu wtedy łyk rumu, bo miałem dotąd jeszcze dość duży zapas tego napitku. To go pokrzepiło. Gdy wypił, poleciłem mu nabić dwie strzelby grubym śrutem, sam zaś nabiłem cztery siekańcami, włożyłem za pas dwa nabite pistolety, zawiesiłem na rzemieniu szablę, a Piętaszkowi dałem do ręki duży topór. Tak uzbrojeni, byliśmy zupełnie gotowi do walki. Wziąłem lunetę; wstąpiliśmy obaj na pagórek, chcąc obaczyć, co się dzieje. Przybyło dzikich dwudziestu jeden na trzech łodziach, przywieźli z sobą trzech więźniów i zamierzali urządzić sobie zwycięzką biesiadę. Wylądowali znacznie bliżej, w miejscu nizkiem i pokrytem gęstemi zaroślami, ponad zatoką. Widok przeznaczonych na rzeź jeńców oburzył mnie tak bardzo, że zbiegłem bez namysłu z pagórka, wołając, że idę walczyć z dzikimi i że wszystkich pozabijam. Spytałem Piętaszka, czy gotów jest mi dopomódz? Przyszedł on już tymczasem do siebie; wychylony kielich rumu dodał mu jeszcze więcej odwagi, oświadczył, że gotów jest robić wszystko, co mu rozkażę, chociażby mu przyszło zginąć. Podzieliłem się bronią ze swym towarzyszem w ten sposób, że sam wziąłem jeden

pistolet i trzy strzelby, drugi zaś pistolet i trzy drugie strzelby dałem nieść Piętaszkowi. Włożyłem jeszcze do kieszeni butelkę z rumem, Piętaszkowi zaś dałem worek z kulami i prochem. Tak zaopatrzeni, ruszyliśmy pośpiesznie w gąszcz leśną, aby się zbliżyć do dzikich na odległość strzału, zanim nas dostrzegą. Piętaszkowi poleciłem, aby szedł za mną, aby nic nie przedsiębrał i słowa jednego nie wymówił, dopóki nie otrzyma odemnie znaku.

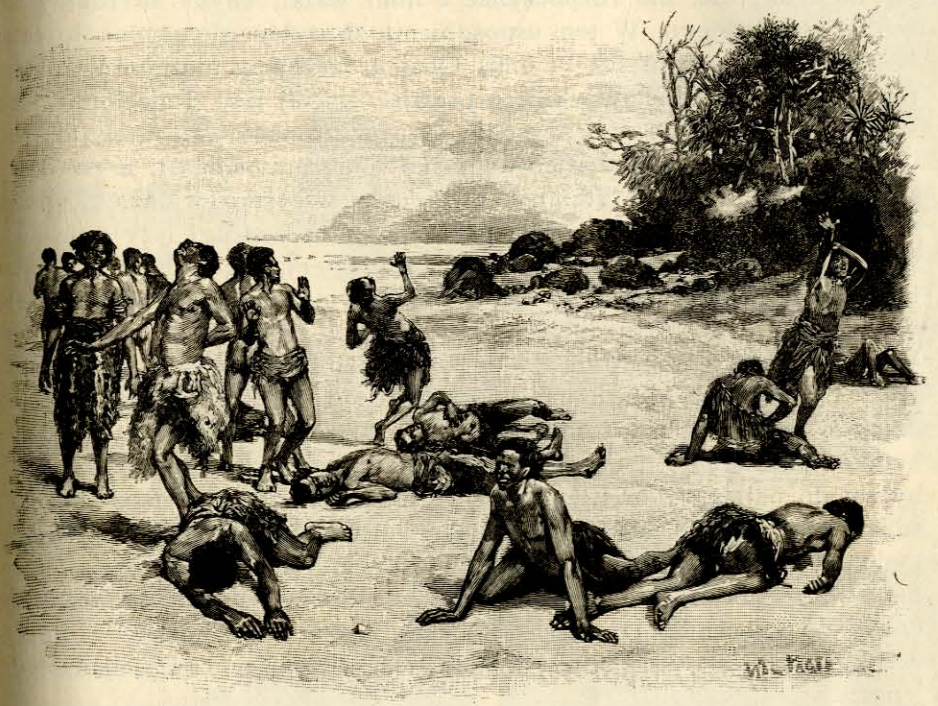

»Strzały padły znów jednocześnie« (str. 152).

Po drodze chwiać się jednak zacząłem w postanowieniu stoczenia walki z Indyanami. Nie dlatego, że byli o tyle liczniejsi, bo mimo wszystko ludzie ci, nadzy, bezbronni i znienacka zaskoczeni, nie byli groźnymi przeciwnikami i nawet bez pomocy Piętaszka potrafiłbym ich pokonać. Ale powracały mi znów dawne wątpliwości, czy mam prawo broczyć ręce we krwi ludzi, którzy mi nie uczynili nic złego, a byli tak ciemni, że nie rozumieli nawet, jak okropnego dopuszczają się czynu, mordując i pożerając swych bliźnich. Mnie przecie nic nie zawinili. Okrutne ich i barbarzyńskie zwyczaje, budzące we mnie taką odrazę, były im przecie wspólne z wielu innymi plemionami, mieszkającemi w tych stronach. Jeżeli Bóg pozostawia ich w takiej

ciemnocie i nieświadomości, to niema żadnego powodu, abym ja stawał się ich sędzią i karał ich na własną odpowiedzialność. Gdy przyjdzie godzina, Bóg sam wymierzy im sprawiedliwość. Zawziętość Piętaszka była bardziej zrozumiała. Chciał się mścić za doznane krzywdy i był otwartym ich wrogiem; ja jednak nie miałem żadnego słusznego powodu do urządzania na nich napaści. Myśli te tak mię niepokoiły, że w końcu postanowiłem tylko zbliżyć się do dzikich i przyglądając się im z ukrycia, nie rozpoczynać z nimi walki, chyba że zdarzy się coś nadzwyczajnego. W tem usposobieniu zbliżyłem się zwolna do celu. Piętaszek postępował tuż za mną. Obaj kroczyliśmy niezmiernie ostrożnie i cicho i doszliśmy wkrótce prawie na kraj lasu. Poleciłem cicho Piętaszkowi, aby wlazł na wysokie drzewo, rosnące właśnie w pobliżu, i zobaczył, co się tam dzieje. Usłuchał mnie natychmiast, a zszedłszy z drzewa doniósł, że ztamtąd doskonale wszystko widać, że dzicy siedzą koło ognia i jedzą ciało jednego jeńca, a drugi leży związany, że skazany na pożarcie nie jest jego rodakiem, ale jednym z owych białych brodatych ludzi, co się wśród nich osiedlili. Oburzenie moje nie miało granic. W jednej chwili wydrapałem się na drzewo i przez lunetę zobaczyłem istotnie białego człowieka, leżącego na piasku. Ręce i nogi miał związane sitowiem, odzież miał europejską. Nieco dalej, a bliżej obozowiska dzikich, rosło drugie drzewo, otoczone krzakami. Ztamtąd możnaby już było skutecznie strzelać. Mimo, że byłem do najwyższego stopnia wzburzony, usiłowałem zapanować nad sobą, aby się nie zdradzić jakim gwałtownym ruchem i zacząłem podchodzić ostrożnie do owego upatrzonego stanowiska, oddalonego już tylko o jakie pięćdziesiąt metrów od obozu ludożerców. Nie było chwili do stracenia. Dziewiętnastu tych nędzników siedziało w kupie, oczekując na dalszy ciąg uczty, dwóch zaś wysłali po chrześcijańskiego jeńca.

— No, Piętaszku, teraz uważaj! — powiedziałem z cicha. Odrzekł, że jest gotów.

— Patrz na mnie i rób to samo, co ja. — Dwie strzelby położyłem na ziemię, trzecią wymierzyłem ku dzikim. Piętaszek uczynił to samo. Jednocześnie daliśmy ognia! Piętaszek mierzył lepiej odemnie, bo odrazu zabił dwóch ludzi, a zranił trzech, ja zaś zabiłem jednego i zraniłem dwóch. Łatwo sobie wyobrazić, co za popłoch powstał wśród dzikich. Ci, co nie byli ranni, zerwali się na równe nogi i rozglądali się dookoła, nie pojmując, zkąd ich śmierć dosięga. Piętaszek wlepił we mnie oczy, czekając dalszego rozkazu. Położyłem na ziemi wypaloną strzelbę, wziąłem do ręki drugą i zmierzyłem.

— Czyś gotów? — spytałem. Skinął głową.

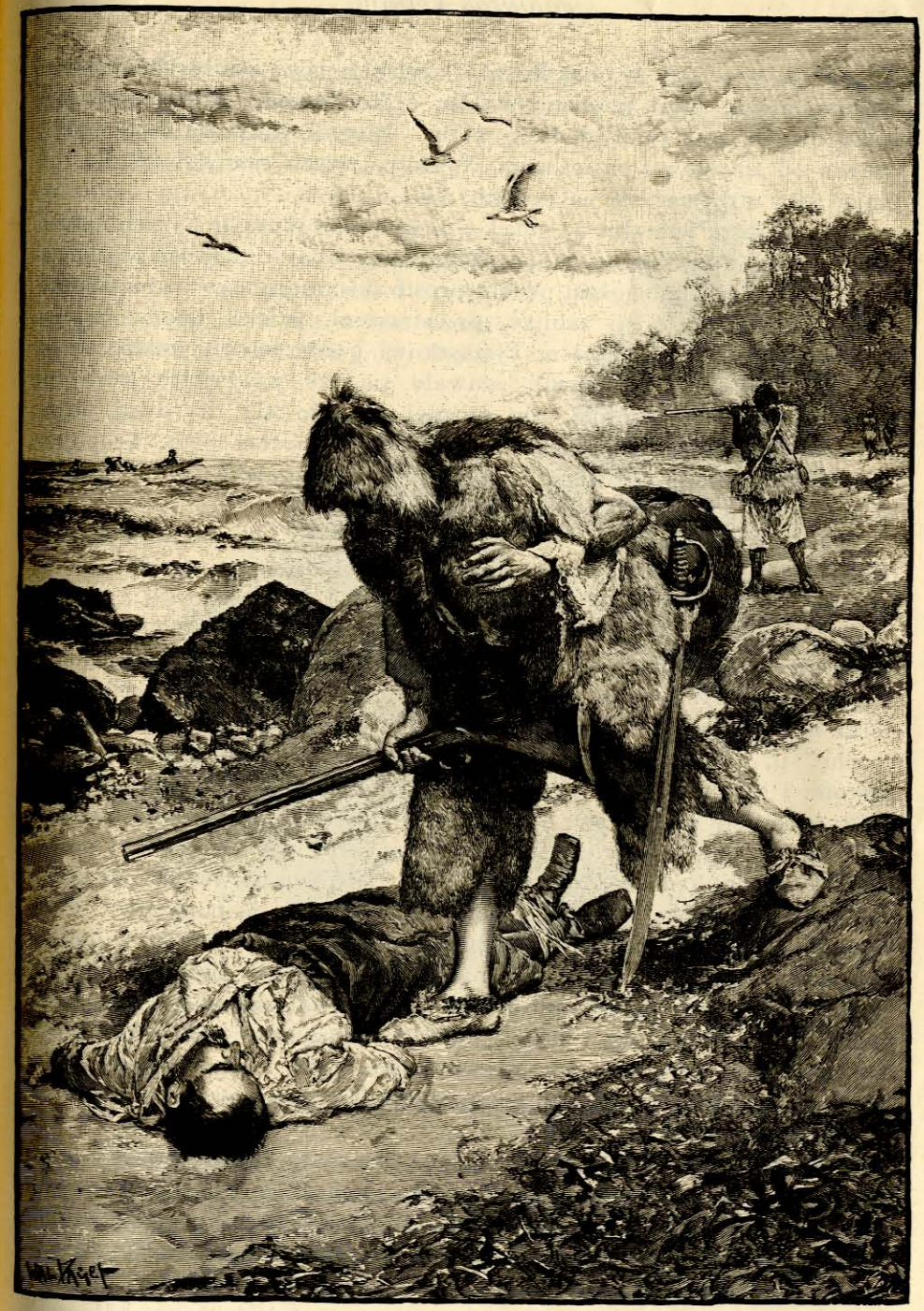

»Pobiegłem do związanego jeńca« (str. 152).

— A więc pal w imię Boże! — Strzały nasze padły znów jednocześnie, ale że broń mieliśmy nabitą tylko śrutem, legło na miejscu tylko dwóch, zato rannych było wielu. Biegali, krzycząc i odchodząc prawie od zmysłów z przerażenia. Wkrótce trzech rannych upadło, nie mając siły utrzymać się na nogach.

— Teraz, Piętaszku, za mną! — zawołałem, rzucając na ziemię broń wystrzeloną, a chwytając nabitą. Wyszliśmy obaj z ukrycia, a gdy nas dzicy dostrzegli, pobiegłem pędem prosto do związanego białego jeńca. Dwaj, którzy go mieli zabijać, przestraszeni, uciekli wraz z trzema innymi do czółen. Kazałem Piętaszkowi gonić ich i strzelać, co też uczynił. W pierwszej chwili zdawało się, że wszystkich zabił, bo wszyscy runęli w czółnie, ale później okazało się, że dwaj nawet ranieni nie byli. Ja tymczasem przeciąwszy nożem pęta, krępujące ręce i nogi białego człowieka, spytałem po portugalsku: »Kim jesteś?« »Chrześcijaninem« — odpowiedział po łacinie.

Tak był osłabiony, że ani słowa więcej nie mógł wymówić. Wyjąłem z kieszeni flaszkę z rumem i przechyliłem mu ją do ust; pił chciwie i zakąsił kawałkiem chleba. Posiłek ten wzmocnił go widocznie. Spytałem go wtedy po raz drugi, z jakiego pochodzi kraju? Odpowiedział mi, że jest Hiszpanem, i dziękował gorąco za ocalenie. Przypominając sobie, o ile mogłem, hiszpańską mowę: »Nie pora teraz na rozmowy, — rzekłem — pogadamy później, a teraz jeśli macie trochę sił, pomóżcie nam pokonać dzikich do reszty«. Podałem mu pistolet i szablę. Wziął je z radością i jak gdyby mu naraz sił przybyło, rzucił się na Indyan i dwóch odrazu porąbał. Co prawda, popłoch był między nimi tak wielki, że padali na sam huk wystrzału i dawali się zabijać bez oporu. Zachowując nabity pistolet na wszelki wypadek, posłałem Piętaszka do krzaków po strzelby, aby je ponabijać. Przez ten czas odbył się straszny pojedynek pomiędzy Hiszpanem a jednym z dzikich, który natarł na Hiszpana z drewnianym mieczem w ręku. Mimo że Hiszpan bronił się dzielnie i ciął dwa razy w głowę napastnika, dziki, chłop duży i silny, obalił go na ziemię i już szablę z ręki mu wyrywał. Hiszpan, uwolniwszy jedną rękę i wydobywszy nagle pistolet z za pasa, strzelił i trupem położył Indyanina, zanim ja z pomocą nadbiegłem.

Za chwilę walka była skończona. Ośmnastu Indyan leżało częścią już martwych, częścią dogorywało wskutek ciężkich ran i krwi upływu. Trzech tylko uszło. Dopadłszy łodzi, odbili od brzegu i uciekali, szybko wiosłując. Strzelał za nimi Piętaszek, ale żadnego nie trafił. Wtedy chciał koniecznie ścigać ich w jednej z pozostawionych łodzi. Pomysł był dobry, bo ci trzej uciekłszy, mogli naprowadzić na nas całe setki nowych napastników; naprzód tedy pośpieszyłem do łodzi, wzywając

za sobą Piętaszka. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdym obaczył na dnie czółna skrępowanego człowieka! Widocznie była to trzecia ofiara przeznaczona na rzeź.

Człowiek ten na pół żywy, nie wiedział nic o przebiegu walki, bo, skrępowany, nie mógł ani na chwilę podnieść się, aby zobaczyć, co się dzieje. Więzy wbiły mu się w ciało i tak był tem zmęczony, że tchu w nim prawie nie zostało. Przeciąłem natychmiast

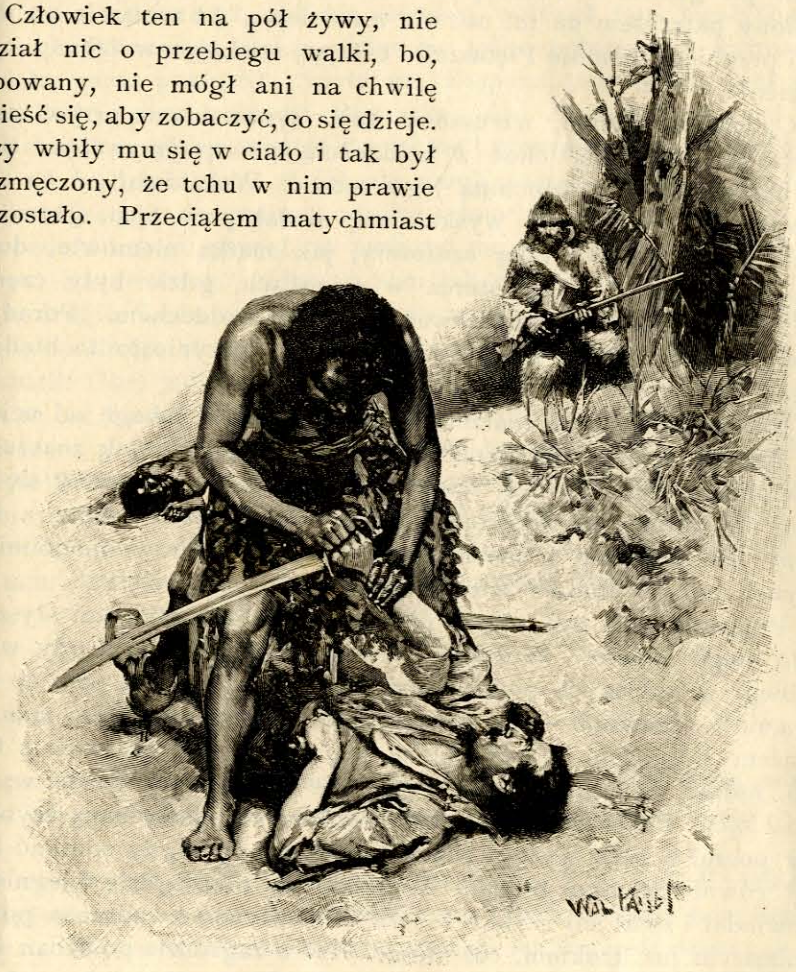

»Szablę z ręki mu wyrywał« (str. 152).

pęta i próbowałem go podnieść, ale nie mógł powstać ani mówić, jęczał tylko żałośnie, sądząc, że go po to tylko rozwięzuję, aby na śmierć prowadzić. Tymczasem nadbiegł Piętaszek. Kazałem mu przemówić do dzikiego i oznajmić mu, że jest wolny; wyjąłem przytem z kieszeni flaszkę wódki i podałem ją Piętaszkowi, aby biedaka orzeźwił. Wtem Piętaszek, który dopiero wtedy spojrzał na twarz jeńca, porwał go nagle w objęcia, zaczął ściskać, całować, potem odstąpił parę

kroków i począł się śmiać, krzyczeć, spiewać, tańczyć, skakać i znowu ściskał i całował ocalonego. Chcąc wyrazić swą radość, uderzał się rękami po głowie i twarzy, klaskał w dłonie, jak gdyby oszalał. Zdumiony patrzyłem na to, nic nie rozumiejąc. Aż wreszcie po dobrej chwili przybiegł do mnie Piętaszek i całując, ściskając, wołał: »to ojciec! to ojciec!«

Ogromnie byłem wzruszony tem synowskiem przywiązaniem poczciwego chłopaka, choć z trudnością powstrzymywałem się od śmiechu, patrząc na dziecinną jego radość. Wskakiwał on co chwila do łodzi, to znów z niej wyskakiwał, siadał przy ojcu, głowę jego przyciskał do piersi z taką czułością, jak matka niemowlę, dotykał pieszczotliwie rąk i nóg starca w miejscach, gdzie były czerwone pręgi od postronków i ogrzewał je swoim oddechem. Poradziłem, aby wytarł go całego wódką i rzeczywiście przyniosło to biedakowi znaczną ulgę

Niespodziewane to zdarzenie odwróciło naszą uwagę od uciekających dzikich, którzy też przez ten czas oddalili się tak znacznie, że niepodobieństwem było ich ścigać. I dobrze się stało, żeśmy się w ten pościg nie puścili, bo wkrótce powstał wicher bardzo silny a niepomyślny dla zbiegów i trwał przez całą noc. Prawdopodobnie nie dopłynęli oni do domu i zatonęli gdzieś w drodze.

Piętaszek tak był zajęty ojcem, że nie rozumiał ani słyszał, co się do niego mówiło. Wołałem na niego kilkakrotnie, a gdy wkońcu przybiegł w radosnych podskokach, zapytałem, czy dał ojcu co zjeść? »O panie!« — zawołał — »ja pies zły, zjądłem wszystko, nie mam nic«. Wyjąłem z kieszeni kawał chleba i podałem mu go wraz z flaszką rumu, radząc, aby sam trochę wypił. Nie chciał nawet tknąć i wszystko zaniósł ojcu. Po chwili wyskoczył z czółna i z niesłychaną szybkością biedz począł w głąb wyspy. Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać kogoś, coby równie szybko biegał. Wołałem za nim, gdzie biegnie; nie odpowiadał i znikł mi szybko z oczu. Po upływie kwadransa powracał wolniejszym już krokiem, coś niosąc. Był w zagrodzie po dzban świeżej wody i kilkanaście placków jęczmiennych. Podszedł najpierw do mnie i dał mi się trochę napić, potem napoił ojca. Świeża woda pokrzepiła starca daleko lepiej niż mój rum, bo prawie ginął z pragnienia.

Gdy już Piętaszek napoił i nakarmił ojca, poleciłem mu, aby podał chleb i wodę Hiszpanowi. Biedak ten leżał bezwładny pod drzewem, a mimo że przed chwilą potykał się tak dzielnie z dzikimi, nie mógł się teraz ruszyć z miejsca: tak był wyczerpany. Nogi i ręce popuchły mu strasznie skutkiem poprzedniego skrępowania, głodny był, spragniony i śmiertelnie osłabiony. Podałem mu garść rodzynków. Popatrzył na mnie z wdzięcznością i usiłował powstać, ale nie mógł.

Poleciłem Piętaszkowi, aby mu natarł wszystkie członki rumem, tak samo, jak pierwej ojcu. Poczciwy chłopak zajął się tem gorliwie, ale nieustannie zwracał głowę ku miejscu, gdzie siedział jego ojciec. Gdy go raz nie dostrzegł, nic nie mówiąc, pobiegł tam niesłychanie szybko, a przekonawszy się, że ojciec się tylko położył dla wyprostowania ciała, zaraz powrócił. Spytałem Hiszpana, czy będzie miał siły dojść do łodzi przy pomocy Piętaszka. Ale Piętaszek porwał go w jednej chwili na plecy, zaniósł do czółna i posadził obok swego ojca. Biedacy tak byli osłabieni, że iść nie mogli; trzeba ich było zawieźć. Piętaszek wskoczył do czółna, odbił i mimo przeciwnego wiatru tak szybko wzdłuż brzegu płynął, że nadążyć mu nie mogłem. Przybiwszy do brzegu, zostawił tam czółno, a sam jak wicher zwrócił się na wybrzeże po drugie. Ledwiem się zbliżył do zatoki, już był z czółnem, przewiózł mię na drugą stronę i zaraz Hiszpana i ojca swego na rękach na ląd wysadził. Obaj jednak tak byli osłabieni, że ani kroku postąpić nie mogli, i tu już biedny Piętaszek sam nie wiedział, co począć. Urządziliśmy nosze z gałęzi, a ułożywszy na nich naszych gości, zanieśliśmy ich pod samo nasze mieszkanie. Ale tu nowa przeszkoda. Nie można ich było przenieść przez ogrodzenie. Wskutek tego ustawiliśmy na prędce w lasku, wpobliżu zewnętrznego ogrodzenia, namiot ze starych żagli i tam ułożyliśmy obu na pościeli z ryżowej słomy.

ROZDZIAŁ XX.

Obawy przed dzikimi. — Plan wyswobodzenia białych. — Przygotowania na ich przyjęcie. — Odjazd Hiszpana z Piętaszkowym ojcem.

Tak więc wyspa moja przestała być bezludną, a ja, pan jej i władca, mogłem się uważać za prawdziwego króla, odkąd pozyskałem poddanych. Wistocie towarzysze moi ulegali mi we wszystkiem, a ponieważ wszystkim im ocaliłem życie, oni nawzajem gotowi byli w razie niebezpieczeństwa piersi swych za mnie nadstawić.

Trzeba było pomyśleć o posiłku dla nas wszystkich. Kazałem Piętaszkowi wybrać tłuste, roczne koźlę, zarznąć i porąbać. Następnie zajęliśmy się oba przyrządzeniem objadu, składającego się z gotowanego mięsa i rosołu zasypanego ryżem. Zastawiliśmy potem stół w nowym namiocie i jedząc wspólnie, próbowaliśmy się porozumieć. Piętaszek służył mi za tłumacza, gdym chciał rozmawiać z ojcem jego, a nawet z Hiszpanem, gdyż ten znał już język dzikich. Po obiedzie, a raczej po wieczerzy, posłałem Piętaszka na pole walki po zostawione tam strzelby.

Na drugi dzień pogrzebał Piętaszek ciała dzikich i zatarł wszelkie ślady barbarzyńskiej ich uczty. Ja sam nie miałem odwagi udać się w to miejsce, tak mi wstrętny był widok pobojowiska. Piętaszek tak dobrze wywiązał się z polecenia, że ja sam nie poznałbym miejsca, gdzie się stoczyła bitwa, gdybym nie pamiętał dobrze kawałka owego lasu.

Teraz dopiero wdałem się w rozmowę z nowymi poddanymi, rozpytując ich o rozmaite szczegóły. Za pośrednictwem Piętaszka zapytałem jego ojca, co myśli o zbiegłych dzikich i czy nie obawia się, podobnie jak ja, powrotu ich w liczniejszej gromadzie, i czy nie sądzi, że zechcą mścić się za poniesioną klęskę. Stary Karaib odpowiedział, że prawdopodobnie utonęli w drodze w czasie burzy, albo też zapędzeni zostali na południowe wybrzeża, zamieszkane przez wrogie im plemiona, gdzie ich z pewnością zamordowano i zjedzono. Sądził także, że jeżeli uratowali się jakim cudem i dopłynęli szczęśliwie do domu, to i tak z pewnością nie ośmielą się powrócić, bo pewnie wyobrażają sobie, że to nie ludzie, ale jakieś złośliwe duchy rzuciły się na nich, i że towarzysze ich nie z ludzkiej ręki, ale od piorunów poginęli. Mówił jeszcze starzec, że leżąc związany w czółnie, sam słyszał, jak dzicy wołali uciekając, że złe duchy na nich napadły. Pokazało się, że domysły Piętaszkowego ojca były zupełnie słuszne. Dowiedziałem się później, że ci trzej mimo burzy szczęśliwie dostali się do swoich brzegów i opowiadali, że na tej zaczarowanej wyspie bogowie ogniem zabijają każdego, kto na niej stopę postawi. To tak podziałało, że nie prędko zobaczono indyjskich ludożerców na tej wyspie. Narazie jednak nie wiedziałem o tem wszystkiem i obawiałem się najazdu ich, mimo że we czterech moglibyśmy z pewnością stawić czoło przynajmniej stu takim napastnikom.

Po niejakim czasie obawy moje zniknęły. Zacząłem znowu przemyśliwać o wyprawie na stały ląd, tembardziej, że Piętaszek i jego ojciec upewniali mnie, że w ich kraju znajdę życzliwe przyjęcie. Ostygłem w tym zapale, rozmówiwszy się z Hiszpanem. Opowiedział mi on, że wprawdzie rodacy jego i Portugalczycy, przebywający wśród dzikich, żyją z krajowcami w zgodzie, ale pędzą życie nie wesołe i nędzne, bo zdani są w zupełności na ich łaskę, do tego stopnia, że nawet żywność mają wydzielaną. Dowiedziałem się od niego, że wówczas, przed czterema laty, płynęli z Rio de la Plata do Hawanny na hiszpańskim statku naładowanym futrami i srebrem; ładunek ten mieli zamiar wymienić na europejskie towary; w drodze przyjęli na swój pokład pięciu portugalskich rozbitków. W chwili zatonięcia własnego statku utracili pięciu ludzi z załogi, reszta dostała się na wybrzeża Karybskie wśród niesłychanych trudów i niebezpieczeństw, i cudem

tylko uniknęli śmierci z rąk dzikich, bo mieli wprawdzie broń, ale używać jej nie mogli, gdyż woda zabrała im wszystek proch i kule. Spytałem go, dla czego nie uciekają. Odpowiedział, że marzą o tem nieustannie i często o tem radzą, ale narady kończą się zwykle na łzach i rozpaczy, ponieważ nie mają łodzi, ani żadnych zapasów żywności. Wtedy zadałem mu jeszcze pytanie, czy nie zechcieliby próbować ucieczki z moją pomocą; dodałem jednak otwarcie, że obawiałbym się w tym wypadku zdrady z ich strony, bo wdzięczność nie jest cnotą wszystkim ludziom wrodzoną. Ludzie zazwyczaj nie zważają na wyświadczone im dobrodziejstwa, lecz działają według widoków osobistej korzyści i zysku, a już wolałbym być pożarty przez Indyan, aniżeli zostać niewolnikiem hiszpańskim. Mówiłem dalej, że jestem przekonany, że gdybyśmy się wszyscy razem zabrali do roboty, to w krótkim czasie zbudowalibyśmy statek tak wielki, że mógłby nas dowieźć na południe, do Brazylii, lub na północ, do hiszpańskich posiadłości.

Hiszpan odpowiedział mi bardzo szczerze i serdecznie, że położenie jego rodaków wśród dzikich jest tak ciężkie, iż na myślby im nawet nie przyszło knuć jakie spiski przeciw temu, kto ich wybawi z niewoli. Mówił dalej, że jeśli się na to zgodzę, popłynie do nich z ojcem Piętaszka, opowie o naszych planach ucieczki i przywiezie od nich odpowiedź. Powiedział przy tem, że będzie wymagał od nich przysięgi, iż uznają mnie za wodza swojego i naczelnika i słuchać mnie będą we wszystkiem, dopóki sam tego żądać będę, a dalej, że na piśmie się zobowiążą i przysięgą to potwierdzą, iż tylko do tego chrześcijańskiego kraju Ameryki popłyną, który ja im wskażę. Przyrzekał wkońcu zacny Hiszpan, że całe życie mię nie opuści, choćby nawet jego rodacy nie dotrzymali obietnic i postąpili ze mną zdradliwie. On, który mi życie zawdzięcza, pozostanie mi wiernym i bronić mnie będzie do ostatniej kropli krwi. Utrzymywał jednak, że towarzysze jego są wykształceni, bardzo uczciwi ludzie, i że żyją w tak opłakanych warunkach, bez dostatecznej żywności, bez odzieży i bez broni, zdani w zupełności na łaskę dzikich, że każdego, co im dopomoże do powrotu do ojczyzny, uważać będą za anioła wybawiciela, bo sami nawet nadziei tej już nie mają.

Uspokojony słowami Hiszpana, zacząłem już czynić przygotowania w celu wysłania go po towarzyszów wraz z ojcem Piętaszka, gdy on sam uczynił mi bardzo rozsądną uwagę, radząc, abym tę wyprawę na później odłożył. Rada ta była dowodem, jak dalece Hiszpan szczerym i uczciwym był człowiekiem, i wzbudziła w mem sercu zupełne ku niemu zaufanie. Przebywając ze mną prawie już miesiąc na wyspie, przypatrzył się Hiszpan z blizka mojemu sposobowi życia, moim polom i winnicom i widział, że zapasy żywności, aż nadto obfite

dla jednego człowieka, zaledwie już wystarczały dla nas czterech. Zwrócił więc moją uwagę, że gdybyśmy sprowadzili tu jeszcze czternastu Hiszpanów, to wkrótce zapanowałby między nami głód i niedostatek. A cóż dopiero mówić o zapasach żywności dla tylu ludzi, na tak długą drogę! Radził tedy, aby uprawić pierwej większy kawał pola, niż zazwyczaj, i dopiero doczekawszy się żniw i odpowiedniej ilości ziarna, sprowadzić tu jego rodaków. »Rodacy moi« — mówił on — »uważaliby wtedy, że wpadli z biedy w nędzę, i, zamiast czuć wdzięczność za swoje wyzwolenie, narzekaliby. A mogłoby to z czasem wywołać szkodliwe dla naszych zamiarów rozruchy. Sami wiecie« — dodał on — »że żydzi wyprowadzeni przez Mojżesza z niewoli egipskiej, cieszyli się z początku z oswobodzenia, ale gdy głód zaczął im dokuczać na puszczy, szemrać zaczęli przeciw Panu«.

Usłuchałem tych rozsądnych rad i natychmiast zabraliśmy się wszyscy czterej do roboty. Mimo, że mieliśmy tylko drewniane narzędzia, uprawiliśmy w przeciągu miesiąca tak znaczny kawał ziemi, że gdy przyszedł czas odpowiedni, mogliśmy wysiać prawie korzec jęczmienia i pół korca ryżu, to jest wszystko, co mogłem dać na zasiew. Bardzo niewiele zboża zostawiliśmy sobie na przeżycie, używaliśmy go też oszczędnie, ciesząc się nadzieją przyszłych zbiorów.

Nie obawialiśmy się już teraz najazdu dzikich wiedząc, że we czterech damy im radę, gdyby nawet znaczniejsza ich gromada przybyła na wyspę. Myśl moja zajęta była wyłącznie planami ucieczki. Chodząc z towarzyszami po lesie, znaczyłem drzewa zdatne do budowy statku; Piętaszek z ojcem zabrali się pod kierunkiem Hiszpana do robienia desek z dębiny; przygotowali ich kilkanaście. Trzeba też było pomyśleć o powiększeniu naszego stada. W tym celu chodził Piętaszek codzień to zemną, to z Hiszpanem na polowanie. Ile razy spotkaliśmy kozę z młodemi, zabijaliśmy matkę, koźlęta zaś zabieraliśmy do stada. Gdy nadszedł czas winobrania, suszyliśmy na drzewach takie mnóstwo gron, że można było napełnić nimi sześćdziesiąt do siedemdziesięciu beczek; obok chleba bowiem stanowiły rodzynki najlepsze, najzdrowsze nasze pożywienie. Tymczasem zboże dojrzało. Zbiory mieliśmy nie tak może obfite, jak bywały w najlepszych latach, zupełnie jednak wystarczające na nasze potrzeby. Z korca jęczmienia zebraliśmy sto, w tym samym stósunku urodził i ryż. Były to więc zupełnie dostateczne zapasy do wyżywienia Hiszpanów aż do najbliższych zbiorów, i wystarczały na przeprawę nawet dalszą, niż do brzegów kolonij amerykańskich. Po ukończeniu żniw zajęliśmy się wyplataniem wielkich koszów dla zsypywania ziarna; towarzysze moi pomagali mi pilnie w tej pracy, ale Hiszpan okazał się najzręczniejszym.

Gdyśmy już przygotowali żywność dla oczekiwanych gości, zająłem się wyprawieniem Hiszpana i Piętaszkowego ojca. Przed ich odjazdem odebrałem jeszcze raz od Hiszpana uroczyste przyrzeczenie, że nie sprowadzi tu swoich rodaków, dopóki wszyscy nie złożą przysięgi przed nim i przed karybskim starcem, że nie uczynią nigdy nic na szkodę tego, co ich z niewoli wybawia. Żądałem, aby mi przysięgli wierność i posłuszeństwo we wszystkiem, aby zobowiązali się bronić mnie w razie niebezpieczeństwa, a warunki te spisałem na papierze żądając, aby się tamci na nim podpisali. Nie zastanowiłem się tylko nad tem, że trudno to im będzie uczynić bez atramentu. Hiszpan i ojciec Piętaszka odpłynęli na tej samej łodzi, co ich tu niegdyś przywiozła jako jeńców przeznaczonych na pożarcie. Dałem każdemu z nich strzelbę i ośm nabojów, polecając, aby użyli ich dopiero w ostatecznej potrzebie. Z radością i wzruszeniem zajmowałem się przygotowaniami do tej wyprawy, uważając ją za pierwszy krok do wyzwolenia mnie z tej ziemi wygnania, na której przeżyłem już dwadzieścia i siedem lat. Zaopatrzyłem tych swoich wysłańców w zapasy chleba i rodzynków dostateczne do wyżywienia przez dwa tygodnie ich i tych, co mieli z nimi przybyć, i pożegnałem ich życzeniem szczęśliwej podróży. Umówiliśmy się, że powracając dadzą znak, po którym będę ich mógł poznać z daleka. Odpłynęli w czasie pełni księżyca w październiku. Tak przynajmniej wypadało z rachuby czasu, prowadzonej przezemnie na drewnianym kalendarzu.

ROZDZIAŁ XXI.

Angielski okręt. — Zbuntowana załoga. — Wybawiam trzech nieszczęśliwych rodaków.

W czasie, kiedym już lada dzień nieobecnych towarzyszów z powrotem oczekiwał, zaszedł wypadek niespodziewany, najdziwniejszy może ze wszystkich, jakie mi się dotąd wydarzyły. Pewnego poranku spałem jeszcze smacznie, gdy Piętaszek zawołał głośno: »Panie! panie! już są«. Zerwałem się na równe nogi i, ubrawszy się śpiesznie, wybiegłem do lasu otaczającego mieszkanie. Spojrzawszy na morze, zobaczyłem o półtorej mili od brzegu łódź z trójkątnym żaglem, płynącą szybko ku mojej wyspie. Zauważyłem jednak odrazu, że płynie ona nie od przeciwległego lądu, zkąd przybyć mieli moi towarzysze, ale od południa; poleciłem tedy Piętaszkowi, aby nie wybiegał nad brzeg morza i pozostał ze mną w ukryciu, bo zbliżający się ludzie są nam

obcy i nie możemy wiedzieć, czy to przyjaciele, czy wrogowie. Wybiegłem zaraz na pagórek i oto przez lunetę wyraźnie ujrzałem okręt, stojący na kotwicy o dwie mile od brzegu. Przypatrując się dokładniej, przekonałem się, że był to okręt angielski i że płynąca łódź do niego należała.

Nie potrafię opisać wzruszenia, jakie mię ogarnęło na widok tego statku. Angielski był niewątpliwie! A więc niósł mi przyjaciół! Na tę myśl szalona radość przepełniła mi serce, a jednak coś mię tknęło, żeby się mieć na ostrożności! Zkąd się tu wziął angielski okręt? Wyspa leży tak bardzo na uboczu, tak daleko od wszelkich dróg handlowych, że żadne interesy kupieckie nie mogły go tu sprowadzić; nie było też w ostatnich czasach burzy, coby go tu zagnała. Tymczasem łódź mknęła prosto do brzegu; widocznie wysłano ją tu umyślnie, ale w jakich zamiarach? Bądź co bądź, postanowiłem pozostać w ukryciu i nie zdradzać swej obecności. Jeszcze raz miałem się przekonać, że nie należy gardzić przeczuciami i jak to dobrze iść za swym głosem wewnętrznym! Niewiele miałem czasu na rozmyślania i domysły, bo łódź zbliżała się szybko do brzegu. Kierujący nią ludzie widocznie upatrywali miejsca, gdzieby mogli wylądować. Nie dostrzegli na szczęście przystani, do której przybijałem niegdyś ze swoją tratwą; bo gdyby ją byli zauważyli, wylądowaliby niemal tuż obok mego mieszkania. Drżę na samą myśl, coby się wówczas zemną było stało, gdyby mię byli odkryli. Zrabowaliby mnie z pewnością i ogołocili ze wszystkiego, a może i zamordowali.

Gdy wysiedli na brzeg, przekonałem się, że byli to istotnie Anglicy. Było ich wszystkich razem jedenastu, z tych trzech bezbronnych i związanych. Pięciu wyskoczyło najpierw z łodzi, prowadząc trzech biednych jeńców, z pośród których jeden zwłaszcza widocznie bardzo o coś błagał. Zmieszany tym widokiem, sam nie wiedziałem, co myśleć o postępowaniu nieznajomych. Piętaszek zawołał do mnie »Panie! widzisz, panie: Anglicy jedzą swoich jeńców, jak Karyby«. »Dlaczego tak myślisz?« — spytałem. »Oni ich zjedzą«. »O nie!« — odpowiedziałem — »jeść ich nie będą. Ale boję się, aby ich nie pozabijali«. W istocie nie mogłem zrozumieć, o co chodzi i lękałem się, że nieznajomi złoczyńcy lada chwila pomordują swych jeńców; zdawało mi się nawet, że jeden z tych nędzników wzniósł cios morderczy nad głowami skrępowanych ofiar. Krew mi się w żyłach ścięła na myśl, że będę świadkiem nikczemnego morderstwa i że mu nie będę mógł przeszkodzić. O jakże mi w tej chwili brakło nieobecnych towarzyszów! Z ich pomocą nie wahałbym się wdać w rozprawę z przybyszami; ale i tak miałem wielką ochotę przysunąć się do nich na odległość strzału i stanąć w obronie pokrzywdzonych. Przypatrywałem się dalej temu, co się dzieje. Zdawało mi się, że nieznajomi nie mieli z sobą palnej broni. To dodało mi

odwagi i miałem już wystąpić z ukrycia, gdy zobaczyłem, że jeńcom pęta poprzecinano i puszczono ich wolno, reszta zaś ludzi rozbiegła się po wyspie jak gdyby dla poznania okolicy. Uwolnieni z więzów nie korzystali z odzyskanej wolności, lecz siedli nieruchomo w cieniu drzew, jak się zdawało, strapieni. Gdym patrzył na tych biednych ludzi, stanęły mi w myśli pierwsze chwile przybycia mego na wyspę. Przypomniałem sobie rozpacz swoją ówczesną, strach, niepokój i pierwszy

»Nie potrafię opisać wzruszenia na widok tego statku« (str. 160).

nocleg na drzewie, gdzie schroniłem się z obawy przed dzikiemi zwierzętami. Jak ja nie domyślałem się owej nocy, że nazajutrz dostrzegę niedaleko brzegu rozbity statek, że będę się mógł do niego dostać, i zaopatrzyć w żywność na czas dłuższy, tak i ci trzej tam pod drzewem nie przeczuwali, że pomoc jest blizko, i uważali się za zgubionych.

Skoro nie posiadamy daru odgadywania najbliższej nawet przyszłości, nie powinniśmy rozpaczać w żadnem położeniu, bo z najgorszego może nas wyprowadzić łaska Stwórcy naszego. Nie opuszcza On nigdy swych stworzeń i niesie im ratunek w chwili, gdy się go najmniej spodziewają, i to często sposobami, które nam się zgubnymi wydają.

Nieznajomi przybyli na wyspę w chwili największego przypływu morza. Sporo jednak czasu upłynęło, zanim powrócili z wycieczki w głąb okolicy, tymczasem wody opadły, a łódź ich została na piasku. Dwaj ludzie zostawieni dla strzeżenia łodzi pijani, jak się później dowiedziałem, zasnęli, a gdy się obudzili, było już po odpływie, łódź zaś ugrzęzła tak mocno w piasku, że niepodobieństwem było ruszyć ją z miejsca. Na wołanie owych dwóch zbiegli się inni i wspólnemi siłami próbowali zepchnąć łódź na wodę. Gdy się jednak przekonali, że rzecz jest trudna, z właściwą marynarzom lekkomyślnością dali pokój i pokładli się na trawie dla odpoczynku, lub też rozbiegli po wyspie. Wtedy usłyszałem zupełnie wyraźnie, jak jeden z nich wołał po angielsku do któregoś, co jeszcze pracował przy łodzi: »Daj jej pokój, Jakóbie! gdy nastąpi przypływ, sama ruszy, nie warto się przy niej trudzić!« Nie miałem już zatem teraz żadnej wątpliwości, że przybysze są Anglikami.

Nie wychodząc z ukrycia, bacznie wszystko dalej śledziłem. Przekonawszy się, że czekać będą na przypływ, mający nastąpić dopiero za dziesięć godzin, postanowiłem wysunąć się o zmroku ze swego schronienia i podejść do nich bliżej, aby się z podsłuchanych rozmów dowiedzieć, kim są i jakie mają zamiary. Na wszelki wypadek przygotowywałem się do walki i to o wiele staranniej, niż do poprzednich rozpraw z dzikimi, wiedziałem bowiem, że tym razem mam do czynienia z daleko groźniejszym przeciwnikiem. Zacząłem się zbroić wraz z Piętaszkiem, doskonałym już teraz strzelcem. Dałem mu trzy strzelby, sam wziąłem dwie i dwa pistolety. Musiałem wyglądać niezmiernie groźnie i straszliwie w swojem ubraniu z kozich skór, w czapce futrzanej na głowie, z długą szablą u pasa i dwiema strzelbami, przewieszonemi przez ramię. Około drugiej godziny po południu, w czasie największego upału, marynarze rozprószyli się po lesie, szukając chłodu i prawdopodobnie pozasypiali gdzieś w cieniu drzew. Trzej tylko nieszczęśliwi więźniowie siedzieli wciąż pod drzewem, widocznie rozmyślając nad smutnym swym losem. Zmieniłem plan i postanowiłem nie czekać nocy, ale zbliżyć się do nich, korzystając z nieobecności tamtych i spytać, co to wszystko znaczy.

Niepostrzeżony szedłem ku nim wraz z Piętaszkiem. Nie chcąc przerazić ich nagle swym widokiem, stanąłem za nimi i zawołałem głośno po hiszpańsku: »Kto jesteście?« Drgnęli na mój głos, a gdy, odwróciwszy się, ujrzeli moją straszną postać, poczęli zrywać się, by uciekać. Wtedy odezwałem się po angielsku: »Nie lękajcie się, panowie! Być może, że nadchodzi wam niespodziewana pomoc, a przyjaciel jest o wiele bliżej, niż sądzicie!«

— W takim razie przychodzi on chyba z nieba, bo od ludzi nie spodziewamy się już pomocy — odrzekł jeden z nich smutnie.

— Wszelka pomoc, mój panie, przychodzi z Nieba — odpowiedziałem mu — ale tymczasem opowiedzcie mi, w czem dopomódz wam mogę? Widziałem, jak was wywlekano z łodzi i znęcano się nad wami, a nawet zdaje mi się, że jeden z tamtych usiłował was zamordować. — Na te słowa jeden z nieznajomych zwrócił ku mnie wzrok załzawiony i zawołał, drżąc ze wzruszenia:

»Nie lękajcie się, panowie!« (str. 162).

— Ludzkaż to mowa, czy głos z Nieba pochodzący? Jesteś człowiekiem śmiertelnym, czy aniołem od Boga zesłanym?

— Panie — odparłem śmiejąc się — gdyby podobało się Bogu przysłać anioła na wasz ratunek, to wyglądałby on zapewne trochę inaczej, niż ja i piękniejby był przybrany i inaczej uzbrojony. Człowiekiem jestem, rodakiem waszym i z serca pragnę wam dopomódz. Dwóch nas jest tylko — tu wskazałem na Piętaszka — ale mamy broń i naboje i gotowi jesteśmy użyć ich dla waszej obrony. Powiedzcie, w czem wam mogę pomódz i w jakieście to nieszczęście popadli.

— Zawiele czasu zabrałaby opowieść o naszych przejściach, przeto tylko w krótkich słowach powiem wam, panie, że jestem kapitanem owego okrętu, co stoi tam na kotwicy, i że załoga moja się zbuntowała. W pierwszej chwili chciano mnie zamordować, później skrępowanego wyrzucono na ten ląd razem ze sternikiem i jednym z podróżnych. Mniemaliśmy, że wyspa ta jest bezludna, że tu z głodu pomrzemy, a i teraz nie wiemy, jak się ratować.

— Gdzież są te łotry — spytałem oburzony.

— Zapewne śpią w lesie; byleby tylko nie usłyszeli naszej rozmowy, boby nas wszystkich wymordowali.

— Czy mają broń palną?

— Dwie tylko strzelby, trzecią zostawili w łodzi.

— W takim razie damy im rady, wierzcie mi! Mamy ich pozabijać śpiących, czy też skrępować i uwięzić? — Wtedy kapitan powiedział mi, że wśród zbuntowanych marynarzy jest dwóch przywódców, skończonych łotrów, z którymi należy postąpić jak najsurowiej. Reszta załogi powróci niechybnie dobrowolnie do posłuszeństwa, jeżeli hersztowie zostaną schwytani i ukarani. Na żądanie, aby mi tych hersztów wskazał, zauważył, że nie może tego uczynić z tak wielkiej odległości, że zresztą w zupełności zastosuje się do tego, co zarządzę. »A więc przedewszystkiem schroniwszy się do lasu« — rzekłem — »tam się naradzimy, zanim tamci się pobudzą« — i skryliśmy się wszyscy w gęstwinie.

Gdyśmy się wszyscy w gęstwinie ukryli — »Posłuchaj mnie, panie« — rzekłem — »sam widzisz, że dla uratowania was dobrowolnie narażam się na niebezpieczeństwo, w zamian jednak żądam od was obietnicy...« Uprzedzając myśl moją, zaczął mnie kapitan zapewniać, że w razie, gdyby mu się udało odzyskać okręt, odda go pod moje rozkazy i sam z towarzyszami dopomagać mi będzie we wszystkiem jak najgorliwiej. »Tyle nie wymagam« — odpowiedziałem — »musicie tylko przystać na dwa podane przezemnie warunki: pierwszy, że póki będziecie na tej wyspie, nie przywłaszczycie sobie władzy, nie uczynicie nic na moją szkodę, a powierzoną wam broń zwrócicie mi na żądanie; drugi, że w razie odzyskania okrętu, zabierzecie mnie i mojego towarzysza bezpłatnie do Anglii«. — Kapitan po wiele razy upewniał, że jak najchętniej spełni tak słuszne żądania, dodając przy tem, że na wieki wdzięczny mi pozostanie za tę pomoc niespodziewaną. »Dobrze« — odrzekłem. — »Macie więc oto trzy strzelby, proch i kule i powiedzcie, co zamierzacie czynić«. — Kapitan podziękował i odpowiedział, że poddają się wszyscy pod moje rozkazy. Na to odrzekłem, że najlepiejby było zaskoczyć śpiących znienacka i dać do nich ognia; kogo kula nie trafi, temu darujemy życie. Ale kapitan z wielkim

spokojem powtórzył, że przedewszystkiem pragnąłby uniknąć rozlewu krwi, uważa jednak za konieczność ubezwładnienie obydwóch hersztów. Jeśli tym łotrom uda się wymknąć, to sprowadzą całą załogę ze statku, a wtedy będzie już po nas! Poprosiłem tedy kapitana, aby z towarzyszami swymi zrobili to, co uznają za najwłaściwsze. Tymczasem usłyszeliśmy jakiś szmer. To zbuntowani marynarze pobudzili się; dwóch powstało z ziemi. »Czy to hersztowie?« — spytałem kapitana. — »O nie« — odpowiedział. — »W takim razie sama Opatrzność sen im przerwała; niechże zostaną przy życiu, ale sam sobie będziesz winien, jeżeli

»Błagali o darowanie im życia«.

hersztowie także przebudzą się i umkną«.—Wtedy zachęcony przezemnie pochwycił za strzelbę i pistolet i podążył wraz z towarzyszami ku śpiącym buntownikom. Jeden z nich obudził się i krzyczeć zaczął, budząc innych, ale w tejże chwili dwaj towarzysze kapitana dali ognia, mierząc w hersztów i obu trafili. Jeden z tych nędzników padł na miejscu, drugi był ciężko ranny. Kapitan pośpieszył ku niemu wołając, aby za grzechy żałował i Bogu duszę polecił, ale ten już przemówić nie mógł i skonał po kilku minutach. Pozostali widząc, że nas jest więcej, poddali się bez oporu, błagając o darowanie im życia, na co kapitan przystał pod warunkiem, że przyrzekną poprawę i pomogą mu do odzyskania władzy na statku. Godząc się na to, kazałem ich tylko powiązać i trzymać w pętach, dopóki pozostaną na wyspie. Tymczasem

Piętaszek ze sternikiem okrętowym pośpieszyli do łodzi, by pozabierać żagle i wiosła. Słysząc strzały, nadeszła wkrótce reszta zbuntowanych marynarzy. Widząc, co się stało, poddali się bez oporu i dali się powiązać. Tak więc zwycięztwo nasze było zupełne.

ROZDZIAŁ XXII.

Pokonanie buntowników. — Odzyskanie okrętu.

Dopiero teraz można sobie było opowiedzieć wzajemne nasze przygody. Ja zacząłem pierwszy. Kapitan nie mógł wyjść z podziwu, słysząc, jak cudownie zostałem ocalony, jak utrzymałem się przez lat tyle na tej samotnej wyspie, zdobywając sobie stopniowo wszystko, co jest potrzebne do życia. Wzruszył się też niezmiernie myślą, że Bóg trzymał mię tu, jakby umyślnie na to, by jego wybawić. Następnie zaprosiłem gości do swego mieszkania. Zastawiłem przed nimi, co miałem najlepszego w domu. Posiliwszy się, zaczęli zwiedzać moje schronienie, przypatrując się wszystkiemu z wielką ciekawością. Kapitan podziwiał zwłaszcza obwarowanie mej zagrody i doskonałe zasłonięcie jej przed wzrokiem ludzkim. Rzeczywiście las, sadzony przezemnie przed dwudziestu laty, doszedł już olbrzymich rozmiarów, bo drzewa rosną tu daleko prędzej, niż w Europie. Niepodobieństwem prawie było przedrzeć się do mego mieszkania temu, kto nie znał zostawionej umyślnie krętej ścieżyny. Pochwaliłem się też przed swoimi gośćmi, że posiadam jeszcze piękną letnią siedzibę na tej wyspie i obiecałem pokazać im ją później, bo teraz przedewszystkiem trzeba było opanować okręt, stojący na kotwicy. Kapitan wyznał, że nie wie, jak się do tego zabrać, ostrzegł mię, że nie łatwa to będzie sprawa, bo dwudziestu sześciu ludzi z załogi zostało jeszcze na statku. Dodał, że będą się oni zapewne bronić do upadłego wiedząc, że buntujący się przeciw swemu kapitanowi karani są podług praw angielskich bardzo ciężko. Rzeczywiście sprawa była niebezpieczna, ale w każdym razie trzeba było coś szybko postanowić. Przekonany byłem, że pozostali na statku buntownicy, nie doczekawszy się powrotu swych towarzyszów, wyślą po nich drugą łódź. Można się więc było obawiać, że przybywszy w większej liczbie i lepiej uzbrojeni, z łatwością nas pokonają. Otóż przyszło mi na myśl, że przedewszystkiem trzeba pierwszą ich łódź uczynić niezdatną do użytku, aby z niej nie mogli korzystać. Pobiegliśmy wszycy na wybrzeże, zabraliśmy z niej broń, dwie flaszki wódki i rumu, trochę sucharów, róg prochu i kilka funtów cukru.

Z cukru ucieszyłem się niezmiernie, bom go już przez dwadzieścia siedem lat nie kosztował. Opróżniwszy łódź, zabraliśmy ster i przewierciliśmy w dnie wielką dziurę tak, że teraz już nie można było tak prędko spuścić jej na wodę. Miałem bowiem to na myśli, że później będziemy mogli sami skorzystać z tej łodzi i naprawiwszy ją, odpłyniemy na niej ku brzegom Ameryki, zabierając po drodze naszych Hiszpanów, o których nie zapominałem ani na chwilę, bo prawie nie miałem nadziei, żebyśmy okręt opanować mogli. Tymczasem na okręcie zaniepokojono się widocznie, bo usłyszeliśmy strzał sygnałowy, wzywający łódź do powrotu. Gdy to wezwanie okazało się bezskuteczne, powtórzono wystrzały kilkakrotnie. Spojrzałem przez lunetę w stronę okrętu i zobaczyłem najwyraźniej, że spuszczają z niego drugą łódź. Płynęła ona szybko i wkrótce rozpoznać można było dziesięciu ludzi, uzbrojonych w broń palną, wysłanych widocznie na pomoc pierwszym. Łódź płynąć musiała wzdłuż wybrzeża, aby wylądować w tem samem miejscu, co pierwsza. Mieliśmy więc czas przypatrzyć się im dokładnie. Kapitan, który znał ich wszystkich, objaśnił mię, że są to ludzie najgorsi z całej załogi, a najgorszy miał być starszy majtek, kierujący łodzią. Dodał jednak, że dostrzega tam trzech poczciwych chłopaków, wciągniętych do buntu wbrew własnej woli i że tych chciałby oszczędzić. »Nie traćmy nadziei« — rzekłem. »Cóż gorszego spotkać nas może od tego, cośmy już przeszli! Nie powinniśmy się lękać niczego. Co do mnie, żałuję tylko, że między tych łotrów wmięszało się kilku uczciwych. Inaczej moglibyśmy łatwo wystrzelać wszystkich w chwili, gdy na ląd będą wysiadać«. — Słowa te dodały kapitanowi otuchy; z całym już spokojem oczekiwaliśmy przebiegu wypadków.

Przedtem jeszcze, skorośmy tylko spostrzegli, że z okrętu drugą łódź spuszczono, rozdzieliliśmy naszych jeńców na dwie gromady, zamknąwszy każdą z osobna. Dwóch z nich, którym kapitan nie dowierzał, zaprowadził Piętaszek do mojej leśnej groty i zostawił ich tam związanych. Obiecałem im, że, jeśli się zachowają spokojnie, wypuszczę ich po kilku dniach na wolność. Zagroziłem im jednak, że w razie najmniejszego usiłowania ucieczki z ich strony, pozabijamy ich bez litości. Nie stawiali wcale oporu, a nawet dziękowali za dostarczenie im światła i żywności. Zachowali się spokojnie, przypuszczając, że Piętaszek stoi na straży u wejścia do jaskini. Z czterech pozostałych zostawiliśmy dwóch podejrzanych w więzach, aleśmy ich nie zamykali, zaś dwóch wzięliśmy z sobą tak, że było nas już teraz siedmiu ludzi dobrze uzbrojonych i gotowych do walki.

Tymczasem łódź nadpłynęła i buntownicy przybili do brzegu w tem samem miejscu, co pierwsi; wyskoczywszy, wyciągnęli łódź na brzeg.

Ucieszyło nas to bardzo, bośmy się obawiali, by jej nie zostawili na kotwicy w niejakiej odległości od brzegu; nie moglibyśmy w takim razie jej opanować. Pobiegli zaraz do pierwszej łodzi i niesłychanie się zdziwili i zmięszali, ujrzawszy ją przedziurawioną i ogołoconą ze wszystkiego. Po krótkiej naradzie krzyknęli trzykrotnie. Gdy to pozostało bez odpowiedzi, sformowali się w krąg i dali jednocześnie ognia. Odgłos wystrzałów rozległ się daleko po lesie. Oczywiście na nic się to nie przydało, bo zamknięci w leśnej grocie majtkowie nie mogli ich nawet słyszeć, ci zaś, co byli z nami, wprawdzie słyszeli, ale odpowiedzieć nie mogli. Zdziwieni i przestraszeni powrócili do łodzi i zepchnęli ją na morze. Zamierzali, jakeśmy się później dowiedzieli, powrócić na pokład i uwiadomić pozostałą załogę, że majtkowie wymordowani, a łódź zepsuta. Kapitan, widząc, co się dzieje, przestraszył się, przypuszczając, że skoro tylko łódź do statku powróci, zaraz dalej popłyną. Odbierało mu to nadzieję odzyskania statku. Wkrótce jednak marynarze widocznie zmienili zamiar, wrócili i wysiedli, a zostawiwszy trzech ludzi dla pilnowania łodzi, sami puścili się w głąb lądu dla odszukania swoich kolegów. I to nam było nie na rękę, bo chociaż łatwo mogliśmy pokonać siedmiu ludzi, co na brzeg wysiedli, to jednak przejmowała nas obawa, że trzej pozostali na pierwszy odgłos walki umkną na statek z łodzią, opodal od brzegu na kotwicy stojącą, i natychmiast z pozostałą załogą odpłyną, odejmując nam w ten sposób możność wydostania się z wyspy.

Nie wiedząc, co począć, staliśmy bezczynnie, oczekując dalszego przebiegu wypadków i śledząc buntowników. Wstąpili oni na pagórek, wznoszący się nad moją zagrodą, zkąd był rozległy widok na wyspę, zaczęli krzyczeć i wołać na swych towarzyszów. Wkońcu, zmęczeni i schrypnięci, usiedli i widocznie się naradzali. Najkorzystniej byłoby dla nas, gdyby pozasypiali, tak samo, jak pierwsi, ale widocznie zanadto byli stroskani. Kapitan mniemał, że będą oni jeszcze raz strzelać, aby dać znać o sobie towarzyszom i radził rzucić się na nich, zanim zdołają nabić broń na nowo, i bez rozlewu krwi ich powiązać. Mnie jednak zdawało się, że nie należy ich zaczepiać przed nocą. Za ważniejszą rzecz uważałem zwabienie na brzeg tych, co pilnowali łodzi, i opanowanie jej. Tymczasem marynarze ukończywszy naradę, podnieśli się z ziemi i zaczęli iść ku wybrzeżu. Widocznie przerażeni tajemniczem zniknięciem swych towarzyszów, zamierzali powrócić na pokład okrętu, nie troszcząc się o zaginionych. Na to nie mogliśmy pozwolić i postanowiliśmy użyć wybiegu dla zatrzymania ich na wyspie, a mianowicie sternik i Piętaszek mieli podążyć za odchodzącymi, tak jednak, aby ich nie spostrzeżono, a ukrywszy się w zaroślach, hukać i nawoływać, udając zabłąkanych majtków. W razie, gdyby

to poskutkowało, to jest, gdyby marynarze zaczęli im odpowiadać, mieli cofać się zwolna, odzywając się kiedy niekiedy, aby pociągnąć w ten sposób buntowników w głąb wyspy i w lasy. Plan ten został dokładnie wykonany. W chwili wsiadania do łodzi usłyszeli marynarze nawoływania Piętaszka i sternika i dali się oszukać. Wyskoczywszy więc natychmiast z łodzi, zaczęli biedz w kierunku głosów i przybiegli nad brzeg morskiej zatoki, gdzie ich umyślnie zwabiono. Tu zatrzymali się, a słysząc nawoływania z przeciwnego brzegu, zawezwali pozostałych z łodzią, aby ich przewieźli na drugą stronę. Tak się też stało. Wysiadłszy znów na ląd, przywiązali łódź do nadbrzeżnego drzewa, a uważając, że tu jej będzie bezpiecznie, dwóch tylko ludzi zostawili na straży, trzeciego zaś zabrali z sobą, aby im pomagał w poszukiwaniach. Tego nam właśnie było trzeba. Przeczekaliśmy chwilę, a gdy łudzeni przez Piętaszka i sternika marynarze oddalili się już znacznie od brzegu, wpadliśmy znienacka na łódź. Jeden z majtków usnął był na piasku, drugi siedział w łodzi. Pierwszego zaskoczyliśmy, zanim się obudził i związaliśmy go natychmiast, drugiego wezwał kapitan do poddania się, grożąc mu śmiercią w razie nieposłuszeństwa. Usłuchał bez oporu widząc, że ma pięciu ludzi przeciw sobie i że towarzysz jego jest już związany. Zresztą pokazało się później, że był to właśnie jeden z tych trzech, co z musu tylko należeli do buntu, to też nie tylko poddał się, ale nawet przeszedł na naszą stronę. Tymczasem Piętaszek wraz ze sternikiem doskonale wywiązali się ze swego zadania. Wodzili oni oszukanych marynarzy z miejsca na miejsce, aż znużyli ich do ostatka i odciągnęli tak daleko od brzegu, iż można było ręczyć, że przed północą nie dostaną się do swej łodzi. Wtedy dopiero powrócili do nas także bardzo pomęczeni. W kilka godzin po powrocie Piętaszka usłyszeliśmy głosy powracających na wybrzeże. Wlekli się oni pomału, uskarżając się na zmęczenie, a gdy doszli wreszcie do łodzi, osłupieli, zobaczywszy ją pustą na piasku i nie zastawszy zostawionych na straży towarzyszów. Słyszeliśmy, jak lamentowali utrzymując, że wyspa musi być zaczarowana, to znów, jak przypuszczali, że jest zamieszkała przez dzikich, albo przez duchy złośliwe, które chcą ich wygubić. Wołali po imieniu nieobecnych towarzyszów, biegali bezradnie wokoło, załamując rozpaczliwie ręce, wsiadali do łodzi, to znów na brzeg wybiegali. Słowem, nie wiedzieli, co począć. Moi ludzie, korzystając z ciemności, mieli już wielką ochotę rzucić się na nich, ale ja nie pozwoliłem, chcąc o ile możności uniknąć krwi rozlewu, a chodziło mi też o to, aby żadnego z naszych nie stracić, bo przecie tamci byli dobrze uzbrojeni. Wolałem poczekać, aż podzielą się na mniejsze jeszcze gromadki. Zbliżaliśmy się tylko do nich po cichutku, a kapitan i Piętaszek popełzli na czworakach

pod samo ich stanowisko. Wtem trzech ludzi odłączyło się od reszty i, oczywiście nie spodziewając się zasadzki, zbliżyli się do miejsca, gdzie się zaczaili kapitan z Piętaszkiem. Pomiędzy tymi trzema znajdował się ów starszy majtek, główny podżegacz buntu, najgorszy z całej załogi, przyczyna całego nieszczęścia. Gdy go kapitan poznał, nie mógł dłużej zapanować nad sobą i zerwawszy się, strzelił do niego. Ten przeszyty kulą padł na miejscu, drugi został ciężko raniony przez Piętaszka, trzeci ratował się ucieczką. Skoro tylko strzały padły, wysunąłem się na przód i stanąłem na czele naszego wojska. Składało się ono z ośmiu ludzi. Tak było ciemno, że przeciwnicy nasi widzieć nas nie mogli, ani też policzyć, ilu nas było na prawdę. Korzystając z tego, poleciłem jednemu z tych, co przeszli na naszą stronę, aby przemówił do swych kolegów, zachęcając ich do poddania się. Usłuchał i zaczął wołać:

— Tomaszu! Tomaszu!

— Czy to ty Jakóbie? — odpowiedział głos jakiś.

— Tak, to ja, to ja, Tomaszu! poddajcie się na miłość Boską, poddajcie się! bo jak się nie poddacie, to za chwilę wszyscy poginiecie!

— Komu mamy się poddawać? cóż to za ludzie? — zapytał Tomasz.

— Są tutaj! jest ich pięćdziesięciu pod komendą naszego kapitana, od dwóch godzin już was ścigają. Poddajcie się! niema rady, inaczej wszyscy zginiecie!

— Poddamy się, jeśli nam przyrzekną ułaskawienie.

— Spytam o to zaraz kapitana — odrzekł Jakób. — Wtedy odezwał się groźnie sam kapitan:

— Znasz przecie mój głos, Tomaszu! Jeżeli się poddacie i w tej chwili broń złożycie, to życie będziecie mieć darowane wszyscy, prócz Wilhelma Atkinsa!

— Na Boga, kapitanie — zawołał ów Atkins — darujcie i mnie. W czemże jestem gorszy od innych? Ja także tylko to robiłem, co i inni!

Człowiek ten nie mówił prawdy, bo gdy bunt wybuchnął, on pierwszy rzucił się na kapitana, związał go i obsypał obelgami. Kapitan więc odpowiedział mu, że gdyby chciał nawet przebaczyć, nie może, bo sądzić będzie gubernator tej wyspy; tak mnie nazwał. Ostatecznie wszyscy broń złożyli, prosząc o darowanie życia. Posłałem do nich trzech ze swych ludzi, aby ich powiązali, poczem dopiero pomaszerowało całe wojsko moje, opanowało łódź i zabrało więźniów. Sam trzymałem się na uboczu, mając uchodzić za gubernatora wyspy. Kapitan przemówił do buntowników, wykazując im całą niegodziwość ich postępowania i dowodząc, że skończą z pewnością na szubienicy,

jeśli się nie poprawią. Wszyscy zdawali się być skruszeni i prosili tylko o życie. Wtedy kapitan mówił dalej: »Wyrzuciliście mnie na tę wyspę myśląc, że jest pusta i bezludna; sądziliście, że zginę tu z rozpaczy i głodu. Tymczasem inaczej podobało się Bogu. Wyspa nie tylko nie jest bezludna, ale zostaje nawet pod władzą angielskiego gubernatora, który ma prawo wszystkich was wywieszać. Uzyskałem jednak dla was przebaczenie. Odeślą was zapewne do Anglii, gdzie sądzić was będą według praw tamtejszych. Jeden tylko Wilhelm Atkins musi zginąć. Niech się gotuje na śmierć, bo na rozkaz gubernatora będzie jutro powieszony«.—Były to wprawdzie wymysły kapitana, ale przemowa odniosła pożądany skutek. Do Anglii wracać nie chcieli, wiedząc, jak surowo tam karzą takich, jak oni, przestępców, zaś Wilhem Atkins padł na kolana i rozpaczliwie błagał o przebaczenie.

»Około północy zbliżyli się do statku« (str. 174).

Czułem, że chwila jest stanowcza, że więc należy z niej korzystać i namówić naszych więźniów, aby nam dopomogli do odzyskania okrętu. Usunąłem się nieco na bok, aby nie dostrzeżono, jak nędznie wygląda mniemany gubernator, i wysłałem jednego z ludzi do kapitana, żądając niby, aby się stawił przedemną. Kapitan odrzekł bardzo głośno: »Powiedz Jego Ekscelencyi Gubernatorowi, że natychmiast przybędę«.

W ten sposób wmówiliśmy w pojmanych, że gubernator wyspy znajduje się w pobliżu na czele zbrojnego oddziału, składającego się z pięćdziesięciu ludzi. Kiedy kapitan nadszedł, opowiedziałem mu, w jaki sposób zamierzałem opanować okręt. Przystał na mój plan i postanowiliśmy wykonać go nazajutrz. Atkinsa i dwóch jeszcze najzuchwalszych mieliśmy zamknąć w leśnej grocie, utrzymując ich w przekonaniu, że to jest miejscowe więzienie. Zaprowadzili ich tam Piętaszek i jeden z towarzyszów kapitana. Resztę ludzi umieściliśmy w letniej mojej siedzibie, a że byli powiązani, ogrodzenie zaś było wysokie, mogliśmy być spokojni, że się ztamtąd nie wymkną. Na drugi dzień udał się do nich kapitan, chcąc wybadać, czy można będzie użyć ich do pomocy w opanowaniu okrętu. Miał znów do nich długą przemowę, przedstawiając, jak za złe czyny zwykle kara ludzi spotyka, czego dowodem teraźniejsze ich położenie. »Chcieliście zgubić niewinnego człowieka, który was w niczem nie skrzywdził, a teraz sami blizcy jesteście zguby, bo chociaż gubernator na razie darował wam życie, ale niezawodnie odeśle was w kajdanach do Anglii, gdzie sądy surowo się z wami obejdą. Zresztą — dodał w końcu — jest dla was jeszcze ratunek. Oto, jeżeli dobrowolnie dopomożecie do zdobycia zbuntowanego okrętu, to może was gubernator zupełnie ułaskawi«. — Warunek ten przyjęli więźniowie z największą radością. Upadli na kolana i przysięgając zapewniali, że jeśli ich kapitan uratuje, to do końca życia pozostaną mu wierni, pójdą za nim na kraj świata i uważać go będą za rodzonego ojca. »Dobrze« — rzekł kapitan — »pójdę do gubernatora, opowiem mu to i starać się będę o wasze ułaskawienie«. I rzeczywiście powtórzył mi rozmowę swoją z więźniami, dodając od siebie, że w tym razie wierzy w ich szczerość i sądzi, że można będzie polegać na ich obietnicach. Dla lepszego jednak zabezpieczenia się poleciłem kapitanowi, aby powrócił raz jeszcze do więźniów i oświadczył im, że gubernator pozwala wprawdzie, aby pięciu z nich wzięło udział w wyprawie na okręt, ale że powinni uważać to za dowód wielkiej łaskawości, bo bez tej pomocy łatwo się można obejść; po drugie, że zatrzymuje resztę ich towarzyszów jako zakładników. W razie, gdyby który z tych, co pójdą z nami, dopuścił się najmniejszej zdrady, tamci będą natychmiast powieszeni. Zgodzono się na wszystko. Zatem do działania było dwunastu ludzi razem z kapitanem i pod jego komendą, bo ja i Piętaszek wcale nie mieliśmy brać udziału w wyprawie. Nie mogliśmy opuszczać wyspy. Mając obowiązek czuwania nad siedmiu uwięzionymi i dostarczania im żywności, aż nadto byliśmy zatrudnieni. Dwóch zakładników trzymaliśmy na wolnej stopie. Kapitan przedstawił im mnie jako zastępcę gubernatora, polecając, aby słuchali mnie we wszystkiem i kroku nie czynili bez mego pozwolenia. Tak więc

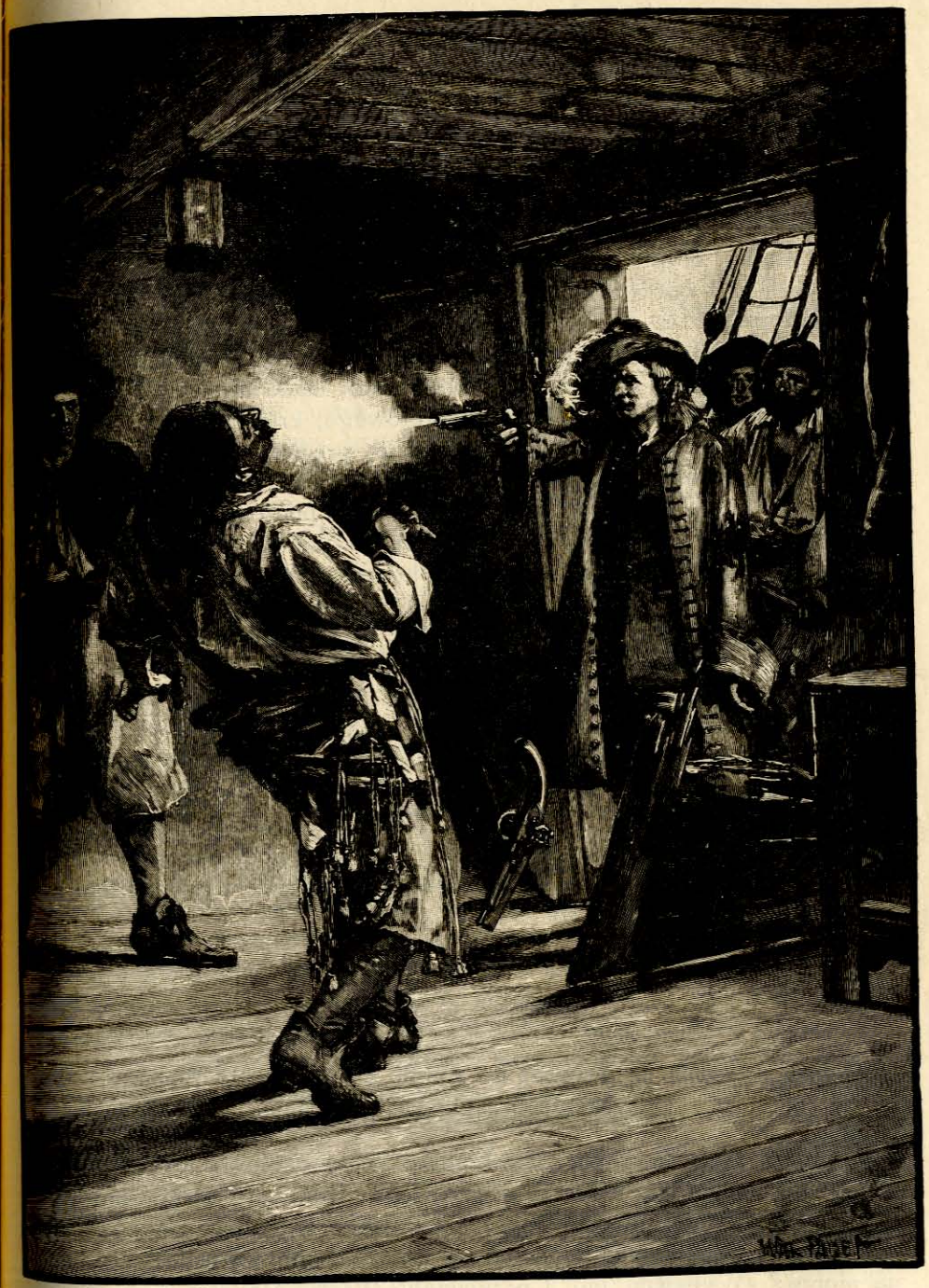

»Zabił na miejscu buntowniczego kapitana« (str. 174).

uchodziłem w ich oczach za pomocnika gubernatora, a dla utrzymania ich w tem złudzeniu, mówiłem często o wojsku, o zamku i o surowości gubernatora.

Kapitan miał dwie łodzie do rozporządzenia, bo przedziurawioną już naprawiono. Do jednej z nich wsadził czterech marynarzy i podróżnego, mianując go dowódzcą. Do drugiej wsiadł sam ze swoim sternikiem i pięciu marynarzami. Było już około północy, kiedy zbliżyli się do statku. Kapitan rozkazał jednemu z marynarzy, wspomnianemu Jakóbowi, aby odezwał się do majtków na pokładzie. Tak też uczynił opowiadając, ile trudów kosztowało ich odnalezienie kolegów, słowem, zabałamucał ludzi rozmową, dopóki łódź nie dobiła do statku. Kapitan i sternik wskoczyli pierwsi na pokład i dali hasło do walki, zabiwszy kolbami drugiego sternika i cieślę okrętowego, którzy im opór stawiali. Reszta majtków na pokładzie poddała się prędko, zaskoczona niespodziewanym napadem. Zatrzaśnięto drzwi na pokładzie, zamykając tym sposobem ludzi, co byli wewnątrz statku, poczem kapitan polecił sternikowi, aby, wziąwszy trzech ludzi do pomocy, wyszukał samozwańczego kapitana, obranego przez buntowników. Pokazało się, że ten na pierwszy odgłos walki uciekł i zatarasował się w swojej kajucie. Gdy ludzie sternika wysadzili drzwi, samozwańczy kapitan wystrzałem z pistoletu strzaskał ramię sternika, ten jednak nie zważając na ciężką ranę, wtargnął do kajuty i zabił buntownika na miejscu. Po śmierci dowódcy nikt już nie stawiał oporu i okręt został ostatecznie odzyskany bez żadnej już dalszej ofiary. Wtedy kapitan kazał siedem razy z działa wystrzelić na umówiony znak zwycięztwa. Była to druga godzina po północy. Nie spałem, oczekując z bijącem sercem umówionych strzałów. Gdym je usłyszał, podziękowałem Bogu z głębi duszy, potem, czując się niezmiernie strudzony, rzuciłem się na posłanie i za chwilkę spałem jak zabity.

ROZDZIAŁ XXIII.

Odjazd z wyspy. — Powrót do Anglii. — Podróż do Lizbony. — Odzyskanie brazylijskiej plantacyi.

Zbudził mnie wystrzał karabinowy. Zerwałem się i wybiegłem z mieszkania, bo usłyszałem głos jakiś, wołający: »Gubernatorze! Gubernatorze!« Podniosłem oczy i ujrzałem kapitana, stojącego na pagórku. Pobiegłem ku niemu, on zaś uścisnął mnie i zawołał, ukazując na morze: »Wybawco mój i przyjacielu! Patrz, oto stoi nasz okręt, jest na twoje usługi wraz ze mną i ze wszystkiem, co zawiera!«

Spojrzałem we wskazanym kierunku i ujrzałem okręt o jakie pół mili od brzegu. Opowiedział mi kapitan, że zaraz po skończonej walce kazał podnieść kotwicę i korzystając z pięknej pogody, przybliżył się do brzegu, potem wsiadł sam do łodzi i wylądował w czasie przypływu w tem samem miejscu, gdzie przybijałem niegdyś ze swoją tratwą, to jest prawie u progu mego mieszkania.

Na myśl, że nadeszła wreszcie dla mnie chwila wybawienia i skończyło się tyloletnie wygnanie, ogarnęło mnie wielkie wzruszenie. Omal nie zemdlałem z nadmiaru radości. Zachwiałem się na nogach i byłbym z pewnością upadł, gdyby mię kapitan silnem ramieniem nie podtrzymał. Widząc, w jakim się stanie znajduję, wyjął on z kieszeni trzeźwiące krople i wlał mi ich kilka do ust. Zrobiło mi się lepiej, ale nie mogąc ustać o własnych siłach, usiadłem na ziemi i przez długi czas słowa przemówić nie mogłem. Poczciwy kapitan uspakajał mnie serdecznemi słowy, nic to jednak nie pomagało. Tak olbrzymia radość rozpierała mi piersi, że prawie odchodziłem od przytomności, aż dopiero obfite łzy przyniosły mi ulgę. Wtedy rzuciłem się w objęcia swego wybawcy, powtarzając po wiele razy, że uważam go za człowieka zesłanego z Nieba na mój ratunek. »Przyjacielu!« — wołałem — »całe nasze spotkanie i wspólne przygody, wydają mi się w tej chwili szeregiem istnych cudów i nowym dowodem wszechmocy i dobroci Opatrzności, której dłoń kieruje wszystkimi wypadkami tego świata, a oko sięga w najtajniejsze zakątki«. Poczem gorącą modlitwą podziękowałem Bogu za cudowną opiekę, jakiej doznawałem przez lat tyle, żyjąc samotny na wyspie, i za to cudowne obecne wybawienie.

Gdyśmy się już dowoli nagadali i nacieszyli, kazał kapitan wynieść na ląd przywiezione mi w darze zapasy. Wniesiono więc do mego mieszkania ogromne paki z rozmaitą żywnością. I tak, były tam kosze z wódką, winem i sześć butelek doskonałego wina madery, następnie dwa funty wyborowego tytoniu, dużo solonej wołowiny i wieprzowiny, wór grochu i przeszło centnar sucharów okrętowych. Prócz tego, przyniesiono mi jeszcze cukru, mąki, cytryn, soku cytrynowego i mnóstwo innych rzeczy tak, jak gdybym miał długo jeszcze na wyspie przebywać. Ale z tego wszystkiego najmocniej się ucieszyłem ofiarowaną mi odzieżą. Dał mi bowiem kapitan sześć koszul, tyleż chustek na szyję, parę trzewików, kapelusz i całkowite własne, prawie zupełnie nowe, ubranie. Przywdziałem je natychmiast, ciesząc się jak dziecko, chociaż muszę się przyznać, że było mi w niem z początku trochę niewygodnie. Musiałem się na nowo przyzwyczajać do europejskiej odzieży.

Złożywszy kapitanowi serdeczne podziękowanie za otrzymane dary, zacząłem się z nim naradzać nad losem naszych jeńców. Dwóch z pomiędzy nich uważał kapitan za niepoprawnych i niebezpiecznych łotrów

twierdząc, że nawet najlepsze obchodzenie się z nimi, nie doprowadziłoby ich do opamiętania. Nie miał też ochoty zabierać ich na okręt, bo musiałby chyba zakuć ich w kajdany i strzedz pilnie przez całą drogę, a następnie oddać pod sąd w którejkolwiek angielskiej kolonii. »A więc drogi przyjacielu« — rzekłem — »zostaw już mnie tę sprawę. Rozmówię się z nimi i tak ich usposobię, że sami prosić będą o pozwolenie zostania na wyspie«. »Bardzoby mi to było na rękę« — odparł kapitan. Poleciłem tedy Piętaszkowi i dwom, obecnie już uwolnionym zakładnikom, aby przyprowadzili do letniej mojej zagrody pięciu spętanych więźniów, zamkniętych w leśnej jaskini. Gdy przybyli, udałem się do nich w towarzystwie kapitana, a przybrany w nową odzież, ukazałem się im jako gubernator wyspy. »Słuchajcie!« — rzekłem — »znane mi są nikczemne i zbrodnicze wasze postępki, wiem, żeście zdradziecko wydarli okręt kapitanowi i zamierzali prowadzić życie rozbójnicze. Nie powiodło się wam i wpadliście we własne sidła. Na mój rozkaz zdobyto okręt, aby go zwrócić prawemu właścicielowi. Samozwańczy kapitan zawiśnie na głównej rei. I wy nie zasłużyliście na lepszy los. Gdybym chciał sądzić podług prawa, powinienbym skazać was na śmierć jako rozbójników morskich, schwytanych z bronią w ręku. Czy możecie co powiedzieć na swoją obronę?« Na to jeden z nich odpowiedział w imieniu wszystkich, że przyznają się do winy, lecz ponieważ kapitan biorąc ich w niewolę przyrzekł im darować życie, przeto odwołują się do łaski i proszą o dotrzymanie przyrzeczenia. »Prawda« — odrzekłem im na to — »że w obrębie tej wyspy mam prawo zarówno skazać was na śmierć, jak też i ułaskawić. Muszę wam jednak oznajmić, że odjeżdżam wraz z kapitanem do Anglii, a na pokładzie jego statku kończy się moja władza. Jeżeli kapitan zabierze was na statek, będzie musiał wieźć was w kajdanach i oddać sądom angielskim, a wtedy czeka was napewno szubienica. Ponieważ jednak przyrzekłem kapitanowi, że daruję wam życie, pragnąłbym to zrobić w istocie, ale w takim razie musicie chyba pozostać na wyspie, której jestem gubernatorem, bu tu jedynie mam władzę was ułaskawić. Myśl tę przyjęli z radością oświadczając, ze wolą oczywiście pozostać na wyspie, niż powracać do Anglii, gdzie ich tak surowa czeka kara. Po krótkiej rozmowie z kapitanem kazałem jeńców z więzów uwolnić i odesłałem ich do leśnej jaskini, obiecując dostarczyć im broni i nabojów i udzielić wskazówek, jak mają postępować, aby zapewnić sobie utrzymanie.

Kapitan chciał już odjeżdżać i mnie z sobą zabrać, ale ja wolałem tę ostatnią noc spędzić jeszcze na wyspie. Prosiłem go więc, aby sam zajął się przygotowaniem do podróży i nazajutrz dopiero po mnie łódź przysłał. Przypomniałem mu także, żeby kazał powiesić na rei trupa

samozwańczego kapitana, a to dla postrachu i dla utrzymania w karności pozostawionych na wyspie marynarzy.

Gdy odpłynął, kazałem raz jeszcze przyprowadzić przed siebie naszych jeńców i rozmawiałem z nimi o ich położeniu, chwaliłem ich zamiar pozostania na wyspie, gdyż niezawodnie dostaliby się na szubienicę, gdyby ich kapitan z sobą zabrał. Za chwilę ukazałem im trupa buntowniczego kapitana, kołyszącego się na głównej rei i jeszcze raz pogroziłem, że czekał ich z pewnością los podobny, gdyby powrócili do Anglii. Oświadczyli jeszcze raz wszyscy,

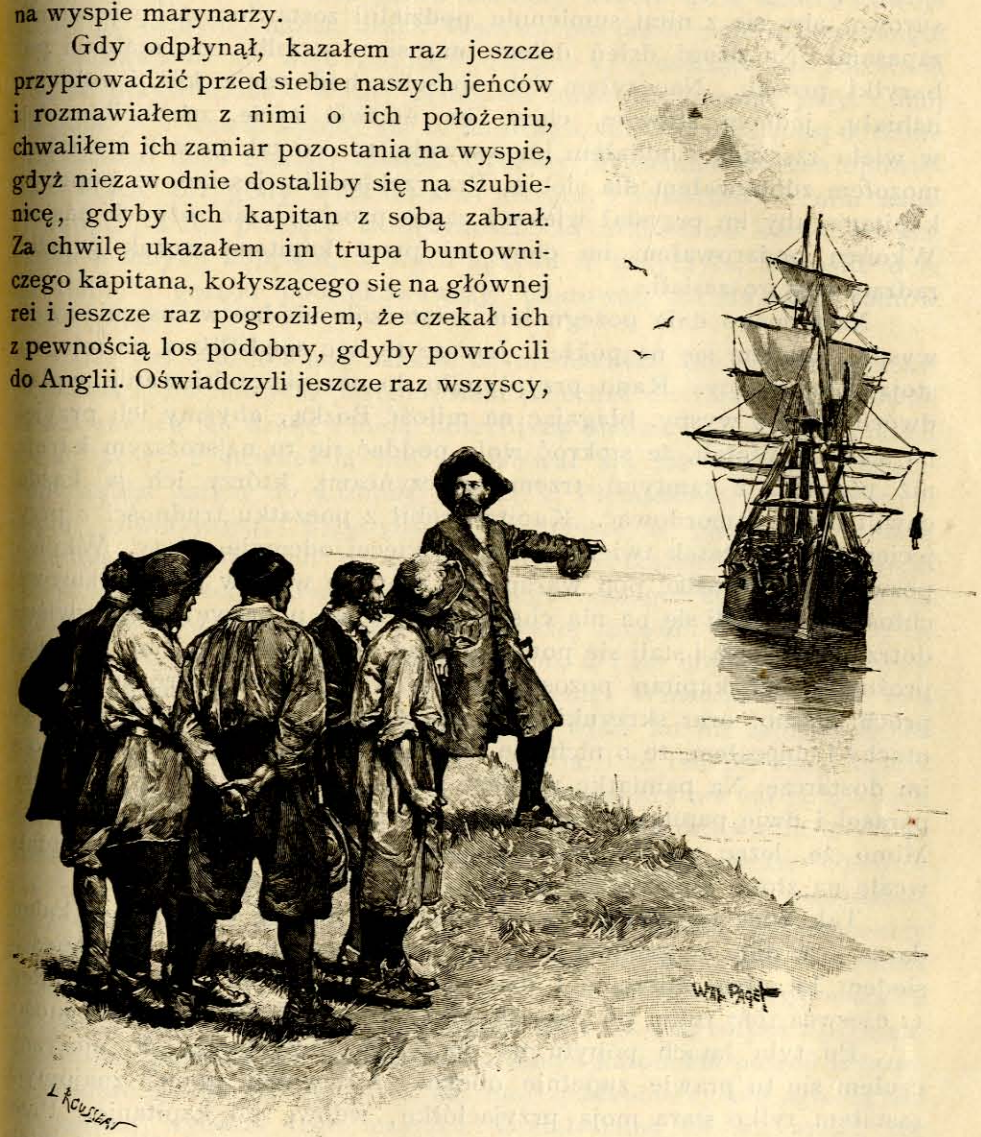

»Ukazałem im trupa samozwańczego kapitana, kołyszącego się na głównej rei«.

że z radością pozostaną na wyspie. Wtedy opowiedziałem im szczegóły swojego tu pobytu, pokazałem moje zabudowania i obwarowane mieszkanie, moje pola i winnice, wkońcu pouczyłem jeszcze, jak mają

postępować, ażeby sobie zapewnić żywność. Zapowiedziałem im także blizkie przybycie Hiszpanów, do których zostawiłem listy i poleciłem surowo, aby się z nimi sumiennie podzielili zostawionymi przezemnie zapasami. Na drugi dzień dałem im osiem strzelb, trzy szable i pół baryłki prochu. Nauczyłem ich sposobu hodowania kóz i robienia nabiału, jednem słowem, chcąc im ułatwić życie, oświeciłem ich w wielu rzeczach i oddałem im wszystko to, co tak powoli i z takim mozołem zdobywałem dla siebie. Przyrzekłem im jeszcze, że poproszę kapitana, aby im przysłał większy zapas prochu, oraz różnych nasion. Wkońcu podarowałem im dany mi przez kapitana worek grochu, radząc, aby go zasiali.

Następnego dnia pożegnałem ostatecznie nie bez wzruszenia swoją wyspę i udałem się na pokład. Jeszcze tę noc spędziliśmy na miejscu, stojąc na kotwicy. Rano przypłynęło do nas niespodziewanie wpław dwóch ludzi z wyspy, błagając na miłość Bozką, abyśmy ich przyjęli na statek. Wołali, że stokroć wolą poddać się tu najsroższym karom, niż pozostać z tamtymi trzema złoczyńcami, którzy ich w każdej chwili mogą zamordować. Kapitan robił z początku trudności z przyjęciem ich na statek twierdząc, że to więcej odemnie zależy. Wkońcu pozwolił im pozostać pod warunkiem, aby się wpierw poddali surowej chłoście. Zgodzili się na nią chętnie, obiecując poprawę, i rzeczywiście dotrzymali słowa i stali się potem bardzo porządnymi ludźmi. Na moją prośbę posłał kapitan pozostałym na wyspie jeszcze różne zapasy, proch, ziarno, oraz skrzynki z ich ubraniem. Jeszcze raz dodałem im otuchy i obiecałem, że o nich nie zapomnę i, o ile będę mógł, pomocy im dostarczę. Na pamiątkę wziąłem z sobą czapkę swą z koziej skóry, parasol i dwie papugi. Oczywiście nie zapomniałem i o pieniądzach. Mimo że, leżąc tak długo, zaśniedziały straszliwie i nie wyglądały wcale na złoto, wiedziałem, że przydadzą mi się teraz.

Tak więc opuściłem swoją wyspę — według okrętowego kalendarza — w dniu 19 grudnia 1686 roku, przebywszy na niej dwadzieścia siedem lat, dwa miesiące i dziewiętnaście dni. W Anglii stanąłem 11 czerwca 1687 roku, po przeszło trzydziestopięcioletniej nieobecności.

Po tylu latach pobytu na obczyźnie, przybywszy do ojczyzny, czułem się tu prawie zupełnie obcym. Z dawnych swoich znajomych zastałem tylko starą moją przyjaciółkę, wdowę po kapitanie. Przez ten czas wyszła ona była po raz drugi za mąż, znowu owdowiała i znajdowała się teraz w wielkim niedostatku. Biedna kobieta martwiła się bardzo, że nie może mi zwrócić zostawionych u niej przed laty pieniędzy. Prosiłem ją, żeby się o to nie troszczyła i wsparłem ją według możności. Narazie niewiele mogłem dla niej uczynić, później jednak, gdym się stał majętnym człowiekiem, wydobyłem ją z niedostatku.

Udawszy się w rodzinne strony dowiedziałem się, że rodzice moi dawno już pomarli, z rodzeństwa zaś żyły jeszcze dwie siostry i dwoje dzieci po jednym z moich braci. Wszyscy oni mieli mnie za straconego. Nie zostawiono mi więc żadnego udziału w spuściźnie po rodzicach tak, że przywiezione z wyspy pieniądze stanowiły obecnie jedyny mój majątek. Nie wystarczyłoby mi to na długo, ale zupełnie niespodzianie otrzymałem dość znaczny zasiłek. Ocalony przezemnie kapitan opowiedział nasze przygody właścicielowi okrętu i towarów na nim naładowanych, a ten przejęty wdzięcznością za uratowanie swego mienia, razem z innymi kupcami, których sprawa ta dotyczyła, zaprosili mnie do siebie i gorąco podziękowawszy, ofiarowali mi dwieście funtów szterlingów.

Dar ten ochronił mię narazie od niedostatku, ale nie zabezpieczał przyszłości. Po namyśle postanowiłem pojechać do Lizbony dla dowiedzenia się, co się dzieje z moją brazylijską plantacyą i ze wspólnikiem moim, który z pewnością nie spodziewał się już mojego powrotu. Popłynąłem zatem do Lizbony razem z Piętaszkiem, nieodstępnym swoim towarzyszem. Przybyliśmy na miejsce w pierwszych dniach kwietnia. W kilka dni po przyjeździe odszukałem starego swego przyjaciela, portugalskiego kapitana, tego samego, co zabrał mię na swój statek, gdym uciekał z maurytańskiej niewoli. Postarzał się on znacznie tak, że go z trudnością poznałem, a i on dopiero mię wtedy poznał, gdym mu nazwisko swoje wymienił. Wówczas powitał mię nadzwyczaj serdecznie, opowiedział, że od wielu lat nie zajmuje się już żeglugą, zdawszy dowództwo okrętu na syna, i że ten prowadzi handel także z Brazylią. Oczywiście zaraz spytałem go, czy nie wie co o losach mojej plantacyi. Odpowiedział, że widział ją przed dziewięciu laty i że wtedy rozwijała się pomyślnie, a wspólnik mój żył jeszcze. Upewnił mię także, że będę mógł z łatwością objąć ją znów w posiadanie, gdyż po rozejściu się wiadomości o mojem zatonięciu, pełnomocnicy moi złożyli dokładne rachunki z dochodów królewskiemu urzędowi skarbowemu, ten zaś postanowił, że jedna trzecia część mojego majątku przypadnie rządowi, a dwie trzecie klasztorowi św. Augustyna z przeznaczeniem na jałmużny dla ubogich i na misye katolickie pośród Indyan, ale dopiero wtedy, kiedy ani ja, ani moi spadkobiercy nie zgłoszą się z żądaniem wydania tego majątku. Dodał dalej, że tak urząd, jak i przełożony klasztoru pilnowali, aby mój spólnik co roku dokładny składał rachunek z dochodów mej części. Spytałem go wtedy, czy nie wie, jakie dochody przynosi moja plantacya i czy radziłby mi dochodzić praw moich do niej. Odrzekł mi na to, że nie zna wprawdzie ogólnej sumy dochodów, wie jednak, że wspólnik mój bardzo się wzbogacił, gospodarując na swojej części, a słyszał, że jedna trzecia część

dochodu, wypłacana corocznie królewskiemu skarbowi, wynosi dwieście dukatów. Na zapytanie, czy możliwe jest odzyskanie plantacyi, odpowiedział, że nie przedstawia to żadnej trudności, ponieważ żyje mój wspólnik i inni ludzie, co mogą poświadczyć tożsamość mojej osoby. Opowiedział mi jeszcze, że nazwisko moje zapisane jest w księgach i że synowie tych moich sąsiadów, którym powierzyłem niegdyś zarząd swojej plantacyi, są bardzo uczciwi ludzie i z pewnością dopomogą mi do odzyskania majątku. Dodał w końcu, że mają oni u siebie dość znaczną sumę złożoną jeszcze przez ich rodziców w czasach, gdy ci zarządzali moim majątkiem, bo dopiero przed dwunastu laty oddano go pod opiekę rządu. Bardzo mię zdziwiło to, co usłyszałem. Zapytałem kapitana, jak się to stało, że pełnomocnicy moi tak postąpili, bo przecie, jak mu wiadomo, zostawiłem testament, w którym właśnie jego zamianowałem moim ogólnym spadkobiercą i wykonawcą swej woli. Dziwiłem się więc, dla czego nie zastósowali się do tych wskazówek. »Nie mógłem występować jako twój spadkobierca!« — odrzekł mi na to — »bo śmierć twoja nie została udowodniona; zaciągnąłem tylko w księgi publiczne ostatnią twą wolę i zastrzegłem swoje prawa tak, że w każdej chwili mógłbym się o nie upomnieć. Ale« — dodał zacny starzec — »mam jeszcze jedną wiadomość dla ciebie. Oto w kilka lat po twojem zniknięciu sąsiedzi twoi, nie wiedząc, co się z tobą dzieje, odesłali mi sześcioletni dochód z twojej plantacyi. Nie była to znaczna suma, bo majątek potrzebował wtedy dużych nakładów i gospodarstwo nie było tak rozwinięte, jak dzisiaj, zawsze jednak winien ci jestem czterysta sześćdziesiąt dukatów«. — Usprawiedliwiał się dalej przedemną poczciwy kapitan, że pieniędzy tych użył na własne potrzeby. Oto rozbił mu się i zatonął z całym ładunkiem statek. Do spółki z innymi kupił nowy i na ten cel użył owych pieniędzy. Przyrzekł, że uiści się z długu, jak tylko syn jego powróci, a tymczasem wypłacił mi sto sześćdziesiąt portugalskich dukatów w złocie i pokazał przysłane mu niegdyś razem z pieniędzmi rachunki dochodów z plantacyi mojej za pierwsze lat sześć. Gdym je przejrzał uważnie, przekonałem się, że dochód, istotnie wówczas nie wielki, wzrastał z każdym rokiem. Wypłaciwszy mi sto sześćdziesiąt dukatów, chciał koniecznie poczciwy kapitan dać mi jeszcze w zastaw papiery swoje dowodzące, że jest właścicielem części okrętu, którym syn jego dowodzi, a to dla tego, żebym miał pewność, że mi i resztę długu wypłaci. Ale ja nie przyjąłem tych dokumentów, a widząc nadto, że i on chwilowo jest bez grosza, wziąłem tylko sto dukatów, sześćdziesiąt zaś mu zwróciłem, upewniając zacnego mego przyjaciela, że mu zwrócę i to, co biorę, skoro tylko odzyskam plantacyę. Wzruszony byłem niezmiernie prawością jego i dobrocią. Gdym sobie przypomniał, ilem dobrodziejstw

doznał od niego w dawniejszych latach, jak uratował mi prawie życie, a potem opiekował się mną i wspierał w pierwszych czasach mego pobytu w Brazylii, postanowiłem wywdzięczyć się mu za to wszystko, jeśli mi się uda majątek odzyskać. Po załatwieniu tej sprawy zapytał, czy ma mi doradzić, w jaki sposób mógłbym jak najrychlej objąć posiadanie swego majątku. Oświadczyłem, że sam pojadę do Brazylii dla udowodnienia praw swoich. »Możesz to uczynić, jeśli masz ochotę«— odrzekł — »ale nie jest to konieczne. Całą sprawę załatwić można za

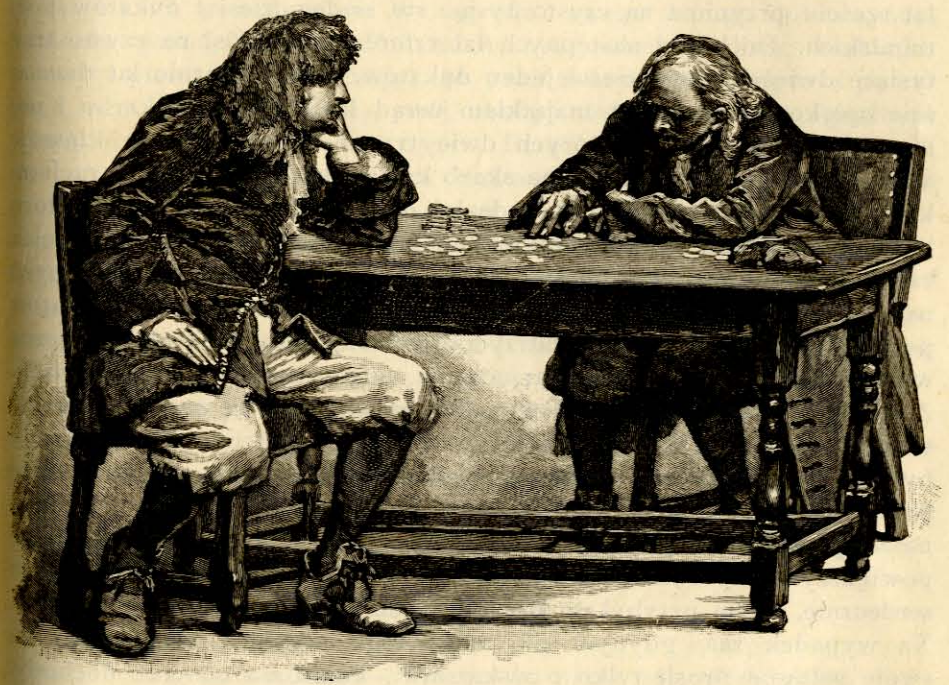

»Wypłacił mi sto sześćdziesiąt dukatów« (str. 180).

pośrednictwem kupieckich okrętów, płynących do Brazylii, a stoi ich właśnie kilka w porcie lizbońskim, gotowych do podróży«. — Zgodziłem się na to jak najchętniej. Wkrótce potem złożył kapitan w urzędzie zeznanie pod przysięgą, że żyję i że jestem tym samym Robinzonem Kruzoe, który zakupił był niegdyś posiadłość w Brazylii i założył na niej plantacyę trzciny cukrowej. Zeznanie to wpisano do księgi publicznej, a mnie wydano urzędowy na to dokument. Napisawszy kilka listów do mego wspólnika, do synów moich sąsiadów, oraz do wskazanego mi przez kapitana kupca, wysłałem wszystko oraz pełnomocnictwo statkiem, który właśnie do Brazylii odchodził. Oczekując na odpowiedź,

zaproszony serdecznie przez kapitana, zamieszkałem w jego domu. Jeszcze przed upływem siedmiu miesięcy otrzymałem paczkę papierów, zawierających odpowiedź. Przyznaję, że cała sprawa załatwiona została nadzwyczaj sumiennie. Spadkobiercy moich sąsiadów, owych kupców, co wysłali mię byli niegdyś na wybrzeża Afryki, nadesłali mi obszerne sprawozdanie ze stanu mego majątku, oraz dokładne rachunki za czas ubiegły. I tak: dochód z pierwszych lat sześciu po moim odjeździe z Brazylii wynosił czterysta sześćdziesiąt dukatów portugalskich, jak to już wspomniałem, i był wręczony kapitanowi. Dochód z następnych lat sześciu przyniósł na czysto tysiąc sto siedemdziesiąt dukatów portugalskich. Dochód z następnych lat czterech przyniósł na czysto trzy tysiące dwieście czterdzieści jeden dukatów. Przez ostatnie lat dwanaście opiekował się moim majątkiem urząd królewskiego skarbu i pobierał też dochody, z których dwie trzecie części szło na klasztor augustyański a jedna trzecia na skarb królewski. Otóż razem z rachunkami moich pełnomocników nadesłał mi przełożony owego klasztoru bardzo szczegółowy i sumienny rachunek z użycia owych dwóch trzecich części dochodów; pokazało się, że, po potrąceniu wydatków łożonych na szpital, pozostało jeszcze osiemset siedemdziesiąt dwa dukatów portugalskich, które przeor zatrzymał u siebie, jako już moją wyłączną własność, prosząc o wydanie zarządzenia, co ma zrobić z temi pieniędzmi. Z jednej trzeciej części ochodów, pobieranych przez lat dwanaście przez skarb królewski, nie zwrócono mi ani grosza. Do rachunków dołączony był list mego wspólnika. Cieszył się bardzo, że żyję, przesyłał tysiące powinszowań i błogosławieństw, potem zdawał mi sprawę ze stanu naszej plantacyi. Opisywał szczegółowo, jakie daje dochody, o ile się powiększyła, ilu zatrudnia robotników i t. p. Dalej zapraszał mnie serdecznie, abym przybył do Brazylii i sam zajął się swoimi interesami. Na wypadek zaś, gdybym nie mógł tego uczynić, ofiarowywał mi swoje usługi i prosił tylko o wskazówki, komu ma odsyłać dochody. Wreszcie nakreślił na końcu listu dwadzieścia dwa krzyżyki z objaśnieniem, że zmówił tyle razy »Zdrowaś Marya«, dziękując Matce Najświętszej za moje ocalenie. Jako dodatek do listu przesyłał mi poczciwy wspólnik w podarku siedem skór lamparcich, przywiezionych mu z Afryki z jakiejś wyprawy, co się zapewne lepiej udała, niż ta, którą ja niegdyś dowodziłem, a także pięć skrzyń z rozmaitemi słodyczami i sto sztuk złota nie stemplowanego. Tym samym okrętem odesłali mi spadkobiercy moich sąsiadów należność moją częścią w towarach, częścią w złocie: osiemset zwojów tytoniu, tysiąc dwieście pak cukru a resztę pieniędzmi, gotówką, w złocie!

Tak więc mogłem o sobie powiedzieć podobnie, jak niegdyś biblijny Hiob: że »koniec życia mego weselszy jest od początku«.

Trudno mi to opisać, jak bardzo byłem wzruszony, przeczytawszy te wszystkie listy i dowiedziawszy się, że wraz z nimi przywieziono towary moje i złoto. Okręt zawierający moje bogactwa stał już w porcie i w każdej chwili mogłem należność swą odebrać. Pod wpływem nagłej radości zbladłem jak ściana i blizki byłem omdlenia tak, że przyjaciel mój ogromnie się przestraszył i posłał po lekarza.

Miałem więc z górą pięć tysięcy funtów szterlingów i posiadłość ziemską w Brazylii, przynoszącą około tysiąca funtów rocznie. Widząc nagle, że jestem tak bogaty, nie wiedziałem prawie, co począć. Przedewszystkiem postanowiłem wynagrodzić swego starego dobroczyńcę, kapitana portugalskiego. Pokazałem mu nadesłane listy, rachunki, towary i pieniądze powtarzając, że przedewszystkiem Bogu, a potem jemu mam do zawdzięczenia swój obecny dobrobyt i że pragnąłbym wywdzięczyć się mu choć w części. Przedewszystkiem zwróciłem mu owe sto dukatów i u notaryusza wystawiłem formalne pokwitowanie z odbioru należnych mi czterysta sześćdziesięciu dukatów. Następnie zostawiłem mu pełnomocnictwo do odbierania dochodów z mojej plantacyi i napisałem do mego wspólnika, aby odtąd z nim tylko rachunki prowadził i na jego imię przysyłał towary i pieniądze. Prócz tego przeznaczyłem z tych dochodów sto dukatów rocznie dla niego, a po jego śmierci pięćdziesiąt dla jego syna jako dożywocie, prosząc usilnie, aby przyjął odemnie tę pomoc, jako słaby tylko dowód mojej wdzięczności za miłosierdzie i pomoc okazaną mi w nieszczęściu na morzu, oraz za uczciwe i dobre rady, udzielane mi później.

ROZDZIAŁ XXIV.

Podróż do Anglii lądem. — Przeprawa przez góry Pirenejskie. — Niebezpieczne przygody. — Szczęśliwe przybycie do Anglii. — Zapowiedź nowej podróży i nowych przygód.

Musiałem się teraz zastanowić, co mam z sobą począć i jak użyć majątku, użyczonego mi tak niespodzianie przez Opatrzność. Prawdę mówiąc, więcej teraz miałem ktopotów, niż wtedy, gdym żył samotny na wyspie, codzienną pracą chleb powszedni zdobywał i posiadał tyle tylko, ile mi było potrzeba. Interes mój nakazywał mi właśnie jechać do Brazylii i tam się osiedlić, ale nie mogłem tego zrobić, dopóki w Anglii różnych spraw nie pozałatwiam i nadesłanych mi pieniędzy gdzieś nie umieszczę. Ostatecznie postanowiłem więc powrócić do Anglii, ale zabawiłem jeszcze kilka miesięcy w Lizbonie. Wywdzięczywszy się,

o ile mogłem, staremu portugalskiemu kapitanowi, zająłem się jeszcze losem przyjaciółki mej, wdowy po angielskim kapitanie, który był pierwszym moim dobroczyńcą i wspierał mnie niegdyś radą i czynem. Prosiłem więc jednego z kupców lizbońskich, aby za pośrednictwem ajenta swego w Londynie wyszukał biedną kobietę i przesłał jej odemnie sto funtów szterlingów, oraz upewnił, że o niej nie zapomnę, dopóki żyć będę. W tymże samym czasie posłałem dwom swoim siostrom po sto funtów szterlingów. Jakkolwiek nie groziła im nędza, to jednak nie opływały w dostatkach, gdyż jedna z nich owdowiała, a druga miała męża nicponia. Do Brazylii wysłałem pokwitowanie i listy. Przeorowi klasztoru św. Augustyna podziękowałem w wyrazach pełnych szacunku za szlachetne jego obejście się ze mną, i doniosłem, że z ośmiuset siedemdziesięciu dwóch dukatów przeznaczam pięćset na klasztor, a trzysta siedemdziesiąt dwa na ubogich, nic dla siebie nie żądając, a prosząc jedynie o modlitwy na moją intencyę. Spadkobiercom moich dawnych sąsiadów wyraziłem także serdeczną swoją wdzięczność za tak życzliwe zajęcie się mojemi sprawami, za sumienność i rzetelność, ale nie ofiarowałem im żadnych podarków wiedząc, że niechętnieby je przyjęli. Wkońcu napisałem obszerny list do mego wspólnika, dziękując mu za sprawozdanie ze stanu mojej plantacyi i za ulepszenia wprowadzone tam przez niego. Prosiłem go, aby i nadal zarządzał moją posiadłością, a rachunki i dochody przesyłał staremu portugalskiemu kapitanowi w Lizbonie, dopóki odmiennych poleceń odemnie nie otrzyma, bo doniosłem mu zarazem, że bardzo chętnie osiedlę się w Brazylii na resztę dni swoich a tymczasem przesyłam mu serdecznie pozdrowienia. Do listu tego dołączyłem podarki dla jego żony i dla dwóch jego córek, o których dowiedziałem się od syna kapitana. Posłałem im kilka sztuk włoskiego jedwabiu, dwie sztuki cienkiego angielskiego sukna, pięć sztuk czarnego grubego kortu i kilka sztuczek kosztownych brabanckich koronek. Załatwiwszy wszystkie te sprawy, sprzedałem jeszcze wszystkie swoje towary, zamieniłem złoto na papiery i byłem już zupełnie gotów do drogi.

Coś mnie jednak odstręczało od podróży morzem. Nie było to wspomnienie dawnych przygód i nieszczęść, ale raczej jakieś przeczucie, jak się później okazało, zupełnie słuszne. Kilka razy umawiałem się już z kapitanami, rzeczy nawet na statek przenosić kazałem, a potem cofałem się w ostatniej chwili. I rzeczywiście dowiedziałem się później, że oba statki, na których z kolei odjechać zamierzałem, uległy nieszczęśliwym przypadkom. Jeden z nich zdobyty został przez algierskich korsarzy, drugi rozbił się na morzu tak, że z całej załogi trzech tylko ludzi ocalało. Kiedym się z tych swoich wahań i niepewności zwierzył kapitanowi, poradził mi on inny sposób powrotu, a mianowicie przedstawił do wyboru dwie drogi: albo dojechać końmi do portowego

hiszpańskiego miasta Koruny, a ztamtąd statkiem przez zatokę Biskajską do francuskiego portu La Roszel i dalej lądem przez Paryż do portu Kale i przeprawić się wkońcu statkiem przez cieśninę Kaletańską do angielskiego portu Dower, albo też obrać lądową drogę wyłącznie, to jest przez stolicę Hiszpanii Madryt, dalej przez góry Pirenejskie i całą Francyę do Kale, zkąd statkiem miałbym tylko nie całych parę godzin drogi do Anglii, a mianowicie do portu Dower. Taki miałem wstręt do przebycia morzem nawet małej przestrzeni z Koruny do Roszelli, że więcej mi się podobała ta ostatnia droga. Wprawdzie dłuższa i kosztowniejsza była droga lądowa, ale nie potrzebowałem się teraz liczyć z czasem i pieniędzmi. Przyjaciel mój, kapitan, znalazł mi wkrótce towarzysza podróży. Był nim syn jednego kupca, powracający do Londynu. Prócz niego przyłączyło się do nas jeszcze dwóch angielskich kupców i dwóch młodych Portugalczyków jadących do Paryża; mieli oni z sobą służących, ja zaś oprócz Piętaszka nająłem sobie jeszcze do pomocy zręcznego w usłudze angielskiego majtka, tak że wszystkich razem było nas jedenastu: sześciu panów i pięciu służących. A że wszyscy mieliśmy dobre konie, broń, stanowiliśmy niejako mały poczet wojskowy. Towarzysze moi obrali mię swoim dowódzcą, jako najstarszego wiekiem i najdoświadczeńszego.

Nie będę czytelnika nudził opisywaniem wszystkich szczegółów tej naszej podróży, bo z tego także powodu dałem pokój opisowi morskiej podróży z mojej wyspy do Anglii. Niektórych jednak wypadków nie mogę pominąć milczeniem.

W Madrycie zabawiliśmy czas jakiś dla zwiedzenia osobliwości miasta, dla obaczenia króla i dworu i t. p. Ale że lato było już na schyłku, musieliśmy się śpieszyć, aby nas zima w górach w drodze nie zaskoczyła, i udaliśmy się w dalszą podróż w połowie października. Na granicy Nawarry przestraszono nas wiadomością o śniegach spadłych w Pirenejach po francuskiej stronie. Opowiadano, że wielu podróżnych zawraca z drogi, nie chcąc narażać się na niebezpieczną przeprawę. Gdyśmy przybyli do miasta Pampeluny, przekonaliśmy się, że wiadomości poprzednie wcale nie były przesadzone. Wiały tu teraz tak ostre wiatry, że gdybyśmy się udali w dalszą drogę, poodmrażalibyśmy sobie niechybnie ręce i nogi. Dla mnie zwłaszcza i dla Piętaszka, przywykłych do gorącego klimatu, zmiana ta była nadzwyczaj przykra. Biedny Piętaszek, który nigdy w życiu nie widział zimy, przerażony był widokiem gór śniegiem pokrytych. A tu jak na złość zima przyszła wcześniej, niż zwykle i ludzie mówili, że nie pamiętają równie ostrej i mroźnej. Śnieg padał bez przerwy i tworzył olbrzymie zaspy na drogach. Przeprawa przez Pireneje, trudna w zwykłym czasie, stawała się teraz prawie niemożliwą. Śnieg piętrzył się wysoko, a że nie twardniał tak, jak

w północnych krajach, lecz był sypki i miękki, przeto nie można było przejść po nim bez narażenia się na zagrzebanie żywcem, zwłaszcza w niektórych miejscach w górach, gdzie nawet i latem drogi były prawie nie do przebycia. Dwadzieścia dni spędziliśmy w Pampelunie, czekając na łagodniejszą porę; tymczasem śnieżyca trwała bez przerwy i wciąż wiały wiatry ostre i przejmujące. Zima ta tak była sroga, że się dała we znaki w całej Europie.

Widząc, że nie zanosi się wcale na odmianę, radziłem, abyśmy zmienili kierunek, gdy wtem przybyło do Pampeluny czterech Francuzów. Opowiadali oni, że ich zaskoczyła w podróży zawieja śnieżna po tamtej stronie gór Pirenejskich, podobnie jak nas tutaj, że jednak znaleźli przewodnika, który ich przeprowadził takiemi mało znanemi ścieżkami, że przeprawa nie była bardzo trudna, a śnieg był już na tyle stwardniały, że można było przejechać po nim konno. Ucieszyła nas ta wiadomość. Zaraz wezwaliśmy do siebie owego przewodnika, pytając, czy nie mógłby tą samą drogą przeprowadzić nas do Francyi. Zgodził się; radził tylko, abyśmy się dobrze uzbroili, bo mnóstwo wygłodzonych wilków włóczy się po dolinach. Odrzekliśmy na to, że nie lękamy się takiego spotkania, a więcej niepokoi nas obawa przed dwunożnymi wilkami, czyli zbójcami górskimi, gdyż okolica ta słynie z napadów i rozbojów. Uspokoił on nas mówiąc, że poprowadzi nas taką mało znaną drogą, na której nic podobnego dotąd się nie zdarzyło.

W dniu piętnastym listopada wyruszyliśmy z Pampeluny liczną gromadą, bo przyłączyło się do nas dwunastu jeszcze podróżnych Francuzów i Hiszpanów ze służbą, którzy podobnie, jak my, musieli zatrzymać się w Pampelunie. Zdziwiłem się bardzo widząc, że przewodnik nasz zamiast prowadzić nas w głąb kraju, cofnął nas w kierunku przeciwnym po tej samej drodze, którą już przebyliśmy, jadąc z Madrytu. Gdyśmy minęli dwie rzeki i dostali się na płaszczyznę, wprowadził nas nagle w okolice zupełnie ciepłe, gdzie nawet śladu śniegu nie było. Jechaliśmy przez nie czas jakiś. Potem przewodnik nagle zawrócił i odtąd zaczęliśmy zwolna jechać pod górę. Ukazały się nam wtedy urwiste wierzchołki gór i bezdenne przepaście, ale przewodnik prowadził nas tak umiejętnie krętemi ścieżkami, iż dostaliśmy się na szczyty, prawie tego nie czując. Ztamtąd ujrzeliśmy naraz jak na dłoni zielone i kwitnące równiny Francyi mimo, że znaczna przestrzeń dzieliła nas jeszcze od tych krajów. Raz tylko w czasie całej przeprawy stanęła nam na przeszkodzie silna zamieć śnieżna. Trwała ona całą dobę. Zdawało się, że będziemy musieli przerwać podróż, ale przewodnik prosił, abyśmy, nie zważając na nic, postępowali dalej, a wkrótce wejdziemy w okolice cieplejsze. Poszliśmy za jego radą i w istocie zaczęliśmy zwolna schodzić po stokach gór francuskich. Dnia jednego, na dwie godziny może

przed zachodem słońca, jechaliśmy wszyscy zbitą gromadką, a tylko przewodnik nasz wysunął się naprzód o jakie kilkadziesiąt kroków i jechał tak, że go nam drzewa zasłaniały. Wtem wypadły z poblizkiego lasu trzy ogromne wilki, a za nimi olbrzymi niedźwiedź. Jeden wilk rzucił się na przewodnika, drugi na jego konia i to z taką zajadłością, że nieszczęśliwy nie miał nawet tyle czasu, by wydobyć pistolet z za pasa, krzyczał tylko w niebogłosy, wzywając ratunku. Dałem znak Piętaszkowi,

»Jeden wilk rzucił się na przewodnika, drugi na konia«.

aby zobaczył, co się tam stało. Dzielny chłopak, skoro tylko przewodnika spostrzegł, krzyknął: »O panie! panie!« i poskoczywszy w jednej chwili zastrzelił wilka, przyłożywszy mu do łba pistolet. Piętaszek przyzwyczajony od dzieciństwa do zapasów z dzikiemi zwierzętami wcale się nie przestraszył wilka i uważał za rzecz bardzo zwyczajną przysunąć się do niego i strzelić mu prawie w ucho. Było to wielkie szczęście dla przewodnika. Gdyby bowiem który z nas był przyszedł mu z pomocą, strzeliłby zapewne ze znacznej odległości i mógłby łatwo ugodzić człowieka zamiast wilka. W każdym razie niebezpieczna to była przygoda

i zatrwożyć mogła nawet większych od nas śmiałków. Na odgłos wystrzału Piętaszka dały się słyszeć zewsząd groźne wycia, stokrotnie powtarzane przez górskie echa. Sądziliśmy, że całe stado rozwścieczonych i głodnych wilków rzuci się na nas za chwilę. Nie stało się jednak nic podobnego. Wilk, co się był konia uczepił, uciekł do lasu spłoszony wystrzałem, drugi leżał z łbem roztrzaskanym. Koniowi nic się nie stało, był tylko trochę podrapany, zato przewodnik ciężko był skaleczony, gdyż wilk ukąsił go w ramię i powyżej kolana. Chwiał on się już w siodle i zostałby niezawodnie ściągnięty z konia, gdyby mu Piętaszek w porę nie był nadbiegł z pomocą. Na huk strzału przyśpieszyliśmy wszyscy kroku, ale że drzewa zasłaniały nam widok, nie mogliśmy od razu rozpoznać, co się właściwie stało. Tyleśmy tylko zrozumieli, że Piętaszek wybawił przewodnika z niemałego jakiegoś niebezpieczeństwa.

Zaledwie ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ujrzeliśmy z przerażeniem, że chłopak wdał się w rozprawę z niedźwiedziem. Niesłychana to była walka, prowadzona ze strony Piętaszka z odwagą, posuniętą do zuchwalstwa. W pierwszej chwili zadrżeliśmy o jego życie, później jednak, patrząc na przebieg zapasów, ubawiliśmy się nawet serdecznie.

Wiadomo, że niedźwiedź jest niezgrabnem i ciężkiem stworzeniem i nie umie biegać szybko, ani skakać, jak inne zwierzęta. Posiada przy tem dwie właściwości, które trzeba znać, chcąc uniknąć niemiłego z nim spotkania Nie rzuca się na ludzi, jeśli go do tego głód nie zmusza, i wogóle nie napada na nikogo, jeśli sam nie jest zaczepiony. Spotkawszy go w lesie, trzeba udawać, że się go wcale nie widzi i iść swoją drogą, a wówczas nie zrobi nic złego. Nie należy mu tylko wyrządzać żadnej niegrzeczności, ani też stawać mu na drodze, bo jest to jegomość bardzo dumny i obraźliwy i nikomu, nawet księciu, nie pozwoli sobie ubliżyć. Nie trzeba nawet patrzeć na niego zbyt uważnie, bo tego nie lubi, a rzucenie najmniejszego patyczka lub grudki ziemi uważa za śmiertelną zniewagę i mści się wówczas bez miłosierdzia. To jest pierwsza jego właściwość. Druga zaś, że obrażony gotów jest ścigać dzień i noc swego przeciwnika i nie spocznie, nie ustąpi, dopóki ofiary swej nie doścignie.

Przybyliśmy na miejsce utarczki w chwili właśnie, gdy przewodnik, więcej przerażony niż pokaleczony, zsiadł z konia przy pomocy Piętaszka. Zaledwie mieliśmy czas zamienić z nimi słów kilka, gdy olbrzymi niedźwiedź wysunął się z lasu. Strapiliśmy się cokolwiek na ten widok, tylko Piętaszek nie zdradzał żadnej obawy, przeciwnie twarz mu się rozjaśniła i zawołał, podbiegając ku mnie i ukazując ręką na zwierzę:

— Panie! panie! ty mi pozwolisz, to ja jemu ścisnę łapę; będziecie się wszyscy śmiać.

— Ani mi się waż, błaźnie, zaczepiać!

— On mnie zje? Oho? To ja jego zjem i wam śmiechu narobię. Wy wszyscy tu zaczekajcie. — Mówiąc to, usiadł Piętaszek na ziemi, a wyzuwszy buty, wyjął z torby chodaki i włożył je na nogi, potem konia swego oddał do trzymania jednemu z naszych ludzi, a sam uchwyciwszy strzelbę, pomknął szybko ku niedźwiedziowi, który szedł sobie powoli, nie mając, zdaje się, zamiaru nikogo zaczepić. Piętaszek

»Co? nie śmiesz iść do mnie?« (str. 190).

podbiegając ku niemu, zaczął się z nim droczyć wołając: »Słuchaj ty! słuchaj: ja do ciebie mówię«. Postępowaliśmy za chłopcem z daleka, nie rozumiejąc, co chce zrobić, i wjechaliśmy właśnie wtedy na obszerną leśną polanę. Drzewa rosły na niej tylko z rzadka, mogliśmy więc dokładnie widzieć wszystko, co się działo. Piętaszek doścignął już był niedźwiedzia i szedł krok w krok za nim, przemawiając doń nieustannie; wkońcu podniósł kamień i gruchnął nim w łeb zwierza. To poskutkowało, bo zwierz odwrócił się i ścigać Piętaszka począł, a o to właśnie szło zuchwałemu chłopcu, który bez śladu obawy biegł prosto ku nam śmiejąc się, jak gdyby ta gonitwa najweselszą była zabawą. My przeciwnie, przestraszyliśmy się i wszyscy razem zbieraliśmy się dać ognia, aby chłopca ocalić. Rozgniewany na Piętaszka za niepotrzebne wyzywanie niebezpieczeństwa i sprowadzenie nam na kark takiego gościa, krzyknąłem:

— Urwisie jeden! Takiego to nam śmiechu narobiłeś! siadaj mi na koń w tej chwili, byśmy mogli strzelać!

— Nie strzelajcie, nie! — wołał chłopak — czekajcie, a śmiechu dużo będzie. — I w chwili, gdy go niedźwiedź doganiał, zawrócił nagle w bok, dopadł wysokiego dębu, porzucił strzelbę o kilka kroków i wdrapywać się począł na drzewo, zwinnie jak kot. Niedźwiedź zatrzymał się przy strzelbie, obwąchał ją starannie, a potem począł również na drzewo leźć; struchlałem, nic zabawnego w tem nie widząc. Podbiegliśmy wszyscy, oczekując z niepokojem końca tej szalonej zabawy. Tymczasem Piętaszek upatrzył sobie długą gałąź i usiadł na samym jej cienkim końcu. Niedźwiedź podążył za nim; w chwili, gdyśmy nadbiegli, znajdował się w połowie długości gałęzi. Wtedy chłopak zawołał do nas: »Patrzcie, jak niedźwiedź tańcować będzie« i zaczął potrząsać gałęzią tak, że niedźwiedź zatrzymał się zakłopotany i spoglądał naokoło, nie wiedząc, co począć. Wyglądało to rzeczywiście bardzo zabawnie. Nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu. Piętaszek przestał na chwilę trząść i wołał dalej do niedźwiedzia: »Cóż to? nie śmiesz iść do mnie?« Niedźwiedź, jakby zrozumiał, posunął się znowu trochę naprzód, gdy wtem chłopak znów zatrząsł gałęzią tak, że niedźwiedź znowu się zatrzymał. »Dosyć tych żartów!« — zawołałem na Piętaszka — »siedź spokojnie, abyśmy mogli do niedźwiedzia strzelać«. »O! nie strzelajcie, nie!« — wołał chłopak — »ja sam strzelę, jak przyjdzie czas«. Trząsł gałęzią jeszcze czas jakiś, przyczem niedźwiedź chwiał się i kołysał tak zabawnie, żeśmy się rzeczywiście serdecznie uśmiali. Nie wiedzieliśmy tylko, na czem się skończy ta zabawa. Z początku myśleliśmy, że Piętaszek strąci niedźwiedzia na ziemię, ale roztropny zwierz nie posuwał się na cienki koniec, trzymał się mocno gałęzi swymi grubymi pazurami i nie dawał się strącić ze stanowiska. W końcu Piętaszek zawołał do niego: »Dobrze, dobrze: nie chcesz ty do mnie, to ja do ciebie«. Począł się cofać do najcieńszego końca gałęzi, zawisnął na niej na rękach, a przegiąwszy ją własnym ciężarem, skoczył na ziemię, uchwycił strzelbę i stanął z nią pod drzewem, my zaś wołaliśmy na niego, aby strzelał. »Nie! nie!« — odrzekł — »nie teraz«. I w samej rzeczy niedźwiedź straciwszy z oczu przeciwnika, zaczął się powoli cofać, ustawicznie oglądając się, dopóki się do pnia nie dostał, poczem zaczął złazić tyłem. Przedniemi łapami trzymał się mocno pnia, tylne wysuwał ostrożnie to jednę to drugą i w ten sposób schodził na dół. W chwili, gdy stawiał pierwszą tylną łapę na ziemi, Piętaszek przyskoczył, strzelił mu w samo ucho i zabił na miejscu. Następnie zwrócił się do nas z miną zwycięzką, jakby chcąc przekonać się, czy nas dostatecznie rozśmieszył, a widząc, żeśmy rzeczywiście rozbawieni, zawołał radośnie: »W ten sposób my zabijamy niedźwiedzie u nas«.— »Jakim sposobem robicie to, nie mając strzelb?« — »My zabijamy ich dużemi strzałami«.

Mimo, że zabawna to była przygoda i że w samej rzeczy rozerwała nas na chwilę, nie mogliśmy przecie zapominać, że znajdujemy się wśród pustej okolicy, narażeni na spotkanie z gromadami drapieżnych zwierząt. Przeciągłe wycia wilków brzmiały mi dotąd w uszach. Słysząc je, doznałem uczucia równie silnej grozy, jak niegdyś w pobliżu wybrzeży afrykańskich, gdzie rozlegały się straszliwe ryki lwów, tygrysów i lampartów. Nadto przewodnik nasz był ranny, a najbliższy nocleg odległy jeszcze o dobre trzy mile. Wobec tego nie zabawialiśmy się zdjęciem pięknej skóry z niedźwiedzia, czego sobie Piętaszek życzył, lecz udaliśmy się w dalszą drogę, aby przed nocą zdążyć do jakiej wioski. Zaspy śnieżne, mimo że nie tak wielkie jak w wyższem pasmie gór, utrudniały jednak pochód. Dowiedzieliśmy się później, że wilki i niedźwiedzie, przyciśnięte głodem i mrozem, schodziły gromadami w doliny, grasując po wioskach i pożerając bydło, konie, a nawet i ludzi. Przewodnik ostrzegł nas, że będziemy jeszcze przechodzić przez jedno niebezpieczne miejsce. Miała to być obszerna polanka, ze wszystkich stron zamknięta lasem i przecięta przez środek wązką drożyną prowadzącą do wioski, w której mieliśmy nocować. Tam to zdaniem przewodnika groziło nam spotkanie z wilkami. Do lasu weszliśmy na pół godziny przed zachodem słońca, a ztamtąd dostaliśmy się wkrótce na ową polankę. Na samym wstępie przebiegło nam drogę pięć wilków, jak gdyby w pogoni za upatrzonym łupem. Na nas nie zwróciły uwagi i znikły w okamgnieniu. Przewodnik nasz, nawiasem mówiąc, porządny tchórz, przeraził się mocno i radził nam mieć broń w pogotowiu, utrzymując, że za chwilę pojawi się tu więcej wilków. Usłuchaliśmy tej rady i postępowaliśmy ostrożnie naprzód, rozglądając się naokoło. W lesie nie spotkaliśmy ich wcale. Gdyśmy się jednak dostali na polanę, od razu na wstępie widzieliśmy ze dwanaście wilków, dogryzających resztki konia. Nie uważaliśmy za stósowne przerywać im biesiady i na szczęście nie zwróciły na nas uwagi. Piętaszek chciał koniecznie strzelić, ale nie pozwoliłem mu marnować nabojów przeczuwając, że wkrótce będziemy ich potrzebowali we własnej obronie. Jakoż nie doszliśmy jeszcze do połowy polanki, gdyśmy ujrzeli ze sto wilków, biegnących prosto na nas, we wzorowym porządku, jak wyćwiczone wojsko. Nie wiedziałem, jak mamy się zachować wobec napastników, ale sformowałem na prędce nasz oddział i stanęliśmy zwartym szeregiem. Wydałem rozkaz, aby ludzie nasi nie strzelali wszyscy razem, ale tylko co drugi, to jest, połowa oddziału miała dać ognia, poczem dopiero druga, tak aby nie było żadnej przerwy między dwiema salwami. Poleciłem także, aby strzelb nie nabijać powtórnie, lecz użyć natychmiast pistoletów, a że każdy z nas miał ich po parze, moglibyśmy dać ognia sześć razy z rzędu. Nie było to potrzebne, bo za pierwszymi już strzałami wilki stanęły,

zmieszane hukiem i błyskiem. Cztery padło na miejscu, inne były ranne i biegały tu i ówdzie, znacząc krwawe ślady na śniegu. Nie cofały się jednak. Wtedy przypomniałem sobie, że słyszałem, jakoby dzikie zwierzęta obawiały się ludzkiego głosu. Rozkazałem więc naszym ludziom krzyczeć z całej siły. Rzeczywiście odniosło to pożądany skutek. Wilki zaczęły uciekać do lasu. Daliśmy do nich jeszcze jedną salwę, co dopełniło popłochu. Mogliśmy wtedy broń ponabijać, a nie chcąc tracić czasu, czyniliśmy to kłusując dalej. Wkrótce usłyszeliśmy znowu straszne wycia w lesie. Tymczasem noc się zbliżała, co jeszcze bardziej pogorszało nasze położenie. Wycie zbliżało się, a za chwilę ujrzeliśmy trzy gromady: przed sobą, za sobą i po lewej ręce. Mimo to jechaliśmy wciąż naprzód i dostaliśmy się do drugiego końca polanki. U wejścia do lasu nowe stado wilków zagrodziło nam drogę. Stanęliśmy przerażeni. Nagle strzał rozległ się w lesie, a z lasu wypadł osiodłany koń ścigany przez kilkanaście wilków. Biedne zwierzę pędziło, zbierając wszystkie siły, widoczną jednak było rzeczą, że gonitwa nie potrwa długo. Zaledwie ujechaliśmy kilkanaście kroków, przedstawił się naszym oczom okropny widok. Na drodze leżał koń i dwa rozszarpane trupy ludzkie. Jeden z tych ludzi widocznie strzelał, bo strzelba leżała przy nim. Stanęliśmy przerażeni, nie wiedząc, co począć, ale wilki nie dały nam dużo czasu do namysłu. Kilkaset zgłodniałych zgromadziło się na polance, wyjąc przeraźliwie i gotując się na świeżą zdobycz. Na szczęście leżało na skraju lasu kilkanaście ogromnych pni, zrąbanych zapewne ubiegłego lata. Schroniliśmy się poza nie, jakby za szańce, i zsiadłszy z koni utworzyliśmy trójkąt. Konie ustawiliśmy w środku. A wielki już był czas, bo rozjuszone zwierzęta rzuciły się na nas gromadnie, warcząc wspinały się na drewniane kłody i, widocznie rozwścieczone widokiem naszych koni, usiłowały koniecznie dobrać się do nich. Kazałem dać ognia w ten sam sposób, jak poprzednio. Ludzie nasi mierzyli dobrze i kilkanaście wilków padło. Pozostałe nie cofały się jednak, ale owszem cisnęły się znowu naprzód. Daliśmy ognia po raz drugi, następnie z pistoletów. Wilki wytrzymywały ogień. Wtedy zląkłem się, że nam wkońcu zabraknie nabojów. Zawołałem więc swojego drugiego służącego, nie Piętaszka, bo ten za dobrym był strzelcem, abym go chciał odrywać, poleciłem, aby rozsypał proch wzdłuż kłód, i podałem mu go pełen róg. Szybko wykonał ten rozkaz i zaledwie zdążył ujść przed nacierającymi znowu wilkami. Skoro tylko kilkanaście wilków poczęło wdrapywać się na kłody, zapaliłem proch wystrzałem z pistoletu i nastąpił wybuch. Na tle nocy, ściemniło się bowiem tymczasem, ogień rzucił wielki popłoch na wilki. Kilka osmolonych poczęło uciekać w przerażeniu, pociągając inne za sobą. Daliśmy jeszcze dwa razy ognia z pistoletów, a następnie z wielkim krzykiem rzuciliśmy się

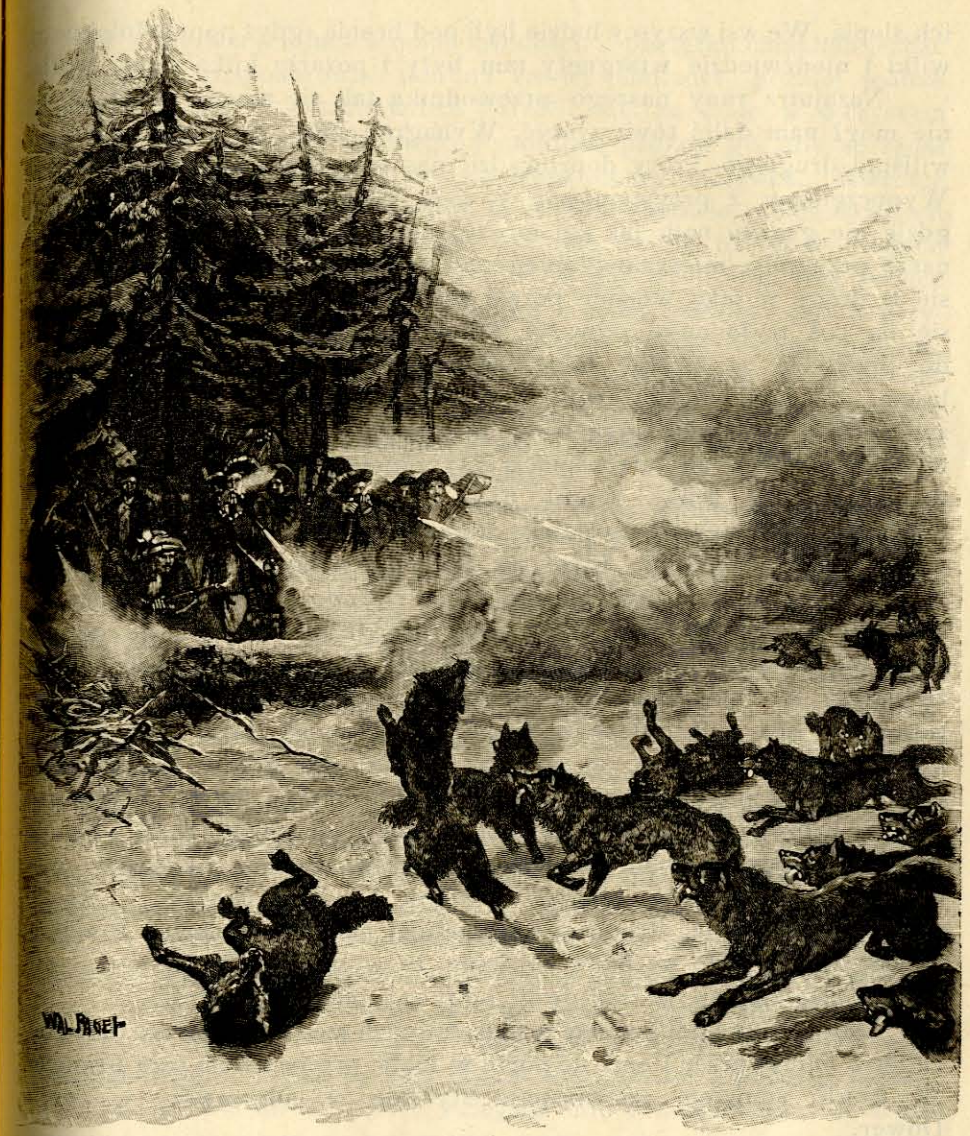

»Rozjuszone wilki rzuciły się na nas gromadnie« (str. 192).

na pokaleczone i dobijaliśmy je pałaszami. To nam dopomogło do ostatecznego zwycięztwa, bo żałośne wycia dobijanych odstraszyły resztę i wkrótce znikły wszystkie w lesie. Zabiliśmy około sześćdziesiąt wilków w tej niebezpiecznej przeprawie. W godzinę potem dojechaliśmy do wioski, gdzie mieliśmy nocować. Po drodze słyszeliśmy jeszcze wycia wilków, a nawet zdawało się nam niekiedy, że dostrzegamy błyszczące

ich ślepia. We wsi wszyscy ludzie byli pod bronią, gdyż poprzedniej nocy wilki i niedźwiedzie wtargnęły tam były i pożarły kilka sztuk bydła.

Nazajutrz rany naszego przewodnika tak się mocno zaogniły, że nie mógł nam dalej towarzyszyć. Wynagrodziliśmy go sowicie i umówiliśmy drugiego, który doprowadził nas szczęśliwie do miasta Tuluzy. Wypoczęliśmy z przyjemnością w tym pięknym, słonecznym kraju, gdzie nie groziły nam już ani mrozy, ani wilki. Gdyśmy opowiedzieli nasze przygody, mieszkańcy miejscowi dziwili się bardzo, że puściliśmy się w drogę w taką właśnie porę i żeśmy znaleźli przewodnika, który się na coś podobnego odważył. Mówili nam, że najniebezpieczniejsze do przebycia są zwykle takie leśne polanki i miejsca odkryte pod lasem, bo tam właśnie wilki swoje zasadzki zazwyczaj urządzają, zwłaszcza gdy je głód przyciśnie. Nie mogli się też dość nadziwić, że wyszliśmy cało z tak niebezpiecznej przeprawy. Gdyśmy im opowiedzieli przebieg walki, zganili nam bardzo ustawienie koni wśród oddziału. Utrzymywali, że daleko korzystniej było dla nas nie zsiadać wcale i walczyć z koni. Konie są dla wilków łupem daleko pożądańszym, niż ludzie, a ustawienie ich razem i w odosobnieniu od jeźdźców było zbyt silną przynętą i dla tego to właśnie rzucały się na nas wilki tak wściekle i tak długo ustąpić nie chciały. Dodawano jeszcze, że gdyby nie mój szczęśliwy pomysł rozsypania prochu na kłodzie, pożarłyby nas wilki niechybnie. W ostatecznym razie można było konie zostawić na łup, a samym uciekać; bo gdyby nawet część rzuciła się w pogoń za nami, odstraszylibyśmy je łatwo, będąc tak dobrze uzbrojeni. Takie było zdanie doświadczonych ludzi. Co do mnie, to nigdy w życiu nie byłem w takim strachu, jak wtedy, gdy nas ze trzysta wilków otoczyło. Gdym je ujrzał naokoło i usłyszał piekielne ich wycia, straciłem najzupełniej nadzieję ocalenia. Przejście to tak silne zrobiło na mnie wrażenie, że wolałbym chyba tysiąc mil płynąć morzem, niż po raz drugi odbywać podobną podróż.

Dalszą drogę odbywałem już bez żadnych szczególniejszych przygód. Dążąc z Tuluzy przez Paryż do portu w Kale, przejechałem całą Francyę. W Anglii stanąłem czternastego stycznia, wylądowawszy w porcie Dower.

Powróciwszy z tej uciążliwej podróży, koniecznej jednak dla uporządkowania moich interesów, mogłem wreszcie rozpocząć życie spokojne. Przedewszystkiem wymieniłem na brzęczącą monetę przywiezione z Lizbony papiery. Poczciwa moja przyjaciółka, wdowa po kapitanie, wdzięczna za przysłany jej zasiłek, pomagała mi we wszystkiem, nie szczędząc trudów i zabiegów. Miałem też do niej nieograniczoną ufność i zamierzałem powierzyć jej całe swoje mienie w razie wyjazdu. Przyjaźń tej zacnej kobiety była mi oparciem i pociechą tak samo dziś, jak

niegdyś w pierwszych latach mojej młodości. Z początku chciałem jechać do Brazylii i gospodarować tam na swojej plantacyi, później jednak zmieniłem zamiar i postanowiłem osiedlić się na stałe w ojczystym kraju. Napisałem wtedy do mego wspólnika, prosząc go, aby sprzedał moją posiadłość, w razie gdyby się trafił dobry nabywca. Wkrótce otrzymałem odpowiedź, że zakupią ją chętnie synowie moich dawnych sąsiadów i pełnomocników; dodał przytem, że są to ludzie bogaci, i że znając wartość mojej ziemi, gotowi są dać trzydzieści trzy tysiące dukatów. Zgodziłem się na te warunki a w osiem miesięcy potem przysłano mi należytość moją do Lizbony na ręce portugalskiego kapitana. Podpisałem wówczas umowę sprzedaży z zastrzeżeniem, że nowi nabywcy wypłacać mają corocznie przyjacielowi memu, portugalskiemu kapitanowi, sto dukatów, a po jego śmierci synowi pięćdziesiąt, w zamian za co opuściłem im nieco z ceny kupna.

Na tem kończę opowiadanie pierwszej części mego życia i przygód. Życie to było tak niezwykłe, tak różnymi i dziwnymi przypadkami wypełnione, że chyba mało kto przechodził podobne koleje. Rozpocząłem je jako szaleniec nierozważny, samowolnie wtrącając się w nieszczęścia, skończyłem o wiele pomyślniej, niż można było przypuszczać.

Zdawało się, że teraz powinienbym był spokojnie używać należnego mi odpoczynku, a jednak mimo wszystko, przez co przeszedłem, odzywała się we mnie dawniejsza żyłka. Nie opuściła mnie ochota podróżowania. Sprzedawszy posiadłość swoją w Brazylii, nie miałem właściwie co robić, a nie mając rodziny, prawie tęskniłem za swoją wyspą i miałem nieprzepartą ochotę powrócić do niej choć na czas krótki, aby się dowiedzieć, co robią moi biedni Hiszpanie i jak sobie dają radę z angielskimi łotrami. Wdowa, jako prawdziwa moja przyjaciółka, robiła, co mogła, aby powstrzymać mię od tego zamiaru. Ulegając jej namowom, pozostałem jeszcze lat siedem w kraju i wziąłem na wychowanie dwóch synów zmarłego mojego brata. Starszego kształciłem starannie w wyższych naukach, młodszego posłałem na morze pod opieką znanego mi kapitana. Gdy dorósł, kupiłem mu w podarku piękny okręt. Ten to właśnie synowiec wciągnął mię później w nowe podróże i przygody. Ożeniłem się też w tym czasie, robiąc bardzo szczęśliwy wybór i miałem troje dzieci: córkę i dwóch synów. Ale gdy żona mi umarła a synowiec powróciwszy z podróży do Hiszpanii, zaczął mię namawiać do zwiedzania Indyi Wschodnich, dałem się nakłonić i puściłem się z nim znów w podróż 1694 roku.

W ciągu tej podróży odwiedziłem swoją wyspę i następców moich na niej, Hiszpanów. Opowiedzieli mi oni, co się tam po moim wyjeździe działo; były to ciekawe dzieje. Zabawiłem wtedy kilka tygodni na wyspie i zaopatrzyłem osadników w rozmaite potrzebne przedmioty,

dostarczyłem im prochu, kul, odzieży, rozmaitych narzędzi rzemieślniczych a także przywiozłem z sobą z Anglii cieślę i kowala. Następnie już z Brazylii przysłałem moim osadnikom pięć krów, z tych trzy cielne, oraz kilka świń i owiec, oraz łódź żaglową.

Przed wyjazdem z wyspy podzieliłem grunta między osadników, zostawiając dla siebie dość znaczny kawał ziemi. Przyrzekli mi, że żyć będą zgodnie i gospodarować każdy na swoim kawałku. Pożegnałem ich wówczas i odpłynąłem do Brazylii. Dalsze wypadki na wyspie a także zadziwiające przygody, jakich doznałem w następnych dziesięciu latach, opowiem w drugiej części.

»Orałem własną ziemię« (str. 199).

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ XXV.

Pobyt w Anglii. — Śmierć mojej żony. — Przygotowania do wyjazdu na wyspę.

Sprawdziło się i na mnie stare przysłowie: »czem skorupka za młodu nawre, tem na starość trąci«. Po tylu zmiennych losu kolejach, po tylu nieszczęśliwych przygodach w ciągu mego trzydziestopięcioletniego przebywania na obczyźnie, wróciwszy do Anglii, pędziłem od lat sześciu życie spokojne, pełne cichego szczęścia. Porównywując jedno z drugiem, powinienbym był przeto zagłuszyć w sobie tę skłonność i upodobanie do włóczenia się po świecie. Zestarzałem się już i tyle różnych zebrałem doświadczeń, że wiedziałem nareszcie, co może człowieka uszczęśliwić. Mając 61 rok życia, powinienbym był raczej w domu spokojnie siedzieć, aniżeli myśleć o nowych awanturniczych wyprawach, zwłaszcza, że nie miałem do tego żadnego słusznego powodu. Nic mię nie zmuszało do szukania zarobku, do zdobywania majątku. To, co miałem, wystarczało dla mnie i dla moich dzieci. Żyłem skromnie, to też nawet nie wydawałem całego dochodu i co roku mogłem coś odłożyć, powiększając w ten sposób swój mająteczek.

Mimo to wszystko nie mogłem się oprzeć pokusie. Żądza dalekich podróży, jak niewyleczona zastarzała choroba, odezwała się we mnie na nowo w dawnej sile. Zwłaszcza chciało mi się koniecznie obaczyć znowu swoją wyspę i osadę na niej zostawioną. Ta myśl weszła mi tak uporczywie do głowy, żem się jej pozbyć nie mógł. W nocy miewałem sny o owej wyspie, we dnie o niej tylko myślałem tak, że wkońcu stałem się nudnym i nieznośnym dla swego otoczenia, bo o niczem innem nie chciałem i nie umiałem już rozmawiać, jak tylko o tej wyspie. Wiem dobrze, że ludzie mający zdrowy rozsądek nie wierzą w żadne duchy i zjawiska, uważając je za przywidzenia chorej wyobraźni. To pewna jednak, że gdy zamyślimy się czasem o przeszłości i przypomnimy sobie dawne nasze rozmowy z nieobecnymi lub zmarłymi przyjaciółmi, doznajemy niekiedy dziwnych złudzeń. Ludzie, o których myślimy, stają nam tak żywo w pamięci, że zdaje się nam, iż widzimy ich na jawie i że rzeczywiście z nimi rozmawiamy. Coś podobnego działo się teraz i ze mną. Tak często i długo myślałem o swojej wyspie, że mi się niekiedy zdawało, że jestem w swej obronnej zagrodzie nad morzem, i że rozmawiam z Hiszpanem, ojcem Piętaszka i z zostawionymi tam angielskimi majtkami. Czasem widywałem tych ludzi we śnie, a czasem nawet obudziwszy się przemawiałem jeszcze do nich, jak gdyby stali przedemną. Raz przyśniło mi się, że stary Karaib i Hiszpan skarżyli mi się na niegodziwości angielskich marynarzy. Opowiadali mi żałośnie, że złoczyńcy ci chcieli Hiszpanów wymordować, że niszczyli im zasiewy, spalili zapasy żywności, ażeby ich głodem pomorzyć i wogóle szkodzili im na każdym kroku. Tak byłem oburzony tem niecnem postępowaniem, że rozkazałem przyprowadzić przed siebie trzech winowajców i skazałem ich na szubienicę. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że ten mój sen mieścił w sobie część prawdy, bo Anglicy rzeczywiście sprawowali się na wyspie nikczemnie, jak zatwardziali zbrodniarze.

W tak dziwnem usposobieniu przeżyłem lat kilka. Nie miałem żadnej przyjemności, żadnej weselszej chwili, nawet żadnej rozrywki, jeżeli nie znalazłem czegoś takiego, coby mogło mieć związek z moją ulubioną myślą. Byłem już wtedy żonaty i miałem dwoje dzieci. Otóż żona moja, nadzwyczajaj dobra kobieta, widząc, co się ze mną dzieje, i chcąc mnie namówić, abym się udał w podróż, nie krępując się obowiązkiem męża i ojca, rzekła raz do mnie:

— Jeśli pragniesz tak gorąco udać się w podróż, to widocznie musi to być zgodne z wolą Opatrzności. Wprawdzie mnie samej przykro jest myśleć zarówno o podróży, jak i o rozłączeniu się z tobą; ponieważ jednak wiem, że spełniłbyś niezawodnie swój zamiar, w razie gdybym umarła, przeto, jeżeli postanowiłeś jechać... — Tu, widząc, że patrzę na nią uważnie, zmieszała się i zamilkła, a oczy zaszły jej łzami.

— Dlaczego nie kończysz? — spytałem — mów moja droga! powiedz, czy pragniesz, abym odjechał?

— Nie! — odrzekła łagodnie — tego nie pragnę, ale jeśli postanowiłeś już to uczynić a wstrzymuje cię tylko obawa pozostawienia mnie samej, to i ja pojadę z tobą, by ci w zamiarach nie przeszkadzać. Wprawdzie niebezpiecznie jest puszczać się w twoim wieku w taką drogę, ale jeśli wolą jest Niebios, abyś jechał, to przecież i ja opuścić cię nie mogę i powinnam ci towarzyszyć. Pan Bóg doda mi sił do spełnienia tego obowiązku lub tak mną rozporządzi, że nie stanę ci na przeszkodzie.

Po tej rozmowie z żoną, wzruszony głęboko jej dobrocią, zacząłem się spokojniej zastanawiać, co robić. Przedewszystkiem usiłowałem zapanować nad swą wybujałą wyobraźnią i wyzwolić się z pod wpływu urojonych widziadeł. Zrozumiałem, że w moim wieku i po tylu przebytych cierpieniach byłoby niedorzecznością porzucać spokojne, szczęśliwe pożycie domowe w ojczyźnie, a narażać się na niepewne losy i nowe niebezpieczne przygody. Zresztą w jakim celu miałbym to czynić? To, co posiadałem, wystarczało aż nadto na potrzeby nasze i naszych dzieci. Nawet gdybym chciał powiększyć majątek, mogłem tego dokazać pracując na miejscu. Nic więc nie zmuszało mię do puszczania się w daleką a niebezpieczną podróż. Nie mogłem też w to uwierzyć, by moje pragnienie wyjazdu pochodzić miało z woli Niebios, jak się to poniekąd zdawało mojej żonie, i że jest owym głosem wewnętrznym, za którym iść należy. Postanowiłem tedy zrobić to, co się w podobnych razach zawsze powinno robić, to jest pójść za głosem rozsądku. Przywidzenia wybujałej wyobraźni nawiedzały mię zawsze w chwilach bezczynności. Najskuteczniejszym środkiem na ich przytłumienie jest praca, postanowiłem przeto następnie zająć się pracą, co oczywiście, jak zawsze, najlepszem okazało się lekarstwem.

W tym celu kupiłem sobie małą wioskę i osiadłem w niej, zamieszkawszy w niewielkim lecz wygodnym domu. Gospodarstwo było zaniedbane i opuszczone, tem większe przeto pole otwierało mi się do pracy. Zaopatrzywszy się w potrzebny inwentarz żywy i martwy t. j. nakupiwszy koni, wołów, krów i narzędzi rolniczych, oddałem się tej pracy z całym zapałem, porządkując i zaprowadzając rozsądne ulepszenia w uprawie roli. Sprawiało mi to ogromną przyjemność, że mogłem drzewa sadzić, założyć ogród i sad, że mogłem orać własną ziemię, użyźniać ją, obsiewać i plony z niej zbierać. Myśl moja oddana była wyłącznie ukochanej żonie i dzieciom, czeladzi i gospodarstwu. Wioska moja położona była w głębi kraju, zdala od brzegów morza, nie widywałem tedy okrętów, nie miałem sposobności do rozmów z marynarzami a więc i pokusy mię nie nawiedzały. Żyłem w spokoju

i cichości pośród kochanego i kochającego mię otoczenia, zajęty szlachetną pracą, która i dzieciom moim zabezpieczała przyszłość. Dopiero teraz czułem, że doszedłem do tego miernego a zadawalniającego bytu, jaki mój ojciec jako najpożądańszy ze wszystkich mi zalecał. Było mi wtedy tak dobrze, tak spokojnie, jak nigdy jeszcze; dla człowieka skołatanego losem, życie takie było prawdziwem szczęściem.

Wśród tej pomyślności spadł na mnie, jak grom z Nieba, cios niespodziewany. Podobało się Opatrzności ciężko mię doświadczyć i zadać mi serdeczną ranę, z której się już nigdy uleczyć nie miałem. Cios ten zburzył moje szczęście domowe, a następnie obudził we mnie znowu ów niewyleczony popęd do włóczenia się po świecie i to do tego stopnia, że wobec niego wszystkie inne rzeczy były mi już zupełnie obojętne. Nieszczęściem, które mię spotkało i które sprawiło we mnie tę zmianę, była śmierć mojej żony.

Nie będę tu opisywał cnót mojej żony, ani też oddawał jej szumnych pochwał dla zjednania jej powszechnego podziwu; powiem tylko, że ona jedna jedyna umiała wywierać na mnie wpływ zbawienny. Była mi ona pobudką w pracy, osią wszystkich moich czynności, mądrą doradczynią, która mię odwodziła od awanturniczych planów, tak długo zaprzątających mi głowę, która umiała poskramiać we mnie namiętność do błąkania się po świecie lepiej, niż łzy matki, upomnienia ojca, lub rady przyjaciół, lepiej nawet, aniżeli mój własny rozum, którego nigdy nie słuchałem. Szczęśliwy byłem, ulegając jej łzom i dozwalając się łagodnym jej prośbom przezwyciężać. Po jej śmierci byłem niepocieszony. Uczułem się tak opuszczony, jak niegdyś po przybyciu swem do Brazylii, nawet tak samotny, jak na bezludnej wyspie rozpaczy. Nie wiedziałem, co czynić, o czem myśleć. Rozglądnąłem się naokoło, a to światowe otoczenie wydało mi się obce i wstrętne. Widziałem wszystkich zatrudnionych: jednych pracą dla utrzymania życia, drugich marnowaniem mienia na zabawy lub rozpustę; jedni i drudzy byli biedni i godni pożałowania. Próżniacy, oddani rozkoszom, gnuśnieją z każdym dniem coraz bardziej w swych występnych uciechach, aby sobie zawczasu zgotować smutek, żal i cierpienie. Pracowici zużywają wszystkie swe siły w walce o kawałek powszedniego chleba, aby się przy życiu utrzymać; walcząc z przeciwnościami, wśród nieustających trosk żyją, aby pracować i pracują, aby żyć, jak gdyby zdobycie zamożności mogło być jedynym celem życia. I przypomniałem sobie pobyt w swojem królestwie na bezludnej wyspie, gdzie ani zboża nie siałem, ani kóz nie hodowałem nad konieczną potrzebę, gdzie pieniądze nietykane leżały i zaśniedziały, bo w przeciągu dwudziestu lat ani razu do nich nie zajrzałem. Gdybym się był poważniej zastanowił, a do rady zawezwał religię i rozum, tobym był doszedł do

przekonania, że zamożność, posiadanie i używanie szczęścia w życiu zapewnić nie mogą i nie mogą być celem życia. Prócz zdobycia kawałka chleba trzeba mieć w życiu cele inne, wznioślejsze, trzeba do nich dążyć.

Ale odkąd odeszła moja kochana towarzyszka, stałem się jak okręt bez steru na morzu, zdany na łaskę wiatrów. Myśl moja poddała się młodzieńczej namiętności, a głowa pełna była awanturniczych wypraw do zamorskich krajów. Ciche przyjemności, jakich dostarczały mi dawniej obcowanie z lubą rodziną, zajęcia w polu i ogrodzie, niedawno jeszcze jedyny przedmiot mej myśli, straciły wszystek swój urok, były dla mnie tem, czem muzyka dla głuchego, albo wyborne potrawy dla człowieka pozbawionego zmysłu smaku. Pobyt w miejscach, gdziem żył szczęśliwy z żoną i gdziem ją stracił, stał mi się tak przykry, żem wydzierżawił swą wioskę i przeniósł się do Londynu. Jednakże zmiana miejsca nie ulżyła mi wcale w smutku. Londynu nie lubiłem nigdy; nie miałem tam znajomych ani przyjaciół, a nie mając żadnych obowiązków ani zatrudnienia, włóczyłem się po mieście bezczynny i na wszystko obojętny. Nie mogłem długo prowadzić takiego życia, bo wogóle miałem wstręt do próżniactwa, tej przyczyny niemal wszystkiego złego w życiu; to też prawie z tęsknotą wspominałem te czasy, gdym pracował na swojej wyspie nieraz dwadzieścia dni nad wyciosaniem jednej deski.

W początkach 1693 roku odwiedził mnie w Londynie mój synowiec, obecnie kapitan darowanego mu przezemnie okrętu. Wracał właśnie z Hiszpanii, z miasta Bilbao. Była to jego pierwsza dłuższa podróż, którą odbył już jako dowódzca okrętu. Zawiadomił mię, że teraz zamierza jechać do Indyj Wschodnich i do Chin w interesach londyńskich kupców, którzy mu powierzyli swe handlowe sprawy. Opowiedziawszy mi swe plany, rzekł do mnie: »Gdybyś zechciał mi towarzyszyć stryjaszku, moglibyśmy zatrzymać się w Brazylii, bo tamtędy właśnie wypada mi droga; obaczyłbyś swych dawnych znajomych«.

Nie domyślał się mój synowiec, do jakiego stopnia słowa jego zgadzają się z najgorętszem mojem życzeniem, ukrywanem starannie w głębi duszy. Jak ja o jego zamiarze nic nie wiedziałem, tak i on nie wiedział, że tegoż samego dnia, na parę godzin przed jego przybyciem, umyśliłem był pojechać do Lizbony dla narady z portugalskim kapitanem co do planów nowej podróży. Chciałem mianowicie poradzić się go, czyby uznał za rzecz rozsądną i praktyczną, abym odwiedził swoją wyspę, a wyrobiwszy sobie pierwej przywilej rządowy na jej skolonizowanie, zapewniający mi jej własność, zajął się następnie sprowadzeniem tam osadników, by ją zaludnić. Kiedym o tem jeszcze rozmyślał, zjawił się mój synowiec z chęcią zawiezienia mię tam.

Tak byłem zdziwiony tym osobliwszym zbiegiem okoliczności, że w pierwszej chwili nic mu nie odpowiedziałem, tylko popatrzyłem na niego badawczo. Po chwili zawołałem wzruszony:

— Zkądże ci przyszedł do głowy ten zamiar szalony? Jakaż siła złowroga przysłała cię do mnie z tem nieszczęsnem poselstwem? Synowiec mój zdziwił się bardzo temi słowy, a nawet zmieszał cokolwiek; ale gdy wkrótce spostrzegł, że się naprawdę nie gniewam i że nie jestem zbyt przeciwny jego zamiarom, zaczął dalej mówić:

— Cóż tak nieszczęsnego widzisz, stryjaszku, w tym pomyśle? Sądzę, że miło ci będzie odwiedzić ową wyspę, na której panowałeś lat tyle tak szczęśliwie, że władcy świata powinniby ci tego pozazdrościć.

Podróż taka tak bardzo przypadała do mego usposobienia i tak bardzo mi była pożądaną w ówczesnym stanie duszy, żem się dłużej nie wahał i oświadczyłem synowcowi, że chętnie towarzyszyć mu będę, nie dalej jednak, jak do swojej wyspy.

— Jakto? stryjaszku — zapytał — chciałbyś tam znów zamieszkać?

— O nie — odparłem — ale możesz przecie mnie zabrać, wracając z Indyj.

— Nie! — odpowiedział. — Wracając z naładowanym okrętem, nie mógłbym tak bardzo zbaczać z drogi. Kupcy nie zgodziliby się nigdy na takie opóźnienie o kilka miesięcy. A zresztą może zajść jaki nieprzewidziany, nieszczęśliwy przypadek, co mi przeszkodzi przyjechać po ciebie, stryjaszku, a wówczas znalazłbyś się znowu w takiem samem położeniu, jak przed laty.

Przyznałem mu słuszność. Ale i na to znalazł się sposób. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy zabrać z sobą na okręt wielką łódź żaglową, rozebraną na sztuki. Mieliśmy także wziąć z sobą kilku cieśli, a ci mogliby mi ją złożyć po przybyciu na wyspę. Mając własny statek, nie potrzebowałbym już oglądać się na nikogo, mógłbym zabawić trochę dłużej na wyspie, a potem odpłynąć do Europy.

Nie namyślałem się długo, gdyż od śmierci ukochanej mej żony nikt się o mnie tak nie troszczył, by mi miał aż odradzać. Jedna tylko wdowa po kapitanie, zawsze wierna moja przyjaciółka, usiłowała mnie powstrzymać, przedstawiając mi, żem już za stary na tak niebezpieczną drogę i że nie powinienem opuszczać drobnych dzieci; lecz to na nic się nie przydało. Odpowiedziałem jej, że coś szczególnego, coś niepokonanego popycha mię do tej podróży i że wobec tego stanu mej duszy pozostawanie w domu musiałbym poczytywać za bunt przeciw woli Opatrzności. Wtedy przestała nalegać, pomogła mi nawet w przygotowaniach do podróży, a co najważniejsza, przyrzekła wychowywać moje dzieci w czasie mojej nieobecności. Przed odjazdem zrobiłem

testament. Majątek, odpowiednio zabezpieczony, zostawiłem w pewnych rękach tak, że wcale nie potrzebowałem się obawiać skrzywdzenia dzieci po mojej śmierci. Pieniądze na żywienie i wychowywanie dzieci zostawiłem wdowie. Miałem do niej zaufanie nieograniczone i nie zawiodłem się wcale. Rodzona matka nie mogłaby otaczać dzieci większą czułością i pieczołowitością i lepiej ich wychowywać. Wróciwszy do Anglii, zastałem ją, dzięki Bogu, przy życiu i zdrową; to też starałem się okazać jej wielką swą wdzięczność za serdeczną opiekę i prawdziwe poświęcenie się dla moich dziatek.

»Wdowa usiłowała mię powstrzymać« (str. 202).

Synowiec mój miał wypłynąć na morze w początkach stycznia 1694 roku. W dniu ósmym stycznia wsiadłem razem z Piętaszkiem na okręt w porcie Dunes, na wschodnich wybrzeżach Anglii. Prócz wielkiej łodzi, o której już wspomniałem, zabierałem z sobą wielką ilość rozmaitych przedmiotów, przeznaczonych dla moich osadników. Zabrałem też z sobą kilku służących i rzemieślników, którymi chciałem zaludnić swoją wyspę. Mieli oni być na moje usługi przez czas mego tam pobytu, następnie zaś powróciliby ze mną, lub osiedliby na wyspie, stósownie do własnego życzenia. Wziąłem także dwóch cieśli, kowala i bednarza, człowieka bardzo zręcznego i przemyślnego w swem rzemiośle, który

również był zdatny do wielu mechanicznych zatrudnień, bo potrafił wyrabiać wszystko, cokolwiek z drzewa i gliny wyrobić można. Zazwyczaj nazywaliśmy go Jakóbem, naszym majstrem do wszystkiego. Wziąłem także i krawca, który prosił mego synowca, aby go zabrał z sobą do Indyi, a potem zgodził się na to, że osiędzie na wyspie. Człowiek ten stał się niezmiernie użyteczny nie tylko dla swego rzemiosła, lecz i z wielu innych względów; potrzeba, jak to już na innem miejscu powiedziałem, dodaje nam zręczności we wszystkich możebnych pracach. Ładunek mój okrętowy, o ile sobie przypomnieć mogę, składał się z płótna i lekkich materyj angielskich na odzież dla Hiszpanów, których spodziewałem się zastać na wyspie. Przywiozłem tego tyle, że im na siedem lat wystarczyć mogło. I jeżeli mię pamięć nie zawodzi, to wartość tych wszystkich rzeczy, jakoteż rękawiczek, kapeluszy, trzewików, pończoch i t. d., przechodziła dwieście funtów szterlingów, licząc w to kilka łóżek, pościel i inne gospodarskie sprzęty oraz kuchenne: garnki, rądle miedziane i blaszane. Nadto powiozłem przeszło za sto funtów szterlingów żelaziwa, jakoto: narzędzi rozmaitego gatunku, gwoździ, haków, zawias, zamków i t. p. Zabrałem także przeszło sto sztuk broni rozmaitej: strzelb, pistoletów, dalej ze sto beczułek prochu, znaczną ilość ołowiu i kul rozmaitego kalibru oraz dwie niewielkie armatki, a oprócz tego kilkadziesiąt szabel, nożów myśliwskich, grotów żelaznych do dzid i t. p. tak, żeśmy mieli wielki zapas różnych potrzebnych rzeczy. Namówiłem synowca, aby zabrał dla siebie na pokład jeszcze dwa nadliczbowe działa, któreby nam mógł odstąpić w razie potrzeby, bo chciałem wznieść na wyspie obronny zameczek dla tem pewniejszego utrzymania jej w naszem posiadaniu. Okaże się w dalszym ciągu opowiadania, jak bardzo przydało się to wszystko, com z sobą zabrał, oraz że przezorność moja i dostarczenie należytego uzbrojenia nie były zbyteczne.

ROZDZIAŁ XXVI.

Pożar na morzu. — Ratujemy francuskich marynarzy. — Nowe spotkanie. — Okropności głodu.

W tej podróży nie byłem tak nieszczęśliwy jak w poprzednich, chociaż z początku niepogody i wichry niepomyślne zatrzymywały nas w drodze tak, że zaczynałem już przypuszczać, że i ta podróż nie powiedzie mi się i że przeznaczeniem mojem jest tęsknić za morzem, dopóki znajduję się na lądzie, a doznawać nieszczęść, ilekroć dostanę się na morze. Pchani przeciwnym wiatrem ku północy, byliśmy zmuszeni zarzucić kotwicę w Galway, wielkim porcie w zachodniej Irlandyi, i przeczekać tam trzy tygodnie z górą. Przeciwność tę wynagrodziliśmy sobie w inny sposób. Żywność w tym porcie znajdowała się w wielkiej obfitości i była bardzo tania, zamiast przeto zużywać zasoby okrętowe, powiększyliśmy jeszcze ich ilość przez zakupy. Zabrałem na okręt kilka żywych wieprzów, dwie krowy z cielętami i umyśliłem zawieźć je na wyspę, jeżeliby mi szczęście posłużyło dostać się do niej tym razem; lecz inna do ich użycia nastręczyła nam się potem sposobność.

Wypłynęliśmy z portu w Galway w dniu piątym lutego; przez jakiś czas mieliśmy wiatr bardzo pomyślny. Dwudziestego tegoż miesiąca późnym wieczorem przyszedł do naszej izdebki oficer okrętowy, odbywający straż na pokładzie i powiedział nam, że właśnie widział światło na morzu i słyszał wystrzał armatni. Nie skończył jeszcze mówić, gdy wpadł chłopiec okrętowy, posłany przez sternika, z wiadomością, że słyszał drugi wystrzał. Wybiegliśmy na pokład, chcąc obaczyć, co się dzieje, i już za kilka minut ujrzeliśmy wielką łunę daleko w stronie zachodniej. Wiedzieliśmy, że na 500 mil wokoło niema żadnego lądu, a więc okręt jakiś palić się musiał na pełnem morzu i to niezbyt daleko, skoro było słychać armatnie strzały. Skierowaliśmy nasz okręt w tę stronę. Prócz coraz większej łuny nie mogliśmy jeszcze nic innego obaczyć, bo mgła nam przeszkadzała. Dopiero może w pół godziny, słabym wiatrem popychani, zbliżyliśmy się tak, żeśmy mogli widzieć wielki żaglowiec płonący. Widok ten przejął nas zgrozą i głębokiem współczuciem dla biednych ludzi, znajdujących się na okręcie. Przypomniałem sobie zaraz, jak to niegdyś uratował mnie kapitan portugalski, i postanowiłem przyjść z pomocą nieszczęśliwym, których położenie było o wiele gorsze, niż moje wówczas. Natychmiast kazałem dać pięć strzałów armatnich, aby zagrożonym dać poznać, że pomoc jest w pobliżu i że powinni ratować się na łodzie, było bowiem tak ciemno,

że dostrzedz nas nie mogli, a i my widzieliśmy tylko płomienie na statku. Patrzyliśmy wciąż ną palący się okręt, świtu czekając, gdy nagle płomienie zajaśniały żywiej, a cały statek wyleciał w powietrze. Wkrótce wszystko zgasło i zapanowała zupełna ciemność, co było znakiem, że resztki okrętu zatonęły. Straszny i przerażający to był wypadek. Nie wiedzieliśmy, jaki los spotkał osadę, czy padli ofiarą wybuchu, czy też zdołali się schronić na łodzie i błądzą gdzie po oceanie? Ciemno było tak, że o kilka kroków nic nie można było odróżnić, kazałem więc pozawieszać naokoło okrętu zapalone latarnie i kiedy niekiedy dawać strzały, aby rozbitkom dać znać, że okręt jest w pobliżu, i wskazać do niego kierunek. Około godziny ósmej zrana dostrzegliśmy przez lunetę dwie łodzie przepełnione ludźmi i bardzo zanurzone w wodzie. Walcząc z przeciwnym wiatrem, wiosłowali w naszą stronę i robili różne wysiłki, abyśmy ich mogli dostrzedz. Wywiesiliśmy natychmiast chorągiew na znak, żeśmy ich dostrzegli, a rozwinąwszy żagle popłynęliśmy prosto ku nim. W niespełna pół godziny zbliżyliśmy się do nich i zabrali na nasz statek sześćdziesięt cztery osób: mężczyzn, kobiet i dzieci, bo wielu podróżnych było między nimi.

Dowiedzieliśmy się, że spalony okręt był francuski, kupiecki, że płynął z Ameryki północnej, z francuskiej Kanady, z miasta Kwebek, do Francyi. Kapitan opowiedział nam szczegołowo o swojem nieszczęściu. Ogień wszczął się z początku na tyle okrętu wskutek nieuwagi sternika. Dostrzeżono go wprawdzie natychmiast i ugaszono w pierwszej chwili. Ale kilka zrazu niedostrzeżonych iskier padło w inne niedostępne miejsca, gdzie ich niepodobna było stłumić, a ztamtąd dostał się ogień do środka okrętu i rozszerzył tak nagle, iż żadna siła ludzka pokonać go już nie mogła. Widząc, że niema ratunku, schronili się na łodzie na szczęście dość obszerne, aby wszystkich pomieścić. Prócz dwóch wielkich łodzi, zaopatrzonych w żagle i wiosła, mieli jeszcze niewielkie czółno; naładowali je żywnością i wodą. Znajdując się tak daleko od lądu, nie mogli mieć wielkiej nadziei ratunku, słusznie jednak mniemali, że skoro zdołali się ocalić z pożaru, to mogą też natrafić na jakiś okręt, który ich na pokład zabierze. Mieli kompas; postanowili byli płynąć w kierunku Nowej Fundlandyi, przypuszczając, że dostaną się do lądu przy pomyślnym wietrze, który właśnie wiał od południowego wschodu. Przy bardzo wielkiej oszczędności mogłyby im zapasy żywności i wody wystarczyć na dni dwadzieścia t. j. na przeciąg czasu, który wedle obliczeń kapitana potrzebny był, aby dostać się do lądu. Ale mimo to wszystko tylko cudem mogliby się byli w ten sposób uratować, bo ileż to wypadków mogło cały ten plan w niwecz obrócić. Burze mogłyby ich zatopić, deszcze i zimna zmrozić, przeciwne wiatry zepchnąć z obranej drogi i zanieść gdzieś na dalekie morza, gdzieby z głodu zginąć musieli.

Wśród takich narad, pośród powszechnego zwątpienia i rozpaczy usłyszeli niespodziewanie nasz pierwszy strzał a potem cztery następne. To napełniło ich otuchą i pokrzepiło ich odwagę, pozwalając żywić nadzieję, że w pobliżu jest okręt, który ich uratuje. Ponieważ wiatr przynosił im odgłos naszych strzałów, przeto zwinęli natychmiast żagle, aby się módz do rana na miejscu zatrzymać. Po chwili nie słysząc z naszej strony żadnego więcej znaku, dali trzechkrotnie ognia ze strzelb, ale myśmy tych strzałów nie słyszeli, bo wiatr uniósł je w przeciwną stronę. Wkrótce

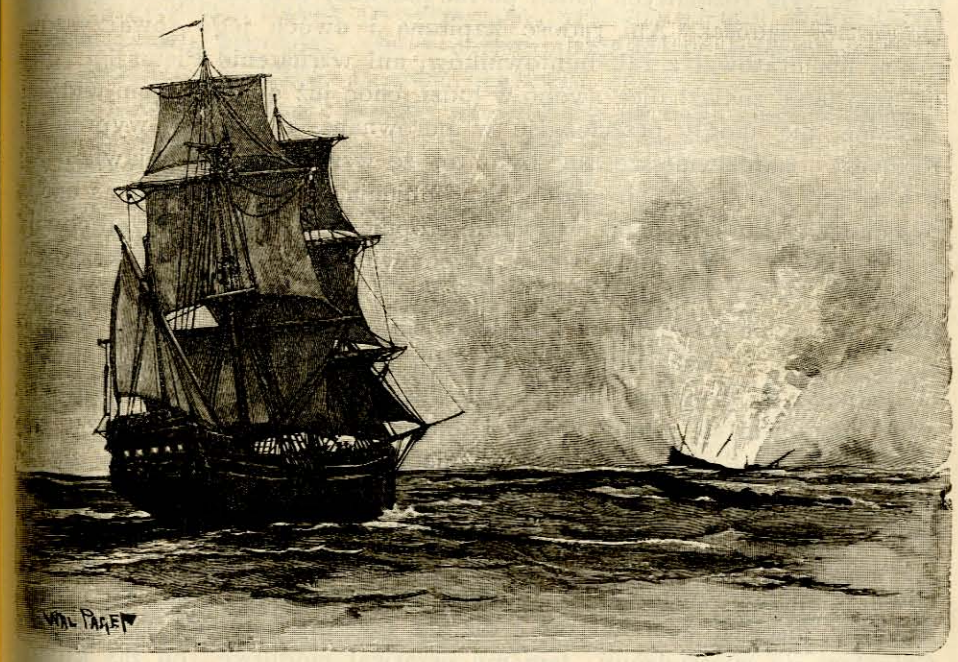

»Cały statek wyleciał w powietrze« (str. 206).

potem spostrzegli światła latarni na naszym okręcie i usłyszeli dalsze strzały armatnie, poczęli tedy wiosłować, aby się utrzymać w naszym kierunku i o ile możności zbliżyć. Gdy wreszcie rano spostrzegli, że ich widzimy, niewymowna radość napełniła im serca.

Nie potrafię opisać, w jak rozmaity sposób objawiali uratowani swą radość, dostawszy się na nasz pokład. Łatwiej dać wierny obraz strachu, smutku i rozpaczy, niż nagłej i niespodziewanej radości, objawiającej się w tak gwałtowny sposób. Niektórzy z uratowanych bijąc się w piersi, zalewali się łzami, inni wpadali w osłupienie, inni znów oddawali się szalonym wybuchom, biegając wzdłuż pokładu okrętowego krzycząc, tupiąc, załamując ręce, śmiejąc się, śpiewając i tańcząc, jak

opętani, inni wreszcie wpadali w omdlenie lub dostawali wymiotów. Niektórzy tylko żegnali się pobożnie i dziękowali Bogu za ocalenie, modląc się przykładnie. Nie dziwiłem się wcale ich radości, ale zdawało mi się, że objawiają ją zbyt gwałtownie i że za mało umieją panować nad sobą. Tylko kilku z nich potrafiło przyjąć pomyślną zmianę losu ze spokojem i godnością. Prawda, że wszyscy ci ocaleni byli Francuzami, a naród ten słynie z żywości charakteru i gwałtowności uczuć. Ale też muszę wyznać, że ja, com się błąkał wśród tylu narodów, widywałem tylu rozmaitych ludzi, po raz pierwszy w życiu widziałem takie szaleństwo radości. Ani radość kapitana i dwóch jego towarzyszów, gdym ich uratował z rąk buntowników, ani wzruszenie Piętaszka, gdy niespodzianie znalazł ojca swego w łodzi, choć już do tego, com widział, zbliżone, nie mogły przecież iść w porównanie z tem, co wyprawiali Francuzi. Najdziwniejsze zaś było to, że wzruszenie nie objawiało się u każdego z nich inaczej, według usposobienia, ale jedna i ta sama osoba przechodziła kolejno przez wszystkie stopnie. I tak ten, co przed chwilą stał osłupiały i niezdolny słowa przemówić, zaczynał nagle krzyczeć, śpiewać, tańczyć, targał na sobie ubranie, potem zalewał się łzami, popadał następnie w omdlenie i zdawało się, że skona za chwilę. Działo się to prawie ze wszystkimi tak, że nasz lekarz okrętowy biegać musiał od jednego do drugiego, by ich ratować i leczyć. Pomiędzy uratowanymi znajdował się młody ksiądz i ten jeden okazywał moc duszy, siłę moralną i umiał zachować się poważnie i spokojnie. Dostawszy się na nasz okręt, padł krzyżem na pokładzie. Gdym zbliżył się do niego sądząc, że omdlał, podniósł się i powiedział mi zupełnie spokojnie, że czyni Bogu dzięki za swe ocalenie i prosił mię, abym go na kilka chwil w spokoju zostawił, bo dopiero po dopełnieniu tego, co winien Stwórcy, uiści się z obowiązku i dla nas i wyrazi nam swą wdzięczność. Cofnąłem się zawstydzony, żem mu przerwał modlitwę, on zaś klęczał jeszcze kilka minut, następnie zbliżył się do mnie i dziękował w serdecznych wyrazach za uratowanie życia tylu ludziom. Odpowiedziałem na to, że nie nam, lecz Bogu należy się za to wdzięczność, oraz że i ja winienem złożyć dzięki Najwyższemu, że zechciał nas użyć za narzędzie Swego miłosierdzia, przeznaczając do uratowania życia tak wielkiej liczbie Jego stworzeń. Po tej rozmowie zajął się młody ksiądz swymi rodakami, przemawiał do nich, nakłaniał do wspólnej modlitwy i uspakajał według możności.

Jeżeli ludzie ci mogli z radości popełniać tak szalone wybryki, czegóżby się nie dopuścili pod wpływem gniewu, zemsty i innych podobnych uczuć i popędów. Umyślnie zapisuję tu te szczegóły, aby wykazać, jak należy panować nad gwałtownymi wybuchami uczuć i nie poddawać się im bez oporu, bez względu na to, czy radość lub smutek są ich przyczyną.

Postępowanie naszych gości było dla nas nieprzyjemne i przykre. Dopiero na drugi dzień, gdy każdy z nich się wyspał i wypoczął porządnie, przedstawili się nam zupełnie inaczej. Francuzi znani są z ogłady i uprzejmości; to też i rozbitkowie nasi, ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia, wyglądali na zupełnie innych ludzi. Z sercem przepełnionem wdzięcznością dziękowali nam za ocalenie, a kapitan i młody ksiądz przemawiali w imieniu wszystkich. Kapitan chciał nadto zasięgnąć naszej rady, co z sobą dalej mają począć? Powiedział nam naprzód, że uratowaliśmy im życie, że wszystko, co posiadali, nie było dostateczne do wynagrodzenia takiej przysługi, że posiadają jeszcze wyratowane z tego pożaru pieniądze, srebra i inne przedmioty wielkiej wartości i obowiązani są wszystko to nam ofiarować, jeżeli zechcemy przyjąć; jedynie o to nas proszą, abyśmy ich dowieźli na takie miejsce, zkądby mogli do Francyi powrócić. Synowiec mój był zrazu tego zdania, żeby przyjąć od nich pieniądze, a potem naradzić się, co możemy dla nich uczynić; lecz ja się na to nie zgodziłem, bom wiedział dobrze, co to jest być wysadzonym na ląd w obcym kraju bez żadnego zasobu. Gdyby kapitan portugalski, który mię przyjął na morzu, podobnie ze mną był postąpił i zabrał wszystko, cokolwiek wziąść mógł odemnie za wybawienie moje, byłbym umarł z głodu, lub też zostałbym przywiedziony do tego stopnia nędzy, iż możeby mi było przyszło stać się takim samym niewolnikiem w Brazylii, jakim byłem w Sale, z tą jedynie różnicą, żebym nie do mahometanina należał; a może Portugalczyk nie byłby lepszym panem od Maura, jeżeli nawet z wielu względów nie gorszym od niego. Oświadczyłem więc kapitanowi francuskiemu, żeśmy wprawdzie wyrwali ich z wielkiego nieszczęścia, lecz był to nasz obowiązek dać ratunek bliźniemu, jak i my nawzajem pragnęlibyśmy otrzymać go w takiejże samej ostateczności; uczyniliśmy więc dla nich tylko to, co oni sami uczyniliby pewnie dla nas w takim razie; przyjęliśmy ich na swój okręt dla ocalenia im życia, a nie dlatego, żebyśmy ich obdarli; byłby to czyn nieludzki ogołocić ich z tego, co z pożaru jeszcze uratować zdołali, i potem zostawić na obcym lądzie; byłoby to toż samo, co wyrwać ich bałwanom morskim i potem skazać na śmierć głodową. Odpowiedziałem więc stanowczo, że nic od nich za ratunek nie przyjmiemy. Objaśniłem ich dalej, że wysadzenie ich na ląd przedstawia wielkie trudności, ponieważ płyniemy do Indyj Wschodnich. I tak zboczyliśmy już z drogi aż zanadto ku zachodowi wskutek wiatrów przeciwnych, a chociaż stało się to widocznie z woli Bożej, abyśmy ich mogli ocalić, to jednak niepodobna nam z ich powodu zmieniać kierunek drogi. Musimy teraz wynagrodzić czas stracony, tembardziej, że synowiec mój odbywa tę podróż na koszt kupców angielskich i nie może zawodzić ich zaufania. To tylko możemy dla nich uczynić, że będziemy

się trzymali w pobliżu drogi, którą okręty z Zachodnich Indyj do Europy powracają, aby spotkać jakiś okręt, któryby ich mógł przewieść do Anglii lub Francyi.

Pierwszej części mojej przemowy wysłuchali Francuzi z zachwytem i wdzięcznością, ale za to druga przeraziła podróżnych zwłaszcza, gdy się dowiedzieli, że może im grozić przymusowa podróż do Indyj Wschodnich. Zaczęli wówczas przedstawiać, że skoro już tak daleko zapędziliśmy się na zachód, to moglibyśmy dowieść ich jeszcze do Nowej Fundlandyi, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa będą mogli nająć statek, który ich dowiezie do Kanady, zkąd właśnie płynęli. Po namyśle uznałem ich prośbę za słuszną i rozsądną. Wieźć tylu ludzi do Indyj Wschodnich wbrew ich woli byłoby nieludzkością, a przytem i niemożliwością, bo zabrakłoby nam zapasów żywności dla tak licznej osady. Przedstawiłem więc synowcowi memu, że nie będzie to żadną z naszej strony nieuczciwością, jeśli popłyniemy jeszcze dalej na zachód, zmuszeni do tego nieprzewidzianym wypadkiem; skoro już raz ocaliliśmy życie tym ludziom, to powinniśmy ich dowieść do bezpiecznego lądu a to zarówno ze względu na nich, jak i na siebie samych. Stanęło więc na tem, że zawieziemy ich do Nowej Fundlandyi; gdyby zaś zamiarowi temu przeciwne wiatry przeszkodziły, to postaramy się dowieść ich do francuskiej wyspy Martyniki, należącej do grupy wysp zwanych Małe Antylle. Mieliśmy piękną pogodę i wiatr pomyślny. Po drodze spotkaliśmy dwa francuskie okręty powracające do Europy, ale żaden z nich nie mógł przyjąć naszych rozbitków z braku dostatecznej żywności na tak daleką przeprawę. Po tygodniu spotkaliśmy już w pobliżu Nowej Fundlandyi mały statek. Nająwszy go, przesiedli się nań zaraz Francuzi i popłynęli do lądu, by się zaopatrzyć w zapasy żywności na podróż do Francyi. Pozostał z nami tylko młody ksiądz francuski, prosząc, abyśmy go dowieźli do Indyj Wschodnich, do Koromandelu. Zgodziliśmy na to chętnie, gdyż polubiliśmy go bardzo. Prócz niego przyłączyło się do nas jeszcze czterech francuskich majtków, dzielnych i wyćwiczonych w swojem rzemiośle marynarzy.

Teraz zwróciliśmy się na południe i płynęliśmy przez dni dwadzieścia w kierunku południowym i wschodnio-południowym, zmierzając do Indyj Zachodnich. W tej drodze mieliśmy znowu sposobność przyjść z pomocą ludziom, będącym w równie straszliwem położeniu.

W dniu dziewiętnastym marca 1694 r. będąc pod dwudziestym siódmym stopniem i pięć minut szerokości północnej, zobaczyliśmy daleko przed sobą wielki okręt. Płynąc dalej w tym kierunku spostrzegliśmy następnie, że okręt ten nie ma tak głównego, jak przedniego i tylnego masztu. Wkrótce usłyszeliśmy dany z tego okrętu wystrzał armatni, wzywający nas na ratunek. Wiatr był pomyślny, to też

niebawem podpłynęliśmy tak blizko, że można się było rozmówić. Był to okręt z Brystolu, nadmorskiego miasta w zachodniej Anglii. Stał w przystani angielskiej wyspy Barbados, w Małych Antyllach. Miał właśnie wracać do Anglii, lecz jeszcze nie był przygotowany do drogi, gdy w czasie nieobecności kapitana i sternika, bawiących na lądzie, zerwał

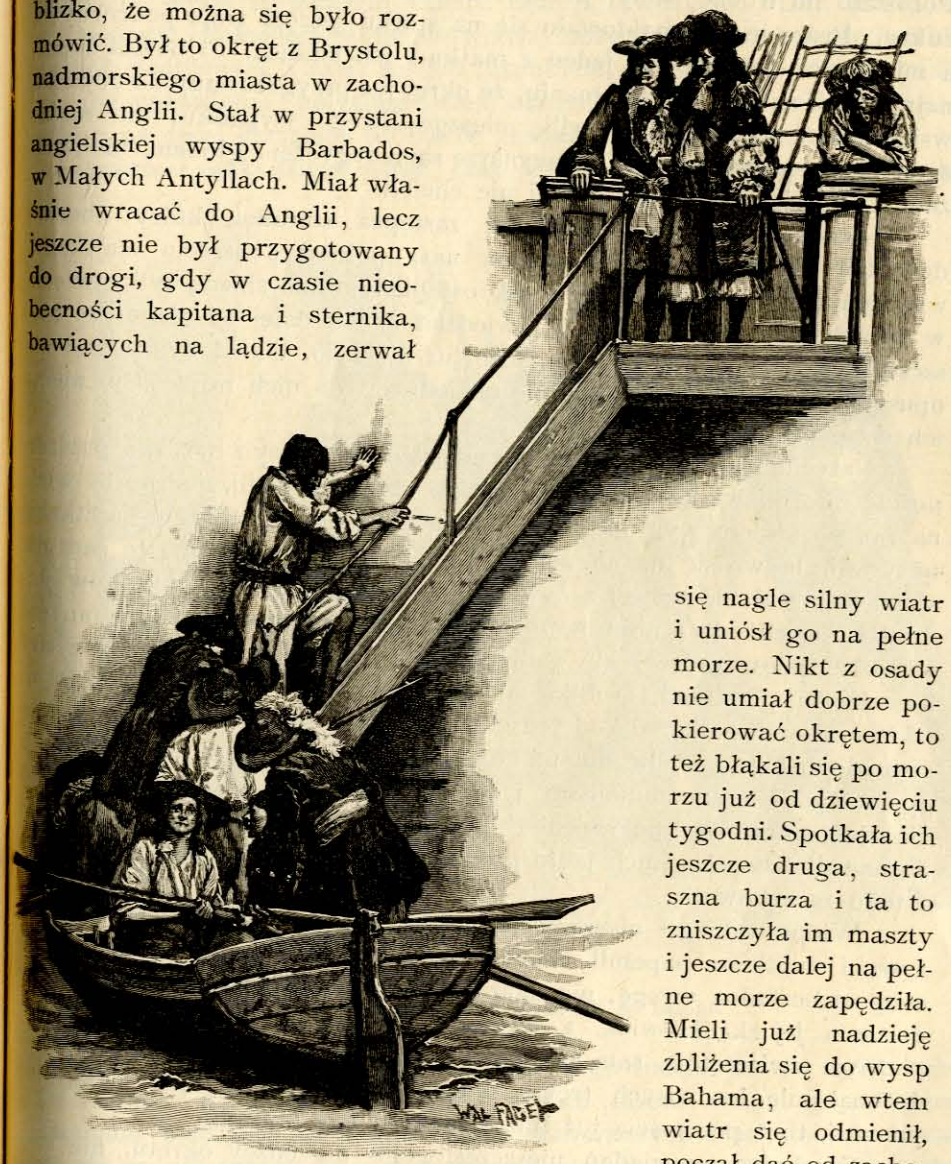

»Zastępca sternika przybył do nas z sześciu majtkami« (str. 212).

się nagle silny wiatr i uniósł go na pełne morze. Nikt z osady nie umiał dobrze pokierować okrętem, to też błąkali się po morzu już od dziewięciu tygodni. Spotkała ich jeszcze druga, straszna burza i ta to zniszczyła im maszty i jeszcze dalej na pełne morze zapędziła. Mieli już nadzieję zbliżenia się do wysp Bahama, ale wtem wiatr się odmienił, począł dąć od zachodu i unosił ich ku wschodowi, bo nie mając żagli, nie mogli okrętem kierować; starali się przeto dostać do wysp Kanaryjskich. Lecz najsmutniejsze w ich losie było to, że z każdym dniem coraz większy głód im dokuczał. Od jedenastu dni nie mieli już mięsa ani chleba.

Pozostało im trochę wody, pół beczki mąki i kilka baryłek rumu oraz cukru. Prócz osady znajdowało się na statku jeszcze troje podróżnych, a mianowicie młodzieniec jeden z matką i ich służąca. Ci biedni ludzie najwięcej cierpieli. W mniemaniu, że okręt już przygotowany do odjazdu, wsiedli nań wieczorem w wilię nieszczęśliwego wypadku, nie mając żadnych zapasów żywności. Marynarze sami zagrożeni głodem, nie mieli żadnej litości i dzielić się z nimi nie chcieli

Szczegóły te opowiedział mi zastępca sternika, który obecnie dowodził okrętem; przybył on na nasz pokład z sześciu majtkami, wyglądającymi jak szkielety, a tak osłabionymi, że zbiedą tylko wiosła w rękach utrzymać zdołali. Dowiedziałem się dalej od niego, że nieszczęśliwa rodzina podróżnych może już nie żyje, bo od dwóch dni nie opuszcza swej izdebki, a nikt nie ma odwagi do nich zajrzeć, bo niema ich czem posilić.

Natychmiast wzięliśmy się do udzielenia pomocy z możliwą przezornością, bo obawialiśmy się, aby sobie nie zaszkodzili, jedząc za wiele na raz po takiem wygłodzeniu. Zastępca sternika, którego kapitanem nazywali, ledwo się na nogach trzymał; oświadczył nam, że sam dla siebie nie brał nic więcej z żywności nad to, co między majtków rozdzielał; dzielił się z nimi najmniejszym kawałkiem. Kazałem mu dać odrobinę mięsa radząc, aby jadł ostrożnie i zwolna; lecz zaledwie trzy kawałeczki przełknął, zrobiło mu się już niedobrze tak, że musiał na jakiś czas wstrzymać się od jedzenia. Wtedy lekarz nasz dał mu lekarstwa do rosołu i wypić mu to kazał; dopiero ta mięszanina pokrzepiła go trochę. Nie zapomnieliśmy i o majtkach. Biedacy ci raczej połknęli niż zjedli dane im pożywienie, bo prawie obłąkania umysłu z głodu doznawali. Dwóch z nich jadło z taką żarłocznością, że nazajutrz ciężko z tego zachorowali.

Widok takiego nieszczęścia, takiej nędzy ludzkiej, wzruszył mię żywo i smutkiem napełnił. Stanęła mi w pamięci chwila, gdym, wyrzucony na bezludną wyspę, nie miał ani kęsa pożywienia, nie miał nadziei dostania jej zkądkolwiek, a dręczony był obawą, że lada chwila drapieżnym zwierzętom sam za pożywienie służyć będę. Szczególniej zadotknął mię los owych trojga podróżnych, którzy, jeżeli jeszcze nie pomarli, to z pewnością już blizcy śmierci być musieli.

Słuchając opowiadań nieszczęśliwego dowódzcy okrętu, nie zwlekaliśmy z ratunkiem zgłodniałej osady, na statku pozostałej, lecz zaraz wysłaliśmy na większej łodzi oficera z dwunastu majtkami, by tam chleba i mięsa zawieźli. Lekarz nasz polecił im, aby sami zajęli się gotowaniem i kuchni pilnie strzegli przed zgłodniałymi, by ci surowego mięsa z kotła nie porwali; zapowiedział im nadto, aby po ugotowaniu rosołu rozdzielali pożywienie tylko w bardzo małych ilościach

Przezorność ta uratowała tych biednych ludzi; byliby oni z pewnością sami na siebie sprowadzili śmierć tem pożywieniem, które im miało życie ocalić. Poleciłem też oficerowi, aby natychmiast udał się do izdebki trojga podróżnych i zajął się ich ratunkiem, do czego posłużyć miało płynne pożywienie, umyślnie przez lekarza przygotowane. Nie poprzestając na tem, chciałem osobiście zbadać, w jakim stanie znajdują się marynarze i uszkodzony okręt, oraz dopilnować wykonania danych już

» . . . byliby zgłodniali wtargnęli do kuchni«.

poleceń, a ponieważ zastępca sternika i jego ludzie już się byli trochę pokrzepili i zabierali do powrotu, przeto razem z nimi popłynąłem. Zastałem biedaków na statku bardzo wzburzonych i usiłujących dostać się do na pół surowego jeszcze mięsa. Gdy bez skutku pozostały usiłowania, aby ich uspokoić i do cierpliwości nakłonić, postawił mój oficer przy drzwiach kuchni straż, która siłą musiała ich odpierać, a jednocześnie rozdawał im po kawałku suchary maczane i rozmiękczone w rosole. Ale niewiele to skutkowało tak, że gdybym był nie przybył właśnie wtedy ze sternikiem, byliby zgłodniali niezawodnie wtargnęli do kuchni

i splądrowali wszystkie garnki i kotły, bo same słowa nie są w stanie zapanować nad zgłodniałym żołądkiem. Przemówiłem, uspakajając zebranych i obiecując, że wkrótce zostaną nasyceni, następnie zaś pomogłem porucznikowi w stopniowem rozdzielaniu jadła.

Najopłakańszy widok przedstawił się nam w izdebce podróżnych. Ludzie ci, jak już wyżej wspomniałem, nie zabrali z sobą żadnych zapasów i byli zupełnie na łasce osady okrętowej. Marynarze udzielali im z początku jadła bardzo mało, później zaś, obawiając się, że im samym zabraknie żywności, zupełnie przestali się zajmować nieszczęsnymi podróżnymi do tego stopnia, że ci od pięciu czy sześciu dni już całkiem nic, a poprzednio prawie tak jak nic nie jedli. Opowiedzieli mi marynarze, że biedna matka, osoba zdaje się dość zamożna, niemal każdy kęs od ust sobie odejmowała, aby tylko synowi więcej się dostało. Oficer nasz, wszedłszy do izdebki, zastał ją siedzącą na ziemi pomiędzy dwoma krzesłami, opartą plecami o ścianę izdebki, z głową zwisłą na ramiona tak, że wyglądała na umarłą, choć jeszcze była przy życiu. Usiłował on ją przywołać do przytomności i wlał jej w usta łyżkę rosołu. Poruszyła trochę ręką, ale słowa nie mogła przemówić; rozumiała jednak wszystko, co do niej mówiono i czyniła znaki, że jej już nic nie pomoże, oraz wskazała na syna, jakby chciała dać poznać, że jego natomiast należy ratować. Wzruszony niezmiernie tą macierzyńską miłością, robił co mógł, aby ją uratować. Wszystko to było już za późno, bo umarła tej samej nocy. Ów syn ukochany, którego biedna matka, siebie poświęcając, ocaliła, leżał na łóżku nieprzytomny, ale jeszcze żywy; miał on w zębach resztki gryzionej rękawiczki, usiłując widocznie w ten sposób głód uciszyć. Młody, a przez to silniejszy od matki, przyszedł on do siebie po wlaniu mu kilku łyżek rosołu do gardła. Wprawdzie potem, gdy wypił go trochę więcej, zachorował i dostał wymiotów, ale ostatecznie odzyskał zdrowie. Trzeba się jeszcze było zająć służącą. Biedna dziewczyna, walcząc ze śmiercią, leżała na ziemi obok swej pani tak sztywna, żeśmy jej nie mogli z miejsca poruszyć. Jedną ręką trzymała się mocno za nogę krzesła, drugą zaciśniętą miała we włosach, nogi zaś jej zaplątane jedna o drugą i silnie skurczone, oparte były o stół. Dowiedziałem się później, że biedna dziewczyna cierpiała nie tylko z głodu, ale także i z żalu nad swoją panią, na której męczarnie patrzyła przez dni kilka. Nie wiedzieliśmy, co z nią począć, bo mimo, że lekarz nasz udzielił jej wszelkiej możliwej pomocy, wszelkich potrzebnych starań, nie przychodziła jednak do przytomności przez długi czas, a i potem przez pewien czas była jakby trochę obłąkana.

Ktokolwiek odbywał morskie podróże, zrozumie łatwo, że nie wolno marynarzowi zatrzymywać się wśród drogi bez ważnej przyczyny i że

odwiedziny na morzu nie są tem samem, co na lądzie wizyty u sąsiada, gdzie można się dłużej zabawić. To też spełniwszy swój obowiązek względem zgłodniałej osady, nie mogliśmy się zgodzić na ich żądania, aby bieg naszego statku zwolnić i przez jakiś czas razem z nimi płynąć; chcieliśmy tegoż samego dnia udać się w dalszą drogę. Wtedy ich sternik, zastępujący obecnie miejsce kapitana, prosił nas, abyśmy im przynajmniej pomogli w urządzeniu naprędce głównego i tylnego masztu. Przystaliśmy na jego prośby i zatrzymaliśmy się jeszcze trzy dni, a potem odpłynęliśmy dalej, zaopatrzywszy go na dalszą drogę w pięć beczek solonej wołowiny, jedną beczkę wieprzowiny, dwa wory sucharów a także mąkę, groch i inne rzeczy, o ile tylko mogliśmy im je odstąpić. Oni dali nam w zamian trzy paki cukru i kilka beczułek araku. Na usilne prośby zabraliśmy z sobą osieroconego młodzieńca wraz ze służącą, gdyż nie chciał w żaden sposób pozostać na statku, gdzie tak wielkie spotkało go nieszczęście. Miał on około lat siedemnastu, był przystojny, miły, skromny, dobrze wychowany i rozsądny. Po śmierci matki nie mógł się uspokoić, zwłaszcza że właśnie niedawno utracił ojca na wyspie Barbados. Prosił on mnie za pośrednictwem naszego lekarza o przyjęcie go na nasz statek, nie chcąc, jak powiadał, pozostawać dłużej wśród zabójców swej matki. I do pewnego stopnia miał słuszność, mianując tych ludzi mordercami, bo gdyby byli udzielali biednej kobiecie choć po odrobinie żywności codziennie, to z pewnością nie byłaby zginęła tak okropną śmiercią. Niestety! głód nie zna przyjaźni ani litości, słuszności ani prawa i robi z ludzi istoty zatwardziałe, nieczułe na cierpienia bliźnich. Lekarz przedstawiał zrozpaczonemu chłopakowi, że płynąc z nami tak daleko, może się znowu narazić na podobne niebezpieczeństwa, że oddali się jeszcze bardziej od rodziny i krewnych, ale on uwag tych nie słuchał, powtarzając wciąż tylko, że mu wszystko jedno, gdzie płynie, byleby się raz wydostać z pośród tych niegodziwych ludzi. Dodawał przytem, że kapitan, który go uratował — kapitanem nazywał mnie, nie znając mego synowca — z pewnością mu nie odmówi. Upewniał także, że służąca, gdy wróci do przytomności, będzie nam bardzo wdzięczna za zabranie, dokądkolwiekbyśmy się udali. Lekarz polubił bardzo chłopaka i wstawiał się za nim tak usilnie, iż zgodziłem się przyjąć go na pokład ze służącą i całym jego ładunkiem. Nie mogliśmy tylko zabrać jedenastu pak cukru, należących do niego, bo były za ciężkie do przeniesienia; zobowiązałem więc kapitana tamtego statku, aby złożył je za przybyciem do Brystolu u znajomego mi kupca Rodżersa. Nie mogłem się dowiedzieć, czy okręt ten dopłynął kiedykolwiek do Brystolu; sądzę że raczej wkrótce potem zatonął, bo nazbyt już był uszkodzony, aby mógł wytrzymać nawet małą burzę.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przybywamy na wyspę. — Powitania. — Opowiadanie Hiszpana. — Łotrostwa trzech angielskich marynarzy.

Nie będę opisywał pomniejszych przygód dalszej naszej podróży i, skracając opowiadanie, nadmienię tylko, że dopłynęliśmy do dwunastego stopnia i trzydziestu dwóch minut szerokości południowej i w dniu dziesiątym kwietnia 1694 r. stanęliśmy u brzegów mojej wyspy. Znaleźliśmy ją nie bez trudności, bo nie mieliśmy mapy tych okolic, a ja nie umiałem z daleka rozpoznać jej brzegów. Błądziliśmy dość długo, zawijając do brzegów kilku wysp leżących przy ujściu wielkiej rzeki Orinoko. Wtedy dopiero przekonałem się, że ziemia, którą dostrzegłem był ze swojej wyspy, nie była wcale stałym lądem, lecz niejako łańcuchem wysp leżących obok siebie, od jednego do drugiego brzegu ogromnego ujścia rzeki Orinoko. Dzicy, przybywający na moją wyspę, nie byli właściwymi Karybami, gdyż ci mieszkają na stałym lądzie. Na jednej z tych wysp spotkaliśmy Hiszpanów, nie byli to jednak stali jej mieszkańcy, tylko marynarze zajmujący się połowem pereł, a przybyli tu z wyspy Świętej Trójcy, położonej między dziesiątym a jedenastym stopniem szerokości północnej. Krążyliśmy od jednej wyspy do drugiej na statku, to na łodzi francuskiej, zakupionej w drodze i bardzo wygodnej. Wkońcu rozpoznałem południowe brzegi mej wyspy i za chwilę zarzuciliśmy kotwicę naprzeciw małej zatoki i dawnego mego obwarowanego mieszkania.

Zawołałem wtedy Piętaszka i ukazując ręką na wybrzeża, spytałem go, czy poznaje, gdzie jesteśmy? Przypatrywał się przez chwilę a potem zaczął krzyczeć »O tak! to tu!« skacząc, tańcząc i śmiejąc się radośnie. Zaledwie udało mi się go zatrzymać, bo chciał koniecznie wskoczyć w morze i dopłynąć do brzegu.

— Dobrze, Piętaszku — rzekłem — poznałeś zatem, gdzie jesteśmy. Powiedz mi teraz, czy też tam kogo jeszcze zastaniemy; czy masz nadzieję, że zastaniemy jeszcze twego starego ojca? Na to wspomnienie chłopak posmutniał i łzy popłynęły mu z oczu.

— Czemusz się smucisz, Piętaszku? — spytałem.

— Och, bo ja go już nie zobaczę, ja go nie zobaczę, on był stary, bardzo stary, on pewno umarł.

— Daj pokój, Piętaszku — uspokajałem go — tego nie możesz być pewny; ale jak sądzisz, czy zastaniemy tam przecie kogo? — Tymczasem Piętaszek, który miał daleko lepszy wzrok odemnie, ukazując ręką na

pagórek nadbrzeżny, o pół mili mniej więcej odległy, począł wołać: »Tam ludzie! ludzie! tam dużo ludzi«.

Spojrzałem przez lunetę we wskazanym kierunku, ale nic dojrzeć nie mogłem. Piętaszek jednak miał słuszność, bo nazajutrz mówiono mi, że kilku ludzi wybiegło na pagórek, by śledzić ruchy nadpływającego okrętu. Polegając na tem, co Piętaszek mówi, kazałem wywiesić angielską chorągiew i dać trzy strzały armatnie, aby uwiadomić mieszkańców wyspy, że przybywamy w przyjaznych zamiarach. Może w kwadrans potem ujrzeliśmy słup dymu, wznoszący się z wybrzeża zatoki. Wtedy

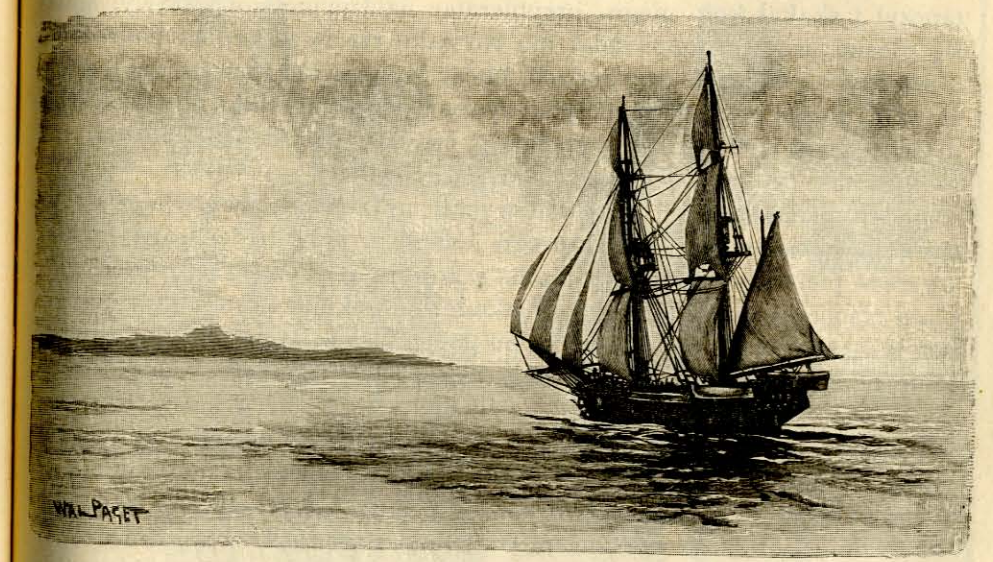

»Rozpoznałem południowe brzegi mojej wyspy« (str. 216).

kazałem spuścić łódź i wsiadłem do niej z Piętaszkiem i młodym księdzem, który znał już z opowiadania historyę mego pobytu na wyspie. Na wypadek nieprzewidzianego niebezpieczeństwa i zastania nieznajomych gości, wziąłem także ze sobą szesnastu ludzi dobrze uzbrojonych. Wywiesiwszy białą chorągiew, jako godło pokojowego usposobienia, płynęliśmy do brzegu. Korzystając z przypływu morza, wpłynęliśmy prosto do zatoki. Na samym wstępie ujrzałem na brzegu owego Hiszpana, któremu ocaliłem niegdyś życie. Poznałem go od razu, mimo że ubrany był inaczej, o czem później opowiem.

Chcąc pierwszy wysiąść na ląd, poleciłem swoim ludziom, aby zostali w łodzi; ale Piętaszka żadna siła nie mogła zatrzymać, bo gdy dostrzegł z daleka ojca, wyskoczył na brzeg i pobiegł jak strzała, chcąc

prędzej uściskać ojca. Najzatwardzialszy człowiek musiałby mieć łzy w oczach, patrząc na radosne uniesienie poczciwego chłopaka. Ściskał, całował ojca, głaskał po twarzy, wziąwszy na ręce, posadził go na pniaku, ukląkł przed nim, wpatrywał się w twarz jego jak w obraz, obejmował jego kolana, całował jego stopy, potem zrywał się i biegał naokoło, oglądając go ze wszystkich stron. Następnego dnia w inny sposób okazywać zaczął radość swą i przywiązanie. Przyszedł z ojcem na wybrzeże, prowadząc go pod rękę z wielkiem uszanowaniem, przechadzał się z nim czas jakiś, co kilka chwil biegał do łodzi to po kawałek cukru, to po suchara, to po inny jakiś przysmaczek. Potem posadził go na trawie, tańczył i skakał koło niego, przybierając najdziwniejsze postawy, śmiał się głośno przytem, opowiadał mu rozmaite rzeczy o swoich podróżach, o własnych i cudzych przygodach, chcąc go ubawić i rozweselić. Jednem słowem, można powiedzieć, iż tylko życzyćby sobie należało, aby wszystkie dzieci chrześcijańskie tak wypełniały czwarte przykazanie bozkie, tak czciły i tak tkliwie kochały swoich rodziców.

Hiszpanie przyjęli mię nadzwyczaj uprzejmie i wyświadczali mi tysiączne grzeczności. Ten, którego jeszcze w łodzi będąc rozpoznałem, wyszedł pierwszy na moje spotkanie w towarzystwie drugiego, niosącego białą płachetkę na kiju uwiązaną, jako godło pokoju. Poznał mnie dopiero wtedy, gdym przemówił do niego po portugalsku: »Cóż to, nie poznajesz mnie, panie?!« Nic nie mówiąc oddał swą strzelbę towarzyszowi, przyskoczył do mnie z rozwartemi rękoma i pochwycił w swe objęcia a wyściskawszy jął zapewniać, iż nigdy sobie tego nie daruje, że nie poznał od razu człowieka, co mu się niegdyś wydał aniołem, zesłanym z nieba dla ocalenia mu życia. Przydał do tego mnóstwo bardzo pięknych wyrażeń, jak to zwykle czynić umieją dobrze wychowani Hiszpanie, i poprosił swego towarzysza, aby sprowadził resztę rodaków. Wtedy zapytał mię, czy nie zechcę udać się do swej starej siedziby i objąć jej w posiadanie, dodając, że zastanę tam pewne małe zmiany. Jakoż udałem się z nim na to miejsce, lecz, niestety, nie mogłem sobie drogi przypomnieć, zupełnie jak gdybym tam nigdy nie był. Obsadzono je dokoła mnóstwem drzew, które się rozrosły i taki gąszcz utworzyły, że tylko człowiek znający dokładnie rozmaite ukryte chodniki, potrafiłby przedrzeć się przez tę zaporę nie do przebycia. Po drodze przemawiał do mnie niezmiernie uprzejmie, dziękując mi serdecznie raz jeszcze w dobranych wyrazach za wyświadczone mu niegdyś dobrodziejstwa. Grzeczność i wytworne zachowanie się są zresztą narodową cechą Hiszpanów. Gdym go spytał, dla czego jeszcze silniej obwarowali zagrodę, odpowiedział mi, że przestanę się temu dziwić, gdy się dowiem o wszystkiem, co ich spotkało od chwili przybycia na tę wyspę. Opowiadał, że nigdy w życiu tak się nie zmartwił jak wtedy, gdy powróciwszy z ojcem Piętaszka, nie zastał mnie już na

»Cóż to, nie poznajesz mnie, panie?« (str. 218).

wyspie, jakkolwiek cieszyć się musiał zarazem, że spełnione zostały moje marzenia i że po tyloletniem wygnaniu powróciłem do kraju na pięknym okręcie. Przeczucie mu mówiło, że się jeszcze obaczymy. Opowiadał mi dalej, że trzej barbarzyńcy — tak nazywał zostawionych tu przezemie angielskich marynarzy — postępowali tak niegodziwie, iż wspólne pożycie z nimi daleko było trudniejsze, niż nawet z dzikimi Indyanami. »Gdyby nie to, że nas było więcej« — mówił — »ludzie ci byliby nam niezawodnie urządzili piekło na ziemi« — tu przeżegnał się. »Nie miejcie więc nam za złe, drogi panie« — ciągnął dalej — »że użyliśmy siły względem waszych rodaków i rozbroiliśmy ich, bo inaczej byliby nas niezawodnie wymordowali«. Odrzekłem na to, że się obawiałem czegoś podobnego i odjeżdżając bardzo żałowałem, że nie mogłem wyspy Hiszpanom w posiadanie oddać a tych trzech złoczyńców im jako niewolników zostawić, jak na to zasłużyli. Cieszę się przeto, że ich ujarzmili, bo wiem dobrze, że ludzie ci niepoprawni zdolni byli do każdego złego czynu. Tymczasem nadszedł wysłany Hiszpan z jedenastu jeszcze rodakami a towarzysz mój przedstawił mi ich kolejno. Zwróciwszy się do mnie, rzekł z dworskim ukłonem: »Oto widzisz przed sobą, panie, kilkunastu szlachetnie urodzonych rodaków moich, którzy zawdzięczają ci życie« a następnie objaśnił ich, kim jestem. Wtedy dopiero przystępowali do mnie po kolei, witając mnie tak dobranemi słowy, jak gdybym był znakomitym zdobywcą lub mocarzem, oni zaś posłami państw zagranicznych. Pomimo prostych ubiorów ludzie ci wyglądali tak szlachetnie i poważnie, ruchy i sposób wysłowienia się mieli tak ujmujące i pełne godności a zachowanie się ich względem mnie tak było uprzejme i pełne szacunku, iż prawie czułem się zakłopotany, nie wiedząc, jak to wszystko przyjmować i czy potrafię odwzajemnić się im jak przystoi.

Historya przybycia ich na wyspę i pobytu na niej po moim odjeździe zawiera wiele ciekawych i zajmujących wypadków. Jest przytem jakby dalszym ciągiem pierwszej części mego opowiadania. Przytoczę ją więc tu w całości według tego, co się od owego pierwszego Hiszpana dowiedziałem i opowiem zdarzenia w takim porządku w jakim następowały po sobie.

Przedewszystkiem przypomnę czytelnikowi, że zanim jeszcze opuściłem wyspę, popłynął Hiszpan w obszernej łodzi do kraju dzikich dla sprowadzenia ztamtąd swoich rodaków. W podróży tej towarzyszył mu ojciec Piętaszka. Wyjeżdżając nie przypuszczali obaj, że za powrotem już mnie nie zastaną na wyspie, podobnie jak i ja nie miałem wówczas żadnej nadziei rychłego opuszczenia wyspy i to na angielskim okręcie. Łatwo też sobie wyobrazić ich zdziwienie, gdy wysiadłszy na brzeg, zamiast mnie i Piętaszka, ujrzeli trzech obcych ludzi gospodarujących tu jak u siebie i rozporządzających samowolnie moją własnością.

Hiszpan opowiedział mi najpierw o swem przybyciu do kraju dzikich i o przyjęciu, jakiego tam doznał. Rodacy jego zdumieli się niesłychanie, widząc go powracającego cało i zdrowo, byli bowiem pewni, że zginął już dawno z rąk ludożerców. Ucieszyli się tem więcej, że Hiszpan ten po śmierci kapitana był najzacniejszą pośród nich osobistością. Gdy się zaś dowiedzieli, że przybywa dla wyzwolenia ich, nie posiadali się z radości, nie dowierzali tak wielkiemu szczęściu, przypuszczali, że to wszystko senne, złudne marzenie. Dopiero, gdy zobaczyli broń, proch, kule i zapasy żywności, oprzytomnieli i zaczęli się przygotowywać do podróży. Pierwszem ich staraniem było dostać przynajmniej dwie łodzie, gdyż do jednej nie zabraliby się wszyscy. Użyć musieli wybiegu i powiedzieli dzikim, że chcą się udać na połów ryb i proszą o pożyczenie czółen. Uzyskawszy je, odpłynęli następnego ranka bez wielkich przygotowań, bo nie mieli nic do zabierania z sobą, nie posiadając nawet odzieży. Zabrali tylko zapas jadalnych korzonków, które im chleb zastępowały. Zanim jednak dostali się do mej wyspy, ja już tymczasem odpłynąłem, pozostawiając na swojem miejscu trzech zuchwałych łotrów, z którymi biedni Hiszpanie mieli później niemało kłopotu. Hultaje ci byli przecież na tyle rzetelni, że oddali Hiszpanom list mój i zapasy dla nich przeznaczone, a także spisane przezemnie wskazówki, jak się mają na wyspie urządzić, jak hodować kozy, siać zboże, piec chleb, lepić garnki i t. p. Dwaj z pomiędzy Hiszpanów rozumieli po angielsku, mogli więc korzystać z rad moich. Wszyscy zamieszkali razem w mojej obronnej zagrodzie. Anglicy nie chcieli nic robić, włóczyli się tylko po całych dniach i ustrzeliwszy kiedy niekiedy jaką papugę lub też złapawszy żółwia, wracali do napełnionych im przez Hiszpanów misek. Cały ciężar pracy gospodarczej spadł na Hiszpanów. Kierował wszystkiem ów najstarszy pomiędzy nimi, używając ojca Piętaszka do rady i pomocy. Hiszpanie zgodziliby się byli ostatecznie na taki tryb życia, gdyby Anglicy zechcieli zachowywać się spokojnie; ale ci, podobni psom przy korycie, co same jeść nie chcą a drugim nie dają, nie umieli ocenić swego położenia i ciągle wszczynali jakieś kłótnie. Nieporozumienia, małe z początku, przerodziły się zwolna w otwartą wojnę, prowadzoną przez Anglików z niesłychanem zuchwalstwem i złośliwością. Walka ta była nieuczciwa, nierozumna, zupełnie bezcelowa, dogadzająca jedynie zbrodniczemu usposobieniu trzech angielskich awanturników. Wprawdzie szczegóły te opowiadali mi najpierw Hiszpanie, ale badałem później i tamtych a oni nic nie mogli przytoczyć na swoją obronę.

Muszę tu jeszcze nadmienić, o czem poprzednio zapomniałem opowiedzieć, że zanim statek odwożący mnie z wyspy do Europy podniósł kotwicę, wybuchł jeszcze raz mały rozruch wśród majtków, ale kapitan stłumił go od razu z pomocą tych, co mu byli posłuszni, i kazał tylko

dwóch najzuchwalszych zakuć w kajdany, grożąc, że odwiezie ich do Anglii, gdzie ich z pewnością powieszą Jakkolwiek nie miał on zamiaru wykonać tej groźby i chodziło mu tylko o utrzymanie ludzi w karności, to jednak reszta uczestników rozruchu przeraziła się tą surowością i zaczęła szemrać, przypuszczając, że kapitan nie przebaczył im pierwszego buntu i że wszystkich odda pod sąd, przybywszy do Anglii. Sternik okrętowy uspakajał ich, jak mógł, wkońcu powołał się na mnie. Uchodziłem jeszcze wtedy w oczach marynarzy za gubernatora wyspy i znaczną bardzo osobę; to też gdym przyrzekł im przebaczenie, jeśli zachowają się spokojnie, uwierzyli mi łatwo, zwłaszcza żem się zaraz postarał o rozkucie dwóch uwięzionych i wypuszczenie ich na wolność. Sprawa ta zatrzymała nas przez całą noc na kotwicy. Następnego ranka, w chwili gdyśmy mieli odpłynąć, spostrzeżono, że dwaj uwolnieni zemknęli na wyspę, odczepiwszy łódkę od statku i zabrawszy z sobą dwie strzelby, tudzież zapas kul i prochu. Rozgniewany sternik pogonił za nimi z dwunastu ludźmi, ale nie mógł ich ująć, bo się schronili do lasu. Żeby więc pozbawić ich żywności, chciał zniszczyć pola i winnice, ale nie mając na to wyraźnego rozkazu, zaniechał tego zamiaru i powrócił na statek z odzyskaną łódką. W ten sposób dwóch jeszcze Anglików pozostało na wyspie, tak, że razem było ich już teraz pięciu.

Z początku żyli wszyscy pięciu wspólnie, ale trwało to nie długo, bo nowo przybyli, daleko mniej zepsuci i zuchwali niż tamci trzej, stali się ofiarą ich prześladowań, a wyrzuceni z mieszkania, z trudnością i ukradkiem tylko zdobywali sobie pożywienie. Wkrótce potem nadpłynęli Hiszpanie. Obaczywszy, jak rzeczy stoją, wzięli w opiekę dwóch prześladowanych. Daremnie jednak usiłowali nakłonić trzech niegodziwców, aby przypuścili swych rodaków do wspólnego pożycia i używania zapasów; ci ani słyszeć o tem nie chcieli tak, że biedni zbiegowie osiedlić się musieli osobno na północno-wschodnim brzegu wyspy, gdzie zbudowali sobie chaty. W jednej mieszkali sami, w drugiej mieli skład swoich rzeczy i zapasów. Hiszpanie udzielili im nieco zboża i grochu na zasiew. Uprawili więc pole, zasiali, ogrodzili je i w krótkim czasie zagospodarowali się niezgorzej. Jeden z nich był kuchtą okrętowym, umiał więc przyrządzać rozmaite potrawy z ryżu, mleka i mięsa. Wogóle zaczęło się im tam wcale dobrze powodzić. Dostrzegli to ich prześladowcy i razu pewnego, powodowani wrodzoną sobie złośliwością, wtargnęli do nich z krzykiem i hałasem, dowodząc, że wyspa wyłącznie tylko do nich należy, bo gubernator im ją oddał na własność, i że każdy, kto buduje się na ich ziemi lub zboże chce uprawiać, powinien im płacić czynsz. Napadnięci przyjęli to z początku za żart, zaprosili nawet tamtych do swych chatek, pokazali, jak pięknie są urządzone a śmiejąc się pytali, jakiego czynszu żądają i czemu nie przyprowadzili pisarza do zapisania

umowy dzierżawnej. Łając i przeklinając, dali im napastnicy do poznania, że to nie są żarty, a jeden z nich zbliżywszy się do nalepy, na której gotowano wieczerzę, porwał palącą się głownię i podłożył ją zewnątrz pod drewnianą ścianę chaty. Dom spłonąłby był w jednej chwili, gdyby nie to, że jeden z osadników, odepchnąwszy podpalacza, ugasił ogień nogami. Ten wściekły, że go odpędzono, powrócił za chwilę z pałką

»Zagrozili przeciwnikom natychmiastowem użyciem broni«.

w dłoni i gdyby tamten nie był uniknął zręcznie ciosu i nie schronił się do domu, byłby go zabił na miejscu. W tej chwili nadbiegł z pomocą drugi osadnik. Uzbrojeni w strzelby, wyszli obaj przed chatę; uderzeniem kolby ogłuszyli i powalili podpalacza, a gotowi do strzału, zagrozili przeciwnikom natychmiastowem użyciem broni, gdyby się zbliżyć odważyli. Napastnicy, choć także broń mieli, zobaczywszy, że to nie przelewki, spokornieli i zaczęli prosić, aby im wolno było zabrać rannego towarzysza. Osadnicy bardzo zbłądzili, że mając chwilową przewagę, nie

rozbroili wtedy hultajów. Ci rozjątrzeni niepowodzeniem, myśląc ciągle tylko o zemście, nie przestawali odtąd dokuczać im coraz więcej na wszelkie możliwe sposoby. To wydeptywali im zboże, to zabijali kozy, to niszczyli winnice, słowem, w dzień i w nocy tak dokuczali, że osadnicy, doprowadzeni do rozpaczy, postanowili wkońcu stoczyć z nimi otwartą bitwę w obecności Hiszpanów i w tym celu mieli się udać pewnego poranka do zamku, — tak nazywano moją obronną zagrodę — by ich wezwać do rozprawy.

Zdarzyło się, że właśnie dnia poprzedniego dwaj Hiszpanie spotkali w lesie jednego z pracowitych Anglików. Począł on gorzko narzekać przed Hiszpanami na niegodziwe postępowanie swych ziomków, opowiedział, jak poniszczyli ich zboże, którego uprawa tyle zachodu wymaga, jak pozabijali kozy, całe utrzymanie ich życia stanowiące; przydał nadto, że jeźli Hiszpanie nie przyjdą im na pomoc, to wkrótce będzie musiał razem z towarzyszem swoim umrzeć z głodu. Hiszpanie, powróciwszy do domu, pozwolili sobie w wyrazach umiarkowanych naganić trzem Anglikom ich niegodne postępowanie. Pytali się ich, jakim sposobem mogą być do tego stopnia okrutni wobec ludzi spokojnych, którzy pracą rąk własnych zapewnili sobie jaki taki byt na tej wyspie, poniósłszy niemało na to trudu. Na to jeden z łotrów odpowiedział z ofuknieniem:

— Co oni tu mają za sprawę? Przybyli tu bez niczyjego pozwolenia i nie mają prawa sadowienia się i budowania na tej wyspie, gdzie ani jedna piędź ziemi do nich nie należy.

— Panie Angliku, — odparł Hiszpan łagodnie — oni przecież nie mogą umierać z głodu.

— A niech sobie zdychają... — odpowiedział Anglik szorstko. — My nie damy im ani siać ani budować się na tej wyspie.

— Ale cóż mają robić, mój panie? — rzekł Hiszpan.

— Co będą robić? — zawołał drugi hultaj — będą pracować na nas i zostaną naszymi niewolnikami.

— Ale jakiemże prawem — zapytał Hiszpan — śmiecie tego od nich wymagać? Przecie nie kupiliście sobie tych ludzi, nie macie zatem prawa zmuszać ich do niewoli.

Zuchwalec oświadczył na to Hiszpanowi, że ta wyspa do nich trzech należy, iż gubernator oddał im ją na własność, że przeto mogą tak sobie postępować, jak się im podoba, i zaklął się na imię Stwórcy, że spalą wszystkie nowe budowle, jakie ktobądź wystawi na tej ziemi.

— Przypuściwszy to, — rzekł Hiszpan — więc i my powinniśmy być waszymi niewolnikami?

— Tak jest, — zawołał bezczelny łotr — będziecie nimi i to może wkrótce — i do tych słów przydał co niemiara przekleństw, właściwych gburom angielskim, na okrętach wychowanym.

Hiszpanie odpowiedzieli na to pogardliwem milczeniem, choć krótka ta rozmowa oburzyła ich ogromnie, hultaje zaś angielscy powstali z hałasem, a jeden z nich, prawdopodobnie Will Atkins, zawołał do drugiego: »Chodź, Jakóbie, dajmy im tymczasem pokój. Przyjdzie kolej i na nich. Zalejemy im jeszcze sadła za skórę, zburzymy im ten zamek i wygonimy ich na cztery wiatry, żeby nie rozsiadali się na naszej wyspie«. I odeszli zabierając broń, klnąc przytem straszliwie na Hiszpanów i grożąc im zemstą, lecz ci, nie rozumiejąc dobrze po angnielsku,

»Jednem uderzeniem pięści powalił go na ziemię« (str. 226).

nie wiedzieli, o co chodzi; domyślali się tylko, że biorąc stronę pokrzywdzonych, ściągnęli na siebie ten wybuch gniewu.

Hultaje nie wrócili dnia tego na noc do zamku. Wałęsali się po wyspie do wieczora, aż wreszcie zmęczeni zawlekli się do dawnego mego letniego mieszkania. Przyznali się później sami, że uradzili sobie tam czuwać aż do północy a potem napaść na uśpionych swych rodaków, podpalić obie chaty i mieszkańców w ogniu upiec lub pozabijać, gdyby ratowali się ucieczką. Ale zamiar ten spełzł częściowo na niczem, bo mimo że sen spokojny rzadko bywa udziałem złoczyńców, zasnęli oni

tej nocy tak mocno, że się dopiero rano obudzili. Ich rodacy powzięli tego samego wieczora zamiar nie mordów i podpalania lecz rozprawienia się nazajutrz z prześladowcami i dla tego to wyszli na swoje szczęście z domu do zamku tak rano, że ich już nie było, gdy hultaje tam przyszli. Wtedy to najzuchwalszy ze wszystkich Will Atkins zawołał: »Gniazdeczko jest, ale ptaszki z niego frunęły« i zaczęli radzić, z jakiego to powodu ludzie ci tak wcześnie z domu wyszli. Przyszło im do głowy, że Hiszpanie musieli ich przestrzedz i poprzysięgli za to zemstę Hiszpanom, poczem zabrali się do roboty. Wprawdzie nie podpalili chat, ale zburzyli je do szczętu i z ziemią zrównali tak, że trudno się było domyśleć, gdzie stały. Naczynia i sprzęty domowe poniszczyli, potłukli i daleko powyrzucali, młode szczepy z korzeniami powyrywali, płoty zniszczyli, słowem, całą osadę najzupełniej zrujnowali. Gdy się to działo, szli właśnie dwaj osadnicy do zamku, by się potykać ze swymi wrogami. I gdyby się byli gdzie spotkali, byłoby niezawodnie przyszło do krwawej rozprawy, trzeba bowiem przyznać, że obu stronom nie zbywało na odwadze. Lecz Opatrzność inaczej zrządziła, nie dopuszczając do tego; bo gdy osadnicy szli do zamku, hultaje byli w ich osadzie, gdy zaś ci wracali do zamku, tamci nie spotkawszy ich nigdzie, szli inną drogą do swych chatek.

Trzej Anglicy rozzuchwaleni powodzeniem, zaczęli się przechwalać ze swego niecnego postępku i odrazu zaczepiać Hiszpanów do tego stopnia, że jeden z nich strącił kapelusz z głowy stojącego obok Hiszpana, a podrzucając go nogą zawołał: »No, panowie Hiszpanie! teraz na was kolej, urządzimy i wam niespodziankę, jeżeli się nie poprawicie«. Hiszpan, człowiek łagodny i spokojny, ale przytem niezmiernie silny i odważny, popatrzył chwilę na zuchwalca a potem, nie mając broni, jednem uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Wtedy drugi Anglik strzelił do niego z pistoletu i zranił go lekko w ucho. Tego już było za wiele Hiszpanowi. Odebrawszy powalonemu strzelbę, wymierzył ją już do drugiego napastnika, gdy wtem nadbiegli inni Hiszpanie, rozdzielili walczących i obu Anglikom broń odebrali. Rozbrojeni poczęli się miarkować i porzucając zuchwalstwo, zaczęli prosić o zwrócenie im strzelb, ale Hiszpanie oświadczyli, że nie dadzą im broni, póki nie usłyszą od nich przyrzeczenia, że nie będą nią krzywdzić swoich rodaków. Nędznicy zamiast korzystać z tej rozsądnej łagodności odgrażali się, że i bez broni potrafią się zemścić. Wtedy Hiszpanie zapowiedzieli im stanowczo, że ścigać i strzelać ich będą jak psów wściekłych, jeśli tylko dostrzegą najmniejszą szkodę na polu lub w winnicach. Zagrożenie to wcale hultajów nie uśmierzyło. Wymyślając i przeklinając, odeszli w największym gniewie. Zaledwie ci się oddalili, nadeszli biedni osadnicy, lamentując i uskarżając się głośno na doznane krzywdy. Hiszpanie

nawzajem opowiedzieli im o tem, co się tu stało. I tak to trzech łotrów potrafiło bezkarnie zakłócić spokój dziewiętnastu uczciwym ludziom.

Prawda, że Hiszpanie nie zważali wiele na pogróżki, wiedząc, że trzech ludzi rozbrojonych nie może zaszkodzić siedemnastu silnym i odważnym; ale dwaj Anglicy, doprowadzeni do rozpaczy, pragnęli koniecznie zemścić się, korzystając z rozbrojenia swych wrogów. Sprzeciwili się temu Hiszpanie, uważając za czyn nieludzki ścigać ludzi bezbronnych. Najpoważniejszy z nich, zwany przez innych gubernatorem, przyrzekł skrzywdzonym, że Hiszpanie dołożą wszelkich usiłowań, aby się stało zadość sprawiedliwości. »Słuchajcie« — rzekł — »wasi niegodziwi

»Zbliżyli się pokornie prosząc« (str. 228).

ziomkowie nie mogą obejść się bez nas, gdyż w naszym ręku są wszystkie środki żywności; my zaś dopóty nie przypuścimy ich do wspólnego pożycia, dopóki nam nie przyrzekną, że nowego gwałtu względem was nie popełnią i że nagrodzą wyrządzone wam szkody; lecz wy musicie nam wzamian przyrzec, że nie będziecie się na nich mścić i że tylko w obronie swego życia użyjecie broni. Jakże bylibyśmy godni politowania, nie chcąc lub nie umiejąc żyć z sobą w miłej zgodzie!« — Pokrzywdzeni, acz nie z wielką ochotą, zgodzić się musieli na te warunki, bo Hiszpanie stanowczo oświadczyli, że nie dopuszczą do krwi rozlewu i pokój przywrócić muszą. Zaproszeni, zamieszkali w zamku, dopóki sobie chat nie odbudują.

W pięć dni potem gubernator hiszpański, przechadzając się nad brzegiem morza z dwoma towarzyszami, spotkał trzech hultajów niezmiernie zbiedzonych i wygłodniałych. Przybrawszy skromną i uległą postawę, zbliżyli się oni do niego, pokornie prosząc, aby im pozwolono znowu wspólnie z nimi zamieszkać. Przyjął ich bardzo łagodnie, lecz z góry oświadczył, że nic stanowczego odpowiedzieć nie może, dopóki się nie naradzi z towarzyszami, a przedewszystkiem z pokrzywdzonymi ich rodakami, wobec których tak nieludzko sobie postąpili. Łatwo sobie wystawić, że podobne oświadczenie nie bardzo im było do smaku. Wtedy poprosili, aby im przynajmniej nieco chleba udzielono, zanim narada się odbędzie; zgodzono się na to i przysłano im nadto jeszcze trochę koźliny. Za godzinę zawezwano ich do zamku. Tu przyszło do długich sporów. Anglicy robili sobie wzajemnie gwałtowne wyrzuty. Hiszpanie uspokajali, łagodzili i doprowadzili do tego, że trzej hultaje zobowiązali się odbudować osadnikom zniszczone chaty, z których jedna ma być tej samej wielkości, co była dawna a druga jeszcze większa od poprzedniej, przygotować pole pod siejbę i płotem ogrodzić, nowe szczepy posadzić, słowem, przywrócić osadę o ile możności do tego samego stanu, w jakim była przed napadem. Byli to ludzie bardzo silni, a że im dostarczano obficie żywności, przeto robota szła raźno i w krótkim czasie spełnili to, czego od nich żądano. Zapanował nareszcie spokój na wyspie. Wprawdzie ci trzej hultaje sami na siebie pracować nie chcieli, ale Hiszpanie oświadczyli, że chętnie i za nich wszystko robić będą, byleby się tylko spokojnie zachowywali i zgodnie ze wszystkimi żyli. Po dwóch miesiącach takiej miłej zgody zwrócili Hiszpanie broń Anglikom i dali im zupełną swobodę mniemając, że już się naprawdę ustatkowali i poprawili. Ale ci ludzie nie zdolni byli żyć długo spokojnie, ani też pracować wytrwale. W tydzień po otrzymaniu broni zaczęli się znowu kłócić i dopuszczać nowych gwałtów, gdy wtem zaszedł wypadek zagrażający zarówno jednym jak drugim i zmusił wszystkich do zaniechania sporów i zjednoczenia się dla wspólnej obrony.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Bitwa dzikich na wyspie. — Trzech jeńców. — Nowe zatargi. — Wydalenie trzech Anglików z osady.

Pewnej nocy gubernator osady, ów Hiszpan, któremu niegdyś uratowałem życie, nie mógł w żaden sposób zasnąć, czując jakiś wewnętrzny niepokój. Był to stan dziwny. Był on zupełnie zdrowy i przytomny, a jednak przywidywały mu się ciągle, jakby w gorączce, obrazy bitew i krwawych mordów. Chcąc się wkońcu z tych wrażeń otrząsnąć, powstał i wyszedł na dwór z mieszkania. Rozejrzał się naokoło. Noc była ciemna, niczego nie dostrzegł, zwłaszcza, że gąszcz drzew otaczających zamek zupełnie okolicę zasłaniał. Nasłuchiwał pilnie czas jakiś, ale cicho było zupełnie; powrócił więc na swoje posłanie z kozich skór, jednak i teraz nie mógł zasnąć; niepokój wewnętrzny nie opuszczał go ani na chwilę. Gdy wstawaniem i wychodzeniem uczynił szelest, obudził się jeden ze śpiących i zapytał, kto tam chodzi po nocy. Wtedy opowiedział mu o swym niepokoju.

— To nie może być bez przyczyny i nie trzeba tego lekceważyć; — rzekł tamten — trzeba się przekonać, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo. A gdzież są Anglicy?

— Śpią spokojnie u siebie. — W czasie owych awantur urządzili dla nich Hiszpanie osobne schronienie za wałem, zostawiwszy wyłącznie tylko dla siebie moje dawne mieszkanie.

— A jednak — mówił dalej drugi Hiszpan — coś nam musi grozić. Niejednokrotnie już przekonałem się, że nie należy gardzić przeczuciem i że istnieje jakiś związek pomiędzy nami a niewidzialnym światem, zkąd pochodzi ów głos wewnętrzny, ostrzegający nas przed niebezpieczeństwem. Chodźmy jeszcze raz obaj i zobaczmy, co się dokoła nas dzieje.

Wyszli i wstąpili na ten sam pagórek, z którego ja niegdyś robiłem spostrzeżenia. Jakież było ich zdziwienie, gdy nagle ujrzeli z daleka blask ognia i usłyszeli gwar głosów ludzkich.

Dopóki ja sam mieszkałem na wyspie, starałem się ukrywać przed dzikimi, by się nie dowiedzieli, że tu jest jaki mieszkaniec. Raz jeden tylko pokazałem się ludożercom i to w takich okolicznościach, że mogli wziąść mnie raczej za ducha, niż za człowieka żyjącego. Tak samo powinni byli postąpić Hiszpanie, albo też zajść dzikim od morza, by ich do czółen nie dopuścić i niespodzianie na nich napaść tak, aby ani jeden z wyspy nie uszedł; stracili jednak głowę i zaniedbali tej ostrożności, co sprowadzić miało na nich w przyszłości wielkie klęski.

Gubernator i towarzysz jego, zobaczywszy, co się dzieje, wrócili natychmiast do mieszkania i pobudzili śpiących. Przestrach ogarnął wszystkich, wszyscy pragnęli widzieć, co się dzieje, i pobiegli na pagórek. Noc była ciemna; widzieli wprawdzie, że dzicy gromadzą się koło kilku wielkich ognisk w znacznej od siebie odległości, ale nie mogli dostrzedz, co oni tam robią, i nie mogli wiedzieć, jakie mają zamiary. Przedewszystkiem tedy obawiając się, aby dzicy nie napotkali trzód oswojonych kóz i nie natrafili w ten sposób na ślad ludzkich mieszkań, a co jeszcze ważniejsze, nie zabrali im głównego środka pożywienia, wysłał gubernator trzech ludzi, aby jeszcze przededniem spędzili kozy w jedno miejsce i ukryli je w pobliżu albo nawet wewnątrz jaskini. Następnie postanowiono wysłać zaraz na zwiady Piętaszkowego ojca na wybrzeże, ponieważ ten najłatwiej mógł zakraść się tam niespostrzeżony, nie różniąc się od dzikich ani kolorem skóry, ani ubraniem i najłatwiej mógł wymiarkować ich zamiary.

Starzec doskonale wywiązał się z polecenia. Wśliznął się pomiędzy gromady, nie zwróciwszy na siebie uwagi, przysłuchał się ich rozmowom, a powróciwszy do Hiszpanów, zdał im sprawę ze swej wycieczki. Pokazało się, że przybyli dzicy należeli do dwóch odrębnych plemion, będących z sobą w wojnie. Właśnie niedawno stoczyli oni z sobą w swoim kraju wielką bitwę i nabrali w niej wielu jeńców; nie wiedząc o wzajemnych zamiarach, przybyły obie strony na wyspę dla wymordowania ich i pożarcia. Popsuło im zabawę niespodziewane spotkanie się w jednem miejscu, wskutek czego byli strasznie rozgniewani i wzajemnie na siebie zawzięci, to też ojciec Piętaszka był pewny, że rano uderzą na siebie i stoczą bitwę. O ile mógł wymiarkować, to dzicy nic o tem nie wiedzieli, że wyspa jest zamieszkana.

Zaledwie starzec skończył opowiadanie, gdy po okrzykach i niezwykłej wrzawie poznał, że krwawa rozprawa musiała się już zacząć. Zaklinał on Hiszpanów na wszystko, aby nie ruszając się z miejsca, przeczekali spokojnie bitwę. Upewniał, że dzicy powybijają się wzajemnie, a ci, co zostaną przy życiu, odpłyną natychmiast po skończonej bitwie. Jakoż przewidywanie jego sprawdziło się w zupełności. Ale rozsądek uległ ciekawości. Zwłaszcza Anglicy nie mogli usiedzieć na miejscu i postanowili bądź co bądź przypatrzyć się z blizka. Tyle przynajmniej zachowali ostrożności, że nie poszli tam prosto, lecz, krążąc ubocznemi ścieżynami lasem, przybliżyli się do pola bitwy ze strony przeciwnej. Ukryci w krzach, mogli wszystko widzieć przez nikogo, jak im się zdawało, niedostrzeżeni. Pokazało się jednak później, że dzicy ich widzieli. Jeżeli można wierzyć Anglikom, to wielu wojowników dało dowody niezłomnej wytrwałości i znakomitej odwagi, a wodzowie ich umiejętności w kierowaniu przebiegiem bitwy.

Po upływie dwóch godzin jedna strona chwiać się zaczęła i poszła w rozsypkę. Hiszpanie przerazili się wtedy na myśl, że zbiegowie będą się kryli do lasu koło zamku i sprowadzą tam za sobą ścigających ich zwycięzców, a wtedy będzie już niepodobieństwem ukryć się przed dzikimi. Wspólnie z Anglikami postanowili przeto stać ciągle pod bronią i zabijać każdego, coby wpadł w obręb tego lasu. Mieli jednak używać tylko

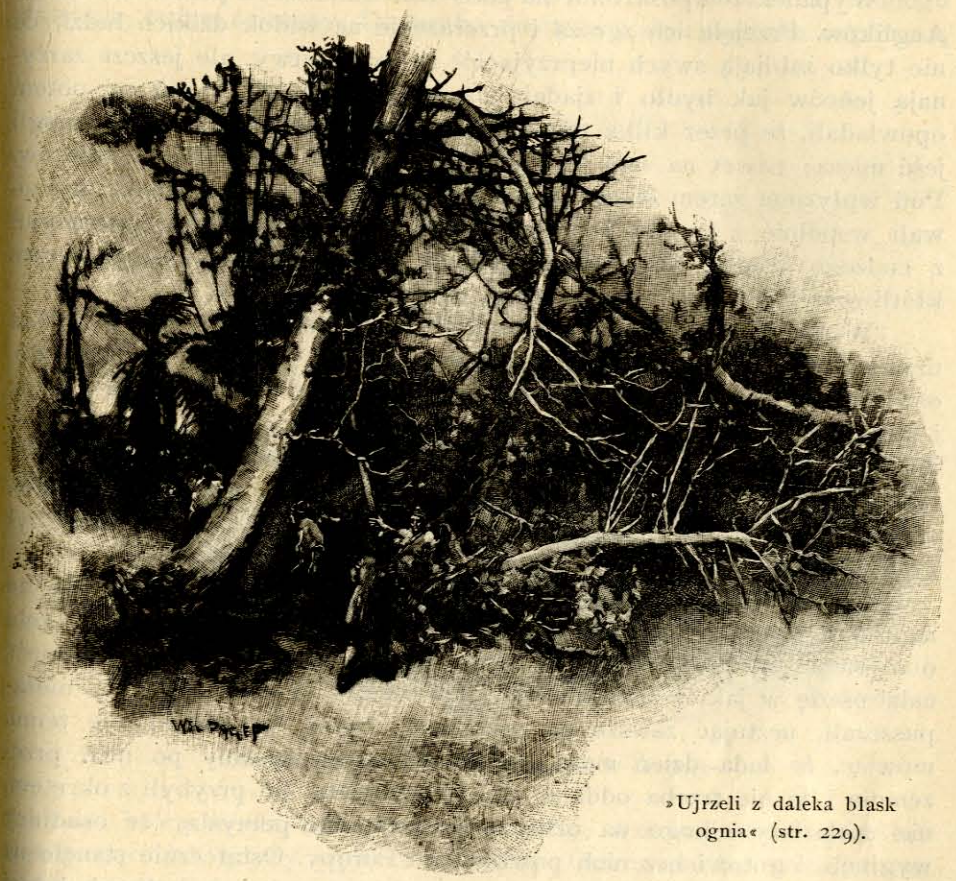

»Ujrzeli z daleka blask ognia« (str. 229).

broni siecznej, aby strzałami nie ściągnąć na siebie uwagi nieprzyjaciół. Trzech tylko zbiegów schroniło się w tę stronę. Na szczęście nie ścigali ich zwycięzcy; ale że gubernator nie lubił rozlewu krwi, przeto nie pozwolił ich zabijać, lecz rozkazał zajść im z tyłu, pochwycić i uwięzić, co też wykonano. Zwyciężeni odpłynęli natychmiast na swoich łodziach. Zwycięzcy prawie ich nie ścigali i opuścili wyspę dopiero po południu, wydawszy poprzednio dwukrotny okrzyk tryumfu. Tak więc ocaleli Europejczycy i przez jakiś czas dzikich na wyspie wcale nie widzieli.

Gdy już wszyscy dzicy odpłynęli, poszli tam Hiszpanie, aby obejrzeć pole bitwy. Znaleźli trzydzieści dwa trupy; jedni polegli od długich strzał, które tkwiły w ich ciałach, inni mieli pogruchotane ręce i nogi, a głowy straszliwie rozłupane drewnianymi mieczami, których dość na pobojowisku zostało. Rannych nie znaleziono wcale; musieli ich zatem Indyanie podobijać, albo też z pola bitwy z sobą zabrać.

Wypadek ten poskromił na jakiś czas burzliwe usposobienie trzech Anglików. Przejęła ich zgroza i przerażenie na widok dzikich ludzi, co nie tylko zabijają swych nieprzyjaciół na polu bitwy, ale jeszcze zarzynają jeńców jak bydło i zjadają na swoich ucztach. Sami mi potem opowiadali, że przez kilka tygodni po odwiedzinach dzikich nie mogli jeść mięsa; nawet na sam jego widok dostawali nudności i wymiotów. Pod wpływem zatem obawy przed dzikimi, poprawili się nieco, pracowali wspólnie z innymi i przestali być darmozjadami, korzystającymi z cudzego trudu. Nie była to jednak trwała poprawa i raz jeszcze kłótliwość ich i złośliwość zamącić miały spokój osady.

Wspomniałem powyżej, że wzięto trzech dzikich do niewoli. Otóż używano ich do rozmaitych robót, ale nikomu na myśl nie przyszło, oświecić ich światłem prawdziwej wiary, nauczyć pożytecznych rzeczy i łagodnie się z nimi obchodzić, by ich do siebie przywiązać. Dawano im wprawdzie codzień pożywienie, ale obchodzono się z nimi surowo i kazano pracować ciężko; to też nie stali się oni dla nich nigdy tem, czem dla mnie był mój Piętaszek, który w każdej chwili gotów był życie dać za mnie.

Ostatni pobyt dzikich na wyspie, a raczej obawa przed nowym najazdem, pogodziła z sobą osadników. Złożyli oni walną naradę w celu obmyślenia środków obrony na przyszłość. Kilku radziło, aby przenieść całą osadę w jakieś ustronie, w głąb wyspy, dokąd dzicy się niezapuszczali, ucztując zawsze na wybrzeżu. Innni sprzeciwiali się temu, mówiąc, że lada dzień może nadpłynąć okręt wysłany po nich przezemnie i że nie trzeba oddalać się od wybrzeża, bo przybyli z okrętem, nie znalazłszy nikogo na oznaczonem miejscu, pomyślą, że osadnicy wyginęli, i gotowi bez nich powrócić do Europy. Ostatecznie stanęło na tem, że część trzód miano ukrywać w głębi wyspy, w okolicach leśnej groty i tam też zasiewać połowę zboża, a to w tym celu, aby mieć zabezpieczone zapasy żywności na wypadek zniszczenia starej osady. Postanowiono dalej ukrywać przed niewolnikami tę nową osadę i niedopuszczać ich do leśnej groty, gdzie, w razie niebezpieczeństwa znaleźć można było pewny przytułek i gdzie osadnicy przechowywali cały swój zapas prochu. Zamek pozostać miał i nadal wspólnem mieszkaniem wszystkich. Ponieważ się przekonali, że bezpieczeństwo ich zależy od dobrego ukrycia, przeto postanowili obwarować zamek jeszcze silniej.

W tym celu nasadzono naokoło jeszcze więcej drzew, rozszerzając las przezemnie zasadzony aż do brzegów morza, a nawet na przestrzeń bagnistą, zalewaną falami morskiemi w czasie przypływu, i nie zostawiając ani kawałka ziemi sposobnej do lądowania. Prócz tego nasadzono jeszcze dużo drzew i krzewów pomiędzy staremi drzewami tak, że po niejakim czasie utworzyła się tam taka gęstwina, że nawet mała psina nie mogłaby przedrzeć się przez nią swobodnie. Nie zostawiono żadnego przejścia, żadnej ścieżyny. Do zamku dostawano się z pagórka za pomocą

»Przeraził ich widok Indyan płynących w łodziach«.

drabiny, którą trzeba było wciągać za sobą, wznosząc się w górę lub spuszczając, jak gdyby z piętra na piętro. Ostrożność ta, posunięta na pozór do przesady, okazała się w przyszłości bardzo zbawienną.

Było to dla mnie nowym dowodem, że Opatrzność czuwa nad nami i że gdybyśmy słuchali Jej przestróg, moglibyśmy przewidzieć większą część naszych nieszczęść, na jakie nas własne niedbalstwo naraża.

Dwa lata żyli nasi osadnicy w spokoju. Pewnego atoli poranku padła na nich wielka trwoga. Kilku Hiszpanów, wyszedłszy do dnia, puścili się na zachodnie brzegi wyspy, dokąd ja prawie nigdy nie chodziłem z obawy, aby mnie kiedy nie spostrzeżono. Tam to przeraził ich widok Indyan płynących na dwudziestu łodziach, jak się zdawało, ku brzegom

wyspy; powrócili czemprędzej, by przestrzedz osadę. Przez cały ten dzień i następny siedzieli wszyscy w ukryciu, nocą tylko wychodząc na zwiady. Na szczęście skończyło się wszystko tym razem na przestrachu. Indyanie widocznie nie mieli zamiaru lądowania i płynęli bez wątpienia ku brzegom innej wyspy.

W jakiś czas potem rozpoczęli trzej niesforni Anglicy nową zwadę. Poszło o jednego z trzech dzikich niewolników. Nie zrozumiał on widocznie jakiegoś zlecenia danego mu przez okrutnego Anglika; ten wpadł wtedy w straszliwy gniew i wyjąwszy z za pasa mały toporek, ugodził nim nieszczęśliwego, chcąc go zabić. Hiszpan jeden, kopiąc rolę w pobliżu, widział ten cios wymierzouy w głowę, a tylko wskutek rychłego uchylenia się dzikiego, w ramię zadany. Przybiegłszy, prosił Anglika o litość i by dalszej krzywdzie zapobiedz, zasłonił sobą nie wolnika. To wmięszanie się tak okrutnika rozjątrzyło, iż zaklinając się, że postąpi z Hiszpanem tak, jak z dzikim chciał postąpić, podniósł siekierę, by go nią ugodzić. Hiszpan uskoczył w bok i sam jednem uderzeniem łopaty powalił zuchwalca na ziemię. Wtedy przyskoczył drugi Anglik i z kolei obalił Hiszpana. Nadbiegli inni i w jednej chwili wszczęła się bójka, w której Anglicy dwóch Hiszpanów nożem poranili. Wskutek tego Hiszpanie rozbroili Anglików i uwięzili.

Wypadało teraz zastanowić się nad tem, jak sobie z nimi postąpić. Tyle razy się już buntowali, tak byli zawsze gwałtowni, tak leniwi do pracy, iż trzeba było pomyśleć nad sposobem pozbycia się ludzi, którzy z największą bezczelnością ciągłe wyrządzali krzywdy. Gubernator hiszpański powiedział krótko, że, gdyby ci ludzie byli rodem z jego ojczyzny, kazałby ich zaraz powiesić, bo prawa i rządy ustanowione są dla obrony społeczności ludzkiej i wymagają wyrugowania z niej tych, którzy ją na niebezpieczeństwo narażają. »Lecz — przydał, mówiąc dalej — że ludzie ci są Anglikami, a my winniśmy życie nasze szlachetnej dobroci jednego z ich rodaków, zachowam przeto względem nich wszelkie, ile można, umiarkowanie i oddam ich pod sąd własnych rodaków«. Wtedy jeden z Anglików powstał i rzekł, iż wcale sobie nie życzą, aby roztrzygnięcie tej sprawy na nich było zdawane, gdyż musieliby w takim razie skazać więźniów na szubienicę i, mówiąc dalej, opowiedział, jak jeden z tych hultajów, Will Atkins, namawiał niedawno wszystkich pięciu Anglików, aby się połączyli i wyrżnęli Hiszpanów, gdy pousypiają. Słysząc to gubernator, zawołał do Will Atkinsa:

— Prawdaż to, panie Atkins, że chcecie nas wszystkich wymordować?

Bezczelny łotr, nietylko, iż nie zaprzeczył zamiaru, ale go nawet potwierdził. »I niech mię piorun trzaśnie« — przydał — »jeżeli tego lada dzień nie wykonam!«

— Lecz, panie Atkins, — odparł Hiszpan — cóż my wam uczyniliśmy złego, żebyście mieli nastawać na naszą zgubę? Cóż wam przyjdzie z naszej śmierci i co mamy teraz przedsięwziąść, żeby nie dopuścić do wymordowania nas? Czy mamy was wszystkich pozabijać, albo dopuścić, abyście nas pozabijali? Dla czegóż samochcąc zniewalacie nas koniecznie do ostateczności?

Mówił to wszystko łagodnie i z uśmiechem, malującym spokój jego umysłu. Widząc to Atkins sądził, że gubernator drwi z niego, co

»Zasłonił sobą niewolnika« (str. 234).

go w taką wprawiło wściekłość, że byłby z pewnością zabił na miejscu zacnego Hiszpana, gdyby go trzech silnych ludzi nie schwyciło za ręce. Trzeba było coś postanowić, by kres położyć gwałtom tych niepoprawnych opętańców. Dwaj spokojni Anglicy i jeden Hiszpan uważali, że dla przykładu powiesić należy przynajmniej tego, co chciał zabić biednego niewolnika, ale gubernator powtarzał, że nie może skazywać na śmierć żadnego Anglika przez wdzięczność dla tego, co mu uratował życie, i że gdyby jego samego Anglik jaki zranił nawet śmiertelnie, to jeszcze umierając głosowałby za ułaskawieniem swego zabójcy. Przyłączono się do tego łagodniejszego zdania, jak się to zwykle zdarza,

gdy się znajdzie choćby jeden, umiejący z prawdziwem przejęciem się i przekonaniem przemówić za przebaczeniem. Ale wszyscy, nie wyłączając gubernatora, zgodzili się na to, by trzech złoczyńców pozostawić ich własnemu losowi. A więc postanowiono przedewszystkiem rozbroić ich i nie dozwalać im używania strzelb, pistoletów, szabel, nawet nożów. Następnie wyłączono i wydalono ich z osady, oraz postanowiono nie wdawać się z nimi, nie zbliżać się nawet wcale do nich i nie rozmawiać z nimi. Im zaś surowo zakazano zbliżać się do osady na pewną oznaczoną odległość. Oświadczono im wkońcu, że gdyby przyszła im ochota robić szkody w polu lub w winnicach, kraść kozy, lub jakikolwiek popełniać rabunek lub szkodę, natenczas bez żadnego miłosierdzia będą zabici na każdem miejscu, gdziekolwiekby się tylko pokazali. Gubernator ze zwykłą swoją ludzkością zauważył jeszcze, że nie można ich zostawić tak bez żadnych zapasów żywności, bo z głoduby poumierali, zanim doczekają się zboża i trzodę sobie wyhodują. Na jego żądanie wydzielono im więc zboża na zasiew i żywienie się przez osiem miesięcy, darowano sześć dojnych kóz, cztery kozły i sześcioro koźląt na teraźniejsze potrzeby i wyhodowanie trzody. Przyrzeczono także udzielić im narzędzi rolniczych, a nawet parę toporków, jeżeli uroczyście przyrzekną, że nie będą ich używać na szkodę innych osadników. Musieli poddać się tym warunkom i poszli szukać miejsca na swą nową osadę.

W kilka dni potem zgłosili się po zapasy, oznajmiając, że zamierzają się osiedlić na północno-wschodniem wybrzeżu. Miejsce było rzeczywiście doskonale wybrane. Zbudowali sobie wkrótce dwie ładne chatki u stóp lesistego pagórka i ukryli je, dużo drzew naokoło nasadziwszy. Na prośbę dali im Hiszpanie jeszcze kilka kozich skór na urządzenie posłania, nadto jęczmienia, ryżu i grochu na zasiew, a wreszcie dali im trochę narzędzi i parę siekier, po uroczystem zapewnieniu z ich strony, że nie użyją tego na niczyją szkodę. W takiem odosobnieniu przeżyli sześć miesięcy. Pierwsze żniwo mieli bardzo mierne, bo też uprawili niewielki kawałek ziemi. W wielkim byli kłopocie, gdy im przyszło wyrabiać własnemi rękami rozmaite sprzęty i naczynia; nie wiedzieli nawet, jak zacząć, to też z niczem nie mogli trafić do końca. Gdy zaś nadeszła pora deszczowa, zboże zaczęło im pleśnieć, bo nie mieli suchej piwnicy. Wszystko to niezmiernie ich upokorzyło, zwłaszcza, gdy wkońcu, radzi nie radzi, musieli udawać się do Hiszpanów z prośbą o pomoc. Ci, niepomni uraz, nie odmawiali im prawie nigdy, a widząc smutne położenie sąsiadów, pomogli im do wykopania piwnicy, gdzie odtąd składali swoje zboże i inne zapasy.

ROZDZIAŁ XXIX.

Wyprawa trzech Anglikow. — Przywożą sobie żony. — Powstaje trzecia osada.

Mniej więcej w dziewięć miesięcy po założeniu nowej osady zamierzyli trzej Anglicy urządzić awanturniczą wyprawę. Znużeni pełnem pracy i trudów życiem, jakie obecnie prowadzić musieli, umyślili udać się na ląd stały i przywieźć sobie ztamtąd kiku niewolników, którzyby za nich i na nich pracowali. Otóż w tym celu przyszli oni pewnego razu do zamku i prosili Hiszpanów pokornie o chwilę rozmowy. Oświadczyli, że nie mogą dłużej żyć w takiej poniewierce, że nie są przyzwyczajeni tak ciężko pracować, i że nie chcą być osadzie ciężarem, muszą więc dostać sobie pomocników; proszą zatem Hiszpanów o wygodzenie jednej z tych łodzi, na których oni tu przybyli, aby się módz przeprawić przez morze na ląd stały i przywieźć sobie ztamtąd niewolników, oraz o strzelby i naboje. Hiszpanie radzi byli pozbyć się ich jak najprędzej z wyspy, czuli się jednak w obowiązku przestrzedz, na jakie się narażają niebezpieczeństwa, udając się na ów ląd stały. Opowiedzieli im, co sami tam wycierpieli, i radzili dobrze się pierwej zastanowić, bo łatwo się stać może, że albo ich dzicy wymordują, albo też głód ich tam zamorzy. Anglicy odpowiedzieli ze zwykłem zuchwalstwem, że przecież i teraz zdychają z głodu, a jeżeli ich dzicy pomordują, to nikomu nic do tego, bo nie mają przecie dzieci, ani żon, coby po ich śmierci lamentowały. Słowem, uporczywie obstawali przy swoim zamiarze, oświadczając, iż choćby im nie udzielono broni, to oni i tak odpłynąć muszą. Hiszpanie z wielką życzliwością uczynili zadość ich żądaniu, a pomimo, że sami mieli niewielki zapas broni, dali im dwie strzelby, pistolet, nóż myśliwski i po toporku dla każdego, a nadto zaopatrzyli ich w żywność na cały miesiąc, dostarczając chleba, koźlego mięsa, kosz rodzynków i wielki dzban na słodką wodę.

Puścili się zatem Anglicy w drogę, mając ze czterdzieści mil morskich do przebycia. Łódź była duża, mogła pomieścić piętnastu do dwudziestu ludzi, ztąd niełatwa do kierowania dla trzech marynarzy; lecz ponieważ wiatr mieli bardzo pomyślny, przeto szło im nieźle, gdyż zrobili sobie na prędce maszt z wysokiego drąga, zaś żagiel z czterech wysuszonych, pospinanych skór kozich i zręcznie łodzią kierowali. Hiszpanie żegnali ich z brzegu okrzykiem »Szczęśliwej drogi!« lecz nikt nie miał nadzieji, żeby ich kiedy miał jeszcze obaczyć.

Po odjeździe wichrzycieli odetchnęli pozostali osadnicy i nieraz rozmawiali o tem, jak miło żyje się teraz na wyspie w spokoju. Nie długo jednak trwała ta pomyślność. W trzy tygodnie potem jeden z pozostałych Anglików, pracując na swem polu, ujrzał z daleka trzech zbliżających się do niego ludzi; dwóch z nich miało strzelby na ramionach. Nie przypuszczając, żeby to byli jego rodacy, przestraszył się niezmiernie sądząc, że jacyś obcy ludzie wylądowali na wyspę i natychmiast pobiegł dać znać o tem hiszpańskiemu gubernatorowi. Ten uspokoił go, tłómacząc, że nie mogą to być dzicy, skoro są odziani i uzbrojeni, a chrześcijan niema się co obawiać, bo ci powinniby wyświadczyć im raczej co dobrego, niż złego. Gdy tak gubili się w domysłach, co to mogą być za ludzie, usłyszeli nagle znajome głosy i przekonali się, że to hultaje Anglicy już powrócili i głośnymi okrzykami, stojąc na kraju lasu, dają znać o sobie. Chociaż tem niespodzianem pojawieniem się niezbyt ucieszeni, zaprosili ich jednak Hiszpanie do zamku, chcąc się dowiedzieć, jak im się powiodła wyprawa.

Anglicy opowiadali, że dwa dni płynęli, zanim zbliżyli się do owego lądu, ale że nie odważyli się wysiąść, bo oczekiwała na nich na wybrzeżu ludność uzbrojona w łuki i oszczepy, widocznie nieprzyjaźnie usposobiona. Płynęli zatem dalej ku północy wzdłuż brzegów ze sześć godzin i dostali się do jakiejś zatoki. Wtedy atoli przekonali się, że to, co uważali za ląd stały, jest także wyspą, a owa zatoka jest właściwie cieśniną między dwiema wyspami. Płynęli potem dalej, posunęli się na zachód i odkryli cały szereg wysp leżących obok siebie, wreszcie na jednej z nich wysiedli. Ludność przyjęła ich życzliwie, dostarczając korzonków i suszonych ryb; kobiety i dzieci przynosiły im nadto jeszcze i rozmaitą inną żywność. Zabawili na tej wyspie cztery dni, porozumiewając się z mieszkańcami na migi. Zapytywali ich o plemiona zamieszkujące sąsiednie wyspy, a mianowicie ową wielką, obok której przepłynęli. Dzicy dali im do zrozumienia, że tam mieszkają ludy okrutne i wojownicze, o sobie zaś twierdzili, że jadają wprawdzie jeńców wojennych, ale bardzo rzadko i to tylko w dnie uroczyste. Anglicy zapytali, czy dawno była taka uroczystość. Na to dzicy ukazali na księżyc, a potem wystawili dwa palce, co miało znaczyć, że przed dwoma miesiącami. Pokazali dalej na migi, że wielki ich król ma dwustu jeńców wziętych w ostatniej wojnie, których tuczą na podobną uroczystość. Anglicy okazali chęć widzenia owych jeńców; tymczasem dzicy zrozumieli to inaczej, myśląc, że chcą dostać kilku w podarku, aby ich zjeść. Ukazali wtedy ręką na zachodzące słońce, a potem na wschód, co miało znaczyć, że następnego ranka o wschodzie słońca przyprowadzą im kilku. I w samej rzeczy przypędzili nazajutrz pięć kobiet i jedenastu mężczyzn i oddali ich Anglikom jako żywność na

drogę, zupełnie tak samo, jak my bydło do portu pędzimy, aby okręty udające się w daleką podróż w żywność zaopatrzyć. Jakkolwiek hultaje nasi byli okrutnikami, to przecież nie mogli znieść tego widoku. Nie mogli jednak tego okazywać i przyjęcia podarku odmawiać, boby to śmiertelnie dzikich obraziło. Umieścili tedy związanych jeńców w swej łodzi, a wzamian ofiarowali krajowcom w darze jeden toporek, jeden nóż, stary klucz i sześć kul ołowianych, które się najwięcej dzikim podobały mimo, że nie rozumieli do czego mogą im być przydatne.

»Ujrzał z daleka trzech zbliżających się do niego ludzi« str. (238).

Widoczne było oczekiwanie dzikich, że obdarowani wyprawią sobie, jeżeli nie zaraz, to nazajutrz ucztę i, jak grzeczność nakazywała, zaproszą na nią wspaniałomyślnych ofiarodawców. Aby takiego apetytu nie rozbudzać, zmuszeni byli Anglicy natychmiast odpłynąć. Pożegnano się z wszelkiemi grzecznościami i wzajemnemi podziękowaniami, o ile je można było na migi wyrazić. Nie mogąc wieść z sobą tylu ludzi, wysadzili na najbliższej wyspie ośmiu jeńców, obdarzając ich wolnością, resztę zaś, to jest pięć kobiet i trzech mężczyzn zabrali jako przyszłych niewolników. W podróży starali się czegoś dowiedzieć od tych biedaków, lecz niepodobieństwem było się z nimi porozumieć. Każde słowo Anglików, każde poruszenie było w oczach tych dzikich nastawaniem na ich zagładę. Naprzód ich rozpętano, żeby im nieco ulżyć, a oni zaraz mianowicie też kobiety zaczęły krzyczeć przeraźliwie, jak gdyby im przykładano zabójczy nóż do gardła, sądziły bowiem, że je już rozwięzywano

dla zabicia. Jeżeli im dawali co do zjedzenia, zaraz im się przywidywało, iż to czynią dla tego, żeby z ciała nie spadli; jeżeli się w którego z nich wpatrywano, już był pewny, że to dla zobaczenia, czy jest tłuściejszy od innych, a zatem lepszy na zarżnięcie; nakoniec pomimo dobrego obchodzenia się z nimi, codzień się spodziewali, że któreś z nich posłuży na obiad lub wieczerzę dla swoich panów. Wróciwszy, zostawili Anglicy swych niewolników w jednej chacie, a sami przyszli do zamku prosić o pewien zapas żywności dla siebie i swych domowników.

Hiszpanie, wysłuchawszy tej nadzwyczajnej historyi, poszli razem z Anglikami i z ojcem Piętaszka, by tych ludzi zobaczyć. W chacie zastali trzech mężczyzn i pięć kobiet siedzących z powiązanemi rękami; Anglicy bowiem, przybywszy, skrępowali ich na nowo z obawy, żeby z więzów uwolnieni, nie rzucili się do czółen i nie uciekli do swego kraju. Mężczyźni byli rośli i krzepcy, wyglądali na lat trzydzieści kilka. Dwie kobiety starsze miały pewnie około lat czterdziestu, młodsze mogły mieć po lat dwadzieścia pięć, a najmłodsza przystojna, smukła dziewczyna, nie miała więcej nad lat siedemnaście. Wszystkie kobiety były przyjemnej twarzy, a dwie z nich nawet w Londynie mogłyby uchodzić za piękne, gdyby miały białą skórę zamiast brunatnej i odpowiednio były ubrane i przystrojone. Stan, w jakim tych nieszczęśliwych znaleziono w chacie, przykry był istotnie dla Hiszpanów, gdyż trzeba im oddać tę sprawiedliwość, iż to byli ludzie najlepszego wychowania, prawego charakteru i nieskazitelnych obyczajow, jak to wkrótce ujrzymy. Było to, mówię, dotkliwą dla nich rzeczą widzieć trzech mężczyzn i pięć kobiet, zupełnie nagich, z powiązanemi rękami, w stanie największego poniżenia, do jakiego ludzkość może być przywiedziona, spodziewających się co chwila, że mogą być wywleczeni z chaty, pozabijani, a potem zjedzeni, jak cielce na ucztę przeznaczone. Staremu Indyaninowi, ojcu Piętaszka, kazano, aby wszedł do chaty dla zobaczenia, czyli nie pozna którego z jeńców, i żeby się z nimi rozmówił, jeżeli zrozumie ich mowę. Starzec przypatrywał im się z wielką uwagą; nie poznał ani jednego, a mógł się porozumieć tylko z jedną kobietą; lecz i to było dostateczne do osiągnięcia pożądanego celu, równie jak do przekonania tych ludzi, iż się znajdują w ręku chrześcijan, brzydzących się pożeraniem ciała ludzkiego, a przeto, że ich tu nikt zabijać nie myśli. Jak tylko odebrali to zapewnienie, radość ich przebijała się w najrozmaitszych i najdziwaczniejszych poruszeniach, bo do różnych należeli plemion. Pytano ich się potem, czy zechcą pracować dla tych, którzy ich tu przywieźli i uratowali im życie? Odpowiedzieli na to przez taniec, w którym każdy z nich wziął jakąś rzecz na plecy, chcąc przez to okazać, iż wszystko są gotowi uczynić, co tylko polecone im będzie.

w sposób bardzo prosty i praktyczny. Zamknęli wszystkie kobiety w jednej chacie, sami poszli do drugiej i tam ciągnęli losy, który z nich będzie miał pierwszeństwo wyboru. Ten, co pierwszy los wyciągnął, wszedł pierwszy do chaty, w której kobiety siedziały, i wyszedł zaraz, prowadząc z sobą najstarszą i najbrzydszą ze wszystkich. To wywołało ogólną wesołość; nawet poważni Hiszpanie nie mogli wstrzymać się od śmiechu. Tymczasem pokazało się później, że człowiek ten zrobił najroztropniejszy wybór. Żona jego była gospodarna, najpracowitsza i najlepsza z pięciu kobiet. Gdy biedne Indyanki, siedząc rzędem w chacie, ujrzały wchodzącego pierwszego Anglika, podniosły straszny lament myśląc, że nadeszła już ostatnia ich godzina. Gdy zaś ujął jedną z nich za rękę i chciał ją wyprowadzić, rzuciły się inne na nią, ściskały ją i całowały, żegnając tak czule, że widok ten wzruszyłby najtwardsze serce. Z trudnością wytłómaczył im dopiero ojciec Piętaszka, że nie chodzi tu wcale o zabicie, lecz że Anglicy biorą je sobie za żony.

Po dokonaniu wyboru zabrali się Anglicy do roboty i pobudowali z pomocą Hiszpanów nowe chatki, tak, ażeby każde stadło mogło mieszkać osobno. Niezbędne narzędzia, zapasy i sprzęty przechowywano w dawnych chatkach. Dwaj spokojni Anglicy osiedli bliżej zamku, trzej hultaje o wiele dalej. I tak na wyspie niegdyś bezludnej powstały trzy osady, z których mogły powstać w przyszłości trzy osobne miasta.

Zdarzyło się w tych nowych pięciu stadłach, co nieraz można widzieć między ludźmi, a w czem prawdziwie trudno przeniknąć zamiary Opatrzności. Oto dwaj lepsi Anglicy dostali gorsze kobiety za żony, trzej zaś hultaje mieli za żony kobiety dobre, cierpliwe, zręczne, gospodarne i pracowite. Wprawdzie i tamtym nic nie można było zarzucić pod względem usposobienia i charakteru; były to kobiety dobre, a mężom swym ulegały z prawdziwie niewolniczą pokorą, ale pokazało się, że są mniej przemyślne, zapobiegliwe, zręczne i gospodarne, aniżeli żony trzech niepoprawnych nicponiów. Pomimo to dwaj uczciwi Anglicy urządzili swoje osady daleko lepiej i porządniej, niż tamci. Przekonałem się o tem, zwiedzając wyspę za powtórnem na nią przybyciem. Na każdym kroku znać było różnicę w gospodarce. Mimo, że dwom spokojnym Anglikom zburzono dwukrotnie chaty, raz uczynili to ich właśni rodacy, drugi raz dzicy, o czem później opowiem, zastałem ich osadę w stanie kwitnącym a chaty bardzo porządnie odbudowane. Pozakładali oni śliczne winnice, przynoszące im plon obfity, w lesie urządzili osobną bezpieczną kryjówkę, gdzie przechowywali zapasy a w razie niebezpieczeństwa ukrywali swe żony i dzieci. Naokoło zagrody nasadzili taką ilość młodych drzewek, że te po rozkrzewieniu się utworzyły gaj prawdziwy. W polach umiejętna i staranna uprawa, ani śladu zielska w ich zbożu, najmniejszej dziury w płocie, to też i korzyści były widoczne.

Gubernator, obawiając się, aby nie przyszło zaraz do nowych nieporozumień i kłótni, spytał trzech Anglików, jak zamierzają postąpić z kobietami. Zrobił im przytem uwagę, że powinni zgodnie wybrać sobie po jednej i dobrze się z niemi obchodzić, bez względu na to, czy chcą je pojąć za żony, lub też tylko jako sługi i niewolnice zatrzymać. Wtedy Anglicy zapytali uprzejmie Hiszpanów, czy który z nich nie zechce poślubić jednej z tych kobiet. Ci bez wyjątku odmówili, gdyż wielu z nich miało żony w Hiszpanii, inni zaś nie mieli ochoty łączyć

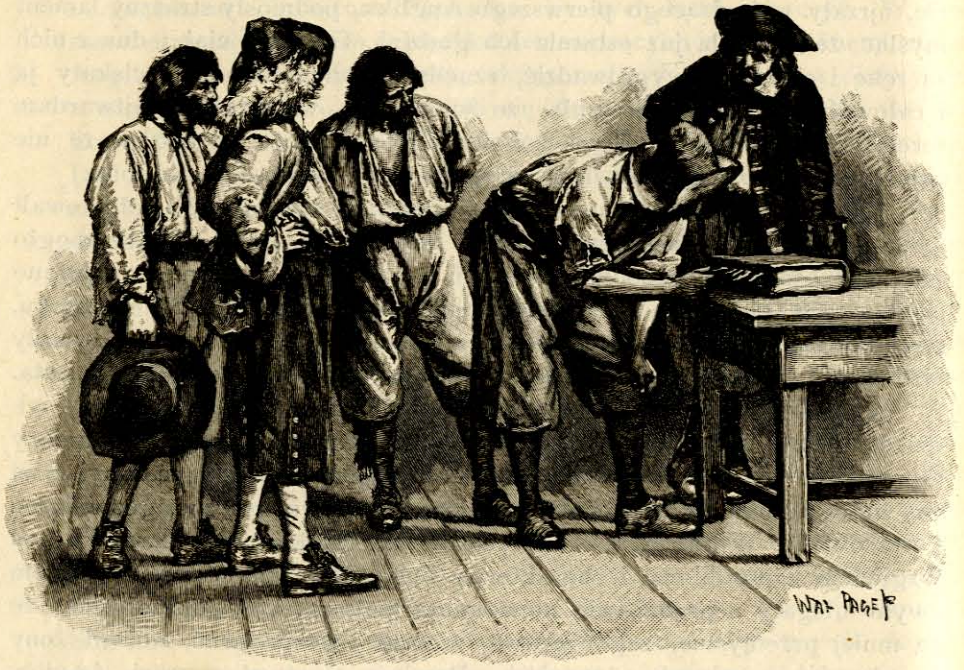

»Ciągnęli losy« (str. 242).

się z pogankami, poczem Anglicy pobrali te kobiety za żony i odtąd cała osada inną przybrała postać. W zamku pozostali tylko Hiszpanie z ojcem Piętaszka i trzema dawnymi niewolnikami, których do różnych posług używano. Anglicy zaś z żonami utworzyli dwie nowe osady, dwaj spokojni osobno, osobno zaś trzej hultaje.

Lecz najdziwniejszą rzeczą w tej historyi był sposób, w jaki tych pięciu tak niezgodnych ludzi zdołali się z sobą pogodzić w wybraniu żon. Hiszpanie obawiali się, że przy tej sposobności wywiążą się gwałtowne spory, co tem łatwiej mogło nastąpić, że jedne kobiety były starsze, drugie młodsze i piękniejsze. Ale Anglicy zapobiegli temu

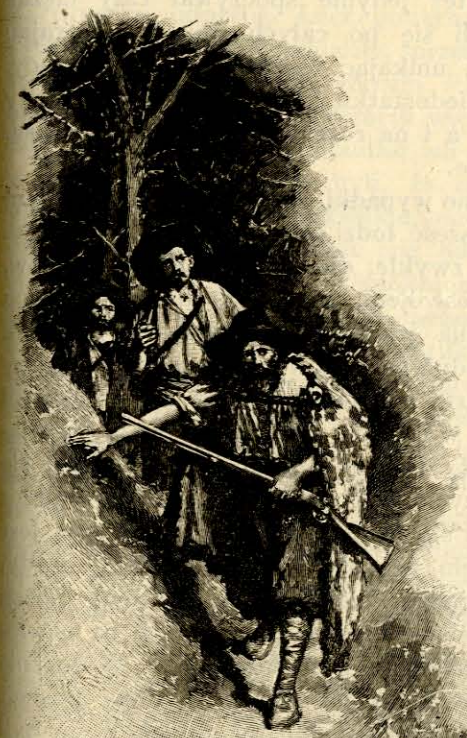

Wszystko im się udawało, dostatek mieli wszystkiego, daleko większą trzodę, więcej sprzętów, niż tamci, tak, że można było do nich zastósować przysłowie Salomona: »Ręka pracowita nagromadza bogactwa«. Zupełnie inaczej wyglądały osady trzech nicponiów. Poprawili się oni wprawdzie i nie wyprawiali już teraz ciągłych kłótni, nie mając do tego tak dalece sposobności, ale nie pozbyli się lenistwa, tego nierozdzielnego towarzysza wszystkich zbrodni i występków. Uprawiali wprawdzie swoje pola, ogrodzili je, ale robili to niedbale i można było zastósować do ich osady słowa Salomona: »Przechodziłem obok winnicy leniwego, lecz była zarośnięta cierniem«. Na polu więcej mieli chwastu niż jęczmienia a i to, co było, było wydeptane, bo dzikie kozy wyjadały im zboże, gdyż w płotach było mnóstwo dziur. Wprawdzie gdzieniegdzie były te dziury pozatykane gałązkami, lecz robili oni to jak ów woźnica, co zaparł drzwi od stajni wtedy, kiedy już konia z niej wykradziono. Zapobiegliwe i skrzętne żony trzech próżniaków nauczyły się wkrótce od dawnego kuchty okrętowego sposobu przyrządzania potraw po angielsku i wybornie

»Ujrzeli trzech dzikich, pogrążonych w głębokim śnie« (str. 244).

karmiły swoich mężów. Na nich też jedynie spoczywał cały ciężar gospodarstwa, bo mężowie wałęsali się po całych dniach, zbierając żółwie jaja, łowiąc ryby i ptaki a unikając wszelkiej cięższej pracy. Skutkiem tego byli najczęściej w niedostatku i biedzie, podczas kiedy pracowitym na niczem nie zbywało a i na rozrywkę dość mieli czasu. To samo dzieje się na całym świecie.

Wtem zaszły nowe nadzwyczajne wypadki. Dnia jednego wczesnym rankiem ujrzeli mieszkańcy wyspy sześć łodzi przybijających do brzegu. Byli to dzicy, przybywający tu, jak zwykle, dla spożycia swych jeńców. Osadnicy nasi tak już byli z tem oswojeni, że to nie budziło w nich wielkiego niepokoju. Z doświadczenia wiedzieli, że mają się tylko tak długo ukrywać, dopóki dzicy nie odpłyną. Zazwyczaj ten, co pierwszy ujrzał nadpływających, ostrzegał resztę mieszkańców, aby nie wychodzili ze swoich zagród. Stawiano przytem w ukryciu straż, która miała obowiązek czuwać z daleka i dawać znać, że dzicy wyspę opuścili. Zdawało się więc, że wszystkie ostrożności należycie są obmyślane; tymczasem przez nieszczęśliwy przypadek dowiedzieli się dzicy tym razem, że wyspa jest zamieszkana, co opłakane pociągnęło za sobą skutki dla całej osady.

Po odpłynięciu dzikich Hiszpanie, ciekawością wiedzeni, poszli zwiedzić ich obozowisko. Tam z wielkiem zdziwieniem ujrzeli na piasku trzech pozostałych ludzi, pogrążonych w głębokim śnie. Widocznie objedli się podczas swej okropnej uczty a potem jak bydlęta posnęli i nie obudzili się, gdy ich rodacy odpływali, lub też zabłąkali się byli w lesie i nie wrócili w porę. Hiszpanie na ten widok potruchleli i nie wiedzieli, co począć. Był z nimi i gubernator, lecz zapytany o zdanie wyznał, że w istocie sam nie wie, co robić. Mieli już tylu niewolników, więc nowych brać nie było potrzeby. Zgładzić ich nie godziło się; zresztą gubernator nie dałby się nakłonić do przelania jednej kropli krwi niewinnej, zwłaszcza że ci ludzie nic złego nie uczynili, nie spustoszyli ich własności, ani też nie uprowadzili trzody, żaden więc powód nie usprawiedliwiłby zamachu na ich życie. Winienem tu oddać sprawiedliwość Hiszpanom. Jeżeli bardzo słusznie potępiać można okrucieństwa popełniane przez ich rodaków w Peru i Meksyku, to niemniej jest prawdą, że nigdy jeszcze w żadnym narodzie nie napotkałem siedemnastu ludzi podobnych tym w dobroci, umiarkowaniu i uczciwości, tak cnotliwych i tak ugrzecznionych. Nie mieli w sobie nic gminnego, nieludzkiego, żadnej nagannej namiętności a przytem byli to ludzie pełni odwagi i szlachetnej dumy. Umiarkowanie ich i cierpliwość okazały się w całym blasku, gdy im przyszło doświadczyć bezczelnego trzech Anglików zuchwalstwa, a w obecnym wypadku dali nowy dowód sprawiedliwości i miłosierdzia dla dzikich. Po krótkiej naradzie, postanowili nie pokazywać się jakiś czas Indyanom mając nadzieję, iż jak się obudzą, to

za drugimi odpłyną. Lecz gubernator przypomniał, że gdy wszystkie czółna już się ztąd oddaliły, przeto ludzie ci, przymuszeni tu zostać, tułając się po wyspie odkryją ich mieszkania, co może sprowadzić zniszczenie całej osady. Wrócili więc znowu, a znalazłszy dzikich jeszcze we śnie, postanowili pobudzić ich i zabrać. Biedni ci, ujrzawszy się w więzach, przekonani byli, że za chwilę na rzeź będą wydani, bo wyobrażali sobie, że wszystkie narody świata jadają ludzkie mięso, że zatem i ci, co ich pojmali, nie odmówią sobie przyjemności pożarcia ich jako swych jeńców. Uspokojono jednak prędko ich obawy i przeprowadzono ich najpierw do mego dawniejszego letniego mieszkania, następnie do osady dwóch Anglików; na szczęście nie pokazano im zamku. Nie przypuszczano, by mogli myśleć o ucieczce, nie strzeżono ich przeto zbyt ściśle, co było powodem, że po niejakim czasie udało się jednemu z nich umknąć. Znikł bez wieści; prawdopodobnie ukrywał się gdzieś w lasach na wyspie. W kilka tygodni potem przypłynęli znów dzicy, odbyli, jak zwykle, swą ucztę i odpłynęli. Dopiero po ich odjeździe przyszło na myśl osadnikom, że zbieg znalazł zapewne sposobność połączenia się z dzikimi i odjechał do swego kraju. Przypuszczenie to wzbudziło wielki popłoch wśród mieszkańców wyspy, bo zbiegły jeniec mógł zawiadomić dzikich, że wyspa jest zamieszkana i sprowadzić groźny najazd na całą osadę. Tak się też i stało w przyszłości! Osadnicy pocieszali się tylko myślą, że zbieg nie znał zamku, ani leśnej groty, ani też leśnej kryjówki dwóch Anglików. Nie wiedział też, ilu wyspa ma mieszkańców i nie znał użytku palnej broni.

ROZDZIAŁ XXX.

Dwukrotny najazd dzikich. — Wielka bitwa. — Dzicy pokonani. — Niedobitki osiedlają się na wyspie, tworząc czwartą osadę.

Obawy osadników sprawdziły się wkrótce. We dwa miesiące potem przybyło około pięćdziesięciu dzikich w ośmiu łodziach. Wylądowali oni w godzinę po wschodzie słońca na północnym brzegu wyspy, gdzie się dotąd nigdy nie ukazywali, w miejscu oddalonem o milę od osady właśnie tych dwóch Anglików, którym zbiegł był dziki jeniec.

Słusznie mówił później gubernator, że gdyby wtedy wszyscy osadnicy zgromadzeni tam byli w jednem miejscu, pokonaliby dzikich bez trudności i żywa dusza by z nich nie uszła. Ale dwóch ludzi nie mogło stawiać czoła pięćdziesięciu.

Dobrze się jeszcze złożyło, że ci dwaj Anglicy dostrzegli łodzie z daleka na morzu o jaką dobrą milę od brzegu. Widząc, że zmierzają prosto do ich osady, domyślili się, że są odkryci i że zbiegły jeniec musi być przewodnikiem. Nie tracąc czasu, przedsięwzięli środki obronne. Przedewszystkiem związali dwóch towarzyszów zbiega, którym nie dowierzali i odesłali ich do leśnego ustronia pod strażą dwóch wiernych niewolników, przywiezionych na wyspę razem z kobietami. Tam też schroniły się żony i przeniesiono wszystko, co było drogocenniejszego. Następnie pootwierali szałase i wypędzili dojne kozy do lasu, chcąc najezdników wprowadzic w błąd, że to są dzikie kozy a nie trzoda oswojonych. Ale dzicy nie dali się tym podstępem zbałamucić i poszli potem wprost do ogrodzonych pastwisk, widocznie przez zdrajcę poprowadzeni. Trzeciego z niewolników, który tam właśnie był przypadkiem, wysłali Anglicy do Hiszpanów z prośbą o pomoc. Sami uzbroiwszy się pośpiesznie, cofnęli się pod las, w stronę kryjówki swych żon i dobytku, idąc zwolna i oglądając się, by śledzić zamiary najezdników. Jakoż niezadługo ujrzeli z pagórka gromadę dzikich, sunącą prosto ku ich zagrodzie. W kilka chwil później zobaczyli swe chaty w płomieniach. Była to dla nich wielka strata. Dzicy, podpaliwszy chaty, rozbiegli się po osadzie, jak gdyby szukając łupu i ludzi, o których dobrą musieli mieć wiadomość. Anglicy, widząc niebezpieczeństwo, cofnęli się dalej w głąb, bo nie chcieli we dwóch tylko potykać się z całą gromadą, a mieli nadzieję, że łatwiej się dzikim obronią, gdy ci rozprószą się po wyspie. Zatrzymali się dopiero w gęstym lesie. Stało tam ogromne, bardzo stare, wypróchniałe drzewo. W pustym pniu dość było miejsca dla obydwóch, ukryli się tam zatem, bo przez dziury doskonale mogli patrzeć na ścieżkę. Wkrótce spostrzegli dwóch dzikich, zmierzających w tę stronę, za nimi szło trzech a dalej ukazało się jeszcze pięciu. Wszyscy biegli w tym kierunku, tropiąc białych, jak myśliwi zwierzynę. Zachodziła obawa, że jeżeli dzicy swobodnie przebiegać będą las w ten sposób w różnych kierunkach, to odkryją miejsce, gdzie ukryte były żony i dobytek, zanim Hiszpanie z pomocą nadejdą. Trzeba więc było zatrzymać ich i zwalczyć. W ostatecznym razie umyślili wleźć na drzewo, strzelać z wierzchołka i bronić się, choćby ich cała gromada otoczyła. Pierwszych dwóch postanowili spokojnie przepuścić i dopiero następnych zaczepić, aby w ten sposób rozbić ten oddział dzikich na dwie części. Utwierdzili się w tem postanowieniu widząc, że pierwsi dwaj skręcili w bok a trzej następni idą prosto do drzewa, jak gdyby wiedzieli, że oni są tam ukryci. Strzelby mieli nabite siekańcami; mieli strzelać jeden za drugim w miarę potrzeby. Gdy trzech dzikich, idąc w linii jeden za drugim, zbliżać się poczęło, rozpoznali Anglicy, że jest między nimi ów zbieg. Nie zwlekając dłużej, zmierzył jeden Anglik przez dziurę, jakby przez strzelnicę i wypalił.

Zbieg i drugi dziki padli trupem. Trzeci, zraniony w ramię, przeraził się ogromnie, usiadł i począł przeraźliwie krzyczeć. Huk wystrzału odbił się wielokrotnem echem, płosząc masę ptactwa, które zrywając się z drzew i krzycząc, cały las hałasem napełniło. Pięciu dzikich, postępujących z tyłu, zatrzymało się usłyszawszy ten dziwny huk i hałas; nie rozumieli widocznie, co to wszystko znaczy. Gdy się uciszyło, ruszyli dalej i zbliżyli się do leżących na ziemi towarzyszów. Ranny opowiadał im coś żałosnym głosem; zdaje się, że musiał im mówić, że on i jego

»Zobaczyli swe chaty w płomieniach« (str. 246).

towarzysze rażeni zostali od pioruna, bo w inny sposób nie mógł sobie wytłómaczyć tego zdarzenia, skoro palnej broni nigdy nie widział ani o niej nie słyszał. Tamci słuchali nie przeczuwając, że im samym podobne grozi niebezpieczeństwo. Opowiadali mi później Anglicy, że żal im było tych ludzi. Wahali się nawet przez chwilę, czy mają do nich strzelać, ale czując, że muszą bronić życia własnego i swoich rodzin, dali obaj ognia. Czterech ludzi padło, piąty nie był nawet ranny, ale śmiertelnie przerażony upadł także. Anglicy mniemając, że dzicy leżą już bez życia, wyskoczyli z kryjówki z nienabitą bronią. Był to krok

bardzo nierozważny, gdyż, jak się pokazało, dzicy byli tylko ranni i podnosili się właśnie z ziemi. Rzucili się na nich Anglicy i dobili kolbami, z wyjątkiem tego, który nie był ranny; ten padłszy na kolana, wyciągnął błagalnie ręce, prosząc o darowanie mu życia. Związano mu ręce i nogi i zostawiono go pod drzewem. Następnie pobiegli obaj za dwoma dzikimi, co pierwsi przeszli przez las, aby się przekonać, czy nie wyśledzili kryjówki ich żon. Ale wkrótce ujrzeli ich z daleka, idących w przeciwną stronę doliną ku brzegom morskim.

Uspokojeni wrócili po jeńca, ale już go nie było pod drzewem; domyślali się, że zapewne inni dzicy, przechodząc tamtędy, uwolnili go z więzów i zabrali z sobą. To ich przeraziło na nowo; widocznie nieprzyjaciel był w pobliżu, a oni nie wiedzieli, jak liczny, gdzie jest i dokąd mają się teraz zwrócić. Nie wiedząc, co począć, pobiegli do leśnej kryjówki, gdzie przebywały ich żony. Tu przekonali się, że dzicy musieli przechodzić w pobliżu, ale że żaden nie znalazł kryjówki. W istocie prawie niepodobieństwem było dostać się w to miejsce, nie znając dobrze ukrytej ścieżki. Biedne kobiety pół żywe były ze strachu, znały bowiem aż nadto dobrze dzikie zwyczaje swoich rodaków i wiedziały, jak okropny los by je spotkał, gdyby wpadły w ręce tych okrutników. Jeszcze ich dobrze nie uspokoili, gdy wtem ukazali się przybywający na pomoc Hiszpanie. Było ich siedmiu, przyszli z jednym niewolnikiem a prowadzili z sobą także owego dzikiego, którego Anglicy związanego pod drzewem byli zostawili, bo właśnie tamtędy przechodzili i zabrali go z sobą. Reszta Hiszpanów, to jest dziesięciu, udali się wraz z ojcem Piętaszka i swymi niewolnikami do letniego schroniska, aby czuwać nad polami i winnicą, w razie gdyby dzicy aż tam zapuścili swoje zagony. Połączywszy się z Hiszpanami, nabrali Anglicy otuchy i wyszli z kryjówki, by wspólnie uderzyć na dzikich. Ci widocznie jeszcze niedawno kręcili się po lesie, bo oni to niezawodnie musieli starać się zabrać z sobą poległych koło spróchniałego drzewa, skoro dwa trupy leżały teraz znacznie dalej na drodze ku morzu. Teraz już ich nigdzie nie można było napotkać. Wyszedłszy nareszcie na małe wzgórze, zobaczyli z daleka, że Indyanie siadają już do czółen i odpływają. Zrazu żałowali wszyscy, że im się nie udało dzikich pożegnać, ale za chwilę byli radzi, że najezdnicy opuścili już wyspę.

Tak więc biednym Anglikom po raz drugi spalono chaty i zniszczono pola a kilkoletnia ich praca poszła na marne. Trzeba jednak przyznać, że wszyscy osadnicy przyszli im z pomocą, a nawet trzej hultaje, którzy dotąd jeszcze nikomu nic dobrego nie wyświadczyli, na wiadomość o tem przybyli z odległej swej osady i przez kilka dni gorliwie pracowali nad odbudowaniem chat swoich ziomków. W krótkim więc czasie zagospodarowali się ci dwaj niezgorzej na nowo.

W dwa dni po najeździe dzikich, wyrzuciła woda na brzeg wyspy trzy czółna i kilku topielców. Był to znak, że burza zaskoczyła dzikich na morzu. Jeżeli jednak choć jeden ocalał, to niezawodnie zaniósł do swoich wieści o wyspie i jej mieszkańcach, można się więc było spodziewać, że wkrótce nastąpi nowy najazd i to z większą jeszcze siłą. To tylko pocieszało naszych osadników, że w czasie ostatniej wyprawy dzicy nie mieli sposobności przypatrzenia się im z blizka, nie mogli zatem wiedzieć, że jest ich tak niewielu na wyspie. Człowiek zaś, który im służył za przewodnika, już nie żył.

»Szli prosto ku osadzie« (str. 250).

Przez całe pół roku dzicy nie dawali znaku życia. Osadnicy zaczynali już nabierać otuchy sądząc, że Indyanie zapomnieli o wyspie, że zrażeni poniesionemi stratami, nie mają ochoty najeżdżać jej powtórnie. Wtem dnia jednego nad wieczorem ukazała się na morzu flota, składająca się z dwudziestu ośmiu łodzi, wypełnionych licznym ludem uzbrojonym w łuki, dzidy, drewniane miecze i ciężkie maczugi.

Na wyspie powstał popłoch a przerażenie ogarnęło wszystkich. Noc już zapadła, gdy łodzie przybiły do wschodniego brzegu wyspy. Wiedząc, że dzicy nie rozpoczną walki wśród ciemności, naradzali i przygotowywali się nasi do obrony a raczej do ukrycia się, bo nie

można było mierzyć się z tak licznym nieprzyjacielem w otwartem polu. Przedewszystkiem ukryto w głębi wyspy, częścią w leśnej grocie, częścią w letniem schronisku, wszystkie trzody. Przypuszczając, że dzicy udadzą się naprzód do znanej im już osady dwóch Anglików, ludzie nasi postanowili się tam dodnia zgromadzić i czekać napastników w ukrytej zasadzce. Stało się, jak przewidywali. Indyanie pozostawili łodzie swe u wschodniego krańca wyspy, a sami szli wybrzeżem prosto ku osadzie dwóch Anglików. Było ich około dwustu pięćdziesięciu. Siły zaś zbrojne osadników wynosiły: Hiszpanów siedemnastu, Anglików pięciu, ojciec Piętaszka, trzech niewolników przywiezionych z kobietami, wypróbowanych w wierności, i trzech niewolników, wziętych w czasie bitwy dzikich na wyspie; razem dwudziestu dziewięciu. Na uzbrojenie tych ludzi było dziewiętnaście strzelb, pięć pistoletów, dwa miecze, a nadto stare dzidy. Niewolnikom nie dano palnej broni, ale każdy z nich dostał dzidę i toporek; także i z Europejczyków każdy dostał toporek. Ponieważ dwie kobiety koniecznie chciały w walce wziąć udział, przeto uzbrojono je w łuki i strzały, zebrane niegdyś przez Hiszpanów na polu bitwy, stoczonej między dzikimi, i dano siekiery. Gubernator hiszpański był wodzem tego małego wojska, zaś Will Atkins, znany z odwagi i przebiegłości, jego pomocnikiem.

Oddział z sześciu ludzi, z Willem Atkinsem na czele, stanowił straż przednią. Zaczajeni w gęstwinie, mieli polecenie czatować na dzikich, przepuścić naprzód kilkudziesięciu, a potem dać ognia w sam środek nieprzyjacielskiego wojska, aby wzniecić popłoch. Dokonawszy tego, powinien był Will Atkins, kryjąc się ciągle, cofnąć się z oddziałem poza stanowisko Hiszpanów. Z początku poszło wszystko dobrze. Dzicy szli bezładnie kupami. Atkins według planu przepuścił ich naprzód kilkudziesięciu a potem rozkazał trzem ze swoich ludzi dać ognia lotkami w sam środek gromady wrogów. Skutek przeszedł oczekiwanie; ilu padło, nie można było obliczyć, ale straszliwy popłoch ich ogarnął, słyszeli bowiem huk, widzieli padających towarzyszów a nie wiedzieli, zkąd to pochodzi. Atkins kazał wystrzelić w gęstą kupę trzem innym ze swego oddziału. Ci, co strzelali pierwsi, nabijali tymczasem broń, i za chwilę dali znów ognia, tak, że trzy salwy jedna po drugiej padły na zmieszanego i przerażonego nieprzyjaciela. Gdyby Atkins wykonał był co do joty otrzymany rozkaz i cofnął się zaraz w porządku, lub też gdyby reszta osadników przyszła mu była z pomocą, pogrom dzikich byłby zupełny. Nie rozumiejąc, zkąd może pochodzić ów huk i ciosy mordercze, sądzili, że to bogowie rażą ich piorunami i to właśnie przejmowało ich trwogą nie do opisania. Ale gdy Atkins za długo pozostał na stanowisku, dostrzegli go dzicy i poznali swą omyłkę; nabrali odwagi na nowo i zaczęli oddział Atkinsa otaczać. Wtedy nie

było się już co ukrywać. Atkins i jego ludzie, cofając się śpiesznie, dali ognia jeszcze kilka razy, szerząc śmierć wśród Indyan, ale i ci strzelać zaczęli z łuków, zranili samego Atkinsa i przeszyli strzałami na śmierć jednego z niespokojnych Anglików i jednego niewolnika, który bił się doskonale i chociaż miał tylko topór i dzidę, zabił sam pięciu przeciwników. Nadciągnęli wreszcie Hiszpanie i dali jeszcze trzy razy ognia. Ostatecznie jednak nasi, nie mając dobrego stanowiska, musieli się cofnąć, bo dzicy bili się z zawziętością i zasypywali ich niemal strzałami, mimo że mieli wielu zabitych a jeszcze więcej ranionych, z których lżej ranni, rozjątrzeni bólem, rzucali się w walkę ponownie jak opętani. W czasie tego padło jeszcze dwóch naszych: jeden Hiszpan i jeden niewolnik. Nasi cofnęli się do lasu, zostawiając na polu bitwy ciała poległych. Dzicy znęcali się w bezecny sposób nad ich zwłokami. Pogruchotali im ręce, nogi i głowy drewnianemi maczugami i poszarpali ich prawie na sztuki. Nie ścigali jednak cofających się, lecz według swego zwyczaju ustawili się w koło i wydali dwukrotny okrzyk radości na znak odniesionego zwycięztwa. Padło ich teraz bardzo wielu, osłabionych upływem krwi.

Gubernator zebrał małe swe wojsko na pagórku. Atkins, mimo że ranny, chciał koniecznie, aby zaraz wszyscy razem na Indyan jeszcze raz uderzyli.

— Widziałeś, panie Atkins — rzekł gubernator — jak biją się nawet ich ranni. Zostawmy ich do jutra, a wielu z nich poginie wskutek upływu krwi, inni osłabieni nie będą zdatni do walki; będziemy zatem mieli łatwiejszą sprawę, mając mniejszą ich liczbę przed sobą.

— To prawda, — odrzekł Atkins — ale jutro i ja mogę być niezdatny, dlatego to chciałbym dziś jeszcze korzystać z życia i sił do walki.

— Bardzo to pięknie, panie Atkins, — odparł gubernator — ale sądzę, że lepiej będzie poczekać do jutra. Sprawiłeś się mężnie i spełniłeś dzielnie swój obowiązek; gdybyś zaś jutro nie miał siły do walki, naszym obowiązkiem będzie walczyć za ciebie.

Noc była jasna, bo księżyc świecił. Można było dokładnie śledzić wszystkie ruchy dzikich. Gromadzili się oni obok swoich rannych i zabitych i nie zachowywali żadnych ostrożności, biegając i hałasując. Widząc to gubernator postanowił skorzystać i nie czekając dnia, uderzyć zaraz na nich znienacka. Jeden z Anglików, na którego gruntach odbywała się bitwa, znając doskonale okolicę, poprowadził oddział między lasem a wybrzeżem. Zbliżono się cichutko i niepostrzeżenie aż pod sam obóz nieprzyjaciół i podzielono na trzy oddziały po ośmiu ludzi, gdyż pozostało dwudziestu dwóch mężczyzn a przyłączyły się do nich jeszcze dwie kobiety, oświadczając, że pragną zwyciężyć lub umrzeć obok swych mężów.

Każdy oddział uderzyć miał z innej strony, a wszystkie jednocześnie tak, aby wpośrodku mieć sam wybór indyjskich wojowników i tych przedewszystkiem pokonać. Na dany znak poczęły oddziały dawać kolejno ognia. Indyanie osłupieli; sądzili że są osaczeni przez jakieś ogromne wojsko. Gdyby mogli byli widzieć naszych i wiedzieć, jak szczupła garstka występuje do walki z nimi, broniliby się zapewne odważniej. Skoro dostrzegli naszych, porwali się do łuków, a jedna strzała zraniła lekko starego ojca Piętaszka. Ale nasi nie pozwolili się im opamiętać, dali jeszcze kilka razy ognia, sprawiając rzeź straszliwą, a potem rzucili się naprzód, tłukąc ich kolbami, siekierami i mieczami. To uderzenie dokonało zwycięztwa. Dzicy niespodziewanie zaskoczeni, przerażeni, oszołomieni, pierzchnęli na wsze strony, uciekając bez pamięci i jedynie w chyżości swych nóg szukając ocalenia. Nie tu koniec klęski. Właśnie w tym czasie zerwała się burza i trwała przez godzin kilkanaście. Wiele czółen porwała fala i uniosła na morze, inne powyrzucała daleko na brzeg, nie mało też porozbijało się o skaliste wybrzeża. To nieszczęście sprawiło, że ani jeden dziki nie mógł się schronić do czółen i uciec z wyspy. Pokryli się w lesie.

Ludzie nasi, ucieszeni zwycięztwem, nie tracili tej nocy czasu na odpoczynek, ale pokrzepiwszy się nieco jadłem, udali się w pogoń za zbiegłymi niedobitkami. Musieli przechodzić przez pobojowisko, gdzie oczom ich przedstawił się okropny i bolesny widok. Wielu rannych dawało jeszcze znaki życia, lecz uratować ich było niepodobieństwem. Patrzyli na to ze smutkiem, bo ludzie szlachetni, z konieczności walcząc w obronie własnej lub ojczyzny, nie lubują się w męczarniach nieprzyjaciela i nie mogą bez wzruszenia patrzeć na jego nieszczęścia. Tymczasem dzicy niewolnicy położyli kres cierpieniom swych rodaków; bez rozkazu podobijali rannych toporkami.

Napotkali wreszcie ściganych niedobitków; było ich około stu. Opłakany stan tych ludzi budził litość w miejsce obawy. Prawie wszyscy siedzieli na ziemi z łokciami wspartymi na kolanach i głową ukrytą w dłoniach. Gubernator kazał dwa razy wystrzelić ślepymi nabojami, chcąc się tylko dowiedzieć, czy dzicy mają jeszcze ochotę do walki, czy też tak już są zbiedzeni i zniechęceni, że poddadzą się bez oporu. Dzicy zerwali się i wśród oznak największego przerażenia poczęli uciekać ku wzgórzom, żałośnie krzycząc i jęcząc.

W pierwszej chwili żałowali nasi ludzie, że burza nie dozwoliła dzikim odpłynąć. Później dopiero zastanowili się, że taki odjazd pociągnąłby za sobą najgorsze skutki, bo dzicy rozjątrzeni klęską, chcieliby się pomścić i powróciliby zapewne z rzeszą sprzymierzeńców; wówczas nie byłoby już ocalenia. Will Atkins, który, mimo że był ranny, nie spoczął na chwilę, udzielił wtedy bardzo dobrej rady. Zdaniem jego

należało skorzystać ze zwycięztwa zniszczyć wszystkie czółna Indyan i w ten sposób raz na zawsze odciąć im odwrót z wyspy. Sprzeciwiano się temu. Niektórzy utrzymywali, że dzicy, doprowadzeni do rozpaczy, uciekną do lasu i robić będą ciągłe szkody w polach i w trzodzie,

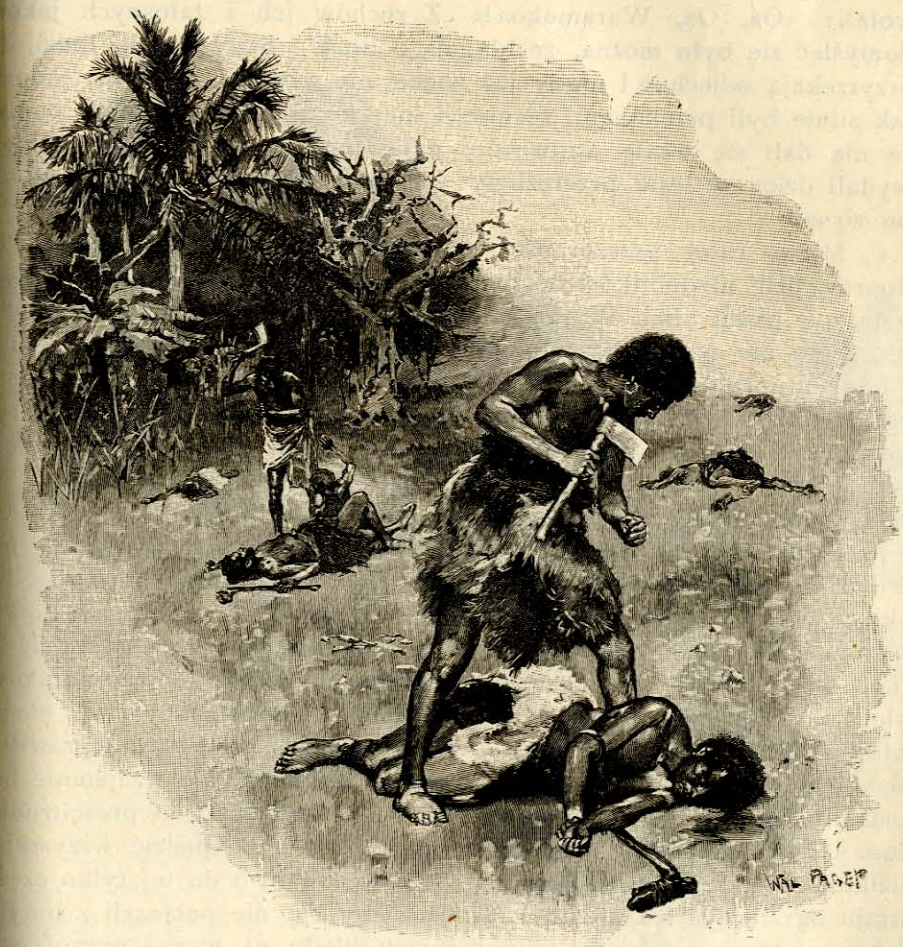

»Podobijali rannych toporkami« (str. 252).

że staną się ciężarem osady i że spokoju na wyspie odtąd nie będzie i trzeba będzie polować po lasach na dzikich, jak na zwierzynę. Na to odparł Atkins, że lepiej mieć teraz do czynienia z setką ludzi, niż później z setką plemion, następnie, że biali muszą się pogodzić z losem i zezwolić na to, że ich dzicy wymordują, albo też, jeżeli chcą tego uniknąć, muszą wszystkie czółna zniszczyć a dzikich wytępić.

Ostatecznie tak wymownie poparł swój plan, że przekonał wszystkich. Zabrano się do podpalania pozostałych łodzi. Tak były wilgotne, że wcale palić się nie chciały; ogień rozniecony z suchych gałęzi uszkodził je jednak tak, że stały się całkiem niezdatne do użytku. Gdy dzicy spostrzegli, co się dzieje, przybiegło kilku z lasu i padłszy na kolana, wołali: »Oa, Oa, Waramokoa!« Z ruchów ich i żałosnych jęków domyśleć się było można, że błagają o litość i oszczędzenie łodzi, że przyrzekają odjechać i nigdy już więcej nie wracać. Osadnicy jednak tak silnie byli przekonani, że niema innego środka uratowania osady, że nie dali się wcale wzruszyć i dalej palili czółna. Na ten widok wydali dzicy w lesie przeraźliwy okrzyk i jak opętani rozbiegli się po wyspie.

Mimo całej przezorności popełnili osadnicy wielki błąd, że doprowadzili niedobitków do rozpaczy, nie zabezpieczywszy się pierwej należycie przed nimi. Wprawdzie kozy były dobrze ukryte a i o zamku nic dzicy nie wiedzieli, natomiast wytropili oni moją letnią siedzibę i odkryli uprawne pola; wszystko to było teraz przedmiotem ich zemsty za spalone łodzie. Zniszczyli oni w zupełności wszystek jęczmień i ryż na pniu, spustoszyli i zniszczyli winnice, nawet płotom i ogrodzeniom nie darowali. Żniwa przepadły; tylko kozy pozostały osadnikom na pożywienie. Ocalało wprawdzie trochę zboża w osadzie Will Atkinsa i jego towarzysza, trzeci bowiem zginął, jak się już poprzednio powiedziało, i dziwnem zrządzeniem Opatrzności ten właśnie, co niegdyś skaleczył był toporem biednego jeńca i na życie Hiszpana godzić usiłował. Ale ta odrobina zboża nie mogła zabezpieczyć wszystkich od niedostatku a może nawet i głodu. Smutne było położenie osadników, ale stokroć gorszy i rozpaczliwszy był los biednych indyjskich niedobitków. Rozprószeni i kryjący się w lasach, zagrażali oni wprawdzie bez ustanku białym i szczęście, że broni nie mieli, ale wzajemnie bez ustanku ścigani i życia niepewni, znosić musieli dotkliwe przeciwności losu i głód cierpieć. Wkońcu umyślili osadnicy zapędzić wszystkich dzikich na południowo-wschodni kraniec wyspy i do tej tylko części kraju ograniczyć ich pobyt, czuwając, aby się nie połączyli z innymi jakimi swymi rodakami, gdyby znowu kiedy na wyspę przypłynęli. W tym celu uganiano się za biedakami i ścigano, gdziekolwiek się pojawili.

Biedni Indyanie doszli pod koniec do takiego stanu przerażenia, iż nawet nie ranieni padali na ziemię za każdym strzałem. Wielu z nich pozabijano, wielu umierało z głodu i utrudzenia, tak że prawie codzień znajdowano martwe ich ciała. Gubernator zlitował się nad pozostałymi i polecił schwytać żywcem jednego z nich, aby go użyć za pośrednika. Z początku nie chciał on nic mówić, ani przyjmować

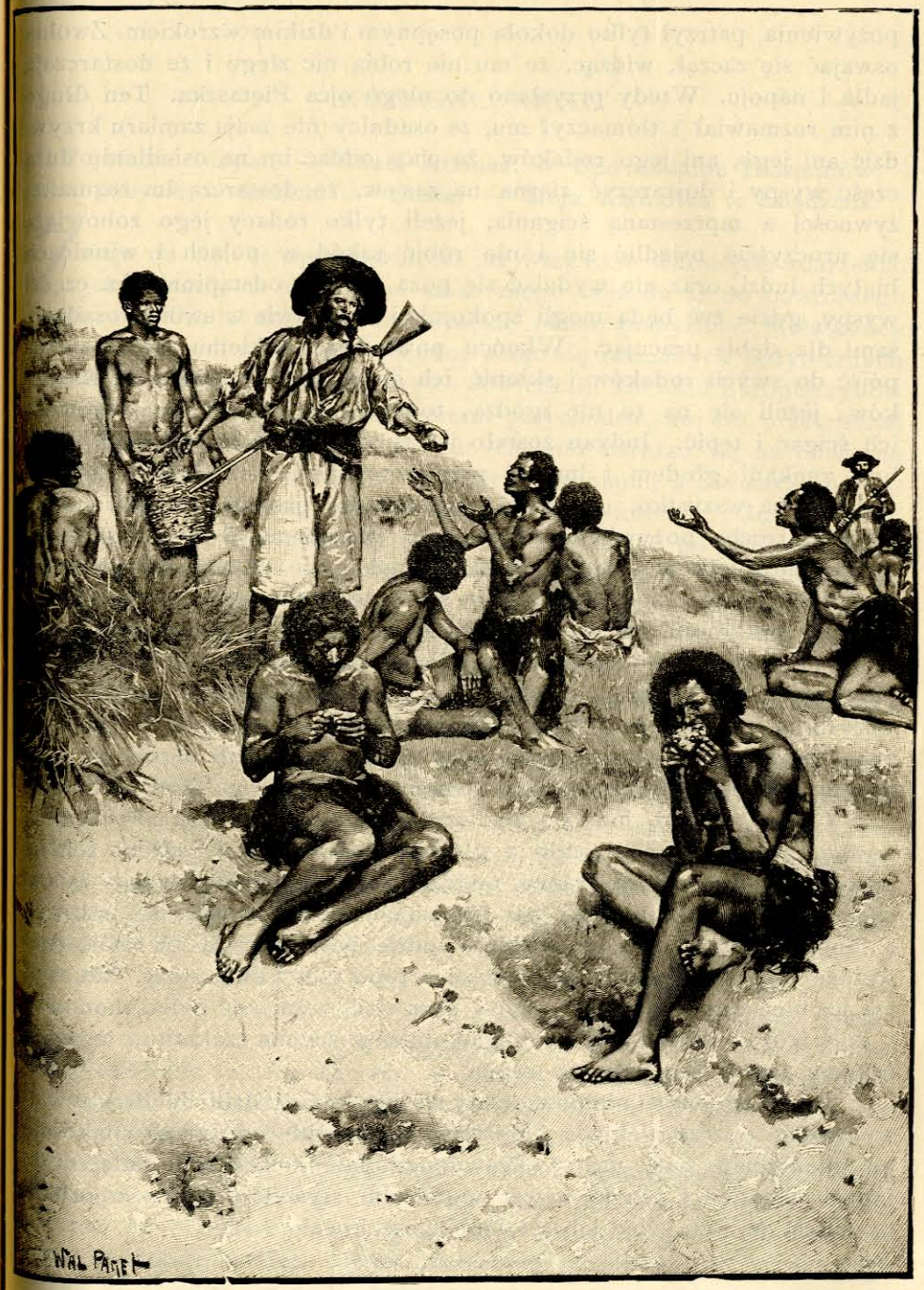

»Dzicy jedli chciwie« (str. 256).

pożywienia, patrzył tylko dokoła posępnym i dzikim wzrokiem. Zwolna oswajać się zaczął, widząc, że mu nie robią nic złego i że dostarczają jadła i napoju. Wtedy przysłano do niego ojca Piętaszka. Ten długo z nim rozmawiał i tłómaczył mu, że osadnicy nie mają zamiaru krzywdzić ani jego, ani jego rodaków, że chcą oddać im na osiedlenie dużą część wyspy i dostarczyć ziarna na zasiew, że dostarczą im rozmaitej żywności a zaprzestaną ścigania, jeżeli tylko rodacy jego zobowiążą się uroczyście osiedlić się i nie robić szkód w polach i winnicach białych ludzi, oraz nie wydalać się poza granice odstąpionej im części wyspy, gdzie żyć będą mogli spokojnie i szczęśliwie w swoich osadach, sami dla siebie pracując. Wkońcu powiedział dzikiemu, że ma zaraz pójść do swych rodaków i skłonić ich do przyjęcia podanych warunków; jeżeli się na to nie zgodzą, to biali ludzie rozpoczną na nowo ich ścigać i tępić. Indyan zostało już tylko trzydziestu siedmiu. Tak byli znękani głodem i innemi przeciwnościami, że zgodzili się bez wahania na wszystko, czego od nich żądano, prosząc usilnie choćby tylko o trochę pożywienia. Dwunastu Hiszpanów, dwóch Anglików, trzech niewolników i ojciec Piętaszka udali się dobrze uzbrojeni na oznaczone miejsce spotkania, gdzie się ostatecznie ułożono. Trzej niewolnicy przynieśli im zaraz spory zapas chleba i gotowanego ryżu i przyprowadzili trzy żywe kozy. Dzicy pousiadawszy na pochyłości pagórka, jedli chciwie, dziękując i przyrzekając dochować święcie wszystkich zaprzysiężonych warunków. W istocie spełnili je wiernie. Osiedliwszy się na swojej części wyspy, nie wychodzili nigdy poza jej granice, chyba za osobnem pozwoleniem, najczęściej po żywność.

Gdym w dwa lata po opowiedzianych wypadkach przybył na wyspę, zwiedziłem ich osadę z wielką ciekawością. Osadzono ich na południowo-wschodnim krańcu, odgraniczonym od reszty wyspy łańcuchem wzgórz. Był to duży pas urodzajnej ziemi, szeroki na półtorej, a długi na cztery mile angielskie. Ludzie nasi nauczyli ich robić drewniane łopaty, darowali im dwanaście toporków i kilka noży. Nauczyli się już nieźle gospodarować, zboże uprawiać, wypiekać chleb, hodować i doić kozy. Odtąd żyli oni spokojnie w swoim zakątku, łagodni, nikomu żadnej krzywdy nie robiąc.

Od owego czasu nie powtarzały się już najazdy dzikich. Przybywali wprawdzie jeszcze niekiedy ludożercy, ale zwykle odpływali spokojnie po ukończeniu swej uczty. Prawdopodobnie musieli oni należeć do innych plemion i pewno nawet nigdy nie słyszeli o tych, co osiedli na naszej wyspie, więc ich też i nie poszukiwali.

ROZDZIAŁ XXXI.

Pojętność Indyan. — Chata Atkinsa. — Opowiadanie Hiszpanów o pobycie u dzikich. — Uczta. — Moja rozmowa z księdzem.

Zdaje mi się, że opowiedziałem już wszystkie ważniejsze zdarzenia, jakie zaszły na wyspie od czasu mego odjazdu aż do powtórnego przybycia. Osada dzikich rozwijała się nader pomyślnie. Mieszkańcy jej ucywilizowali się bardzo prędko, ucząc się rozmaitych pożytecznych rzeczy od naszych, którzy ich często odwiedzali. Do osad Europejczyków nie wolno im było pod karą śmierci przychodzić, ani też przekraczać zakreślonych umową granic, bo nie chciano narażać się na ponowną zdradę. Indyanie byli bardzo pojętnymi uczniami, a zwłaszcza odznaczali się nadzwyczajnemi zdolnościami do koszykarstwa. Gdy Europejczycy pokazali im sposób splatania wikliny, pojęli go odrazu, bardzo prędko prześcignęli w zręczności swoich nauczycieli i zaczęli wyrabiać różne bardzo piękne przedmioty. Oprócz koszyków wyplatali klatki, sita, stołki, łóżka i t. p. Przybywszy na wyspę, obdarzyłem ich różnemi narzędziami jak noże, nożyczki, łopaty, motyki i wszystkiem, czego potrzebowali. Doszli oni wkrótce do takiej wprawy, że powyplatali sobie ozdobne chaty, chroniące ich doskonale od upału.

Te domki tak się podobały Europejczykom, że sprowadzili sobie dzikich i kazali im podobne w swojej osadzie wybudować. Zwiedzałem je później z ciekawością; zwłaszcza chata Atkinsa, zbudowana przez dzikich według jego pomysłu, była osobliwością. Atkins poprawił się bardzo i był porządnym człowiekiem. Miał on osobliwe zdolności. Wszystko mu się udawało, do czego się zabrał. Wybudował sobie naprzykład kuźnię, zrobił miech kowalski, z dźwigni okrętowej zrobił kowadło i robił gwoździe, haki, zasuwy, skóble i t. p. Dom Atkinsa była to budowa czworoboczna, mająca do stu kroków obwodu, wystawiona z trzydziestu dwóch, gęsto plecionych, wysokich ścian. Wnętrze podzielone było takiemi samemi ściankami na dziesięć izb. We wszystkich narożnikach i kątach ścian były słupy. Strzecha była z ryżowej słomy, przykryta nadto szerokiemi liściami, zabezpieczającemi od wilgoci najzupełniej. Naokoło biegł bardzo szeroki okap, jakby podcienie, oparte znowu na słupach. Prócz izb były tam jeszcze komory, przeznaczone na przechowywanie żywności i różnych rzeczy. W tym to domu mieszkali Atkins i jego towarzysz ze swemi rodzinami, oraz wdowa po trzecim Angliku, który zginął w ostatniej bitwie i zostawił troje dzieci. Obaj towarzysze postępowali z tą wdową bardzo uczciwie,

wydzielali jej sumiennie trzecią część każdej zdobyczy, dzielili się z nią w takiejże mierze wszystkiemi plonami, słowem, dostarczali wszelkiego potrzebnego pożywienia, niczego nie żałując. Niespokojni ci ludzie poprawili się nareszcie, to też nie biedowali już teraz tak jak pierwej, chociaż nie byli jeszcze tak zamożni, jak dwaj pracowici Anglicy.

Nie mogę tu pominąć milczeniem jednej smutnej okoliczności. Oto ludzie ci, mimo znacznej poprawy obyczajów, byli bardzo zaniedbani pod względem religijnym. Jeżeli wspominali kiedy Imię Boże, to chyba na to, aby kląć, a niemało przekleństw nauczyli się byli w czasie długoletniej służby na okrętach. Biedne ich żony nie odniosły wiele moralnej korzyści ze związku swego z chrześcijanami, bo ludzie ci mało się różnili od pogan, a w rzeczach wiary sami byli zbyt ciemni, aby je mogli oświecić. Nauczyli oni je tylko nieco mówić po angielsku, ale była to angielszczyzna nieosobliwa. Muszę przyznać, że kobiety te były dobre, pracowite, skromne, gospodarne, uczynne, ale cóż, kiedy nikt nie pomyślał o tem, aby je nauczyć prawdziwej wiary i połączyć ślubem chrześcijańskim z ich mężami. Ja dopiero po przybyciu na wyspę miałem się tem zająć.

Skoro się już tak obszernie rozpisałem o licznych przygodach osadników, poświęcając tyle czasu opisom łotrostw angielskich marynarzy, muszę opowiedzieć tu choć w krótkości historyę Hiszpanów, tych głównych mieszkańców osady. Przeszli oni tak dziwne koleje, zanim dostali się na moję wyspę, że warto je w istocie poznać, chociażby pobieżnie.

Często rozmawiałem z nimi o ich pożyciu wśród dzikich. Wyznawali mi szczerze, iż doznane nieszczęście znękało ich tam do tego stopnia, że zniechęceni poprostu nie umieli i nie chcieli skorzystać z wielu sposobów poprawienia sobie losu i gotowi byli raczej ginąć śmiercią głodową, aniżeli myśleć i pracować, by temu zapobiedz. Jeden z nich, człowiek poważny i rozsądny, powtarzał mi nieraz, że teraz sami widzą, jak nieroztropni na swój los tylko narzekać umieli. Człowiek rozumny nawet wśród największych przeciwności nie traci otuchy i używa wszelkich przez rozsądek wskazanych środków, aby sobie teraźniejszość uczynić znośniejszą, a przyszłość zgotować lepszą. Ta myśl o lepszej przyszłości krzepi mu serce, a tem samem i siły dodaje do dalszej pracy i do dalszego zwalczania przeciwności. Natomiast samo pogrążanie się w smutku i rozpamiętywanie lepszej bezpowrotnie minionej przeszłości, nietylko nam ulgi nie sprawia, lecz nawet niedolę powiększa. Słusznie też przypomniał sobie i powtarzał hiszpańskie przysłowie, które mniej więcej wychodzi na to, że »kto w smutku traci głowę — nieszczęście sprowadzi nowe«. Dowodził, że Anglicy okazują zawsze dużo przytomności umysłu w niebezpieczeństwie i umiejętności radzenia

sobie w każdej potrzebie, rodacy zaś jego i Portugalczycy są chyba najmniej zdolni do walczenia z przeciwnościami. Po pierwszej nieudanej próbie wpadają zaraz w rozpacz, opuszczają ręce i nie szukają wcale sposobów zapobieżenia złemu. Twierdził on także, że gdyby jego rodacy znaleźli się w takiem położeniu, w jakiem ja byłem niegdyś, nie potrafiliby nigdy tak dobrze i praktycznie sobie radzić; to też wychwalał

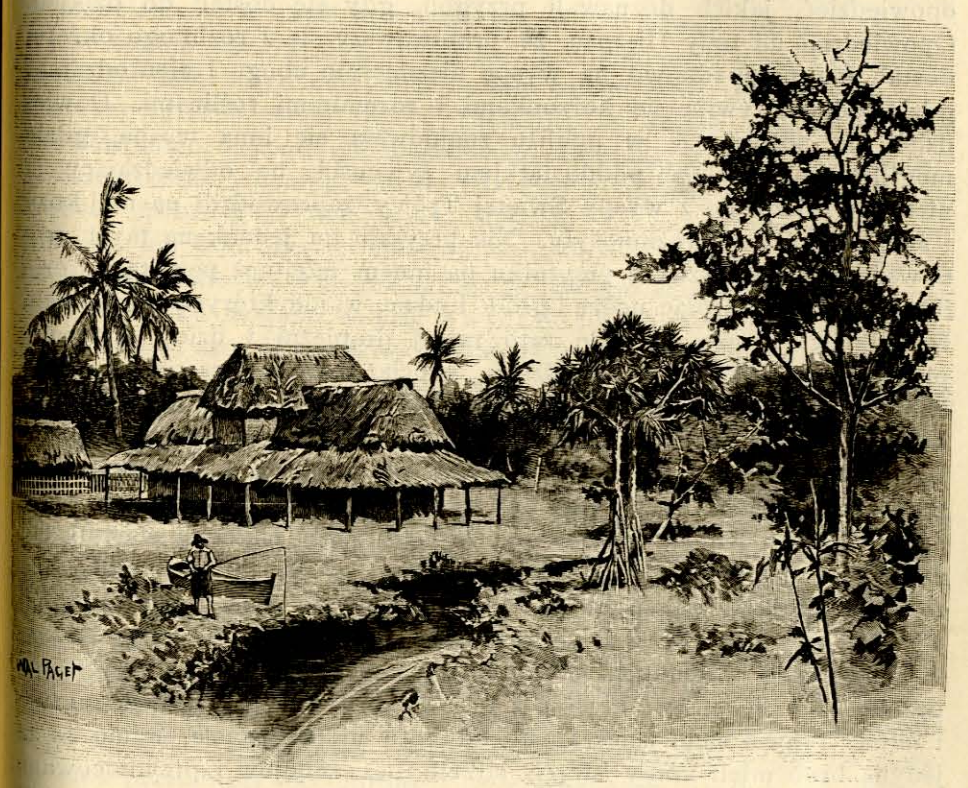

»Chata Atkinsa była osobliwością« (str. 257).

moją zapobiegliwość i wytrwałość w umiejętnem dawaniu sobie rady. Powiedziałem mu na to, że on i jego rodacy znajdowali się wtedy w gorszem położeniu, niż ja na bezludnej wyspie, bo, mimo że było ich kilkunastu, dostali się na obcy ląd bez zapasów żywności oraz bez broni i innych narzędzi, za pomocą których mogliby sobie tę żywność zdobyć. Wprawdzie ja byłem sam jeden, ale zato Opatrzność zesłała mi zaraz na drugi dzień po wylądowaniu rozbity okręt, pełen rozmaitych pożytecznych przedmiotów, z pomocą których łatwiej mi już było dać sobie radę.

— Panie, — rzekł na to Hiszpan. — Gdybyśmy, biedni Hiszpanie, byli na twojem miejscu, nie wydobylibyśmy z okrętu ani połowy rzeczy przez ciebie otrzymanych, bo nie wiedzielibyśmy, z czego zrobić tratwę i jak doprowadzić ją do lądu bez wiosła i żagla. Gdyby zaś którykolwiek z nas znalazł się sam jeden na takiej bezludnej wyspie, to pogrążyłby się w rozpaczy i nie byłby zdolny do dawania sobie rady.

Poprosiłem go, aby dał pokój tej chwalbie, a zechciał mi raczej opowiedzieć, jakich doznawali przygód, gdy się dostali do dzikich. Opowiedział mi tedy Hiszpan, że, uratowawszy się z rozbitego okrętu, dostali się przypadkowo na wyspę niezmiernie ubogą i nieurodzajną, gdzie ludność żywiła się korzonkami i rozmaitemi roślinami. Dowiedzieli się później, że w pobliżu znajdowała się inna wyspa, gdzie mogliby byli znaleźć poddostatkiem żywności, bo odwiedzający ją niekiedy Hiszpanie z wyspy Swiętej Trójcy, zaprowadzili na niej kozy i świnie, które się rozmnożyły. Nie przyszło im jednak na myśl próbować szczęścia i szukać przytułku na innem miejscu; pozostali, gdzie ich los rzucił, cierpiąc nędzę i głód. Ludzie, wśród których przebywali, byli leniwi i opieszali, ale zato mniej drapieżni i dzicy, niż inne plemiona, mieszkające w sąsiedztwie, chociaż ludzkie mięso jadali także. Próbowali nieraz oświecać ich i łagodzić ich obyczaje, ale ludzie ci słuchać ich nie chcieli, odpowiadając zuchwale, że nie myślą przyjmować nauk od tych, którzy potrzebują ich wsparcia i szukają u nich przytułku. Nacierpieli się tam oni wiele i wiele dni o głodzie przepędzili. Wkońcu jednak okazało się, że Opatrzność najlepiej wszystkiem rządzi, bo gdyby się byli udali na inną wyspę, to nie byliby się ze mną spotkali ani doczekali swojego wybawienia, które z mojej wyspy otrzymali. Musieli towarzyszyć nieraz swoim gospodarzom w wyprawach wojennych. Wtedy położenie ich było nadzwyczajnie przykre, bo nie umieli strzelać z łuków. Potykali się jednak mężnie i nieraz prawie sami zmuszali do odwrotu nieprzyjaciela, mimo że za jedyną broń mieli kolby swych strzelb bez nabojów i przymocowane do nich drewniane bagnety. Dla uchronienia się od pocisków porobili sobie drewniane tarcze, pokryte skórami zwierzęcemi. Nieraz bywali niebezpiecznie zagrożeni. Wkońcu opowiedzieli mi, jak to raz dzicy obalili pięciu z nich na ziemię i ogłuszyli maczugami. Hiszpanie, nadbiegłszy, obstąpili swoich do koła i, walcząc zaciekle, nie dawali do nich dostępu nieprzyjaciołom. Kiedy później spostrzegli, że jednego z nich brakuje, rzucili się w pogoń za Indyanami, szerząc śmierć i zniszczenie. Powodzenie to jednak zbyt drogo było okupione stratą jednego ze swoich. Gdy później się dowiedzieli, że go ludożercy uprowadzili, rozpacz ich nie miała granic. Wzruszającemi słowy opowiadali, jak niezmiernie się uradowali, ujrzawszy niespodziewanie tego tylekroć już opłakanego towarzysza, jak zdziwili się i ucieszyli na wiadomość, że w pobliżu znajduje się człowiek oświecony, Europejczyk, chrześcijanin, który ocaliwszy mu życie, chce teraz wszystkich ich wybawić z niewoli. Chleb przysłany przezemnie przyjęli z głębokiem wzruszeniem i przeżegnali go po kilkakroć, zanim go do ust ponieśli. A już nie byli w stanie opisać mi radości i zachwytu, jakich doznali na widok czółna i sternika, co ich miał uwieść z tej nieszczęsnej ziemi wygnania. Samo wspomnienie tych chwil tamowało im ze wzruszenia mowę. Jednym łzy w oczach stanęły, inni śmiali się, przypominając sobie swą radość, niektórzy blizcy byli omdlenia. Ja sam byłem także mocno wzruszony i przypomniałem sobie radość Piętaszka na widok niespodziewanie odnalezionego ojca, radość angielskiego kapitana, gdym go oswobodził z rąk rokoszan i pomógł mu do odzyskania okrętu, szalone wybuchy radości francuskich marynarzy, których przyjąłem na pokład po spaleniu się ich okrętu, radosne uniesienia Anglików uratowanych od śmierci głodowej, wreszcie szczęście, jakiego sam doznałem, gdy na dobrym statku mogłem wracać z wygnania do ojczyzny. Wspomnienia te sprawiały, żem Hiszpanów tem lepiej rozumiał i odczuwał.

Dawszy ogólny opis wypadków, jakie zaszły na wyspie przed mojem przybyciem, opowiem z kolei, co zdarzyło się tam w czasie mojej obecności.

Osadnicy mniemali, że dzicy zaprzestaną już teraz najazdów, a i ja byłem tego samego zdania; gdyby zaś niespodziewanie miały się najazdy powtórzyć, to obecnie było już dość środków, by stawić potężny odpór. Rozmówiłem się poważnie z gubernatorem, oświadczając, że nie mam zamiaru nikogo z sobą zabierać, ani nakłaniać do opuszczenia wyspy, gdyż nie mógłbym zabrać wszystkich, a niesprawiedliwością byłoby jednych zabierać, zostawiać zaś drugich, którzy nie mieliby zapewne chęci pozostania w zmniejszonej liczbie. Przeciwnie, przybyłem tu po to, aby osadę ustalić, i w tym celu przywiozłem z sobą rozmaite dla nich przedmioty do obrony i do codziennego użytku, oraz kilku rzemieślników, którzy osiedlą się i pozostaną na wyspie. Właśnie osadnicy byli zebrani; spytałem ich zatem odrazu, czy zapomnieli o dawnych kłótniach i zatargach i czy gotowi są podać sobie ręce do zgody i zjednoczyć się dla wspólnego pożycia w szczerej przyjaźni i dla wspólnej obrony. Na to odpowiedział Atkins bardzo serdecznie i wesoło. Mówił, że osadnicy zbyt już wiele zaznali złego, aby nie mieli nabrać rozsądku i zbyt już wiele mieli do czynienia z nieprzyjaciółmi, aby nie mieli teraz żyć w ogólnej zgodzie i przyjaźni. Co zaś jego dotyczy, to chce żyć i umierać razem ze wszystkimi. Do Hiszpanów nie ma żadnej urazy, sam nawet przyznaje, że na ich miejscu postępowałby daleko surowiej, to też w każdej chwili gotów jest prosić ich o przebaczenie

za wszystkie swe szaleństwa i zuchwałe postępki, oraz wszystko uczynić, aby ich przekonać, że pragnie żyć z nimi w najlepszej zgodzie. Do Anglii nie ma ochoty powracać i chętnie podpisze umowę na pozostanie choćby i dwadzieścia jeszcze lat na wyspie. Hiszpanie przyznali ze swej strony, że wprawdzie odebrali niegdyś broń Atkinsowi i jego towarzyszom i wyłączyli ich z osady, bo koniecznie tak uczynić należało, jednak Atkins złożył w czasie walki z Indyanami dowody tak wielkiego męztwa i poświęcenia dla powszechnego dobra, że uzyskał ich przebaczenie i odzyskał zupełnie ich szacunek i zaufanie, co zaznaczyli, mianując go wówczas pomocnikiem gubernatora. Dziś mają zupełne zaufanie do wszystkich Anglików i szczerze stwierdzają to głośno wobec wszystkich, przyrzekając ze swej strony działać zawsze zgodnie dla wspólnego dobra i szczęścia.

Po tych wzajemnych oświadczeniach przyjaźni zaprosiłem wszystkich na obiad na dzień następny. Chcąc godnie wystąpić, sprowadziłem ze statku kucharza; dawny okrętowy kuchta ofiarował mu się z pomocą. Przywieziono z okrętu sześć ćwiartek solonej wołowiny, cztery wieprzowiny, tudzież wielką wazę na poncz, cukru, cytryn i araku, prócz tego dziesięć flaszek francuskiego wina, dziesięć butelek angielskiego piwa, napoje, których tak Anglicy jak Hiszpanie dawno już nie kosztowali. Hiszpanie ze swej strony dołożyli pięcioro koźląt. Upiekł je wyśmienicie nasz kucharz okrętowy; część podał nam na stół, część zaś posłał na okręt dla naszych ludzi, aby się i oni nacieszyli świeżem mięsem. Uczta była wspaniała. Po ukończeniu kazałem znieść przywiezione podarki i sam zająłem się rozdzielaniem ich tak, aby nikt nie został skrzywdzony. Naprzód rozdzieliłem płótna; dałem każdemu na cztery koszule, a na usilne prośby Hiszpanów musiałem dodać każdemu jeszcze na dwie. Całe lata już nie mieli na sobie bielizny, to też cieszyli się ogromnie. Następnie dałem każdemu po kilka łokci cienkiej wełnianiej materyi na bluzy, gdyż w tak gorącym klimacie tylko obszerną i przewiewną odzież nosić można. Nadto zostawiłem u gubernatora zapas materyału na nowe bluzy, gdy te się zedrą. Tak samo rozdzieliłem trzewiki, pończochy, kapelusze i rękawiczki. Wszyscy byli zadowoleni i uszczęśliwieni i serdecznie mi dziękowali mówiąc, że pamiętałem o nich jak ojciec. Prosili mię, abym i nadal zechciał ich otaczać takąż troskliwością; mając takiego opiekuna, chętnie pozostaną na wyspie i nie opuszczą jej bez mego zezwolenia. Z kolei przedstawiłem osadnikom przybyłych ze mną rzemieślników a mianowicie kowala, krawca, dwóch cieśli i bednarza, zwanego przez nas także majstrem do wszystkiego; okazało się później, że był on najpożyteczniejszy, bo więcej przysporzył pożytku osadzie, niż tamci wszyscy razem. Krawiec zabrał się zaraz do roboty; uszył każdemu po jednej koszuli, a potem

»Uczta była wspaniała« (str. 262).

nauczył kobiety szycia, to też wkrótce były mu one pomocne przy dalszej robocie. Cieśle narobili przedewszystkiem zgrabnych stołków, stołów, łóżek, szaf, półek i t. p. Zaprowadziłem ich do plecionej chaty Atkinsa, chcąc im pokazać, że i samouki mogą być dobrymi rzemieślnikami. Przypatrywali się i podziwiali tę osobliwą budowę, a jeden z nich rzekł nawet do mnie, że ten, co to zrobił, nie potrzebuje się niczego od nich uczyć i obejdzie się bez nich, byleby mu tylko dać dobre narzędzia. Rozdzieliłem wreszcie między wszystkich osadników rozmaite narzędzia gospodarcze i rolnicze jako to: łopaty, motyki, grabie, siekiery, piły, kilofy i t. d. i jeszcze u gubernatora zostawiłem zapas tego na później. Podobnie było z ćwiekami, gwoździami, młotkami, nożami, dłutami, piłami, heblami i t. d. Dla kowala zostawiłem wielki zapas żelaza w sztabach. Także broni, prochu i kul dałem im dostatek; to może najbardziej ich ucieszyło, bo teraz już na wszelki przypadek mógł być każdy z nich dobrze uzbrojony, wobec czego znikła obawa przed dzikimi.

Przybył ze mną na wyspę także ów młodzieniec, którego matka umarła była z głodu, i młoda jego służąca. Była to dziewczyna roztropna, skromna, pobożna i nadzwyczaj dobra; znosiła los swój spokojnie, była grzeczną i uprzejmą dla wszystkich, to też wszyscy bardzo ją polubili. Oboje oni nie mieli po co jechać do Indyj Wschodnich, nie mieli tam krewnych ani znajomych, ani też żadnego interesu. Przypatrzywszy się mojej wyspie, postanowili na niej pozostać i wkrótce przyszli mnie prosić, abym ich przyjął do grona swojej rodziny, jak nazywano osadników. Zgodziłem się na to chętnie i wydzieliłem im kawał gruntu obok osady Atkinsa. Ogrodzili go sobie bardzo pięknie i zbudowali z pomocą Indyan dwie chaty na mieszkanie oraz szopę na skład rzeczy i różnych zapasów. Nieopodal mieszkali także dwaj Anglicy z żonami, pobudowawszy się teraz bliżej Atkinsa, tak, że wszyscy oni stanowili już tylko jedną osadę. W ten sposób wyspa moja pozostała podzielona i nadal na trzy osady.

Pierwszą osadę, a razem jak gdyby stolicę wyspy, stanowiła stara moja zagroda pod skałą, tak powiększona przez Hiszpanów, że mogłaby pomieścić dwa razy tyle mieszkańców. Ustronie to tak było doskonale ukryte przed ludzkim wzrokiem i tak osłonione wokoło lasem, bo Hiszpanie i na pagórku las zasadzili, że dopiero po wycięciu lasu mógłby je wynaleźć ktoś, kto dobrze nie znał tego miejsca. Hiszpanie zachowali dawne dwa wyjścia; jedno prowadziło do zatoki, drugie na pagórek, ale tylko zapomocą drabiny. Oba były nadzwyczaj trudne do znalezienia. W osadzie tej mieszkali Hiszpanie, ojciec Piętaszka i trzej pierwsi niewolnicy. Osada Wilhelma Atkinsa była drugą. Stanowiły ją rodziny czterech Anglików, wdowa po zabitym ich towarzyszu, trzech

indyjskich niewolników, oraz przybyły ze mną młodzieniec i służąca. W tej osadzie zamieszkali także kowal, krawiec, dwaj cieśle i bednarz. Trzecią wreszcie była osada dzikich Indyan.

Wspomnieć tu jeszcze muszę o młodym francuskim księdzu, uratowanym przez nas z palącego się okrętu, a który tu razem ze mną przybył. Był to człowiek rozumny, bardzo bogobojny, pod każdym

»Krawiec zabrał się zaraz do roboty« (str. 262).

względem za wzór służyć mogący, a przytem niesłychanie litościwy i miłosierny, uprzejmy, bardzo łagodnego i miłego usposobienia. Bardzo go też polubiłem z powodu jego cnót i rozumu. Opowiadał mi o sobie wiele ciekawych rzeczy. Doznał także i on wielu przygód, mimo że dopiero od niedawna podróżował. W ostatnich czasach prześladował go jakiś szczególniejszy los, bo już pięć razy się przesiadał z jednego okrętu na drugi i ani razu nie mógł dostać się do miejsca, do którego te okręty miały płynąć. Pierwotnym jego zamiarem było udać się na francuską wyspę Martynikę, należącą do grupy wysp zwanych Małe Antylle, leżących na północ od ujścia rzeki Orinoko w Ameryce

południowej. Wyjeżdżając z Francyi siadł na okręt w porcie miasta St. Malo, na półwyspie bretońskim. Burze zmusiły kapitana okrętu do szukania zacisznego schronienia na wodach ujścia rzeki Tagu. Tu uległ okręt uszkodzeniu i nie mógł dalej płynąć, wskutek czego musiano wyładować towary w porcie Lizbony, stolicy Portugalii. Natrafiwszy tu na okręt gotowy do odpłynięcia do portugalskiej wyspy Madery, w pobliżu zachodnio-północnych wybrzeży Afryki, siadł na niego, mając nadzieję, że nadarzy mu się tam sposobność dostania się ztamtąd do Martyniki. Lecz kapitan, widocznie niedoświadczony żeglarz, zmylił drogę i zapłynął do Fyal, gdzie z korzyścią sprzedał cały ładunek zboża. Wtenczas zamiast udać się na Maderę, popłynął ku wyspie Maj dla zabrania ztamtąd ładunku soli i zawiezienia jej następnie do Nowej Fundlandyi. Księdzu nic innego nie pozostało, jak pogodzić się z losem. Dopłynęli szczęśliwie do ławic nowofundlandzkich, gdzie zazwyczaj wielkie połowy ryb się odbywają. Tam spotkano francuski okręt, płynący z Francyi do miasta Kwebek w Kanadzie i mający się następnie udać ztamtąd do Martyniki. Przesiadł się ksiądz na niego pewien, że teraz dostanie się już nareszcie do miejsca swego przeznaczenia. Ale w Kwebeku umarł kapitan, a okręt jego nie popłynął już dalej. Wtedy to siadł wkońcu na wracający do Francyi okręt, który spotkaliśmy płonący na pełnem morzu i płynął teraz razem z nami do Indyj Wschodnich. Wysiadł on był z okrętu i zamieszkał w naszej osadzie na wyspie. Dnia jednego przybył on do mnie w chwili, gdym się wybierał do osady Anglików, położonej w najodleglejszej części wyspy, i oświadczył, że już od kilku dni pragnie ze mną pomówić w jednej ważnej sprawie. Gdym zaciekawiony spytał, o co chodzi, rozpoczął dłuższą ze mną rozmowę mniej więcej takiemi słowy:

— Mam nadzieję, szanowny panie, że nie weźmiecie mi za złe, gdy powiem otwarcie swoje zdanie. Wiem, że bardzo wam chodzi o pomyślność waszej osady i to nietylko o doczesne jej powodzenie i o ziemską tylko pomyślność. Sądzę zatem, że zechcecie, panie, zwrócić mieszkańców wyspy na drogę cnoty, aby zasłużyli na błogosławieństwo Boże!

— Jakto? — przerwałem mu zdziwiony — alboż nie są już na dobrej drodze? Kłótnie ustały, występni się poprawili, a Bóg widocznie nam błogosławi, skoro tylekroć dał nam dowody Swojej cudownej opieki.

— Panie, — odparł łagodnie młody kapłan — pozwólcie mi doprowadzić rzecz swoją do końca i wiedzcie, że daleki jestem od tego, bym was chciał obrazić. Nie wątpię, że wy, panie, najlepsze macie chęci i zamiary, że wam Bóg rzeczywiście pobłogosławił i że na dobrej drodze znajduje się większość osadników, ale nie wszyscy! A musicie, panie, pamiętać ustęp z Pisma Świętego o Achanie, który sam jeden

zgrzeszył, lecz grzechem swoim ściągnął karę Niebios na trzydziestu sześciu Hebrajczyków.

Słowa te wzruszyły mnie mocno i przykro mi było, że mu przerwałem. Znając jego prawość i rozsądek, zacząłem przypuszczać, że może mieć słuszność. Domyślając się, że rozmowa potrwa dłużej, poprosiłem go, aby zechciał pójść ze mną do osady Anglików i podrodze rzecz całą przedstawić.

— Bardzo chętnie — odrzekł — zwłaszcza, że właśnie o tych ludziach zamierzam z wami mówić.

Udaliśmy się więc w drogę, a ksiądz zaczął mówić:

— Skoro pozwoliliście mi, panie, mówić z całą otwartością, muszę was ostrzedz, że na wyspie waszej dzieją się trzy rzeczy przeciwne przykazaniom Bożym i że to one odwrócić mogą od was błogosławieństwo Niebios. Nie poruszałbym tej sprawy, gdyby nie silne przekonanie, że złemu można łatwo zaradzić. Macie tu na wyspie czterech Anglików, którzy sobie poganki pobrali za żony. Otóż, o ile wiem, ludzie ci żyją wprawdzie z sobą zgodnie, ale, niestety, nie związani ślubem małżeńskim, jak tego wymagają prawa boskie i ludzkie; prowadzą zatem życie grzeszne. Wiem, panie, co mi na to odpowiecie, że tu wówczas księdza nie było; wiem też, jakie przyrzeczenie Anglicy wtedy gubernatorowi dali.

»Udaliśmy się w drogę«.

Ale takie przyrzeczenie nie jest istotą sakramentu małżeństwa i do niczego tych ludzi nie zobowiązuje, to też mogą się w każdej chwili nawet rozłączyć. Czyż takie pożycie może ściągnąć błogosławieństwo Boże na waszą osadę? Jakże więc, panie, możecie na coś podobnego zezwalać?

Czułem słuszność tych zarzutów, a nie wiedząc, co na nie odpowiedzieć, rzekłem po chwili wymijająco, że wszystko to stało się w czasie mojej nieobecności.

— Wiem ja o tem, — rzekł ksiądz — oczywiście nie można was, panie, winić za to, co się tu bez was stało; jednak na was spadnie odpowiedzialność, jeżeli teraz końca nie położycie temu złemu, co się tu zakradło w czasie waszej nieobecności.

— Jakto, — zawołałem żywo — miałżebym rozłączać tych ludzi, tak przywiązanych do siebie i w zgodzie zyjących?

— Nie zrozumiałeś mnie, panie — odpowiedział ksiądz. — Połączyć a nie rozłączyć ich pragnę, połączyć nierozerwalnym węzłem ślubu małżeńskiego.

Ta żarliwość w przestrzeganiu praw boskich i gorąca a szczera chęć czynienia ludziom dobrze zachwyciła mię. Uznając w zupełności słuszność jego żądania: Prawda, ojcze wielebny, — zawołałem — wszakże wy sami możecie dokonać tego, łącząc ich ślubem małżeńskim. Jak mogłem o tem dotąd nie pomyśleć? Zaraz pomówię o tem z Anglikami. Załatwimy tę sprawę jak najprędzej, a tymczasem serdecznie wam dziękuję, żeście mi na to zwrócili uwagę.

— Nie wszystko jeszcze powiedziałem — przerwał ksiądz. — Jeszcze jedno złe naprawić musicie, jedną krzywdę wynagrodzić, zmazać grzech ciężki, popełniony przez waszych Anglików. Ludzie ci żyją już siedem lat ze swemi pogankami, nauczyli je mówić a nawet czytać trochę po angielsku, wyuczyli je rozmaitych robót i zajęć gospodarskich, a żadnemu z nich nawet na myśl nie przyszło oświecić je światłem prawdziwej wiary, nauczyć, że tylko jeden jest prawdziwy Bóg, Stwórca wszechświata, którego czcić powinny, słowem, nawrócić je i ochrzcić! Występna to opieszałość i ciężko za nią kiedyś odpowiedzą przed Bogiem. Dziś może jeszcze czas naprawić złe, ale wkrótce może już być za późno. Zaręczam, — ciągnął dalej — że gdyby który z tych ludzi zamieszkał wśród pogan, to ci usiłowaliby nawrócić go na swoją wiarę. A tu chrześcijanie, wyznawcy Boga prawdziwego, nie troszczą się wcale o zbawienie duszy własnych żon swoich.

Słowa te wymawiał ze smutkiem i wzruszeniem i widać było, jak szczerze go obchodzi los tych biednych, zaniedbanych istot. Wzruszenie księdza i mnie się udzieliło; rzuciłem się w jego objęcia i rzekłem z zapałem:

— Otworzyłeś mi oczy, zacny kapłanie; teraz dopiero widzę, jak nie rozumiałem ducha miłości chrześcijańskiej, jak mało zwracałem uwagi na istotne dobro bliźnich t. j. na zbawienie ich dusz, jak mało byłem chrześcijaninem!

— Nie twoja to wina, panie — rzekł uspokajając mię kapłan.

— Czemuż jednak serce moje nie odczuło tego, co wasze odrazu odgadło? Teraz na wyjezdnem nie mamy już na to czasu!

»Ksiądz ukłonił mi się nizko« (str. 271).

— Jeszcze czas! i Bogu dzięki, wszystko da się naprawić. Pozwól mi tylko, panie, — mówił ksiądz dalej — rozmówić się z tymi biednymi ludźmi.

— Ale i owszem, — odrzekłem — o to mi właśnie chodzi, a ja z mojej strony użyję całego swego wpływu, ażeby ich nakłonić do przyjęcia rad waszych i usłuchania głosu waszego.

— A więc wezwawszy pomocy Boskiej, bierzmy się do dzieła a łaska Boża nas wesprze. Jeśli tylko wy, panie, raczycie pozwolić mi na to, abym się zajął temi biednemi, w ciemnocie pogrążonemi istotami, to mam nadzieję, że uczynię z nich wyznawców chrześcijańskiej wiary jeszcze zanim pan ztąd w dalszą drogę się puścisz.

— Ależ pozwalam najchętniej i nawet serdecznie dziękuję za tę myśl zbawienną. Ale wspomnieliście w początkach naszej rozmowy, że się wam trzy rzeczy nie podobają na naszej wyspie. Cóż jeszcze, ojcze, macie do zarzucenia?

— Chodzi mi jeszcze — odrzekł ksiądz na to — o biednych Indyan, mieszkających w osobnej osadzie. Są oni na mocy prawa wojennego jakby waszymi poddanymi; powinniście zatem opiekować się nimi. Obowiązkiem każdego chrześcijanina jest rozszerzać jak najdalej światło prawdziwej wiary i pouczać ciemnych przy każdej sposobności. Dlatego to kościół nasz wysyła wciąż misyonarzy do Chin, do Indyi i Persyi a najznakomitsi dostojnicy kościoła przedsiębiorą ochoczo dalekie i niebezpieczne podróże, ażeby wsród dzikich i rozbójniczych ludów spełniać święte posłannictwo nauczania. Otóż wam, panie, nastręcza się teraz sposobność oświecenia trzydziestu siedmiu bałwochwalców. Możecie ich nawrócić i doprowadzić do poznania prawdziwego Boga, ich Stworzyciela i Odkupiciela świata. Byłby to czyn tak piękny, że dla dokonania go możnaby własne życie dać w ofierze.

Słuchając tych słów, oniemiałem z podziwu, widząc taki przykład żarliwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Tak przywykliśmy uważać ludzi o innej barwie skóry, czarnych i miedzianych, za istoty niższe, podlejsze, stworzone tylko na niewolników naszych, że mi nie przyszło nigdy nawet na myśl zająć się ich duszami. Gdyby mi dzicy byli niepotrzebni na wyspie, nie wahałbym się wysłać ich w jaki kraj odległy albo sprzedać, nie czując wcale, że wyrządzam im jaką krzywdę. To też stanąłem zawstydzony słowami księdza i nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Widząc to młody kapłan, sądził, że mnie uraził, i tak się odezwał z godnością:

— Bardzoby mi to było przykro, gdybym cię, panie, miał dotknąć.

— O nie! Nie czuję się wcale obrażonym, — zawołałem — tylko wstyd mi, że sam o tem wszystkiem dawniej nie pomyślałem, a teraz trudno mi to naprawić, bo czas nagli i nie mogę pozostać tu dłużej. Wiadomo wam, ojcze, że okręt ten płynąć ma do Indyj Wschodnich w sprawach handlowych. Wynajęli go kupcy a każdy dzień zwłoki przynosi im szkodę, bo to oni ponoszą koszt wyżywienia i płacy majtków. Wprawdzie zastrzegłem sobie przed wyjazdem prawo zatrzymania się na wyspie, ale miałem tu zabawić tylko dni dwanaście, za każdy zaś dzień dalszego pobytu zobowiązałem się płacić trzy funty szterlingi a i tak najdłużej mógłbym pobyć tu jeszcze dni osiem, a tymczasem bawimy tu już dzień trzynasty. Zostać zaś bez okrętu nie mam odwagi, bo kto wie, czy synowiec mój będzie mógł wstąpić po mnie wracając, a nie chciałbym po raz drugi zostać wygnańcem.

— Prawda, że położenie wasze jest trudne, — rzekł ksiądz — lecz czyż nie nęci was, panie, dokonanie tak pięknego dzieła, jakiem byłoby nawrócenie trzydziestu siedmiu bałwochwalców? Czemże są wobec tego wszystkie inne względy?

Ja jednak nie byłem gotów do poświęceń; to też mowa ta mnie nie przekonała i rzekłem na to:

— Zapewne, że miło jest stać się narzędziem Bożem w sprawie nawrócenia trzydziestu siedmiu pogan, ale dlaczego wy, ojcze, jako duchowny, a zatem powołany do tej świętej sprawy, nie bierzecie jej na siebie, tylko mnie do niej zachęcacie?

Zaledwiem wyrzekł te słowa, ksiądz, rozpromieniony, ukłonił mi się nizko i zawołał z zapałem:

— O niechże będą Bogu, Stwórcy mojemu, dzięki, że przez usta twoje wzywa mnie do takiej pracy. Zostanę najchętniej na wyspie i czuję, że Bóg mi sowicie wynagradza wszystkie przeciwności, jakich doznałem w mej podróży.

Gdy to mówił, jaśniały mu oczy dziwnym blaskiem, a na twarzy czytać można było wyraz szczęścia i radości.

Patrzałem na niego w milczeniu, podziwiając kapłańską jego żarliwość i gotowość do poświęceń. Potem spytałem go poważnie, czy dobrze zastanowił się nad tem, co bierze na siebie, czy nie obawia się nieznanych mu niebezpieczeństw, czy wie, że grozić mu może konieczność pozostania na tej odległej wyspie aż do śmierci?

— O jakich to wspominacie, panie, niebezpieczeństwach? — odpowiedział — a czy wiecie, w jakim celu gotów byłem jechać z wami do Indyj Wschodnich?

— Nie wiem, — odrzekłem — może dla nawracania Indyan...?

— Tak, dlatego; nic więc dziwnego, że gotów jestem — mówił ksiądz dalej — pozostać na waszej wyspie, choćby na zawsze, jeśli się to okaże konieczne do nawrócenia tych trzydziestu siedmiu Indyan. Dokonanie takiego dzieła warto więcej, niż moje życie; to też codziennie dziękować będę Chrystusowi Panu i Najświętszej Jego Matce, że mię takie szczęście spotkało, choćbym nawet już nigdy nie miał oglądać mojej ojczyzny. A ponieważeście to wy, panie, pozwolili mi się wyręczyć w spełnieniu tego świętego obowiązku, przeto modlić się będę za was przez całe życie. Prosiłbym was tylko o wyświadczenie mi jeszcze jednej łaski. Oto, czy nie moglibyście zostawić tu zemną Piętaszka, aby mi służył za tłómacza, bo inaczej nie będę mógł się porozumieć z dzikimi.

Żądanie takie było mi z wielu względów nie na rękę. Nie mogłem nawet pomyśleć o rozstaniu się z Piętaszkiem, wiernym moim przez tyle lat towarzyszem. Był on mi nietylko wierny, lecz i bardzo mnie kochał.

Odpowiedziałem więc księdzu, że jakkolwiek może powinienbym poświęcić własną wygodę, jaką mam z usług Piętaszka, dla wyższych celów, to jednak tak jestem do niego przywiązany, a on tak mnie kocha nawzajem, że nie mógłby się dobrowolnie zemną rozstać, ja zaś przyrzekłem mu nie oddalać go nigdy od siebie i muszę przyrzeczenia tego dotrzymać. Zmartwił się ksiądz odmową, lecz poradziłem mu, żeby sobie wziął za pomocnika ojca Piętaszka, który umiał nieźle po hiszpańsku i mógł mu wybornie służyć za tłómacza i pośrednika pomiędzy nim a Indyanami. Opatrzność jednak dała później inny przebieg całej tej sprawie.

Tymczasem doszliśmy do osady Atkinsa.

ROZDZIAŁ XXXII.

Śluby. — Nawrócenie się Atkinsa. — Rozmowa jego ze mną i z żoną. — Małżeństwo Zuzi. — Podział gruntów.

Przybywszy do osady, zwołałem wszystkich Anglików i sam zacząłem do nich przemawiać. Oświadczyłem im, że sprzyjam im serdecznie i pragnę ich pomyślności, czego dowodem pamięć moja o nich i rozdane im wczoraj rzeczy, przezemnie dla nich przywiezione. Potem mówić zacząłem o ich grzesznem życiu, powtarzając mniej więcej wszystko to, co od księdza usłyszałem. Odpowiedzieli mi, jak przewidywałem, że jeżeli nie połączyli się dotąd ze swojemi żonami ślubem małżeńskim, to tylko dla tego, że na wyspie nie było żadnego duchownego, że jednak uważają te kobiety za prawe swoje małżonki, co już gubernatorowi byli oświadczyli.

— Z pewnością — odrzekłem — są one waszemi prawemi małżonkami wobec waszego sumienia, ale wobec świata i ludzi jest inaczej i z tego powodu należy temu koniec położyć. Jestem przekonany o waszych uczciwych zamiarach i nie wątpię, że mi przyrzeknie zawrzeć śluby małżeńskie przy najpierwszej sposobności, bo inaczej nie mógłbym zezwalać dłużej na takie wspólne pożycie, któremu Bóg błogosławić nie może.

Wtedy Wilhelm Atkins wystąpił i odpowiedział w imieniu swojem i towarzyszów, że wszyscy oni kochają swe żony, jak gdyby były Angielkami i nie rozłączyliby się z niemi za nic w świecie. Mimo, iż to są Indyanki i nie mają białej skóry, jak europejskie kobiety, są one im przecie bardzo drogie, bo dobrocią swoją, skromnością i cnotą zjednały sobie serca swych mężów. Co do niego samego, to gdyby go

nawet zawieziono do Anglii i chciano zrobić kapitanem najwspanialszego okrętu wojennego, ale pod warunkiem, aby rozstał się z żoną i dziećmi, odmówiłby bez wahania i wolałby pozostać zwyczajnym, biednym, osadnikiem. Dodał wkońcu, że z całej duszy pragnąłby zaraz teraz wziąć ślub, gdyby jaki duchowny był na statku.

Tego mi właśnie było trzeba. Oświadczyłem mu tedy, że jeśli szczerze to wszystko wypowiedział, to życzenia jego mogą się spełnić,

»Anglicy oświadczyli, że gotowi są zawrzeć śluby małżeńskie« (srr. 274).

bo rzeczywiście przybył tu ze mną jeden duchowny i może im dać ślub chociażby jutro. Nie pozostaje tedy nic innego, jak tylko jeszcze raz tę sprawę rozważyć i naradzić się z towarzyszami.

— Nie potrzebuję nic rozważać — odrzekł Atkins — i gotów jestem w tej chwili wziąć ślub, a jestem pewny, że i towarzysze moi także nie będą od tego.

Objaśniłem go wtedy, że mój przyjaciel duchowny jest Francuzem i po angielsku ani słowa nie rozumie, lecz zapewniłem, że ja będę tłómaczem. Rozeszliśmy się. On poszedł do swoich towarzyszów na naradę, a ja udałem się do księdza, który oczekiwał na mnie w pobliżu; opowiedziałem mu całą rozmowę i prosiłem, aby jakiś czas poczekał, dopóki sprawa nie dojrzeje.

Jeszcze zanim opuściłem ich osadę, zbliżyli się do mnie Anglicy i oświadczyli, że cieszy ich bardzo wiadomość o przybyciu duchownego, gdyż, zastanowiwszy się poważnie, uznali żądanie moje za słuszne i gotowi są natychmiast zawrzeć śluby małżeńskie ze swojemi żonami. Powiedziałem im, żeby się stawili nazajutrz u mnie w zamku i poleciłem, aby przez ten czas przygotowali swoje żony i wyjaśnili im znaczenie ślubu.

Kobiety zrozumiały łatwo, o co chodzi, i bardzo się z tego uradowały. Nazajutrz przyszli wszyscy do pierwszej osady i przedstawili się księdzu; ja służyłem za tłómacza i pośrednika. Poważne i pełne godności zachowanie się młodego księdza pozyskało mu wnet serca osadników; ale wtem powstała nowa trudność. Nie chciał on w żaden sposób połączyć ślubem tych wszystkich par, dopóki kobiety się nie ochrzczą. Mimo swej słodyczy i łagodności obstawał przy tem stanowczo, tak, że byłem już w strachu, aby się cała sprawa nie rozbiła o ten opór. Gdy wszelkie moje przedstawienia, aby odstąpił od tego żądania, pozostały bez skutku, dałem wreszcie pokój, zwłaszcza, że słuszność tego żądania uznać, a gorliwością kapłańską tylko budować się musiałem. Wtedy przemówił ksiądz do Anglików mniej więcej temi słowy: »Dowiedziałem się od waszego czcigodnego opiekuna, w jak dziwnem jesteście położeniu, i byłbym gotów połączyć was z żonami waszemi świętym węzłem małżeńskim, to jest dać wam ślub, jak tego prawa boskie i ludzkie wymagają. Ale zachodzi jedna ważna przeszkoda. Oto te biedne Indyanki oddają się dotąd bałwochwalstwu i nie znają prawdziwej wiary, a mnie nie wolno łączyć chrześcijan z pogankami węzłem małżeńskim. Wielka to wasza wina, żeście ich dotąd nie oświecili i nie nawrócili. Widać, żeście obojętni w sprawach wiary i nie dbacie o zbawienie dusz waszych bliźnich, a nawet osób, które kochacie. Pewnoście z niemi nigdy jeszcze nie mówili o jednym prawdziwym Bogu i Synu Jego, Odkupiciela świata. Musicie jednak przecie znać główne zasady wiary chrześcijańskiej. Otóż powinniście wyłożyć je choć w krótkich słowach, oraz opowiedzieć im historyę odkupienia świata, aby je przygotować do przyjęcia chrztu świętego«.

Przetłómaczyłem Anglikom całą tę przemowę. Przyznali, że ten duchowny ma słuszność, że są obojętni w rzeczach wiary i nigdy o tem z żonami swemi nie rozmawiali, zaś Atkins dodał jeszcze:

— Mocny Boże! jakże my mamy drugich uczyć religii, skorośmy sami mało co o niej słyszeli!

Rzekłem mu na to, że mógłby przecie choćby to tym kobietom wytłómaczyć, że oddają cześć fałszywym bogom, że jest tylko jeden Bóg prawdziwy i jedna prawdziwa wiara, że ten Bóg jest Stworzycielem całego świata, że nas będzie sądzić, że dobrych nagrodzi, a złych ukarze.

— To prawda, — odparł — lecz gdybym to mojej żonie powiedział, tobym od niej usłyszał, że niema w tem ani słowa prawdy.

— Ani słowa prawdy? — zapytałem zdziwiony i oburzony.

Nie inaczej. Gdybyśmy tym kobietom opowiedzieli o jednym prawdziwym Bogu, o Synu Jego, Odkupicielu świata, o niebie i piekle, że dobrzy pójdą do nieba, a źli do piekła, toby nas wyśmiały i powiedziały, że gdybyśmy sami w to wierzyli, to byśmy przecie inaczej żyli i nie dopuszczali się tylu niegodziwości; powiedziałyby nam, że gdyby to był Bóg prawdziwy i sprawiedliwy, toby mnie był już dawno ukarał za tyle krzywd wyrządzonych ludziom, a nawet im samym, boby pojąć nie mogły, że Bóg Sprawiedliwy, Bóg Wszechmocny pozwala jeszcze żyć mnie, com codziennie gwałcił Jego przykazania. Zamiast się nawrócić, nabrałyby tylko najgorszego wyobrażenia o naszej wierze. Tak to, panie: kto chce innych nauczać i poprawiać, ten przedewszystkiem sam powinien wierzyć i żyć uczciwie i cnotliwie!

— Tak! tak! — rzekłem zakłopotany i zwróciwszy się do księdza, opowiedziałem mu to wszystko.

— Powiedzcie, panie, Atkinsowi, — odparł na to — że jego własne nawrócenie się, skrucha i żal będą mu najlepszymi pomocnikami w nawróceniu żony. Kto chce innych przywieść do opamiętania, do skruchy i żalu za grzechy, ten sam powinien być skruszony. Gdy pozna wszystkie swe grzechy, gdy żałować będzie, że nimi Boga obraził i gdy pokutę za nie rozpocznie, to prędzej, niż kto inny, nawróci on swą żonę, bo będzie jej mógł zaraz wytłómaczyć, że Bóg nie tylko jest sprawiedliwy i dla tego dobrych nagrodzi, a złych ukarze, lecz że jest też miłosierny bez granic, nieskończenie dobry i cierpliwy. Zwleka On z ukaraniem grzesznika i czeka nieraz długie lata na jego upamiętanie, bo nie pragnie jego śmierci i zguby, lecz chce, aby się poprawił, żył i dostąpił wiecznej szczęśliwości. Bóg nieraz zezwala na to, że najniegodziwszym zbrodniarzom dobrze się tu powodzi; kara za grzechy czeka ich dopiero w przyszłości, jeżeli się nie poprawią, bo też najczęściej dobrzy nagrodę, a źli karę dopiero w przyszłem życiu otrzymują. To mu da sposobność opowiedzenia żonie o Zmartwychwstaniu i o Sądzie ostatecznym. Powtarzam jeszcze raz, niech się sam nawróci, a ręczę, że nawróci i swą żonę.

Przetłómaczyłem to wszystko Atkinsowi. Tak bardzo był wzruszony, że zaledwie mógł wysłuchać do końca, poczem rzekł:

— Wiem o tem wszystkiem, ale nie mam odwagi mówić z moją żoną, bo moje sumienie i moja małżonka będą mi robiły wyrzuty, że żyłem dotąd, jak gdybym nigdy nic nie był słyszał o Bogu i o życiu przyszłem. Co się zaś tyczy mojego nawrócenia, to już przepadło! —

Machnął ręką i westchnął głęboko, a oczy zaszły mu łzami. — Tak, panie... już zapóźno!... niema co o tem więcej mówić.

Gdym to słowo w słowo księdzu powtórzył, zacny ten kapłan nie mógł się powstrzymać, by ze wzruszenia nie zapłakać; po chwili, gdy się uspokoił, poprosił mię, abym Atkinsa zapytał, czy mu lekko żyć z tem przeświadczeniem, że już za późno na jego poprawę, i czyby nie pragnął, by to było inaczej.

— Czy mi lekko żyć? — odparł Atkins w uniesieniu. — A czyż to podobna, by człowiek nie drżał na samą myśl, że go czekają wieczne męki? Mnie po prostu rozpacz ogarnia i bardzo się boję, aby mię ona kiedy nie popchnęła do samobójstwa, by raz już kres położyć tym strasznym męczarniom.

Ksiądz, usłyszawszy odemnie te rozpaczą podyktowane słowa biednego Atkinsa, zadumał się, ale wkrótce, przerywając swe rozmyślania, zwrócił się ku mnie i żywo powiedział:

— Jeżeli rzeczywiście tak stan swej duszy odczuwa, to nie jest jeszcze za późno i z pomocą łaski Bożej może się jeszcze nawrócić, boć wszyscy możemy być zbawieni nie przez własne zasługi, lecz przez mękę i śmierć Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Większe jest miłosierdzie Boże, niż grzechy całego świata. Nikomu On przebaczenia nie odmawia, kto skruszony szczerze za grzechy żałuje, poprawić się pragnie i do miłosierdzia Jego się ucieka. Powiedzcie mu, panie, że na to nigdy nie jest zapóźno i że my, słudzy Chrystusa, możemy w Jego imieniu odpuszczać wszystko tym, którzy skruszeni, żałują z całego serca.

Atkins wysłuchał tego z wielką uwagą, oświadczył mi, że rozmówi się z żoną i natychmiast się oddalił. Zwróciliśmy się do innych. Rzecz straszna i oburzająca! Ludzie ci nie mieli żadnego wyobrażenia nawet o najgłówniejszych prawdach wiary chrześcijańskiej! Z wielką uwagą słuchali mego wykładu i przyrzekli nakłonić Indyanki do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Ksiądz dowiedziawszy się o tem odemnie, rzekł po chwilowym namyśle:

— My, słudzy Chrystusa Pana, możemy tylko nauczać i oświecać. Gdy ludzie zrozumieją te nauki i przyrzekną według nich żyć, tośmy już zrobili, co było w naszej mocy i należy nam się zadowolnić tą obietnicą. Ale zdaje mi się, że z całej tej gromadki jedynie tylko Atkins szczerze przejęty jest żalem za swe grzechy. Wierzę ja i ufam zapewnieniom i reszty, ale sądzę, że tylko on jeden dobrze sobie zdał sprawę z grzesznego obłędu, w jakim żył dotąd. Jestem pewien, że nawróci się on sam do reszty, gdy zacznie swą żonę nawracać, bo zazwyczaj, starając się drugich przekonać i nauczyć, sami rzecz dokładniej pojmujemy i rozumiemy, sami się dalej kształcimy. Ręczę wam,

że gdy raz zacznie z nią mówić o Chrystusie Panu, to sam tak się przejmie boską nauką Zbawiciela, że stanie się jej gorliwym wyznawcą, a to pociągnie za sobą błogosławione następstwa dla wszystkich osadników.

Gdy Anglicy uroczyście przyrzekli przygotować swe żony do przyjęcia chrztu świętego, dał ksiądz ślub trzem parom. Atkinsa nie było.

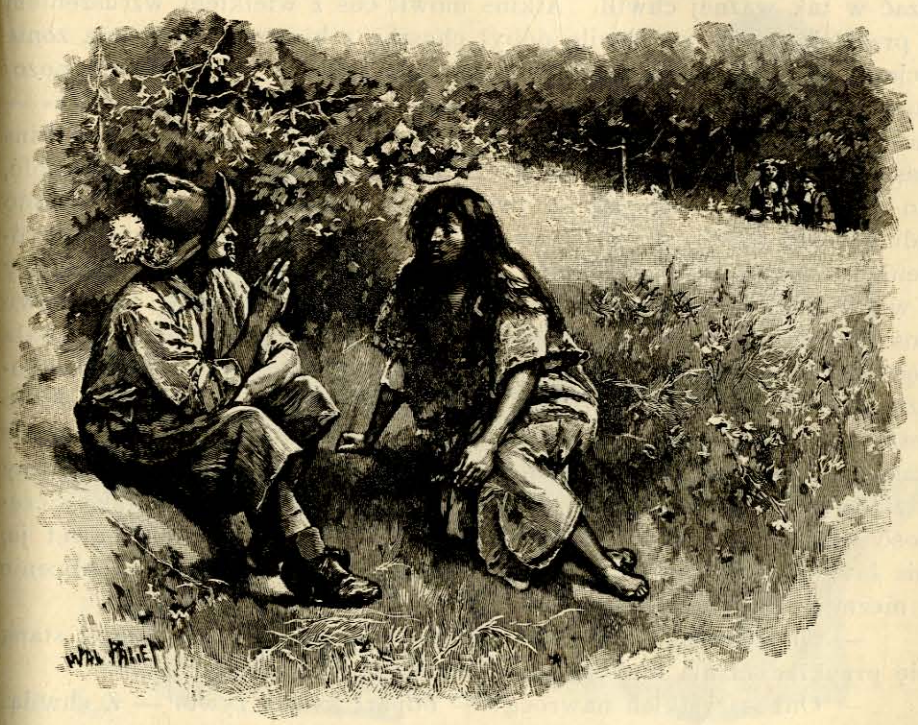

»Spostrzegliśmy Atkinsa z żoną«.

Ksiądz był bardzo zaciekawiony, gdzie się mógł podziać, a zwracając się do mnie: »Jestem pewien« — powiedział — »że moglibyśmy go znaleźć gdzieś na ustroniu zajętego nauczaniem żony«. Pokazało się wkrótce, że ksiądz miał zupełną słuszność; bo gdyśmy obaj wyszli z zamku i zapuścili się w głęboki las, spotrzegliśmy zdala Atkinsa z żoną, siedzących na uboczu pod drzewem. Zatrzymaliśmy się i milcząc patrzyliśmy na nich, chcąc się z ich ruchów i zachowania domyśleć, o czem mogą rozmawiać. Atkins wskazywał ręką kolejno na słońce i niebo, na morze, na las, na żonę i na siebie samego. »A co, czy nie mówiłem?« — odezwał się ksiądz — »uczy ją niezawodnie,

że Pan Bóg stworzył niebo i ziemię«. Wtem widzimy, że wstaje, klęka, wznosi ręce ku niebu i coś głośno mówi, czegośmy jednak z powodu znacznej odległości zrozumieć nie mogli. Po kilku minutach usiadł znów obok żony i dalej coś do niej mówił. Zdawało się nam, że ona słuchała uważnie, ale czy i ona coś do niego mówiła, tegośmy już spostrzedz nie zdołali. Bardzo nas to zmartwiło, żeśmy nic z tego dosłyszeć nie mogli, ale nie chcieliśmy się zbliżać, by im nie przeszkadzać w tak ważnej chwili. Atkins mówił coś z wielkiem wzruszeniem i przejęciem się, za chwilę dobył chustkę z kieszeni i oczy nią żonie ocierał, poczem oboje uklękli i przez czas jakiś w tej postawie pozostawali. Na ten widok ksiądz, mając pełne łez oczy: »o wielki Boże« — zawołał — »wszak oni się razem modlą«! Obawiając się, by Atkins nas nie usłyszał, pociągnąłem go za rękaw i starałem się go uspokoić, bo z wyrazem zachwytu na twarzy, to szepcząc, to znowu głośno odmawiając modlitwy, dziękował Panu Bogu za to cudowne nawrócenie; mnie zaś zależało na tem, aby Atkinsowi nie przerywać modlitwy i widzieć, jak się to wszystko skończy. Powstali z klęczek; on znowu coś do niej mówił z wielkim zapałem, a ona z uwagą słuchała, składała ręce i wznosiła je ku niebu, to znowu się żegnała i było rzeczą widoczną, że bardzo była przejęta tem, co od męża słyszała. Trwało to jeszcze z jaki kwadrans, potem oboje odeszli w stronę zamku, wcale nas nie spostrzegłszy. Zostaliśmy sami z księdzem i rozmawialiśmy z zajęciem i radością o tem, cośmy przed chwilą widzieli. Taką szczerość serdeczną widać było w zachowaniu się tych ludzi, że nawet ja, nie łatwowierny i nie skory do uniesień, uwierzyłem w ich nawrócenie i niezmiernie byłem ucieszony.

— Nieprawdaż, ojcze, — rzekłem do księdza — że ludzie ci staną się przykładem dla innych, a może kogo jeszcze nawrócą.

— Oni wszystkich nawrócą! — odparł ksiądz żywo. — Z chwilą, kiedy zasłona spadnie z oczu tych dwojga ludzi dzikich, bo z tego, co słyszałem o Atkinsie, i jego dzikim nazwać muszę, zaczną oni prawie mimowoli oświecać innych. Religia chrześcijańska ma już to do siebie, że się łatwo rozszerza. Jedną z głównych jej zasad jest miłość bliźniego; to też prawdziwy chrześcijanin, mieszkający obok poganina, pragnie go jak najprędzej nawrócić i pozyskać dla Chrystusa Pana.

Przyznałem słuszność zacnemu księdzu i podziwiałem niesłychaną jego dobroć i żarliwość kapłańską. Powróciliśmy do zamku i zastaliśmy tam Atkinsa z żoną, czekających już na nas. Umówiłem się był z księdzem, aby im wcale nie wspominać, żeśmy ich w lesie widzieli; mieliśmy się tylko z samym Atkinsem rozmówić, by się dowiedzieć, co on też nam opowie. Przywołaliśmy tedy Atkinsa i na osobności taką mieliśmy z nim rozmowę:

Ja. Proszę cię, Atkinsie, powiedz mi też, jakie otrzymałeś wychowanie i kim był twój ojciec?

Atkins. Ojciec mój był najzacniejszym w świecie człowiekiem; ja nawet podobny do niego nigdy nie będę.

Ja. Jakże cię więc wychował?

Atkins. Chciał jak najlepiej, ale nie słuchałem go i za nic sobie miałem jego nauki i rady, jak niemądre stworzenie.

»Mieliśmy rozmowę z Atkinsem« (str. 278).

Ja. Słusznie powiedział Salomon: »Zwierzęciem jest, kto gardzi przestrogami«.

Atkins. Byłem też w istocie dzikiem bydlęciem, bo zamordowałem ojca. Na miłość Boską, nie pytaj mnie, panie, o więcej! Tak.... zamordowałem ojca.

Ja. Ależ to niepodobna, Atkinsie! Miałżebyś własnemi rękoma ojca zabić!?

Atkins. Oczywiście, tego nie uczyniłem; nie poderznąłem mu gardła, ale przeciąłem pasmo dni jego, zatruwając mu życie, i za najczulszą miłość i poświęcenie okrutną odpłacając niewdzięcznością.

Ja. Atkinsie, nie miałem zamiaru zmuszać cię do takich wyznań. Będę prosił Boga, który wzbudził w tobie skruchę, aby ci raczył przebaczyć ten grzech i wszystkie inne. Rozmówiwszy się z tobą poprzednio, przekonałem się, że nie jesteś wcale tak ciemny w rzeczach religii, jak myślałem. Zatem nie przez nieświadomość przekraczasz przykazania boskie?

Atkins. Panie! to nie ty, lecz własne moje sumienie zmusiło mię do wyznania grzechów moich przeciwko ojcu. Gdy spojrzymy w przeszłość, to grzechy nasze przeciw rodzicom stają nam najpierwej przed oczyma, najwięcej nam ciężą i najboleśniej się przypominają.

Ja. Atkinsie! słowa twoje przenikają mnie do głębi i wywołują bolesne wspomnienia.

Atkins. A to dlaczego, panie? Wy przecie nie możecie doświadczać podobnych wyrzutów sumienia.

Ja. Niestety, Atkinsie, każda skała, każde wzgórze, każde niemal drzewo tej wyspy przypomina mi gorzkie chwile, jakie tu spędziłem, rozpamiętywując niewdzięczność moją względem ojca, który, o ile miarkuję z tego, co mówisz, wielce był podobny do twojego. Ja także, Atkinsie, zamordowałem najlepszego ojca niecnem swem postępowaniem, tylko, zdaje mi się, że nie umiałem tak serdecznie, jak ty, żałować.

Mówiłbym był jeszcze dłużej, ale wzruszenie zatamowało mi mowę a przytem czułem, że człowiek ten o tyle mnie przewyższa niezmierną swą skruchą, że nie miałem ochoty rozmawiać z nim dalej, bo nie ja jego, ale on moim niespodziewanie stawał się mistrzem. Całą tę rozmowę powtórzyłem księdzu.

— Czy nie mówiłem wam, panie, — zawołał — że człowiek ten wkrótce będzie drugich nawracał. Prawdziwie! widzę, że ja tu nie potrzebny na wyspie, bo on mnie zastąpi i wszystkich tutejszych osadników nawróci i przyłączy do owczarni Chrystusa Pana.

Tymczasem przyszedłem do siebie i znów zacząłem z Atkinsem rozmawiać.

Ja. Atkinsie! powiedz mi, zkąd się właśnie teraz wzięły te wyrzuty sumienia i taka skrucha?

Atkins. Ty sam, panie, włożyłeś na mnie obowiązek nawrócenia mej żony. Rozmowa z nią skruszyła mi serce. Miałem zamiar nauczać ją i oświecać, a tu ona powiedziała mi takie kazanie, że nie zapomnę o niem do końca życia.

Ja. Mylisz się, Atkinsie; to nie żona twoja, to własne twoje sumienie przywiodło cię do opamiętania, a obudziło się w tobie pod wpływem rozmowy z żoną.

Atnkins. Być może, panie! Jakkolwiekbądź, był to głos, któremu się oprzeć nie mogłem.

Ja. Proszę cię, Atkinsie, opowiedz nam, co zaszło między tobą a twoją żoną. Ja się nawet trochę domyślam.

Atkins. Nie pamiętam dokładnie, cośmy z sobą mówili, dość, że wzruszyła mnie do głębi i że postanowiłem się poprawić i zmienić dotychczasowy sposób życia.

Ja. Próbuj przypomnieć sobie choć trochę, jak to było, od czego się zaczęło? Mówisz, że żona powiedziała ci kazanie; jakież ono było, dlaczego wywarło na ciebie tak silne wrażenie?

Atkins. Zaczęło się od tego, że próbowałem jej wytłómaczyć, co to jest małżeństwo, dlaczego mężczyzna i kobieta muszą połączyć się z sobą na całe życie przysięgą, której nie mogą złamać. Wytłómaczyłem jej, że bez tego nie byłoby na świecie ani porządku ani sprawiedliwości; że obowiązkiem jest rodziców starannie wychowywać dzieci i dać im jakie zaopatrzenie.

Ja. Cóż ci powiedziała, gdyś jej to wszystko wytłómaczył?

Atkins. Powiedziała, że się jej to wszystko bardzo podoba i że małżeństwo lepiej jest u nas urządzone, niż u nich.

Ja. A czy wytłómaczyłeś jej znaczenie ślubu?

Atkins. Od tego zacząłem. Powiedziałem jej, że sam Bóg ustanowił małżeństwo, i spytałem, czy chce zaślubić mnie według przepisów naszej wiary. Potem zaczęła się między nami dziwna rozmowa, jakiej chyba żadne inne małżeństwo nie prowadziło z sobą.

Wtedy to opowiedział mi Atkins tę rozmowę. Powtarzam ją tutaj, o ile zdołałem zapamiętać:

Żona. Mówisz, że Bóg ustanowił małżeństwo. A czy jest jaki Bóg w waszym kraju?

Atkins. O tak! Bóg jest wszędzie, na każdem miejscu.

Żona. To nieprawda. Bóg jest tylko w naszym kraju. U nas mieszka wielki, stary bóg, *Benamuki.*

Atkins. Dziecko jesteś! Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdem miejscu. Stworzył on świat cały i wszystko, co na nim żyje.

Żona. Wasz Bóg nie zrobił całej ziemi, nie zrobił mego kraju.

Słysząc to Atkins roześmiał się.

Żona. Nie śmiej się, tu się niema czego śmiać, dla czego się ty śmiejesz?

Atkins uczuł, że żona ma słuszność i że nie należy żartować, mówiąc o świętych rzeczach. Odtąd też mówił poważnie.

Atkins. Masz słuszność, moja droga, nie będę się już śmiać.

Żona. Dlaczego mówiłeś, że wasz Bóg wszystko zrobił?

Atkins. Bo tak jest, moje dziecko. Nasz Bóg stworzył cały świat i mnie i ciebie i wszystkie rzeczy. On jeden jest prawdziwym Bogiem, innych bogów niema. On żyje i króluje w niebiosach i na każdem miejscu.

Żona. Dlaczegoś mi pierwej tego nie powiedział?

Atkins. Bo sam o Nim zapomniałem i żyłem, jakby Go nie było.

Żona. Jeżeli macie takiego wielkiego Boga w swoim kraju, to jakże mogłeś zapomnieć o Nim? Dlaczego nie mówiłeś Mu: O... o...! Dlaczego nie składałeś Mu ofiar? Dlaczego?

Atkins. Niestety! dużo jest ludzi, co zapominają o Bogu i żyją, jakby Go nie było.

Żona. Dlaczego wasz Bóg na to pozwala, czemu nie każe wam żyć dobrze?

Atkins. On każe, ale nie wszyscy słuchają Jego przykazań.

Żona. Kiedy jest taki wielki i potężny, to dlaczego nie pozabija tych wszystkich, co nie są dobrzy, co nie chcą Go słuchać, co nie mówią Mu: O...! o...!

Atkins. On może w każdej chwili śmierć na nich zesłać, ale miłosierdzie Jego nie ma granic. Z pewnością zasłużyłem na to, żeby i mnie ukarał, bo żyłem źle, byłem niedobrym człowiekiem, lecz On w dobroci Swej nieskończonej nie obchodzi się z ludźmi tak surowo, jak na to zasługują.

Żona. A czy dziękowałeś Mu za to?

Atkins. Nie! nie dziękowałem, przeciwnie, obrażałem Go nieraz.

Żona. To widać Bóg wasz nie jest prawdziwym Bogiem, kiedy nie zabił cię za to.

Atkins. Nie chcesz w Niego uwierzyć z powodu moich niegodziwości! Zaiste! wielka to prawda, że złe życie chrześcijan największą jest przeszkodą do nawrócenia niewiernych.

Żona. Jakże ja mogę wierzyć, że wy macie tam — tu wskazała na niebo — wielkiego, wszechmogącego Boga, kiedy robicie ciągle różne złe rzeczy. Widać On o tem nie wie.

Atkins. Ach! wie On o wszystkiem, wszystko widzi i słyszy, zna myśli nasze, widzi, co robimy, słyszy, co mówimy!

Żona. Jakto? Słyszy także, jak przeklinacie?

Atkins. Słyszy, doskonale słyszy wszystko.

Żona. To gdzie jest ta wielka siła Jego i potęga, jeżeli słyszy, a jednak natychmiast za złe was nie karze.

Atkins. Bo czeka, czy się nie poprawimy, bo jest niewyczerpany w swej dobroci i miłosierdziu, bo jest wielkim Bogiem, a nie ułomnym, mściwym, człowiekiem.

Tu opowiedział Atkins, że jego samego przejęła wtedy wielka trwoga, gdy sobie pomyślał, że Bóg wszystko widzi, słyszy i zna wszystkie jego niecne czyny, że jest cierpliwy ale i sprawiedliwy i dlatego niewątpliwie będzie go musiał ukarać, jeżeli nie uzyska przebaczenia za całą grzeszną przeszłość. Świadomość, że ta grzeszna

przeszłość tak mu utrudnia nawrócenie żony, przejęła go wielką żałością. Ta to serdeczna żałość sprawiła, że padł na kolana i zaczął Pana Boga przepraszać za wszystkie grzechy swego życia, zaczął błagać o przebaczenie i odpuszczenie, a wreszcie prosić o zesłanie na niego łaski, któraby mu dopomogła do nawrócenia żony. Odmówiwszy modlitwę, siadł znów obok żony i zaczął z nią rozmawiać. Wtedy to właśnie ja i ksiądz patrzyliśmy na nich z poza drzew.

Żona. Dlaczego teraz klęczałeś? dlaczego wznosiłeś ręce do góry, co to miało znaczyć? Co mówiłeś?

Atkins. Upadłem na kolana, aby oddać cześć swemu Stwórcy. Mówiłem Mu O...! jak wy waszemu staremu *Benamuki.* A mówiąc po naszemu: modliłem się.

Żona. Dlaczego mówiłeś Mu O...!

Atkins. Prosiłem Go, aby mi przebaczył, żem przestępował Jego przykazania, prosiłem Go, aby tobie oczy otworzył, abyś Go mogła poznać i przyjąć do serca.

Żona. A czy On może to zrobić?

Atkins. On może wszystko.

Żona. A czy słyszał teraz, coś ty do Niego mówił?

»Atkins ujął żonę za rękę, prosząc, by uklękła obok niego, i modlił się« (str. 284).

Atkins. O tak! On sam rozkazał mi, abym się do niego modlił i obiecał, że mnie wysłucha.

Żona. Kiedyż On ci to rozkazał? Czy ty z nim rozmawiałeś, czy słyszałeś głos Jego?

Atkins. On nie mówi do nas głośno, ale objawia się nam w inny sposób.

Zastanowiwszy się, jakby to żonie wytłómaczyć, począł jej opowiadać, jak to w bardzo dawnych czasach objawiał się Bóg ludziom i przemawiał do nich, a ludzie spisali jego słowa w księdze, zwanej

»Pismo Święte«. Tu jej opowiedział historyę stworzenia świata, grzechu pierworodnego, nadania dziesięciu przykazań. Żona słuchała z wielką uwagą a następnie zaczęła wyliczać Atkinsowi, co zapamiętała, na dowód, że zaczyna pojmować jego naukę. Mówiła tedy: wasz Bóg żąda dobrych rzeczy, a zakazuje złych. Dobrych wynagradza, a złych karze. Stworzył świat i wszystko ludziom daje. Słyszy, jak mówić Mu O...! i daje dobre tym, co są dobrzy, a nie zabija tych, co są źli, tylko czeka, żeby się poprawili. Jest bardzo wielkim Bogiem! I ja wierzę w Niego i chcę mówić Mu O...! razem z tobą. Wtedy biedny Atkins, ucieszony, ujął żonę za rękę i pociągnął za sobą prosząc, by uklękła obok niego i modlił się głośno, błagając Boga, aby zesłał na tę kobietę Ducha świętego i oświecił ją do reszty. Widzieliśmy ich w tej pobożnej postawie i wtedy to właśnie ksiądz się tak bardzo ucieszył.

Rozmawiali z sobą jeszcze czas jakiś. Żona prosiła go, żeby się poprawił i nie obrażał więcej Boga, bo Bóg się rozgniewa i zabije go a wtedy ona zostanie sama jedna i nikt już nie będzie mówić jej o Nim, a on nie będzie szczęśliwy, bo sam jej mówił, że złym ludziom nie dobrze jest na tamtym świecie.

Wysłuchaliśmy tego opowiadania z wielkiem zajęciem. Zwłaszcza młody ksiądz niezmiernie był wzruszony i uradowany z podwójnego nawrócenia. Żałował tylko, że, nie umiejąc po angielsku, nie może się rozmówić z żoną Atkinsa, i rzekł zwróciwszy się do mnie:

— Dla tej kobiety należałoby zrobić coś więcej, niż dla jej towarzyszek.

Znaczyło to, że chce ją ochrzcić, a dopiero potem dać jej ślub z Atkinsem. Podzielałem jego zdanie i chciałem już wezwać oboje, gdy ksiądz powstrzymał mnie mówiąc:

— Jeszcze nie zaraz, panie. Wprawdzie kobietę nawrócił prawie cudownie jej mąż i dał jej już pewne wyobrażenie o Bogu, wielkości Jego i potędze, ale nie wiem, czy wspomniał jej co o Chrystusie i Odkupieniu, o Duchu świętym i zmartwychwstaniu, o przyszłem życiu i sądzie ostatecznym.

Wezwałem Atkinsa i spytałem go, czy mówił już o tem wszystkiem z żoną. Biedny, skruszony grzesznik, odpowiedział ze łzami w oczach, że czuje takie wyrzuty sumienia z powodu dawnych swoich występków, iż nie śmie nawet mówić z żoną o tajemnicach świętych, uważając się za niegodnego. Upewnił jednak, że dusza jej jest już przysposobiona do przyjęcia i zrozumienia nauki Chrystusa i że gdyby który z nas zechciał wyłożyć jej zasady wiary, to mógłby z łatwością dokończyć dzieła nawrócenia. Zażądałem wtedy, aby przyprowadził żonę, i pośredniczyłem między nią a nabożnym księdzem, tłómacząc

jej wszystkie jego nauki i objaśnienia. Tak była pojętna, że po paru godzinach zrozumiała główne zasady wiary chrześcijańskiej, przejęła się niemi jak najgorliwiej i zażądała chrztu świętego; ksiądz ochrzcił ją i nadał jej imię Maryi, poczem dał im ślub. Pobłogosławiwszy młodą parę, zwrócił się ksiądz jeszcze do Atkinsa i miał do niego serdeczną przemowę. Zachęcał go do wytrwania w dobrem, wyjaśniając, że sama skrucha nie wystarcza, że trzeba poprawić życie. Przedstawił

»Ślub młodej pary odbył się tego samego dnia« (str. 287).

mu, żeby wszystkiemi siłami starał się zostać godnym tej nieocenionej łaski, którą go Bóg obdarzył, pozwalając mu być narzędziem do pozyskania nowej duszy dla Kościoła, i upominał, aby się nie dawał prześcignąć swej żonie w cnotach i pobożności; bo gdyby popadł w dawne grzechy, wyczerpałaby się cierpliwość Nieba i Bóg mógłby go na zawsze odrzucić od siebie. Następnie złożył życzenie państwu młodym, polecając ich boskiej opiece i udzielił im jeszcze raz błogosławieństwa. Słowa jego, wymawiane w języku francuskim, powtarzałem młodej parze po angielsku; sam byłem bardzo radośnie wzruszony, tak, że dzień ten uważam za jeden z najszczęśliwszych w mem życiu.

Zacny nasz ksiądz, nie poprzestając na tem, czego już dokonał, marzył wciąż jeszcze o nawróceniu trzydziestu siedmiu dzikich, mieszkających w osobnej osadzie. Chciał on koniecznie zostać dla nich na wyspie; ja jednak przekonałem go, że jego piękny zamiar na razie uskutecznić się nie da, że jednak będzie można tak wszystkiem pokierować, iż rozpoczęte przez niego dzieło nawrócenia i po naszym odjeździe nie dozna przerwy i, da Bóg, szczęśliwym zostanie uwieńczone skutkiem. Tak się też w istocie później stało.

Załatwiwszy tak, o ile mogłem, sprawy swojej osady, przygotowywałem się już do wyjazdu, gdy zjawił się u mnie niespodziewanie ów młodzieniec, któregośmy zabrali z ogłodzonego statku. Oświadczył mi, że przybywa tu do mnie z prośbą, abym zechciał zająć się połączeniem jeszcze jednej pary, to jest, abym uprosił przyjaciela mego, księdza, o danie jej ślubu. Nadmienił przytem, że oboje państwo młodzi są chrześcijanami. Wiedziałem, że jedyną chrześcijanką na wyspie jest owa dziewczyna, co służyła u jego matki, i myślałem, że to on chce się z nią żenić. Starałem się więc wszelkiemi siłami odwieść go od tego zamiaru, przedstawiając mu, że myśl ta przyszła mu do głowy zapewne pod wpływem osamotnienia, ale że później będzie z pewnością żałował tak nierozważnego kroku. I rzeczywiście dziewczyna ta, acz dobra i uczciwa, nie była stósowną dla niego towarzyszką ani pod względem wykształcenia ani pod względem wieku; on bowiem miał siedemnaście a ona dwadzieścia siedem lat. Mówiłem dalej, że przecież nie zostanie na zawsze tutaj i powróci kiedyś do kraju, gdzie ma rodzinę i przyjaciół i dość znaczny majątek, o czem opowiadała mi owa służąca. Chłopak wysłuchał z uśmiechem całej tej przemowy a potem objawił mi, że nie o niego tu chodzi, że nazbyt jest jeszcze przygnębiony śmiercią matki, aby mu takie myśli do głowy przychodziły i że rzeczywiście nie chciałby na zawsze pozostać na wyspie a tylko dlatego nie jedzie teraz ze mną, że nie ma ochoty oddalać się jeszcze bardziej od rodziny po świeżo doznanych nieszczęściach. »O jedno tylko cię proszę« — mówił dalej — »oto o mały kawałek ziemi na tej wyspie, ażebym mógł na nim tymczasowo osiąść, przytem o jednego lub dwu służących i nieco sprzętów i potrzebnych narzędzi. Uprawiając wydzieloną mi ziemię, oczekiwać tu będę pożądanej chwili, w której po swym powrocie do Anglii raczysz sobie mnie przypomnieć i pomyśleć o mojem ztąd wybawieniu. Pewny też jestem, że przybywszy do Anglii, nie omieszkasz wręczyć moich listów przyjaciołom moim w Londynie, którym opiszę doznane od ciebie dobrodziejstwa, oraz, w której stronie świata i w jakim stanie mię zostawiasz. Przyrzekam panu święcie, że w razie opuszczenia tej wyspy, odstąpię ci, a raczej zwrócę swoją plantacyę w całej rozciągłości bez względu na wartość włożonej w nią pracy«.

Wysłuchałem całej tej przemowy, wcale pięknie wypowiedzianej, jak na tak młodego człowieka. Obiecałem mu oczywiście, że polecenia jego spełnię, krewnych jego wyszukam, listy im doręczę i o ile będzie w mojej mocy, ułatwię mu powrót do kraju. Zapytałem wkońcu, za kogo wychodzi służąca jego matki, Zuzia. Odpowiedział mi, że narzeczonym jej jest Kuba, bednarz, majster do wszystkiego. Tym razem byłem zupełnie zadowolony, uważając, że małżeństwo to będzie dobrane i szczęśliwe. Mówiłem już poprzednio, jak zręczny i do wszystkiego uzdolniony był ów Jakób, bednarz, jak przytem uczciwy i dobrego charakteru człowiek. Zuzia nie ustępowała mu w niczem. Pobożna, dobra, pracowita, uprzejma, ani zbyt śmiała, ani też w sobie zamknięta, umiała z każdym pogadać, każdemu oddać jakąś przysługę a tak była gospodarną i rozsądną, że możnaby jej śmiało oddać pod zarząd całą wyspę, a dałaby sobie radę. Slub młodej pary odbył się tego samego dnia. Zastępowałem jej ojca i dałem w posagu duży kawał gruntu, aby mieli na czem gospodarować. Wydzieliłem też piękny kawał ziemi owemu młodzieńcowi, jak mnie o to prosił.

Raz zrobiwszy początek, trzeba już było każdemu wydzielić po kawałku gruntu, dla zapobieżenia sporom w przyszłości. Zadanie to powierzyłem Atkinsowi. Człowiek ten bowiem tak się zupełnie poprawił, tak się stał pobożny, uczciwy, pracowity, że miałem teraz do niego największe zaufanie. Podzielił on ziemię bardzo sprawiedliwie i ku powszechnemu zadowoleniu. Wtedy osadnicy poprosili mnie, abym im dał na papierze dokument, zabezpieczający im i ich potomkom posiadanie wydzielonej każdemu ziemi. Tak też uczyniłem. Spisałem nazwiska wszystkich osadników, określiłem dokładnie położenie, rozmiary i granice każdej posiadłości i oddałem je na własność osadnikom, zastrzegając dla siebie własność reszty wyspy. W tym dokumencie, podpisanym przez nas wszystkich, zobowiązali się osadnicy opłacać po latach jedenastu pewną daninę mnie albo osobie przezemnie umocowanej.

Co się tyczy ustaw i rządu, to oświadczyłem, żebym zapewne nie potrafił dać im lepszych nad te, jakie sobie sami, wsparci doświadczeniem, nadać mogą; zażądałem od nich tylko przyrzeczenia, że będą z sobą żyli zgodnie, jak to dobrym sąsiadom przystoi.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Indyjscy osadnicy przyłączają się do Europejczyków. — Opowiadanie Zuzi. — Odjazd z wyspy. — Potyczka na morzu z dzikimi. — Smierć Piętaszka.

Tak więc osadnicy nasi stanowili teraz społeczeństwo, dość dobrze urządzone; każdy z nich miał zajęcie i miał zabezpieczoną przyszłość. Pozostawali jeszcze dzicy Indyanie w liczbie trzydziestu siedmiu, zupełnie oddzieleni od reszty mieszkańców i sami sobie zostawieni. Ludzie ci żyli w stanie prawie zupełnie pierwotnej dzikości, a zamknięci w zakątku wyspy, próżnowali po całych dniach, byle czem się żywiąc. Zwróciłem na to uwagę gubernatora i nakłaniałem go, aby się zajął ich losem. Usłuchawszy mojej rady, poszedł do ich siedziby razem z ojcem Piętaszka i zapytał, czy nie zechcieliby przenieść się na inne miejsca, przyłączyć się do osadników, zająć się uprawą ziemi wydzielonej im na własność, lub też pójść dobrowolnie na służbę do innych, bo nie pozwoliłem uważać ich za niewolników, gdyż nie byli to jeńcy wojenni, lecz ludzie, którzy poddali się dobrowolnie na pewnych warunkach. Zgodzili się na to bardzo chętnie i zaraz opuścili swoje siedziby. Tylko czterem wydzielono po kawale ziemi na własność, bo inni woleli, aby ich poumieszczano u Europejczyków jako pomocników do różnych robót.

Ostatecznie więc powstały na wyspie dwie osady: hiszpańska i angielska. Hiszpanie mieszkali w starej mojej obronnej zagrodzie, będącej zawsze jak gdyby stolicą wyspy. Posiadłości ich ciągnęły się wzdłuż brzegów rzeczki, wpadającej do zatoki, tylekroć przezemnie opisywanej aż do letniego mego mieszkania; wogóle zajmowały one południowo-wschodnią część wyspy. Anglicy mieszkali w tem samem miejscu, gdzie osiadł z początku Atkins z towarzyszami. Posiadłości ich rozciągały się na północno-wschodniej części wyspy. Obie osady miały nadto jeszcze sporo gruntu, leżącego narazie odłogiem, co zapobiegało na przyszłość wszelkim sporom o ziemię, bo każda mogła jej mieć dosyć na rozszerzenie swoich pól i winnic. Zachodniego wybrzeża umyślnie nie zajmowano, ponieważ przybijali tam zwykle dzicy. Osadnicy postanowili nie przeszkadzać im w urządzaniu uroczystych uczt, byleby tylko nie naruszali spokoju Europejczyków.

Dzicy umieszczeni u chrześcijan mogli łatwo poznać prawdziwą wiarę. Powiedziałem to przyjacielowi memu, księdzu, robiąc przytem nadzieję, że sprawdzi się moja przepowiednia, iż dzieło nawrócenia

dokonane będzie bez jego współudziału z łatwością, bo każda rodzina chrześcijańska będzie mogła oświecić Indyan będących u niej na służbie. Aby mieć zupełną pewność w tym względzie, udaliśmy się obaj, a mianowicie ja do Anglików, a on do Hiszpanów, by im przedstawić ciążący na nich obowiązek, nakłonić do wypełnienia go i otrzymać przyrzeczenie, że się gorliwie zajmą nauczaniem dzikich, nawrócą ich i ochrzczą. Tak jedni jak drudzy zapewnili nas, że wypełnią święcie ten obowiązek.

»Oto masz jeszcze jedną pomocnicę« (str. 290).

Przyszedłszy w tym celu do domu Atkinsa, zastałem tam młodą mężatkę, Zuzię. Zaprzyjaźniła się ona bardzo z żoną Atkinsa i z wrodzonym sobie rozsądkiem i dobrocią oświeciła ją już w wielu rzeczach dotyczących wiary, kończąc w ten sposób dzieło przez Atkinsa rozpoczęte. Pod jej zbawiennym wpływem nowo nawrócona i zaledwie przed czterema dniami ochrzczona nauczyła się już bardzo wiele w przeciągu tak krótkiego czasu. Przypomniałem sobie, żem nie zostawił swoim osadnikom żadnej książki nabożnej, dbając więcej o ich potrzeby cielesne niż duchowe. Na szczęście miałem z sobą trzy biblije, włożone do moich rzeczy przez poczciwą moją przyjaciółkę, wdowę.

Zacna kobieta nawet nie przeczuwała, ile tem dobrego ludziom zrobiła. Księgi te były bowiem niewyczerpaną skarbnicą oświecenia, nauki i pociechy dla moich osadników, a ja sam nigdybym nie potrafił zrobić z nich tak zbawiennego użytku. Idąc do Atkinsa, wziąłem z sobą bibliję. Zastałem tam obie młode kobiety, to jest, żonę Atkinsa i Zuzię, rozmawiające z wielkiem ożywieniem o rzeczach dotyczących wiary. Bardzo się tem ucieszyłem. Gdy wyraziłem mą radość z tego powodu, rzekł Atkins:

— O panie! jeżeli Bogu podoba się wysłuchać próśb grzesznika, to zsyła mu pomoc niespodziewaną. Tak się i z nami stało. Ta kobieta — tu ukazał na Zuzię — z nieba jest nam chyba zesłana; wszak ona naucza moją żonę tysiąc razy lepiej, niżbym ja to potrafił. Ona nam tu wszystkich pogan nawróci.

Zuzia, zmieszana pochwałami, zaczerwieniła się i chciała odejść, ale ją zatrzymałem.

— Piękne zadanie masz przed sobą — rzekłem do niej — z całej duszy pragnę, aby Bóg zamiarom twoim pobłogosławił i w pracy twej cię wspierał.

Rozmawiałem z nimi o tych rzeczach jeszcze czas jakiś, a potem wyjąłem książkę z kieszeni i podając ją Atkinsowi, rzekłem: »Oto masz jeszcze jedną pomocnicę«. Atkins tak się w pierwszej chwili zdumiał, że słowa nie mógł przemówić, a potem, uchwyciwszy Pismo Święte w obie ręce, zawołał zwracając się do żony: »A widzisz, moja droga, że Pan Bóg słyszy nas i spełnia nasze prośby. Pamiętasz, jakem Go błagał tam w lesie, aby nam zesłał tę książkę. Otóż wysłuchał mnie i zsyła ją; patrz, oto jest«. Mówił to przepełniony radością i wdzięcznością dla Stwórcy, aż wkońcu rozpłakał się, jak dziecko. Zaiste, chyba nigdy żaden człowiek nie czuł większej wdzięczności, niż Atkins w tej chwili za dar, jaki mu przyniosłem, i chyba rzadko zdarza się widzieć tak wielką radość, pochodzącą z najszlachetniejszych pobudek.

Historya Atkinsa może być przykładem dla rodziców, jak trzeba dbać o dobre wychowanie dzieci, jak trzeba zaszczepiać w ich duszy gorącą wiarę i zasady religijnej moralności i jak nie trzeba rozpaczać i zrażać się, choćby były najkrnąbrniejsze i zdawały się zupełnie z tych nauk nie korzystać. Jestem przekonany, że gdyby nasz Atkins nie odebrał był w pierwszych latach dzieciństwa dobrego i religijnego wychowania, toby się nigdy potem tak gruntownie nie mógł był poprawić. Jeżeli ten dziki, złośliwy, okrutny człowiek stał się później tak wzorowym chrześcijaninem, to stało się to tylko dzięki zasadom, wpojonym niegdyś w niego przez ojca; odezwały się one w nim teraz i ułatwiły poprawę i zmianę sposobu życia.

Zuzia cieszyła się także, chociaż miała swoją własną bibliję, tylko zapakowaną jeszcze wraz z innemi rzeczami na statku. Kiedym już tyle powiedział o Zuzi, przytoczyć tu muszę jeszcze opowiadanie jej o męczarniach, jakie przeniosła, przymierając z głodu na owym okręcie. Czytelnicy przypomną sobie zapewne spotkanie nasze z angielskim statkiem bez masztów i stan, w jakim znaleźliśmy nieszczęśliwą osadę i nieszczęśliwszą jeszcze rodzinę, składającą się z matki, syna i ich służącej. Otóż rozmawiając raz z Zuzią, spytałem, czy pamięta, co się z nią działo wtedy, gdy patrzyła na umierającą swą panią i sama z głodu prawie umierała. Odpowiedziała, że pamięta wybornie i że mogłaby dokładnie opowiedzieć, jakich wtedy doświadczała uczuć. Prosiłem ją, aby mi opowiedziała, przez co wtedy przeszła, jeśli jej to wspomnienie nie zrobi wielkiej przykrości. Zgodziła się chętnie i mniej więcej temi słowy opowiedziała mi całe to nieszczęśliwe wydarzenie:

»Już od kilku dni dostawaliśmy bardzo mało pożywienia i zaczęliśmy uczuwać głód. Wkońcu dnia jednego zupełnie zaprzestano przysyłać nam jadła. Mieliśmy jeszcze tylko trochę cukru, wina i wody. Już pierwszego dnia wieczorem uczułam wielkie osłabienie, byłam przytem bardzo senna. Położyłam się w izdebce, wypiwszy poprzednio szklankę wina, i przespałam się trzy godziny. Zbudziłam się nieco pokrzepiona, ale zasnąć już nie mogłam. Około piątej z rana uczułam wielką czczość w żołądku i ponownie osłabłam. Nie mogłam zasnąć, ale i wstać nie miałam siły. Tak mi przeszedł dzień cały. Czułam na przemian wielki głód, osłabienie i wielkie nudności. Wieczorem wypiłam szklankę wody, poczem zasnęłam. Przyśniło mi się, że jestem w mieście na targu, gdzie mnóstwo znajduje się rozmaitej żywności, i że kupuję, co trzeba na obiad dla mojej pani; potem śniło mi się, że zjadłam obiad i byłam zupełnie syta. Wtem obudziłam się i przekonałam z żalem, że to był tylko sen. Wypiłam ostatnią szklankę wina, dodając cukru, aby było pożywniejsze, ale poszło mi tylko do głowy, wywołując wielki szum i zawrót; leżałam odurzona i jakby pijana. Noc spędziłam w śnie gorączkowym; majaczyły mi się różne dziwne widzenia. Z rana obudziłam się tak dalece głodna, że gdybym wtedy była matką i miała przy sobie małe dziecko, pożarłabym je niechybnie, nie wiedząc, co robię, byleby pozbyć się męczarni dręczącego mię głodu. Dwukrotnie dostawałam takiego napadu. Nie pamiętam dobrze, co się wtedy ze mną działo, ale mój młody pan opowiadał mi później, że wyglądałam na obłąkaną. W czasie jednego z takich napadów obłędu zerwałam się i chciałam biedz, ale noga mi się powinęła i upadłam, uderzając twarzą o róg łóżka, na którem leżała moja pani. Krew zaczęła mi płynąć z nosa, usiadłam więc na podłodze i pochyliłam się nad miednicą, na którą krew obficie spływała. To przywróciło mi przytomność; ustała

również paląca mnie poprzednio gorączka i czułam tylko wielkie osłabienie. Wkońcu zemdlałam i wszyscy myśleli, żem już umarła. Wkrótce przyszłam do siebie i czułam straszliwe, opisać się nie dające, bóle w żołądku. Nie było to kłucie lecz raczej okropne jakieś ciągnienie, przytem gwałtowna, coraz bardziej wzmagająca się, żądza pokarmu. Pod wieczór wypiłam szklankę wody z cukrem, ale żołądek widocznie cukru już nie znosił, bo natychmiast ją wyrzuciłam. Napiłam się więc czystej wody i ta została mi w żołądku. Ułożyłam się znów na posłaniu, serdecznie Boga prosząc, ażeby mnie zabrał z tego świata. Zasnęłam, mając nadzieję, że się już nie obudzę. Wkrótce jednak znów otworzyłam oczy; słabo mi było, czułam wielką czczość w żołądku i szczerze pragnęłam, żeby mię kto wrzucił do morza. Pani moja znosiła męki głodu daleko cierpliwiej odemnie. Ostatni kawałek chleba oddała synowi i zmusiła go gwałtem, aby go przełknął. Dzięki też tylko temu młody mój pan nie umarł. Nad ranem zasnęłam na chwilę. Obudziwszy się, poczęłam płakać, a później wpadłam znowu w szaleństwo. Biegałam po izdebce nieustannie i gdyby nie to, że moja pani jeszcze żyła, to, mimo całego przywiązania do niej, odgryzłabym jej z pewnością kawałek ciała i zjadła z takim smakiem, jakby to było zwyczajne mięso. Chciałam już odgryźć sama sobie kawałek ciała, gdy naraz zauważyłam na miednicy wodę zmieszaną z krwią, co mi wczoraj z nosa wypłynęła. Rzuciłam się na nią i wypiłam co do kropli z takim pośpiechem, jak gdybym się lękała, żeby mi jej kto nie odebrał. Wtedy oprzytomniałam nieco i ze zgrozą myślałam o tem, com zrobiła przed chwilą, a jednak zrobiło mi się lepiej. Wypiłam jeszcze trochę wody i, pokrzepiona cokolwiek, przetrwałam tak aż do wieczora. Był to już piąty dzień, spędzony bez żadnego pożywienia. Pod wieczór powróciły wszystkie dawne objawy. Wpadłam w senność, później obudziłam się i doznawałam z kolei: mdłości, bólów żołądka i gorączki, straciłam przytomność, płakałam, szalałam, a wreszcie zupełnie z sił opadłam i położyłam się pewna, że przecie teraz już umrę. W nocy nie mogłam zasnąć, żołądek miałam wzdęty i doświadczałam w nim strasznego kłucia. Nad ranem przywołał mnie na chwilę do przytomności głośny płacz młodego pana. Wołał on mnie mówiąc, że matka jego umiera. Zbliżyłam się do jej łóżka i zobaczyłam, że jeszcze oddycha, ale mało już w niej życia zostało. Dostałam wtedy tak okropnych kurczów żołądka, że było to gorsze od wszystkiego, com dotąd przechodziła, i nie potrafię wypowiedzieć, jakie wtedy przeniosłam męki. Wtem usłyszałam okrzyk majtków: »żagiel! żagiel!« Nie miałam oczywiście siły wstać, aby zobaczyć, co się dzieje. Pani moja i młody pan leżeli już prawie bez życia. Ludzie z osady okrętowej już od kilku dni wcale się o nas nie dowiadywali; sądzili podobno, że już nie żyjemy.

W takiem to położeniu znaleźliście nas, panie, i ocaliliście nam życie, a co potem zaszło, wiecie chyba lepiej odemnie.

Opowiadanie to wywarło na mnie silne wrażenie. Wprawdzie młodzieniec, uratowany od śmierci poświęceniem swojej matki, opowiadał mi także to, co wówczas przeszedł, ale nie skreślił tak żywo i dokładnie wszystkich męczarni głodowych. Służąca zdrowa, silnie zbudowana, gwałtowniej walczyła ze śmiercią i więcej przecierpiała, bo dłużej musiała wytrzymać bez jedzenia. Co się zaś tyczy biednej matki, ta umarła cicho, ratując życie synowi, i nikt nie wie, jakich uczuć doznawała przed śmiercią. To pewna, że gdybyśmy wówczas

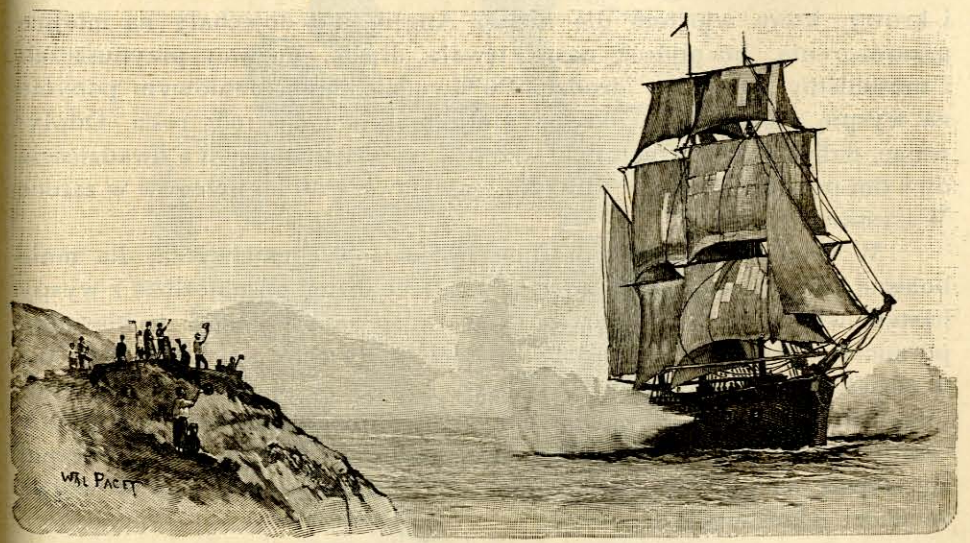

»Daliśmy pięć armatnich strzałów na pożegnanie« (str. 294).

nie spotkali owego statku i nie przyszli mu z pomocą, to nie tylko biedni podróżni, ale cała osada zginęłaby z głodu, bo znajdując się na pełnem morzu, o jakie pięćset mil od lądu, zkądżeby mogła dostać pożywienia?

Ale powracam do spraw mojej wyspy. Z różnych przyczyn postanowiłem nie pokazywać osadnikom wielkiej żaglowej łodzi, którą dla nich przywiozłem. Przybywszy na wyspę, zaraz się dowiedziałem, że niektórzy z nich skłonni są do kłótni i sporów; mając więc na usługi statek, mogliby go opanować i czynić na własną rękę wycieczki z krzywdą innych, albo też nawet zupełnie ztąd odjechać. Bardziej zaś jeszcze lękałem się, aby burzliwsi z pomiędzy nich nie zostali rozbójnikami morskimi i nie uczynili z mej wyspy przytułku złoczyńców.

Z tychże samych przyczyn nie zostawiłem osadnikom dwóch dział mimo, że je dla nich przywiozłem. Sądziłem, że są dostatecznie uzbrojeni przeciw możliwym napastnikom, a nie chciałem, aby zaczynali pierwsi wojnę czy to z dzikimi, czy to pomiędzy sobą. Gdyby mieli zaś statek i dwa działa, łatwoby mogła przyjść im do tego ochota mimo, że sprowadziliby w ten sposób najniezawodniej zupełną ruinę osad na wyspie.

Załatwiwszy pomyślnie wszystkie sprawy osadników, nie miałem już co robić na wyspie i mogłem spokojnie odjechać. Jeszcze przed odjazdem przyrzekłem przysłać im z Brazylii, jeżeli będę mógł, po kilka sztuk rozmaitego bydła, jako to: krów, owiec i świń. Cielęta i krowy, które wiozłem dla nich z Anglii, nie dojechały na miejsce przeznaczenia, bo podróż nasza trwała dłużej, niżeśmy przypuszczali i musieliśmy je zjeść w drodze. Po dwudziestupięciodniowym pobycie na wyspie wsiadłem na okręt w dniu piątym maja 1695 roku. Odpływając, daliśmy pięć armatnich strzałów na pożegnanie. We dwadzieścia dwa dni potem byliśmy w Brazylii, zawinąwszy do jej brzegów w zatoce Wszystkich Świętych.

W drodze spotkało mnie niespodziewane, a nadzwyczaj dla mnie bolesne, zdarzenie. A było to tak. Na trzeci dzień po odjeździe z wyspy nastała wielka cisza na morzu. Prąd zaczął unosić statek w kierunku północno-zachodnim. Ludzie nasi ujrzeli dwukrotnie jakiś ląd, nie wiedzieliśmy jednak, czy to był ląd stały, czy wyspa. Pod wieczór ujrzeliśmy na gładkiej powierzchni morza niedaleko lądu jak gdyby czarne jakieś plamy. Aby rozpoznać, coby to być mogło, wydrapał się sternik na główny maszt z lunetą. Po chwili zaczął z góry wołać, że widzi jakieś wojsko.

— Co mówisz? — zawołałem niecierpliwie — zkądżeby się tam wzięło wojsko?

— Jak mi Bóg miły! wojsko! — zawołał — cała flota! Może jakie tysiąc czółen płynie prosto ku nam!

Wiadomość ta zdziwiła mnie mocno, zaś synowiec mój, który pierwszy raz był w tych stronach i nie wiedział, co to być może, a właśnie świeżo tyle się był nasłuchał na wyspie o okrucieństwie dzikich, mruknął przez zęby, że dzicy schrupią nas na wieczerzę. Co prawda, to i ja lękałem się czegoś podobnego, zwłaszcza, że prąd unosił nas ku wybrzeżu, a zupełna cisza, panująca na morzu, nie dawała nam płynąć w przeciwnym kierunku. Ukryłem jednak niepokój i doradziłem synowcowi, aby kazał zarzucić kotwicę, jak tylko się okaże, że nie możemy uniknąć spotkania z dzikimi.

Dzicy płynęli szybko i mieli nas już za chwilę doścignąć; zarzuciliśmy więc kotwicę i zwinęli żagle. Wiedziałem, że jesteśmy tak

doskonale uzbrojeni, że Indyanie nie mogą nam nic zrobić. Lękałem się tylko, aby nam nie podpalili okrętu, rzucając gorejące głownie. Kazałem więc spuścić dwie łodzie, jedną z przodu, drugą z tyłu okrętu i umieściłem w nich po kilku ludzi dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych w duże wiadra na wodę. Gdyby pożar wybuchnął, możnaby go było natychmiast ugasić. Tak przygotowani, oczekiwaliśmy dzikich, którzy

»Trzy strzały przeszyły mu piersi« (str. 296).

też niebawem nadpłynęli. Wyglądali jak straszydła morskie, że aż przykro było na nich patrzeć. Pomylił się jednak nasz sternik w rachunku, bo czółen nie było więcej nad sto dwadzieścia sześć, oileśmy mogli policzyć. W większych czółnach było po szesnastu do siedemnastu, w mniejszych po sześciu do siedmiu wojowników. Zbliżywszy się, zdawali się być zdjęci podziwem na widok naszego statku; zapewne nigdy przedtem nie widzieli nic podobnego. Nie budziliśmy w nich jednak widocznie strachu, bo coraz bliżej okrążali nasz okręt.

Poleciliśmy wtedy ludziom siedzącym w łodziach, aby ich za blizko nie dopuszczali.

Ten to rozkaz wplątał nas mimo naszej woli w rozprawę z Indyanami. Gdy kilka wielkich czółen podpłynęło, ludzie nasi odepchnęli je wiosłami, dając ręką znak, aby i reszta się cofnęła. Dzicy zrozumieli i odpłynęli, ale w tejże chwili wypuścili na nas kilkaset strzał i zranili jednego z naszych majtków. Mimo to nie kazałem jeszcze strzelać. Rzuciliśmy tylko kilkanaście desek do łodzi, aby się niemi majtkowie zasłonili, gdyby dzicy znowu z łuków strzelać zaczęli.

W pół godziny potem wszystkie łodzie zbliżyły się znów do naszego statku i okrążyły go od przodu. Mogliśmy się przypatrzeć im dokładnie. Po chwili cofnęli się a potem znowu podpłynęli z boku okrętu, zbliżając się przytem tak bardzo, że słyszeliśmy wyraźnie ich głosy. Krzyknąłem na naszych ludzi, aby się pokryli i nie narażali na strzały a trzymali działa w pogotowiu; nadto kazałem Piętaszkowi, aby zapytał dzikich w ich języku, czego chcą od nas. Chłopak wybiegł na pokład i spełnił moje polecenie, ale ci niegodziwi barbarzyńcy wypuścili w tejże chwili kilkaset strzał i biednego mego Piętaszka śmiertelnie zranili. Trzy strzały przeszyły mu piersi, reszta spadła około niego na pokład.

Śmierć mego ukochanego wychowanka, wiernego towarzysza w doli i niedoli, taki żal wzbudziła w mem sercu i wprawiła mnie w gniew tak szalony, że natychmiast kazałem dać ognia ze wszystkich dział ustawionych z tego boku okrętu. Wystrzelono odrazu z pięciu dział, nabitych kartaczami, a z czterech grubemi kulami. Sprawiło to taki popłoch i takie spustoszenie między dzikimi, że natychmiast rozpraszać się i uciekać zaczęli. Rannych i zabitych mieli bardzo wielu, a kilkanaście czółen przedziurawionych poszło na dno odrazu. Czułem taką do nich nienawiść za zamordowanie Piętaszka, że wystrzelałbym ich chętnie co do jednego. Słychać było straszne ich krzyki i widać było zamęt wśród nich nieopisany. Ratowali się, jak mogli, uciekając w czółnach, a inni wpław płynąc do brzegu. Jeden z rozbitków płynął tuż koło naszego okrętu. Nasi ludzie wciągnęli go na pokład i zabraliśmy go z sobą. Tego samego wieczora powiał wiatr dla nas pomyślny; rozwinęliśmy więc żagle i popłynęliśmy do Brazylii.

Zabrany przez nas jeniec tak był przerażony, że słowa nie można było z niego wydobyć. Nie chciał przytem nic jeść. Obawiając się, aby nie zamorzył się głodem, kazałem go zabrać do łodzi, grożąc, że jeśli nie zmieni postępowania, to go do morza wrzucimy. Ponieważ sama groźba nie pomogła, przeto wrzucono go istotnie do wody. Indyanin płynął jak korek za łodzią, coś krzycząc. Domyślając się, że prosi o ratunek, zabrali go nasi ludzie napowrót, bo zresztą chcieliśmy

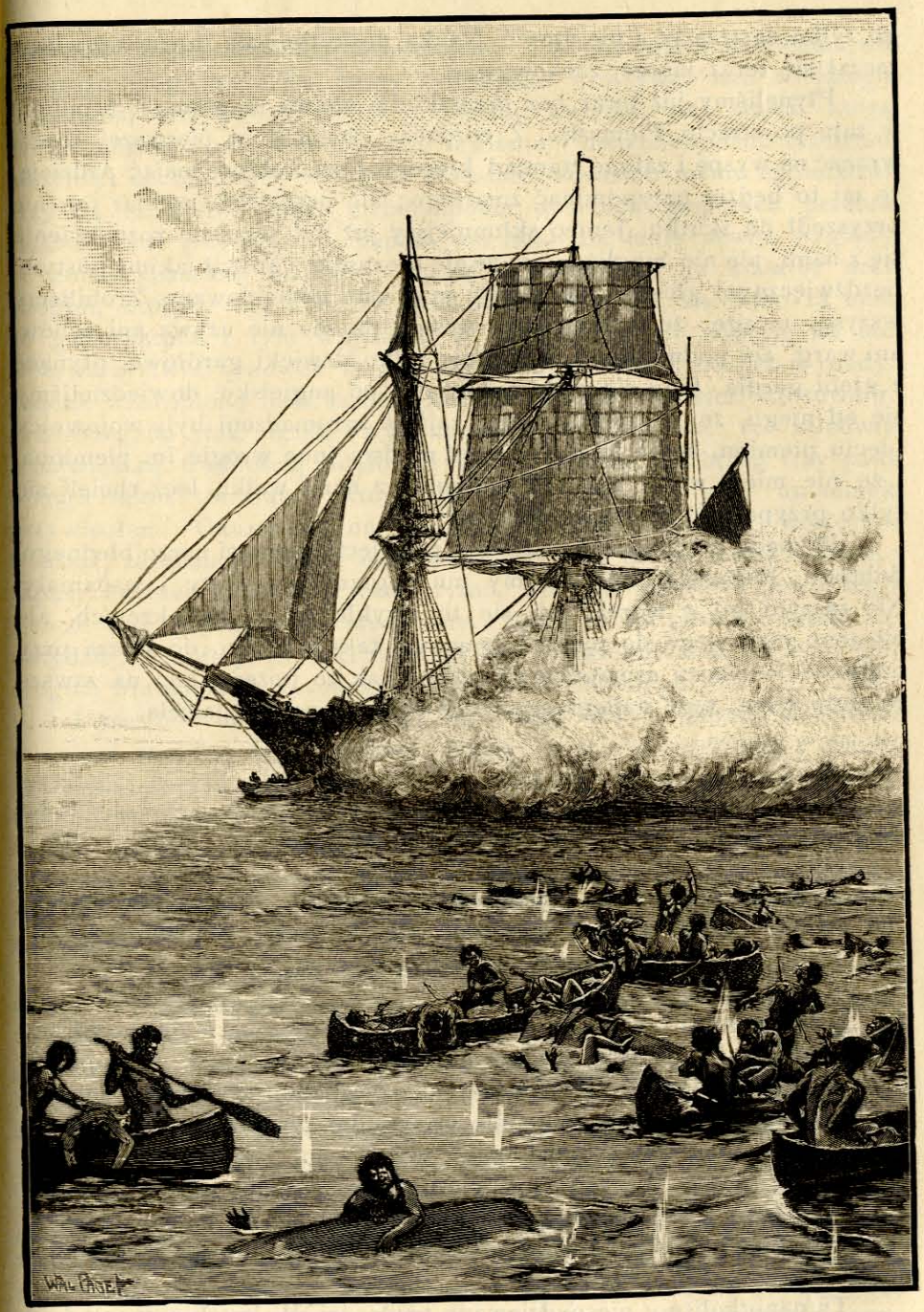

»Wystrzelono z wszystkich dział ustawionych z tego boku okrętu« (str. 296).

go tylko nastraszyć a nie utopić. Nauka poskutkowała, bo rzeczywiście zaczął się teraz inaczej zachowywać.

Płynęliśmy już teraz bez przeszkody, ale nie mogłem się uspokoić w żalu po stracie Piętaszka. Z rozpaczy chciałem w pierwszej chwili wracać na wyspę i zabrać ztamtąd którego z osadników, mając nadzieję, że mi to będzie przypominać zmarłego; ale oczywiście zamiar ten nie przyszedł do skutku. Jeniec skłonniejszy już był teraz do rozmówienia się z nami, ale nie mogliśmy go wcale zrozumieć. Mówił jakimś pustym, bezdźwięcznym głosem, jak gdyby miał usta zakneblowane. Zrobiliśmy wszyscy uwagę, że wymawiając wyrazy prawie nie używa ani zębów, ani warg, ani podniebienia, a wydaje tylko dźwięki gardłowe, płynące z głębi gardła. Gdy się poduczył trochę po angielsku, dowiedzieliśmy się od niego, że w czasie owego zajścia zgromadzeni byli wojownicy pięciu plemion, które miały uderzyć na dwa inne wrogie im plemiona, i że nie mieli wcale zamiaru stoczenia z nami walki, lecz chcieli się tylko przypatrzeć naszemu okrętowi.

Wypada mi jeszcze kilka słów poświęcić pamięci mego biednego, dobrego, Piętaszka. Sprawiliśmy mu pogrzeb uroczysty i wspaniały. Nie zaszyto go w worek, jak się to zwykle dzieje na okrętach, ale włożono ciało jego do pięknej trumny i tak wrzucono do morza przy odgłosie jedenastu armatnich strzałów. Tak to pożegnałem na zawsze to złote serce, tego najlepszego, najwierniejszego przyjaciela.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Przybycie do Brazylii. — Niegościnne przyjęcie. — Wysyłam statek na swoją wyspę, a sam puszczam się do Indyj Wschodnich. — Przygoda na Madagaskarze.

Odtąd mieliśmy stale wiatr pomyślny. W dwanaście dni po zajściu z dzikimi ujrzeliśmy po raz pierwszy ląd pod piątym stopniem południowej szerokości. Były to północno-wschodnie wybrzeża Ameryki południowej. Płynęliśmy następnie cztery dni wzdłuż brzegów, okrążyliśmy przylądek św. Augustyna, a w trzy dni później zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Wszystkich Świętych, w miejscu, gdziem już raz był wylądował z kapitanem portugalskim po ucieczce mojej z niewoli maurytańskiej i zkąd na swoje nieszczęście znów później w świat się puściłem.

Tu napotkaliśmy niespodziewane trudności. Wskutek rozporządzeń miejscowej władzy nie pozwolono żadnemu z nas wysiadać na ląd i stykać

się w jakikolwiek sposób z mieszkańcami. Nie pomogło wstawiennictwo dawnego mego spólnika, który żył jeszcze i zażywał tam wielkiego poważania, ani dwóch moich przyjaciół, kupców, ani sława, którą zawdzięczałem cudownemu swemu ocaleniu i dwudziestoośmioletniemu pobytowi na bezludnej wyspie. Wreszcie dawnemu memu spólnikowi przyszła szczęśliwa myśl uwiadomienia o moich kłopotach przeora klasztoru św. Augustyna. Kapłan ten miał dla mnie pewne względy za hojną jałmużnę udzieloną niegdyś przezemnie na klasztor oraz ubogim, którymi się klasztor opiekował. Wstawił się więc za mną do gubernatora i tyle wyjednał, że pozwolono mi wysiąść na ląd w towarzystwie synowca mego, kapitana, i kilku starszych z osady. Jednak wzbroniono nam surowo zabierać z sobą przywiezione towary. Przestrzegano tak ściśle wykonania tego przepisu, że zaledwie z największą trudnością udało mi się wyładować na brzeg trzy paki z angielskimi towarami, które dla mego spólnika jako upominek przywiozłem. Okazał się on nie mniej hojnym odemnie i wcale nie wiedząc, że mam go zamiar obdarować, przysłał mi na statek rozmaite zapasy świeżej żywności, wino, tytoń, smażone owoce i prócz tego jeszcze trzy piękne złote medaliony. Ale i ja nie potrzebowałem się wstydzić, bo moje podarunki składały się z cienkiego sukna angielskiego, drogich brabanckich koronek i płótna holenderskiego.

Uprosiłem mego spólnika, aby zajął się w porcie złożeniem w całość wielkiej żaglowej łodzi, którą na sztuki rozebraną z Anglii zabrałem. Za kilka dni była już zupełnie do żeglugi gotowa. Wtedy nakupiłem różnych potrzebnych i przyobiecanych już moim osadnikom rzeczy i bydląt, naładowałem niemi mój mały statek i oddałem go pod komendę doświadczonego sternika. Dałem mu dokładne wskazówki, jak ma jechać do wyspy; poznał ją też bez trudu i dowiózł wszystko szczęśliwie.

Na ów mały statek przysiadł się jeszcze jeden z majtków naszej załogi. Przypatrzywszy się mojej wyspie, zapragnął na niej osiąść. Czyniąc zadość prośbie, zaopatrzyłem go w listy do hiszpańskiego gubernatora, polecając go jego opiece i prosząc o wydzielenie mu kawałka gruntu, oraz narzędzi rolniczych. Człowiek ten, bywalec i doświadczony, nadawał się bardzo dobrze na osadnika, bo gospodarował już przed laty w Ameryce, w Marylandzie, a prócz tego zabawiał się jakiś czas korsarstwem. Przydałem mu jeszcze za towarzysza indyjskiego jeńca, prosząc listownie hiszpańskiego gubernatora, aby także i temu wydzielił kawałek ziemi. W ostatniej chwili przyłączyła się jeszcze do nich, namówiona do tego przez mego spólnika, rodzina portugalska, składająca się z ojca, matki i dwóch córek, oraz trzy kobiety portugalskie, które spólnik mój nakłonił do tej podróży, mając nadzieję, że

się z niemi Hiszpanie pożenią. Statek mój przybył szczęśliwie na miejsce przeznaczenia, witany radośnie przez mieszkańców. Z nowo przybyłymi ludność wyspy dochodziła już teraz do siedemdziesięciu osób. Po powrocie do Anglii zastałem tam listy od wszystkich znajomych mi osadników. Listy te zabrał był z sobą ów sternik, wracając do Brazylii, a ztamtąd odesłał mi je przez Lizbonę do Anglii mój spólnik.

Nie wiele już mam do powiedzenia o swojej wyspie; zato dalszy ciąg mego dziennika zawierać będzie opis nowych moich przygód.

Niepoprawny szaleniec, mimo podeszłego wieku, mimo przebytych nieszczęść, puściłem się na nowe, niebezpieczne wyprawy i nowych znowu doznałem niepowodzeń. Nie było żadnego rozsądnego powodu, abym miał płynąć do Indyj Wschodnich. Pojechałem tam jednak, postąpiwszy jak ów człowiek, co nie popełniwszy żadnej zbrodni, udał się do więzienia i poprosił, aby go zamknięto i trzymano o głodzie i chłodzie. Należało mi było przedewszystkiem postarać się o to, aby rząd angielski przyłączył tę wyspę do brytańskiego państwa i zapewnił jej swą opiekę. Następnie powinienem był nająć mały statek w Anglii, zabrać nań wszystko, czego osadnikom nie dostawało i co było potrzebne do należytego zagospodarowania na wyspie, prosto tam popłynąć, osiedlić się, sprowadzić na wyspę więcej ludzi, pozakładać porządne osady i dostatecznie je zabezpieczyć oraz nawiązać stósunki handlowe z moją ojczyzną. Tego wymagał zdrowy rozsądek. Ale umysł mój był opętany widokami dalekich podróży w nieznane kraje i nie dbał o korzyści i dochody, jakiebym był mógł mieć z wyspy. Rozkoszowałem się myślą, że jestem samowładnym panem tych kilkudziesięciu biednych osadników i że jako dobry ojciec mogę ich potrzeby szczodrze zaspokoić. Ani mi nawet na myśl nie przyszło poddawać moją wyspę jakiemukolwiek rządowi. Zostawiłem ją tak, jak ją zastałem, bezpańską i do nikogo nie należącą. Osadnicy niczyjej nad sobą władzy nie uznawali. Ja jeden miałem u nich pewną powagę, ale to tylko dzięki osobistej ich względem mnie wdzięczności. Gdybym był wtedy wśród nich pozostał, mógłbym rzeczywiście mieć na nich wpływ zbawienny. Ale ja odpłynąłem i pożegnałem ich na zawsze.

W pięć lat potem miałem o nich jeszcze wiadomości przez mego spólnika, który posyłał im parę razy rozmaite ładunki. Z listów tych dowiedziałem się, że Atkins umarł, Hiszpanie odpłynęli, a reszta osadników tylko niechętnie trzymała się na miejscu. Inaczejby było, gdybym był został na wyspie. Lecz ja goniłem na starość za nowemi mrzonkami i zamiast zająć się szczerze przyszłością i pomyślnością ludzi, których los opiece mojej powierzył, a których w dziecinnej próżności lubiłem nazywać swoimi poddanymi, puściłem się w nowe podróże, aby zadowolnić niczem nienasyconą ciekawość.

Człowiek jest wogóle stworzeniem krótkowidzącem i najmędrszy nawet nie może przewidzieć przyszłości, ani też być pewnym, czy wybrał sobie właściwą drogę życia. Cóż dopiero, kiedy działa bez zastanowienia się, pod wpływem tylko zachcianek swoich i namiętności! Tak ja jednak postępowałem od młodości, a w usposobieniu tem dotrwałem dotąd. Lecz drogi Opatrzności tak są niezbadane, że nawet z błędów naszych wynikają niekiedy zbawienne skutki, zgodne z tajnymi wyrokami Boskiej sprawiedliwości. Zresztą nie będę się już tu zastanawiał, czym źle lub dobrze uczynił, udając się znów w podróż daleką, dość, żem wsiadł na okręt płynący do Indyj Wschodnich.

Miałem jeszcze raz sposobność powrócić do Europy, bo młody mój przyjaciel, ksiądz, odpływał do Lizbony na statku portugalskim. Przez chwilę skłaniałem się ku temu, żeby mu towarzyszyć, ale ostatecznie popłynąłem z synowcem. W podróży tej doznałem wielu jeszcze przygód i nieraz miałem sposobność składać dzięki Najwyższemu za cudowną pomoc i wybawienie. Zapewne lepiejby mi było siedzieć sobie spokojnie w kraju i odpoczywać na stare lata; gdybym tak jednak uczynił, nie poznaliby nigdy czytelnicy moi dalszego ciągu przygód i podróży Robinzona Kruzoe.

Z Brazylii popłynęliśmy prosto przez Ocean Atlantycki do przylądka Dobrej Nadziei. Wiatr mieliśmy dość pomyślny, a choć niejedna burza zakłóciła nam podróż, to jednak widocznie musiałem już wycierpieć wszystkie przeciwności na morzu, bo teraz już żadnej nowej nie doświadczyłem; zato czekało ich mnie niemało na lądzie.

Na statku naszym płynął z towarami nadzorca ładunku. Był on pełnomocnikiem kupców i zawierał na ich rachunek wszystkie umowy handlowe, to jest kupował i wymieniał towary i t. p. W czynnościach tych pomagał mu mój synowiec, kapitan, ja zaś nie mieszałem się do niczego. Na przylądku Dobrej Nadziei nabraliśmy świeżej wody i nie zatrzymując się wcale, płynęliśmy do wybrzeży Koromandelu. Dowiedzieliśmy się, że tą samą drogą popłynęły przed kilku dniami okręty francuskie, dwa wielkie kupieckie i jeden wojenny, uzbrojony w pięćdziesiąt dział. Obawiałem się nieco spotkania z nimi, bo była wtedy wojna między Anglią i Francyą. Na szczęście nie spotkaliśmy ich i nie słyszeliśmy już o nich wcale.

Z przylądka udaliśmy się prosto na wyspę Madagaskar, znaną z dzikości i przebiegłości swych mieszkańców. Ludzie ci uzbrojeni w dzidy i łuki strzelają bardzo celnie, groźnymi więc są przeciwnikami w czasie wojny. Z nami jednak postępowali zupełnie przyjaźnie. Za rozmaite błyskotki, jako to: nożyki, zwierciadełka, paciorki, przyprowadzili nam jedenaście tucznych byczków. Mieliśmy wyborne świeże mięso na razie, resztę nasoliliśmy, chowając na drogę.

Musieliśmy zabawić tam czas jakiś. Lubiłem zawsze dokładnie zwiedzać każdy nowo poznany kraj, to też robiłem ciągłe wycieczki na ląd. Jednego wieczora wylądowaliśmy na wschodniem wybrzeżu wyspy. Krajowcy, zgromadzeni tłumnie, przyglądali się nam ciekawie, jakkolwiek z przyzwoitej odległości. Nie lękaliśmy się napadu, bo łączyły nas z nimi stósunki jak najprzyjaźniejsze; handlowaliśmy z nimi ciągle, wymieniając rozmaite przedmioty. Poznawszy miejscowe zwyczaje, zawieraliśmy zwykle przed rozpoczęciem wymiany towarów rodzaj układów pokojowych. Wysiadłszy na ląd, ścinało się trzy gałęzie i zatykało je w ziemię przed sobą. Znaczyło to, że chcemy zawrzeć przyjaźń z miejscową ludnością. Ci na dowód zgody wtykali ze swej strony również po trzy gałęzie i wtedy już można było liczyć na pewno, że pokój będzie dotrzymany. Trzeba jednak było przestrzegać ściśle warunków tej umowy, to jest nie wychodzić z bronią w ręku po za linię oznaczoną trzema gałęziami. Przestrzeń między jedną a drugą linią, oznaczoną gałęziami, przeznaczona była na prowadzenie handlu. Chcąc tam wejść, trzeba było pierwej broń złożyć: dzicy zatykali swe piki w ziemię obok gałęzi, nasi ludzie rzucali strzelby. Owego wieczora wszystko odbyło się, jak zazwyczaj, a chociaż mnóstwo ludzi zgromadziło się niedaleko nas, nie zwracaliśmy na to wcale uwagi, bo zawarliśmy pokój, a wiedzieliśmy, że krajowcy dotrzymują rzetelnie zawartej umowy. Wszystko odbyło się jak najlepiej. Dzicy przynosili nam mleko, owoce i rozmaite inne zapasy, my dawaliśmy im zato różne drobnostki. Wkońcu ludzie nasi zabrali się do urządzenia namiotu z gałęzi i postanowili tu przenocować.

Sam nie wiedząc dlaczego, nie miałem wówczas ochoty nocować na brzegu; wolałem wrócić do wielkiej łodzi, która niedaleko od brzegu stała na kotwicy. Na posłaniu z żagli zasnąłem wkrótce bardzo smacznie. Około drugiej godziny po północy zbudził mnie krzyk przeraźliwy; zerwałem się. Pokazało się, że to nasi ludzie wołali o pomoc krzycząc, abyśmy na miłość Boga przybijali jak najprędzej z łodzią do brzegu, jeżeli ich jeszcze przy życiu zastać chcemy. Następnie usłyszałem strzały. Ludzie nasi strzelili trzykrotnie, czemu się nie dziwiłem, wiedząc, że krajowcy tutejsi więcej są oswojeni z palną bronią, niż Indyanie amerykańscy i nie uciekną za pierwszym strzałem. Ruszyliśmy natychmiast z łodzią do brzegu, w sam czas jeszcze, aby przyjąć uciekających naszych ludzi. Było ich wszystkich dziewięciu. Tylko pięciu miało strzelby, reszta pałasze i pistolety. Siedmiu dostało się do łodzi, z tego dwóch ciężko rannych; dwóch zaś brakowało. Dzicy strzelali z łuków bez przerwy; gdyby się to działo za dnia, wystrzelaliby nas byli co do jednego. Daliśmy do nich kilka razy ognia z łodzi i prawdopodobnie raniliśmy wielu, bo słyszeliśmy jęki i krzyki. Mimo to nie cofali się

i stali w bojowym szyku na brzegu, oczekując, zdaje się, dnia, aby nas powybijać.

Byliśmy w bardzo trudnem położeniu; żaden z nas nie mógł się wysunąć z poza zasłony urządzonej na prędce z kilku desek, żeby podnieść kotwicę, gdyż każdy, coby się poza nią wychylił, padłby niechybnie, strzałą ugodzony. W tej ostateczności, chcąc zwrócić na siebie uwagę naszych ludzi na okręcie, zaczęliśmy strzelać na trwogę. Synowiec mój, kapitan, usłyszawszy te strzały, kazał zaraz podnieść kotwicę, zbliżył się ku nam, ile mógł, poczem wysłał nam natychmiast na pomoc dziesięciu ludzi na łodzi. Wołaliśmy na nich, ażeby byli ostrożni

»Daliśmy do nich ognia z łodzi« (str. 302).

i zbliżali się do nas zajeżdżając z tyłu, bo tylko w ten sposób łódź nasza zasłoni ich od pocisków. Tak też zrobili, a jeden z nich, skoczywszy niepostrzeżenie w wodę i ciągnąc za sobą linę, dopłynął do nas i uwiązał ją na dzióbie naszej łodzi. Wtedy przecięliśmy naszą linę od kotwicy i ruszyliśmy z miejsca, holowani przez tamtych. Tak uszliśmy szczęśliwie. Wkrótce potem znajdowaliśmy się już na pokładzie naszego statku, bezpieczni od strzał nieprzyjacielskich. Wówczas rozkazał sam kapitan strzelić do dzikich kilka razy kartaczami, co straszne spustoszenie musiało sprawić w ich szeregach.

Zachodziliśmy w głowę, co mogło być przyczyną tego niespodziewanego napadu. Nadzorca ładunku, człowiek bardzo doświadczony i obeznany ze zwyczajami krajowców, utrzymywał, że musiał być jakiś

z naszej strony do tego powód, bo dzicy dochowują zwykle bardzo wiernie zawartych umów. Wkońcu przypomnieliśmy sobie, że w czasie wzajemnych odwiedzin przyszła do nas jakaś stara kobieta z córką czy wnuczką, że jeden z naszych majtków miał z niemi jakiś zatarg, źle się obszedł z dziewczyną i jakąś krzywdę jej wyrządził, ale zdawało się nam, że sprawa została załagodzona. Tymczasem widocznie stara kobieta, czując się skrzywdzoną, podjudziła na nas całą ludność miejscową i sprowadziła całe to zajście. Tak to często złe obyczaje, złe zachowanie się jednego, sprowadza nieszczęście na cały ogół.

W rozprawie tej straciliśmy dwóch ludzi. Jeden zginął w chwili, gdy wybiegł z namiotu; o losie drugiego, tego właśnie, co był sprawcą zajścia, nic nie mogliśmy się dowiedzieć. Nikt go nie widział padającego; nie powracał jednak, zginął bez wieści. Dwa dni czekaliśmy na niego u wybrzeży. Wysłana umyślnie łódź krążyła koło miejsca, gdzie odbyła się walka, dawaliśmy mu znaki ze statku, wszystko na próżno!

Na trzeci dzień po wypadku postanowiłem bądź co bądź dostać się na brzeg i dowiedzieć się, co się z nim stać mogło. Doczekawszy się nocy, wziąłem ze sobą dwudziestu tęgich marynarzy. Przybiliśmy przed północą do brzegu, tam właśnie, gdzie się odbyła walka. Umyślnie wybrałem to miejsce, mając nadzieję, że odnajdę jakieś ślady, mogące mi posłużyć za wskazówkę. Miałem też zamiar schwytać żywcem kilku dzikich, aby ich potem wymienić za naszego marynarza, w razie gdyby pozostawał w niewoli. Wysiedliśmy cicho na brzeg i podzieliliśmy się na dwa oddziały; jednym dowodził sternik, drugim ja. Postępowaliśmy ostrożnie, jeden oddział za drugim. Było cicho, ciemno choć oko wykol i nic nie można było odróżnić. Sternik szedł naprzód i potknął się o trupa; widocznie tutaj stali dzicy. Postanowiliśmy czekać księżyca. Ukazał się w jakie pół godziny; przy tem świetle ujrzeliśmy trzydzieści dwa trupy, zresztą ani śladu żywych ludzi. Obaczywszy to, chciałem już wracać na statek, przekonany, że Tomasz Dżefrej, tak się nazywał zagubiony marynarz, dawno już musiał zginąć. Innego zdania był sternik i jego ludzie. Oświadczyli mi, że postanowili napaść niespodzianie na czarne psy, jak nazywali Madagassów, zniszczyć ich osadę i uwolnić Tomasza Dżefreja. Nie pytali mię wcale o pozwolenie, oświadczając, że takie to już ich niezmienne postanowienie, i chcieli mię tylko namówić, bym szedł razem z nimi. Rozumiałem wybornie, jak niebezpieczną jest taka wyprawa, uważałem przytem, że osada kupieckiego okrętu powinna mieć na względzie głównie interesy handlowe, a nie awanturnicze wycieczki. Na nic się jednak moje słowa nie zdały. Widząc, że nic nie poradzę, rozkazałem tylko moim ludziom, żeby się cofnęli ku łodzi. Ale ci wypowiedzieli mi posłuszeństwo, gdyż koniecznie chcieli iść razem z towarzyszami. Oświadczyli mi, że nie jestem

właściwie ich dowódzcą, i opuścili mnie wszyscy, przechodząc pod komendę sternika. Pozostał ze mną tylko jeden majtek, oraz nadzorca ładunku i chłopak strzegący łodzi. Jeszcze raz próbowałem wstrzymać tych szaleńców, strasząc, że może ich spotkać los Tomasza Dżefreja. Nic to nie pomogło; odpowiedzieli mi z właściwą marynarzom lekkomyślnością i przechwałkami:

— Oho! Nic się nam nie stanie! Powrócimy wszyscy cali i zdrowi, i jeszcze Tomasza przyprowadzimy z sobą.

— Ależ zastanówcie się, — mówiłem jeszcze — że nie macie prawa narażać w ten sposób okrętu i całej osady. Zobowiązaliście się pilnować ładunku kupców, którzy was najęli; nieuczciwość to będzie z waszej strony, jeźli go nie dowieziecie na miejsce przeznaczenia.

Ale na próżno tylko traciłem słowa; uwagi moje odbiły się o ich upór, jak groch o ścianę. Z równym skutkiem mógłbym był przemawiać do wielkiego masztu. Odeszli w stronę wioski dzikich, prosząc, abym się nie gniewał, i upewniając, że powrócą za małą godzinkę. Odeszli i trzeba przyznać, że wykonali swój szalony zamiar z wielką odwagą i przezornością. Uzbrojeni byli doskonale. Każdy miał strzelbę z bagnetem i pistolet; wielu prócz tego miało noże i toporki. Nieśli też z sobą kilkanaście granatów do rzucania z ręki. Słowem, był to hufiec dzielny, jak mało, i doskonale uzbrojony, ale też wybrał się na szaloną i niebezpieczną wyprawę. Z początku kierowała nimi głównie chęć rabunku; spodziewali się mianowicie zdobyć w tej wycieczce dużo złotego piasku i złota w sztabkach. Jednak nieprzewidziane okoliczności wywołały w nich uczucie zemsty i do takiej doprowadziły ich wściekłości, że wyzuli się z wszelkich ludzkich uczuć i postąpili sobie jak wcielone szatany.

Doszedłszy do pierwszych chat, położonych o pół mili od brzegu, przekonali się, że nie była to owa wielka wieś, którą chcieli znaleźć, ale mała osada. Zaczęli się więc naradzać, czy napaść na osadę, czy też pominąć ją i iść dalej. Ostatecznie ruszyli dalej, szukając drogi. Uszedłszy kilkaset kroków, zobaczyli krowę przywiązaną do drzewa; przyszło im na myśl, że zwierzę to może im być przewodnikiem. Odwiązali ją i patrzeli, gdzie pójdzie, przekonani, że jeśli się nie uda do małej osady, to musi należeć do któregoś z mieszkańców wsi i może ich tam zaprowadzić. I rzeczywiście krowa poszła prosto do dużej i ludnej wsi. Wszystko było pogrążone w głębokim śnie, bo oczywiście nikt nie przewidywał napadu. Śmiałkowie nasi znowu się naradzili i postanowili podzielić się na trzy oddziały, podłożyć ogień w trzech miejscach naraz, potem napaść na ratujących się z pożaru, powiązać opornych, przetrząść wszystkie domy, szukając Tomasza Dżefreja, a przy tej sposobności obłowić się porządnie i zrabować, co się da.

Przedtem jeszcze chcieli dobrze poznać położenie, by się przekonać, czy uda się plan ten wykonać bez zbyt wielkiego narażenia się z ich strony. Kroczyli więc w milczeniu przez ulice, gdy nagle kilku z nich, co szli na przodzie, poczęli wołać: »Tomasz Dżefrej! Tomasz Dżefrej!« Głos ich brzmiał takiem okropnem przerażeniem, tak był dziwny, że wszystkich zdjęła nieopisana trwoga. Pobiegli na wskazane miejsce i znaleźli w istocie Tomasza, ale w jakim stanie! Nieszczęśliwy wisiał na drzewie za rękę do gałęzi uwiązany, zupełnie nagi, z poderżniętem gardłem. Drzewo rosło obok jakiegoś wielkiego domu, należącego widocznie do znakomitszych krajowców.

Widok zarżniętego towarzysza wzbudził w naszych ludziach taki wściekły gniew, że zaprzysięgli nikogo żywcem z rąk nie wypuścić; ale mimo uniesienia i żądzy zemsty umieli się pohamować i cicho, bez żadnego hałasu zabrali się do dzieła.

W jednej chwili podłożyli ogień w kilku miejscach, sypiąc proch na nizkie dachy, kryte sitowiem i palmowemi liśćmi. Pożar wybuchł w mgnieniu oka. Przestraszeni mieszkańcy wybiegali z domów, chcąc się ratować ucieczką. Wtedy rzucali się na nich nasi ludzie i mordowali bez litości. Szczególniej zażarci byli na dom, przed którym wisiał na drzewie Tomasz Dżefrej. Było to, zdaje się, mieszkanie naczelnika osady i jego otoczenia. Sternik stanął u drzwi i toporem położył na miejscu pierwszego, co się we drzwiach ukazał. Nie poprzestając na tem, rzucił do wnętrza domu granat, a ten, pękając, pokaleczył i pozabijał dużo ludzi. Rozległy się straszne jęki i krzyki. Mieszkańcy próbowali uciekać przez okna, ale i tam czyhała na nich dłoń zabójcza. Wkońcu płonący dach załamał się i spadł na głowy nieszczęśliwych, tłumiąc na zawsze ich jęki. Dotąd nasi nie używali jeszcze palnej broni, nie chcąc hukiem ściągnąć na miejsce walki większej ilości dzikich. Gdy jednak pożar zbudził wszystkich mieszkańców, skupili się nasi w jedną gromadę i strzelali nieustannie do uciekających z płomieni, nie przepuszczając żadnemu; przytem zagrzewali się wzajemnie, wołając: »To za Tomasza — wspomnijcie Tomasza Dżefreja«.

Gdy się to działo, ja i moi dwaj towarzysze patrzyliśmy z niepokojem na widną z daleka łunę, nie wiedząc, coby to miało znaczyć. Widział ją także mój synowiec, kapitan, a gdy w dodatku usłyszał strzały, zadrżał o los mój i całego oddziału. Nie bacząc więc, jak niebezpiecznie zostawiać statek tak słabo osadzony, zebrał trzynastu ludzi i wsiadł wraz z nimi do łodzi, śpiesząc mi na pomoc. Zdziwił się bardzo, ujrzawszy mnie z dwoma tylko towarzyszami, i pytał, gdzie reszta? Nie mogłem go dokładnie objaśnić. Tymczasem łuna rosła, a wystrzały powtarzały się coraz częściej. Mnie samemu trudno

już było usiedzieć na miejscu, zaś kapitan chciał natychmiast biedz swoim ludziom na pomoc. Przedstawiałem mu, że sam nie powinien się narażać jako kapitan okrętu, od którego zależy los całej osady i ładunku i chciałem go zastąpić. Nie chciał jednak o tem słyszeć i wołał, że za żadne skarby w świecie nie zostawi swoich ludzi bez pomocy, a odpowiedź swą zakończył słowy: »Niech licho porwie wszystkich kupców, okręty i ładunki; nie opuszczę swoich marynarzy, choćbym sam miał zginąć«. I wysłał dwóch majtków z łodzią do okrętu, aby jeszcze dwunastu

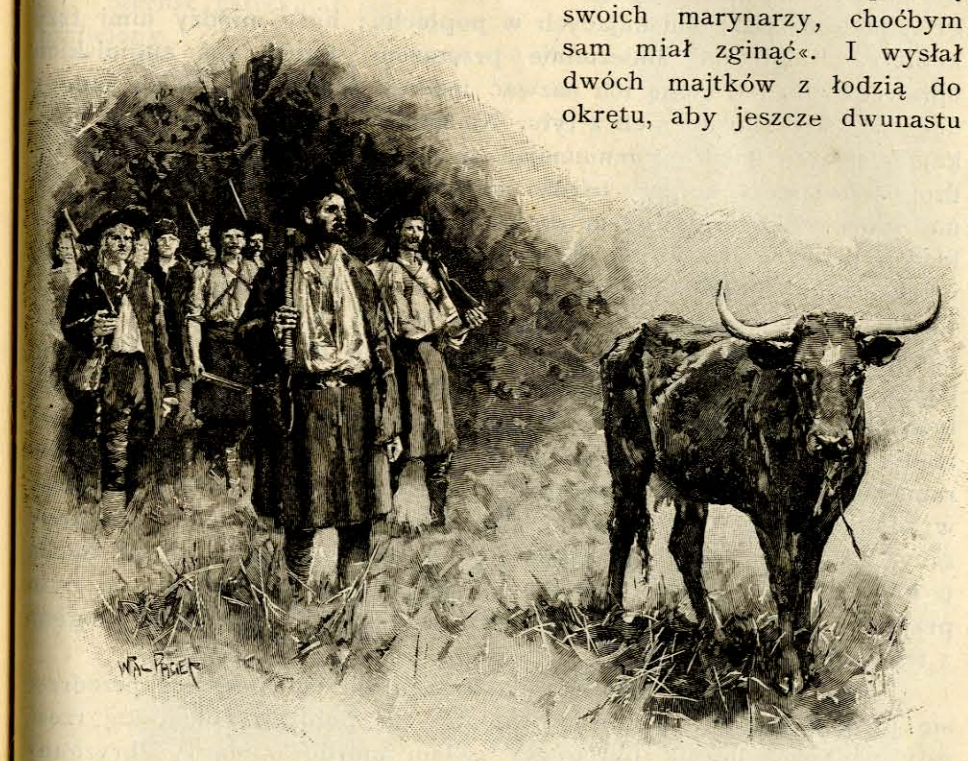

»Krowa zaprowadziła ich do wsi« (str. 305).

ludzi przywieźli. Szesnastu pozostało dla pilnowania okrętu, sześciu przy dwóch łodziach a reszta poszła z nami w stronę, zkąd dochodził zgiełk bitwy, bo i ja nie chciałem już pozostać bezczynnym.

Szliśmy w kierunku łuny i doszliśmy wkrótce do pustoszonej wsi. W miarę, jakeśmy się do niej zbliżali, dochodziły nas coraz to dziksze krzyki. Huk strzałów mieszał się z jękami mordowanych i konających ofiar. Czytałem ja nieraz opisy zdobywanych miast, strasznych mordów i rzezi, ale zupełnie co innego czytać, a co innego patrzeć na własne oczy. To też nigdy nie zapomnę strasznych obrazów, jakiem wówczas widział, i scen okropnych, których byłem świadkiem.

Na samym wstępie ujrzałem zburzoną chatę a raczej jej zgliszcza, wśród których leżały strasznie spalone trupy czterech mężczyzn i trzech kobiet. Naokoło widzieliśmy tak straszne obrazy zniszczenia, przykłady tak okrutnego znęcania się nad bezbronnymi, że wierzyć nie chcieliśmy, że to nasi ludzie dopuszczali się takich okrucieństw. Chciałem się wkońcu dowiedzieć, co właściwie zaszło, jaki szatan opętał naszych marynarzy i pobudził do tak dzikiego okrucieństwa. Idąc dalej, spotkaliśmy gromadkę dzikich, uciekających w popłochu; były między nimi trzy kobiety. Biegli oni śmiertelnie przerażeni, trzech zaś angielskich oprawców, bo nie mogę ich nazwać inaczej, ścigało ich, a nie mogąc dogonić, strzelało do nich z tyłu. Na nasz widok zatrwożyli się uciekający jeszcze bardziej, mniemając, że nowy nieprzyjaciel zachodzi im drogę. Zwłaszcza kobiety bardzo się przeraziły, a dwie z nich upadły na ziemię. Oburzony byłem do głębi duszy, i gdyby trzej angielscy kaci byli bliżej, strzeliłbym do nich niechybnie. Pokazaliśmy na migi uciekającym, że nie chcemy im robić krzywdy; zrozumieli i zbliżyli się do nas natychmiast, a padłszy na kolana, wzywali naszej opieki. Zacząłem wołać na naszych ludzi, aby raz już dali pokój tej gonitwie i przestali mordować bezbronnych. Wziąłem też pod opiekę gromadkę tych biedaków, a gdym do nich bliżej przystąpił, obaczyłem straszliwe rzeczy. Wielu z nich miało strasznie poparzone nogi wskutek przedzierania się przez ogień, inni ręce sobie popiekli, a dwie kobiety wpadłszy w płomienie, poparzyły sobie całe ciało. Niektórzy mieli głębokie rany, zadane nożami angielskich oprawców, a jeden wyzionął ducha u nóg moich. Chciałem się dowiedzieć od tych biedaków, co było przyczyną zajścia; pokazywali mi coś na migi, ale nie wiele mogłem z tego zrozumieć.

Oburzony postępowaniem naszych ludzi, chciałem już przedrzeć się przez płomienie i zmusić ich, aby raz położyli koniec tej rzezi, gdy nadbiegł sternik okrętowy, szałem mordu opętany, zbryzgany krwią, prawie nieprzytomny, a nie poznawszy nas wcale, leciał dalej, wydając okrzyki tryumfu. Zatrzymaliśmy go przemocą. Wtedy spostrzegł kapitana i zawołał radośnie:

— Kapitanie! szlachetny kapitanie! jakże to dobrze, żeś przybył. Pomożecie nam dokończyć dzieła, a sporo nam jeszcze zostało roboty. Musimy tych nędzników wyrżnąć co do jednego. Przysięgliśmy ani jednego przy życiu nie zostawić. Wybijemy ich tylu, ile nasz biedny Tomasz miał włosów na głowie! Wytępimy całe to plemię przeklęte!

Już chciał zabierać się do dalszych mordów, nie zważając na nasze przedstawienia i prośby. Wtedy zbierając wszystkie siły, krzyknąłem do niego rozgniewany:

— Zbójco nikczemny! Nędzny okrutniku! Ani kroku dalej, jeśli ci życie miłe! Jeżeli poważysz się tknąć jeszcze któregokolwiek z tych biedaków, zastrzelę cię, jak psa!

Sternik zatrzymał się, zdziwiony.

— Panie! — rzekł — chyba nie wiecie, co się stało! Nie będziecie nam tego wszystkiego brać za złe, gdy obaczycie, co oni z Tomaszem Dżefrejem zrobili — i pokazał mi biednego chłopca, wiszącego na gałęzi.

Wyznaję, że na ten widok i we mnie gniew

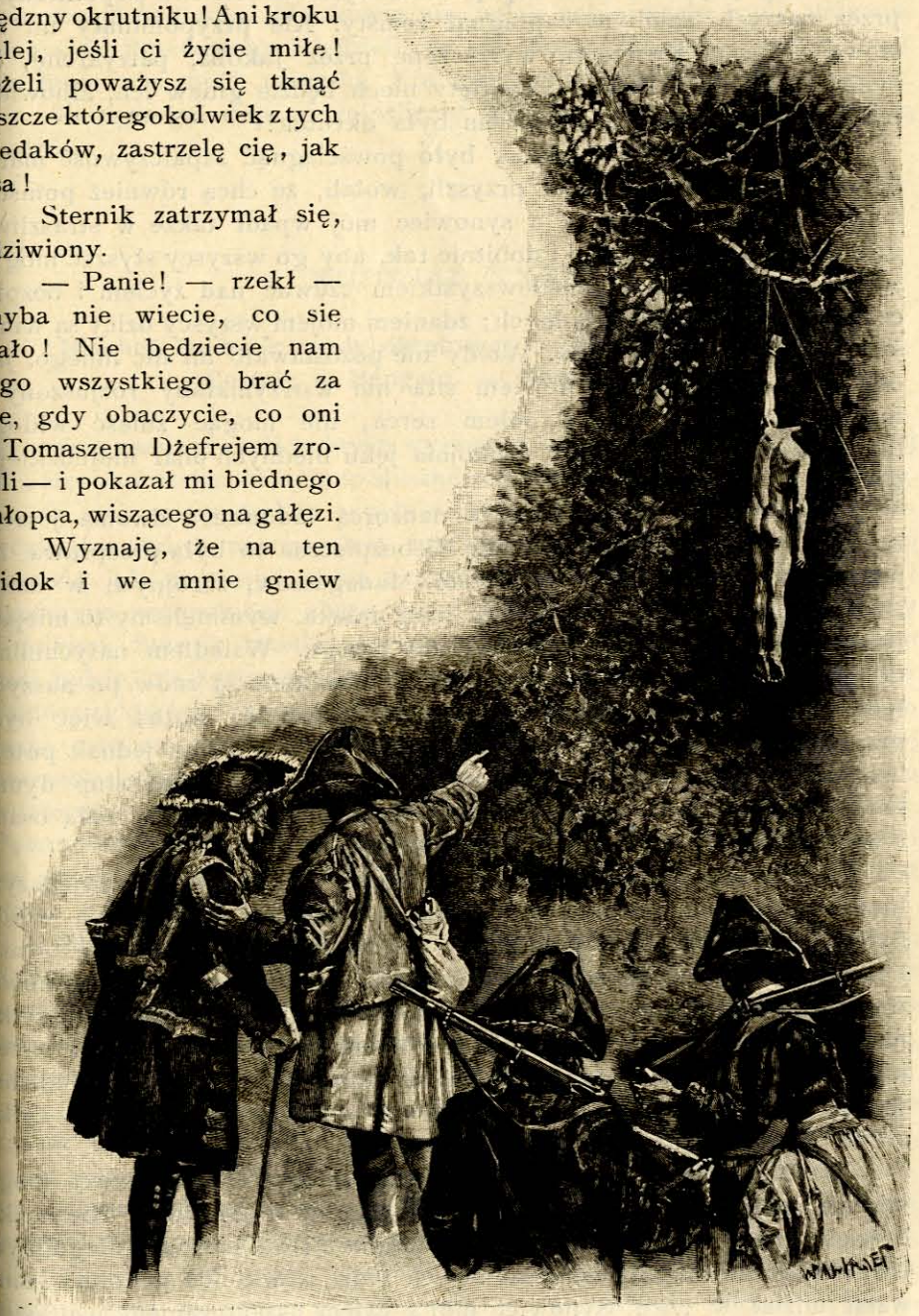

»Pokazał mi chłopca wiszącego na gałęzi«

zakipiał i gdybym nie widział poprzednio tylu okrucieństw popełnionych przez naszych, sambym zapragnął zemsty. Ale przypomniały mi się słowa z Pisma Świętego, wyrzeczone przez Jakóba, patryarchę, do synów Szymona i Lewi: »Przeklęty niech będzie gniew ich, albowiem był dziki, i zemsta ich, albowiem była okrutna!«

Niepodobieństwem jednak było powściągnąć zapalczywość marynarzy. Ci, co teraz z nami przyszli, wołali, że chcą również pomścić śmierć swego towarzysza, a synowiec mój wpadł także w straszliwy gniew i powiedział głośno i dobitnie tak, aby go wszyscy słyszeć mogli: »Jako kapitan muszę przedewszystkiem czuwać nad życiem i bezpieczeństwem swoich podwładnych; zdaniem mojem wszyscy dzicy są winni śmierci Tomasza Dżefreja«. Wtedy nie pozostawało mi nic innego, jak oddalić się; żadna już bowiem siła nie wstrzymałaby rozjuszonych marynarzy. Odszedłem z bólem serca, nie mogąc znieść widoku takich mordów, ani słuchać spokojnie jęku biednych ofiar nieludzkiego gniewu.

Szedłem do łodzi razem z nadzorcą ładunku i dwoma jeszcze ludźmi, ktorzy przy mnie zostali. Niebezpieczna to była przeprawa, bo już dniało, a może ze czterdziestu Madagassów, zbrojnych w dzidy i łuki, stało na drodze. Ujrzawszy ich z daleka, wyminęliśmy to miejsce i jakoś bez przypadku doszliśmy do brzegu. Wsiadłem natychmiast do łodzi i odpłynąłem do statku, zkąd odesłałem ją znów po naszych ludzi. Łuna zbladła i huk wystrzałów przycichł, można więc było przypuszczać, że walka się skończyła. W pół godziny jednak potem usłyszałem znów strzały i ujrzałem wznoszący się czarny słup dymu. Dowiedziałem się później, że ludzie nasi podpalili jeszcze małą osadę i wymordowali niemal wszystkich mężczyzn.

Dokonawszy dzieła zniszczenia wracali marynarze w największym nieporządku i nie zachowywali żadnej ostrożności. Gdyby ich wtedy byli Madagassi napadli, pokonaliby bez trudności tę bezładną gromadę i pomścili klęskę. Nie stało się jednak nic podobnego. Zuchwała nocna wycieczka taki postrach rzuciła na wszystkich mieszkańców, że nie tylko napastować, ale bronić się wcale nie śmieli. Setki ich uciekały przed kilku białymi. Nadto posiadanie palnej broni dawało naszym ludziom wielką przewagę; to też żaden z nich nie był nawet ranny i jeden tylko zwichnął nogę a drugi poparzył nieco ręce.

Bardzo byłem rozgniewany na całą załogę, a do synowca mego miałem wielki żal za zachowanie się jego w tej sprawie. Nie tylko bowiem nie zrobił on nic dla położenia kresu mordom niegodnym chrześcijan, ale niemal zachęcał swych ludzi, a wkońcu podobno i sam wziął udział w rzezi. Synowiec mój z całem uszanowaniem usprawiedliwiał się potem przedemną, że sam czuje, iż nierozważnie postąpił,

ale że na widok tak okrutnie zamordowanego marynarza nie mógł zapanować nad sobą. Majtkowie nie zadali sobie wcale trudu uniewinniania się przedemną; wiedzieli, że nie jestem ich przełożonym i bać się mnie nie mieli powodu. Nie zważali też na mój gniew wcale.

Następnego dnia podnieśliśmy kotwicę i ruszyliśmy w dalszą podróż.

ROZDZIAŁ XXXV.

Niechęć ku mnie osady okrętowej. — Rokosz na statku. — Zostaję w Bengalu. — Nowa podróż.

Ludzie nasi nie czuli żadnych wyrzutów sumienia z powodu dokonanej rzezi, uważając, że była to słuszna zemsta za śmierć Tomasza Dżefreja. Co się mnie tyczy, byłem zupełnie innego zdania. Nie taiłem się z tem wcale i codzień powtarzałem im głośno, że postąpili sobie w tej sprawie jak zwyczajni zbóje i mordercy i że to Tomasz Dżefrej był przyczyną wszystkiego złego, gdyż pierwszy złamał warunki umowy z dzikimi. Sternik bronił oczywiście swej sprawy, twierdząc, że nie nasi ludzie, ale krajowcy złamali zawarte przymierze, napadłszy w nocy i zabiwszy dwóch ludzi z osady, że zatem należało ich ukarać. W każdym razie całe to zajście było przestrogą, iż nie należy bez koniecznej potrzeby lądować na wybrzeżach zamieszkanych przez dzikie ludy; bo ostatecznie nasza własna nieostrożność ściągnęła na nas to nieszczęście. Powtarzałem jednak wciąż naszym ludziom, że Bóg nie pobłogosławi im w tej podróży i że ich ukarze za popełnione okrucieństwa. Jakoż słowa moje ziściły się wkrótce.

Okręt nasz płynąć miał naprzód do zatoki Perskiej, a ztamtąd do Koromandelu, po drodze zaś wstąpić do Suratu. Głównym jednak celem podróży miały być wybrzeża zatoki Bengalskiej a następnie Chiny, bo takie polecenie otrzymał od kupców londyńskich nasz dozorca ładunku, umocowany do prowadzenia handlu.

Pierwsze niepowodzenie spotkało nas w zatoce Perskiej na brzegu arabskim. Zaledwie pięciu naszych ludzi wysiadło tam na ląd, natychmiast otoczyli ich Arabowie i uprowadzili w niewolę, pozabijawszy tych, co się bronili. Patrzyli na to marynarze pozostali w łodzi, ale nie mogli przyjść towarzyszom z pomocą i ledwie sami uciekli przed pogonią. Nie omieszkałem wtedy zwrócić ich uwagi, że wypadek ten jest słuszną karą za rzeź na Madagaskarze; ale sternik odparł mi na to z gniewem, że chociaż jestem tak biegły w Piśmie Świętem, to jednak

zapomniałem co mówi św. Łukasz w rozdziale trzynastym, przytaczając słowa naszego Zbawiciela, że ci, na których runęła wieża w Syloe, nie byli wcale większymi grzesznikami od innych ludzi mieszkających w Jeruzalem. I rzeczywiście żaden z zabitych i pojmanych przez Arabów nie należał do owej morderczej wyprawy na Madagassów.

I tak przy każdej sposobności usiłowałem dać uczuć naszym marynarzom całą nieludzkość ówczesnego ich postępowania, aby doprowadzić ich do skruchy i poprawy. Ale usiłowania te skończyły się jak najgorzej dla mnie samego i wtrąciły mię na nowo w trudne i przykre położenie.

Sternik jako najwinniejszy najwięcej się zwykle obrażał mojemi uwagami. Otóż dnia jednego przyszedł do mnie z zuchwałą miną i oświadczył mi, że zdaniem jego za często wywlekam całą tę przeklętą sprawę madagaskarską; on i towarzysze jego nie myślą dłużej słuchać niesłusznych zarzutów; nie jestem ich komendantem, ani przełożonym i nie mam żadnego prawa mieszać się do ich postępowania i ciągle ich ganić; dodał wkońcu, że cała załoga, podejrzywając mnie o zamiar oskarżenia jej przed sądami angielskimi, postanowiła nie ścierpieć dłużej mojej obecności na statku, a zatem albo ja muszę ustąpić, albo oni wszyscy opuszczą okręt.

Wysłuchałem cierpliwie całej tej przemowy a potem spokojnie i stanowczo odpowiedziałem, że nie przestanę nigdy uważać rzezi wyprawionej na Madagaskarze za czyn haniebny i ani teraz ani później nie odwołam raz wypowiedzianego o tem zdania bez względu na to, czy się to komu podoba, czy nie. Do wszelkich innych spraw osady mieszać się nie chcę mimo, że mam do tego prawo, jako spółwłaściciel okrętu i znacznej części ładunku. Ale zastrzegam sobie swobodę wypowiadania swoich przekonań i tego mi nikt zabronić nie może. Sternik nic nie odpowiedział i odszedł. Myślałem więc, że na tem skończyła się cała sprawa.

Znajdowaliśmy się właśnie wtedy w jednej przystani bengalskiej. Ponieważ zawsze lubiłem zwiedzać nieznane mi jeszcze kraje, przeto pewnego dnia wysiadłem tam na ląd razem z nadzorcą ładunku. Pod wieczór mieliśmy wracać na statek i chciałem już wsiadać do łodzi, gdy w tem zaszedł mi drogę jeden z majtków i oświadczył, że ma polecenie nie dopuścić mnie napowrót do łodzi.

— Któż ci to wydał ten rozkaz? — spytałem zdumiony.

— Sternik — brzmiała odpowiedź.

Nic na to nie odrzekłszy, zwróciłem się do nadzorcy ładunku z uwagą, że prawdopodobnie wybuchnie na statku rokosz. Prosiłem go więc, aby wsiadł na pierwszą lepszą łódkę i udał się na statek dla zawiadomienia o tem i przestrzeżenia kapitana. Ale troska moja oto

była zbyteczna, bo rokosz już tymczasem wybuchnął. Opowiadano mi później, że skorom tylko wsiadł do łodzi i odpłynął, udali się wszyscy podoficerowie osady ze sternikiem na czele do kapitana, prosząc o posłuchanie. Gdy się kapitan ukazał, miał sternik długą przemowę do niego, a trzeba wiedzieć, że hultaj był bardzo wymowny. Powtórzył mu wtedy w nieco odmiennych wyrazach wszystko, co mnie niedawno był powiedział i dodał, że byłoby to dla nich rzeczą niemiłą wydalać mię ze statku gwałtem; ale skoro go już dobrowolnie opuściłem i znajduję się obecnie na lądzie, to trzeba mnie tam zostawić, unikając gwałtów i zajść niemiłych na okręcie; zresztą, jeżeli powrócę na statek, to cała załoga wypowie posłuszeństwo kapitanowi i wszyscy go opuszczą. Gdy skończył, zgromadzeni naokoło majtkowie, jak gdyby na komendę, zawołali: »Tak, tak, wszyscy co do jednego!«

Synowcowi memu nie zbywało na odwadze i przytomności umysłu; nie zląkł się więc tego niespodziewanego zajścia, lecz odpowiedział spokojnie i z zimną krwią, że nic nie może postanowić, dopóki się ze mną nie porozumie. Na to wszyscy jeszcze raz zakrzyknęli, podając sobie ręce, że jeżeli tylko się pokażę na statku, to oni go natychmiast opuszczą. Synowiec mój był w trudnem położeniu. Wielkie miał obowiązki względem mnie a zresztą i przywiązany był do mnie; z drugiej strony nie mógł znowu zostać na statku bez ludzi, bo naraziłby tem siebie i ładunek na wielkie niebezpieczeństwo. Zaczął przeto tłómaczyć buntownikom, że nie może spełnić ich żądania, bo jestem jego stryjem, dobroczyńcą i rzeczywistym właścicielem tego statku i wypędzić mię z niego znaczyłoby tyle, co wyrzucić gospodarza z własnego jego domu. Jeśli chcą statek opuścić, to przeszkodzić temu nie może, ale uprzedza, że wróciwszy do Anglii na tym, czy innym okręcie, odpowiadać będą przed sądem za niedotrzymanie umowy i rokosz. Wezwał ich wkońcu, aby się rozsądnie zastanowili nad tem, co robią, a on tymczasem popłynie na brzeg dla porozumienia się ze mną i poprosił sternika, aby mu towarzyszył, by jakoś tę sprawę załagodzić. Ten jednak odmówił, powtarzając, że nie chce nic mieć do czynienia ze mną ani na lądzie ani na morzu.

Zobaczywszy synowca, ucieszyłem się bardzo, bo zaczynałem się lękać, aby butownicy nie przymusili go do podniesienia kotwicy i odpłynięcia, zostawiwszy mnie na obcej ziemi bez rzeczy i pieniędzy, w położeniu rozpaczliwem. To też, gdy mi opowiedział całą sprawę, prosiłem, aby się nie martwił i względami na mnie nie krępował, lecz zostawił mię tutaj, a przysłał mi tylko moje rzeczy i pieniądze. Upewniłem go, że mając grosz, dam sobie radę i znajdę sposób dostania się do Anglii. Aczkolwiek sprzeczne to było z jego wolą, musiał się jednak synowiec mój zgodzić na ten układ i powróciwszy na statek,

oświadczył osadzie, że stryj jego dobrowolnie pozostaje w Bengalu, nie chcąc przebywać dłużej w towarzystwie tak nieuczciwych ludzi. W kilka godzin potem odesłał mi rzeczy, pieniądze i moją część ładunku, a pożegnawszy się ze mną serdecznie, kazał podnieść kotwicę i rozwinąwszy żagle, odpłynął z osadą już zupełnie uspokojoną.

Zostałem więc sam jeden w obcym kraju. Z dziwnem uczuciem patrzyłem na oddalający się okręt, z którego mię wyrzucono jak złoczyńcę. Nie żałowałem jednak swojej szczerości mimo, że stała się przyczyną teraźniejszego mojego, bardzo niepewnego, położenia, i powtarzałem sobie w duszy, że postąpiłbym tak samo, gdybym się powtórnie w podobnych znalazł okolicznościach. Znajdowałem się teraz o kilka tysięcy mil dalej od ojczyzny, niż wtedy, gdym był na bezludnej wyspie. Wprawdzie mogłem powracać do Europy lądem, ale byłaby to podróż niezmiernie długa i uciążliwa. Musiałbym w takim razie jechać doliną rzek Gangesu a potem Indusu do Suratu, potem morzem do Bassory w zatoce Perskiej u ujścia Eufratu, ztamtąd brzegiem tej rzeki z karawanami do Alepu i Iskanderun, zkąd już mógłbym się dostać morzem do Włoch, a ztąd do Francyi i wkońcu do mej ojczyzny. Mógłbym też wsiąść na jakiś okręt angielski należący do Kompanii wschodnio-indyjskiej. Byłaby to najwygodniejsza droga, lecz wiedziałem, że niełatwo jest wyjednać sobie przyjęcie na taki statek, nie znając dobrze kapitana, lub jakiego agenta tej kompanii.

Synowiec mój, pragnąc o ile możności osłodzić mi to wygnanie, zostawił mi swego służącego i nakłonił pisarza okrętowego, aby mi także towarzyszył. Umieściliśmy się wszyscy trzej w domu jednej Angielki, gdzie dużo mieszkało Europejczyków, zwłaszcza Francuzów i Włochów; między nimi był też jeden Anglik. Było mi tam bardzo dobrze i wygodnie, to też nie śpieszyłem z powrotem do Anglii i spędziłem dziewięć miesięcy na rozmyślaniu, dokąd się udać i jaką obrać drogę. Miałem z sobą znaczny zapas towarów angielskich, nie brakowało mi też pieniędzy, bo synowiec mój hojnie mię pod tym względem zaopatrzył. Towary korzystnie sprzedałem, a za otrzymane pieniądze kupiłem dyamentów, bo były tanie, a przytem towar to łatwy do przewiezienia. Snułem rozmaite plany powrotu, żadnego jednak stanowczo wybrać nie mogłem, bo nie nadarzała się do tego sposobność.

W ciągu pobytu w domu owej Angielki bardzo się zaprzyjaźniłem z jednym angielskim kupcem; miewaliśmy z nim nieraz długie rozmowy o kraju. Dnia jednego rzekł on do mnie: Kochany ziomku, przyszła mi jedna myśl, która może i tobie się spodoba. Znajdujemy się tu obaj, ty przypadkiem, ja z dobrej woli, przedzieleni tysiącami mil od naszej ojczyzny. Skoro jednak losy nas tu zagnały, korzystajmyż ze sposobności, bo trzeba ci wiedzieć, że w tym kraju doskonałe można robić

interesy i dużo zarobić pieniędzy. Złożywszy się we dwóch, najmiemy sobie przyzwoity okręcik, ty zostaniesz kapitanem, ja nadzorcą ładunku i popłyniemy naprzykład do Chin, bo po co tu mamy pleśnieć? Cały Boży świat jest w ruchu, wszystkie ciała niebieskie i wszystkie ziemskie stworzenia: dla czegoż my jedni mamy pozostawać bezczynni? Próżniacy są trądem ludzkości, dla czegóż mamy się do nich zaliczać?

Rada ta bardzo mi się podobała, zwłaszcza, że nadawała mi się znowu sposobność odbycia nowej podróży, a wiadomo, że wałęsając się po świecie, czułem się najbardziej w swoim żywiole. Zaraz przeto zabraliśmy się do roboty. Przygotowania zabrały nam sporo czasu. Naprzód wyszukaliśmy odpowiedni statek, potem zajęliśmy się zebraniem osady, co nie było rzeczą tak łatwą. Najęliśmy ludzi różnych narodowości: porucznik, artylerzysta i sternik byli Anglikami, cieśla Holendrem, trzech starszych majtków Portugalczykami; resztę osady zwerbowaliśmy pośród Indyan.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Wyprawy kupieckie. — Skradziony statek. — Biorą nas za korsarzy. — Przygoda w Kochinchinie.

Tylu już podróżników opisywało drogę, którąśmy obecnie przebywali, że nie mam ochoty powtarzać tu znanych powszechnie szczegółów. Dość, że popłynęliśmy na Sumatrę a ztamtąd do Syamu, gdzie zakupiliśmy duży zapas araku i opium. Towar ten powieźliśmy do Chin i sprzedaliśmy go tam ze znacznym zyskiem, bo zwłaszcza opium było bardzo poszukiwane i drogo za nie płacono. Po ośmiu miesiącach wróciliśmy do Bengalu. Podróż ta udała się nam wyśmienicie, zarobiliśmy dużo i gdybym był o jakie dwadzieścia lat młodszy, kto wie, czybym nie został nadal w Bengalu dla prowadzenia handlu. Ale za stary już byłem na to, nigdy zresztą nie goniłem bardzo za groszem, a tembardziej teraz, kiedy go miałem aż nadto na zaspokojenie swych potrzeb. Zato nie wygasła we mnie dotąd stara chętka podróżowania i ciekawość poznawania coraz to nowych krajów i ludzi, ani ten duch niespokojny, co nie pozwalał mi usiedzieć na miejscu. Ilekroć byłem w podróży, marzyłem o powrocie do domu; w domu tęskniłem za nowemi podróżami. Znalazłszy się obecnie w części świata, zupełnie sobie nieznanej, o której jednak tyle się w Anglii nasłuchałem, chciałem zwiedzić wszystkie jej osobliwości, bym mógł o sobie powiedzieć, żem wszystko widział na świecie, co godne widzenia.

To też raczej przez ciekawość zgodziłem się na tę podróż, a nie dla prowadzenia zyskownego handlu. Zupełnie inne usposobienie miał mój spólnik; ten stworzony był na kupca. Nie chodziło mu zgoła o jakieś osobliwości, a ta tylko podróż była dla niego ciekawa i przyjemna, która mu przynosiła zyski. Nie mówię tego zresztą dla poniżenia jego a wywyższenia siebie; zaznaczam tylko, żeśmy mieli zupełnie różne zapatrywania i usposobienia.

Otóż ten mój nowy przyjaciel ułożył plan wycieczki na wyspy holenderskie i hiszpańskie dla zakupna różnych korzeni, osobliwie gwoździków. Byłbym wolał odbyć podróż zbliżającą mnie bardziej do stron rodzinnych, ale spólnik mój potrafił przełamać moją niechęć. Przygotowania nie zabrały nam wiele czasu, bo raz co postanowiwszy, lubiłem już potem działać pośpiesznie. Tymczasem nie zapuściliśmy się tak daleko, jakeśmy zamierzali, i byliśmy tylko na wyspach Jawie, Borneo i innych, a zakupione korzenie, mianowicie gwoździki i gałki muszkatołowe, sprzedaliśmy po powrocie do Bengalu perskim kupcom. Cała podróż zajęła nam pięć miesięcy; zarobiliśmy ogromnie, bo prawie pięciokrotnie. Gdyśmy robili rachunki, rzekł do mnie mój przyjaciel z uśmiechem:

— A co? czy nie lepiej zarobić porządny grosik, jak na uczciwego kupca przystało, niż wałęsać się pomiędzy poganami i zaprzątać sobie głowę badaniem ich ciemnoty i dzikości?

— Być może, że masz słuszność — odrzekłem na to — zaczynam nabierać ochoty do handlu; ale ostrzegam cię, przyjacielu, że jak ja się już do tego zabiorę, to tak gorąco, że i ty nawet nie dotrzymasz mi pola, bo taka już moja natura, że jeżeli co robię, to całą duszą.

Wkrótce po tej naszej rozmowie przybył z Batawii do Bengalu duży kupiecki okręt holenderski. Rozeszła się pogłoska, że na owym okręcie panowały rozmaite choroby i wielu ludzi poumierało, wskutek czego kapitan, nie mogąc zebrać dostatecznej ilości majtków do obsługi w dalszej drodze, chce statek sprzedać, a sam, dorobiwszy się już majątku, ma zamiar powrócić do Europy. Poszliśmy obaj obejrzeć ten statek. Mimo, że był nieco za wielki, podobał się nam, to też kupiliśmy go bez targu. Mieliśmy ochotę zatrzymać resztę pozostałej osady, ale marynarze rozeszli się zaraz po sprzedaniu okrętu i nie można ich było odszukać. Dowiedzieliśmy się później, że udali się do Agra nad Gangesem, a ztamtąd przez Surat do zatoki Perskiej. W pierwszej chwili bardzo się tem zmartwiłem; zdawało mi się, że byli to ludzie dzielni i dobrze wyćwiczeni, sądziłem więc, że doskonale nam usłużą. Dopiero w kilka dni dowiedziałem się, co to były za ptaszki i że sam Pan Bóg uchronił nas od bliższej z nimi znajomości. Ten, co udawał kapitana, był to sobie zwyczajny artylerzysta okrętowy;

prawdziwy kapitan zginął był przed kilku dniami w jakiejś potyczce z Malajami. Po śmierci kapitana jedenastu z załogi postanowiło sprzedać okręt na swoją korzyść mimo, że nie był ich własnością. Gdy porucznik okrętowy i kilku uczciwych marynarzy sprzeciwiało się temu zamiarowi, wysadzili ich ci hultaje z okrętu na najbliższem wybrzeżu a sami popłynęli do Bengalu, gdzie dokonali tej nieuczciwej sprzedaży. Nie podejrzywając nic złego, kupiliśmy okręt od samozwańczego kapitana i zapłaciwszy mu gotówką, uważaliśmy się oczywiście za

»Nie znam was, panie, lecz mam wam coś ważnego do powiedzenia« (str. 318).

prawowitych właścicieli. Mniemany kapitan okazał nam akt kupna okrętu sfałszowany, jak się to potem pokazało; ale my nic nie podejrzywając, o nic więcej nie pytaliśmy ani też nie badaliśmy szczegółowo majtków, nie mogliśmy zatem wiedzieć, że nas wywiedziono w pole. Zebrawszy więc nową osadę z kilkunastu Anglików i Holendrów, puściliśmy się na Wschód, a mianowicie do wysp Filipińskich i Moluckich, gdzie przez lat sześć prowadziliśmy handel korzeniami z wielkiem powodzeniem.

Pewnego razu postanowiliśmy udać się do Syamu, a naładowawszy tam okręt ryżem, popłynąć do Chin. W podróży tej, płynąc przez cieśninę

Malacką, bardzo niebezpieczną drogę morską, mieliśmy niepomyślne wiatry, wskutek czego okręt nasz, burzą miotany, uległ uszkodzeniu. Zatkawszy otwór naprędce, musieliśmy się potem zatrzymać dla gruntownej naprawy w jakiej większej przystani; zarzuciliśmy tedy kotwicę w ujściu wielkiej rzeki Kambodży. Była to wielka przystań, do której różne statki zawijały. Można tam było okręt z łatwością dokładnie naprawić i żywności nakupić. Staliśmy tam już kilka dni, często na wybrzeże się udając. Gdym raz był na brzegu, zbliżył się do mnie jakiś marynarz angielski, który służył na okręcie Kompanii Indyjskiej, stojącym na kotwicy niedaleko na rzece, i rzekł do mnie tajemniczo:

— Choć nie znam was, panie, mam przecież coś ważnego do powiedzenia. — Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Cóż to być może? — rzekłem.

— Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo, a widzę, że go wcale nie przeczuwacie.

— Jakież to może być niebezpieczeństwo? Chyba to, że nasz okręt przecieka, ale o tem sami wiemy i właśnie zamierzamy go naprawić.

— Panie! — rzekł Anglik — nie radziłbym się bawić w żadne naprawki, bo o pięć mil ztąd, wyżej na rzece, stoją dwa wielkie statki angielskie i trzy holenderskie i podobno już wiedzą, że tu jesteście.

— A cóż to mnie może obchodzić?

— Ależ, panie, w waszem położeniu trzebaby naprzód wiedzieć, z jakiemi okrętami macie się spotkać w przystani, zwłaszcza, że przecie nie potraficie im dać rady.

— Dlaczegóż mam się obawiać angielskich lub holenderskich okrętów? Wcale nie rozumiem, czego właściwie chcecie odemnie.

— Panie! Nie bądźcie głuchy na dobrą radę — rzekł, widocznie zniecierpliwiony. — Jeżeli śpiesznie ztąd nie odpłyniecie, to może już za kilka godzin zabiorą się do was, a jeśli was złapią, to zaraz wszystkich powieszą na głównym maszcie i dopiero później badać będą, czyście winni lub nie. Spodziewałem się, że lepiej przyjmiecie moją przyjacielską przestrogę.

— Ależ ja jestem panu bardzo obowiązany, tylko nic nie rozumiem, za coby nas miano ścigać i wieszać? W każdym razie skoro nam grozi takie niebezpieczeństwo, to śpieszę natychmiast na pokład i każę podnieść kotwicę bez względu na to, czy okręt jest lub nie jest naprawiony. Ale mógłbyś pan choć słówkiem nas objaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

— Ja dobrze nie wiem, jest tu jednak jeden holenderski marynarz, który zna wszystkie szczegóły dokładnie i mógłby wam je opowiedzieć, ale na to czasu niema; krótko mówiąc, opowiadają o was, że gdy

kapitan wasz zginął w potyczce z Malajami, wy uprowadziliście jego okręt i zostaliście korsarzami. A wiecie zapewne, w jaki sposób kupieckie okręty obchodzą się z korsarzami: wieszają ich bez sądu i kwita. I to was czeka, bo wiedzą już o was i mają was ująć.

— Teraz rozumiem i bardzo wam dziękuję. Jakkolwiek nie mamy nic wspólnego z owymi marynarzami, co się tej zbrodni dopuścili, to jednak będziemy się mieć na baczności.

— Nie, panie! tak nie mówcie. Nic to nie pomoże mieć się na baczności. Najlepiej wcale nie narażać się na niebezpieczeństwo. Jeżeli wam miłe życie wasze i waszych ludzi, to nie czekając przypływu, odpływajcie natychmiast, byście już daleko ztąd byli, gdy tamci nadpłyną, co niewątpliwie w czasie przypływu nastąpi. W ten sposób zyskacie dwie godziny na czasie. Nadto tamci z pewnością nie okrętem przybędą, lecz w łodziach, zatem nie odważą się ścigać was na pełnem morzu, zwłaszcza, że wietrzyk trochę dmucha.

— Oddajecie nam wielką usługę; ale czemże się wam wywdzięczymy?

— Przyjdzie to wam bardzo łatwo. Służyłem dziewiętnaście miesięcy na pokładzie jednego statku angielskiego i nie otrzymałem dotąd ani grosza zapłaty; mam przytem jednego przyjaciela, Holendra, któremu należy się za siedem miesięcy służby. Otóż, jeżeli wypłacicie nam tę naszą należność, a zdaje mi się, że nasza przestroga warta tego, to zaciągniemy się na wasz okręt, bo i tak nie wiemy, co z sobą robić.

Zgodziłem się na to najchętniej, a gdy za chwilę wchodziłem na pokład z nowymi marynarzami, spotkałem mego spólnika wołającego radośnie, że otwór zatkany i okręt już naprawiony.

— To i chwała Bogu, bo musimy natychmiast odpłynąć.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony.

— Nie pytaj o nic, tylko każ prędko podnieść kotwicę i rozwinąć żagle, bo nie mamy chwili do stracenia.

Widząc z mojej miny, że to nie żarty, wezwał kapitana, aby natychmiast wydał potrzebne rozkazy. Muszę wyjaśnić, że najałam za kapitana pewnego Anglika, bo pełnienie tych obowiązków było mi zbyt uciążliwe. Korzystając z lekkiego wiatru, który wiał od lądu, wypłynęliśmy na pełne morze. Dopiero wtedy wezwałem spólnika do swej izdebki i wytłómaczyłem, co się stało. Za chwilę wbiegł jeden z majtków, oznajmiając z polecenia kapitana, że jesteśmy ścigani.

— Któż nas ściga? — spytałem.

— Pięć łodzi napełnionych zbrojnymi ludźmi.

— Sprawdza się więc przestroga — rzekłem. Kazałem zwołać na pokład całą osadę i opowiedziałem w krótkich słowach, że wzięto nas

za rozbójników morskich i że dlatego nas ścigają. Potem spytałem, czy gotowi są walczyć w obronie własnej i statku, ostrzegając ich jednocześnie, że gdybyśmy wpadli w ręce ścigających, powiesiliby nas bez sądu jako korsarzy. Odpowiedzieli wszyscy zgodnie, że gotowi są z nami żyć i umierać. Zawezwałem wtedy kapitana i wspólnie z nim obmyśliłem środki obrony. Zdaniem jego należało prażyć nieprzyjaciela nieustannym ogniem z dział, aby go utrzymać w przyzwoitej odległości. Gdyby się mimo to zbliżyli, mieliśmy się uciec do ognia karabinowego, strzelając z ukrycia, z poza drewnianych ścian pokładu. Armaty ustawiono na pomoście i tak przysposobieni do boju, płynęliśmy dalej.

Łodzie, rozpiąwszy wszystkie żagle, zbliżały się coraz więcej. Dwie z nich, jak się zdaje angielskie, znacznie wyprzedziły trzy inne i lada chwila miały nas doścignąć. Rozkazałem wywiesić białą chorągiew na znak, że nie szukamy walki. Ale wcale na to nie zważano; żadnej odpowiedzi chorągwią nie dawszy, sunęły te łodzie coraz bliżej w postawie wojowniczej. Wtedy rozkazałem zwinąć białą chorągiew, a wywiesić czerwoną i dać ognia ślepymi nabojami. Łodzie były już tak blizko, że można było porozumieć się z nimi przez tubę; kazałem więc ich ostrzedz, aby się cofnęli, gdyż nie będziemy już teraz żałować nabojów. Oni tymczasem usiłowali zajść nam z przodu i dostać się na nasz pokład. Widząc to, kazałem okręt zwrócić ku nim bokiem i wystrzelić z pięciu dział naraz. Kula nasza urwała u dalszej łodzi dziób, co ich zmusiło zwinąć żagle i zająć się ratunkiem. Potonęliby pewno, gdyby nie to, że jedna z dalszych trzech łodzi nadpłynęła im później na pomoc i zabrała ludzi. Raz jeszcze próbowałem się z nimi porozumieć, ale widząc bezskuteczność swoich usiłowań, kazałem znowu dać ognia z jednego tylko działa. Artylerzystę mieliśmy doskonałego a jednak chybił; wywołało to wielką radość wśród nieprzyjaciół, wyrzucali czapki w górę, tryumfując i strojąc sobie z nas żarty. Poprawiliśmy się jednak i daliśmy ognia raz drugi z takiem powodzeniem, że kula padła w sam środek drugiej łodzi; nie przedziurawiła jej wprawdzie, ale straszliwie pokaleczyła majtków. Nie poprzestając na tem, daliśmy ognia raz trzeci i to tak skutecznie, że łódź utraciła ster i dziób miała strzaskany, zaś ludzie powpadali z niej do wody. Kazałem więc naszym spuścić łódź i pośpieszyć na ratunek tonącym; uczynili to natychmiast i wkrótce przywieźli na pokład trzech ludzi, z których jednego z największą tylko trudnością przywróciliśmy do życia. Teraz należało korzystać z zamieszania wśród nieprzyjaciół i nie czekać, aż nadpłyną dalsze trzy łodzie. To też rozwinąwszy wszystkie żagle popłynęliśmy tak szybko, że wkrótce stracili nas z oczu i zaniechali pogoni.

Tak uszliśmy cało z niebezpieczeństwa; obawiając się jednak, że pogoń może się powtórzyć, postanowiliśmy zmienić kierunek naszej drogi i udaliśmy się w strony, gdzie europejskie okręty zazwyczaj nie krążyły. Dopiero wtedy opowiedział nam majtek holenderski przyczynę całego zajścia. Objaśnił nas, że człowiek, od którego nabyliśmy okręt, przedał nam cudzą własność, że prawdziwy kapitan zginął zabity przez krajowców, że on sam był tam wtedy i razem z czterema towarzyszami umknął do lasu a potem prawie cudem dostał się na holenderski okręt, dopłynąwszy wpław do łodzi, wysłanej z statku dla nabrania słodkiej wody. W Batawii spotkał potem dwóch dawnych towarzyszów; ci mu opowiedzieli, iż dawny ich okręt sprzedany został korsarzom, którzy zrabowali już dwa kupieckie statki holenderskie i jeden angielski.

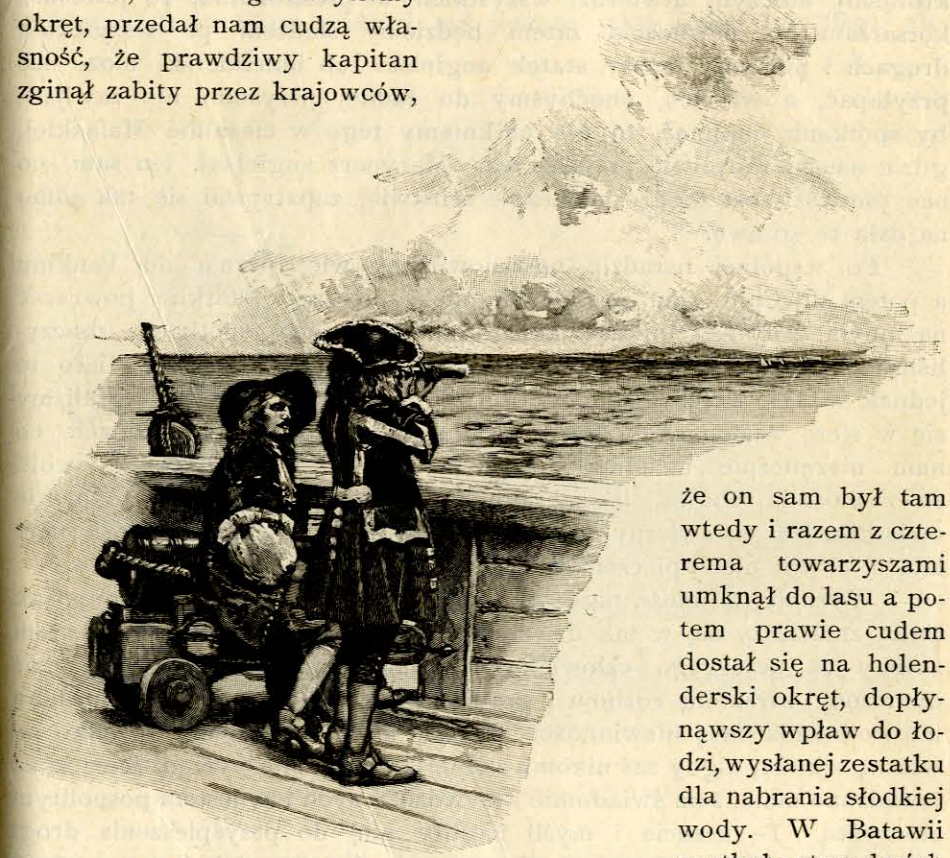

»Łodzie zbliżały się coraz więcej« (str. 320).

Ten ostatni szczegół, lubo tak kłamliwy, zaniepokoił nas najbardziej bo mógł ściągnąć na nas najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Spólnik mój drżał na samą myśl tego, coby nas mogło spotkać, gdybyśmy wpadli w ręce ścigających. Według prawa mogli oni nas doraźnie powiesić, występując jednocześnie w roli oskarżyciela, sędziego a zarazem i kata.

Radził więc, żebyśmy wrócili do Bengalu, wyjaśnili tam całą rzecz i oczyścili się z niesłusznych podejrzeń, przedstawiwszy dowody, żeśmy uczciwie i prawnie nabyli swój okręt.

W pierwszej chwili zgodziłem się na ten pomysł; ale po dłuższem zastanowieniu przedstawiłem mojemu spólnikowi, że gdybyśmy nagle zawrócili do Bengalu, wyglądałoby to na ucieczkę, a pogłoska o bitwie, którąśmy stoczyli, utwierdzi wszystkich w przekonaniu, że jesteśmy korsarzami; z pewnością zatem będziemy śledzeni po wszystkich drogach i pierwszy lepszy statek angielski lub holenderski może nas przyłapać, a wkońcu, choćbyśmy do żadnej przystani nie zawijali, by spotkania uniknąć, to nie unikniemy tego w cieśninie Malackiej, gdzie nas niewątpliwie przychwycą. Marynarz angielski, ten sam, co nas pierwszy ostrzegł o niebezpieczeństwie, zapatrywał się tak samo na całą tę sprawę.

Po wspólnej naradzie postanowiliśmy więc płynąć do Tonkinu a potem do Chin, tam pozbyć się niebezpiecznego statku i powracać na innym. Aby zaś uniknąć jakiego niebezpiecznego spotkania, zboczyliśmy bardzo znacznie z kierunku zwykłej drogi morskiej. Miało to jednak wielkie swoje niedogodności, bo zboczywszy z drogi, dostaliśmy się w sferę wiatru wschodniego, stale wiejącego w tych stronach, co nam niezmiernie utrudniało żeglugę; płynęliśmy też tak powoli, że zachodziła obawa, iż zabraknie nam żywności, a do tego nie opuszczał nas ustawiczny niepokój z powodu mogącego zagrozić nam każdej chwili niebezpieczeństwa.

Wyznaję, że może nigdy w życiu nie byłem tak zmartwiony, jak teraz, znalazłszy się w tak dziwnem i przykrem położeniu. Uchodziłem zawsze za uczciwego człowieka i byłem nim rzeczywiście, a dziś obarczony zarzutem rozboju i grabieży, nie miałem żadnego sposobu udowodnienia swej niewinności. Dotąd, jeżeli błądziłem, to tylko na własną szkodę, nigdy zaś nikomu żadnej krzywdy nie wyrządziłem; teraz posądzono mnie, żem świadomie krzywdził innych i że jestem pospolitym złoczyńcą. Te uczucia i myśli nagliły mię do przyśpieszenia drogi i wydalenia się z tych stron; ale którędy płynąć, w jakiej przystani się zatrzymać, wcale nie wiedziałem. Spólnik mój widząc, jak bardzo jestem przygnębiony, dodawał mi odwagi i pocieszał, jak mógł. Opisywał mi rozmaite porty i przystanie tutejsze, gdyż wszystkie znał wybornie, i radził, abyśmy się zatrzymali gdzieś na wybrzeżach Kochinchiny, albo w zatoce Tonkińskiej, a ztamtąd udali się do Makao, portugalskiego portu na południowych wybrzeżach chińskich, gdzie można było spotkać dużo Europejczyków, gdyż zatrzymywali się tam zwykle misyonarze udający się do Chin.

Ostatecznie wybraliśmy ten kierunek i po długiej i uciążliwej podróży, unikając większej przystani, zawinęliśmy pewnego dnia do ujścia małej rzeki na wybrzeżu Kochinchiny. Ostrożność ta wyszła nam na dobre; nazajutrz bowiem łódź, wysłana przez nas na zwiady, przywiozła nam wiadomość, że do zatoki Tonkińskiej wpłynęły rano dwa wielkie statki holenderskie. Po południu widzieliśmy, jak dwa angielskie statki przepłynęły w odległości tylko dwóch mil od nas w kierunku do Chin, później zaś jeszcze jakiś jeden bez flagi, ale

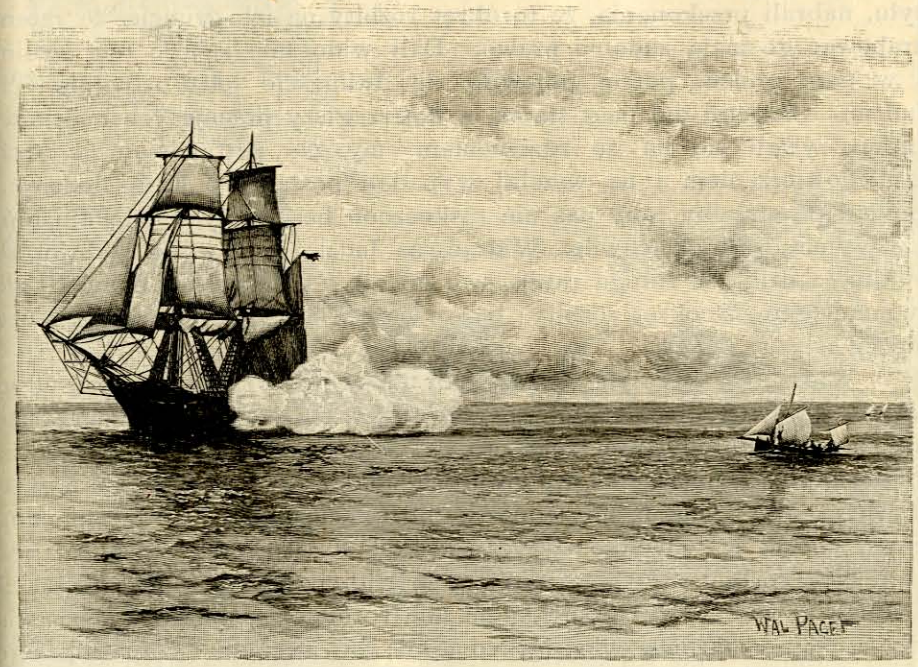

»Daliśmy ognia po raz trzeci« (str. 320).

wyglądający na holenderski. Tak więc ze wszystkich stron groziło nam niebezpieczeństwo.

Kraj, do którego przybyliśmy obecnie, był dziki i barbarzyński a mieszkańcy złodzieje. Nie myśleliśmy wcale handlować z krajowcami; chodziło nam tylko o nabycie żywności i naprawienie statku. Trzeba wiedzieć, że u tych dzikich ludów przyjęty jest zwyczaj napadać, rabować i zabierać do niewoli każdego, ktokolwiek miał to nieszczęście rozbić się na ich wybrzeżach; uważają bowiem w takim razie ludzi i statki za swoją prawowitą zdobycz. Wkrótce też mieliśmy sposobność poznać tę ich miłą gościnność. Musieliśmy gruntownie naprawić statek,

jeszcze w Malackiej cieśninie uszkodzony, bo przez pozatykane naprędce szpary, znowu przeciekać zaczęło. W pierwszej chwili zamierzaliśmy wyciągnąć go na brzeg, ale nie znaleźliśmy odpowiedniego miejsca. Powynosiwszy więc tylko cięższe przedmioty, położyliśmy go na bok, chcąc dobrać się do dna, oczyścić je, dziury i szpary pozatykać i smołą pozalewać.

Robocie tej przyglądało się kilku krajowców, którzy zapewne jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widzieli. Widząc okręt przechylony, a nie dostrzegłszy większej części majtków pracujących wewnątrz i od tyłu, nabrali przekonania, że to okręt rozbity na ich gruncie, że zatem zrabować go mają zupełne prawo. Dali widocznie znać o tem swoim i w parę godzin potem pojawiło się dwanaście łodzi napełnionych ludźmi. Okrążyli oni nasz statek, a dostrzegłszy pracujących majtków, przypatrywali się im ze zdziwieniem, my zaś patrzyliśmy na nich z niedowierzeniem i na wszelki wypadek posłaliśmy kilku ludzi na pokład po strzelby, aby nas nie zaskoczono bezbronnych. Kochinchińczycy naradzali się chwilę. Widząc, że ludzie nasi wynoszą broń ze statku, sądzili, że załoga ratuje swe mienie i tembardziej upewnili się w mniemaniu, że okręt rozbity; było rzeczą widoczną, że wkrótce rzucą się na nas.

Widząc to, wydałem rozkaz, żeby majtkowie rzucili roboty i uszykowali się na pokładzie, tym zaś, co byli w łodziach, poleciłem zbliżyć się, jak można, najwięcej do statku, chciałem bowiem, żeby siły nasze były skupione; marynarze próbowali nadać okrętowi właściwe położenie. Tymczasem jedna łódź napastników zbliżyła się do naszej i Kochinchińczycy chcieli już chwytać naszych ludzi. Na samym przedzie stał majtek angielski, rosły i silny mężczyzna; ten widząc się napadniętym, rzucił strzelbę na dno łodzi. Struchlałem, nie rozumiejąc, dlaczego pozbawia się broni; on jednak wiedział co robi; oto wciągnął napastującego poganina do łodzi, a chwyciwszy go za uszy, uderzył tak silnie głową jego o krawędź, że roztrzaskał mu łeb od razu. W tejże samej chwili stojący obok Holender, podniósłszy rzuconą strzelbę, tak zaczął nią młynkować, że od razu pięciu innych kolbą powalił. Nicby to jednak było nie pomogło wobec przeważającej liczby napastników, gdyby nie zaszedł błahy na pozór a nawet śmieszny wypadek, który przechylił zwycięztwo na naszą stronę.

Nasz cieśla okrętowy zajęty był właśnie w drugiej łodzi zatykaniem szpar w dnie okrętu i zalewaniem ich smołą i żywicą. W tym celu ustawiono w łodzi dwa kotły z wrzącą smołą, zdjęte przed chwilą z ognia. Chłopak okrętowy czerpał dużą żelazną warzechą smołę i zalewał nią szpary. Zobaczywszy naraz dzikich wdzierających się i do tej łodzi, nie wiele myśląc, chlusnął na nich wrzącym płynem.

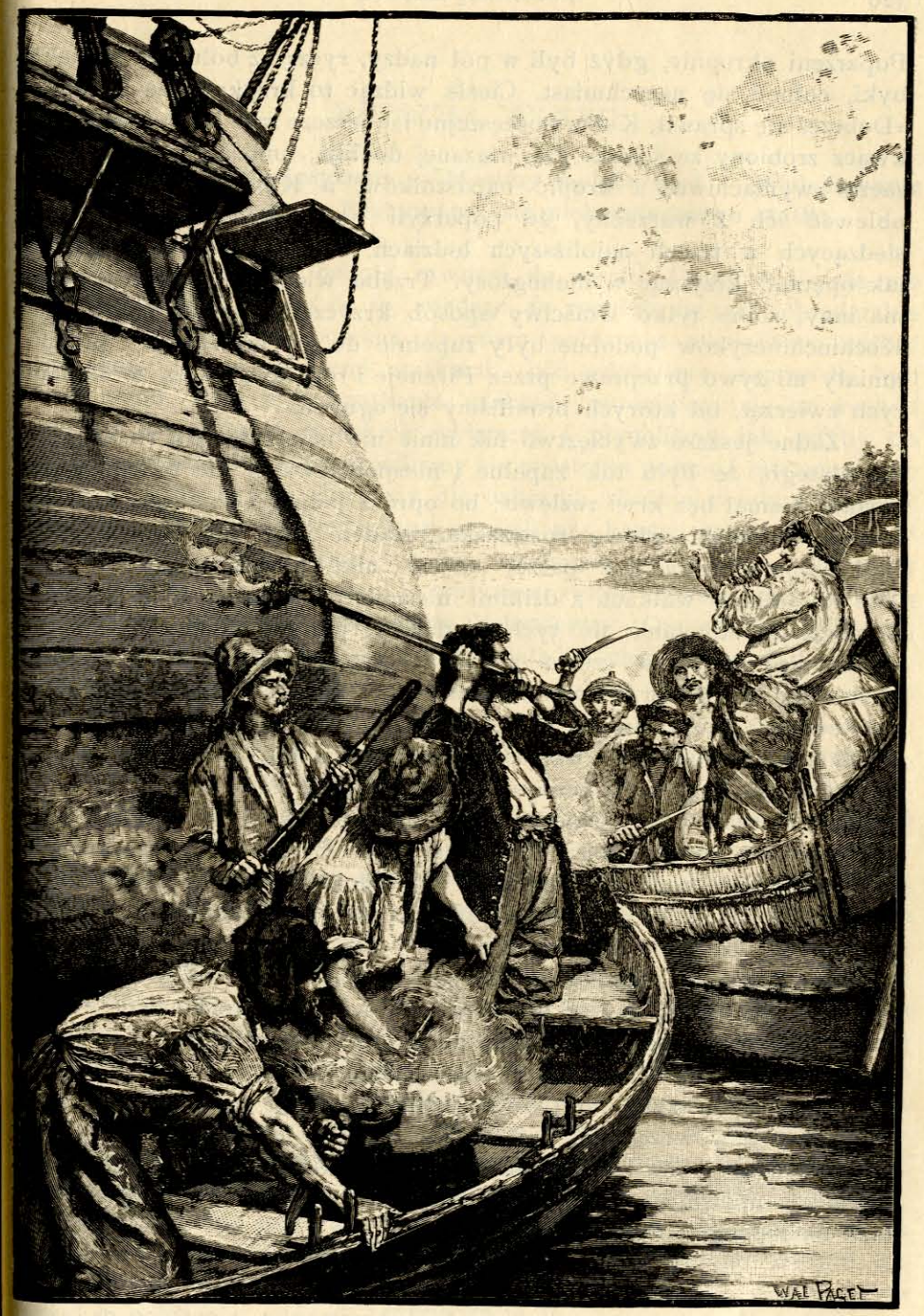

»Chlusnął na nich wrzącą smołą« (str. 324).

Poparzeni okropnie, gdyż byli w pół nadzy, rycząc z bólu jak wściekłe byki, cofnęli się natychmiast. Cieśla widząc to krzyknął na chłopca: »Dobrześ się sprawił, Kuba, poczęstujno ich jeszcze raz« i sam porwawszy kwacz zrobiony ze ścierki przywiązanej do kija, umoczył w smole i tak zaczął wymachiwać i kropić napastników, a Kuba ze swej strony oblewać ich z warzechy, że poparzyli niemal wszystkich dzikich siedzących w trzech najbliższych łodziach, tak, że ci zaczęli uciekać jak opętani, krzycząc w niebogłosy. Trzeba wiedzieć, że każdy naród ma inny, sobie tylko właściwy sposób krzyczenia. Otóż krzyki tych Kochinchińczyków podobne były zupełnie do wycia wilków i przypomniały mi żywo przeprawę przez Pireneje i rozprawę naszą ze stadami tych zwierząt, od których broniliśmy się ogniem.

Żadne jeszcze zwycięztwo tak mnie nie ucieszyło, jak to ostatnie, nie dlatego, że było tak zupełne i niespodziewane, ale że odniesione zostało niemal bez krwi rozlewu; bo oprócz jednego dzikiego, któremu majtek angielski głowę roztrzaskał, żaden inny nie zginął, tylko byli poparzeni, a i z naszej strony nikt nawet ranny nie był. We wszystkich walkach z dzikimi niezmiernie bolesną była dla mnie konieczność strzelania do tych biedaków, nie rozumiejących zwykle, co czynią; bo lubo często zmuszeni jesteśmy we własnej obronie pozbawiać życia przeciwników naszych, zawsze jednak smutna to ostateczność, której unikać należy, i sądzę, że każdy człowiek myślący, szlachetny i rozumiejący wartość życia przyzna mi słuszność.

Podczas, gdy część naszych ludzi potykała się z dzikimi, ja i mój spólnik z resztą osady zajęliśmy się uporządkowaniem okrętu i przysposobieniem go do drogi. Gdy ustawiono działa, artylerzysta chciał koniecznie dać ognia do krajowców; ja jednak surowo mu tego zabroniłem, uważając, że aż nadto wystarczy roztopiona smoła, której nam przecie nie brakło. Zresztą byli oni i tak już spłoszeni i nie mieli zamiaru powtarzać napadu, bo widząc, że statek nasz stoi prosto i żagle rozwija, przekonali się, że nie uległ rozbiciu, że zatem nawet według miejscowych zwyczajów nie mają do niego żadnego prawa.

Nie mieliśmy ochoty dłużej tam popasać. Mimo, że walka pomyślnie się dla nas zakończyła, mogłyby się jednak nazajutrz zbiedz całe gromady rabusiów, a wówczas nie rozegnalibyśmy ich już smołą. Zakupiwszy więc na drogę ryżu i piętnaście karmnych wieprzów, powróciliśmy na pokład, a upewniwszy się, że statek dobrze naprawiony, odpłynęliśmy dnia następnego.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Spotkanie z Portugalczykiem. — Musimy się ukrywać. — Wylądowanie w Kin-Czang. — Pozbywamy się niebezpiecznego statku.

Mieliśmy wielką ochotę zawinąć do zatoki Tonkińskiej, ale nie odważyliśmy się na to, wiedząc, że znajdują się tam holenderskie okręty; w obecnem bowiem dziwnem położeniu musieliśmy unikać spotkania z europejskiemi statkami, jak gdybyśmy naprawdę byli korsarzami. Aby tego spotkania uniknąć, zwróciliśmy się na wschód zamiast się trzymać chińskich wybrzeży i płynęliśmy jak gdyby do Manili, poczem dopiero zwróciliśmy się prosto na północ i zatrzymaliśmy się u brzegów wyspy Formozy dla nabrania słodkiej wody i zapasów żywności. Mieszkańcy tej wyspy przyjęli nas bardzo życzliwie, okazali się bardzo uczciwi i dostarczyli bez trudności wszystkiego, czegośmy potrzebowali. Przypisywałem to wpływom religii chrześcijańskiej, którą tu niegdyś przynieśli misyonarze holenderscy. Opuściwszy Formozę, płynęliśmy wciąż na północ, jednak zdala od chińskich wybrzeży i nie zawijając do żadnego portu, gdyż pragnęliśmy przesunąć się, o ile możności, niepostrzeżeni.

Gdyśmy dopłynęli do trzydziestego stopnia północnej szerokości, postanowiliśmy spróbować szczęścia i zatrzymać się w jakim porcie. W chwili, gdyśmy się skierowali ku brzegom, ujrzeliśmy łódź jakąś płynącą na nasze spotkanie. Gdy się dostatecznie do nas zbliżyła, oświadczył nam jej sternik, stary marynarz portugalski, że dostrzegłszy statek europejski, przybył umyślnie, chcąc się nam ofiarować za retmana, bo zna bardzo dobrze tutejsze zatoki, wybrzeża, okolice, mieszkańców i ich zwyczaje. Istotnie potrzebowaliśmy retmana, to też przyjęliśmy go chętnie. Zgodził się na nasze warunki, łódź swoją odesłał do brzegu i odtąd towarzyszył nam dalej. Oświadczyłem mu, że chcemy się dostać do zatoki Nankińskiej. Odpowiedział, że zna ją dobrze, i spytał, po co tam płyniemy. Gdy się dowiedział, że mamy zamiar wysprzedać tam nasz ładunek opium i innych towarów a zakupić wzamian towarów chińskich jako to: porcelany, surowego jedwabiu, herbaty, bawełny i t. p. zdziwił się, żeśmy tego wszystkiego nie załatwili w Makao, twierdząc, że sprzedalibyśmy tam swój ładunek z większą korzyścią, zwłaszcza zaś opium, i że nabylibyśmy tam towarów chińskich równie dobrze jak w Nankinie. Nie chcąc wtajemniczać starego Portugalczyka w nasze przykre położenie, odpowiedziałem mu tylko, że właściwie nie jesteśmy

kupcami i że podróżujemy raczej dla własnej przyjemności, oraz że chcemy zwiedzić stolicę Chin, sławny Pekin.

— W takim razie — rzekł Portugalczyk — trzeba teraz zawinąć do Ning-Po, a ztamtąd wpłynąwszy do ujścia rzeki i upłynąwszy po niej pięć mil, dostaniecie się do wielkiego kanału, który przerzyna całe państwo chińskie i łączy wszystkie rzeki Niebieskiego państwa. Przechodzi on zapomocą licznych śluz nawet przez znaczne wzniesienia i dochodzi do samego Pekinu.

— To wszystko bardzo pięknie — odrzekłem na to — ale my przedewszystkiem chcemy być w Nankinie.

— Płyńmy zatem do Nankinu — odrzekł Portugalczyk — właśnie niedawno przeprowadziłem tam jeden wielki okręt holenderski.

Usłyszawszy wzmiankę o holenderskim okręcie, zmieszałem się mocno, wiedziałem bowiem, czem pachnie dla nas takie spotkanie. Zauważył to Portugalczyk i rzekł:

— Nie macie powodu lękać się holenderskich okrętów, przecież rząd wasz nie prowadzi obecnie wojny z Holandyą.

— To prawda — odrzekłem — ale człowiek nigdy pewny być nie może, bo o nadużycia nie trudno.

— Spokojnego kupieckiego okrętu oni nie zaczepią; tego możecie być pewni. Czegóż się obawiacie; nie jesteście przecie korsarzami?

Myślałem, że wszystka krew wytryśnie mi z twarzy, gdym usłyszał te słowa. Nie mogło to ujść uwagi Portugalczyka.

— Panie — rzekł — zdaje mi się, że rada moja was niepokoi; płyńcie zatem, dokąd sami chcecie, a ja zawsze będę na wasze usługi.

— Zaniepokoiło mnie wasze wspomnienie o korsarzach — rzekłem wymijająco. — Statek nasz, jak widzicie, nie jest dostatecznie uzbrojony, aby się mógł z nimi potykać; ale może ich tu niema w tych stronach.

— O to się nie troszczcie! Piętnaście lat nie widziano tutaj korsarskiego statku. Słyszałem ja wprawdzie przed miesiącem, że w zatoce Syamskiej pojawił się statek z podejrzanymi ludźmi; ale nie byli to zwykli korsarze, tylko osada kupieckiego okrętu, która puściła się na rozboje, pozbywszy się wprzódy kapitana.

— Jakto — zawołałem, udając jak gdybym nic o tem nie wiedział — ludzie ci zabili swego kapitana?

— Oni go właściwie nie zabili, ale jest podejrzenie, że go wydali Malajom, którzy go zamordowali. Zabrawszy okręt, wałęsają się teraz po oceanie i trudnią się podobno rozbojem.

— W takim razie zasługują na śmierć, jak gdyby go sami zabili — rzekłem z oburzeniem.

— To też na tem się skończy — odparł Portugalczyk — wszyscy angielscy i holenderscy kapitanowie dali sobie słowo wywieszać tych nędzników, skoro ich tylko w ręce dostaną.

— A gdzież się teraz mogą znajdować? — spytałem.

— Tego nie wiem, ale słyszałem, że widziano ich niedawno w zatoce Syamskiej, na rzece Kambodża. Majtkowie holenderscy, którzy służyli dawniej na tym samym statku, poznali go tam i dali o tem znać okrętom stojącym w tej przystani; ścigały ich angielskie i holenderskie łodzie, jednak hultaje poturbowali podobno dwie z nich porządnie i uszli na pełne morze; ale nie długo będą oni swawolić, bo

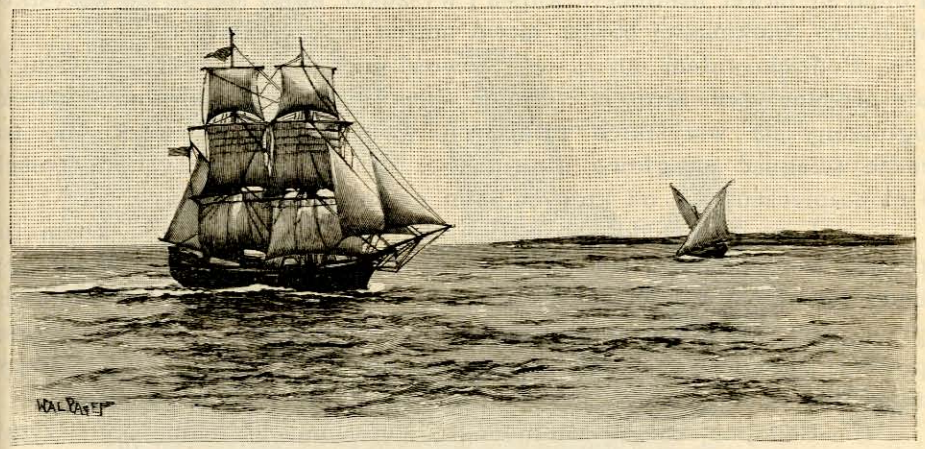

»Ujrzeliśmy łódź płynącą na nasze spotkanie« (str. 327).

wszystkie statki kupieckie mają dokładny opis ich okrętu, dopadną też ich prędzej czy później i powieszą rozbójników, nie bawiąc się w sądy.

— Jakto? — zawołałem ze szczerem oburzeniem — powieszą ich bez sądu, nie przekonawszy się poprzednio, czy naprawdę są winni?

— Oczywiście — odparł stary marynarz — a ktoby tam robił ceremonie z takimi łotrami; zazwyczaj wiąże się ich po dwóch razem i wrzuca od razu do morza.

Wiedząc, że portugalski marynarz jest zupełnie w naszej mocy i zaszkodzić nam nie może, przestałem dalej rzecz taić i opowiedziałem mu, że nie kto inny, tylko my właśnie jesteśmy owymi rzekomymi korsarzami i dlatego to nie byliśmy w Makao i boimy się płynąć teraz do Ning-Po, dokąd zawinął statek holenderski. Panowie kapitanowie angielscy i holenderscy wydali wyrok zbyt pośpiesznie i postępują wbrew boskim i ludzkim prawom, ścigając ludzi niewinnych.

W zarozumiałości swej i pysze sami łatwo mogą zostać mordercami, czego gorzko przyjdzie im potem żałować. Nigdy bowiem nie należy wydawać tak doraźnie wyroków zaocznych i lekkomyślnie potępiać ludzi, nie wysłuchawszy ich pierwej, nie dawszy im sposobności obrony i uniewinnienia się. Opowiedziałem dalej Portugalczykowi szczegółowo, jakim sposobem padło na nas podejrzenie, jak zmuszeni byliśmy potykać się ze ścigającemi nas łodziami i jak musimy ukrywać się teraz, nic zgoła nie zawiniwszy.

Starzec, ogromnie zdumiony, wysłuchał z zajęciem tego opowiadania, przyznał, żeśmy słusznie zrobili, omijając zatokę Tonkińską, i radził jak najprędzej sprzedać nieszczęsny okręt, a kupić nowy. Podjął się nawet nastręczyć kupca i wyszukać nowy statek, co wszystko w zatoce Nankińskiej bardzo łatwo można będzie załatwić.

Podziękowałem mu za tę gotowość oddania nam takiej przysługi, ale oświadczyłem zarazem, że mam skrupuły sprzedawać komuś statek ogłoszony na wszystkich tutejszych wodach jako korsarski, bo to może ściągnąć na głowę niewinnego człowieka kłopoty, przykrości i niebezpieczeństwa, od których sami uwolnić się chcemy.

— I na to znajdę sposób — odrzekł Portugalczyk. — Znam tu prawie wszystkich marynarzy i kapitanów i bardzo często ich widuję; będę im zatem opowiadał całą waszą sprawę i po kolei wszystkich przekonam, jak niesłusznie mają was w podejrzeniu, boście zupełnie prawnie nabyli swój statek. Pewny jestem, że mi uwierzą, bo wszyscy znają mię tu doskonale.

— Podejmujecie się zatem pośrednictwa między nami a tutejszymi kapitanami? — spytałem.

— Bardzo chętnie, tylko musicie spisać wszystko dokładnie na papierze, aby wiedziano, że od was przychodzę i żem całej tej historyi nie wyssał z palca.

Tak też zrobiłem. Opisałem obszernie wszystko, co się nam zdarzyło, i wyłuszczyłem powody, dla których stoczyć musiałem walkę. Dodałem wkońcu, że ci, co wydali na nas bez sądu wyrok niesprawiedliwy, wstydzić się powinni swej lekkomyślności i że jeśli się kiedyś wszyscy spotkamy w Anglii, zapłacą mi drogo za wydawanie doraźnych zaocznych wyroków, chyba, że w czasie mojej nieobecności sprawiedliwość wyszła tam już z mody. Stary Portugalczyk odczytywał po kilka razy to zakończenie, zapytując mnie, czy nie mógłbym go złagodzić lub zupełnie usunąć. Stałem przy swojem i oświadczyłem, że nie zmienię ani słowa. Nie nadarzyła się jednak sposobność wręczenia tego listu, komu należało, bośmy nie spotkali w drodze żadnego statku.

Tymczasem zbliżaliśmy się zwolna do Nankinu i po trzynastu dniach żeglugi zarzuciliśmy kotwicę na południowo-zachodnim brzegu

zatoki tegoż nazwiska. Zaraz po przybyciu dowiedzieliśmy się, że były tam niedawno dwa statki holenderskie. Wiadomość ta przeraziła mego spólnika, a i ja nie miałem wielkiej ochoty spotkania się z naszymi prześladowcami. Zapytałem tedy Portugalczyka, czyby nie mógł nam wskazać jakiego ustronnego portu, gdziebyśmy mogli spokojnie załatwić swoje targi z Chińczykami, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Odpowiedział, że o jakie czterdzieści dwie mile na południe znajduje się niewielka i mało uczęszczana przystań, zwana Kin-Czang, gdzie

»Chińczycy dostarczyli obficie żądanej żywności«.

zatrzymują się zwykle misyonarze, jadący z Makao w te strony Chin, gdzie jednak kupieckie europejskie statki prawie nigdy nie zaglądają, bo nie jest to punkt handlowy i raz tylko do roku ściągają tam na jarmark japońscy kupcy dla zaopatrzenia się w chińskie towary. Zgodziliśmy się skwapliwie na wybór tej miejscowości. W zatoce Nankińskiej byliśmy tylko dwa razy na brzegu dla nabrania świeżej wody. Chińczycy witali nas życzliwie i dostarczyli obficie żądanej żywności, za którą płaciliśmy im gotówką.

Opuściwszy ten port, płynęliśmy pięć dni, bośmy mieli wiatr przeciwny. Gdy wkońcu przybiliśmy do Kin-Czang i wysiedli w przystani,

nie posiadaliśmy się z radości. Obaj ze spólnikiem daliśmy sobie słowo, że noga nasza nie postanie więcej na przeklętym statku i że pozbędziemy się go jak najprędzej. Podziękowałem Bogu za wybawienie nas z nieznośnego położenia i z tylu niebezpieczeństw i pierwszy raz od kilku miesięcy odetchnąłem swobodnie.

Nigdy może w życiu nie namęczyłem się tak, jak w ciągu tych ostatnich dni, bo słusznie mówi Pismo Święte, że strach wtrąca duszę człowieka w zdradliwe sieci. Życie w ciągłej obawie jest nieustającą męką, wyczerpuje siły ducha i odbiera człowiekowi zdrowy sąd o rzeczy. Ja naprzykład pod wpływem strachu uważałem wszystkich angielskich i holenderskich kapitanów za ludzi pozbawionych sumienia, niezdolnych odróżnić uczciwości od łajdactwa, zmyślonych bajek od prawdy, jednem słowem, miałem ich za głupców i łotrów. Zdawało się mi także jako też i mojemu spólnikowi, że nie mamy zgoła sposobu i nie potrafimy ich nigdy przekonać o tem, że nie jesteśmy wcale rozbójnikami morskimi. Tymczasem już sam nasz ładunek opium, uzbrojenie, osada, nawet kierunek drogi, wszystko zbijało niesłuszne podejrzenie i wykazywało, czem jesteśmy i czem się trudnimy. Zresztą marynarze oskarżeni o kradzież okrętu byli wszyscy Holendrami a ścigający nas kapitanowie mieli ich spisanych z wyszczególnieniem imienia i nazwiska każdego, nasza zaś osada składała się z Anglików, Portugalczyków i Indyan, a Holendrów mieliśmy między sobą tylko dwóch. Słowem, nie brakło nam sposobów wykazania swej niewinności, nie powinniśmy się byli zatem tak bardzo obawiać. Jedno mogłoby przeciw nam przemawiać: postąpienie nasze na rzece Kambodża. Przybyliśmy tam jakby pokryjomu, umknęliśmy, dowiedziawszy się o statkach holenderskich, i przyjęliśmy ogniem ścigające nas łodzie. Ja i mój spólnik, nic nikomu nie zawiniwszy, niesłusznie posądzeni, miewaliśmy z tego powodu okropne chwile w tych czasach. Nie mogliśmy sypiać, miewaliśmy straszne sny o napadach, bitwach i szubienicach. Jednej nocy śniła mi się tak wyraźnie bitwa z Holendrami, tak zaciekle broniłem się napastnikom, co mnie wziąść chcieli do niewoli, że przez sen zacząłem obu pięściami tłuc w ścianę izdebki i poraniłem sobie ręce do krwi tak, że się z bólu obudziłem. Także na jawie dręczyły nas rozmaite przypuszczenia i obawy, bo wiedzieliśmy, że na holenderskich statkach używają niekiedy tortur dla wymuszenia zeznań, a wiadomo, że najniewinniejszy człowiek przyznać się może pod wpływem bólu do zbrodni, których nigdy nie popełnił. Powtóre chciwość i chęć zagrabienia naszego kosztownego ładunku mogła także skłonić pierwszego lepszego kapitana do zgładzenia nas pod pozorem, że wiesza rozbójników. Jednem słowem, nie mieliśmy chwili spokoju. Próbowałem nieraz powtarzać sobie, że powinienem poddać się spokojnie wyrokom Opatrzności, bo chociaż nie popełniłem

zbrodni, o którą mnie posądzają, mam przecie niemało grzechów na sumieniu, za które należy mi się kara. Nie mogłem się jednak pogodzić z tą myślą. Buntowało się coś we mnie i krew burzyła się na myśl, że pierwszy lepszy rzezimieszek morski, będzie miał nademną prawo sądu dlatego tylko, że je sobie zuchwale przywłaszczył. Wolałbym już nawet zginąć z rąk dzikich, bo ci przynajmniej, jako nieoświeceni poganie, nie rozumieją tego, co czynią.

Łatwo tedy odgadnąć naszą radość, gdyśmy dojechali do owego Kin-Czang i wysiedli na ląd, wiedząc, że tu nareszcie wolni będziemy od wszelkiej pogoni. Spólnik mój miał przedtem sen, że idzie, niosąc wielki ciężar na plecach, a przed nim wznosi się góra; wtem zjawia się Portugalczyk, zdejmuje z niego ciężar, góra znika a na jej miejscu roztacza się gładka równina, po której zaczyna kroczyć z łatwością. Otóż ciężar ten spadł nam obu z serca, odkąd opuściliśmy pokład nieszczęsnego statku.

Portugalczyk wynalazł nam na mieszkanie i na skład naszych towarów dwie nędzne chatki z trzciny zbudowane i trzcinowym płotem otoczone. Najęliśmy też strażnika, ażeby pilnował naszych rzeczy i towarów, za co dawaliśmy mu dziennie kwartę ryżu i piętnaście groszy. Ostrożność ta była konieczna w tym kraju, gdyż włóczyło się tam mnóstwo złodziei.

Czas jarmarku przeszedł już był, mimo to zastaliśmy jeszcze w przystani kilka małych statków chińskich i dwa duże japońskie, naładowane chińskimi towarami; czekały one tylko na powrót kupców z głębi kraju.

Portugalczyk poznał nas z trzema misyonarzami, którzy już od dłuższego czasu w tem mieście bawili. Jeden z nich, ojciec Szymon, był Francuzem. Był to ksiądz bardzo uprzejmy i wesołego usposobienia. Drugi był Portugalczykiem a trzeci Włochem, rodem z Genui. Wszyscy trzej przyjechali tu, by nawracać Chińczyków na wiarę chrześcijańską. Przekonałem się, że zadanie to wcale nie łatwe a nadto i bardzo niebezpieczne. Że misyonarze narażają się na różne niewygody, połączone z podróżami w takie dalekie i tak prawie zupełnie nieznane kraje, to jeszcze rzecz najmniejsza. Ale często ponoszą oni śmierć męczeńską z rąk pogan i wiedząc, że straszliwe męki mogą być zapłatą za ich poświęcenie, mimo to śmiało idą głosić naukę Chrystusa. Dla takich ludzi niepodobna nie mieć wielkiego szacunku i podziwienia.

Jadaliśmy zwykle razem a przy obiedzie rozmawialiśmy dużo o Chinach i Chińczykach. Ojciec Szymon miał właśnie z polecenia swego przełożonego jechać do Pekinu, stolicy cesarza chińskiego, i oczekiwał tylko przybycia drugiego księdza z Makao, który mu miał towarzyszyć. Namawiał nas obu, abyśmy razem z nim jechali, zachwalając nam Pekin jako jedno z najciekawszych miast na świecie, a takie wielkie, jak Londyn

i Paryż razem wzięte. Obiecywał, że będzie mi przewodnikiem i pokaże wiele ciekawych rzeczy. Ale nie mogliśmy się łączyć z ojcem Szymonem, bo musieliśmy pierwej sprzedać swoje towary i znaleźć kupca na okręt, a nie było to łatwo i zdawało się już, iż wypadnie nam jechać w tym celu do Nankinu. Ale jakoś z pomocą Bożą załatwiliśmy wszystko na miejscu.

Pewnego dnia przyprowadził nam Portugalczyk japońskiego kupca, który zakupił u nas opium, płacąc bardzo dobrze złotem za wszystko, częścią japońskiemi pieniędzmi, częścią sztabkami złota na wagę. Załatwiwszy się z przedażą opium, spytałem owego kupca, czy nie kupiłby naszego okrętu. W pierwszej chwili odmówił, ale w kilka dni potem przyszedł z jednym misyonarzem, który mu był tłómaczem i oświadczył, że kupić okrętu nie może, bo wydał gotówkę na towary, ale gotów jest nająć go od nas wraz z całą osadą na przewóz do Japonii płacąc naprzód gotówką; tam naładowawszy go na nowo, wyśle z towarami na wyspy Filipińskie, a potem kupi go na pewno za pieniądze zarobione w owej podróży. Zgodziłem się, a nawet żądny nowych wrażeń i byle nowe poznać kraje, miałem ochotę sam wziąć udział w wyprawie, żeby potem z wysp Filipińskich udać się na Ocean Południowy; ale spólnik mój tak stanowczo zaczął mi odradzać, przedstawiając przewrotność Japończyków, a jeszcze większą Hiszpanów filipińskich, że odwiódł mnie od tego zamiaru.

Gdyśmy się tak układali i rozprawiali, nadszedł mój młody sekretarz, zostawiony mi niegdyś przez mego synowca, i dowiedziawszy się, o co chodzi, oświadczył, że byłby gotów towarzyszyć japońskiemu kupcowi jako mój komisant handlowy. Obiecywał olbrzymie zyski dla nas i dla siebie, obowiązując się po powrocie do Anglli najsumienniej złożyć rachunki. Dodał, że wcale nie boi się płynąć podejrzanym okrętem, bo uda się w zupełnie inne strony, a sprawa tymczasem pójdzie w zapomnienie. Przykro mi było rozstawać się z młodzieńcem, którego serdecznie polubiłem, ale podzielając jego zdanie co do zyskowności tej podróży, gotów byłem na to przystać. Mój spólnik nie tylko zgodził się, ale jeszcze okazał się do tego stopnia wspaniałomyślnym, iż odstąpił młodemu śmiałkowi swoje prawo własności do połowy okrętu, zastrzegając sobie tylko połowę zysku, jaki z przewozu towarów osiągnąć może. Ja oczywiście poszedłem chętnie za tym pięknym przykładem i odstąpiłem również swe prawo do drugiej połowy okrętu, podobne co do zysków uczyniwszy zastrzeżenie. Okazało się, że japoński kupiec był człowiekiem bardzo uczciwym i uczynnym, wyrobił mu u władz japońskich pozwolenie lądowania i przebywania w głębi kraju, co było Europejczykom wzbronione, płacił punktualnie za każdy przewóz, najął go następnie do przewiezienia na Filipiny ładunku japońskich i chińskich

towarów, i wysłał z nimi swego komisanta, który je Hiszpanom sprzedał a natomiast nakupił europejskich i różnych korzennych towarów, które znowu do Japonii przywieziono. Mój młody sekretarz zarobił na tym przewozie niemało. Zachęcony przez japońskiego kupca, za jego radą i przy jego pomocy, nakupił już na własny rachunek różnych japońskich towarów, zawiózł je do Manili i dobrze je tam sprzedał Najęty przez hiszpańskiego gubernatora, popłynął z nim ztamtąd do Akapulko, na

»Japończyk przyszedł z misyonarzem, który mu był tłómaczem« (str. 334).

zachodnich wybrzeżach Meksyku, gdzie okręt sprzedał a sam z całą angielską osadą, otrzymawszy zezwolenie władz, udał się lądem do Portobelo, zkąd dostał się na wyspę Jamajkę i dopiero po ośmiu latach wrócił do Anglii, już jako bardzo majętny człowiek.

Żegnając się w Kin-Czang z naszą osadą, wynagrodziliśmy ją hojnie, a zwłaszcza tych dwóch marynarzy, którzy ostrzegli nas przed niebezpieczeństwem na rzece Kambodży. W gruncie byli to obaj wielcy hultaje i awanturnicy, przestrzegli nas bowiem i połączyli się z nami jedynie w przekonaniu, że rzeczywiście jesteśmy korsarzami i że będą

uprawiać z nami to szlachetne rzemiosło. Wyświadczyli nam jednak wielką przysługę i należała się im nagroda. To też wypłaciliśmy im nie tylko całą zaległą zasługę według obietnicy, ale jeszcze osobno pokaźną sumkę i wyrobiliśmy dla nich lepsze stanowisko u nowego kapitana, tak, że jeden został sternikiem a drugi artylerzystą okrętowym, gdyż byli to doskonali żeglarze, ludzie doświadczeni, waleczni i nieustraszeni.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Mój pobyt w Chinach. — Obyczaje Chińczyków. — Wyjazd z karawaną. — Dom porcelanowy.

Znajdowałem się więc na wybrzeżach chińskich o tysiąc mil dalej od ojczyzny, niż wtedy, gdy byłem w Bengalu, i w położeniu o wiele gorszem. W Bengalu bowiem mogłem w każdej chwili nająć okręt i wracać do Europy, tu zaś przedstawiało to niezmierne trudności, gdyż miejscowość była ustronna i oddalona od wszelkiego ruchu handlowego, a ożywiała się tylko podczas dorocznego jarmarku. Na szczęście miał się on odbyć za cztery miesiące; mieliśmy nadzieję, że wtedy najmiemy jaki mały statek przybyły z Tonkinu albo dostaniemy się na pokład jednego z angielskieh albo holenderskich okrętów, przybywających zwykle na jarmark.

Ażeby sobie skrócić oczekiwanie, robiliśmy tymczasem wycieczki w okolice, a przedewszystkiem zwiedziliśmy miasto Nankin. Wygląda ono z pozoru bardzo pięknie, ulice ma równe, wyciągnięte pod sznur i przecinające się pod kątem prostym, co rzeczywiście jest bardzo ładne dla oka. Gdym się przypatrzył bliżej życiu mieszkańców, gdy porównałem ich zwyczaje, sposób życia, religię i rząd z naszemi urządzeniami, doszedłem do przekonania, że ten ogólny podziw dla cywilizacyi chińskiej jest ogromnie przesadzony i niema żadnej podstawy. Czemże są ich budowle i publiczne gmachy wobec naszych europejskich, czem ich handel wobec handlu angielskiego i holenderskiego, a miasta ich wobec miast naszych? Sam Londyn prowadzi daleko rozleglejszy handel niż całe to potężne państwo. Porty ich, zapełnione małemi barkami i drobnemi statkami, nie wytrzymują porównania z naszemi. Jeden wojenny, dobrze uzbrojony, okręt francuski, angielski lub holenderski rozpędziłby z łatwością całą chińską marynarkę. Zachwyty zatem nad potęgą, bogactwem i rozumem Chińczyków wypływają ztąd, że się im przypatrujemy z odległości. Pewne zaś ich ulepszenia przemysłowe i pewne objawy

cywilizacyi i oświaty, dlatego wzbudzają nasz podziw, że spostrzegamy je u ludu zkądinąd tak ciemnego, barbarzyńskiego i pogrążonego przytem w grubem bałwochwalstwie. Co się mówiło o ich marynarce, da się powtórzyć o wojsku lądowem. Źle wyćwiczone i niekarne, posiada ono wprawdzie broń palną, ale przestarzałą, niezgrabną i ciężką. Nie przesadzę, gdy powiem, że jeden oddział francuskich dragonów rozprószyłby całą chińską konnicę; krocie ich piechoty nie wytrzymałyby pierwszego natarcia niewielkiego oddziału naszego regularnego wojska a co się tyczy oblegania albo bronienia fortec, pojęcia o tem nie mają. To też bardzo byłem zdziwiony, słysząc po powrocie do kraju zachwyt i uniesienie nad potęgą, bogactwem i wspaniałością państwa chińskiego. Chińczycy są w gruncie rzeczy ciemnymi niewolnikami despotycznego rządu, w sam raz stósownego dla nich z powodu nizkiego stopnia cywilizacyi, a raczej zupełnej ciemnoty. Nauki stoją tam niezmiernie nizko. Używają wprawdzie Chińczycy map i globusów i mają pewne wiadomości z matematyki, ale najmędrsi ich uczeni tak mało wiedzą o obrocie ciał niebieskich i tak są ciemni, że gdy przychodzi zaćmienie słońca, myślą, że to wielki smok rzuca się na nie, żeby je połknąć, i każą bić w kotły i bębny dla odstraszenia potworu.

Opisując tu własne przygody i wrażenia, nie mogę zdawać sprawy z ogólnego stanu krajów, miast i okolic, które zwiedziliśmy; wspomnę o nich tylko pokrótce.

Znajdowałem się obecnie w samem sercu państwa Niebieskiego, jak je Chińczycy nazywają, pod trzydziestym stopniem północnej szerokości. Chciałem też koniecznie zwiedzić Pekin, do czego mnie ustawicznie zachęcał ojciec Szymom. Spólnik mój wahał się długo, gdy jednak nadjechał ów oczekiwany misyonarz z Makao i trzeba było coś postanowić, zgodził się i on na tę podróż.

Nadarzyła się nam właśnie dobra sposobność odbycia jej wygodnie i bezpiecznie w orszaku jednego mandaryna. Mandaryn jest to wysoki urzędnik chiński, rodzej wice-króla, czyli namiestnika dużej prowincyi. Gdy taki pan przejeżdża kraj, spotykają go zewsząd hołdy i oznaki czci, ale podróż taka jest ciężką klęską dla okolicznej ludności, która obowiązana jest dostarczać mu żywności dla koni i ludzi z jego orszaku i wogóle wszystkiego, czego zażąda. Przyjęcie nas do orszaku mandaryna kazano nam uważać za wielką łaskę i grzeczność, którąśmy swoją drogą suto opłacili. Zapewniło nam to wprawdzie opiekę oraz żywność i paszę dla koni, ale komisarz orszaku ściągał od nas za to wszystko niemało pieniędzy. Na takichsamych warunkach podróżowało z mandarynem ze trzydzieści innych osób. Jestto mała próbka zdzierstw i nadużyć, jakich się dopuszczają urzędnicy chińscy; biedna ludność musiała go utrzymywać z całą jego świtą, a on pobierał od

nas i od wszystkich podróżnych wygórowaną zapłatę za rzeczy, które sam otrzymywał darmo.

Dwadzieścia pięć dni jechaliśmy do Pekinu. Przebywaliśmy okolice niezmiernie gęsto zaludnione, ale wyglądające nędznie i ubogo. Chińczycy wogóle żyją w wielkiej biedzie, ale zdaje się, że jej nie odczuwają, nie znając lepszego bytu. Są jednak przytem tak próżni i chełpliwi, jak żaden inny naród na świecie. Zaprawdę, szczęśliwsi są od nich dzicy Indyanie amerykańscy,bo chociaż chodzą nago i nic prawie nie posiadają, ale żyją swobodnie, nie nakładając na siebie żadnych sztucznych więzów. Szalona próżność Chińczyków objawia się we wszystkiem: w sposobie ubierania się, w mieszkaniach, a zwłaszcza w ogromnej liczbie sług i niewolników, którymi się otaczają. Wyobrażają sobie, że ta okazałość budzi dla nich cześć i podziwienie, gdy tymczasem okrywa ich tylko śmiesznością w oczach cudzoziemców. Ubawiliśmy się też nieraz doskonale z ojcem Szymonem, przypatrując się temu wszystkiemu. Ta cała cywilizacya chińska wydała się nam daleko wstrętniejszą od dzikich zwyczajów w pustyniach tatarskich. Przyznać jednak muszę, że drogi, po których podróżowaliśmy, były doskonale wybrukowane i dobrze utrzymane.

Towarzyszył nam czas jakiś w podróży jeden zamożniejszy Chińczyk, mieszkający na wsi. Odprowadziliśmy go do jego mieszkania i odwiedziliśmy go tam, chcąc się przypatrzeć jego zwyczajom domowym. Ubranie jego świadczyło o ubóstwie połączonem z pychą i próżnością. Miał na sobie długi jaskrawy płaszcz perkalowy z szerokiemi rękawami, dobrze już zbrukany, a pod spodem kaftan jedwabny, bardzo zatłuszczony. Jechał konno; wierzchowiec jego był tak chudy i nędzny, że nie wiem, czy na jarmarku w Anglii zechciałby go kupić najuboższy wieśniak; koń ten pewnoby się z miejsca nie ruszył, gdyby nie dwóch niewolników, którzy, idąc z tyłu, poganiali go nieustannie batami, sam zaś pan i jeździec bił go ciągle kijem po głowie. Przodem kroczyło dwunastu pachołków, dodając okazałości pochodowi. Wkrótce po przybyciu do wioski mieliśmy zaszczyt podziwiać pana domu przyjmującego posiłek. Mówiono nam, że tem więcej przyjemności temu panu sprawimy, im dłużej mu się przypatrywać będziemy. Posadzono go w malusieńkim ogródku przed domem, pod cieniem karłowatej palmy, i, mimo że dosyć było cienia, rozpięto mu jeszcze nad głową duży parasol, stanowiący baldachim. Opasły obywatel rozparł się na szerokiem krześle z poręczami, a cztery niewolnice zajęły się jego osobą. Dwie przynosiły półmiski, a dwie karmiły jegomościa. Jedna wlewała mu łyżką do ust jedzenie, druga podtrzymywała mu talerz i ocierała brodę i kaftan, po których spływały sosy. Wstrętny to był widok lenistwa, niedołęztwa i niechlujstwa; to też nie chcieliśmy się nim długo napawać, a tylko ojciec Szymon został dłużej

chcąc, jak mówił, dowiedzieć się, co też ten pan jada na obiad. Opowiadał potem, że całą ucztę stanowił ryż z czosnkiem i kawałkiem chudej baraniny, przyprawionej pieprzem i jakimiś korzeniami, przyczem podawano coś podobnego do musztardy. Pan jadł z powagą a resztki rozdawał czekającym opodal niewolnikom.

Co do naszego mandaryna, z którym podróżowaliśmy, to trudno się było przypatrzyć sposobowi jego życia, bo otoczony był liczną świtą jakby jaki monarcha, a my tylko z daleka i jakby ukradkiem mogliśmy na niego spoglądać. Zauważyłem jednak, że konie miał nędzne, gorsze od naszych roboczych. Co prawda, konie te tak były okryte kapami, pakunkami, odzieżą, że zaledwie łby im z pod nich wyglądały; nie mogłem się im więc dobrze przypatrzeć.

Cała ta podróż do Pekinu była dla mnie jedną z najprzyjemniejszych. Lekko mi było na sercu, nic mi nie dolegało, przypatrywałem się wszystkiemu ciekawie i przez cały czas w doskonałem byłem usposobieniu. Raz wprawdzie miałem mały przypadek, a mianowicie przewróciłem się z koniem w chwili, gdyśmy przebywali małą rzeczkę. Nic mi się jednak nie stało, tylko skąpałem się trochę, a nie wspominałbym o tem wcale, gdyby nie to, że zamokła mi wówczas w kieszeni mała książeczka z zapiskami i pozacierały się nazwy niektórych ludów i miejscowości, przez które przejeżdżałem.

Wkońcu przybyliśmy do Pekinu, ja ze swoim służącym danym mi przez mego synowca, mój spólnik ze swoim, podobno jakimś dalekim krewnym, i Portugalczyk, który koniecznie chciał widzieć dwór cesarza chińskiego. Bardzo się nam przydał w tej drodze; znał on język i zwyczaje chińskie, mówił po francusku i trochę po angielsku, służył nam więc za tłómacza. Bawiliśmy już z tydzień w Pekinie, gdy dnia jednego przyszedł on do nas i rzekł śmiejąc się:

— No, panowie Anglicy, powiem wam coś, co was ucieszy.

— Cóż takiego? — spytałem zdziwiony.

— Tak, tak! — mówił dalej łamaną angielszczyzną — wy się będziecie cieszyć, ale ja będę z tego smutny.

— Cóżby to być mogło takiego, coby nas cieszyło, a was zasmucało?

— Bo wyście tu mnie z sobą wzięli tyle mil drogi, a teraz pojedziecie dalej, ja zaś biedny zostanę bez okrętu, bez koni i bez pieniędzy.

I jął nam dalej opowiadać, że w Pekinie znajduje się właśnie wielka karawana, składająca się z polskich i rosyjskich kupców, i że ma powracać do Europy, że więc niezawodnie do niej się przyłączymy, a jego samego zostawimy. W samej rzeczy ucieszyła mnie ta wiadomość, nastręczająca mi sposobność nowej, ciekawej podróży; zacząłem się więc rozpytywać Portugalczyka, czy to rzecz pewna. Odpowiedział mi, że spotkał na ulicy

starego znajomego Ormijanina, który do tej karawany należy i przybył z Astrachania a miał zamiar udania się do Tonkinu, gdziem się właśnie z nim dawniej był poznał; ale zmienił zamiar i wraca z karawaną do Moskwy, zkąd dostanie się Wołgą do Astrachania.

— Kochany panie — rzekłem do Portugalczyka — jest to rzeczywiście wyborna sposobność dostania się do Angii i nie omieszkamy z niej skorzystać, a co do was, to nie mamy przecie zamiaru zostawić was samego, chyba że chcecie koniecznie wracać do Makao.

Spólnik mój przystał chętnie na przyłączenie się do karawany i dodał, że nakupiwszy surowego jedwabiu, herbaty i innych towarów, możemy później sprzedać je wcale korzystnie. Sądził, że z Anglii łatwo mu będzie powrócić do Bengalu, że zresztą interesy jego nic na tem nie ucierpią, jeżeli trochę dłużej w drodze zabawi.

Portugalczyka postanowiliśmy zabrać z sobą do Moskwy, a nawet do Anglii, jeżeli tylko zechce, zapłacić mu koszta podróży i hojnie wynagrodzić różne usługi, jakie nam oddał jako retman, tłómacz i pośrednik w handlu, który nam sprowadził japońskiego kupca. Po naradzie wezwaliśmy go do siebie.

— Obawialiście się — rzekłem do niego — że pozostawimy was tutaj, a sami odjedziemy do Europy. Otóż pojedziemy wszyscy razem z ową karawaną, o której przynieśliście nam wiadomość.

— Nie mam pieniędzy na tak daleką podróż — była odpowiedź.

— Pomyślimy już o tem — odparłem. — Tak bardzo jesteśmy wam zobowiązani i tak bardzo cenimy wasze towarzystwo, że postanowiliśmy prosić was, żebyście jechali z nami do Europy. Koszta podróży bierzemy na siebie. Prócz tego zechciejcie przyjąć od nas sto siedemdziesiąt pięć funtów szterlingów jako wynagrodzenie za wasze trudy.

Stary marynarz ucieszył się niezmiernie i oświadczył, że gotów jechać z nami nawet na drugi koniec świata.

Rozpoczęliśmy przygotowania do podróży; ale pokazało się, że kupcy nie załatwili jeszcze swych interesów i że karawana wyjedzie dopiero za cztery miesiące. Korzystając z tej zwłoki, zajęliśmy się zakupnem towarów. Spólnik mój pojechał razem z Portugalczykiem do portu, w którym złożony był nasz ładunek, aby z nim jakiś koniec zrobić, ja zaś udałem się z jednym znajomym chińskim kupcem do Nankinu, gdzie nakupiłem dziewięćdziesiąt sztuk cienkiego adamaszku, dwieście sztuk rozmaitych jedwabnych materyi, gładkich i przetykanych złotem i rozmaitych innych chińskich wyrobów i towarów. Nakupiliśmy też dużo surowego jedwabiu. Wartość tego wszystkiego dochodziła ogółem do trzech tysięcy pięćset funtów szterlingów. Zaledwie z trudnością pomieściliśmy te towary na osiemnastu wielbłądach, a prócz tego mieliśmy jeszcze dwa juczne konie obładowane żywnością i sześć koni wierzchowych.

Ruszyliśmy z Pekinu w pierwszych dniach lutego. Było w karawanie do czterysta koni i wielbłądów, a przeszło sto dwudziestu ludzi dobrze uzbrojonych, by się w razie potrzeby bronić przed Tatarami, którzy tem są dla tutejszych karawan, czem Arabowie dla tureckich na Wschodzie. Znajdowali się między nami ludzie najrozmaitszych narodowości, najwięcej jednak, bo około sześćdziesięciu, było kupców moskiewskich, prócz nich kilku Inflantczyków i ku wielkiej naszej radości pięciu Szkotów, ludzi bardzo doświadczonych w podróży i handlu.

Zaraz pierwszego dnia podróży odbyliśmy walną naradę na żądanie pięciu naszych przewodników. Każdy z kupców i podróżnych złożył do ogólnej kasy pewną ilość pieniędzy na kupno w drodze żywności dla ludzi, koni i wielbłądów, na opłacanie przewodników i na inne wydatki. W przewidywaniu napadu Tatarów lub innych jakich zbójów zamianowano odrazu dowódzców, oficerów i t. d. i wyznaczono każdemu pewne obowiązki. Jednem słowem, ułożyliśmy cały plan obrony w razie jakiego niebezpieczeństwa.

Ruszywszy dalej w drogę, przebywaliśmy najpierwej okolice bardzo zaludnione, zamieszkałe głównie przez garncarzy. Trzeba wiedzieć, że Chińczycy słyną z wyrobów glinianych i porcelanowych. Pewnego dnia nasz Portugalczyk, którego głowy trzymały się zawsze jakieś żarciki, zbliżył się do nas z uśmiechniętą miną i powiedział, że pokaże nam coś bardzo ciekawego, wyraził oraz nadzieję, że tym razem i ja nawet, który nic dobrego nie znajduję u Chińczyków, będę musiał przyznać, że drugiej takiej osobliwości świat cały nie posiada; oświadczył wreszcie, że w okolicy znajduje się dom jakiegoś szlachcica cały z chińskiej gliny.

— Cóż w tem osobliwego — rzekłem — wiem przecie, że Chińczycy stawiają swoje lepianki z gliny.

— Ależ to nie prosta glina, tylko chińska, a chińska glina to znaczy: porcelana.

— A zatem domek z porcelany — zawołałem — a to musi być rzeczywiście wcale ładna zabawka. A gdyby ją tak kupić i zawieść do Europy w pudełku na grzbiecie wielbłąda!

— Na grzbiecie wielbłąda! — zaśmiał się Portugalczyk — ależ to przecie dom, który pomieści ze trzydzieści osób!

Ogromnie tem zaciekawiony pojechałem tam z Portugalczykiem. W istocie cały dom był z porcelany. Zewnątrz gładkie ściany olśniewającej białości, tak doskonale na słońcu wypalone, że twarde były jak kamień, przyozdobione były rysunkami i niebieskiemi malowidłami, jak chińskie wazy. Wewnątrz całe mieszkanie wyłożone było małemi kwadratowemi tafelkami z najprzedniejszej chińskiej porcelany. Tafelki różnokolorowe, gdzieniegdzie złocone, ułożone były w ten sposób, że tworzyły najpiękniejsze desenie i figury zlewające się w jedną całość.

Podłogi także były z gładkiej i trwałej jak kamień porcelany, choć niewypalonej i niemalowanej. Kilka tylko bocznych pokoików miało posadzkę ułożoną z takich samych tafelek, jak ściany. Sufit był także porcelanowy, a dach pokryty czarną, błyszczącą, porcelanową dachówką tak, że dom cały, powtarzam, istotnie był porcelanowy. Nie mogłem, niestety, przypatrzyć mu się dokładnie. Opowiadano mi tylko, że i sadzawki w ogrodzie miały dna i boki wykładane porcelaną. Chińczycy doprowadzili garncarstwo rzeczywiście do najwyższej doskonałości, tak że zasługuje ono u nich na nazwę nie rzemiosła, lecz sztuki. Ale też na karb tego powstało mnóstwo bajek i zmyśleń. Mnie samego upewniano, naprzykład, że Chińczyk jeden zrobił sobie porcelanowy okręt z masztami i żaglami, mogący pomieścić pięćdziesiąt osób i popłynął na nim do Japonii. Takiej niedorzeczności oczywiście uwierzyć nie mogłem.

Przypatrywanie się osobliwemu domowi zabrało mi dwie godziny czasu, przez co zatrzymałem całą karawanę. Za powrotem otrzymałem za to surowe napomnienie i musiałem zapłacić karę. Poddałem się jej bez oporu, wiedząc, że tylko wzorowy porządek i ścisłe posłuszeństwo może zapewnić karawanie bezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Mur chiński. — Potyczka z Tatarami. — Wjeżdżamy w granice państwa moskiewskiego.

W parę dni potem przebyliśmy ów sławny chiński mur, zbudowany jako obwarowanie służące za zaporę przeciw najściom Tatarów na Chiny. Olbrzymia ta budowa ciągnie się przez pola, góry, pagórki, rozpadliny i przepaście, często nawet niepotrzebnie w miejscach już z natury obronnych. Licząc zakręty i załamania, mur ten ma tysiąc angielskich mil długości, ale w prostej linii długość jego nie wynosiłaby więcej nad mil pięćset. Wysokości ma do ośmiu metrów i tyleż miejscami szerokości. Przypatrywałem się mu całą godzinę, tym razem bez żadnego uszczerbku dla karawany, która tymczasem przechodziła przez bramę. Przewodnik chiński zapytał mnie ciekawie, jak mi się ten cud świata podoba? Odpowiedziałem mu dwuznacznie, że jest to bardzo dobry środek obrony przeciw Tatarom. Byłem przekonany, że Chińczyk nie zrozumie właściwie słów moich i weźmie je za pochwałę. Ale nasz Portugalczyk, nie w ciemię bity, rozśmiał się na całe gardło i zawołał rubasznie:

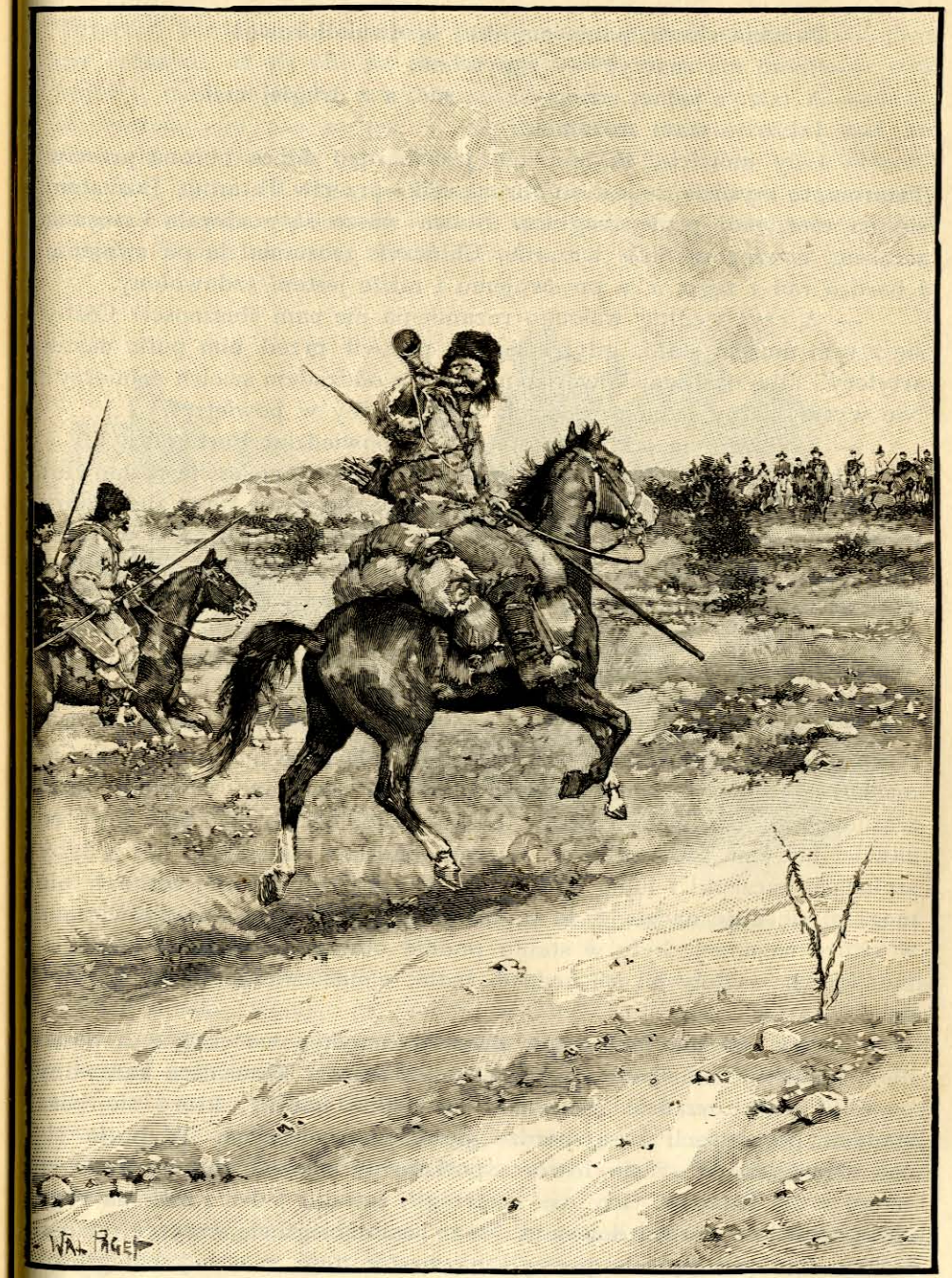

»Gdy nas spostrzegli, zatrąbił jeden z nich na rogu« (str. 344).

— Pańskie słowa, panie angliku, są dwukolorowe!

— Co to ma znaczyć? — zapytałem.

— A tak: z jednej strony są czarne, a z drugiej białe.

— Jakże to mam zrozumieć?

— Gdy mówicie, że mur ten jest bardzo dobrą obroną przeciw Tatarom, to myślicie, że jest on obroną tylko przeciw Tatarom. Poznałem się na tem, mój panie Angliku. Słowa wasze są pochwałą i naganą zarazem, a więc są białe i czarne. Chińczyk zrozumiał je po swojemu i bardzo rad z tego, a ja po swojemu i także jestem zadowolony.

— A czyż według waszego rozumienia nie nam słuszności? Cóżby się z tym murem stało, gdyby się tak pojawił przed nim pułk naszej artyleryi, albo nasi wojskowi inżynierowie z oddziałem swoich żołnierzy? Nie wytrzymałby jednego natarcia i wyleciałby w powietrze.

— Z pewnością takby się stało — odpowiedział Portugalczyk.

Chińczyk zaś nie rozumiejąc przysłuchiwał się ciekawie rozmowie; nie chciałem jednak, żeby się dowiedział od razu, jak złe mamy wyobrażenie o tem, co oni za ósmy cud świata uważają. Ale w kilka dni potem, gdyśmy już wyszli z posiadłości chińskich, pozwoliłem Portugalczykowi powtórzyć co do słowa całą naszą rozmowę o wielkim murze. Chińczyk był obrażony, ale za to przestał nas nudzić opowiadaniem bez końca o niezwyciężonej potędze chińskiego państwa i stracił wiele ze swej zarozumiałości i chełpliwości.

Weszliśmy teraz w okolicę rzadziej zaludnioną. Gdzieniegdzie tylko wznosiły się osady, a wszystkie były obwarowane, bo mieszkańcy musieli się często bronić przed napadami Tatarów. Dopiero tutaj zrozumiałem, jak niebezpiecznie byłoby oddalać się od karawany; co chwila bowiem spotykaliśmy krążące oddziały tatarskie, jak gdyby szukające zaczepki i łupu. Gdym się jednak z nimi bliżej zetknął, nie mogłem się dość nadziwić, że te dzikie hordy, niekarne i niewyćwiczone w sztuce wojennej, były w stanie podbić olbrzymie państwo chińskie. Koniki ich wydały mi się nędzne, małe, chude, niezdatne do wypraw dalekich.

Cztery już dni jechaliśmy przez puste, stepowe okolice, a dotąd nie doznaliśmy żadnej zaczepki ze strony Tatarów. Dowódzca karawany pozwolił nam urządzić polowanie na dzikie barany, które się pasą stadami po stepach i są bardzo pożądaną zwierzyną. Wybrało się nas szesnastu. W czasie łowów spotkaliśmy oddział złożony może ze czterdziestu Tatarów. Gdy nas spotrzegli, zatrąbił jeden z nich na rogu chrapliwie lecz bardzo donośnie. Na to hasło zbiegli się wszyscy, stanęli i widocznie wahając się patrzyli na nas z dość znacznej odległości. Był z nami jeden kupiec szkocki, dzielny i doświadczony człowiek. Objął on od razu nad nami dowództwo, a objaśniwszy nam zamiar

Tatarów, oświadczył, że należy natychmiast uderzyć na ten dziki hufiec, nie czekając, aż się oni na nas rzucą. Sprawieni przez Szkota w szyk bojowy, na dane hasło ruszyliśmy z kopyta na Tatarów. Oni, widząc to, strzelać do nas zaczęli z łuków, jednak żadna strzała nas nie dotknęła, ale nie dla tego, żeby źle mierzyli, bo słyną oni z celności strzałów, tylko dla tego, że zanadto byli od nas oddaleni. Osadziliśmy konie na miejscu, daliśmy do Tatarów ognia, a następnie, dobywszy szabel i mając Szkota na czele, skoczyliśmy ku nim, puściwszy konie galopem.

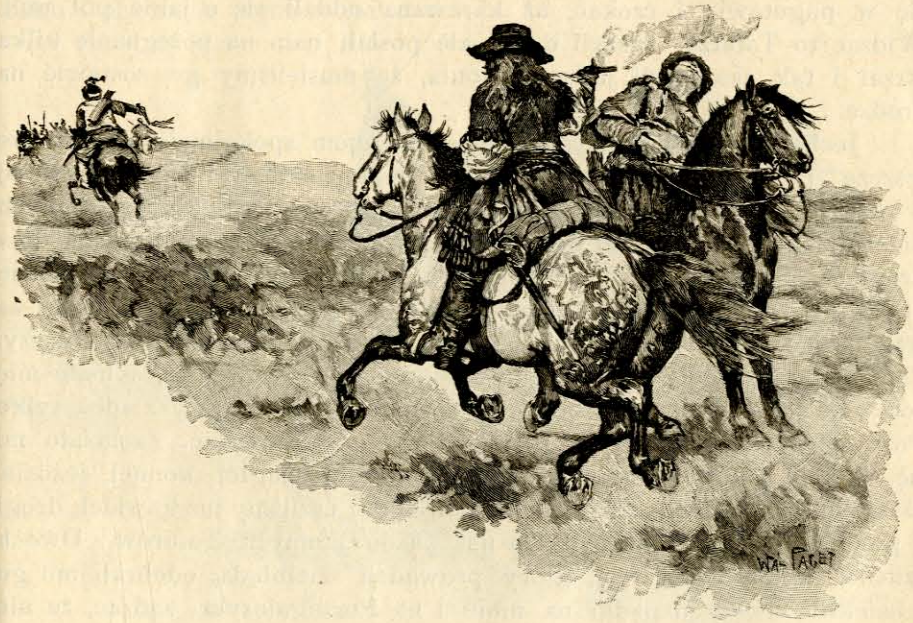

»Gdy wystrzałem z pistoletu jednego z konia zwalił, drugi umknął ku swoim«.

W tej chwili pierzchnęli w popłochu; tylko dwóch odważniejszych zostało z boku, wołając na swoich, aby nawrócili. Zwrócił się ku nim nasz dzielny Szkot i gdy wystrzałem z pistoletu jednego z nich zwalił z konia, drugi, nie wdając się w walkę, umknął ku swoim. Tak się skończyła ta potyczka, bez żadnej straty z naszej strony. Całe to zajście spotkało nas jeszcze w posiadłościach chińskich i tem można tłómaczyć widoczną niepewność w działaniu nacierających Tatarów. Później byli odważniejsi.

Po pięciu dniach dalszej podróży weszliśmy w rozległą pustynię, przez którą trzeba było iść trzy dni i trzy noce; nie było tu studzien ani źródeł, nie było ani jednego domu; to też zabraliśmy z sobą zapas wody w skórzanych workach, a nocowaliśmy pod gołem niebem.

Pytałem przewodników, do kogo ten kraj należy; odpowiedzieli, że wprawdzie zaliczają go do posiadłości chińskich, ale rząd chiński nie dba wcale o te pustkowia i nie zajmuje się niemi wcale; to też są one schronieniem wszelkiego rodzaju łotrzyków, a przez to bardzo niebezpieczne dla podróżnych. Rzeczywiście spotykaliśmy dość często gromady Tatarów, ale nas nie zaczepiali. Raz tylko jakiś hufiec konny, przejeżdżając obok nas, zatrzymał się chwilę, jakby się chciał przekonać, czy warto z nami zacząć. Uważając to za rodzaj zaczepki, uszykowaliśmy na tyłach czterdziestu ludzi, rozkazując im stanąć, trzymać się w pogotowiu i czekać, aż karawana oddali się o jakie pół mili. Widząc to Tatarzy, ruszyli dalej, ale posłali nam na pożegnanie kilka strzał i tak skaleczyli jednego konia, że musieliśmy go zostawić na drodze.

Jechaliśmy dalej przeszło miesiąc krajem spokojniejszym, zawsze jeszcze posiadłościami cesarza chińskiego. Nocowaliśmy zazwyczaj w rozrzuconych wśród stepów wsiach, po większej części obwarowanych przed napadami Tatarów. W jednej z nich, położonej o półtrzecia dnia drogi od miasta Naum, chciałem kupić wielbłąda, których tu wszędzie po drodze było pod dostatkiem. Pasły się one dobry kawał drogi za wsią na łące ogrodzonej murem, strzeżone przez kilku chińskich żołnierzy. Zamiast kazać sobie do karawany wielbłąda przyprowadzić, skusiło mię coś, żem tam pieszo poszedł na to pastwisko, wziąwszy z sobą tylko Portugalczyka i Chińczyka, który mi go miał sprzedać. Zachciało mi się poznać okolicę i wyprostować nogi po ciągłej konnej jeździe. Doszliśmy szczęśliwie. Wybrałem wielbłąda i uszliśmy już kawałek drogi z powrotem, gdy nagle napadło nas pięciu konnych Tatarów. Dwóch rzuciło się na Chińczyka, który prowadził wielbłąda, odebrali mu go i uciekli. Trzech napadło na mnie i na Portugalczyka, sądząc, że nie mamy broni. Ja rzeczywiście miałem tylko pałasz, ale towarzysz mój miał pistolet, o czem ja nawet nie wiedziałem. Dobywszy pałasza, zmusiłem jednego do cofnięcia się, ale drugi zaszedł mię z tyłu i tak silnie uderzył w głowę, że upadłem straciwszy przytomność. Byłoby już po mnie, gdyby nie mój zacny przyjaciel. Widząc, co się ze mną dzieje, dobył z kieszeni pistolet i palnął w łeb memu napastnikowi, następnie zwrócił się do drugiego i ciął go pałaszem, ale nie trafił jeźdźca, tylko skaleczył mu ciężko konia, odciąwszy ucho i kawałek szczęki. Biedne zwierzę, oszalałe z bólu, skoczyło w bok, ale wkrótce zwaliło się, przygniatając swego pana. Tymczasem nadbiegł Chińczyk; dostrzegłszy przywalonego, wyrwał mu z zapasa toporek i rozpłatał głowę na dwoje. Trzeci Tatarzyn stanął osłupiały, jakby stracił przytomność; nie nacierał i nie uciekał; dopiero, gdy zobaczył, że Portugalczyk nabija pistolet, porwał się z miejsca i pomknął w step jak strzała. Tak więc mój stary

marynarz ocalił mi życie. Ja tymczasem leżałem ogłuszony, nie wiedząc, co się wokoło mnie dzieje. Gdym zaczął przychodzić do przytomności, zdawało mi się, że budzę się z głębokiego snu. Dopiero poczuwszy ból w głowie i widząc krew ściekającą, przypomniałem sobie wszystko, co zaszło. Zerwałem się wtedy na równe nogi, gotów do walki, ale nie miałem już nic do roboty. Jeden Tatarzyn leżał zabity, z drugim załatwił się Chińczyk, a reszta uciekła z wielbłądem. Portugalczyk widząc, że żyję i że rana nie jest zbyt głęboka i niebezpieczna, zaczął mnie serdecznie ściskać. W istocie rana zagoiła mi się w przeciągu dni kilku i nie miała złych następstw.

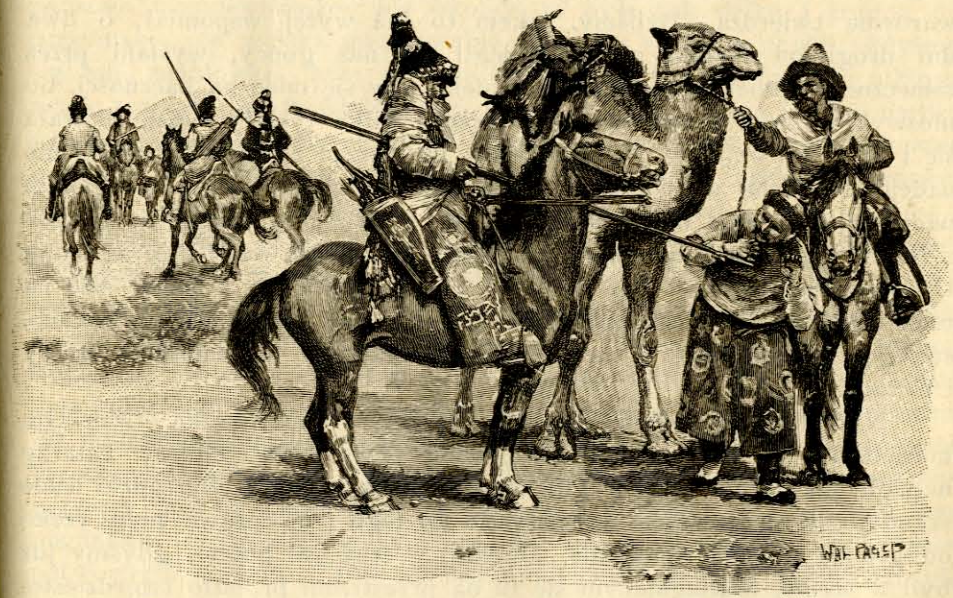

»Dwóch Tatarów rzuciło się na Chińczyka i odebrali mu wielbłąda« (str. 346).

Straciliśmy jednak wielbłąda a nie wynagrodził nam tego koń, zdobyty na Tatarzynie. Gdyśmy powrócili do wsi, zażądał Chińczyk odemnie zapłaty za wielbłąda; ja jednak uważałem żądanie to za niesłuszne. Zapozwał mię więc przed miejscowego sędziego, który, przyznać to muszę, przesłuchał nas z wielką uwagą, osądził bezstronnie i wydał bardzo sprawiedliwy wyrok. Zapytał on najpierw Chińczyka:

— Czyim byłeś służącym w chwili, gdyś prowadził wielbłąda?

— Nie byłem niczyim służącym — odparł Chińczyk — szedłem tylko z cudzoziemcem.

— A na czyje żądanie? — spytał sędzia.

— Na żądanie cudzoziemca.

— Zatem w owej chwili byłeś na usługach cudzoziemca, a wielbłąd zabrany przez Tatarów był właściwie zabrany jemu a nie tobie, skoro go sobie już przedtem był wybrał i tobie dał tylko do prowadzenia. Cudzoziemiec zatem powinien ci zapłacić.

Przyznałem słuszność sędziemu, zapłaciłem za wielbłąda i posłałem po drugiego, bo sam już iść nie miałem ochoty. Rozbita głowa i darmo wydane pieniądze nauczyły mnie nieco ostrożności.

Miasto Naum leży na granicy chińskiego państwa i uchodzi za twierdzę. Rzeczywiście oprzeć się może doskonale Tatarom, ale w krajach, gdzie używają dział oblężniczych, nie wytrzymałoby jednego szturmu i u nas na śmiechby się naraził, ktoby miasto takie nazwał warowną twierdzą. Byliśmy, jakem to już wyżej wspomiał, o dwa dni drogi od Naum, gdy nadbiegli do nas gońcy, wysłani przez tamecznego gubernatora, z ostrzeżeniem, aby się mieć na baczności, bo niezwykle liczna horda tatarska, licząca kilka tysięcy ludzi, ukazała się i kręci po okolicy. Polecono nam nie ruszać z miejsca, dopóki nie nadejdzie oddział wojska, który nam przysłać miano. W dwa dni potem nadjechało dwustu chińskich żołnierzy z poblizkiej załogi a trzystu z Naum. Pod tak silną strażą mogliśmy już śmiało puścić się w drogę i postępować naprzód bez obawy. Trzystu żołnierzy z Naum szło na czele karawany, dwustu zamykało pochód, nasi ludzie szli po bokach, strzegąc wielbłądów, a w środku umieszczono najcenniejsze rzeczy i towary.

Nazajutrz wczesnym rankiem, nieopodal miasteczka Czan-Gu, musieliśmy się przeprawiać na promie przez rzekę. Gdyby Tatarzy napadli nas byli w owej chwili, mogliby nam w istocie wyrządzić wiele szkody. Ale na szczęście nie przyszło do tego i przeprawa przez rzekę odbyła się zupełnie spokojnie. Dopiero w trzy dni potem, gdyśmy już byli w stepie, rozciągającym się tu na przestrzeni przeszło czterdziestomilowej, ujrzeliśmy z daleka tuman kurzu, zapowiadający zbliżającego się nieprzyjaciela. Żołnierze chińscy, jadący na czele, widząc to, zaczęli się co chwilę oglądać. Był to zły znak, wskazujący, że niewiele można było na nich liczyć. Tegoż zdania był i mój Portugalczyk; szepnął mi więc do ucha, że trzebaby tym naszym wojakom dodać jakoś męstwa, bo inaczej wszyscy drapną; gdyby tak mieli po bokach po kilkudziesięciu naszych ludzi, toby im zaraz w dobrej kompanii wróciła pierwotna odwaga. I mnie się to samo zdawało; pośpieszyłem więc z tem do naszego dowódzcy. Wyznaczył on rzeczywiście pięćdziesięciu naszych ludzi na prawe, pięćdziesięciu na lewe skrzydło chińskich żołnierzy, reszta miała pilnować wielbłądów i towarów. Tylną straż zostawiliśmy, jak była, zastrzegając sobie tylko, aby przysłała nam stu ludzi na pomoc, gdy tego zajdzie potrzeba. Tymczasem zbliżała się ku nam przednia straż

tatarska, widocznie dla wybadania, kim jesteśmy. Grzmotnęliśmy do nich od razu z palnej broni i to z obu skrzydeł. Nie spodziewali się widocznie takiego przyjęcia, bo po krótkim namyśle zawrócili i popędzili do swej hordy i wkrótce wszyscy zniknęli nam z oczu, gubiąc się w stepie. Bardzośmy temu byli radzi, nie pragnęliśmy bowiem wcale staczać bitwy w tak niekorzystnych dla siebie warunkach.

Jeszcze dwa dni szliśmy do Naum, gdzieśmy cały dzień odpoczęli. Złożywszy gubernatorowi podziękowanie za przysłane nam wojsko, zebraliśmy między sobą składkę i wynagrodziliśmy chińskich żołnierzy. Naum jest twierdzą graniczną, posiada załogę około tysiąca żołnierzy. Opowiadano nam, że dawniej tuż za tem miastem zaczynała się granica państwa moskiewskiego; ale okolica ta była tak dzika i trudna do utrzymania, że wojska moskiewskie wycofały się, i w chwili, gdyśmy się tam znajdowali, była to przestrzeń kraju nie należąca do nikogo, a tak rozległa, że do właściwych granic rosyjskich było jeszcze bardzo daleko. Przeprawiliśmy się przez kilka rzek i przebyliśmy dwie ogromne pustynie. Przez jedną z nich szliśmy dni szesnaście. Pytaliśmy przewodników, jak się ten kraj nazywa; odpowiedzieli: Niczyj.

Stanęliśmy wreszcie na granicy rosyjskiej w dniu trzynastym kwietnia. Pierwsze, jakie się tam napotyka, miasto nazywa się Arguńsk i leży nad rzeką Arguń. Z niezmierną radością zbliżałem się do tego miasta. Łatwo pojąć, że kto tak, jak ja, przeszedł tak ogromny kawał świata, obracając się wciąż wśród pogan i bałwochwalców, ten musiał doznać niewysłowionej błogości, znalazłszy się wreszcie w kraju chrześcijańskim. Aż dotąd przechodziliśmy przez kraje, których ludność oddawała cześć przeróżnym bałwanom, cudacznym posągom, wyobrażającym rozmaite potwory ludzkie i zwierzęce. Po miastach wznosiły się pagody i inne pogańskie świątynie, wystawione na cześć rozmaitych, najczęściej potwornych bożków. Teraz nareszcie spotykać mieliśmy chrześcijańskie świątynie i przebywać wśród ludzi, wyznających prawdziwą wiarę. To też gdyśmy przekroczyli granicę, podjechałem do Szkota, a ściskając serdecznie dłoń jego, zawołałem z radością: »Dzięki Bogu, przybyliśmy nakoniec do chrześcijańskiego kraju«. Na to odrzekł mi z uśmiechem, że się cieszę zawcześnie i zwrócił mi uwagę, że jeszcze bardzo długo podróżować będziemy przez kraj zamieszkany przez pogan, gdzie tylko wojsko i nieliczni mieszkańcy miast będą chrześcijanami. I rzeczywiście jeszcze przez długie miesiące przebywaliśmy okolice, których mieszkańcy pogrążeni są w najgrubszem bałwochwalstwie.

Znajdowaliśmy się teraz, o ile mi było wiadomo, pośrodku największej przestrzeni lądowej, jaka istnieje na kuli ziemskiej, w odległości tysiąca mil od mórz i oceanów. Jechaliśmy długi czas okolicą stepową, nie spotykając wcale miast, ani wogóle nic godnego uwagi. Zauważyłem

tylko, że rzeki płyną ku wschodowi i wpadają, jak to zobaczyłem na mapie, do wielkiej rzeki Amur, która toczy swe wody ku Oceanowi Wielkiemu. Opowiadano mi cuda o niezmiernie gęstych i wysokich sitowiach, rosnących jakoby przy ujściu tej rzeki; mnie się jednak zdaje, że są to wszystko bajki i zmyślenia. Nie mogę bowiem uwierzyć, aby wiotka trzcina dochodziła do dziesięciu metrów wysokości. Wiem tylko, że żegluga po Amurze niezmiernie jest utrudniona z powodu Tatarów, koczujących z swemi trzodami na jego pobrzeżach. Nie słyszałem też, aby się kto odważył popłynąć aż do ujścia Amuru, które się ma znajdować koło pięćdziesiątego stopnia północnej szerokości. Zresztą, ponieważ niema tam żadnego ruchu handlowego, niema też i żeglugi.

Na północ od Amuru płynie kilka wielkich rzek w kierunku północnym i wpada do Oceanu Lodowatego, to jest północnego. Kraj, gdzie te rzeki biorą początek, jest według chińskich podań kolebką najstarożytniejszych plemion Tatarów mongolskich, które początek swój wywodzą od Goga i Magoga, wzmiankowanych w Historyi świętej; od tych Mongołów pochodzić mają wszyscy inni Tatarowie. Od rzeki Arguni począwszy, posuwaliśmy się już zwolna naprzód, często odpoczywając na dość wygodnych noclegach, a to dzięki temu, że napotykaliśmy ciągle miejscowości obwarowane, w których były osady żołnierskie. Stacye te przypominały mi owe starożytne osady, zakładane niegdyś przez Rzymian na najodleglejszych krańcach olbrzymiego ich państwa. Przekonałem się wtedy na własne oczy, o czem mię Szkot już był uprzedził, że żołnierze owych załóg byli jedynymi chrześcijanami tych okolic, reszta zaś mieszkańców czciła gwiazdy, słońce lub księżyc i była równie ciemna jak amerykańscy Indyanie, z tą tylko różnicą, że nie oddawała się ludożerstwu.

ROZDZIAŁ XL.

Bożek Czam-Czi-Tangu. — Nocna wyprawa i jej skutki. — Kraj Tunguzów. — Przybycie do Tobolska.

W drodze pomiędzy Arguńskiem a Nerczyńskiem, ale już bliżej Nerczyńska, zaszedłem do jednej wioski dla przypatrzenia się obyczajom mieszkańców. Był to, zdaje się, jakiś dzień świąteczny, bo cała ludność zgromadzona była za wsią naokoło wielkiego pnia, na którym ustawione było jakieś drewniane straszydło. Potworowi temu oddawali ludzie cześć i składali przed nim ofiary. Bałwan ów miał ohydną twarz, nie przypominającą niczem ludzkiej istoty, uszy tak wielkie jak

koźle rogi, oczy jak duże talary, nos zakręcony jak róg barani, paszczę do lwiej podobną z ogromnymi kłami a brodę w kształcie papuziego dzióba. Nie miał rąk ani nóg a ubrany był w baranią skórę, obróconą kudłami na wierzch i w takąż czapkę z dwoma olbrzymimi rogami. Wysoki zaś był około trzech metrów.

Naokoło tego potwora leżało plackiem na ziemi kilkunastu ludzi i to tak nieruchomo, że w pierwszej chwili wziąłem ich również za figury z drzewa wyciosane. Nie mogłem odróżnić kobiet od mężczyzn, bo jednakowo wszyscy byli poubierani i leżeli twarzą do ziemi. Za zbliżeniem się naszem zerwali się wszyscy i zaczęli uciekać, wydając przeraźliwe wrzaski, podobne do ujadania gończych psów. W pobliżu bałwana był rodzaj namiotu, rodzaj chaty ze skór baranich i kozich. Wewnątrz stało trzech rzeźników, tak przynajmniej wyglądali, trzymając w rękach długie noże, którymi widocznie zarżnęli przed chwilą trzy barany i jedno cielę. Były to prawdopodobnie ofiary poświęcone bałwanowi, a ludzie, których wziąłem za rzeźników, kapłani i ofiarnicy. Barany i cielaka przyprowadzić musieli modlący się ludzie dla uproszenia łaski swego potwornego bóstwa.

Oburzony byłem do głębi tak obrzydliwem i dobrowolnem poniżeniem ludzkiej godności. W głowie nie mogło mi się pomieścić, jakim sposobem człowiek, najdoskonalsze z boskich stworzeń, którego umysł obsypany jest z łaski Nieba tysiącznymi darami, może dojść do takiego stopnia ogłupienia, aby oddawać cześć potwornemu bałwanowi, którego sam z drzewa wyrobił. Nie uwierzyłbym, gdyby mi o czemś podobnem opowiadano; tu jednak wątpić nie mogłem, widząc to na własne oczy. To też po chwili zdziwienie moje zmieniło się w tak gwałtowne oburzenie, że nie namyślając się długo, przeciąłem szablą czapkę bałwana na dwoje tak, że jeden róg opadł i wisiał na strzępku. Któryś z naszych ludzi, idąc za moim przykładem, ściągnął na ziemię kożuch, przykrywający bożka. Ale w tej chwili dostrzegli to z daleka poganie i gromadzić się zaczęli, wyjąc i piszcząc przeraźliwie; a że uzbrojeni byli w łuki, nie pozostawało nam nic innego, jak umknąć przed nimi, co też uczyniłem, postanowiwszy jednak powrócić tu raz jeszcze.

Karawana nasza miała się zatrzymać cztery dni w Nerczyńsku dla wymiany koni; większa bowiem część naszych wierzchowców podbiła się i okulała w drodze. Miałem więc czas na wykonanie zamierzonej wycieczki. Zwierzyłem się Szkotowi z zamiaru wypłatania figla ciemnemu i zabobonnemu ludowi, a szczególniej jego kapłanom, wyglądającym na wielkich oszustów. Powiedziałem mu, że zabiorę kilkunastu dzielnych chłopców z naszej karawany i z ich pomocą obalę wstrętne bożyszcze. W ten sposób, mówiłem, przekonam ich, że oddają cześć martwemu klocowi, kawałkowi pnia ściętego, który bronić się nie potrafi i nie

rozumie modłów do siebie zanoszonych. Liczyłem na to, że szkocki kupiec, znany ze swej odwagi i przytomności umysłu, zechce mi dopomódz w tem przedsięwzięciu. Ale on widocznie nie brał wcale tej sprawy do serca i rzekł śmiejąc się:

— Bardzo to piękna gorliwość z waszej strony, ale powiedzcie sami, na co się to przyda?

— Na to, żeby się pomścić za obrazę boską, jaką jest oddawanie czci temu plugawemu bałwanowi.

— Ależ oni tego wcale nie rozumieją. Obaczą tylko, że zniszczyliście to, co oni mają za świętość, a wówczas będą się straszliwie mścić, bo ludzie w takich razach bywają bardzo zawzięci.

— Więc im wypiszę na papierze, dlaczego tak postąpiłem, i papier ten zostawię na miejscu, gdzie stało bożyszcze.

— Ależ zapominacie, że nie znajdzie się ani jeden pomiędzy nimi, któryby jakiekolwiek pismo rozumiał; cóż więc im z tego przyjdzie, że zobaczą jakiś papier pokryty niezrozumiałymi znakami?

— O nieszczęsna ciemnoto! — westchnąłem — i cóż tu począć z takimi ludźmi?

— Co więcej — mówił dalej kupiec — gdybyście wykonali zamach na pogańskie bożyszcze, gromady ludzi obległyby gubernatora w Nerczyńsku, żądając na was kary; gdyby zaś odmówił, cała ludność okoliczna z pewnościąby się zbuntowała.

Słowa te ostudziły mój zapał, ale tylko na krótko, bo już dnia następnego gotów byłem do zuchwałej wycieczki; brakowało mi tylko spólników. Tymczasem kupiec szkocki zmienił także zdanie, bo spotkawszy się ze mną, tak mię zagadnął:

— Zdaje się, żem was wczoraj odwodził od poczciwego zamiaru; zastanowiwszy się jednak głębiej nad tem, coście mi mówili, pomyślałem sobie, że i ja przecie znieść nie mogę bałwochwalstwa i ciemnoty.

— Odwlekliście wprawdzie rzecz swojemi uwagami — odrzekłem — ale nie przeszkodzicie, bo i tak, co zamierzałem, zrobię, zanim ztąd odjedziemy, choćbym miał z tego powodu nawet wpaść w ręce bałwochwalców.

— A niech was Bóg od tego uchowa!

— Cóżby mi oni zrobili?

— A czy nie słyszeliście, co zrobili pewnemu Rosyaninowi, który podobnie, jak wy, targnął się na ich bożyszcze? Oto naprzód pokaleczyli mu nogi tak, że się nie mógł z miejsca ruszyć, następnie rozebrali go do naga, posadzili na pniu, a otoczywszy wokoło, strzelali do niego z łuków tak, że cały był gęsto strzałami naszpikowany, a potem upiekli go przy ogniu na cześć swojego bóstwa.

— Czy to przy tym samym bałwanie?

— Tak jest, przy tym samym.

— A! to niechże choć bałwan będzie ukarany. I opowiedziałem mu całe nasze zajście na Madagaskarze, kiedy to ludzie nasi, mszcząc się za śmierć jednego ze swoich, zrabowali całą wioskę i wymordowali wszystkich mieszkańców. Co prawda, rzekłem, to i ta wioska zasłużyła na los podobny. Na to rzekł Szkot, że Rosyanin, o którym była mowa, nie został zamordowany w tej wiosce, ale o kilkadziesiąt mil dalej, w zupełnie innej osadzie, i że tylko bałwan jest ten sam, bo jest to bożyszcze obwożone przez ich kapłanów po całym kraju. Odpowiedziałem, że w takim razie tembardziej należy ukarać bałwana i że uczynimy to jeszcze tej nocy. Widząc mnie tak na wszystko gotowym, oświadczył poczciwy Szkot, że nie pozwoli, abym sam jeden narażał się na niebezpieczeństwo, że więc będzie mi towarzyszył i nakłoni też jeszcze jednego rodaka swego do wzięcia udziału w tej wyprawie. Był nim kapitan Ryszardson. Ten wysłuchawszy, o co rzecz idzie, powiedział, że pójdzie z nami bardzo chętnie, chociażby to nawet życiem miał przypłacić. Chciałem i spólnika swego nakłonić do udziału w wyprawie, ale odpowiedział, że w każdym innym wypadku chętnieby mi dopomógł, wdawać się jednak w tak szalone przedsięwzięcie, chociażby ze mną, ani chce ani może. My trzej więc tylko z pomocą mojego służącego mieliśmy wykonać zamach.

Szkocki kupiec, raz postanowiwszy wziąść udział w wyprawie, zabrał się do niej z właściwym sobie zapałem. Dostarczył nam przebrania tatarskiego, a mianowicie kożuchów, baranich czapek, łuków i strzał, tak że wyglądaliśmy na Tatarów, a zwłaszcza w nocy trudno nas było od nich odróżnić. Odłożyliśmy wyprawę na noc następną, wyjazd nasz bezpośrednio poprzedzającą, umyślnie w tym celu, aby nas poganie już w Nerczyńsku nie zastali, gdyby ze skargą na nas do gubernatora przyszli. Nazajutrz wieczorem, może w godzinę po zachodzie słońca, wykradliśmy się cichaczem z karawany i koło jedenastej godziny przybyliśmy na miejsce, gdzie stało bożyszcze. Niebo było zachmurzone, księżyc jednak na tyle przeświecał, że mogliśmy doskonale rozpoznać miejsce i otoczenie. Bałwan stał na miejscu, nikogo przy nim nie było, ale z poblizkiej chaty dochodziły odgłosy rozmowy; widocznie czuwali jeszcze trzej kapłani, wzięci przezemnie za rzeźników. Próbowaliśmy ruszyć z miejsca ów kloc drewniany i powlec go gdzieindziej, ale taki był ciężki, żeśmy go podnieść nie mogli. Stanęliśmy chwilę, wahając się, co począć. Obawialiśmy się podłożyć od razu ogień, bo gdyby kapłani to zobaczyli, podnieśliby straszny krzyk i ściągnęliby nam na kark całą wieś, zanimbyśmy dzieła dokonali. Wtedy radził Szkot podłożyć ogień pod chatę i pozabijać kapłanów, aby nam nie przeszkadzali. Sprzeciwiłem się temu, chciałem

bowiem tylko wstrętne bożyszcze zniszczyć, a nie mordować bez potrzeby jego kapłanów. Postanowiliśmy wkońcu kapłanów żywcem pochwytać i powiązać jak barany, a potem już bez przeszkody zabrać się do bożka. Zapukaliśmy do drzwi, a gdy jeden z kapłanów wychylił się do nas, pochwyciliśmy go szybko i po cichu zakneblowaliśmy mu usta tak prędko, że głosu z siebie nie wydał. Związanego rzuciliśmy na ziemię u stóp bałwana. Następnie dwóch z nas podeszło znowu pode drzwi, czekając, czy kto jeszcze ztamtąd nie wyjdzie; gdy się nikt nie pojawił, zapukaliśmy znowu. Wtedy ukazało się dwóch ludzi; pochwyciliśmy ich tak samo, jak pierwszego i powiązali. Nie odbyło się to już tak cicho jak pierwszym razem, to też ukazało się w progu jeszcze trzech ludzi zwabionych hałasem; dwóch z nich nie uszło rąk naszych, trzeci się cofnął, ale Szkot skoczył za nim i przerażonego z łatwością powiązał. Wtedy zabraliśmy się do podpalenia bałwana radzi, że przekonamy bałwochwalców, iż bożek nie tylko ich, ale sam siebie ochronić nie potrafi. Umieściwszy powiązanych niedaleko bałwana, aby się mogli dobrze przypatrzyć wszystkiemu, co będziemy robić, wysmarowaliśmy głowę i całą postać drewnianego potwora smołą i łojem, napchaliśmy mu pod czapkę, w oczy, uszy i paszczę prochu strzelniczego i siarki, a służący mój obłożył jeszcze całą figurę suchą słomą znalezioną w chacie, poczem podłożyliśmy ogień. Gdy proch wybuchnął, rozleciała się głowa bożka na drobne kawałki. Chcieliśmy już wtedy odejść, ale szkocki kupiec zwrócił naszą uwagę, że kapłani, doprowadzeni tym wypadkiem do rozpaczy, gotowi rzucić się sami w płomienie, wśród których dopalało się ich bóztwo. Zatrzymaliśmy się więc, póki ogień nie dogasł, poczem dopiero pomknęliśmy w stronę miasta.

Gdyśmy nazajutrz już byli wyruszyli z Nerczyńska, napłynęły tam gromady Tatarów, żądając od gubernatora zadośćuczynienia za znieważenie kapłanów i zniszczenie bożka ich Czam-Czi-Tangu. Ludność była w wielkim strachu, gdyż Tatarzy nadciągali tłumami i zebrało się ich pewno kilka tysięcy. Gubernator uspokajał ich, jak mógł, przyrzekał, że wynajdzie winowajcę i przykładnie ukarze. Upewniał przytem, że sprawcami nie mogą być żołnierze z miejskiej załogi, gdyż ani jeden nie wydalał się z miasta w ową noc, gdy spalono bożka. Tatarzy odpowiedzieli na to, że cały kraj na setki mil dokoła czci wielkiego bożka Czam-Czi-Tangu, i że przeto znieważyć go musiał tylko jakiś niewierny, chrześcijanin, a wiadomo przecie, że wszyscy żołnierze rosyjscy są chrześcijanami. Gubernator chcąc ułagodzić wzburzonych, wysłuchał cierpliwie ich skarg i pogróżek, a potem wyrazil podejrzenie, że zbrodni owej dopuścić się musiał ktoś z karawany, która właśnie przed kilku godzinami odjechała w stronę Moskwy. Obiecał przytem, że wyśle

za nią gońców, żądając wydania winowajcy. Uspokoiło to cokolwiek tłumy. Gubernator wysłał rzeczywiście za nami gońców, ostrzegając, abyśmy przyśpieszyli pochód, gdyż inaczej dognać nas mogą rozjuszone tłumy tatarskiej dziczy; dodawał przy tem poufnie, że jeśli w samej rzeczy który z nas spalił bożka, to powinien się ukrywać lub uciec, bo grozi mu istotne niebezpieczeństwo.

Ostrzeżenie to przyjęła karawana ze zdziwieniem i przestrachem, nikt się jednak nie mógł domyślić, ktoby mógł być sprawcą; my zaś nie zdradzaliśmy się z niczem. Dowódzca karawany usłuchał rady gubernatora i kazał przyśpieszyć pochód, wskutek czego jechaliśmy dwa dni i dwie noce, zatrzymując się tylko dla popasów. Przenocowawszy

» . . . przysłali do nas trzech posłów« (str. 356).

w pewnej wsi wjechaliśmy w pusty step, gdzie nas Tatarzy łatwo doścignąć mogli. Drugiego dnia dostrzegliśmy za sobą wielkie tumany kurzu; domyśleliśmy się, że zbliża się pogoń za nami. Gdyśmy w jakiś czas potem jechali wzdłuż południowych brzegów Szakszyńskiego jeziora, spostrzegliśmy, że wzdłuż północnych jego brzegów jedzie mnóstwo jeźdźców również ku zachodowi. Byli to Tatarzy. Sądząc, że przed nimi jedziemy, ścigali nas w tym kierunku i dopiero nazajutrz, poznawszy swą pomyłkę, zaczęli się do nas zbliżać. Było to pod wieczór. Właśnie przed chwilą rozłożyliśmy się na nocleg pod gołem niebem, w bardzo dogodnem miejscu: po obu bokach mieliśmy wielkie gęstwiny leśne, a przed nami płynęła rzeczka, oddzielając nas od Tatarów. Prócz nas nikt z karawany nie wiedział, z jakiego powodu

Tatarzy nas ścigają. Ponieważ karawany przechodzące przez puste stepy zakładają na noc zawsze obwarowany obóz dla bezpieczeństwa przed napadem Tatarów, włóczących się po stepie, przeto i teraz przedsięwzięto zwykłe środki ostrożności i w tym celu z natury obronną stronę od rzeczki wzmocniono jeszcze taborem z wozów, koni, wielbłądów i pak, a wieczorem niebroniony tył zasłonięto zasiekami z pościnanych w tym celu drzew. Lecz nieprzyjaciel się zbliżył, jeszcze zanimeśmy zdołali obwarowania dokończyć.

Tym razem nie postąpili sobie, jak zwyczajni rabusie, lecz przysłali do nas trzech posłów, żądając wydania tych, co znieważyli ich kapłanów i spalili bożka Czam-Czi-Tangu. Obiecywali, że jeśli karawana zadość uczyni ich żądaniu, to oddalą się spokojnie, zabierając z sobą winnych, by ich spalić; w przeciwnym razie wytępią nas co do jednego. Ludzie nasi pobledli słuchając tych gróźb i spoglądali badawczo jeden na drugiego, ale nikt się nie przyznał i sprawcy, czyli raczej sprawców, nie wykryto. Dowódzca karawany odpowiedział tedy posłom, że nikt z naszej karawany nie dopuścił się czynu, o który nas obwiniają, że jesteśmy spokojnymi kupcami podróżującymi w celach handlowych, żeśmy nikomu krzywdy nie wyrządzili, że zatem powinni zostawić nas w spokoju, gdyż inaczej bronić się będziemy do upadłego.

Odpowiedź ta wcale Tatarów nie zadowolniła. Ze świtem podstąpili pod nasz obóz; widząc jednak, że zajmujemy korzystne i obronne stanowisko, zatrzymali się na chwilę, widocznie, by zbadać, z której słrony łatwiej na nas uderzyć. Patrzyliśmy z przestrachem na ich przeważającą siłę, gdyż, lekko licząc, było ich tam kilka tysięcy. Wtem rzucili się naprzód z przeraźliwem wyciem, obsypując nas gradem strzał. My jednak byliśmy tak dobrze ukryci za swoim taborem, że żaden z nas nawet ranny nie został. Ale zwolna zaczęli nas okrążać, zagrażając prawemu skrzydłu; obawialiśmy się, że uderzą na tyły naszego obozu. W tej groźnej chwili kozak jeden, towarzyszący naszej karawanie, oświadczył naszemu dowódzcy, że podejmuje się odpędzić od nas tę tatarską hordę i skierować ją w inną stronę.

Tak też rzeczywiście zrobił. Przebrawszy się za Tatara i uzbroiwszy się w łuk i strzały, dosiadł konia i, objeżdżając daleko naokoło, popędził na drogę od Nerczyńska prowadzącą, następnie zawrócił i wpadł nagle między Tatarów, udając gońca wysłanego z Nerczyńska z wiadomością, że sprawcy zamachu na Czam-Czi-Tangu znajdują się w innej karawanie, która poszła inną drogą, i że zamierzają jeszcze w dodatku spalić Szal-Izara, bożka tunguskich Tatarów. Kozak ów, sam jeszcze na pół Tatar, wywiązał się doskonale z zadania. Wytłómaczył im tak dosadnie zmyśloną przez siebie historyę, że uwierzyli mu od razu i puścili się pędem na drogę przez niego wskazaną.

Odetchnęliśmy nareszcie swobodnie, gdy nam całkiem z oczu zniknęli, i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przybywszy do obwarowanego miasteczka, wypoczęliśmy tam dwa dni po trudach poprzedniego pochodu. Ponieważ mieliśmy znowu jechać przez step bezludny, przeto zaopatrzyliśmy się tam w namioty i wozy dla przewiezienia zapasów wody i żywności. Podróż to była niezmiernie męcząca, bośmy szli przez pustynię, na której nie tylko chaty, ale nawet drzewa, ani krzaka jednego nie było. Po trzech tygodniach, przebywszy pustynię, jechaliśmy już krajem daleko ludniejszym, napotykając często wsie i miasteczka, osadzone załogami wojskowemi, które roztaczają opiekę nad wędrownymi kupcami i karawanami i bronią ich przed napadami Tatarów. Tak naprzykład komendant miasteczka Udyńska, którego odwiedziłem ze szkockim kupcem, przydał naszej karawanie oddział pięćdziesięciu kozaków, którzy odprowadzili nas do następnej stacyi.

Myślałem, że w miarę posuwania się na zachód, znajdziemy wśród ludności więcej cywilizacyi i oświaty; ale nadzieja ta zawiodła mnie zupełnie. Tunguzi, przez których kraj teraz z kolei przejeżdżaliśmy, są chyba najdzikszym narodem na świecie, a przynajmniej najmniej oświeconym. Nie są wprawdzie tak drapieżni, jak Tatarzy mongolscy, ale zato żyją w straszliwem bałwochwalstwie, oddając cześć niezliczonej ilości bożków. Ubierają się w skóry zwierzęce, a mieszkają w jurtach t. j. namiotach zrobionych również ze skór zwierzęcych. Nie mogłem nigdy odróżnić mężczyzn od kobiet, bo ubierają się jednakowo, a i w twarzach ich nie można dopatrzeć wielkiej różnicy. W zimie, gdy śnieg ziemię pokryje, kopią sobie jamy podziemne i żyją w nich jak zwierzęta. Bożków mają całe zastępy. W każdej jurcie trzymają jakiegoś bałwanka i cześć mu oddają; prócz tego czczą gwiazdy, słońce, wodę śnieg, słowem, wszystkie żywioły i wszystkie rzeczy, które się im wydają niezwykłe. Nie zdarzyło się nam zresztą nic nadzwyczajnego w kraju Tunguzów. Przebywaliśmy znowu olbrzymie przestrzenie prawie bezludne; tak np. jechaliśmy raz dwanaście dni, nie napotkawszy żadnej ludzkiej osady. Step ten leży o dwa dni drogi od miasta Jenisiejska, położonego nad rzeką Jenisiej, która, jak mi mówiono, była dawniej już ostatnią granicą Syberyi.

Cała ludność, zamieszkująca kraj położony między rzekami Jenisiejem a Obią, pogrążona w bałwochwalstwie, jest równie dzika jak Tatarzy, a dziksza od krajowców amerykańskich. Cała ta część Syberyi jest urodzajna i wesoła, ale zupełnie jeszcze nieuprawna i wygląda skutkiem tego bardzo dziko. Garstka mieszkańców, którycheśmy tam widzieli, byli to sami poganie z wyjątkiem wysłanych tu za karę wygnańców. Spotyka się ich tu bardzo wielu po obu brzegach Obi; los

ich jest bardzo smutny, bo nie mają żadnej nadziei wydostania się ztąd kiedykolwiek i powrócenia do kraju. Po siedmiomiesięcznej podróży przez stepy i pustynie przybyliśmy nareszcie do miasta Tobolska, położonego nad rzeką Irtyszem, stolicy Syberyi. Zatrzymałem się tu czas dłuższy.

ROZDZIAŁ XLI.

Pobyt przez zimę w Tobolsku. — Ruszamy w dalszą drogę. — Napad Tatarów. — Dostajemy się do Archangielska. — Podróż do Hamburga. — Powrót do Anglii.

Zima zaczęła się zwolna zbliżać. Przybywszy do Tobolska, musieliśmy się obaj ze spólnikiem naradzić i postanowić, jaką dalej drogą mamy jechać, bośmy nie do Moskwy, lecz do Angli chcieli się dostać. Dwie drogi mieliśmy do wyboru; albo jechać z karawaną do Jarosławia nad Wołgą i dalej już samym udać się do Narwi w Fińskiej zatoce, a ztamtąd morzem do Gdańska, gdziebym mógł z wielkim zyskiem sprzedać swoje chińskie towary, albo też, pożegnawszy karawanę w któremś miasteczku nad Dźwiną północną, popłynąć tą rzeką do Archangielska, portu na wybrzeżach morza Białego, gdzieby nam nie zabrakło sposobności dostania się na jakiś zagraniczny, kupiecki okręt, któryby nas zawiózł do Hamburga, Holandyi, lub nawet prosto do Anglii. Ale żadną z tych dróg nie można było puszczać się zimą. Do Gdańska nie mógłbym się dostać, bo morze Bałtyckie zamarza, a jechać lądem nie miałem ochoty. Do Archangielska nie było poco śpieszyć, bo już w październiku wszystkie okręty ztamtąd odpływają, a wtedy nawet i kupcy odjeżdżają na całą zimę do Moskwy; musiałbym przeto siedzieć w mieście niemal opustoszałem, w czasie, gdy tam podobno trudno o żywność, a mrozy panują straszliwe. Po namyśle przyszliśmy do przeświadczenia, że najlepiej będzie zaraz pożegnać karawanę i na zimę zostać w Tobolsku, na Syberyi, prawie pod sześćdziesiątym stopniem północnej szerokości, bośmy mieli przynajmniej pewność, że dostaniemy tu dobre mieszkanie, będziemy mieli żywności pod dostatkiem, a i dobrego towarzystwa nam nie zabraknie. Takeśmy też zrobili.

Klimat był tu zupełnie odmienny, niż na mojej ukochanej wyspie, gdzie mrozów nie bywało wcale, a często tak było ciepło, że nawet odzienie było zbyteczne, i gdzie nigdy nie rozpalałem ognia dla ogrzania mieszkania, Tu natomiast, wychodząc z domu w czasie mrozów, musiałem wkładać na siebie trzy futerka, jedno na drugie, a prócz tego na wierzch jeszcze długą, futrzaną szubę, do kostek mi sięgającą.

Na mieszkanie nająłem sobie cały domek. We wszystkich izbach były doskonałe piece, to też mieliśmy w mieszkaniu dość ciepło. W Anglii nie znają takich pieców; gdybyśmy w Tobolsku w ten sposób jak w Anglii mieszkanie ogrzewali, to jest rozpalając ogień na kominku, tobyśmy nie wytrzymali takich mrozów.

Przepędzając całą zimę w obcem mieście, tak daleko na północy, nie mogliśmy się uskarżać na nudy, jakkolwiek nie mieliśmy żadnego zajęcia. W pierwszych dniach pobytu poznał mię Szkot z kilku osobami. Dowiedziałem się, że to są przestępcy polityczni, wysłani tu za karę na mieszkanie. Mieszkało ich wielu w Tobolsku i okolicy. Poznałem ich później więcej i często w ich towarzystwie przebywałem, przyjemnie czas przepędzając, bo wielu z nich byli to ludzie dobrze wychowani i wykształceni. Opowiadali mi koleje swego życia, a i ja nawzajem opowiadałem im swój pobyt na bezludnej wyspie i różne swoje przygody, czego z zajęciem słuchali. Poprzyjaźniłem się z niejednym, częstośmy się wzajemnie odwiedzali i czas mi schodził na obcowaniu z nimi.

Zima była bardzo ciężka. Często bywały tak silne mrozy, że wychodząc z domu, musiałem nakładać na głowę rodzaj futrzanego worka, w którym były otwory tylko na usta i oczy, bo inaczej nie tylko nos i uszy, ale nawet i policzki byłbym sobie poodmrażał. Przez trzy miesiące mieliśmy tylko po pięć godzin dnia a po dziewiętnaście nocy. Nie było jednak zbyt ciemno, bo na niebie stale iskrzyły się gwiazdy a ziemia pokryta była białym, lśniącym się, śniegiem. Konie musieliśmy trzymać w podziemnych stajniach, by nie pomarzły. Wiele mi opowiadano i bardzo zachwalono jazdę na saniach, ciągnionych przez renifery. Gdy wody pozamarzają i śnieg spadnie a następnie przymarznie, wtedy sanie mkną po białej, gładkiej, powierzchni bez przeszkody z szybkością niesłychaną. Mieszkańcy tamtejsi wolą też podróżować zimą niż latem. Ja jednak nie spróbowałem tej wygodnej jazdy, bo wyruszyłem z Tobolska dopiero na wiosnę, gdy już śniegu nie było. Żywności rozmaitej mieliśmy wielką obfitość. Chleb był dobry, mięso jelenie i rozmaite ryby suszone, w lecie już na całą zimę przygotowane, nie brakło też i świeżego mięsa, bo Sybiracy, myśliwi, często nam dostarczali upolowanej zwierzyny. Za napitek służyła słaba wódka, na poczęstunek mieliśmy doskonały miód, a herbatę to się już po całych dniach pijało. Jedzą tam i niedźwiedzie mięso, ale mnie ono nie smakowało.

W początkach marca mrozy znacznie zelżały i dnia już znacznie przybyło. Syberyjscy kupcy i rozmaici podróżni przygotowywali się już do drogi, ja tylko jeden nie ruszałem się z miejsca, nie mając zamiaru jechać do Moskwy, lecz prosto do Archangielska. Wspomniałem już powyżej, że okręty odjeżdżają ztamtąd na zimę a powracają dopiero w lipcu. Chcąc zatem odpłynąć na którym z nich do Anglii, dość mi

było przybyć do Archangielska w początkach sierpnia. Mnóstwo osób wyjechało przedemną. Kupcy tamtejsi jeżdżą na lato do Moskwy i Archangielska, sprzedają tam swoje futra, a kupują wzamian inne towary, które znów na Syberyi sprzedają. Pod koniec maja i ja zacząłem się przygotowywać do podróży.

Widząc, że nie wszyscy wygnani tam przestępcy polityczni są zamykani w więzieniu, nie mogłem zrozumieć, dlaczego wielu z nich nie korzysta z pozostawionej sobie swobody i dlaczego nie uciekają do jakiej innej części świata. Zapytałem nawet o to otwarcie jednego znajomego wygnańca. Ten mi odpowiedział, że ucieczka taka nie byłaby wcale tak łatwa, jak się mnie wydaje, a nawet że jest zupełnie niemożliwa, a to ze względu na okoliczności i warunki, w jakich wygnańcy się znajdują. Na północ jest morze Lodowate, po którem nie pływają żadne statki ani nawet łodzie; zresztą dostać się do niego prawie niepodobna. Na tysiące mil dokoła rozciąga się kraj niemal zupełnie bez dróg, a te drogi, jakie są, prowadzą przez miasta, których ominąć nie można i przez które niepostrzeżenie się przemknąć jest niepodobieństwem. Miasta te są niewielkie, policya zna wszystkich mieszkańców, a żadnego obcego człowieka nie przepuści, nie przekonawszy się, kto on taki. Udać się zaś stepem, okolicą pustą i niezamieszkałą, znaczyłoby tyle, co skazać się dobrowolnie na śmierć głodową. Uznałem słuszność tych uwag i przekonałem się, że lodowata ta pustynia mimo swej niezmiernej rozległości jest dla wygnańców takiem samem więzieniem, jak każde inne. Pomimo jednak, że rozumiałem te wszystkie przeszkody, tak sobie wbiłem do głowy myśl, że mógłbym dopomódz do ucieczki zaprzyjaźnionemu ze mną wygnańcowi, iż jednego wieczora powiedziałem mu to otwarcie. Przedstawiłem mu, że podróżować będę na własną rękę, osobną karawaną, a zatem omijać mogę miasta i rozbijać namioty w stepie, gdzie mi się podoba, że więc w takich warunkach mógłby on towarzyszyć mi w przebraniu, niepoznany przez nikogo. W Archangielsku umieściłbym go natychmiast na pokładzie angielskiego lub holenderskiego statku, gdzieby już był zupełnie bezpieczny. Wysłuchał tego wszystkiego uważnie, a z wyrazu jego twarzy można było poznać, jak silne wrażenie wywarły na nim moje słowa. Po chwilowym namyśle serdecznie mi podziękował, oświadczył, że nie skorzysta z mojej dobroci, bo już za stary na to, aby uciekać, ale natomiast nieśmiało zapytał, czybym nie zechciał zabrać z sobą jego młodego syna. Zgodziłem się najchętniej i odpowiedziałem, że uczynię wszystko, co będę mógł, aby synowi jego przyjść z pomocą. Ucieszył się niezmiernie stary wygnaniec i zaraz następnego dnia wysłał umyślnego posłańca z wiadomością do syna, który mieszkał bardzo daleko w jakiejś ustronnej wsi za rzeką Obią. W dwadzieścia dni potem syn ten nadjechał, prowadząc z sobą

kilka koni obładowanych kosztownemi futrami, bo tak ojciec jak i syn byli to ludzie zamożni. Słudzy jego przyprowadzili konie do miasta, młodzieniec zaś ukrywał się w pobliżu i dopiero w nocy przybył do nas ukradkiem. Ojciec przedstawił mi go i ułożyliśmy wspólnie plan ucieczki.

Zakupiłem był jeszcze dawniej wiele kosztownych futer jakoto soboli, gronostajów i czarnych lisów, sprzedawszy poprzednio część swoich towarów chińskich z znacznym zarobkiem. Spólnik mój, który bawił razem ze mną w Tobolsku, dopomagał mi w tych kupnach i sprzedażach, a żeśmy dużo zarobili, w wybornem był usposobieniu i nie przykrzył sobie długiego pobytu w ustronnem mieście. Wybierając się w drogę, musieliśmy oczywiście zakupić kilkanaście koni wierzchowych i jucznych dla przewiezienia naszych towarów oraz nająć kilku służących. Korzystając z tego, przyjąłem niby na służbę syna owego wygnańca, mianując go dozorcą karawany.

»Sybiracy, myśliwi, dostarczali nam często upolowanej zwierzyny« (str. 359).

Wyruszyliśmy w pierwszych dniach czerwca w trzydzieści dwa konie objuczone towarami; jedenaście z nich należało do młodego zbiega, ale w oczach ludzi ja uchodziłem za właściciela całej karawany. Mieliśmy przed sobą puszczę leśną, rozległą i trudną do przebycia, gdyż grunt jej był miejscami nizki i bagnisty. Mimo, że zapewniano nas, że nie spotkamy tu Tatarów, bo nie zwykli oni koczować z tej strony Obi, nie uniknęliśmy jednak i tym razem małej z nimi utarczki. Młody wygnaniec, powierzony mi przez ojca, miał z sobą zaufanego sługę, Sybiraka, który znał doskonale kraj okoliczny; ten prowadził nas bocznemi drogami, tak żeśmy omijali większe miasta, leżące na głównej, wielkiej drodze, łączącej Europę z Syberyą. Nie była to rzecz zbyt wygodna, bo musieliśmy nocować w puszczy, gdzie nic nie można było dostać

ani też wypocząć należycie. Młody zbieg namówił nas przeto, abyśmy odpoczywali w miasteczkach i osadach, sam zaś zatrzymywał się ze swym służącym zwykle w okolicznych lasach a nazajutrz doganiał nas i łączył się z nami w jakiemś umówionem miejscu.

Przeprawiwszy się przez rzekę Kamę, mieliśmy nadzieję napotkać kraj nowy, znaleźć się wśród ludzi dobrze oświeconych i stojących na wyższym stopniu cywilizacyi. Ale nadzieja ta i tu nas zawiodła, bo mieszkańcy tutejsi niewiele się jeszcze różnią od Tatarów strojem i zwyczajami, a żyją także w bałwochwalstwie. Tylko po miastach jest trochę chrześcijan.

Pierwszą osadą rosyjską, jakąśmy napotkali, był Solikamsk, największe miasto nad Kamą. Tam odpoczywaliśmy, a wyruszywszy w dalszą drogę, zapuściliśmy się w gęste puszcze, w których doznaliśmy jesze jednej przygody i raz jeszcze wyszliśmy cało z groźnego niebezpieczeństwa. Włóczyły się tu dla polowania całe gromady kałmuckich Tatarów i dnia jednego banda taka, złożona z kilkudziesięciu konnych, zabiegła nam drogę. Nas było tylko szesnastu; zaniepokoiliśmy się więc tem niespodziewanem spotkaniem, zwłaszcza zaś mój młody wygnaniec, który się obawiał, żeby to nie był oddział wysłany za nim w pogoń. Towarzyszący mu Sybirak podjechał ku nim z mego polecenia i zapytywał ich w rozmaitych narzeczach sybirskich, czego żądają. Nie zrozumieli go lub też nie chcieli odpowiadać, tylko przypatrywali się nam bacznie, jak gdyby się chcieli przekonać, czy jesteśmy w stanie stawić im opór.

Widząc to, zaczęliśmy szukać obronnego stanowiska i cofnęliśmy się w jedno miejsce w lesie, oblane z jednej strony strumieniem a z drugiej bronione kawałkiem bagniska. Schroniliśmy się poza bagno i rzekę. Stary mój nieoszacowany Portugalczyk doradził nam nadto pościnać drzewa i porobić zasieki, za któremi byliśmy zabezpieczeni przed strzałami. Nieprzyjaciel cofnął się, ale pod wieczór powrócił liczniejszy, bo w osiemdziesiąt ludzi, a były między nimi i kobiety. Zbliżali się do nas ukradkiem, widocznie mając nadzieję, że napadną nas niespodzianie; my jednak widzieliśmy ich doskonale z poza naszych zasłon. Stary Portugalczyk objąwszy nad nami dowództwo, polecił nam dopuścić napastników na odległość strzału pistoletowego i dopiero wtedy dać ognia, aby już na pewniaka strzelać. Tak też uczyniliśmy; kilkunastu zwaliło się od razu z koni, a wielu było rannych. Cofnęli się w wielkim popłochu o jakie sto kroków. Korzystając z tego, posłałem służących, aby pochwytali błąkające się konie bez jeźdźców; przyprowadzili ich nam pięć. Po ubiorach zabitych napastników poznaliśmy, że to byli Tatarzy, ale z jakiej okolicy i dlaczego się aż tu zapuścili, nie mogliśmy się domyśleć. W godzinę potem próbowali nas znowu zaczepić, ale widząc nas gotowych do obrony, cofnęli się raz jeszcze.

Całą noc spędziliśmy na swem stanowisku, ciągle czuwając. Nad ranem obaczyliśmy z przerażeniem, że Tatarzy, wcale nie zrażeni wczorajszem przyjęciem, zgromadzili się jeszcze liczniej, a w dodatku rozbili w pobliżu kilkanaście namiotów, jak gdyby mieli zamiar oblegać nas tutaj. Wyznaję, że byłem mocno przestraszony a nawet straciłem nadzieję ocalenia. Sama myśl, że po tak długiej podróży, po przebyciu tylu niebezpieczeństw, przyjdzie mi zginąć marnie z ręki rabusiów, doprowadzała mnie do rozpaczy. Wspólnik zaś mój nie troszczył się wcale o niebezpieczeństwo zagrażające życiu, tylko drżał o los towarów i przysiągł na wszystkie świętości, że nie pozwoli tym psom tatarskim niszczyć swojej uczciwej pracy i bronić się będzie do upadłego. To samo powtarzał młody wygnaniec i Portugalczyk. Jednem słowem, wszyscy byli gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi. Dzień cały spędziliśmy na naradach; tymczasem liczba oblegających coraz bardziej wzrastała; widocznie nadciągały im posiłki. Wtedy przyszło mi na myśl spytać Sybiraka, który prowadził nas od samego Tobolska, czy nie mógłby wyprowadzić nas ztąd w nocy tak, abyśmy się wymknęli niepostrzeżenie. Sybirak odpowiedział mi na to, że przejście takie zna i podejmuje się nas ztąd wyprowadzić, ale obawia się wspominać o tem młodemu swojemu panu, bo ten o ucieczce nie chce myśleć i zamierza bić się z rabusiami do upadłego. Udałem się więc do młodego wygnańca i przekonałem go z łatwością, że ucieczka taka nie będzie wcale hańbą ani wstydem; zaczęliśmy się do niej przygotowywać. Jak tylko się ściemniło, rozpaliliśmy ognie i dorzuciliśmy tyle drew, aby mogły się palić całą noc, łudząc Tatarów, żeśmy tu na noc zostali. Tymczasem skoro tylko pierwsze gwiazdy ukazały się na niebie, odeszliśmy wszyscy cichaczem za naszym przewodnikiem. Prowadził on nas wciąż w kierunku gwiazdy biegunowej. Dwie godziny kroczyliśmy wśród zupełnej ciemności, poczem pokazał się księżyc, oświecający nas prawie zanadto. Nie dostrzeżono nas jednak i uszliśmy szczęśliwie, nie ścigani przez Tatarów. Prawda, żeśmy nóg i koni nie żałowali, i ujechaliśmy przez tę noc spory kawał drogi, tak, że wiele koni nam okulało.

Nad ranem dojechaliśmy do rosyjskiej wioski i odpoczywaliśmy tam cały dzień. W dalszą drogę puściliśmy się nocą, a następnego ranka doszliśmy do małej rzeki; przeprawiwszy się przez nią, odpoczywaliśmy znowu w jakiemś rosyjskiem mieście. Tu zabawiliśmy pięć dni dla zakupna kilku koni, bo okulałe musieliśmy zostawić. Mieszkańcy opowiadali nam, że hordy Kałmuków wałęsają się zwykle po puszczach, napadając i rabując podróżnych; upewniali nas jednak, że w dalszej podróży już ich nie spotkamy. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką radością słuchaliśmy tych zapewnień. Spólnik mój i ja wynagrodziliśmy hojnie poczciwego Syberyjczyka za to, że wyprowadził nas tak szczęśliwie z niebezpieczeństwa.

W pięć dni potem przybyliśmy nad rzekę Wyszegdę, wpadającą do Dźwiny północnej. Byliśmy więc prawie u kresu podróży, bo ztamtąd można już było popłynąć rzeką do Archangielska. W dniu 7 lipca przybyliśmy do miejscowości zwanej Ławrenskoje, gdzie najęliśmy trzy duże łodzie pod rzeczy i dla siebie, a w dniu 18 lipca przypłynęliśmy do Archangielska po długiej i uciążliwej podróży, trwającej rok, pięć miesięcy i trzy dni, licząc w to już i ośmiomiesięczny pobyt w Tobolsku.

Kilka tygodni czekaliśmy tu na przybycie jakiego angielskiego okrętu. Tymczasem pierwej przybył statek z Hamburga. Zgodziliśmy się na to z moim spolnikiem, że i w Hamburgu możemy korzystnie sprzedać swoje towary; gdy się nam udało bez trudności nająć miejsce na tym okręcie, kazałem tam przenieść rzeczy i towary a młodego zbiega mianowałem komisarzem ładunku, ażeby mógł przebywać wciąż na okręcie i nie pokazywać się na ulicach miasta, gdzieby go łatwo mogli poznać kupcy przybyli z Moskwy, których tu było pełno.

Z Archangielska wypłynęliśmy w dniu 20 sierpnia a 18 września wpłynęliśmy do rzeki Łaby i stanęliśmy w Hamburgu. Tu sprzedaliśmy bardzo korzystnie chińskie towary i sybirskie futra. Gdyśmy się podzielili ze spólnikiem, okazało się, że na każdego z nas wypada po 3475 funtów szterlingów pomimo strat, któreśmy ponieśli. Udział mój był większy o 600 funtów szterlingów, którem dostał za dyamenty kupione w Bengalu. Młody nasz zbieg popłynął Łabą, chcąc się dostać potem do Wiednia, gdzie miał porozumieć się z przyjaciółmi swego ojca i starać się o jego uwolnienie. Przy pożegnaniu dziękował mi z największem rozrzewnieniem za wyświadczoną mu przysługę i zapewniał mnie o dozgonnej swej wdzięczności.

My ze spólnikiem zabawiliśmy jeszcze cztery miesiące w Hamburgu. Następnie ja udałem się do Holandyi, zwiedziłem Hagę, a potem siadłem na statek angielski i przybyłem do Londynu 10 stycznia 1705 roku. Stanąłem więc wreszcie na ojczystej ziemi po dziesięciu latach i dziewięciu miesiącach nieobecności.

Obecnie nie myślę już o żadnych wyprawach i przygotowuję się do dalszej i dłuższej podróży, w którą mi się już niebawem wybrać przyjdzie. Przebywszy tyle nadzwyczajnych przygód, zaznawszy tylu zmiennych losu kolei, nauczyłem się wreszcie, mając lat siedemdziesiąt dwa, oceniać wartość cichego i spokojnego życia, jakie teraz wiodę i jakie, mam w Bogu nadzieję, wieść będę już do końca dni swoich.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA Filia w B-stoku
79053
78408

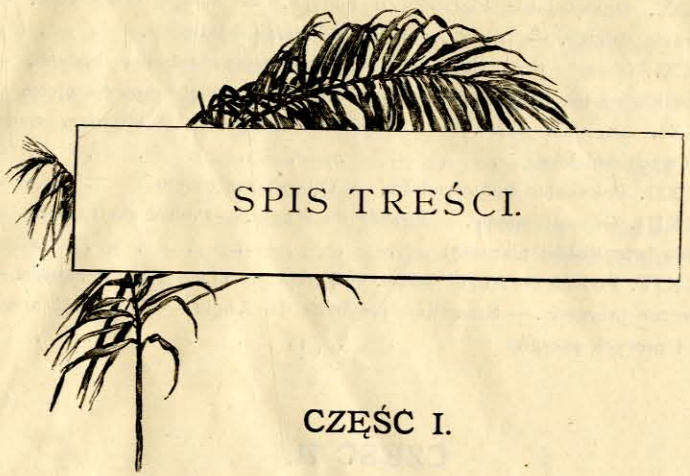

SPIS TREŚCI.

CZĘŚĆ I.

	Strona
ROZDZIAŁ I. Moja młodość. — Ucieczka z domu. — Burza na morzu	1
ROZDZIAŁ II. Zostaję kupcem. — Niewola u korsarza. — Ucieczka. — Przygody na wybrzeżach Afryki. — Ocalenie	10
ROZDZIAŁ III. Zostaję plantatorem w Brazylii. — Nowa wyprawa. — Rozbicie okrętu. — Ocalenie	26
ROZDZIAŁ IV. Na bezludnej wyspie. — Wyprawy do rozbitego okrętu	34
ROZDZIAŁ V. Budowa zagrody. — Kalendarz. — Rozmyślania	42
ROZDZIAŁ VI. Sporządzam sobie najpotrzebniejsze sprzęty. — Kończę urządzenie zagrody. — Poluję. — Odkrycie zboża	48
ROZDZIAŁ VII. Trzęsienie ziemi. — Ponowne wyprawy na okręt	56
ROZDZIAŁ VIII. Choroba. — Skrucha i żal	61
ROZDZIAŁ IX. Odkrycia na wyspie. — Letnia siedziba. — Zostaję rolnikiem i koszykarzem. — Dalsze wycieczki po wyspie. — Papuga i koźlątko	68
ROZDZIAŁ X. Druga rocznica pobytu na wyspie. — Szkody w zbożu. — Pierwsze żniwo. — Garncarstwo. — Pierwszy chleb	78
ROZDZIAŁ XI. Praca nad czółnem. — Rozmyślania z powodu czwartej rocznicy pobytu na wyspie	84
ROZDZIAŁ XII. Zostaję krawcem, kuśnierzem i parasolnikiem w jednej osobie. — Buduję sobie nowe czółno. — Niebezpieczna wycieczka na morze	90
ROZDZIAŁ XIII. Doskonalenie się w rzemiosłach. — Oswojone kozy. — Masło i ser. — Moi domownicy na wyspie. — Mój strój. — Posiadłości	97
ROZDZIAŁ XIV. Straszne odkrycie i jego skutki. — Drugie, jeszcze straszniejsze odkrycie	104
ROZDZIAŁ XV. Plany wojenne. — Jaskinia w lesie	112
ROZDZIAŁ XVI. Moje towarzystwo na wyspie. — Straszne odwiedziny. — Rozbity okręt	118
ROZDZIAŁ XVII. Pomysły opuszczenia wyspy. — Straszna biesiada. — Piętaszek	125
ROZDZIAŁ XVIII. Ubieram Piętaszka. — Pierwsze nauki. — Pierwsza z nim rozmowa. — Nauka wiary chrześcijańskiej	135

Strona

ROZDZIAŁ XIX. Opowiadanie Piętaszka o białych. — Buduję nową łódź. — Wylądowanie dzikich. — Bitwa. — Kogo odbijamy dzikim? 142
ROZDZIAŁ XX. Obawy przed dzikimi. — Plan wyswobodzenia białych. — Przygotowania na ich przyjęcie. — Odjazd Hiszpana z Piętaszkowym ojcem . 155
ROZDZIAŁ XXI. Angielski okręt. — Zbuntowana załoga. — Wybawiam trzech nieszczęśliwych rodaków 159
ROZDZIAŁ XXII. Pokonanie buntowników. — Odzyskanie okrętu 166
ROZDZIAŁ XXIII. Odjazd z wyspy. — Powrót do Anglii. — Podróż do Lizbony. — Odzyskanie brazylijskiej plantacyi 174
ROZDZIAŁ XXIV. Podróż do Anglii lądem. — Przeprawa przez góry Pirenejskie. — Niebezpieczne przygody. — Szczęśliwe przybycie do Anglii. — Zapowiedź nowej podróży i nowych przygód 183

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ XXV. Pobyt w Anglii. — Śmierć mojej żony. — Przygotowania do wyjazdu na wyspę 197
ROZDZIAŁ XXVI. Pożar na morzu. — Ratujemy francuskich marynarzy. — Nowe spotkanie. — Okropności głodu 205
ROZDZIAŁ XXVII. Przybywamy na wyspę. — Powitania. — Opowiadanie Hiszpana.— Łotrostwa trzech angielskich marynarzy 216
ROZDZIAŁ XXVIII. Bitwa dzikich na wyspie. — Trzech jeńców. — Nowe zatargi. — Wydalenie trzech Anglików z osady 229
ROZDZIAŁ XXIX. Wyprawa trzech Anglików. — Przywożą sobie żony. — Powstaje trzecia osada 237
ROZDZIAŁ XXX. Dwukrotny najazd dzikich. — Wielka bitwa. — Dzicy pokonani. — Niedobitki osiedlają się na wyspie, tworząc czwartą osadę 245
ROZDZIAŁ XXXI. Pojętność Indyan. — Chata Atkinsa. — Opowiadanie Hiszpanów o pobycie u dzikich. — Uczta. — Moja rozmowa z księdzem 257
ROZDZIAŁ XXXII. Śluby. — Nawrócenie się Atkinsa. — Rozmowa jego ze mną i z żoną. — Małżeństwo Zuzi. — Podział gruntów 272
ROZDZIAŁ XXXIII. Indyjscy osadnicy przyłączają się do Europejczyków. — Opowiadanie Zuzi. — Odjazd z wyspy. — Potyczka na morzu z dzikimi. — Śmierć Piętaszka 288
ROZDZIAŁ XXXIV. Przybycie do Brazylii. — Niegościnne przyjęcie. — Wysyłam statek na swoją wyspę, a sam puszczam się do Indyj Wschodnich. — Przygoda na Madagaskarze 298
ROZDZIAŁ XXXV. Niechęć ku mnie osady okrętowej. — Rokosz na statku. — Zostaję w Bengalu. — Nowa podróż 311
ROZDZIAŁ XXXVI. Wyprawy kupieckie. — Skradziony statek. — Biorą nas za korsarzy. — Przygoda w Kochinchinie 315
ROZDZIAŁ XXXVII. Spotkanie z Portugalczykiem. — Musimy się ukrywać. — Wylądowanie w Kin-Czang. — Pozbywamy się niebezpiecznego statku . . 327

Strona

ROZDZIAŁ XXXVIII. Mój pobyt w Chinach. — Obyczaje Chińczyków. — Wyjazd z karawaną. — Dom porcelanowy 336
ROZDZIAŁ XXXIX. Mur chiński. — Potyczka z Tatarami. — Wjeżdżamy w granice państwa moskiewskiego 342
ROZDZIAŁ XL. Bożek Czam-Czi-Tangu. — Nocna wyprawa i jej skutki. — Kraj Tunguzów. — Przybycie do Tobolska 350
ROZDZIAŁ XLI. Pobyt przez zimę w Tobolsku. — Ruszamy w dalszą drogę. — Napad Tatarów. — Dostajemy się do Archangielska. — Podróż do Hamburga. — Powrót do Anglii 358